Ernest Hemingway

Komu bije dzwon

(Przełożył: Bronisław Zieliński)

Żaden człowiek nie jest samoistną wyspą; każdy stanowi ułomek kontynentu, część lądu. Jeżeli morze zmyje choćby grudkę ziemi, Europa będzie pomniejszona, tak samo jak gdyby pochłonęło przylądek, włość twoich przyjaciół czy twoją własną. Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie, albowiem jestem zespolony z ludzkością. Przeto nigdy nie pytaj, komu bije dzwon: bije on tobie.

John Donne

I

Leżał płasko na pokrytej brunatnym igliwiem leśnej ziemi, brodę miał opartą na skrzyżowanych rękach, a wysoko nad nim szumiał wiatr w koronach sosen. Zbocze opadało tu łagodnie, ale niżej było urwiste i widział ciemny asfalt szosy, która wiła się przez przełęcz. Wzdłuż szosy płynął potok, a daleko w dole widać było tartak nad jego brzegiem i kaskadę wody, która przelewając się przez tamę bielała w letnim słońcu.

— Czy to ten tartak? — zapytał.

— Tak.

— Nie przypominam go sobie.

— Bo go wybudowali, kiedy was tu nie było. Stary tartak jest dalej; tam niżej, za przełęczą.

Rozłożył na leśnej ziemi fotograficzną mapę sztabową i przyjrzał jej się uważnie. Stary popatrzył mu przez ramię. Był niski i krzepki, miał na sobie czarny chłopski kaftan, szare spodnie, sztywne jak żelazo, i trepy na sznurkowych podeszwach. Oddychał z trudem po wspinaniu się pod górę, a jego ręka spoczywała na jednym z dwóch ciężkich plecaków, które tu przynieśli.

— To stąd nie widać mostu?

— Nie — odpowiedział stary. — Tu jest równiejszy kawałek przełęczy i potok płynie łagodnie. Tam niżej, gdzie szosa skręca między drzewa, przełęcz nagle opada i zaczyna się stromy wąwóz...

— Pamiętam.

— Most jest na tym wąwozie.

— A gdzie są ich placówki?

— Jedna jest w tym tartaku, co go widzicie.

Młody człowiek, który badał teren, wyjął lornetkę z kieszeni spłowiałej flanelowej koszuli barwy khaki, przetarł szkła chustką i pokręcił soczewki, aż ukazały mu się nagle wyraźnie deski tartaku. Zobaczył drewnianą ławkę przy wejściu, ogromną stertę trocin za otwartą szopą, gdzie była piła tarczowa, i kawałek koryta, po którym spuszczano pnie drzew ze zbocza góry na drugim brzegu. W szkłach widział

wyraźnie gładką powierzchnię potoku, a poniżej miejsca, gdzie woda załamywała się spadając z tamy, unosił się na wietrze pył wodny.

— Tam nie ma żadnego posterunku.

— Z tartaku idzie dym — odparł stary. — Poza tym wisi na sznurze bielizna.

— To zauważyłem, ale nigdzie nie widzę wartownika.

— Może jest gdzieś w cieniu — wyjaśnił stary. — Tam teraz gorąco. Pewnie siedzi w cieniu po tej stronie, której stąd nie widać.

— Możliwe. A gdzie jest następna placówka?

— Poniżej mostu. W domku dróżnika, na piątym kilometrze od szczytu przełęczy.

— Ilu ich tam jest? — Wskazał tartak.

— Ze czterech i kapral.

— A na dole?

— Więcej. Dowiem się.

— A przy moście?

— Zawsze dwóch. Jeden na każdym końcu.

— Będzie nam potrzeba trochę ludzi — powiedział miody człowiek. — Ilu możecie zebrać?

— Mogę przyprowadzić, ilu chcecie — odrzekł stary. — Teraz jest dużo ludzi w tych górach.

— Ilu?

— Więcej niż setka. Ale trzymają się w małych bandach. A ilu będzie wam trzeba?

— Powiem wam, jak zbadamy most.

— Chcecie to zrobić zaraz?

— Nie. Teraz chcę pójść tam, gdzie będzie można złożyć te materiały wybuchowe, dopóki nie przyjdzie pora. Chciałbym je schować w jak najbezpieczniejszym miejscu, nie dalej niż o pół godziny drogi od mostu, jeżeli to możliwe.

— To całkiem proste — powiedział stary. — Stamtąd, dokąd idziemy, schodzi się do mostu wciąż w dół. Ale żeby się tam dostać, musimy teraz porządnie się namozolić. Głodniście?

— Tak — odrzekł młody człowiek. — Ale zjemy coś później. Jak wy się nazywacie, bo zapomniałem? — Uważał za zły znak, że zapomniał.

— Anselmo — odparł stary. — Zwę się Anselmo i pochodzę z Barco de Avila. Pomogę wam założyć plecak.

Młody człowiek — który był szczupły i wysoki, miał zjaśniałe od słońca blond włosy i twarz ogorzałą na słońcu i wietrze, i który ubrany był w spłowiałą koszulę flanelową, chłopskie spodnie i trepy na sznurkowych podeszwach — pochylił się, przełożył rękę przez jeden ze skórzanych pasów i zarzucił sobie ciężki plecak na ramiona. Przesunął rękę przez drugi pas i poprawił ciężar na grzbiecie. Koszula była jeszcze wilgotna w miejscu, gdzie przed tem opierał się plecak.

— Już założyłem — powiedział. — Jak idziemy?

— Pod górę — odrzekł Anselmo.

Przygięci pod ciężarem plecaków, spoceni, ruszyli pod górę przez las sosnowy porastający zbocze. Młody mężczyzna nie mógł tu dostrzec żadnej ścieżki, ale pięli się coraz wyżej obchodząc stok dookoła, aż wreszcie przeprawili się przez niewielki strumień i wtedy stary poszedł dalej skrajem jego kamienistego łożyska. Było tu bardziej stromo i coraz trudniej iść, ale w końcu dotarli do miejsca, gdzie strumień przelewa się przez krawędź gładkiego granitowego progu, który wyrósł przed nimi. Stary zatrzymał się u jego stóp, aby zaczekać na swego towarzysza.

— Jak wam się idzie?

— Dobrze — odparł młody człowiek. Był zlany potem, a mięśnie ud drgały mu po uciążliwej wspinaczce.

— Zaczekajcie tu na mnie. Pójdę pierwszy, żeby ich uprzedzić. Lepiej, żeby do was nie strzelali, jak niesiecie coś takiego.

— Ani nawet dla kawału — odpowiedział młody człowiek. — Czy to daleko?'

— Bardzo blisko. Jak cię zwą?

— Roberto — odrzekł tamten. Zsunął plecak z ramion i ostrożnie opuścił go między dwa głazy leżące przy łożysku strumienia.

— Więc zaczekaj tu, Roberto, a wrócę po ciebie.

— Dobrze — powiedział młody mężczyzna. — Ale czy wy macie zamiar schodzić do mostu tędy?

— Nie. Jak będzie trzeba iść do mostu, pójdziemy inną drogą. Krótszą i łatwiejszą.

— Nie chcę składać tych materiałów za daleko od mostu.

— Zobaczycie. Jeżeli wam to nie będzie dogadzało, wybierzemy inne miejsce.

— Ano, zobaczymy — powiedział młody człowiek. Usiadł przy plecakach i patrzał, jak stary wspina się na skalny próg. Nie było to trudne, a widząc, że bez szukania znajduje występy, których mógł się uchwycić, młody mężczyzna wywnioskował, że musiał już nieraz tędy przechodzić. Jednakże ci, co byli na górze, najwyraźniej starali się nie zostawiać żadnych śladów.

Młody człowiek, który nazywał się Robert Jordan, był bardzo głodny, a poza tym niespokojny. Często bywał głodny, ale zwykle nie odczuwał niepokoju, ponieważ nie przywiązywał wagi do tego, co się z nim stanie, i wiedział z doświadczenia, jak łatwo jest poruszać się za liniami nieprzyjacielskimi w całej tej okolicy. Poruszanie się za liniami było równie proste, jak przejście przez nic, jeżeli miało się dobrego przewodnika. Trudność stwarzało dopiero przywiązywanie wagi do tego, co stanie się z człowiekiem, kiedy go schwycą, a także decyzja, komu można zaufać. Ludziom, z którymi się pracowało, trzeba było ufać całkowicie albo wcale i co do tego zaufania należało powziąć decyzję. Tym wcale się nie martwił. Ale były jeszcze inne rzeczy.

Ten Anselmo był dobrym przewodnikiem i umiał wspaniale chodzić po górach. Robert Jordan też nieźle dawał sobie radę, ale idąc tak za nim od świtu czul, że stary mógłby go zagonić na śmierć. Jak dotąd, Robert Jordan ufał mu we wszystkim z wyjątkiem roztropności. Nie miał dotychczas okazji wypróbować roztropności Anselma, ale zresztą i tak sam musiał decydować o tym, co będzie roztropne. Nie, Anselmo nie budził w nim niepokoju, a zagadnienie mostu nie było trudniejsze niż wiele innych. Wiedział, jak się wysadza wszelkie możliwe rodzaje mostów, i wysadzał już mosty rozmaitej wielkości i konstrukcji. W swych dwóch plecakach miał dość materiałów wybuchowych i sprzętu, aby wysadzić ten most jak należy, nawet gdyby był dwa razy większy, niż mówił Anselmo, niż on sam go zapamiętał z pieszej wycieczki w 1933 roku, kiedy przechodził po nim w drodze do La Granja, niż wreszcie opisał go Golz przedwczorajszej nocy w tamtym pokoju na piętrze, w domu pod Escorialem.

— Wysadzenie tego mostu, to jeszcze nic — powiedział wtedy Golz wskazując mu ołówkiem miejsce na wielkiej mapie. Światło lampy padało na jego ogoloną, poznaczoną bliznami głowę. — Rozumiecie?

— Tak. Rozumiem.

— Absolutnie nic. Samo wysadzenie mostu nic nie daje.

— Tak jest, towarzyszu generale.

— Most trzeba wysadzić o ustalonej godzinie, obliczonej według czasu wyznaczonego na natarcie. Wy to oczywiście rozumiecie. Wasza rzecz, jak to zrobić.

Golz spojrzał na ołówek i postukał się nim w zęby.

Robert Jordan milczał.

— Rozumiecie, że waszą rzeczą jest, jak to zrobić — ciągnął Golz spoglądając na niego i kiwając głową. Teraz z kolei postukał ołówkiem w mapę. — Ja bym to tak zrobił. A tego właśnie nie możemy być pewni.

— Dlaczego, towarzyszu generale?

— Dlaczego? — powiedział gniewnie Golz. — Widzieliście już tyle natarć, a pytacie mnie dlaczego? Jaka jest gwarancja, że moich rozkazów nie zmienią? Jaka jest gwarancja, że nie odwołają natarcia? Co może mi gwarantować, że go nie odłożą? Albo że zacznie się choćby w ciągu sześciu godzin od wyznaczonego momentu? Czy było kiedyś natarcie, które by przeprowadzono jak należy?

— Zacznie się o czasie, jeżeli to jest wasze natarcie — powiedział Robert Jordan.

— To nigdy nie są moje natarcia — odparł Golz. — Ja je robię, ale nie są moje. Nie mam własnej artylerii. Muszę się o nią dopraszać. Nigdy mi nie dają tego, o co proszę, nawet jeżeli mogą. To jeszcze głupstwo. Są inne rzeczy. Znacie tych ludzi. Nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły. Zawsze coś wyskoczy. Zawsze ktoś się wtrąci. No, chyba już wszystko zrozumieliście.

— Więc kiedy trzeba wysadzić ten most? — zapytał Robert Jordan.

— Po rozpoczęciu natarcia. Jak tylko się zacznie, nie przedtem. Tak, żeby tą szosą nie nadeszły posiłki. — Pokazał ją ołówkiem. — Muszę mieć pewność, że nic tą szosą nie przejedzie.

— A kiedy ma być natarcie?

— Powiem wam. Ale musicie posługiwać się datą i godziną tylko jako wskazaniem pewnego prawdopodobieństwa. Musicie być gotowi na tę chwilę. Most wysadzicie po rozpoczęciu natarcia. Widzicie? — Pokazał ołówkiem. — To jest jedyna droga, którą mogą przerzucić posiłki. Jedyna droga, którą mogą pchnąć czołgi czy artylerię, czy choćby ciężarówkę ku tej przełęczy, którą atakuję. Muszę mieć pewność, że ten most przestał istnieć. I to nie przedtem, żeby go nie naprawili, gdyby natarcie

zostało odłożone. Nie. Most musi wylecieć w powietrze, kiedy zacznie się atak, a ja muszę wiedzieć, że już go nie ma. Tam są tylko dwa posterunki. Człowiek, który z wami pójdzie, dopiero co stamtąd przyszedł. Podobno można na nim całkowicie polegać. Przekonacie się. Ma swoich ludzi w górach. Zbierzcie sobie tylu, ilu wam będzie potrzeba. Używajcie możliwie niewielu, ale w dostatecznej liczbie. Nie muszę wam mówić tych rzeczy.

— A w jaki sposób ustalę, że natarcie się zaczęło?

— Ma być przeprowadzone w sile pełnej dywizji. Poprzedzi je bombardowanie z powietrza. Chyba nie jesteście głusi?

— Więc mogę przyjąć, że kiedy samoloty zrzucą bomby, będzie to znaczyć, że natarcie się zaczęło?

— Nie zawsze można to przyjmować — powiedział Golz i pokiwał głową. — Ale w tym wypadku tak. Bo to jest moje natarcie.

— Rozumiem — rzekł wtedy Robert Jordan. — Nie mogę powiedzieć, żebym był zachwycony.

— Ja też nie bardzo. Jeżeli nie chcecie się tego podjąć, powiedzcie od razu. Jeżeli uważacie, że nie możecie tego zrobić, powiedzcie mi teraz.

— Zrobię to — rzeki Robert Jordan. — Zrobię to jak należy.

— To jedno muszę wiedzieć — odparł Golz. — Że nic nie przejdzie przez ten most. Bezwarunkowo.

— Rozumiem.

— Nie lubię prosić ludzi o takie rzeczy i w taki sposób — ciągnął Golz. — Nie mógłbym wam dać rozkazu, żebyście to wykonali. Rozumiem, do czego możecie być zmuszeni przez to, że postawiłem takie warunki. Przedstawiam wam wszystko bardzo dokładnie, żebyście zrozumieli i uświadomili sobie wszelkie możliwe trudności i całą wagę sprawy.

— Ale w jaki sposób pomaszerujecie na La Granja, jeżeli ten most będzie wysadzony?

— Pójdziemy naprzód przygotowani do naprawienia go po wzięciu szturmem przełęczy. To bardzo skomplikowana i piękna operacja. Równie skomplikowana i piękna jak zawsze. Ten plan działania sfabrykowali w Madrycie. To jeszcze jedno arcydzieło Vicente Rojo, tego nieudanego profesora. Ja mam przeprowadzić natarcie i mam to zrobić jak zawsze niedostatecznymi siłami. Mimo to operacja jest zupełnie

wykonalna. Jestem z niej bardziej zadowolony niż zwykle. Może się udać, jeżeli zniszczymy ten most. Możemy wziąć Segowię. Czekajcie, pokażę wam, jak to idzie. Widzicie? Nie nacieramy szczytem przełęczy. Ją musimy utrzymać. To będzie znacznie dalej. O, patrzcie... tutaj... w ten sposób.

— Wolałbym nie wiedzieć — rzekł Robert Jordan.

— Racja — odparł Golz. — Bo tak będziecie mieli mniejszy bagaż do noszenia z sobą po tamtej stronie, co?

— Zawsze wolę nie wiedzieć. Wtedy, jak coś się stanie, nie ja będę tym, który gadał.

— Lepiej jest nie wiedzieć. — Golz postukał się ołówkiem w czoło. — Nieraz i ja sam wolałbym nie wiedzieć. Ale przynajmniej wiecie to jedno, co macie wiedzieć o moście?

— Tak jest. To wiem.

— Mnie też się tak zdaje — rzekł Golz. — Nie będę tu do was wygłaszał żadnej mówki. Teraz się czegoś napijmy. Od tego gadania zaschło mi w gardle, towarzyszu Hordan. Wasze nazwisko zabawnie brzmi po hiszpańsku, towarzyszu Hordan.

— A jak się wymawia „Golz" po hiszpańsku, towarzyszu generale?

— Hoce — odpowiedział Golz z uśmiechem, wyrzucając to słowo z głębi krtani, jak gdyby odchrząkiwał z przeziębienia. — Hoce, zachrypiał. Towarzysz heneral Hoce. Gdybym wiedział, jak się wymawia „Golz" po hiszpańsku, obrałbym sobie lepsze nazwisko przed wyjazdem na tę wojnę. Kiedy pomyślę, że jechałem tu, aby dowodzić dywizją, i mogłem wybrać sobie każde nazwisko, jakie mi się podobało, a wybrałem akurat Hoce... Heneral Hoce. Teraz już za późno zmienić. Jak wam się podoba robota partizana?

Było to rosyjskie określenie działań guerrilli na tyłach.

— Bardzo — odpowiedział Robert Jordan. Uśmiechnął się. — Zdrowo jest na otwartym powietrzu.

— Ja też to ogromnie lubiłem, kiedy byłem w waszym wieku — rzekł Golz. — Podobno doskonale wysadzacie mosty. Bardzo naukowo. Tak tylko słyszałem. Sam nigdy was nie widziałem przy robocie. Może w rzeczywistości nic z tego nie wychodzi. Naprawdę je wysadzacie? — zapytał żartobliwie. — Wypijcie to — podał Robertowi Jordanowi szklankę hiszpańskiej wódki. — Rzeczywiście je wysadzacie?

— Czasami.

— Z tym mostem niech lepiej nie będzie żadnego „czasami". No; już nie mówmy więcej o tym moście. Zrozumieliście wszystko, co trzeba. Jesteśmy bardzo poważni, więc możemy pozwalać sobie na mocne żarty. Słuchajcie, a dużo tam macie dziewczyn po drugiej stronie frontu?

— Nie. Nie ma czasu na dziewczyny.

— Z tym się nie zgadzam. Im bardziej nieregularna służba, tym nieregularniejszc życie. A wy macie bardzo nieregularną służbę. Poza tym powinniście się ostrzyc.

— Jestem ostrzyżony tak jak trzeba — odparł Robert Jordan. Prędzej by go szlag trafił, niżby ogolił sobie głowę jak Golz. — Mam dosyć kłopotów i bez dziewczyn — powiedział niechętnie i dodał: — A w jakim mundurze mam być?

— W żadnym — odparł Golz. — A wasze włosy są w porządku. Tylko tak się z wami drażnię. Wy bardzo się ode mnie różnicie. — Napełnił znowu szklanki. — Nigdy nie myślicie o dziewczynach. A ja w ogóle nie myślę. Po co? Jestem *général soviétique*. Nigdy nie myślę. Nie próbujcie mnie wciągnąć w myślenie.

Ktoś z jego sztabu, pochylony nad mapą rozłożoną na rysownicy, mruknął coś do generała w niezrozumiałym dla Roberta Jordana języku.

— Siedź cicho — odpowiedział mu Golz po angielsku. — Żartuję, jeżeli mam ochotę. Mogę pożartować dlatego, że jestem taki poważny. No, wypijcie to i idźcie. Zrozumieliście wszystko, co?

— Tak jest — odpowiedział Robert Jordan. — Zrozumiałem.

Uścisnęli sobie dłonie, Jordan zasalutował i wyszedł do wozu sztabowego, w którym spał stary czekając na niego. Nie zbudził się, kiedy jechał przez Guadarramę, a potem szosą do Navacerrady, do schroniska Klubu Alpejskiego, gdzie Robert Jordan też przespał się trzy godziny, zanim ruszyli w drogę.

Wtedy po raz ostatni widział Golza, jego dziwną, bladą twarz, której nigdy nie chwytała opalenizna, jego sokole oczy, duży nos, wąskie wargi i ogoloną głowę, poznaczoną zmarszczkami i bliznami. Jutro wieczorem wojsko zbierze się w mroku na szosie pod Escorialem; piechota będzie się ładowała w ciemnościach na długie rzędy ciężarówek, żołnierze w ciężkim oporządzeniu będą wdrapywać się na samochody, sekcje karabinów maszynowych dźwigać na nie swą broń, a czołgi wjeżdżać po pochylniach na podłużne platformy. Dywizja wymaszeruje w noc i ruszy do natarcia na przełęcz.

Nie chciał o tym myśleć. To nie jego rzecz. To sprawa Golza. On sam ma tylko jedno do zrobienia i nad tym powinien się zastanawiać; należy przemyśleć to dokładnie, przyjmować spokojnie wszystko, co będzie, i nie martwić się o nic. Martwienie się jest równie niedobre jak strach. Tylko utrudnia sprawę.

Siedział teraz nad strumieniem, patrzał na przeźroczystą wodę płynącą między głazami i zauważył, że na drugim brzegu rośnie gęsta kępa rzeżuchy. Przeszedł w bród strumień, narwał dwie garście, obmył w prądzie obłocone korzenie, po czym znów usiadł obok plecaka i pogryzał czyste, chłodne, zielone listki i kruche łodygi o pieprznym smaku. Ukląkł nad wodą i przesunąwszy na pasie pistolet do tyłu, ażeby się nie zamoczył, oparł się rękami o dwa głazy, pochylił i zaczął pić z potoku. Woda była klująco zimna.

Dźwignął się na rękach, obrócił głowę i zobaczył starego, który opuszczał się ze skalnego występu. Był z nim jakiś mężczyzna, także w czarnym chłopskim kaftanie i ciemnoszarych spodniach, co stanowiło nieomal mundur w tej prowincji; miał trepy na sznurkowych podeszwach, karabin na plecach i gołą głowę. Obaj zsuwali się ze skały jak kozice.

Podeszli do niego i Robert Jordan wstał z ziemi.

— *Salud, caniarada* — powiedział do mężczyzny z karabinem i uśmiechnął się.

— *Salud* — odparł tamten niechętnie.

Robert Jordan przyjrzał się jego masywnej twarzy, pokrytej szczeciną zarostu. Była prawie okrągła, podobnie jak osadzona na krótkiej szyi głowa. Miał małe, za szeroko rozstawione oczy i drobne przylegające uszy. Był ciężkiej budowy, wzrostu około metr siedemdziesiąt, miał duże dłonie i stopy. Nos jego był kiedyś złamany, usta rozcięte w kącie, a poprzez szczecinę zarostu prześwitywała długa blizna biegnąca przez górną i dolną szczękę.

Stary wskazał go ruchem głowy i uśmiechnął się.

— On tu jest przywódcą — wyszczerzył zęby, po czym przygiął ręce, jakby chcąc napiąć muskuły i popatrzał na tamtego z półżartobliwym podziwem. — Mocny chłop.

— Widzę — odrzekł Robert Jordan i uśmiechnął się znowu. Nie podobał mu się ten człowiek i wewnętrznie nie uśmiechał się wcale.

— Co macie na poświadczenie waszej tożsamości? — zapytał mężczyzna z karabinem.

Robert Jordan odpiął agrafkę przytrzymującą klapę lewej kieszeni flanelowej koszuli, wydobył złożony we czworo papier i podał mężczyźnie, który rozłożył go, przyjrzał mu się uważnie i obrócił w dłoniach.

A więc nie umie czytać — zauważył w duchu Robert Jordan.

— Spójrzcie na pieczątkę — powiedział. Stary pokazał pieczęć, a mężczyzna z karabinem przyjrzał jej się uważnie obracając papier w palcach.

— Co to za pieczęć?

— Nigdy jej nie widzieliście?

— Nie.

— Tam są dwie — powiedział Robert Jordan. —Jedna SIM-u, czyli służby informacji wojskowej. Druga sztabu generalnego.

— Tak, tę już widziałem. Ale tutaj nie rozkazuje nikt oprócz mnie — powiedział tamten ponuro. — Co macie w tych plecakach?

— Dynamit — odparł z dumą stary. — Wczoraj wieczorem przeszliśmy po ciemku przez front i cały dzień nieśliśmy ten dynamit przez góry.

— Dynamit mi się przyda — powiedział mężczyzna z karabinem. Oddał papier Robertowi Jordanowi i obrzucił go wzrokiem. — Tak. Dynamit mi się przyda. Ileście mi go przynieśli?

— Wam nie przyniosłem żadnego dynamitu — odrzekł spokojnie Robert Jordan. — Ten jest przeznaczony na inny cel. Jak się nazywacie?

— A wam co do tego?

— To jest Pablo — odezwał się stary. Mężczyzna z karabinem patrzał ponuro na nich obu.

— W porządku. Dużo dobrego o was słyszałem — powiedział Robert Jordan.

— Coście słyszeli? — zapytał Pablo.

— Że z was doskonały przywódca partyzancki, że jesteście wierni Republice i swoją wierność wykazujecie czynami, i żeście człowiek poważny i dzielny. Przynoszę wam pozdrowienia od sztabu generalnego.

— Gdzieście to wszystko słyszeli? — zapytał Pablo. Robert Jordan zauważył, że wcale nie bierze się na te pochlebstwa.

— Słyszałem to od Buitrago po Escorial — powiedział wymieniając cały obszar po przeciwnej stronie frontu.

— Nie znam nikogo w Buitrago ani w Escorialu — odrzekł Pablo.

— Po drugiej stronie gór jest teraz sporo ludzi, których tam przedtem nie było. A wy skąd pochodzicie?

— Z Avili. Co macie zamiar zrobić z tym dynamitem?

— Wysadzić most.

— Jaki most?

— To moja sprawa.

— Jeżeli most jest na tym terenie, to to już moja sprawa. Nie można wysadzać mostów za blisko. Trzeba siedzieć w jednym miejscu, a działać w innym. Znam się na rzeczy. Ktoś, kto teraz, po roku, jeszcze żyje, musi znać się na rzeczy.

— To moja sprawa — powtórzył Robert Jordan. — Możemy to razem obgadać. Pomożecie nam nieść te plecaki?

— Nie — odparł Pablo potrząsając głową.

Stary obrócił się nagle ku niemu i zaczął coś mówić szybko i zaciekle w dialekcie, który Robert Jordan ledwie rozumiał. Przypominało to czytanie Queveda Anselmo; mówił starym narzeczem kastylijskim i brzmiało to mniej więcej tak: „Czy jesteś bydlęciem? Jesteś. Czy jesteś bestią? Tak, po wielekroć. A czy masz mózg? Nie, nie masz wcale. Oto przychodzimy w sprawie najwyższej wagi, a ty, byleby tylko twoja siedziba nie poniosła szwanku, przekładasz tę lisią norę ponad interes ludzkości. Ponad interes własnego ludu. Ja to i tamto w to i tamto twojego ojca. Ja to, to i tamto w twoje to. Bierz ten tobół!"

Pablo opuścił wzrok.

— Każdy powinien robić tyle, ile może, zależnie od tego, jak się da — powiedział. — Ja siedzę tutaj, a działam za Segovią. Jeżeli wywołacie tu zamieszanie, przepędzą nas z tych gór. Tylko dzięki temu, że tutaj nic nie robimy, możemy siedzieć w tych górach. To jest zasada lisa.

— Tak — odparł z goryczą Anselmo. — To jest zasada lisa, kiedy nam trzeba wilka.

— Większy ze mnie wilk od ciebie — rzekł Pablo, a Robert Jordan już wiedział, że teraz weźmie plecak.

— Hi, ho... — spojrzał na niego Anselmo. — Tyś większy wilk ode mnie, ale ja mam sześćdziesiąt i osiem lat.

Splunął na ziemię i pokiwał głową.

— To wy już macie tyle lat? — zapytał Robert Jordan widząc, że chwilowo wszystko w porządku, i starając się ułatwić sytuację.

— Sześćdziesiąt osiem skończę w miesiącu lipcu.

— Jeżeli w ogóle dożyjemy do tego miesiąca — odezwał się Pablo. — Pomogę wam nieść ten plecak — powiedział do Roberta Jordana. — Drugi dajcie staremu. — Mówił teraz już nie ponuro, ale nieomal smutnie. — Ten stary ma wielką siłę.

— Ja poniosę — odparł Robert Jordan.

— Nie — rzekł stary. — Dajcie temu drugiemu osiłkowi.

— Wezmę go — odpowiedział Pablo, a w jego posępności był jakiś smutek, który zaniepokoił Roberta Jordana. Znal ten smutek i zmartwił się widząc go w tej chwili.

— To dajcie mi karabin — powiedział, a kiedy Pablo mu go podał, zarzucił broń na plecy i ruszył pod górę za obydwoma mężczyznami. Wspięli się z wysiłkiem na granitowy próg, a przelazłszy przez jego krawędź znaleźli się na zielonej polance wśród lasu.

Szli skrajem łączki i Robert Jordan, maszerując teraz swobodnie, bez obciążenia, i czując na plecach przyjemną sztywność karabinu po ugniatającym, wyciskającym pot ciężarze plecaka, zauważył, że trawa jest w kilku miejscach wygryziona, a tu i ówdzie widać na ziemi ślady po kołkach do uwiązywania koni. Spostrzegł też ścieżkę wydeptaną w trawie, tam gdzie prowadzono zwierzęta do wodopoju, a także świeży nawóz kilku koni. Uwiązują je tu na noc, żeby się pasły, a na dzień chowają w lesie — pomyślał. — Ciekawe, ile koni ma ten Pablo?

Przypomniał sobie teraz, iż nie zastanawiając się nad tym zauważył, że spodnie Pabla są wyświecone na kolanach i udach jak lustro. Ciekawy jestem, czy on ma buty, czy też jeździ w tych *alpargatas* — pomyślał. — Musi mieć niezły ekwipunek. Ale nie podoba mi się ten jego smutek — myślał. — To jest niedobre. Taki smutek ogarnia ich zwykle przed dezercją albo zdradą. Taki smutek poprzedza odstępstwo.

Przed nimi, pośród drzew, zarżał koń, a potem, między brunatnymi pniami sosen, w wątłym świetle słonecznym, które przenikało przez ich gęste, niemal stykające się ze sobą korony, dojrzał zagrodę utworzoną przez powiązanie linami pni drzewnych. Konie miały łby zwrócone ku zbliżającym się ludziom, a na zewnątrz zagrody, pod drzewem, leżały jedne na drugich siodła przykryte brezentem.

Kiedy podeszli bliżej, obaj mężczyźni niosący plecaki przystanęli, a Robert Jordan wyczuł, że teraz powinien wyrazić zachwyt dla koni.

— Tak — powiedział. — Piękne konie. — Obrócił się do Pabla.

— Macie tu całą kawalerię.

W zagrodzie było pięć koni: trzy kasztany, jeden gniady i jeden bułany. Rzuciwszy okiem najpierw na wszystkie razem, Robert Jordan przyjrzał się każdemu z osobna, uważnie taksując je wzrokiem. Pablo i Anselmo wiedzieli, co są warte, i podczas gdy Pablo stał patrząc na nie z lubością, pełen dumy i już mniej zasmucony, stary zachowywał się tak, jak gdyby to on sam urządził tu nagle jakąś wielką niespodziankę.

— No i jak wam się widzą? — zapytał.

— Wszystkie je zdobyłem — powiedział Pablo, a Robert Jordan z przyjemnością dosłyszał dumę w jego głosie.

— Ten to kawał konia — odpowiedział Robert Jordan wskazując jednego z kasztanów, rosłego ogiera z białą strzałką na czole i białą lewą przednią nogą.

Był to piękny koń, który wyglądał tak, jak gdyby zstąpił z obrazu Velazqueza.

— Wszystkie są dobre — odparł Pablo. — Znacie się na koniach?

— Tak.

— To lepiej — powiedział Pablo. — Widzicie jakąś wadę w którymś z nich?

Robert Jordan wiedział, że w tej chwili jego papiery sprawdzane są przez człowieka, który nie umie czytać.

Konie wciąż stały z podniesionymi łbami i patrzały na swego pana. Robert Jordan prześliznął się między dwiema linkami ogrodzenia i klepnął bułanego po zadzie. Oparł się plecami o liny i patrzał, jak konie obiegają wkoło zagrodę; przyglądał się im jeszcze chwilę, kiedy stanęły, po czym schylił się i przelazł z powrotem na zewnątrz.

— Gniada kuleje na prawą tylną — powiedział do Pabla nie patrząc na niego. — Ma pęknięte kopyto i chociaż w najbliższym czasie pewnie jej się to nie pogorszy, jeżeli będzie dobrze podkuta, jednak może się wykończyć chodząc dużo po twardym.

— Miała już takie kopyto, kiedyśmy ją wzięli — odrzekł Pablo.

— Najlepszy koń, jakiego macie, ten ogier-kasztan z białą strzałką, ma na górnej części nadpęcia obrzmienie, które mi się nie podoba.

— To głupstwo — odpowiedział Pablo. — Nabił to sobie trzy dni temu. Gdyby coś miało z tego być, już by się okazało.

Ściągnął brezent z siodeł i pokazał je. Były tam dwa zwykłe siodła vaquerów czyli pasterzy, podobne do amerykańskich, jedno bardzo ozdobne siodło vaquera z ręcznie wytłaczanej skóry, o ciężkich strzemionach z ochraniaczami, i dwa czarne, wojskowe.

— Ubiliśmy dwóch *guardia civil* — powiedział Pablo wyjaśniając pochodzenie wojskowych siodeł.

— To gruba zwierzyna.

— Zsiedli z koni na drodze między Segovią i Santa Mara del Real, żeby sprawdzić papiery jakiegoś woźnicy. Udało nam się ich ubić nie raniąc koni.

— Dużo gwardzistów cywilnych zabiliście? — spytał Robert Jordan.

— Kilku — odrzekł Pablo. — Ale tylko tych dwóch bez szkody dla koni.

To Pablo wysadził ten pociąg pod Arevalo — odezwał się Anselmo. — To była robota Pabla.

— Był tam z nami jeden cudzoziemiec, który zrobił wybuch — powiedział Pablo. — Znacie go?

— Jak się nazywał?

— Nie pamiętam. Miał wielce osobliwe nazwisko.

— A jak wyglądał?

— Był jasnowłosy, jako i wy, ale nie taki wysoki, miał duże ręce i złamany nos.

— Kaszkin — powiedział Robert Jordan. — To musiał być Kaszkin.

— Tak — odpowiedział Pablo. — Bardzo osobliwe nazwisko. Coś takiego. Co się z nim stało?

— Nie żyje od kwietnia.

— Tak dzieje się ze wszystkimi — rzekł ponuro Pablo. — Tak skończy każdy z nas.

— Tak kończą wszyscy ludzie — powiedział Anselmo. — Zawsze w ten sposób kończyli. Co z tobą, człowieku? Co masz na wątrobie?

— Tamci są bardzo silni — odparł Pablo. Mówił jakby sam do siebie. Spojrzał ponuro na konie. — Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jacy silni. Widzę, jak ciągle

rosną w siłę, jak są coraz lepiej uzbrojeni. Wciąż im przybywa sprzętu. A ja tu siedzę z takimi końmi i czego się mogę spodziewać? Że będą mnie tropić i że zginę. Nic więcej.

— Tak samo ty ich tropisz, jak oni ciebie — powiedział Anselmo.

— Nie — odparł Pablo. — Teraz już nie. A jeżeli wyniesiemy się z tych gór, to dokąd pójdziemy? Odpowiedzcie mi. No dokąd?

— W Hiszpanii jest dużo gór. Jeżeli trzeba będzie stąd odejść, mamy Sierra de Gredos.

— To nie dla mnie — powiedział Pablo. — Dość mam tego ciągłego ścigania. Tutaj nam dobrze. A jak teraz wysadzicie tu most, tamci będą nas ścigać. Jeżeli zwiedzą się, że tu jesteśmy, i zaczną nas szukać samolotami, to i znajdą. Jeżeli przyślą Maurów, żeby nas przepędzić, to znajdą nas i będziemy musieli uciekać. Dość mam tego wszystkiego. Słyszycie? — Obrócił się do Roberta Jordana. — Jakim prawem wy, cudzoziemiec, przychodzicie do mnie i mówicie, co mam robić?

— Wcale wam nie mówiłem, co macie robić — odparł Robert Jordan.

— Ale powiecie — rzekł Pablo. — O tu, tu jest zło.

Pokazał oba ciężkie plecaki, które złożyli na ziemi, kiedy oglądali konie. Na widok koni najwyraźniej wezbrała w nim cała gorycz, a fakt, że Robert Jordan znał się na koniach, rozwiązał mu język. Wszyscy trzej stali przy zagrodzie, a na sierści kasztanowatego ogiera lśniły plamy słońca. Pablo spojrzał na niego, a potem trącił nogą plecak.

— Tu jest zło.

— Przychodzę tylko spełnić swój obowiązek — powiedział Robert Jordan. — Przychodzę z rozkazu tych, którzy prowadzą wojnę. Jeżeli was poproszę o pomoc, możecie odmówić, a wtedy znajdę sobie innych, którzy mi pomogą. Jeszcze was nawet nic prosiłem o pomoc. Muszę zrobić to, co mi rozkazano, i mogę was zapewnić, że sprawa jest ważna. Nie moja wina, że jestem cudzoziemcem. Wolałbym urodzić się tutaj.

— Dla mnie teraz najważniejsze jest, żeby nas nie niepokoili — rzeki Pablo. — Mam obowiązki wobec tych, co są ze mną, i wobec siebie samego.

— Tak. Wobec siebie samego — powiedział Anselmo. — Od dawna już wobec siebie samego. Siebie i swoich koni. Pókiś nie miał koni, byłeś z nami. Teraz jesteś jeszcze jeden kapitalista.

— To niesprawiedliwe — odparł Pablo. — Ciągle narażam konie dla sprawy.

— Bardzo niewiele — powiedział drwiąco Anselmo. — Bardzo niewiele moim zdaniem. Kraść, tak. Dobrze zjeść, tak. Mordować, tak. Ale walczyć — nie.

— Z was jest stary człowiek, który narobi sobie biedy swoim językiem.

— Ze mnie jest stary człowiek, który się nikogo nie boi — odpowiedział Anselmo. — I taki, co nie ma koni.

— Wyście taki stary, co może długo nie pożyć.

— Ja taki stary, co będzie żył aż do śmierci — odparł Anselmo. — A lisów się nie boję.

Pablo nie powiedział nic, tylko dźwignął plecak.

— Wilków też nie — dodał Anselmo podnosząc drugi plecak.

— Jeżeliś wilkiem.

— Zamknij się — rzekł Pablo. — Tyś taki stary, co zawsze za dużo gada.

— I zrobi wszystko, co zapowiedział — odparł Anselmo przygięty pod plecakiem. — A teraz jest głodny. I spragniony. Idź, partyzancki wodzu o smutnej twarzy. Prowadź nas tam, gdzie będzie coś do zjedzenia.

Zaczyna się nie najlepiej — pomyślał Robert Jordan. — Ale Anselmo to mężczyzna. Ci ludzie, jeżeli już są dobrzy, potrafią być wspaniali — myślał. — Nie ma narodu, który byłby im wtedy równy, ale jak stają się źli, nie ma narodu gorszego od nich. Anselmo musiał wiedzieć, co robi, kiedy mnie tu prowadził. Ale to mi się nie podoba. Nie podoba mi się ani trochę.

Jedynym dobrym znakiem był fakt, że Pablo niósł plecak i że oddał karabin. Może on zawsze jest taki — myślał Robert Jordan.

— Może to po prostu ponurak.

Nie — powiedział sobie w duchu. — Nie łudź się. Nie wiesz, jaki był przedtem, ale widzisz, że szybko się psuje i wcale tego nie ukrywa. Kiedy zacznie ukrywać, będzie to znak, że powziął decyzję. Pamiętaj — powiedział sobie. — Jak zrobi pierwszy przyjazny krok, będzie to świadczyło, że się zdecydował. Ale te konie są naprawdę doskonałe — pomyślał. — Piękne konie. Ciekaw jestem, co mogłoby wzbudzić we mnie takie uczucia, jak one w tym Pablu. Stary miał rację. Konie uczyniły go bogatym, a gdy tylko stał się bogaty, zachciało mu się korzystać z życia. Pewnie niedługo będzie mu

żal, że nie może zapisać się do „Jockey Clubu" — pomyślał. — *Pauvre Pablo. Il a manqué son Jackey*[1].

Ta myśl go rozweseliła. Uśmiechnął się spojrzawszy na dwa przygięte grzbiety i wielkie plecaki posuwające się przed nim między drzewami. Przez cały dzień nie żartował sobie w duchu, i teraz, kiedy to zrobił, poczuł się znacznie raźniej. Stajesz się podobny do nich wszystkich — pomyślał. — Robisz się ponury. Wobec Golza był niewątpliwie ponury i uroczysty. Otrzymane zadanie trochę go przytłoczyło. Z lekka przytłoczyło — pomyślał. — Mocno przytłoczyło. Golz był wesół i chciał go też rozweselić przed odjazdem, ale to mu się nie udało.

Jak się nad tym zastanowić, to właściwie wszyscy najlepsi są weseli. Znacznie lepiej jest być wesołym, a poza tym to o czymś świadczy. To jest coś w rodzaju osiągnięcia nieśmiertelności za życia. Bardzo skomplikowana myśl. Tylko że już ich niewielu zostało. Nie, nie zostało wielu tych wesołych. Diablo ich mało. A jeżeli będziesz dalej tak rozmyślał, mój chłopcze, to i ty się nie ostaniesz. Przykręć teraz swoje myślenie, mój stary. W tej chwili jesteś wysadzaczem mostów, nie myślicielem. Ależ ja jestem głodny — pomyślał. — Mam nadzieję, że Pablo dobrze jada.

[1] … (fr.) – Biedny Pablo, nie udało mu się z tym dżokejem.

II

Przez gęsty las doszli do nieckowatego, górnego krańca małej doliny i pod skalną ścianą, która wyrosła przed nimi między drzewami, zobaczył miejsce, gdzie musiał być obóz.

Był tam istotnie obóz i to dobry. Nie można było go wypatrzyć, dopóki nie podeszło się blisko, i Robert Jordan zauważył, że nie sposób go dojrzeć i z powietrza. Z góry nie mogło być nic widać. Był równie dobrze ukryty jak legowisko niedźwiedzia. Ale wydawał się teraz niewiele lepiej strzeżony. Jordan podchodząc przyglądał mu się uważnie.

W skalnej ścianie znajdowała się duża jaskinia, a obok jej otworu siedział plecami do skały jakiś mężczyzna; nogi miał wyciągnięte przed siebie, a jego karabin stał oparty o głazy. Mężczyzna strugał nożem kij; gdy się zbliżyli, podniósł na nich wzrok, po czym wrócił do swojego zajęcia.

— *Hola* — odezwał się. Co to tu idzie?

— Stary i jeden dynamitard — odpowiedział mu Pablo i opuścił plecak na ziemię u wejścia do jaskini. Anselmo także zdjął plecak, a Robert Jordan ściągnął z ramienia karabin i oparł go o skałę.

— Nie kładźcie tego tak blisko jaskini — powiedział strugający mężczyzna, który miał niebieskie oczy i smagłą, przystojną, gnuśną twarz cygańską, o barwie wyprawionej skóry. — Tam w środku pali się ogień.

— Wstań i sam to stąd odnieś — rzekł Pablo. — Połóż pod tamtym drzewem.

Cygan nie ruszył się, tylko powiedział coś niecenzuralnego, po czym dodał leniwie:

— Zostaw to tutaj. I wysadź się w powietrze. To cię wyleczy z twoich dolegliwości.

— Co to robicie? — zapytał Robert Jordan siadając obok Cygana. Tamten pokazał mu. Był to potrzask w kształcie cyfry 4 i Cygan właśnie strugał jego poprzeczkę.

— Na lisy — powiedział. — Z takim klocem, co spada i przetrąca im krzyże. — Wyszczerzył zęby do Jordana. — O tak, widzicie? — Uczynił ruch, który wyobrażał zapadanie się ramy potrzasku i uderzenie kloca, potem potrząsnął głową, zgiął rękę i

rozłożył ramiona naśladując lisa z przetrąconym krzyżem. — Bardzo praktyczne — wyjaśnił.

— On łapie króliki — odezwał się Anselmo. — To Cygan. Więc jeśli łapie króliki, gada, że lisy. Gdyby złapał lisa, powiedziałby, że to słoń.

— A jakbym złapał słonia? — zapytał Cygan znów ukazując białe zęby i mrugając do Roberta Jordana.

— Powiedziałbyś, że to czołg — odparł Anselmo.

— Jeszcze złapię i czołg — rzekł Cygan. — Jeszcze złapię czołg. A wy wtedy powiecie, co wam się żywnie podoba.

— Cygany dużo mówią, a mało zabijają — odpowiedział mu Anselmo.

Cygan znów mrugnął do Roberta Jordana i wziął się do strugania.

Pablo zniknął we wnętrzu jaskini. Robert Jordan miał niejaką nadzieję, że poszedł po jedzenie. Usiadł na ziemi obok Cygana czując na wyciągniętych nogach ciepło popołudniowego słońca, które przenikało przez korony drzew. Z jaskini dolatywał zapach jedzenia, woń oliwy, cebuli i smażonego mięsa, i Jordanowi kiszki skręcały się z głodu.

— Możemy złapać czołg — powiedział do Cygana. — To nie takie trudne.

— Tym? — wskazał Cygan plecaki.

— Tak — odrzekł Robert Jordan. — Nauczę was. Zrobi się potrzask. Nie trudno.

— Wy i ja?

— Jasne — powiedział Robert Jordan. — Czemu nie?

— Hej! — zawołał Cygan do Anselma. — Przenieście te plecaki w bezpieczne miejsce, dobrze? To cenna rzecz.

Anselmo coś mruknął. — Idę po wino — powiedział do Roberta Jordana. Ten wstał, przeniósł plecaki dalej od wylotu jaskini i oparł je z obu stron o pień drzewa. Wiedział, co w nich jest, i nie lubił, jak leżały za blisko siebie.

— Przynieście kubek i dla mnie — poprosił Cygan.

— Macie tu wino? — zapytał Robert Jordan siadając znów obok niego.

— Wino? Czemu nie? Cały bukłak. W każdym razie połowę.

— A co jest do jedzenia?

— Wszystko, człowieku — odrzekł Cygan. — Jadamy tu jak generały.

— Co robią Cyganie na wojnie?

— Dalej są Cyganami.

— To dobre zajęcie.

— Najlepsze — odrzekł Cygan. — Jak cię zwą?

— Roberto. A ciebie?

— Rafael. A z tym czołgiem to poważnie?

— Jasne. Dlaczego by nie?

Z jaskini wyszedł Anselmo z głęboką kamionkową misą, pełną czerwonego wina, i trzema kubkami, które niósł nanizane za ucha na palce.

— Patrzajcie — powiedział. — Mają tu kubki, i wszystko, co trzeba.

Za nim ukazał się Pablo.

— Zaraz będzie jedzenie — oznajmił. — Macie tytoń?

Robert Jordan podszedł do plecaków, otworzył jeden z nich, pomacał w jego wewnętrznej kieszeni i wyjął płaskie pudełko rosyjskich papierosów z zapasu, który dostał w kwaterze Golza. Przesunął wzdłuż krawędzi paznokciem dużego palca, otworzył i poczęstował Pabla, który wziął sobie kilka sztuk. Trzymając je w swej wielkiej garści, wyciągnął jednego i przyjrzał mu się pod światło. Były to długie, cienkie papierosy z kartonowymi ustnikami.

— Dużo powietrza, a mało tytoniu — powiedział Pablo. — Ja te znam. Miał je tamten o osobliwym nazwisku.

— Kaszkin — rzekł Robert Jordan i poczęstował papierosami Cygana i Anselma, którzy wzięli po jednym.

— Weźcie więcej — powiedział, a oni dobrali po papierosie. Dodał im jeszcze po cztery, oni zaś, na znak podziękowania, dwukrotnie skinęli trzymanymi w dłoni papierosami opuszczając w dół ich końce jak przy salutowaniu szablą.

— Tak — rzekł Pablo. — To było osobliwe nazwisko.

— Macie wino. — Anselmo zanurzył kubek w misie i podał Robertowi Jordanowi, po czym nabrał dla siebie i dla Cygana.

— A dla mnie nie ma wina? — zapytał Pablo. Siedzieli wszyscy razem u wejścia do jaskini.

Anselmo oddał mu swój kubek i wszedł do środka po drugi. Wróciwszy pochylił się nad misą, nabrał wina, po czym wszyscy trącili się kubkami.

Wino było dobre, miało lekki żywiczny posmak od bukłaka, ale po języku spływało wybornie, gładko i czysto. Robert Jordan popijał je z wolna, czując jak ciepło przenika przez jego zmęczenie.

— Zaraz nam dadzą jeść — powiedział Pablo. — A ten cudzoziemiec o osobliwym nazwisku, to jak on umarł?

— Wzięli go i odebrał sobie życie.

— Jak to się zdarzyło?

— Był ranny i nie chciał dostać się do niewoli.

— Ale jak to było dokładnie?

— Nie wiem — skłamał Robert Jordan. Znał doskonale szczegóły, ale wiedział, że teraz nie byłoby dobrze o nich mówić.

— Przykazał nam obiecać, że go zastrzelimy, jeżeli zostanie ranny w tamtej sprawie z pociągiem i nie będzie mógł uciekać — rzekł Pablo. — Bardzo osobliwie gadał.

Już wtedy musiał mieć pietra — pomyślał Robert Jordan. — Biedny stary Kaszkin.

— Miał uprzedzenie do samobójstwa — ciągnął Pablo. — Powiadał mi o tym. A także wielkiego stracha, że będą go torturowali.

— I o tym też wam mówił? — zapytał Robert Jordan.

— Tak — wtrącił Cygan. — Wszystkim nam powiadał takie rzeczy.

— To wyście też byli przy pociągu?

— Tak. Wszyscyśmy byli.

— Wielce osobliwie mówił — rzekł Pablo. — Ale był bardzo dzielny.

Biedny, poczciwy Kaszkin — myślał Robert Jordan. — Musiał tu robić więcej złego niż dobrego. Szkoda, że nie wiedziałem, że już wtedy był tak zestrachany. Powinni go byli stąd odwołać. Nie można do takiej roboty używać ludzi, którzy mówią w ten sposób. Tak mówić nie wolno. Nawet jeżeli wykonają zadanie, robią więcej złego niż dobrego gadając takie rzeczy.

— Był trochę dziwny — powiedział. — Myślę, że odrobinę narwany.

— Ale ogromnie zmyślny do wybuchów — rzekł Cygan. — I bardzo dzielny.

— Ale narwany — powtórzył Robert Jordan. — Do tego trzeba mieć kawał głowy i dużo zimnej krwi. Nie można gadać w ten sposób.

— A wy? — odezwał się Pablo. — Jeżeli będziecie ranni w takiej sprawie, jak ta z mostem, to zgodzicie się, żeby was zostawić?

— Słuchajcie — odparł Robert Jordan i pochyliwszy się nabrał sobie jeszcze kubek wina. — Posłuchajcie mnie uważnie. Jeżeli bym miał kiedykolwiek prosić kogoś o jakąś drobną przysługę, to powiem mu w odpowiednim czasie.

— Pięknie! — powiedział z uznaniem Cygan. — Tak gadają porządni ludzie. No, nareszcie idzie jedzenie.

— Tyś już jadł — rzekł Pablo.

— Mogę zjeść dwa razy tyle — odparł Cygan. — Patrzajcie, kto to niesie.

Dziewczyna, która niosła duży żelazny półmisek kuchenny, schyliła się wychodząc z jaskini i Robert Jordan ujrzał w skrócie jej twarz, a jednocześnie spostrzegł to, co w niej było niezwykłe. Uśmiechnęła się, powiedziała: „Hola, towarzyszu", a Robert Jordan odrzekł: „Salud" uważając, by nie wpatrywać się w nią, ale i nie odwracać wzroku. Postawiła przed nim płaski żelazny półmisek i wtedy zauważył, że ma ładne, smagłe ręce. Teraz spojrzała mu prosto w twarz i uśmiechnęła się. Zęby bielały w jej śniadej twarzy, a oczy miały ten sam złotopłowy odcień, co ciało. Miała wystające kości policzkowe, wesołe oczy i prosto zarysowane usta o pełnych wargach. Jej włosy złocistobrunatnej barwy spalonego przez słońce żyta były krótko przystrzyżone na całej głowie, niewiele dłuższe niż futerko bobra. Uśmiechnęła się patrząc na Jordana, podniosła smagłą rękę i przesunęła nią po głowie przygładzając włosy, które zaraz podniosły się na powrót. Ma piękną twarz — pomyślał Robert Jordan. — Byłaby piękna, gdyby jej nie ostrzygli.

— W ten sposób się czeszę — powiedziała do Roberta Jordana i roześmiała się. — No, jedzcie. Nie patrzcie tak na mnie. Tak mi ostrzygli włosy w Valladolid. Już teraz prawie odrosły.

Usiadła naprzeciw i przyjrzała mu się. Popatrzył na nią, a ona uśmiechnęła się i zaplotła dłonie na kolanach. Gdy tak siedziała obejmując kolana, widział jej długie, zgrabne nogi, wysunięte z mankietów spodni, i zarys drobnych, jędrnych piersi pod szarą koszulą. Ilekroć na nią spojrzał, czuł ucisk w gardle.

— Talerzy nie ma — powiedział Anselmo. — Jedzcie swoim nożem.

Dziewczyna oparła o krawędź żelaznego półmiska cztery widelce zębami w dół.

Jedli prosto z półmiska nie mówiąc nic, zgodnie z hiszpańskim obyczajem. Dano im królika ugotowanego z cebulą i pieprzem tureckim, a w sosie z czerwonego

wina pływał drobny groszek. Jedzenie było smacznie przyrządzone, sos doskonały, a mięso królika łatwo odchodziło od kości. Robert Jordan jedząc wypił jeszcze kubek wina. Dziewczyna przyglądała mu się przez cały czas. Wszyscy pozostali byli zajęci jedzeniem. Robert Jordan wytarł kawałkiem chleba resztki sosu ze swojej części półmiska, odsunął na bok kości, zebrał sos z miejsca, gdzie leżały, otarł do czysta chlebem widelec, potem nóż, który schował do kieszeni, i wreszcie zjadł chleb. Pochylił się i nabrał pełen kubek wina; dziewczyna obserwowała go ciągle.

Wypił pół kubka, ale kiedy odezwał się do dziewczyny, ucisk w gardle powrócił znowu.

— Jak cię zwą? — zapytał.

Pablo usłyszawszy ton jego głosu rzucił mu szybkie spojrzenie. Potem wstał i odszedł.

— Maria. A ciebie?

— Roberto. Dawno jesteś w tych górach?

— Od trzech miesięcy.

— Od trzech miesięcy? — Popatrzył na jej włosy, które były gęste i krótkie, i kiedy teraz z zakłopotaniem przesunęła po nich dłonią, położyły się i podniosły niby falujący od wiatru łan żyta na stoku wzgórza.

— Ogolili mi je —powiedziała. — Golili je regularnie w więzieniu w Valladolid. Trzeba było trzech miesięcy, żeby na tyle odrosły. Ja byłam w tamtym pociągu. Wieźli mnie na południe. Po wysadzeniu pociągu połapali wielu więźniów, ale mnie nie. Przyszłam tu z tymi.

— Znalazłem ją ukrytą między skalami — powiedział Cygan.

— Jakeśmy już odchodzili. Człowieku, ale ona była paskudna! Zabraliśmy ją z sobą, ale kilka razy już myślałem, że trzeba ją będzie zostawić.

— A ten, co z nimi był przy pociągu? — spytała Maria. — Ten drugi z jasnymi włosami, cudzoziemiec. Gdzie on jest?

— Zginął — odrzekł Robert Jordan. — W kwietniu.

— W kwietniu? Przecież pociąg był w kwietniu.

— Tak — odparł Robert Jordan. — Zginął w dziesięć dni po pociągu.

— Biedny — powiedziała. — Bardzo był dzielny. A wy robicie to samo co on?

— Tak.

— I też robiliście pociągi?

— Tak. Trzy.

— Tutaj?

— W Estremadurze — odpowiedział. — Przed przyjściem tutaj byłem w Estremadurze. Tam się dużo robi. Wielu z nas pracuje w Estremadurze.

— A dlaczego teraz przyszliście w te góry?

— Na miejsce tamtego drugiego z jasnymi włosami. Poza tym znam te strony jeszcze sprzed ruchu.

— Znacie je dobrze?

— Nie, właściwie nie bardzo. Ale szybko się uczę. Mam dobrą mapę i dobrego przewodnika.

— Starego — kiwnęła głową. — Stary jest bardzo dobry.

— Dziękuję — odezwał się Anselmo, a Robert Jordan nagle uprzytomnił sobie, że nie jest sam na sam z dziewczyną, i że trudno mu na nią patrzeć, bo przez to jego głos tak się zmienia. Łamał drugą z dwóch zasad zgodnego współżycia z ludźmi mówiącymi po hiszpańsku: mężczyzn częstować tytoniem, a kobiety zostawiać w spokoju — i nagle uświadomił sobie, że wcale się tym nie przejmuje. Tyle było rzeczy, którymi musiał się nie przejmować, więc dlaczego miałby przejmować się właśnie tym?

— Macie bardzo piękną twarz — powiedział do Marii. — Szkoda, że nie udało mi się zobaczyć was przed obcięciem włosów.

— Odrosną — odparła. — Za sześć miesięcy będą już całkiem długie.

— Trzeba wam było ją widzieć, kiedyśmy przyprowadzili ją z pociągu. Taka była szpetna, że człowiekowi niedobrze się robiło.

— Wy jesteście czyją kobietą? — zapytał Robert Jordan starając się otrząsnąć z wrażenia. — Pabla?

Spojrzała na niego, roześmiała się i klepnęła go po kolanie.

— Pabla? A widzieliście Pabla?

— No to Rafaela. Rafaela widziałem.

— Rafaela też nie.

— Niczyja — wtrącił Cygan. — To bardzo dziwna kobieta. Niczyja jest. Ale dobrze gotuje.

— Naprawdę niczyja? — zapytał jej Robert Jordan.

— Niczyja. Zupełnie niczyja. Ani na żarty, ani na serio. I twoja też nie.

— Nie? — powiedział Robert Jordan i znowu poczuł ten ucisk w gardle. — To dobrze. Ja nie mam czasu na kobiety. Naprawdę.

— Nawet piętnastu minut? — zapytał żartobliwie Cygan. — Nawet kwadransa?

Robert Jordan nie odpowiedział. Patrzał na tę dziewczynę, Marię, i czuł taki ucisk w gardle, że nie miał odwagi się odezwać.

Maria spojrzała na niego i roześmiała się, a potem nagle zarumieniła, ale nie odwróciła wzroku.

— Zaczerwieniliście się — powiedział Robert Jordan. — Często się czerwienicie?

— Nigdy.

— A teraz tak.

— To idę do jaskini.

— Zostań tu, Maria.

— Nie — powiedziała już bez uśmiechu. — Teraz pójdę do jaskini.

Zebrała cztery widelce i żelazny półmisek, z którego jedli. Poruszała się nieporadnie jak źrebię, ale i z wdziękiem młodego zwierzęcia.

— Zostawić wam kubki?

Robert Jordan ciągle się w nią wpatrywał, a ona zaczerwieniła się znowu.

— Nie zmuszajcie mnie do tego — powiedziała. — Nie lubię jak mi się to robi.

— Zostaw kubki — powiedział Cygan. — Macie — zanurzył kubek w kamiennej misie i podał pełen Robertowi Jordanowi, który patrzał, jak dziewczyna pochyliwszy głowę wchodzi do jaskini niosąc ciężki żelazny półmisek.

— Dziękuję — powiedział Robert Jordan. Teraz, kiedy zniknęła, głos jego był znowu normalny. — To już ostatni. Dosyć wypiliśmy.

— Dokończymy tej miski — odparł Cygan. — Jest jeszcze przeszło pół bukłaka. Przywieźliśmy go na jednym z koni.

— To była ostatnia wyprawa Pabla — powiedział Anselmo. — Od tamtej pory nic nie robi.

— Ilu was jest? — zapytał Robert Jordan.

— Siedmiu i dwie kobiety.

— Dwie?

— Tak. Jest jeszcze *mujer*[2] Pabla.

— Gdzie ona?

— W jaskini. Dziewczyna umie trochę gotować. Powiedziałem, że dobrze gotuje, aby jej zrobić przyjemność. Ale głównie pomaga tej *mujer* Pabla.

— A jaka ona jest, ta *mujer* Pabla?

— Coś barbarzyńskiego — wyszczerzył zęby Cygan. — Coś strasznie barbarzyńskiego. Jeżeli wam się zdaje, że Pablo jest szpetny, powinniście zobaczyć jego kobietę. Ale jest dzielna. Sto razy dzielniejsza od Pabla. Tylko że coś barbarzyńskiego.

— Pablo na początku był dzielny — odezwał się Anselmo. — Pablo na początku to było coś poważnego.

— Zabił więcej ludzi niż cholera — rzeki Cygan. — Na początku ruchu Pablo zabił więcej ludzi niż tyfus.

— Ale od dawna jest *muy flojo* — ciągnął Anselmo. — Mocno sflaczały. Ogromnie się boi śmierci.

— Pewnie dlatego, że tylu zabił na początku — powiedział filozoficznie Cygan. — Pablo zabił ich więcej niż dżuma.

— Dlatego, a także przez bogactwo — dodał Anselmo. — Poza tym dużo pije. Teraz chciałby się wycofać jak matador *de toros*. Jak toreador. Ale nie może się wycofać.

— Jeżeli przejdzie na tamtą stronę frontu, zabiorą mu konie i wezmą go do wojska — powiedział Cygan. — Ja też nie mam zamiłowania do wojska.

— Jak każdy Cygan — dorzucił Anselmo.

— Dlaczego miałbym mieć? — zapytał tamten. — Kto by chciał być w wojsku? Na to robimy rewolucję, żeby służyć w wojsku? Do walki jestem ochotny, ale do wojska nie.

— A gdzie jest reszta? — zapytał Robert Jordan. Było mu teraz dobrze i sennie po winie, i leżąc na wznak na leśnej ziemi widział między wierzchołkami drzew małe, popołudniowe, górskie obłoczki, sunące z wolna po wysokim hiszpańskim niebie.

— Dwóch śpi w jaskini — odpowiedział Cygan. — Dwóch stoi na straży tam wyżej, gdzie mamy broń. Jeden pilnuje na dole. Wszyscy pewnie śpią.

---

[2] *Mujer* (hiszp.) – kobieta.

Robert Jordan przekręcił się na bok.

— A co to za broń?

— Ma wielce osobliwą nazwę — odrzekł Cygan. — Akuratnie mi wyleciała z głowy. To jest broń maszynowa.

— Pewnie erkaem — pomyślał Robert Jordan.

— Ile waży? — zapytał.

— Jeden może ją unieść, ale jest ciężka. Ma trzy składane nogi. Wzięliśmy ją na ostatniej większej wyprawie. Tej przed winem.

— Ile macie do niej amunicji?

— Nieskończoność — odpowiedział Cygan. — Całą skrzynkę niewiarygodnej ciężkości.

Wygląda na to, że z pięćset sztuk — pomyślał Robert Jordan.

— Czy ona się ładuje z bębna, czy z taśmy?

— Z okrągłych żelaznych puszek na wierzchu. Psiakrew, to musi być Lewis — pomyślał Robert Jordan.

— A wy się trochę znacie na broni maszynowej? — zapytał starego.

— *Nada* — odrzekł Anselmo. — Nie.

— A ty? — zwrócił się do Cygana.

— Wiem, że strzela z ogromną szybkością i tak się rozgrzewa, że lufa parzy w rękę, jak się jej dotknie — odpowiedział z dumą Cygan.

— Każdy tyle wie — rzucił pogardliwie Anselmo.

— Możliwe — rzekł Cygan. — Ale on chciał usłyszeć, co wiem o máquinie[3], więcem mu powiedział. — Po chwili dodał: — Poza tym, w odróżnieniu od zwykłych karabinów, strzela póty, póki wywiera się nacisk na spust.

— Jeżeli się nie zatnie, nie wystrzela całej amunicji albo nie rozgrzeje tak, że zaczyna się topić — powiedział Robert Jordan po angielsku.

— Co mówicie? — zapytał Anselmo.

— Nic — odpowiedział Robert Jordan. — Po prostu zaglądałem w przyszłość po angielsku.

— To dopiero coś prawdziwie osobliwego, zaglądać w przyszłość *in ingles* — powiedział Cygan. — Umiecie czytać z ręki?

[3] máguina (hiszp.) – maszyna; tutaj: karabin maszynowy

— Nie — odrzekł Robert Jordan i znowu nabrał w kubek wina. — Ale jeżeli ty umiesz, chciałbym, żebyś odczytał z mojej ręki, co się stanie w ciągu najbliższych trzech dni.

— *Mujer* Pabla czyta z ręki — odparł Cygan. — Ale jest taka jędza i tyle ma w sobie barbarzyńskości, że nie wiem, czy będzie chciała.

Robert Jordan podniósł się na łokciu i wypił łyk wina.

— Chodźmy do tej *mujer* Pabla — powiedział. — Jeżeli jest taka straszna, lepiej mieć to za sobą.

— Ja wolę jej nie niepokoić — odrzekł Rafael. — Ma do mnie wielką nienawiść.

— Dlaczego?

— Bo mnie uważa za nieroba.

— Co za niesprawiedliwość — zadrwił Anselmo.

— Przeciwna jest Cyganom.

— Co za błąd! — powiedział Anselmo.

— Sama ma krew cygańską — ciągnął Rafael — więc wie, co mówi. — Wyszczerzył zęby. — Ale ma język, który parzy i tnie jako bicz na byki. Tym swoim językiem każdego obłupi ze skóry. Paseczkami. Jest w niej niewiarygodne barbarzyństwo.

— A jak się odnosi do tej dziewczyny, Marii? — zapytał Robert Jordan.

— Dobrze. Lubi ją. Ale niechby się ktoś serio do niej zabrał... — Pokiwał głową i cmoknął językiem.

— Bardzo jest dobra dla dziewczyny — wtrącił Anselmo. — I bardzo o nią dba.

— Ta dziewczyna była ogromnie dziwna, kiedyśmy ją znaleźli przy pociągu — ciągnął Rafael. — Nie chciała nic mówić, tylko płakała i płakała, a jak ją ktoś tknął, trzęsła się niczym zmokły pies. Dopiero ostatnio jej się poprawiło. Ostatnio jest z nią o wiele lepiej. Dziś była w dobrym usposobieniu. Choćby przed chwilą, jak do was gadała, była wesoła. Po tym pociągu o mało jej nie zostawiliśmy. Bo przecież nie warto było tracić czasu na coś tak smutnego, brzydkiego i z pozoru całkiem bezużytecznego. Ale stara obwiązała ją linką i kiedy dziewczynie zdawało się, że dalej nie ujdzie, biła ją końcem tej linki i popędzała naprzód. A potem, jak już naprawdę nie mogła iść, stara wzięła ją na plecy. Kiedy zabrakło jej sił, poniosłem dziewczynę ja. Wchodziliśmy na zbocze, po piersi we wrzosach i janowcach. A kiedy i ja nie mogłem dłużej jej nieść, wziął ją Pablo. Ale co ta stara musiała się nagadać, żeby nas do tego zmusić! —

Potrząsnął głową na samo wspomnienie. — Prawda, że dziewczyna jest długa w nogach, ale nie ciężka. Kości ma lekkie i mało waży. Tylko że ważyła dosyć, kiedy trzeba było ją taszczyć, przystawać, strzelać, a potem znowu ją dźwigać. Stara okładała Pabla linką i niosła jego karabin, wtykała mu go w garść, kiedy kładliśmy dziewczynę na ziemi, a potem zmuszała, żeby ją znowu podniósł, ładowała mu broń i klęła. Wyciągała naboje z sakw, wpychała do magazynka i wciąż go przeklinała. Wtedy zaczęło się na dobre ściemniać i jak przyszła noc, wszystko już było w porządku. Ale nasze szczęście, że tamci nie mieli kawalerii.

— Ciężko musiało być przy tym pociągu — powiedział Anselmo. — Ja tam nie byłem — wyjaśnił Robertowi Jordanowi. — Robiła to banda Pabla i El Sorda, z którym się dziś wieczorem zobaczymy, i jeszcze dwie inne bandy z tych gór. Ja wtedy poszedłem na drugą stronę frontu.

— I jeszcze tam był ten jasnowłosy o osobliwym nazwisku — dorzucił Cygan.

— Kaszkin.

— Tak. To jest nazwisko, którego ani rusz nie mogę zapamiętać. Mieliśmy tam dwóch z maszynką. Ich też przysłało wojsko. Nie mogli zabrać swojej broni i stracili ją. A przecież nie ważyła więcej niż dziewczyna i gdyby nasza stara nad nimi stała, pewnie by tę maszynkę wynieśli. — Potrząsnął głową na to wspomnienie, a potem ciągnął: — Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego jak wtedy, gdy się zrobił ten wybuch. Pociąg nadjeżdżał powoli. Widzieliśmy go z daleka. A we mnie było takie ogromne podniecenie, że nie potrafię powiedzieć. Widzieliśmy dym z lokomotywy, a później usłyszeliśmy gwizdek. Pociąg nadjeżdżał czu — czu — czu — czu — czu — czu, robił się coraz większy i większy, i naraz jak nie wybuchnie! Przednie koła lokomotywy zadarły się w górę, a cała ziemia jakby się z hukiem uniosła w wielkiej chmurze czarności. Lokomotywa wyleciała wysoko w obłoku piachu pełnym fruwających jak we śnie drewnianych podkładów, a potem zwaliła się na bok jak wielkie, ranione zwierzę. Zanim grudy z wybuchu przestały na nas opadać, buchnęła biała para, a *máquina* zaczęła gadać ta — tat — tat — ta! — ciągnął Cygan wysuwając przed siebie zaciśnięte pięści z podniesionymi kciukami i potrząsając nimi, jak gdyby przytrzymywały urojony karabin maszynowy. — Ta! Ta! Tat! Tat! Tat! Ta! — miotał się w uniesieniu. — Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. Żołnierze uciekali z pociągu, *máquina* gadała w nich, a oni padali. Wtedy właśnie, w tym podnieceniu, położyłem rękę na *máquinie* i poczułem, że lufa parzy, i w tej chwili stara trzepnęła mnie z boku w gębę i powiedziała: „Strzelaj, durniu! Strzelaj, bo ci mózg do łba

wkopię!" Więc znów zacząłem strzelać, ale trudno mi było utrzymać równo broń, a żołnierze wbiegali już na wzgórze po drugiej stronie toru. Potem, kiedyśmy podeszli do pociągu, żeby zobaczyć, co da się zabrać, jakiś oficer pistoletem napędził na nas żołnierzy. Ciągle wymachiwał tym pistoletem i wrzeszczał na nich, a my wszyscy strzelaliśmy do niego, ale jakoś nikt nie trafił. Później tamci położyli się i też zaczęli grzać, a oficer chodził za nimi z pistoletem tam i z powrotem, ale wciąż nie mogliśmy go trafić, a *máquina* nie mogła w niego strzelać, bo go zasłaniał pociąg. Ten oficer zastrzelił wtedy dwóch leżących żołnierzy, ale reszta i tak nie chciała się poderwać, więc ich klął i w końcu zaczęli wstawać po jednym, po dwóch, po trzech i biegiem pognali na nas i na pociąg. Potem znów padli i strzelali. W końcu odeszliśmy, a *máquina* gadała nad nami. Wtedy właśnie znalazłem dziewczynę pod skałą, tam gdzie uciekła z pociągu, i zabraliśmy ją z sobą. Tamci żołnierze gonili nas aż do nocy.

— To musiało być bardzo ciężkie — powiedział Anselmo. — I bardzo przejmujące.

— Jedyna dobra rzecz, jaką zrobiliśmy — odezwał sig czyjś niski glos. — A teraz co robisz, ty leniwy, pijany, spirośny, plugawy synu plugawej, niezamężnej cygańskiej sprośności? Co robisz?

Robert Jordan ujrzał kobietę około pięćdziesiątki, niemal tak tęgą jak Pablo, prawie równie rozłożystą jak wysoką, w czarnej chłopskiej spódnicy i staniku, w grubych wełnianych pończochach na masywnych nogach i w czarnych trepach o sznurkowych podeszwach. Miała śniadą twarz, przypominającą model jakiegoś granitowego posągu, duże, ale ładne ręce i gęste, kędzierzawe, czarne włosy, skręcone w węzeł na karku.

— Odpowiadaj! — zawołała do Cygana nie zwracając uwagi na pozostałych.

— Gadałem z tymi towarzyszami. Ten przyszedł do nas jako dynamitard.

— Ja to wszystko wiem — odparła mujer Pabla. — Teraz wynoś się stąd i zmień Andrésa, który wartuje na górze.

— *Me voy* — powiedział Cygan. — Idę. — Obrócił się do Roberta Jordana. — Zobaczymy się w porze jedzenia.

— Niech ci się nawet nie marzy — powiedziała kobieta. — Wedle mojego rachunku jadłeś już dzisiaj trzy razy. Teraz idź i przyślij mi Andrésa.

— *Hola* — obróciła się do Roberta Jordana, wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się. — Jak się czujecie i co tam słychać w Republice?

— Wszystko dobrze — powiedział odwzajemniając jej mocny uścisk dłoni. — I ze mną, i z Republiką.

— Tom rada — odparła. Patrzała mu z uśmiechem w twarz, a on zauważył, że ma ładne, szare oczy. — Przychodzicie tu po to, żebyśmy zrobili jeszcze jeden pociąg?

— Nie — odrzekł Robert Jordan, od razu czując do niej zaufanie. — Most.

— *No es nada*[4] — powiedziała. — Most to jest nic. A kiedy robimy następny pociąg, jako że już mamy konie?

— Później. Ten most jest bardzo ważny.

— Dziewczyna mówiła mi, że tamten wasz kolega, co był z nami przy pociągu, nie żyje.

— Tak.

— Co za szkoda! W życiu nie widziałam takiego wybuchu. To był zdolny człowiek. Bardzo mi się podobał. A nie można by zrobić jeszcze jednego pociągu? Tu w górach jest teraz dużo ludzi. Aż za dużo. Już zaczyna być ciężko z wyżywieniem. Lepiej byłoby się stąd wynieść. Tym bardziej że mamy konie.

— Trzeba zrobić ten most.

— A gdzie on jest?

— Całkiem blisko.

— Tym lepiej — powiedziała *mujer* Pabla. — Wysadźmy wszystkie mosty, jakie tu są, i zabierajmy się stąd. Mam dosyć tego miejsca. Za dużo ludzi się tu skupiło. Nic dobrego z tego nie wyjdzie. Zrobił się tutaj zastój, który jest obrzydliwy.

Między drzewami spostrzegła Pabla.

— *Borracho!* — zawołała do niego. — Pijaku! Wstrętny pijaku! — Obróciła się wesoło do Roberta Jordana. — Zabrał skórzany bukłak z winem, żeby samemu pić w lesie — powiedziała. — Teraz wciąż pije. To życie go wykańcza. Bardzom rada, żeś przyszedł, młodzieńcze. — Klepnęła go po plecach. — O! — powiedziała. — Widzę, że macie więcej krzepy, niż się wydaje. — Przesunęła dłonią po jego ramieniu wymacując muskuły pod flanelową koszulą. — Dobra. Bardzo się cieszę, żeście przyszli.

— Ja również.

— Będziemy się nawzajem rozumieli — dodała. — Napijcie się wina.

— Jużeśmy trochę wypili — odparł Robert Jordan.— Ale może wy chcecie?

[4] *No es nada* (hiszp.) — To jest nic; to głupstwo.

— Nie przed obiadem — powiedziała. — W dołku mnie piecze od tego. — Znowu dostrzegła Pabla. — *Borracho!* — wrzasnęła. — Pijaku! — Obróciła się do Roberta Jordana i pokiwała głową. — Dobry był z niego chłop — rzekła. — Ale teraz już jest skończony. I posłuchaj, co ci jeszcze powiem. Postępuj bardzo łagodnie i delikatnie z dziewczyną. Z tą Marią. Ona przeszła ciężkie rzeczy. Rozumiesz?

— Tak. Dlaczego to mówicie?

— Widziałam, co się z nią działo, kiedy wróciła do jaskini po zobaczeniu ciebie. Widziałam, jak ci się przyglądała, nim wyszła.

— Trochę z nią pożartowałem.

— Była kiedyś w okropnym stanie — powiedziała kobieta Pabla. — Teraz już jest z nią lepiej i powinna się stąd wynieść.

— Jasne. Można ją wyprawić z Anselmem na tamtą stronę frontu.

— Ty i Anselmo możecie ją zabrać, kiedy to się zakończy.

Robert Jordan poczuł, że w gardle coś go uciska, a głos mu chrypnie.

— To by się dało zrobić — powiedział.

Mujer Pabla spojrzała na niego i potrząsnęła głową.

— Aj, aj — rzekła. — Czy wszyscy mężczyźni są tacy?

— Przecież nic nie powiedziałem. Piękna jest, sami to wiecie.

— Nie, jeszcze nie jest piękna. Ale chcecie powiedzieć, że zaczyna być piękna — odrzekła kobieta. — Ci mężczyźni! Wstyd dla nas, kobiet, że ich rodzimy. Nie, ale poważnie. Czy pod Republiką nie ma jakichś przytułków, gdzie by się opiekowali takimi jak ona?

— Są — odparł Robert Jordan. — Bardzo dobre domy. Na wybrzeżu, w okolicach Walencji. I w innych miejscowościach. Będą się tam z nią dobrze obchodzili, a jak zechce, dadzą jej pracę przy dzieciach. Tam są dzieci z ewakuowanych wsi. Nauczy się nimi zajmować.

— Tego właśnie chcę — powiedziała *mujer* Pabla. — Pablo już na nią choruje. Jeszcze i to go wykańcza. Kiedy ją widzi, dusi go to niczym choroba. Najlepiej, żeby sobie poszła.

— Możemy ją zabrać, jak tu skończymy.

— A teraz, jeżeli wam zaufam, będziecie z nią uważali? Mówię z wami tak, jak byśmy się znali od dawna.

— Tak bywa, kiedy ludzie nawzajem się rozumieją — rzekł Robert Jordan.

— Siadajcie — powiedziała kobieta Pabla. — Nie proszę o żadne obietnice, bo co ma być, to będzie. Tylko na wypadek, gdybyście nie mieli jej zabrać, musicie mi coś obiecać.

— Dlaczego, gdybym nie miał jej zabrać?

— Bo nie chcę, żeby tu wariowała, kiedy sobie pójdziecie. Już przedtem mi wariowała, a ja mam dosyć kłopotów bez tego.

— Zabierzemy ją po tym moście — powiedział Robert Jordan. — Jeżeli po moście będziemy jeszcze żyli, to ją weźmiemy.

— Nie podoba mi się, jak w ten sposób mówicie. Takie gadanie nie przynosi szczęścia.

— Powiedziałem to tylko dlatego, żeby wam dać przyrzeczenie — odparł Robert Jordan. — Nie jestem z tych, co gadają na ponuro.

— Pokażcie mi rękę — rzekła kobieta. Robert Jordan wyciągnął rękę, a ona rozchyliła ją, przytrzymała w swej dużej dłoni, potarła palcem, przyjrzała jej się uważnie i puściła. Podniosła się. On wstał także, a kobieta popatrzała na niego bez uśmiechu.

— Coście tam zobaczyli? — zapytał Robert Jordan. — Ja w to i tak nie wierzę. Nie nastraszycie mnie.

— Nic — odpowiedziała. — Nic nie zobaczyłam.

— Owszem, zobaczyliście. Ja tylko przez ciekawość. Bo nie wierzę w takie rzeczy.

— A w co wierzycie?

— W wiele rzeczy, ale nie w to.

— A w co?

— W moją robotę.

— Tak, to widziałam.

— Powiedzcie mi, coście jeszcze widzieli.

— Nic poza tym — odparła z rozdrażnieniem. — Mówicie, że ten most jest bardzo trudny?

— Nie. Powiedziałem, że bardzo ważny.

— Ale może z nim być trudno?

— Tak. Teraz pójdę go obejrzeć. Ilu tu macie ludzi?

— Pięciu zdatnych do czegoś. Cygan jest nic nie wart, chociaż ma dobre intencje. I dobre serce. Pablowi już nie ufam.

— A ilu dobrych ludzi ma El Sordo?

— Może z ośmiu. Wieczorem zobaczymy. On tu przyjdzie. Bardzo przemyślny człowiek. Poza tym ma trochę dynamitu, ale nie dużo. Pogadacie sobie z nim.

— Posłaliście po niego?

— Przychodzi co wieczór. To sąsiad. A także przyjaciel i towarzysz.

— Co o nim myślicie?

— Pierwszorzędny chłop. I bardzo przemyślny. W tej sprawie z pociągiem był nadzwyczajny.

— A inne bandy?

— Jakby je w porę uprzedzić, dałoby się uzbierać z pięćdziesiąt karabinów, na których można mniej więcej polegać.

— Jak dalece?

— Zależnie od powagi położenia.

— Po ile mają ładunków na karabin?

— Może dwadzieścia. Zależy, ile przyniosą na tę robotę. Jeżeli w ogóle przyjdą. Pamiętajcie, że w tej sprawie z mostem nie ma ani pieniędzy, ani zdobyczy, a za to sporo niebezpieczeństwa, jak wynika z waszej powściągliwej mowy, i że potem przyjdzie zabierać się z tych gór. Wielu będzie przeciwnych temu z tym mostem.

— Jasne.

— Więc lepiej o nim nie gadać bez potrzeby.

— Zgadzam się.

— Jak sobie obejrzycie most, porozmawiacie wieczorem z El Sordem.

— Pójdę tam teraz z Anselmem.

— To go zbudźcie — powiedziała. — Chcecie karabin?

— Dziękuję — odrzekł. — Karabin dobrze mieć, ale go nie będę używał. Idę popatrzeć, a nie robić zamieszanie. Dziękuję za wszystko, coście mi powiedzieli. Bardzo mi się podoba wasz sposób mówienia.

— Staram się mówić szczerze.

— To powiedzcie, coście widzieli na ręce?

— Nie — odparła i potrząsnęła głową. — Nic nie widziałam. A teraz idźcie do tego mostu. Będę tu pilnowała waszego sprzętu.

— Przykryjcie go i żeby go nikt nie ruszał. Lepiej, żeby leżał tam niż w jaskini.

— Będzie przykryty i nikt go nie ruszy — odrzekła kobieta Pabla. — Teraz idź do swojego mostu.

— Anselmo — powiedział Robert Jordan kładąc rękę na ramieniu starego, który spal na ziemi, z głową wtuloną w ramiona.

Stary podniósł głowę. — Tak — odezwał się. — Jasne. Idziemy.

III

Ostatnie dwieście kroków przeszli posuwając się ostrożnie w cieniu od drzewa do drzewa i wreszcie poprzez sosny rosnące na Stromym zboczu ujrzeli most w odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów. W przedwieczornym słońcu, które jeszcze świeciło zza brunatnego garbu góry, most rysował się ciemno na tle pustki urwistego wąwozu. Był stalowy, o jednym przęśle, a przy obu jego końcach stały budki wartownicze. Mogły się na nim wyminąć dwa samochody; śmiało rzuconym, wdzięcznym łukiem metalu spinał głęboki wąwóz, na którego dnie, daleko w dole między głazami i kamieniami, pienił się biało strumień spływający do głównego potoku przełęczy.

Słońce świeciło Robertowi Jordanowi prosto w oczy, widział więc tylko sylwetkę mostu. Potem przygasło i znikło, a on spojrzawszy między drzewami na brunatną, krągłą wyniosłość, za którą się skryło, zauważył teraz, kiedy blask już go nie oślepiał, że zbocze góry jest pokryte delikatną, świeżą zielenią, a pod szczytem leżą płachty starego śniegu.

Przyjrzał się znowu mostowi w tej nagłej, krótkiej chwili prawdziwości pozostałego jeszcze światła i zbadał wzrokiem konstrukcję. Problem zniszczenia nie był trudny. Obserwując most wyjął z kieszeni koszuli notes i szybko zrobił kilka szkiców. Rysując nie obliczał sobie ładunków. To odkładał na później. Teraz zaznaczał tylko punkty, w których należało umieścić materiał wybuchowy, ażeby przeciąć podpory przęsła i zwalić jego część do wąwozu. Można to było zrobić bez pośpiechu, naukowo i w sposób właściwy za pomocą kilku ładunków założonych i sprzężonych tak, aby wybuchły jednocześnie, albo też naprędce dwoma dużymi. Musiałyby wtedy być bardzo duże, umieszczone z obu przeciwległych stron, i powinny by wybuchnąć w tej samej chwili. Szkicował szybko, z radością, zadowolony, że wreszcie zaczął nad nim pracować. Następnie zamknął notes, wsunął ołówek w skórzaną tulejkę u brzegu okładki, schował notes do kieszeni i zapiął ją.

Podczas gdy robił szkice, Anselmo obserwował szosę, most i budki wartownicze. Uważał, że zbyt niebezpiecznie zbliżyli się do mostu, i z ulgą przyjął koniec rysowania.

Kiedy Robert Jordan zapiął klapę kieszeni wyciągnął się płasko za pniem sosny i wyjrzał zza niej, Anselmo położył mu dłoń na łokciu i pokazał coś palcem.

W budce, która stała przodem do nich na szosie, siedział wartownik trzymając między kolanami karabin z nasadzonym bagnetem. Palił papierosa, na głowie miał włóczkową czapkę, a na ramionach sukienną pelerynę. Z odległości pięćdziesięciu metrów nie można było rozróżnić jego rysów. Robert Jordan nastawił lornetkę polową przysłaniając starannie dłońmi soczewki, chociaż nie było już słońca, które dawałoby odblask, i zobaczył poręcz mostu tak ostro, iż wydało mu się, że mógłby dotknąć jej ręką, a twarz wartownika tak wyraźnie, że widział zapadnięte policzki, popiół papierosa i oleisty połysk bagnetu. Była to chłopska twarz o sterczących kościach policzkowych, obrośnięta, z oczami ocienionymi przez gęste brwi; wielkie garście trzymały karabin, a spod fałd peleryny wystawały grube buty. Na ściance budki wisiał podniszczony i poczerniały bukłak skórzany na wino; leżało tam kilka gazet, ale telefonu nie było. Mógł co prawda być z drugiej strony, której Jordan nie widział, ale z budki nie wychodziły żadne druty. Wzdłuż szosy biegła linia telefoniczna, której kable przerzucono przez most. Przed budką stał na dwóch kamieniach piecyk do węgla drzewnego, zrobiony ze starej blaszanki na benzynę, z odciętym wierzchem i podziurkowanymi ściankami, ale ogień w nim się nie palił. Pod spodem, w popiele, leżało kilka pustych, osmalonych puszek po konserwach.

Robert Jordan podał lornetkę leżącemu obok Anselmowi. Stary uśmiechnął się i potrząsnął głową. Postukał się palcem w skroń obok oka.

— *Ya lo veo* — powiedział po hiszpańsku. — Ja go widzę. — Wymówił to samym brzeżkiem warg, niemal nie poruszając nimi, w sposób cichszy od wszelkiego szeptu. Robert Jordan uśmiechnął się do starego, a ten spojrzał na wartownika i pokazawszy go palcem przeciągnął drugą dłonią po gardle. Jordan skinął głową, ale bez uśmiechu.

Druga budka wartownicza stała za mostem tyłem do nich, a przodem do szosy, więc nie widzieli jej wnętrza. Szosa, szeroka, wyasfaltowana, zbudowana solidnie, skręcała za mostem w lewo, a potem biegła zakosem w prawo i znikała im z oczu. W owym miejscu poszerzono starą drogę wkuwając się w lity bastion skały po drugiej stronie wąwozu; lewy, czyli zachodni skraj szosy, patrząc od strony przełęczy i mostu, był obrzeżony i zabezpieczony rzędem prostopadłych bloków z kamienia, tam gdzie jej krawędź opadała wprost do wąwozu. Wąwóz tworzył nieomal kanion w miejscu, gdzie strumień, przez który przerzucony był most, wpadał do gościnnego potoku przełęczy.

— A gdzie jest druga placówka? — zapytał Anselma Robert Jordan.

— Pięćset metrów za tym zakrętem. W domku dróżnika, wbudowanym w skałę.

— Ilu ich tam jest? — zapytał Robert Jordan. Znów obserwował wartownika przez lornetkę. Żołnierz rozgniótł papierosa o drewnianą ściankę budki, wyjął z kieszeni skórzany kapciuch, rozerwał bibułkę zgaszonego papierosa i zsypał do kapciucha resztki tytoniu. Wstał, oparł karabin o budkę, przeciągnął się, zarzucił karabin na ramię i wszedł na most. Anselmo rozpłaszczył się na ziemi, a Robert Jordan wsunął lornetkę do kieszeni koszuli i starannie ukrył głowę za pniem sosny.

— Jest ich siedmiu i kapral — szepnął mu do ucha Anselmo.

— Dowiadywałem się u Cygana.

— Zaraz pójdziemy, jak tylko on się uspokoi — odrzekł Robert Jordan. Jesteśmy za blisko.

— Widziałeś co ci trzeba?

— Tak. Wszystko, co trzeba.

Teraz, po zachodzie, szybko robiło się chłodno i zapadał zmierzch, w miarę jak blakł ostatni blask słońca na górach za nimi.

— No i jak ci się to wydaje? — zapytał cicho Anselmo, kiedy patrzyli na wartownika idącego przez most ku drugiej budce, niezgrabnego w swej pelerynie, z bagnetem połyskującym w resztkach dziennego światła.

— Bardzo dobrze — odrzekł Robert Jordan. — Bardzo a bardzo dobrze.

— Tom rad — powiedział Anselmo. — Pójdziemy? Teraz już nas nie zobaczy.

Wartownik stał tyłem do nich po drugiej stronie mostu. Z wąwozu dolatywał szum strumienia płynącego między głazami. A potem przez ten odgłos przeniknął inny dźwięk — miarowe, huczące dudnienie — i zauważyli, że wartownik zadziera głowę w zsuniętej do tyłu włóczkowej czapce. Spojrzawszy w górę spostrzegli na wieczornym niebie trzy jednopłatowce, które leciały w szyku o kształcie litery V, drobne i srebrzyste na tej wysokości, gdzie ciągle jeszcze świeciło słońce, i mknęły po niebie niewiarygodnie szybko, z miarowym pulsowaniem silników.

— Nasze? — zapytał Anselmo.

— Chyba tak — odrzekł Robert Jordan, choć wiedział, że przy tej wysokości nigdy nie można być pewnym. Mógł to być wieczorny patrol zarówno jednej, jak drugiej strony. Ale zawsze mówiło się, że pościgowce są nasze, bo to dodawało ludziom ducha. Z bombowcami była inna sprawa.

Anselmo najwyraźniej czuł to samo.

— Nasze — powiedział. — Poznałem je. To są *Moscas*.

— Aha — odparł Robert Jordan. — Mnie się też tak zdaje.

— Na pewno *Moscas* — rzekł Anselmo.

Robertowi Jordanowi wystarczyłoby skierować na nie lornetkę, by się natychmiast upewnić, ale wolał tego nie robić. Dziś było mu obojętne, czyje są te samoloty, a skoro staremu podobało się uznać je za własne, nie chciał mu ich odbierać. Teraz, kiedy znikały w kierunku Segovii, nie przypominały wcale zielonych dolnopłatowców z czerwono malowanymi końcami skrzydeł, będących rosyjską odmianą Boeinga P 32, a nazywanych przez Hiszpanów *Moscas*. Koloru nie było widać, ale sylwetka wydawała się nie taka. Nie. To był powracający do bazy patrol faszystowski.

Wartownik wciąż jeszcze stal przy dalszej budce, obrócony do nich plecami.

— Chodźmy — szepnął Robert Jordan. Ruszył pod górę Stąpając ostrożnie i kryjąc się, póki wartownik nie zniknął im z oczu. Anselmo szedł za nim w odległości stu metrów. Kiedy nie mogło już być ich widać z mostu, Jordan przystanął, a stary dopędził go i ruszył przodem wspinając się w ciemnościach na stromy stok przełęczy.

— Mamy potężne lotnictwo — powiedział Anselmo z radością.

— Aha.

— I zwyciężymy.

— Musimy zwyciężyć.

— Tak. A po zwycięstwie musicie tu przyjechać i popolować.

— Na co?

— Na dziki, na niedźwiedzie, wilki, koziorożce...

— Wy lubicie polować?

— Tak, człowieku. Najwięcej ze wszystkiego. W mojej wsi każdy poluje. A wy nie lubicie?

— Nie — odrzekł Robert Jordan. — Nie lubię zabijać zwierząt.

— Ze mną jest na odwrót — powiedział stary. — Ja nie lubię zabijać ludzi.

— Nikt nie lubi zabijać ludzi, chyba tacy, co mają źle w głowie — rzekł Robert Jordan. — Natomiast nie mam żadnych zastrzeżeń, jeżeli to jest konieczne. Jeżeli to dla sprawy.

— To jednak co innego — powiedział Anselmo. — U mnie w domu — kiedym go miał, bo teraz domu nie mam — były szable dzików, które ubiłem w dolnym lesie. Były też skóry tych wilków, com to je ubił w zimie, polując na śniegu. Jednego, bardzo wielkiego, zastrzeliłem o zmierzchu na skraju wsi, kiedy wracałem do domu któregoś wieczora w listopadzie. Na podłodze leżały u mnie cztery wilcze skóry. Wydeptane były od chodzenia po nich, ale wilcze. Miałem też rogi koziorożców ustrzelonych w wysokiej Sierra i orła wypchanego przez wypychacza ptaków z Avili. Skrzydła miał rozłożone, a ślepia takie żółte i prawdziwe jak ślepia żywego orła. Bardzo to była piękna rzecz i wielką miałem przyjemność z oglądania tego wszystkiego.

— Tak — powiedział Robert Jordan.

— Na drzwiach kościoła w mojej wiosce przybita była łapa niedźwiedzia, któregom ubił na wiosnę, spotkawszy go na śniegu, na zboczu wzgórza, akuratnie jak przewracał kloc tąż właśnie łapą.

— Kiedy to było?

— Sześć lat temu. A ile razy widziałem tę łapę, ususzoną i przybitą gwoździem do drzwi kościoła, a podobną do ręki człowieczej, tyle że z długimi pazurami, zawsze się wielce radowałem.

— Z dumy?

— Z dumy wspominania o spotkaniu z niedźwiedziem wczesną wiosną na owym zboczu wzgórza. Ale z zabicia człowieka, który jest taki sam jako i my, nie pozostaje nic dobrego.

— Nie można przybić jego łapy na kościele — powiedział Robert Jordan.

— Nie. Takie barbarzyństwo byłoby nie do pomyślenia. A jednak ręka człowiecza podobna jest do łapy niedźwiedziej.

— Tak jak pierś ludzka jest podobna do piersi niedźwiedzia — dodał Robert Jordan. — Po ściągnięciu skóry z niedźwiedzia widzi się duże podobieństwo w mięśniach.

— Tak — odrzekł Anselmo. — Cygany wierzą, że niedźwiedź to brat człowieka.

— To samo Indianie w Ameryce — powiedział Robert Jordan. — Jak zabijają niedźwiedzia, przepraszają go i proszą o wybaczenie. Potem kładą jego czaszkę na drzewie i zanim odejdą, proszą, by im darował.

— Cygany uważają niedźwiedzia za człowieczego brata, bo ma pod futrem takie samo ciało, bo pije piwo, bo go raduje muzyka i lubi tańcować.

— Tak samo myślą Indianie.

— Czy wobec tego Indianie są Cyganami?

— Nie. Ale o niedźwiedziu myślą podobnie.

— Rozumiem. Cygany uważają go za brata także dlatego, że kradnie dla przyjemności.

— A wy macie cygańską krew?

— Nie. Alem widywał sporo Cyganów, a od czasu ruchu, ma się rozumieć, jeszcze więcej. W górach jest ich dużo. Dla nich to nie grzech zabić kogoś spoza plemienia. Zaprzeczają temu, ale to prawda.

— Jak Maurowie.

— Właśnie. Cygany mają różne swoje prawa, do których się nie przyznają. Podczas wojny niejeden znowu zrobił się taki zły jak za dawnych czasów.

— Nie rozumieją, po co prowadzi się wojnę. Nie wiedzą, o co walczymy.

— A nie — powiedział Anselmo. — Wiedzą tylko tyle, że teraz jest wojna i że znowu można zabijać jak za dawnych czasów, bez żadnej pewności kary.

— A wyście kogoś zabili? — zapytał Robert Jordan pod wpływem nastroju zbliżenia, jaki stwarzała ciemność i wspólnie spędzony dzień.

— Tak. Kilka razy. Ale bez przyjemności. Dla mnie to grzech zabić człowieka. Nawet tych faszystów, których musimy zabijać. Dla mnie jest wielka różnica między niedźwiedziem a człowiekiem i nie wierzę w te cygańskie bajania o braterstwie ze zwierzętami. Nie. Ja tam jestem przeciwny wszelkiemu zabijaniu ludzi.

— A jednak zabijaliście.

— Tak. I jeszcze będę. Ale jeżeli przeżyję, postaram się żyć nie robiąc nikomu krzywdy, tak żeby mi to zostało wybaczone.

— Przez kogo?

— Kto to wie? Kto wybacza, jeżeli już tutaj nie mamy Boga ani Jego Syna, ani Ducha Świętego? Ja nie wiem.

— Wy nie wierzycie w Boga?

— Nie, człowieku. Pewnie, że nie. Gdyby był Bóg, nigdy nie pozwoliłby na to, com widział własnymi oczami. Niech tamci mają sobie Boga.

— Twierdzą, że Bóg jest ich.

— Jasne, że mi Go brak, jako żem się wychował w religijności. Ale teraz człowiek musi odpowiadać przed samym sobą.

— Więc sam sobie wybaczysz to zabijanie.

— Chyba tak — odparł Anesimo. — Skoro to jasno powiadasz, myślę, że tak musi być. Ale z Bogiem czy bez Boga, uważam zabijanie za grzech. Dla mnie odebranie innemu życia to sprawa wielce poważna. Zrobię to, ilekroć będzie trzeba, ale nie jestem z tej samej gliny, co Pablo.

— Na to, żeby wygrać wojnę, musimy zabijać naszych wrogów. Tak było zawsze.

— Jasne. Na wojnie trzeba zabijać. Ale ja miewam bardzo osobliwe myśli — powiedział Anselmo.

Szli teraz blisko siebie w ciemnościach i stary mówił cicho, odwracając głowę, kiedy się wspinał na zbocze.

— Nie zabiłbym nawet biskupa. Nie zabiłbym żadnego obszarnika. Kazałbym im do końca życia pracować dzień w dzień, tak jak myśmy pracowali na polu i jak pracujemy w górach przy drzewie. Żeby zrozumieli, do czego urodził się człowiek. I niechby sypiali tam, gdzie my sypiamy. I jedli tak, jako my jemy. Ale nade wszystko, żeby pracowali. Bo tak by się czegoś nauczyli.

— I przetrwaliby po to, żeby znów z ciebie zrobić niewolnika.

— Zabicie niczego ich nie nauczy — odpowiedział Anselmo. — Wytępić ich nie można, bo z ich nasienia rodzą się następni z jeszcze większą nienawiścią. Więzienie to jest nic. Więzienie tylko stwarza nienawiść. A wszyscy nasi wrogowie powinni się uczyć.

— Aleś jednak zabijał.

— Tak — odrzekł Anselmo. — Nie raz. I jeszcze będę. Ale bez przyjemności i uważając to za grzech.

— A ten wartownik? Pokazałeś żartem, że go zabijasz.

— To był żart. Ale zabiłbym wartownika. Tak. Na pewno i z czystym sumieniem, zważywszy nasze zadanie. Ale bez przyjemności.

— Zostawimy ich takim, którzy to lubią. Tamtych jest ośmiu i pięciu. Razem trzynastu dla tych, co lubią zabijać.

— Wielu jest takich — powiedział w mroku Anselmo. — I my ich wielu mamy między sobą. Więcej niż ludzi zdatnych do bitwy.

— A tyś był kiedy w bitwie?

— Nie — odrzekł stary. — Na początku ruchu zaczęliśmy walczyć w Segovii, ale nas pobili i uciekliśmy. Ja też uciekłem z innymi. Po prawdzie nie rozumieliśmy, co robimy, ani też jak to powinno się robić. Poza tym miałem tylko śrutówkę z grubymi loftkami, a *guardia civil* miała mauzery. Nie mogłem ich trafić loftkami na sto metrów, a oni na trzysta walili do nas, jak chcieli, niczym do królików. Strzelali dużo i dobrze, a myśmy byli wobec nich niby te owce. — Zamilkł. Potem spytał: — Myślisz, że przy moście będzie bitwa?

— Możliwe.

— Nigdym nie widział bitwy bez uciekania — rzekł Anselmo.

— Nie wiem, jak bym się zachował. Jestem już stary i nieraz się nad tym zastanawiałem.

— Ja za ciebie odpowiadam — odparł Robert Jordan.

— A tyś był w wielu bitwach?

— W kilku.

— I jak myślisz, co będzie przy tym moście?

— Przede wszystkim myślę o samym moście. To jest moje zadanie. Nietrudno go zniszczyć. Potem zrobimy plan reszty. Plan wstępnych działań. Wszystko będzie spisane.

— Bardzo niewielu z naszych ludzi umie czytać — powiedział Anselmo.

— To się spisze do wiadomości wszystkich, żeby każdy zrozumiał, ale poza tym jasno wytłumaczy.

— Ja zrobię to, co mi będzie nakazane — oświadczył Anselmo.

— Ale jeżeli ma być bitwa, czy choćby większa wymiana strzałów, to przez pamięć na tamtą strzelaninę w Segovii, chciałbym bardzo dokładnie wiedzieć, co mam robić we wszelkich okolicznościach, żeby uniknąć ucieczki. Pamiętam, że w Segovii miałem ogromną skłonność do uciekania.

— Będziemy razem — odpowiedział mu Robert Jordan. — Będę ci każdej chwili mówił, co trzeba robić.

— No, to nie ma trudności — rzekł Anselmo. — Potrafię zrobić wszystko, co mi każą.

— Dla nas jest most i bitwa, jeżeli do niej dojdzie — powiedział Robert Jordan, a wymówiwszy w mroku te słowa poczuł, że były trochę teatralne, ale dobrze brzmiały po hiszpańsku.

— To powinno być nadzwyczaj ciekawe — oświadczył Anselmo, a Robert Jordan usłyszawszy, jak to powiedział, prosto, uczciwie, bez śladu pozy — bez angielskiego pozowania na powściągliwość ani też bez latyńskiej brawury — pomyślał, że miał szczęście spotkawszy tego starego. Teraz, kiedy obejrzał już most, kiedy opracował i uprościł sobie problem zaskoczenia wartowników i zniszczenia go w normalny sposób, poczuł niechęć do rozkazu Golza i do konieczności jego wykonania. Czuł niechęć na myśl, jakie skutki mógł mieć ten rozkaz dla niego samego i dla Anselma. Zły to był rozkaz dla tych, którzy musieli go wykonać.

W ten sposób myśleć nic można — powiedział sobie w duchu. — Nie ma ani ciebie, ani żadnych ludzi, którym coś nie powinno się stać. Nie liczycie się ani ty, ani ten stary. Jesteście tylko narzędziami, które powinny spełnić zadanie. Istnieje pewien konieczny rozkaz, który nie jest twoją winą, i istnieje pewien most, i ten most może być punktem zwrotnym dla przyszłych dziejów ludzkości. Podobnie jak takim punktem zwrotnym może być wszystko w tej wojnie. Masz tylko jedną rzecz do zrobienia i musisz ją zrobić. Ba, jedną rzecz, psiakrew — pomyślał. — Gdyby była tylko jedna, poszłoby łatwo. Przestań się martwić, strachliwy durniu — powiedział do siebie. — Myśl o czym innym.

Zaczął więc myśleć o tej dziewczynie, Marii, o jej skórze, włosach i oczach, które były tej samej zlotopłowej barwy, co ciało, tyle że włosy trochę ciemniejsze, chociaż pewnie zjaśnieją, gdy ciało opali się mocniej — o gładkiej skórze, bladozlotej po wierzchu, z ciemnym podkładem. Gładką musiała mieć skórę i całe ciało gładkie, a ruszała się nieporadnie, jak gdyby było w niej coś, co ją krępowało, co wydawało jej się widoczne, chociaż wcale takie nie było i istniało jedynie w jej myślach. Rumieniła się, gdy patrzał na nią siedzącą z dłońmi zaplecionymi na kolanach, w rozchylonej pod szyją koszuli, pod którą sterczały półkule piersi, i kiedy teraz o niej myślał, czuł w gardle dławienie i trudno mu było iść, i nie rozmawiali z Anselmem, dopóki stary nie powiedział:

— Teraz zejdziemy między tymi skałami i już będziemy w obozie.

Kiedy w ciemnościach szli w dół między skałami, odezwał się męski głos: — Stój, kto idzie? — Usłyszeli szczęk odciąganego zamka karabinu, a potem stuknięcie o drewno, gdy zamek został pchnięty do przodu, jego rączka zaciśnięta na łożu broni.

— Towarzysze — odpowiedział Anselmo.

— Jacy towarzysze?

— Towarzysze Pabla — odparł stary. — Bo to nas nie znasz?

— A jakże — odezwał się glos. — Ale taki jest rozkaz. Znacie hasło?

— Nie. Idziemy z dołu.

— Wiem — powiedział w ciemnościach mężczyzna. — Idziecie od mostu. Ja to wszystko wiem. Ale nie ja wydałem rozkaz. Musicie znać drugą połowę hasła.

— A jaka jest pierwsza? — zapytał Robert Jordan.

— Zapomniałem — odparł z mroku mężczyzna i roześmiał się. — No, to już wal do obozowego ogniska razem z tym twoim zaplugawionym dynamitem.

— To się nazywa partyzancka dyscyplina — powiedział Anselmo. — Opuść kurek karabinu.

— Już opuszczony — odrzekł tamten z ciemności. — Opuściłem go dużym i wskazującym palcem.

— Zrobisz to kiedyś z mauzerem, który nie ma występu na zamku, i wtedy ci wywali.

— To właśnie jest mauzer — odparł tamten. — Ale ja mam te dwa palce chwytliwe nad wszelkie opisanie. Zawsze spuszczam w ten sposób.

— A gdzie masz skierowany karabin? — zapytał w ciemnościach Anselmo.

— W ciebie — odrzekł tamten. — Przez cały czas, kiedy spuszczałem kurek. Jak dojdziesz do obozu, to każ, żeby ktoś przyszedł mnie zmienić, bo czuję nieopisany i zaplugawiony głód, a poza tym zapomniałem hasła.

— Jak cię zwą? — zapytał Robert Jordan.

— Agustin — odpowiedział mężczyzna. — Nazywam się Agustin i konam tutaj z nudów.

— Powtórzymy to — odparł Robert Jordan i pomyślał, że w żadnym innym języku chłop nie użyłby takiego słowa jak *aburmiento*, które oznacza nudy po hiszpańsku. A jednak jest ono jednym z najpospolitszych słów w ustach Hiszpanów wszystkich klas.

— Zaczekajcie — rzekł Agustin i podszedłszy bliżej położył Jordanowi rękę na ramieniu. Następnie potarł krzesiwo i dmuchając na tlący się koniec korka podniósł go i przy jego żarze popatrzał w twarz młodemu człowiekowi.

— Podobniście do tamtego — powiedział. — Ale jacyś inni. Słuchajcie — opuścił krzesiwo trzymając karabin w ręku. — Powiedzcie mi, czy to prawda z tym mostem?

— Co z mostem?

— Że my tu wysadzimy jakiś plugawy most, a potem będziemy musieli wyplugawiać z tych gór?

— Nie wiem.

— Wy nie wiecie! — odparł Agustin. Cóż to za barbarzyństwo! A czyjże jest ten dynamit?

— Mój.

— I nie wiesz, na co go masz? Nie opowiadaj mi tu bajek.

— Wiem, na co go mam, i ty też dowiesz się w swoim czasie — rzekł Robert Jordan. — A teraz pójdziemy do obozu.

— Idź do cholery — powiedział Agustin. — I odplugaw się. Ale chcesz, żebym ci powiedział coś, co ci się przyda?

— Tak — odrzekł Robert Jordan. — Jeżeli to nie będzie plugawe — tu wymienił ów główny sprośny wyraz, którym naszpikowana była cała rozmowa. Ten Agustin gadał tak rozwiązle, doczepiając do każdego słowa jakąś sprośność w formie przymiotnikowej albo używając jej jako czasownika, że Robert Jordan zastanawiał się, czy potrafi powiedzieć zwyczajnie jakieś zdanie. Agustin roześmiał się w ciemnościach usłyszawszy ten wyraz.

— Taki już mam sposób mówienia. Może i brzydki, kto wie? Każdy gada po swojemu. Mnie ten most nie obchodzi. Może być równie dobrze most jak co innego. Poza tym w tych górach są straszne nudy. Idźmy stąd, jeżeli trzeba. Te góry nic mi nie mówią. Żebyśmy już raz stąd poszli. Ale jedno chcę ci rzec. Pilnuj dobrze swoich materiałów wybuchowych.

— Dziękuję — powiedział Robert Jordan. — Przed tobą?

— Nie — odparł Agustin. — Przed ludźmi bardziej zaplugawionymi ode mnie.

— Tak? — spytał Robert Jordan.

— Chyba rozumiesz po hiszpańsku — powiedział już teraz poważnie Agustin. — Pilnuj dobrze swoich zaplugawionych materiałów wybuchowych.

— Dziękuję ci.

— Nie dziękuj. Uważaj na swoje rzeczy.

— A czy coś się z nimi stało?

— Nie, bo bym nie tracił czasu na to gadanie.

— Tak czy owak dziękuję ci. Teraz idziemy do obozu.

— Dobra — rzekł Agustin. — I żeby przysłali tu kogoś, co zna hasło.

— Zobaczymy się w obozie?

— Tak jest. I to niedługo.

— Chodźmy — powiedział Robert Jordan do Anselma. Szli skrajem łączki wśród szarej mgły. Po leśnym igliwiu czuli teraz pod stopami bujną trawę, a sznurkowe podeszwy ich płóciennych trepów przemokły od rosy. Robert Jordan dojrzał między drzewami światełko i domyślił się, że w tym miejscu jest wejście do jaskini.

— Agustin to bardzo dobry chłop — odezwał się Anselmo. — Gada paskudnie i zawsze żartami, ale to człowiek poważny.

— Znacie go dobrze?

— Tak. Od dawna. Mam do niego duże zaufanie.

— Do tego, co mówi, także?

— Tak, człowieku. Z tym Pablem jest teraz źle, jakeś sam mógł wymiarkować.

— Więc co najlepiej zrobić?

— Trzeba ciągle pilnować twoich rzeczy.

— Kto?

— Ty. Ja. Kobieta i Agustin. Jako że on widzi niebezpieczeństwo.

— A wyście się spodziewali, że tu jest aż tak źle?

— Nie — odrzekł Anselmo. — Szybko się wszystko popsuło. Ale trzeba było tu przyjść. To jest teren Pabla i El Sorda. Na ich terenie trzeba się z nimi dogadać, chyba że idzie o coś, co można zrobić samemu.

— A El Sordo?

— Dobry. Równie dobry, jak tamten zły.

— Uważacie, że jest naprawdę zły?

— Przez całe popołudnie nad tym medytowałem, a ponieważ usłyszeliście to, cośmy usłyszeli, myślę teraz, że tak. Naprawdę.

— Nie lepiej byłoby powiedzieć, że idzie o jakiś inny most, odejść stąd i zebrać ludzi z innych band?

— Nie — odrzekł Anselmo. — To jego teren. Nie można by się nigdzie ruszyć, żeby zaraz o tym nie wiedział. Ale trzeba działać z wielką ostrożnością.

IV

Podeszli do wylotu jaskini, gdzie przez szparę u brzegu zawieszonej w wejściu derki błyszczało światło. Oba plecaki leżały pod drzewem, przykryte brezentem, i Robert Jordan ukląkł i pomacał wilgotną, sztywno napiętą tkaninę. Wsunął po omacku rękę pod brezent, do zewnętrznej kieszeni jednego z plecaków, wyjął flaszkę obciągniętą w skórę i schował ją do kieszeni spodni. Otworzył kłódki o długich uchach przewleczonych przez oczka u otworów plecaków, rozwiązał sznurki i wsunął rękę do środka, ażeby sprawdzić zawartość. Na dnie jednego z plecaków wymacał powiązane w torbach i owinięte w śpiwór kostki dynamitu, następnie ściągnął sznurek, zacisnął kłódkę i włożył rękę do drugiego plecaka. Wyczuł kanciaste krawędzie drewnianej skrzynki starej zapalarki, pudełko od cygar, w którym były spłonki — każdy cylinderek okręcony swoimi dwoma drutami (a wszystko zapakowane tak starannie, jak niegdyś pakował kolekcję jaj dzikich ptaków, kiedy był mały) — dalej łoże pistoletu maszynowego odjęte od lufy i zawinięte w skórzaną kurtkę, dwa magazynki i pięć zacisków w jednej z wewnętrznych kieszeni plecaka i małe zwoje miedzianego drutu oraz duży zwój izolowanego kabla w drugiej. W kieszeni, w której był drut, namacał kleszcze i dwa drewniane szpikulce do wywiercania otworów w kostkach dynamitu i wreszcie z ostatniej wewnętrznej kieszeni wyjął duże pudełko rosyjskich papierosów pochodzących z zapasu otrzymanego w kwaterze Golza i ściągnąwszy sznury plecaka, zacisnął kłódkę, zapiął klapy i przykrył oba plecaki brezentem. Anselmo wszedł już do jaskini.

Robert Jordan podniósł się, aby pójść za nim, ale po chwili namysłu zdjął brezent z plecaków, wziął jeden w jedną, drugi w drugą rękę i ledwie mogąc je udźwignąć ruszył do wejścia jaskini. Położył jeden z plecaków na ziemi, uniósł derkę, potem schylił się i trzymając oba plecaki za skórzane pasy, wszedł do środka.

W jaskini było ciepło i pełno dymu. Pod ścianą stał stół, na nim łojówka wetknięta w szyjkę butelki, a przy stole siedzieli trzej nieznajomi mężczyźni, Pablo i Cygan Rafael. Świeczka rzucała cienie na ścianę za ich plecami, a Anselmo stał na prawo od stołu, tam gdzie zatrzymał się wszedłszy. Kobieta Pabla była pochylona nad otwartym paleniskiem w kącie jaskini, gdzie płonął węgiel drzewny. Obok niej klęczała dziewczyna mieszając coś w żelaznym garnku. Gdy Robert Jordan ukazał się

w progu, podniosła drewnianą łyżkę i popatrzyła na niego, a wtedy przy blasku ognia, który rozdmuchiwała miechem kobieta, zobaczył twarz dziewczyny, jej rękę i krople kapiące z łyżki do garnka.

— Co tam niesiecie? — zapytał Pablo.

— Moje rzeczy — odrzekł Robert Jordan i ułożył plecaki jeden z dala od drugiego, tam gdzie naprzeciw stołu był wylot jaskini.

— A bo to im źle na dworze? — zapytał Pablo.

— Ktoś może wleźć na nie po ciemku — odparł Robert Jordan i podszedłszy do stołu położył na nim pudełko papierosów.

— Nie chcę mieć dynamitu w jaskini — rzekł Pablo.

— Tu będzie z daleka od ognia — odpowiedział Robert Jordan. — Weźcie sobie papierosów. — Przeciągnął paznokciem wzdłuż boku tekturowego pudełka z dużym kolorowym okrętem wojennym na wierzchu i podsunął je Pablowi. Anselmo przyniósł mu zydel kryty niegarbowaną skórą i Robert Jordan usiadł przy stole. Pablo spojrzał na niego tak, jakby chciał coś powiedzieć, a potem sięgnął po papierosa.

Robert Jordan podsunął pudełko pozostałym. Jeszcze na nich nie patrzał. Zauważył tylko, że jeden z mężczyzn wziął papierosy, a dwóch nie. Cała jego uwaga skupiona była na Pablu.

— Co tam słychać, Cyganie? — zapytał Rafaela.

— Wszystko dobrze — odpowiedział Cygan. Robert Jordan wyczuwał, że musieli o nim mówić, kiedy wszedł. Nawet Cygan nie zachowywał się swobodnie.

— A ona pozwoli wam znowu coś zjeść? — zapytał go Robert Jordan.

— Tak. Czemu nic? — odrzekł Cygan. Daleko było do przyjaznego, żartobliwego tonu ich popołudniowej rozmowy.

Kobieta Pabla nie odezwała się, tylko nadal rozdmuchiwała ogień.

— Niejaki Agustin mówi, że umiera z nudów tam, na górze — powiedział Robert Jordan.

— Nic mu nie będzie — rzekł Pablo. — Niech sobie trochę poumiera.

— Jest wino? — zwrócił się do zebranych przy stole Robert Jordan opierając się dłońmi o blat i pochylając do przodu.

— Już mało zostało — odparł niechętnie Pablo. Robert Jordan uznał, że czas przyjrzeć się trzem nieznajomym i zorientować w sytuacji.

— W takim razie dajcie mi wody. Ty! — zawołał na dziewczynę. — Przynieś mi kubek wody.

Dziewczyna spojrzawszy na kobietę, która milczała nie zdradzając niczym, że to słyszy, podeszła do kotła z wodą i nabrała pełny kubek. Przyniosła go i postawiła na stole przed Robertem Jordanem. Uśmiechnął się do niej. Jednocześnie wciągnął mięśnie brzucha i przekręcił się nieco w lewo na zydlu, tak że pistolet obsunął mu się na pasie i znalazł tam, gdzie go chciał mieć. Sięgnął do tylnej kieszeni. Pablo go obserwował. Robert Jordan wiedział, że obserwują go wszyscy, ale uważał tylko na Pabla. Ręka jego wróciła od tylnej kieszeni trzymając obszytą skórą flaszkę; odkręcił kapsel, wziął kubek, wypił wodę do polowy i z wolna dolał trunku.

— Za mocne dla ciebie. Gdyby nie to, dałbym ci trochę — powiedział do dziewczyny i uśmiechnął się do niej znowu. — Już mi za mało zostało, żeby cię poczęstować — zwrócił się do Pabla.

— Nie lubię anyżówki — odparł Pablo. Cierpki zapach rozszedł się ponad stołem i Pablo wyczul ten dobrze mu znany składnik.

— To lepiej, bo już bardzo niewiele zostało — powiedział Robert Jordan.

— Co to za napój? — zapytał Cygan.

— Lekarstwo — odparł Robert Jordan. — Chcecie spróbować?

— A na co to jest?

— Na wszystko — odpowiedział. — Leczy każdą chorobę. Jeżeli wam coś dolega, możecie się tym wyleczyć.

— Dajcie spróbować — powiedział Cygan.

Robert Jordan podsunął mu kubek. Trunek byt teraz mleczno-żółty od wody i Jordan miał nadzieję, że Cygan nie wypije więcej niż łyk. Niewiele już tego było, a jeden kubek zastępował wieczorne gazety, wszystkie dawne wieczory w kawiarniach, kasztany, które zapewne kwitły teraz, w tym miesiącu, i wielkie, powolne konie na zewnętrznych bulwarach, księgarnie, kioski i galerie, park Montsouris, stadion Buffalo, Butle Chaumont, Guaranty Trust Company i Ile de la Cite, stary hotel Foyot, możność czytania i wytchnienia wieczorem — wszystkie te rzeczy, którymi niegdyś się cieszył, a które teraz były już zapomniane i powracały na pamięć, kiedy kosztował tej nieprzezroczystej, gorzkiej, odrętwiającej język, rozgrzewającej mózg i żołądek, odmieniającej myśli, płynnej alchemii. Cygan wykrzywił się i oddal mu kubek.

— Pachnie anyżkiem, ale gorzkie to jako żółć — powiedział. — Już lepiej chorować, niż brać takie lekarstwo.

— To piołun — wyjaśnił Robert Jordan. — W prawdziwym absyncie, takim jak ten, zawsze jest piołun. Podobno przeżera mózg, ale ja w to nie wierzę. Tylko odmienia myśli. Powinno się dolewać wody bardzo powoli, po kilka kropel. Ale ja to wlałem do wody.

— Co wy mówicie? — zapytał gniewnie Pablo wyczuwając drwinę.

— Tłumaczę, co to za lekarstwo — odrzekł Robert Jordan i uśmiechnął się. — Kupiłem je w Madrycie. To była ostatnia butelka, a wystarczyła mi na trzy tygodnie. — Wypił duży łyk i poczuł, jak spływa mu po języku delikatnie, znieczulająco. Popatrzył na Pabla i uśmiechnął się znowu.

— No i co słychać? — zapytał.

Pablo nie odpowiedział, a Robert Jordan przyjrzał się uważnie trzem pozostałym mężczyznom przy stole. Jeden miał dużą twarz o spłaszczonym, złamanym nosie, płaską i brunatną jak szynka z Serrano, a długi, cienki, sterczący ukośnie z ust papieros rosyjski sprawiał, że wydawała się jeszcze bardziej płaska. Ten mężczyzna miał krótkie, szpakowate włosy i siwą szczecinę na policzkach, a ubrany był w powszechnie tu noszony czarny kaftan zapięty pod szyję. Gdy Robert Jordan spojrzał na niego, opuścił wzrok na stół, ale nadal patrzał spokojnie i nie zamrugał powiekami. Dwaj pozostali byli najwyraźniej braćmi. Bardzo do siebie podobni, niscy, krępi i smagli, mieli ciemne oczy i ciemne włosy zarastające nisko na czoło. Jeden miał bliznę na skroni nad lewym okiem. Kiedy Jordan popatrzał na nich, odpowiedzieli mu spokojnym spojrzeniem. Jeden wyglądał na jakieś dwadzieścia sześć-osiem lat, drugi mógł być o dwa lata starszy.

— Na co tak patrzycie? — zapytał pierwszy z braci, ten z blizną.

— Na was — odrzekł Robert Jordan.

— Widzicie coś osobliwego?

— Nie — odpowiedział Robert Jordan. — Chcecie papierosa?

— Czemu nie — rzekł mężczyzna. Dotychczas jeszcze nie palił. — To takie same jak te, co miał tamten. Tamten od pociągu.

— A wyście byli przy pociągu?

— Wszyscyśmy byli — odpowiedział spokojnie mężczyzna.

— Wszyscy z wyjątkiem starego.

— To właśnie powinniśmy teraz zrobić — odezwał się Pablo.

— Jeszcze jeden pociąg.

— Możemy — odrzekł Robert Jordan. — Po moście.

Zauważył, że kobieta Pabla odwróciła się od ognia i słuchała. Kiedy powiedział słowo „most", wszyscy zamilkli.

— Po moście — powtórzył z wolna i wypił łyk absyntu. Właściwie mogę to wywołać — pomyślał. — I tak do tego dojdzie.

— Ja na ten most nie idę — odezwał się Pablo patrząc w stół.

— Ani ja, ani moi ludzie.

Robert Jordan nic nie odpowiedział. Spojrzał na Anselma i podniósł kubek.

— W takim razie zrobimy to we dwóch, stary — rzekł i uśmiechnął się.

— Bez tego tchórza — dodał Anselmo.

— Coście powiedzieli? — zapytał go Pablo.

— Do ciebie nic. Do ciebiem nie gadał — odparł Anselmo. Robert Jordan spojrzał nad stołem ku miejscu, gdzie przed ogniem stała kobieta Pabla. Dotychczas nie odezwała się ani nie dala żadnego znaku. Ale w tej chwili powiedziała dziewczynie coś, czego nic mógł dosłyszeć, a ta wstała od ognia, przesunęła się pod ścianą, uniosła derkę wiszącą u wylotu jaskini i wyszła.

Chyba teraz się zacznie — pomyślał Robert Jordan. — Zdaje się, że to już. Nie chciałem, żeby tak było, ale widocznie nie ma innej rady. :

— Wobec tego zrobimy most bez twojej pomocy — powiedział do Pabla.

— Nie — odparł Pablo, a Robert Jordan zauważył, że na twarz wystąpiły mu krople potu. — Ty tu nie będziesz wysadzał żadnego mostu.

— Nie?

— Nie wysadzisz żadnego mostu — powtórzył z naciskiem Pablo.

— A co wy na to? — zapytał Robert Jordan kobiety Pabla, która stała przy ogniu, zwalista i nieruchoma. Obróciła się do nich i powiedziała:

— Ja jestem za tym, żeby most zrobić.

Ogień oświetlał jej twarz ciepło zarumienioną, smagłą i przystojną teraz w jego blasku.

— Co ty gadasz? — zapytał Pablo, a kiedy obracał głowę, Robert Jordan dostrzegł na jego twarzy wyraz człowieka zdradzonego, na czole zaś krople potu.

— Jestem za mostem, a przeciwko tobie — powiedziała kobieta. — Nic więcej.

— Ja też jestem za mostem — odezwał się mężczyzna o płaskiej twarzy i złamanym nosie, rozgniatając papierosa o stół.

— Mnie most nic nie obchodzi — powiedział jeden z braci. — Jestem za *mujer* Pabla.

— Ja również — rzekł drugi brat.

— Ja również — oświadczył Cygan.

Robert Jordan obserwował Pabla i jednocześnie opuszczał prawą rękę coraz niżej i niżej, gotów na wszelki wypadek, nieomal pragnąc, żeby to się okazało konieczne — (czując, że tak może byłoby najprościej i najłatwiej, ale nie chcąc psuć tego, co poszło tak dobrze i pamiętając, jak szybko cała rodzina, cały klan czy cała banda może podczas kłótni obrócić się przeciwko obcemu, i myśląc zarazem, że to, co mógłby zrobić tą ręką, byłoby najprostsze, najlepsze i chirurgicznie najsłuszniejsze, skoro już do tego doszło) — i patrzał na kobietę Pabla, i widział, że rumieniła się dumnie, radośnie, zdrowo, w miarę jak jej składano te zapewnienia wierności.

— Ja jestem za Republiką — powiedziała uszczęśliwiona. — A Republika to most. Później będziemy mieli czas na inne projekty.

— Ty! — rzekł z goryczą Pablo. — Ty ze swoją głową byka i sercem kurwy. Myślisz, że będzie jakieś „później" po tym moście? Wyobrażasz sobie, co się wtedy stanie?

— To, co się musi stać — odpowiedziała kobieta. — Co ma się stać, to się stanie.

— A dla ciebie to nic, że zaczną cię ścigać jak zwierzę po tej sprawie, z której nie będziemy mieli żadnej korzyści? Ani też, że można przy tym zginąć?

— Nic — odparła kobieta. — I nie próbuj mnie nastraszyć, tchórzu.

— Tchórzu — powtórzył gorzko Pablo. — Przezywasz człowieka od tchórzów dlatego, że ma taktyczne wyczucie. Dlatego, że potrafi z góry przewidzieć skutki jakiejś głupoty. Nie jest tchórzostwem poznać się na tym co głupie.

— Ani nie jest głupie poznać się na tchórzostwie — dokończył Anselmo nie mogąc się oprzeć chęci wypowiedzenia tego zdania.

— Masz ochotę zginąć? — zapytał go poważnie Pablo, a Robert Jordan wyczul, jak nieretoryczne jest to pytanie.

— Nie.

— To trzymaj język za zębami. Za dużo gadasz o rzeczach, na których się nie rozumiesz. Nie widzisz, że to poważna sprawa? — zapytał niemal żałośnie. — Czy tylko ja jeden widzę całą jej powagę?

Zdaje się, że tak — pomyślał Robert Jordan. — Zdaje się, że tak, Pablo, mój stary. Z wyjątkiem mnie. Ty to widzisz i ja widzę, i ta kobieta też wyczytała to w mojej dłoni, ale jeszcze tego nie widzi. Nie, jeszcze nie widzi.

— Czy ja na darmo jestem przywódcą? — pytał Pablo. — Wiem, co mówię. A wy nie. Stary plecie głupstwa. On jest tylko gońcem i przewodnikiem cudzoziemców. Ten cudzoziemiec przychodzi tutaj, żeby coś zrobić dla dobra cudzoziemców. Dla jego dobra chcą nas poświęcić. Ja jestem za dobrem i bezpieczeństwem wszystkich.

— Bezpieczeństwo! — powiedziała kobieta Pabla. — Nie ma takiej rzeczy, jak bezpieczeństwo. Teraz tylu szuka tu bezpieczeństwa, że zaczyna być bardzo niebezpiecznie. Przez to szukanie bezpieczeństwa traci się wszystko.

Stała obok stołu trzymając chochlę w ręce.

— Jest bezpieczeństwo — odparł Pablo. — Wpośród niebezpieczeństwa bezpieczeństwem jest wiedzieć, ile można zaryzykować. To tak jak toreador, który wiedząc, co robi, nie ryzykuje bez potrzeby i wychodzi cało.

— Dopóki go byk nie przebodzie — odrzekła ze złością. — Ileż to razy słyszałam matadorów, co tak gadali, zanim dostali rogami. Ile razy słyszałam, jak Finito mówił, że wszystko polega na znajomości rzeczy i że byk nigdy nie przebija człowieka, a tylko sam człowiek nadziewa się na rogi. Zawsze tak gadają w swoim zuchwalstwie przed oberwaniem rogami. A potem odwiedzamy ich w klinice. — Zaczęła udawać wizytę u łoża chorego. — Jak się masz, stary, jak się masz! — huknęła. A potem: — *Buenas, compadre*[5]. Co słychać, Pilar? — naśladując słaby glos rannego toreadora, — Jakże to się stało, Finito. *Chico*[6], jak ci się przydarzył ten obrzydliwy wypadek? — zagrzmiała swoim zwykłym głosem. I znowu cicho, z osłabieniem: — To nic, Pilar, to nic. Nie powinno było się zdarzyć. Zabiłem go doskonale, rozumiesz? Nikt nie potrafiłby zabić go lepiej. I kiedym go zabił dokładnie tak, jak należy, a on był już całkiem nieżywy i chwiał się na nogach, gotów runąć na ziemię własnym ciężarem, odszedłem nie bez pewnego zuchwalstwa i bardzo stylowo, a on mi wbił z tyłu róg między półdupki, aż wylazł przez wątrobę. — Roześmiała się, przestała przedrzeźniać zniewieściały głos

[5] *Buenas, compadre* (hiszp.) — Cześć, przyjacielu (forma skrócona powitania buenos dias — dzień dobry albo buenas noches — dobranoc).
[6] *Chico* (hiszp..) – chłopcze.

toreadora i znowu huknęła: — Ach ty, razem z twoim bezpieczeństwem! To ja po to przez dziewięć lat żyłam z trzema najgorzej płatnymi matadorami świata, żeby nic nie wiedzieć o strachu i bezpieczeństwie? Gadaj mi, o czym chcesz, byle nie o bezpieczeństwie. A ty sam? Ileż złudzeń miałam co do ciebie i co z nich zostało? Przez jeden rok wojny zrobiłeś się leń, pijak i tchórz.

— Nie masz prawa tak mówić — powiedział Pablo. — Tym bardziej wobec innych i wobec obcego.

— Właśnie, że będę tak mówiła — ciągnęła kobieta. — A bo to nie słyszałeś? Wciąż ci się zdaje, że ty tutaj dowodzisz?

— Tak — odparł Pablo. — Tutaj ja dowodzę.

— Niech ci się nie śni — odrzekła. — Tutaj dowodzę ja! Nie słyszałeś *la gente*? Tu nikt nie dowodzi prócz mnie. Możesz zostać, jeżeli chcesz zjadać nasze pożywienie i pić nasze wino, byleby nie za dużo, i pomagać w robocie, jeśli taka twoja wola. Ale tutaj ja teraz dowodzę.

— Powinienem zastrzelić i ciebie, i cudzoziemca — rzekł ponuro Pablo.

— Ano spróbuj — odparła kobieta — to zobaczysz, co będzie.

— Poproszę o kubek wody — odezwał się Robert Jordan nie spuszczając oka z posępnej, masywnej głowy Pabla i ze stojącej przed nim dumnie i ufnie kobiety, która trzymała wielką chochlę władczo niczym buławę.

— Maria! — zawołała kobieta Pabla, a kiedy dziewczyna stanęła w wejściu, dodała: — Wody dla tego towarzysza.

Robert Jordan sięgnął po flaszkę i wyciągając ją z kieszeni poluzował pistolet w kaburze i przesunął go na udo. Znowu nalał absyntu do swego kubka, następnie wziął ten, który przyniosła dziewczyna, i zaczął po trochu dolewać wody. Maria przypatrywała się temu stojąc za jego ramieniem.

— Na dwór — powiedziała do niej kobieta Pabla, wskazując wyjście chochlą.

— Na dworze zimno — odrzekła dziewczyna, przybliżając policzek do twarzy Jordana i zaglądając do kubka, w którym trunek mętniał od wody.

— Możliwe — powiedziała tamta. — Ale tu za gorąco. — Potem dodała łagodnie: — To długo nie potrwa.

Dziewczyna kiwnęła głową i wyszła.

Nie sądzę, żeby on to wiele dłużej znosił — pomyślał Robert Jordan. Jedną ręką trzymał kubek, a druga spoczywała już teraz jawnie na pistolecie. Odsunął

bezpiecznik i z ulgą czuł pod dłonią starą, kratkowaną kolbę, wyślizganą prawie na gładko, i dotykał przyjemnej, chłodnej obłości kabłąka spustowego. Pablo nie patrzał teraz na niego, tylko na kobietę. Ta mówiła dalej:

— Posłuchaj mnie, pijaku. Rozumiesz, kto tu dowodzi?

— Ja dowodzę.

— Nie. Słuchaj. Wydłub sobie wosk z tych włochatych uszu. Posłuchaj dobrze. Ja tu dowodzę.

Pablo patrzał na nią i po jego twarzy nie można było poznać, co myśli. Patrzał uparcie, a potem spojrzał nad stołem na Roberta Jordana. Przyglądał mu się długo, w zamyśleniu, po czym znów przeniósł wzrok na kobietę.

— Dobrze. Ty dowodzisz — powiedział. — A jeżeli chcesz, on także może dowodzić. I oboje możecie iść do diabla. — Patrzał jej teraz prosto w oczy i najwyraźniej ani nie czul się ujarzmiony, ani też nie przejmował się nią zbytnio. — Możliwe, że jestem leniwy i że za dużo piję. Możesz sobie uważać mnie za tchórza, tylko że w tym się mylisz. Ale głupi nie jestem. — Przerwał. — Dowodź sobie i niech ci z tym będzie dobrze. A teraz, jeżeli jesteś nie tylko dowódcą, ale i kobietą, daj nam coś do zjedzenia.

— Maria! — zawołała kobieta Pabla.

Dziewczyna wytknęła głowę zza derki wiszącej u wylotu jaskini.

— Wejdź już i podaj kolację.

Dziewczyna podeszła do niskiej ławy ustawionej przy palenisku, zebrała emaliowane miski i przyniosła je do stołu.

— Jest dosyć wina dla wszystkich — powiedziała kobieta Pabla do Roberta Jordana. — Nie zwracaj uwagi na to, co gada ten pijak. Jak tego nie starczy, dostaniemy więcej. Wykończ tę dziwną rzecz, którą popijasz, i nalej sobie w kubek wina.

Robert Jordan przełknął resztę absyntu czując, jak ten łyk rozgrzewa go delikatnym, aromatycznym, wilgotnym, wywołującym chemiczne zmiany ciepłem i nadstawił kubek. Dziewczyna nalała mu do pełna i uśmiechnęła się.

— No i co? Obejrzeliście most? — zapytał Cygan. Pozostali, którzy nie otwierali ust od chwili zmiany zwierzchnictwa, pochylili się teraz nad stołem, aby posłuchać.

— Tak — odpowiedział Robert Jordan. — To będzie łatwa robota. Chcecie, żebym wam pokazał?

— Tak, człowieku. Z wielką ochotą.

Robert Jordan wyjął notes z kieszeni koszuli i pokazał im szkice.

— Patrzajcie, jakie podobne — odezwał się mężczyzna o płaskiej twarzy, którego nazywano Primitivo. — Żywcem ten most.

Robert Jordan wskazując końcem ołówka wyjaśniał, jak trzeba wysadzić most i dlaczego należy tak porozmieszczać ładunki.

— Co za prostota! — powiedział jeden z braci, ten z blizną, który nazywał się Andrés. — Ale jak się je odpala?

Robert Jordan wytłumaczył i to, i kiedy im pokazywał, poczuł na ramieniu rękę przypatrującej się dziewczyny. Kobieta Pabla przyglądała się także. Tylko Pablo nie zdradzał żadnego zaciekawienia; siedział na osobności z kubkiem wina, który ciągle zanurzał w wielkiej misie napełnionej przez Marię z bukłaka wiszącego na lewo od wejścia do jaskini.

— Dużo takich rzeczy robiłeś? — zapytała cicho dziewczyna.

— Owszem.

— I będziemy mogli zobaczyć, jak to robisz?

— Tak. Czemu nie?

— Zobaczycie — odezwał się Pablo z końca stołu. — Zdaje się, że zobaczycie.

— Zamknij się — powiedziała kobieta, a potem przypomniawszy sobie nagle, co dojrzała po południu na dłoni Jordana, wpadła w dziki bezmyślny gniew. — Zamknij się, tchórzu! Zamknij się, kruku, co kraczesz! Zamknij się, morderco!

— Dobrze — odpowiedział Pablo. — Zamknę się. Teraz ty tutaj dowodzisz i możecie sobie dalej oglądać te ładne obrazki. Ale pamiętaj, żem nie głupi.

Kobieta Pabla poczuła, że jej wściekłość zmienia się w smutek, w świadomość rozwiewania się wszelkich nadziei i oczekiwań. Znała to uczucie od czasów, gdy była jeszcze młodą dziewczyną, i wiedziała, co je wywoływało w ciągu całego jej życia. Przyszło teraz niespodziewanie i odsunęła je od siebie nie chcąc dopuścić, aby dotknęło jej czy też Republiki, i powiedziała:

— Teraz coś zjemy. Nakładaj z garnka na miski, Maria.

V

Robert Jordan odchylił końską derkę zawieszoną u wejścia do jaskini, wyszedł i głęboko odetchnął zimnym, nocnym powietrzem. Mgła ustąpiła i pokazały się gwiazdy. Nie było wiatru i teraz, na dworze, wyszedłszy z ciepłej jaskini, gdzie powietrze było ciężkie od dymu tytoniu i węgla drzewnego, od zapachu gotowanego ryżu i mięsa, szafranu, pieprzu i oliwy, od smolistej, winnej woni ogromnego skórzanego bukłaka zawieszonego przy wejściu za szyję, z rozstawionymi czterema nogami i zatkniętym w jedną z nich szpuntem do ściągania wina, którego krople kapały na ziemię tłumiąc zapach kurzu — z dala od aromatu przeróżnych ziół, których nazw nie znał, a które wisiały pękami u sklepienia razem z długimi warkoczami czosnku, z dala od metalicznej woni czerwonego wina i czosnku, potu końskiego i zaschniętego na ubraniu potu ludzi siedzących przy stole (ludzki pot pachnie cierpko i szaro, a przyschły, zeskrobany zgrzebłem pot koński słodko i mdło) — znalazłszy się na dworze Robert Jordan głęboko odetchnął czystym, nocnym powietrzem górskim, pachnącym sosnami i rosą pokrywającą trawę na łące przy strumieniu. Odkąd wiatr ustał, rosa spadła obficie, ale stojąc tam pomyślał, że rano pewnie będzie przymrozek.

Kiedy tak stal i oddychając głęboko wsłuchiwał się w noc, dosłyszał najpierw dalekie strzały, a potem krzyk sowy gdzieś niżej między drzewami, gdzie była zagroda dla koni. Następnie z jaskini doleciał głos Cygana, który zaczął śpiewać, i ciche pobrzękiwanie gitary.

— „Wziąłem po ojcu dziedzictwo" — wzbił się i zawisł zgrubiony sztucznie glos. A potem ciągnął:

Księżyc to był i słońce
I choć po świecie się błąkam,
Przenigdy go nie roztrwonię.

Struny gitary zabrzmiały pochwalą śpiewaka. Robert Jordan usłyszał, że ktoś powiedział:

— Dobra! A teraz zaśpiewaj nam o Katalończyku, Cyganie.

— Nie.

— Tak. Tak! O Katalończyku.

— Niech będzie — odrzekł Cygan i zanucił żałobnie:

Nos płaski mam
I czarną twarz,
Lecz jednak ze mnie mężczyzna.

— *Olé* — zawołał ktoś. — Dalej Cyganie! Głos Cygana wzniósł się, tragiczny i drwiący:

Bogu dziękuję, żem Murzyn,
Nie żaden Katalończyk!

— Za dużo hałasu — odezwał się głos Pabla. — Cicho bądź Cygan!

— Tak — odezwała się kobieta. — Za dużo robisz hałasu. Mógłbyś zwołać *guardia civil* tym głosem, ale i tak nie jest za dobry.

— Znam inną piosenkę — powiedział Cygan i gitara brzęknęła znowu.

— Zostaw ją na później — odrzekła kobieta.

Gitara zamilkła.

— Nie jestem dzisiaj przy głosie, więc nic nie tracicie — powiedział Cygan i odsunąwszy derkę wyszedł w ciemność.

Robert Jordan obserwował go, jak szedł do drzewa, a potem zbliżał się do niego.

— Roberto — odezwał się cicho Cygan.

— Tak, Rafaelu — odpowiedział. Po głosie poznał, że wino podziałało na Cygana. On sam wypił dwa absynty i sporo wina, ale umysł miał jasny i chłodny po pełnym napięcia starciu z Pablem.

— Dlaczegoście nie zabili Pabla? — zapytał bardzo cicho Cygan.

— A czemu miałem go zabić?

— Będziecie musieli, wcześniej czy później. Dlaczego nie dogadzała wam ta chwila?

— Mówicie poważnie?

— A wy myślicie, że na co wszyscy czekali? Jak wam się zdaje, dlaczego kobieta wyprawiła dziewczynę z jaskini? Uważacie, że można będzie dalej tak ciągnąć po tym, co się powiedziało?

— To wy go wszyscy wspólnie zabijcie.

— *Qué va* — odrzekł spokojnie Cygan. — To wasza sprawa. Parę razy spodziewaliśmy się, że go zabijecie. Pablo nie ma przyjaciół.

— Miałem ten zamiar — powiedział Robert Jordan. — Ale się rozmyśliłem.

— Pewnie, każdy to widział. Wszyscy zauważyli wasze przygotowania. Dlaczegoście tego nie zrobili?

— Myślałem, że może to być przykre wam albo kobiecie.

— *Qué va*. Kobieta czekała jak kurwa na lepszych gości. Młodszyś, niż się wydajesz.

— Możliwe.

— Zabijcie go teraz.

— To byłoby morderstwo.

— Tym lepiej — powiedział bardzo cicho Cygan. — Mniejsze niebezpieczeństwo. No, dalej. Zabijcie go teraz.

— W ten sposób nie mogę. To dla mnie wstrętne, a poza tym nie tak trzeba działać dla sprawy.

— Więc go zaczepcie — rzekł Cygan. —Przecież musicie go zabić. Nie ma innej rady.

Gdy to mówili, między drzewami przeleciała miękko, bezgłośnie sowa. Opadła gdzieś za nimi, potem znowu się wzbiła, lecz chociaż szybko trzepotała skrzydłami, pióra polującego ptaka nie wydawały żadnego szelestu.

— Patrzajcie na nią — powiedział w ciemnościach Cygan. — Tak powinni poruszać się ludzie.

— A w dzień siedzi oślepła na drzewie, z wronami dookoła — odparł Robert Jordan.

— Rzadko — rzekł Cygan. — I tylko przypadkiem. Zabijcie go — ciągnął. — Nie czekajcie, aż będzie za trudno.

— Teraz już moment minął.

— Wywołajcie go znowu — powiedział Cygan. — Albo skorzystajcie z tego, że teraz jest spokój.

Derka zasłaniająca wejście do jaskini uchyliła się i z wnętrza padło światło. Ktoś szedł ku miejscu, gdzie stali.

— Piękna noc — powiedział niskim, głuchym głosem. — Będziemy mieli ładną pogodę.

Był to Pablo.

Palił rosyjskiego papierosa i kiedy się zaciągnął, ukazała się w żarze jego okrągła twarz. W świetle gwiazd widzieli jego masywną postać o długich rękach.

— Nie zwracajcie uwagi na kobietę — powiedział do Roberta Jordana. W mroku rozżarzył się jasno jego papieros, a potem ognik opuścił się razem z dłonią. — Czasami trudno dojść z nią do ładu. Ale ona jest dobra. Bardzo wierna Republice. — Ognik papierosa drgał lekko, kiedy to mówił. Musi mówić z papierosem w kącie ust — pomyślał Robert Jordan. — Nie powinno być między nami trudności. Przecież się zgadzamy. Cieszę się, żeście do nas przyszli. — Papieros rozżarzył się jasno. — Nie zwracajcie uwagi na te spory — ciągnął Pablo. — Radzi wam tu jesteśmy.

— Teraz przeproszę was — powiedział. — Idę sprawdzić, jak uwiązali konie.

Poszedł między drzewami ku skrajowi łączki, a oni usłyszeli dobiegające z dołu rżenie konia.

— Widzicie — powiedział Cygan. — Teraz widzicie? Tak wam uciekła sposobność.

Robert Jordan milczał.

— Ja tam idę — powiedział gniewnie Cygan.

— Po co?

— *Qué va*, po co. Żeby mu przynajmniej nie dać uciec.

— A on może uciec konno stamtąd, z dołu?

— Nie.

— Więc idźcie w takie miejsce, gdzie można go zatrzymać.

— Tam jest Agustin.

— To pójdźcie pogadać z Agustinem. Powiedzcie mu, co się stało.

— Agustin zabije go z przyjemnością.

— Tym lepiej — odparł Robert Jordan. — Więc idźcie do niego i opowiedzcie wszystko, jak było.

— A potem?

— Ja zejdę na łąkę zobaczyć, co on robi.

— Dobrze, człowieku. Dobrze. — W ciemnościach nie widział twarzy Rafaela, ale czuł, że ten się uśmiecha. — Teraz widać, żeście się wzięli w kupę — dokończył z uznaniem Cygan.

— Idźcie do Agustina — powiedział Robert Jordan.

— Tak, Roberto, idę — odrzekł Cygan.

Robert Jordan ruszył między sosnami ku skrajowi łąki, posuwając się po omacku od drzewa do drzewa. Spojrzawszy w mroku na otwartą przestrzeń, rozjaśnioną światłem gwiazd, dostrzegł ciemne sylwetki uwiązanych koni. Przeliczył je wszystkie, tak jak stały rozproszone między nim a strumieniem. Było ich pięć. Siadł u stóp sosny i popatrzał na łąkę.

Jestem zmęczony — myślał — i może nie mam właściwego osądu. Ale obowiązkiem moim jest most i aby to wypełnić, nie wolno mi narażać się niepotrzebnie przed wykonaniem zadania. Oczywiście czasem większym ryzykiem bywa przepuszczenie sposobności, z której powinno się skorzystać, ale dotąd tak robiłem chcąc, aby rozwój wypadków szedł swoim torem. Jeżeli to prawda, co mówił Cygan, jakoby spodziewali się, że zabiję Pabla, to powinienem był go zabić. Ale dla mnie ani przez chwilę nie było jasne, że się tego istotnie spodziewają. Dla cudzoziemca bardzo niedobrze jest zabijać tam, gdzie później będzie musiał pracować z ludźmi. Można to zrobić podczas akcji albo w oparciu o dostateczną dyscyplinę, ale chyba w tym wypadku byłoby to bardzo złe, choć miałem pokusę i wydawało mi się, że to będzie najkrótsza i najprostsza droga. Jednakże nie sądzę, aby cokolwiek w tym kraju było aż tak krótkie czy proste i chociaż ufam bezwzględnie tej kobiecie, nie potrafiłbym przewidzieć, jak by zareagowała na coś tak drastycznego. Człowiek konający w takim miejscu może być bardzo szpetny, wstrętny i odrażający. Nie wiadomo, jak by zareagowała. Bez niej nie byłoby tu ani organizacji, ani żadnej dyscypliny, a z nią może być bardzo dobrze. Idealnie byłoby, gdyby go sama zabiła albo gdyby to zrobił Cygan (tylko że nie zrobi) czy ten wartownik, Agustin. Anselmo zabije go, jeżeli tego zażądam, mimo że, jak powiada, jest przeciwny wszelkiemu zabijaniu. Zdaje się, że go nienawidzi, a mnie już ufa i wierzy we mnie jako przedstawiciela tego wszystkiego, w co wierzy w ogóle. O ile mogę się zorientować, tylko on i ta kobieta naprawdę wierzą w Republikę, ale jest jeszcze za wcześnie, żeby to wiedzieć na pewno.

Kiedy jego wzrok przywykł do światła gwiazd, dostrzegł Pabla stojącego przy jednym z koni. Koń pasł się i podniósł łeb, lecz zaraz opuścił go niecierpliwie. Pablo stał oparty o konia posuwając się razem z nim, w miarę jak zataczał koło na lince, i

klepiąc go po szyi. Te czułości niecierpliwiły pasącego się konia. Robert Jordan nie mógł dojrzeć, co robi Pablo, ani dosłyszeć, co mówi do konia, ale widział, że go nie odwiązuje ani nie siodła. Siedział obserwując go i starał się jasno przemyśleć swój problem.

— Ty mój wielki, poczciwy koniku — mówił w ciemnościach Pablo do konia, który był owym dużym ogierem-kasztanem. — Ty moja piękności o białej głowie. Ty z wielką szyją, wygiętą jak wiadukt w moim *pueblo*[7]. — Przerwał. — Tylko jeszcze bardziej wygiętą i o wiele piękniejszą. — Koń szczypał trawę szarpiąc łbem w bok, gdy ją wyrywał, i był rozdrażniony obecnością człowieka i jego mówieniem.

— Ty nie jesteś kobietą ani głupcem — mówił Pablo do kasztana. — Ach ty, ty, ty mój wielki koniku. Nie jesteś kobietą podobną do rozpalonej skały. Nie jesteś klaczką-dziewczyną o postrzyżonej głowie i ruchach źrebięcia jeszcze mokrego od matki. Nie lżysz, nie kłamiesz i nie rozumiesz źle. Och, ty mój dobry, mały koniku!

Dla Roberta Jordana byłoby bardzo ciekawe usłyszeć, co Pablo mówił do kasztana, ale nie usłyszał, gdyż przekonawszy się, iż tamten tylko dogląda koni, uznał, że nie byłoby wskazane zabić go teraz, i podniósłszy się z ziemi zawrócił do jaskini. Pablo został na łące i jeszcze długo przemawiał do ogiera. Ten nic z tego nie rozumiał i tylko po tonie zgadywał, że są to czułości, a ponieważ stal w zagrodzie od rana i był głodny, więc niecierpliwie szczypał trawę naciągając linkę, rozdrażniony obecnością człowieka. Wreszcie Pablo przeniósł kołek w inne miejsce i stanął w milczeniu obok konia. Ten pasł się dalej widząc z ulgą, że człowiek przestał mu się naprzykrzać.

[7] *pueblo* (hiszp.) - miasteczko.

VI

Wróciwszy do jaskini Robert Jordan usiadł w kącie przy ogniu na jednym z krytych surową skórą zydli i słuchał, co mówiła kobieta. Zmywała naczynia, a dziewczyna wycierała je i przyklękając ustawiała w wydrążeniu w ścianie, którego używano jako półki.

— Dziwne, że El Sordo nie przyszedł — powiedziała kobieta. — Powinien już tu być od godziny.

— Daliście mu znać, że ma przyjść?

— Nic. Przychodzi co wieczór.

— Może jest czymś zajęty. Jakąś robotą.

— Możliwe — odparła. — Jeżeli się nie zjawi, musimy jutro pójść do niego.

— Tak. Czy to daleko stąd?

— Nie. Będzie doskonała wycieczka. Brak mi ruchu.

— A ja mogę pójść? — spytała Maria. — Mogę pójść z wami, Pilar?

— Możesz, pięknotko — odrzekła kobieta, a potem, obróciwszy do Roberta Jordana swoją szeroką twarz, zapytała: — No, czy ona nie śliczna? Jak ci się wydala? Trochę za chuda, co?

— Dobrze mi się wydała — odpowiedział Robert Jordan. Maria napełniła mu kubek winem.

— Wypijcie to — rzekła. — Po tym wydam wam się jeszcze lepiej. Trzeba dużo tego wypić, żebym się wydała piękna.

— To chyba przestanę pić — rzekł Robert Jordan. — Bo już mi się wydajesz piękna, a nawet więcej.

— Tak trzeba gadać — powiedziała kobieta..— Mówicie jak ci najlepsi. I co jeszcze o niej myślicie?

— Inteligentna — powiedział nieporadnie Robert Jordan.

Maria zachichotała, a kobieta smutnie pokiwała głową.

— Tak dobrze zaczynacie, a jak to się skończy, don[8] Roberto?

— Nie nazywajcie mnie „don Roberto".

[8] *don* (hiszp.) - pan

— To żart. My tutaj mówimy żartem „don Pablo". Podobnie jak żartem mówimy „señorita[9] Maria".

— Ja takich żartów nie robię — odparł Robert Jordan. — Moim zdaniem podczas tej wojny każdego trzeba na serio nazywać camarada[10]. Od żartów zaczyna się zgnilizna.

— Bardzoś religijny w sprawach polityki — zakpiła kobieta. — Nigdy nie robisz żartów?

— I owszem. Bardzo lubię żarty, ale nie w formie zwracania się do innych. To jest jak sztandar.

— Ja mogłabym robić żarty i ze sztandaru. Z każdego sztandaru — roześmiała się kobieta. — Dla mnie wszyscy mogą żartować z byle czego. Dawną czerwono-żółtą flagę nazywaliśmy krew i ropa. Flagę Republiki, z dodanym fioletem, nazywamy krew, ropa i hipermanganikum. To jest żart.

— On jest komunista — powiedziała Maria. — A to bardzo poważna *gente*.

— Jesteście komunistą?

— Nic. Antyfaszystą.

— Od dawna?

— Odkąd zrozumiałem, co to jest faszyzm.

— A to było dawno?

— Prawie dziesięć lat temu.

— To niewiele — powiedziała kobieta. — Ja jestem republikanką już od dwudziestu lat.

— Mój ojciec był republikaninem przez całe życie — rzekła Maria. — Za to go rozstrzelali.

— I mój ojciec też był przez całe życie republikaninem. Tak samo dziadek — powiedział Robert Jordan.

— A w jakim kraju?

— W Stanach Zjednoczonych.

— I rozstrzelali ich?

— *Qué va* — powiedziała Maria. — Stany Zjednoczone to kraj republikanów. Tam nie zabijają za to, że się jest republikaninem.

---

[9] *señorita* (hiszp.) – panna, panienka.
[10] *camarada* (hiszp.) - towarzysz.

— Jednak dobrze mieć dziadka republikanina — rzekła kobieta. — To pokazuje, że się jest z dobrej krwi.

— Mój dziadek należał do krajowego komitetu republikańskiego — powiedział Robert Jordan. To zrobiło wrażenie nawet na Marii.

— A ojciec jeszcze jest czynny w republice? — spytała Pilar.

— Nie. Nie żyje.

— Wolno zapytać, jak umarł?

— Zastrzelił się.

— Żeby uniknąć tortur? — spytała.

— Tak — odrzekł Robert Jordan. — Żeby uniknąć tortur.

Maria spojrzała na niego ze łzami w oczach.

— Mój ojciec — powiedziała — nie mógł dostać broni. O, bardzo jestem rada, że wasz miał tyle szczęścia, by dostać broń.

— Tak. To mu się dosyć udało — rzekł Robert Jordan. — Może pomówimy o czym innym?

— Więc my dwoje jesteśmy tacy sami — powiedziała Maria. Położyła dłoń na jego ręce i zajrzała mu w twarz. Popatrzał na jej smagłe policzki i na oczy, które, odkąd je po raz pierwszy zobaczył, nie były ani przez chwilę tak młode, jak reszta twarzy, natomiast teraz stały się nagle głodne i młode, i spragnione.

— Z wyglądu moglibyście być bratem i siostrą — odezwała się kobieta. — Ale chyba szczęśliwie się składa, że nie jesteście.

— Teraz już wiem, dlaczego tak czułam — powiedziała Maria. — Teraz to jasne.

— *Qué va* — rzekł Robert Jordan i pochyliwszy się przesunął dłonią po jej głowie. Przez cały dzień pragnął to zrobić i teraz uczuł, że coś mu nabrzmiewa w gardle. Poruszyła głową pod jego dłonią i uśmiechnęła się do niego, a on poczuł, jak między palcami przemyka mu gęsta, lecz jedwabista szorstkość przystrzyżonych włosów. Potem dłoń osunęła się na szyję i wtedy ją cofnął.

— Zróbcie to jeszcze raz — powiedziała dziewczyna. — Przez cały dzień chciałam, żebyście to zrobili.

— Później — odrzekł Robert Jordan stłumionym głosem.

— A ja co? — zagrzmiała kobieta Pabla. — Mam się temu przyglądać? I mam tu siedzieć jak drewno? Niemożliwe. Z braku czegoś lepszego niech już wróci Pablo.

Maria nic zwracała uwagi na nią, ani na pozostałych, którzy w świetle świecy grali przy stole w karty.

— Chcecie jeszcze wina, Roberto? — spytała.

— Tak odrzekł. — Czemu nie?

— Będziesz miała pijaka, tak samo jak ja — oświadczyła kobieta Pabla. — Zważywszy ową dziwną rzecz, którą pił kub kiem, i w ogóle. Posłuchaj mnie, Inglés[11].

— Nie Inglés. Amerykanin.

— No to słuchaj, Amerykanin. Gdzie ty myślisz spać?

— Na dworze. Mam śpiwór.

— Dobrze — odrzekła. — Noc jest pogodna.

— I będzie chłodna.

— Więc na dworze — powiedziała. — Śpij sobie na dworze. A twoje materiały mogą spać ze mną.

— Dobrze — odparł Robert Jordan. — Zostaw nas na chwilę — zwrócił się do dziewczyny kładąc jej rękę na ramieniu.

— Czemu?

— Chcę pomówić z Pilar.

— Muszę odejść?

— Tak.

— O co chodzi? — spytała kobieta Pabla, kiedy dziewczyna odeszła do wylotu jaskini, gdzie przystanęła obok wielkiego bukłaka przyglądając się grającym w karty.

— Cygan mówił, że powinienem był... — zaczął.

— Nie — przerwała mu kobieta. — Mylił się.

— Jeżeli to konieczne, żebym... — powiedział Robert Jordan spokojnie, ale z trudnością.

— To byś to pewnie zrobił — dokończyła. — Nic, nie jest konieczne. Obserwowałam cię. Twój osąd był słuszny.

— Jednak jeżeli trzeba...

— Nie — powtórzyła. — Mówię ci, że nie trzeba. Mózg Cygana jest przegniły.

— Ale człowiek może być bardzo niebezpieczny w swojej słabości.

— Nie. Ty tego nie rozumiesz. W tamtym nie zostało już nic niebezpiecznego.

[11] *Inglés* (hiszp.) - Anglik.

— Nie rozumiem.

— Jeszcześ bardzo młody — powiedziała. — Z czasem zrozumiesz. — A potem do dziewczyny: — Chodź, Maria. Już skończyliśmy gadać.

Dziewczyna podeszła, a Robert Jordan wyciągnął rękę i pogładził ją po głowie. Przeciągnęła się pod jego dłonią jak kot. Przez chwilę miał wrażenie, że zbiera jej się na płacz. Ale wygięte kąciki warg podniosły się znowu i spojrzała na niego z uśmiechem.

— Mądrze byś zrobił kładąc się teraz spać — powiedziała kobieta do Roberta Jordana. — Masz za sobą długą drogę.

— Dobrze — odparł. — Pójdę po swoje rzeczy.

VII

Zasnął w śpiworze i jak mu się wydało, spał dosyć długo. Śpiwór rozłożony był na leśnej ziemi, pod osłoną skał za wejściem do jaskini. Robert Jordan obrócił się przez sen i poczuł, że go uwiera pistolet, który uwiązał linewką do napięstka, i położył przy sobie, kiedy zasypiał czując zmęczenie w ramionach i grzbiecie, schodzony, z mięśniami tak naciągniętymi od wysiłku, że ziemia wydawała mu się miękka, a samo rozprostowanie się pod flanelowym podbiciem śpiwora było pełną znużenia rozkoszą. Zbudziwszy się nie wiedział w pierwszej chwili, gdzie jest, potem przypomniał sobie, wyciągnął pistolet spod boku i z satysfakcją ułożył się znowu do snu przytrzymując zagłówek zrobiony z ubrania, w które starannie zawinął swoje trepy na sznurkowych podeszwach. Objął ręką zagłówek.

Wtedy poczuł czyjąś dłoń na ramieniu i szybko obrócił się chwytając prawą ręką pistolet.

— Ach, to ty — powiedział, puścił pistolet, wysunął na zewnątrz obie ręce i przyciągnął ją do siebie. Obejmując ją czuł, jak drżała.

— Wejdź do środka — powiedział cicho. — Tam ci zimno.

— Nie. Nie powinnam.

— Wejdź — powtórzył. — O tym możemy pomówić później.

Drżała, a on trzymał ją jedną ręką za przegub, drugą zaś lekko obejmował. Odwróciła głowę.

— Wejdź, króliczku — powiedział i pocałował ją w szyję.

— Boję się.

— Nie bój się. Wejdź.

— Jak?

— A wśliźnij się do środka. Tu jest dużo miejsca. Chcesz, to ci pomogę.

— Nie — odpowiedziała i w następnej chwili już była w śpiworze, on objął ją mocno i usiłował pocałować w usta, a ona wtuliła twarz w zagłówek ze zwiniętego ubrania, ale zaplotła mu ręce na szyi. Potem uczuł, że jej ręce rozluźniają się i że znów drży w jego objęciach.

— Nie — rzekł i roześmiał się. — Nie bój się. To pistolet.

Wyciągnął go i przesunął za siebie.

— Wstydzę się — szepnęła odwracając twarz.

— Nie trzeba. No, proszę cię.

— Nie, nie powinnam. Wstyd mi i boję się.

— Nie. Proszę cię, króliczku.

— Nie powinnam. Jeżeli mnie nie kochasz.

— Kocham cię.

— I ja cię kocham. Och, kocham. Połóż mi rękę na głowie — powiedziała wciąż odwrócona, z twarzą w poduszce. Pogładził ją po włosach i wtedy nagle oderwała głowę od poduszki i znalazła się w jego objęciach, przywarła do niego, przytuliła twarz do jego twarzy i rozpłakała się.

Trzymał ją mocno, bez ruchu, czując długą smukłość młodego ciała, gładził ją po głowie i scałowywał słoną wilgotność z oczu, a kiedy szlochała, czuł krągłe, jędrne piersi dotykające go przez koszulę.

— Nie umiem całować — szepnęła. — Nie wiem jak.

— Nie musisz całować.

— Tak. Muszę. Muszę robić wszystko.

— Nie, nie trzeba. Tak jest nam dobrze. Ale masz na sobie dużo ubrania.

— To co mam zrobić?

— Pomogę ci.

— Tak lepiej?

— Lepiej. O wiele. A tobie nie?

— Mnie też. Dużo lepiej. I będę mogła pójść z tobą, tak jak mówiła Pilar?

— Tak.

— Ale nie do domu dla dziewcząt. Z tobą.

— Nie. Do takiego domu.

— Nie, nie i nie. Z tobą i będę twoją kobietą.

Gdy tak leżeli, to, co dotąd było zakryte, zostało odsłonięte. Tam, gdzie przedtem czuli szorstkość materiału, wszystko było samą gładkością, twardym, krągłym uściskiem i smukłym, ciepłym chłodem, chłodnym z wierzchu, a ciepłym od środka, smukłe i lekkie, mocno objęte i obejmujące, samotne, przywarte każdym zarysem ciała, szczęśliwe, młode i rozkochane, ciepłe i gładkie, pełne takiej drążącej,

bolesnej, mocno tulonej samotności, iż Robert Jordan poczuł, że dłużej tego nie wytrzyma, i spytał:

— Kochałaś już innych?

— Nigdy.

A potem, niespodziewanie, martwiejąc w jego ramionach:

— Ale robili mi różne rzeczy.

— Kto?

— Rozmaici.

Leżała bez ruchu, jakby jej ciało było martwe, i odwróciła twarz.

— Teraz nie będziesz mnie kochał.

— Kocham cię — odparł.

Ale coś się z nim stało i ona to czuła.

— Nie — powiedziała, a głos miała głuchy i płaski. — Nie będziesz mnie kochał. Ale może zabierzesz mnie do takiego domu. A ja tam pójdę i nigdy nie będę twoją kobietą ani niczym.

— Kocham cię, Maria.

— Nie. To nieprawda — odrzekła. A potem, jako ostami argument, żałośnie i z nadzieją:

— Ale ja nigdy nie całowałam żadnego mężczyzny.

— To pocałuj mnie teraz.

— Chciałam — odparła — ale nie wiem jak. Kiedy mi tamto robili, broniłam się, póki nie oślepiam. Szamotałam się, dopóki... dopóki... dopóki jeden nie usiadł mi na głowie... wtedy go ugryzłam... i potem zawiązali mi usta, przytrzymali ręce nad głową... a inni robili mi tamto.

— Kocham cię, Maria — powtórzył. — I nikt ci nic nie robił. Ciebie nic mogą dotknąć. Nikt cię nie tknął, króliczku.

— Wierzysz w to?

— Ja to wiem.

— I możesz mnie kochać? — znów ciepło przytulona do niego.

— Mogę cię kochać tym bardziej.

— Postaram się dobrze cię pocałować.

— Pocałuj mnie troszkę.

— Kiedy nie wiem jak.

— Po prostu pocałuj. Ucałowała go w policzek.

— Nie tak.

— A co się robi z nosami? Zawsze się zastanawiałam, gdzie mieszczą się nosy?

— O patrz, przechyl tak głowę. — Ich wargi przywarły do siebie, ona leżała przyciśnięta do niego, usta rozchylały jej się powoli, a potem, nagle, obejmując ją mocno, poczuł się szczęśliwszy niż kiedykolwiek dotąd, lekko, czule, radośnie, wewnętrznie szczęśliwy, i nie myślał o niczym, nie czuł zmęczenia ani niepokoju, tylko ogromne upojenie i powiedział: — Mój króliczku. Moje kochanie. Moja najmilsza. Moja śliczna.

— Co mówisz? — zapytała jak gdyby z bardzo daleka.

— Moja śliczna — powtórzył.

Leżeli obok siebie, czuł bicie jej serca na swoim i bokiem stopy leciutko pogładził jej stopę.

— Boso przyszłaś? — powiedział.

— Tak.

— Więc wiedziałaś, że idziesz do łóżka.

— Tak.

— I nie bałaś się?

— Owszem. Bardzo. Ale jeszcze bardziej tego, jak to będzie, kiedy przyjdzie zdjąć buty.

— A która teraz godzina? *Lo sabes*?[12]

— Nie. Nie masz zegarka?

— Mam. Ale jest za tobą.

— Wyjmij go stamtąd.

— Nie.

— To spojrzyj nad moim ramieniem.

Była pierwsza. Tarczka błyszczała wewnątrz ciemnego śpiworu.

— Twoja broda drapie mnie w ramię.

— Przepraszam. Nie mam czym się ogolić.

— Mnie to robi przyjemność. Czy ty masz jasny zarost?

[12] *Lo sabes?* (hiszp.) - Wiesz?

— Tak.

— A długi sobie zapuścisz?

— Nie zgolę go przed mostem. Słuchaj, Maria. Czy ty...

— Czy ja co?

— Czy ty chcesz?

— Tak. Wszystko. Proszę cię. Może jeżeli wszystko z sobą zrobimy, tamto nareszcie przestanie istnieć.

— Czyś ty to sama wymyśliła?

— Nie. Ja tak myślę w sobie, ale powiedziała mi Pilar.

— Ona jest bardzo mądra.

— I jeszcze jedno — dodała cicho Maria. — Kazała ci powiedzieć, że nie jestem zarażona. Zna się na takich rzeczach i mówiła, żeby ci to powiedzieć.

— Tak ci kazała?

— Aha. Rozmawiałam z nią i przyznałam się, że cię kocham. Zakochałam się w tobie, kiedy cię dziś zobaczyłam, i kochałam cię zawsze, tylko że dotąd nigdy cię nie widziałam, i zwierzyłam się Pilar, a ona mi powiedziała, że jeżeli kiedyś będę z tobą mówiła o tamtych rzeczach, mam ci powiedzieć, że nie jestem chora. A to drugie mówiła mi już dawno. Zaraz po pociągu.

— I co mówiła?

— Że człowiekowi nie dzieje się nic, póki się z tym nie godzi, i że jeżeli kogoś pokocham, to tamto wszystko ode mnie odejdzie. Bo, widzisz, ja chciałam umrzeć.

— To prawda, co powiedziała.

— A teraz jestem szczęśliwa, że nie umarłam. Taka jestem szczęśliwa, że nie umarłam! I będziesz mógł mnie kochać?

— Tak. Już teraz cię kocham.

— I mogę być twoją kobietą?

— Nie wolno mi mieć kobiety przy tym, co robię. Ale w tej chwili jesteś moja.

— Jeżeli już raz jestem, to będę i dalej. Więc w tej chwili jestem twoją kobietą?

— Tak, Maria. Tak, mój króliczku.

Przytuliła się mocno do niego szukając ustami jego ust; znalazłszy przycisnęła do nich wargi, a on poczuł ją na sobie, świeżą, nową i gładką, młodą i śliczną w swojej

ciepłej, parzącej świeżości, i było nie do wiary, że są razem w tym śpiworze znanym mu tak dobrze jak własne ubranie czy buty, czy służba, i wtedy powiedziała z lękiem:

— A teraz zróbmy prędko, co mamy zrobić, żeby tamto wszystko zniknęło.

— Chcesz?

— Tak — odparła niemal zaciekle. — Tak. Tak. Tak.

VIII

Noc była zimna i Robert Jordan spał twardo. Raz obudził się i kiedy się przeciągnął, uprzytomnił sobie, że jest przy nim dziewczyna, skulona głęboko w śpiworze, oddychająca lekko i miarowo. Było ciemno, niebo twarde i rozjarzone gwiazdami, a powietrze mroźne w nozdrzach; cofnął głowę z zimna, wsunął ją do śpiworu i w jego cieple ucałował gładkie ramię Marii. Nie przebudziła się, a on odsunął się od niej, ułożył na boku i znowu wytknąwszy głowę na chłód leżał chwilę czując przeciągłą, sączącą się rozkosz zmęczenia i gładkie, dotykalne szczęście bliskości ich dwojga ciał. Potem wyprostował nogi wpychając je jak mógł najgłębiej w śpiwór i natychmiast zapadł w sen.

Obudził się o pierwszym brzasku i nie znalazł dziewczyny przy sobie. Budząc się wiedział, że, jej nie ma, i wyciągnąwszy rękę poczuł nagrzane miejsce tam, gdzie leżała. Spojrzał ku wejściu do jaskini, w którym wisiała oszroniona po brzegach derka, i zauważył, że ze szczeliny w skale dobywa się cienkie pasmo szarego dymu świadczące, że już rozpalono ogień pod kuchnią.

Z lasu wyszedł jakiś człowiek w derce zarzuconej na głowę jak poncho. Robert Jordan poznał w nim Pabla, który zbliżał się paląc papierosa. Chodził odprowadzić konie do zagrody — pomyślał.

Pablo podniósł derkę i wszedł do jaskini nie spojrzawszy w jego stronę.

Robert Jordan dotknął lekkiego zamrozu na wytartym, zielonym, cętkowanym jedwabiu balonowym, który stanowił zewnętrzne pokrycie służącego mu już od pięciu lat śpiworu, po czym wsunął się znowu do środka. *Bueno* — powiedział do siebie i czując dobrze znaną pieszczotę flanelowego podbicia szeroko rozstawił nogi, potem złączył je i przekręcił się na bok, tak aby odwrócić twarz od kierunku, w którym, jak wiedział, wschodziło słońce. Qué más da[13], mogę jeszcze trochę pospać.

Spał, dopóki nie zbudził go warkot samolotów.

Leżąc na wznak zobaczył je — faszystowski patrol złożony z trzech Fiatów — drobne, błyszczące, mknące szybko po górskim niebie w kierunku, z którego wczoraj przyszli z Anselmem. Najpierw przeleciały te trzy, potem ukazało się jeszcze dziewięć

[13] *Qué más da* (hiszp.) - tu: co mi zależy.

na znacznie większej wysokości, w drobniutkich, spiczastych formacjach trójek, trójek i trójek.

Pablo i Cygan, zapatrzeni w górę, stali w cieniu u wylotu jaskini i kiedy Robert Jordan leżał tak bez ruchu, pod niebem, które wypełniał wysoki, tętniący łoskot silników, odezwało się nowe, głuche dudnienie i trzy następne samoloty przeleciały niespełna trzysta metrów nad polanką. Były to dwumotorowe bombowce, Heinkle sto jedenaście.

Robert Jordan, leżąc z głową w cieniu skały, wiedział, że go nie mogą dojrzeć, a gdyby nawet dojrzeli, byłoby to obojętne. Zdawał sobie sprawę, że jeśli czegoś szukają w tych górach, mogą zobaczyć konie w zagrodzie. Jeżeli nie szukają niczego, mogą je i tak zauważyć, ale wezmą je naturalnie za wierzchowce własnej kawalerii. A potem rozległ się nowy, głośniejszy łoskot i dalsze trzy Heinkle sto jedenaście ukazały się schodząc ostro, raptownie w dół i przeleciały w sztywnym szyku, a ich pulsujące dudnienie zbliżyło się, przeszło *crescendo* w jakiś absolut huku i oddaliło, kiedy minęły polankę.

Robert Jordan rozwinął zastępujący mu poduszkę węzełek z ubraniem i nałożył koszulę. Trzymał ją właśnie nad głową i obciągał w dół, kiedy usłyszał następne samoloty. Wciągnął spodnie w śpiworze i przypadł nieruchomo, gdy nadleciały trzy dalsze dwumotorowe bombowce Heinkle. Zanim zniknęły za garbem góry, przypasał już pistolet, zwinął śpiwór i ułożył pod skałą, i właśnie siedział pod nią sznurując trepy, kiedy zbliżający się warkot przeszedł w ryk potężniejszy niż wszystko, co było dotychczas, i dziewięć lekkich bombowców Heinkli nadleciało w szyku schodkowym rozszczepiając niebo swym rykiem.

Robert Jordan przesunął się pod skałą do wylotu jaskini, w którym Pablo, jeden z braci, Cygan, Anselmo, Agustin i kobieta stali wyglądając na zewnątrz.

— Czy tędy latały przedtem takie samoloty? — zapytał.

— Nigdy — odparł Pablo. — Wejdźcie, bo was zobaczą.

Słońce nie padło jeszcze na wylot jaskini. Oświetlało dopiero łąkę nad strumieniem i Robert Jordan wiedział, że nie mogli być widoczni w gęstym, porannym cieniu drzew i skał, ale wszedł do jaskini, żeby ich nie denerwować.

— Dużo ich jest — powiedziała kobieta.

— A będzie więcej — dodał Robert Jordan.

— Skąd wiecie? — zapytał podejrzliwie Pablo.

— Za tymi, co teraz leciały, powinny przyjść pościgowce.

Właśnie w tej chwili usłyszeli ich odgłos — cieńsze, jękliwe brzęczenie — i kiedy przelatywały na wysokości około półtora tysiąca metrów, Robert Jordan naliczył piętnaście Fiatów w rozwiniętym szyku, niby klucz dzikich gęsi złożony z klinowatych trójek.

Twarze stojących w wejściu jaskini były poważne i Robert Jordan zapytał;

— Jeszcze nie widzieliście tylu samolotów?

— Nigdy —.odrzekł Pablo.

— A w Segovii nie ma ich dużo?

— Nigdy nie było, zawsześmy widywali po trzy. Czasami sześć myśliwców. Albo po trzy Junkersy, te wielkie, trzymotorowe, a przy nich myśliwce. Takich jak te nie widzieliśmy nigdy.

To niedobrze — pomyślał Robert Jordan. — Naprawdę niedobrze. To jest koncentracja samolotów, za którą kryje się coś bardzo nieprzyjemnego. Muszę posłuchać, gdzie zrzucą bomby. Chociaż nie; nasi nie mogli jeszcze ściągnąć oddziałów do natarcia. Na pewno nie wcześniej niż dzisiaj albo jutro wieczorem. Z całą pewnością. Niemożliwe, żeby coś ruszyli o tej godzinie.

Wciąż jeszcze słyszał oddalający się łoskot. Spojrzał na zegarek. Teraz muszą już być nad liniami, przynajmniej nad pierwszymi. Nacisnął guziczek, wprawiający w ruch wskazówkę sekundową, i patrzał, jak się obraca. Nie, może jeszcze nie. O, teraz. Tak. Już teraz przeszły. Te stojedenastki robią dwieście pięćdziesiąt mil na godzinę. Pięć minut im wystarczy. Teraz muszą być już daleko za przełęczą, pod nimi leży Kastylia, żółta i płowa w porannym świetle, poprzecinana białymi drogami i nakrapiana plamami wiosek, a po polach suną cienie Heinkli, podobnie jak cienie rekinów przesuwają się po piaszczystym dnie oceanu.

— Nie było słychać głuchego dudnienia bomb. Zegarek tykał dalej.

Widać lecą na Colmenar, na Escorial albo nad lotnisko w Manzanares el Real, gdzie nad jeziorem stoi stary zamek, a w sitowiu siedzą kaczki, i gdzie jest sztuczne lotnisko, tuż za prawdziwym, i stoją na wpół zamaskowane makiety samolotów, ze śmigłami obracającymi się na wietrze — myślał Robert Jordan. — Tam musieli polecieć. Nie mogą nic wiedzieć o natarciu — mówił do siebie, a coś w środku odpowiadało mu: — Dlaczego? Przecież wiedzieli o wszystkich innych.

— Myślicie, że dojrzeli konie? — zapytał Pablo.

— Ci nie szukali koni — odpowiedział Robert Jordan.

— Ale zobaczyli je?

— Tylko jeżeli mieli rozkaz ich szukać.

— A mogli widzieć?

— Prawdopodobnie nie — odrzekł Robert Jordan. — Chyba że słońce już padało na drzewa.

— Pada na nie bardzo wcześnie — powiedział ze strapieniem Pablo.

— Mnie się zdaje, że oni mają coś innego na głowie poza waszymi końmi — odparł Robert Jordan.

Minęło już osiem minut, odkąd nacisnął guzik stopera, a wciąż nie było słychać bombardowania.

— Co wy robicie z tym zegarkiem? — zapytała kobieta.

— Słucham, dokąd polecieli.

— Aha.

Po dziesięciu minutach przestał patrzeć na zegarek, gdyż wiedział, że już są za daleko, aby mógł coś usłyszeć, nawet zakładając, że dźwięk musiałby lecieć całą minutę, i rzekł do Anselma:

— Chciałbym z wami pomówić.

Anselmo wysunął się z wejścia do jaskini i obaj odeszli nieco w bok, i stanęli pod sosną.

— *Qué tal?*[14] — zapytał Robert Jordan. — No, jak tam?

— Wszystko dobrze.

— Pojedliście?

— Nie. Jeszcze nikt nie jadł.

— To zjedzcie i weźcie sobie coś do jedzenia na południe. Chcę, żebyście poszli obserwować szosę. Notujcie wszystko, co będzie przejeżdżało w jedną i drugą stronę.

— Nie umiem pisać.

— Nie potrzeba. — Robert Jordan wyrwał dwie kartki z notesu i oberżnął scyzorykiem kawałek ołówka. — Weźcie to i zaznaczajcie czołgi, o tak — narysował wspięty ukośnie czołg. — Róbcie kreskę po każdym, a jak już będą cztery, przekreślcie je w poprzek, żeby zaznaczyć piąty.

[14] *Qué tal?* (hiszp.) - Co słychać?

— My też tak liczymy.

— Dobrze. Dla ciężarówek zróbcie inny znak: dwa koła i pudło. Jeżeli będą puste, rysujcie kółka. Jeżeli pełne żołnierzy, stawiajcie kreskę. Znaczcie działa. Duże — tak. A małe — tak. Zaznaczajcie samochody. I sanitarki. O tak: dwa kółka, pudło, a na nim krzyż. Maszerującą piechotę znaczcie kompaniami, o tak, widzicie? Kwadracik i obok kreski. Kawalerię znowu w ten sposób. O, jak koń. Pudło na czterech nogach. To będzie oddział dwudziestu koni. Rozumiecie? Taki znak na każdy oddział.

— Rozumiem. To pomysłowe.

— A teraz patrzcie. — Narysował dwa duże, podwójne koła i krótką kreskę wyobrażająca lufę działa. — To będą przeciwpancerne. Te na gumowych oponach. Znaczcie je. A to przeciwlotnicze — nakreślił dwa koła i lufę sterczącą skosem do góry. — Te także zaznaczajcie. Rozumiecie? Widzieliście już takie działa?

— Tak — odrzekł Anselmo. — Oczywiście. To jasne.

— Weźcie z sobą Cygana, żeby wiedział, z którego punktu obserwujecie, i mógł was potem zmienić. Wybierzcie sobie jakieś bezpieczne miejsce, nie za blisko, ale takie, gdzie będzie wam wygodnie i dobrze widać. Siedźcie tam, dopóki was nic zmienią.

— Rozumiem.

— W porządku. I żebym po waszym powrocie wiedział o wszystkim, co przeszło szosą. Jedna kartka jest na to, co będzie jechało pod górę, druga na to, co w dół.

Poszli w stronę jaskini.

— Przyślijcie mi Rafaela — powiedział Robert Jordan i przystanął pod drzewem. Patrzał, jak Anselmo wchodzi do jaskini i jak opada za nim derka. Ukazał się Cygan ocierając ręką usta.

— *Que tal*? — spytał. — Zabawiliście się tej nocy?

— Spałem.

— Najgorzej! — powiedział Cygan i wyszczerzył zęby. — Macie papierosa?

— Posłuchajcie — rzekł Robert Jordan sięgając do kieszeni po papierosy. — Chcę, żebyście poszli z Anselmem w to miejsce, skąd będzie obserwował szosę. Tam go zostawicie i zapamiętacie sobie, gdzie to jest, żebyście mogli pokazać drogę mnie albo komuś, kto go później zmieni. Następnie pójdziecie tam, skąd można obserwować tartak i zauważyć, czy są jakieś zmiany w placówce.

— Jakie zmiany?

— Ilu tam jest ludzi?

— Wiem, że ostatnio było ośmiu.

— Zobaczcie, ilu jest teraz. Sprawdźcie, w jakich odstępach czasu zmieniają posterunek na moście.

— Odstępach czasu?

— No, ile godzin stoi tam wartownik i kiedy przychodzi zmiana.

— Nie mam zegarka.

— Weźcie mój. — Zdjął go z ręki.

— Co za zegarek! — zawołał z podziwem Cygan. — Patrzajcie, jakie tu zawiłości. Taki zegarek powinien umieć czytać i pisać. Ile tu powikłanych cyfr! Ten chyba bije wszystkie inne.

— Nic bawcie się nim — powiedział Robert Jordan. — Umiecie poznać godzinę?

— Czemu nie? Dwunasta w południe — głód. Dwunasta o północy — sen. Szósta rano — głód. Szósta po południu — pijany. Jeżeli się poszczęści. Pierwsza po północy...

— Dosyć — powiedział Robert Jordan. — Nie musicie błaznować. Macie mi zaobserwować posterunek na dużym moście i placówkę tam niżej przy drodze, a także wartownika i placówkę w tartaku i przy małym mostku.

— Kawał roboty — uśmiechnął się Cygan. — Na pewno nie wolelibyście posłać kogoś innego?

— Nie, Rafaelu. To bardzo ważne. Tylko róbcie to ostrożnie i uważajcie, żeby się nie pokazywać.

— No chyba, że nie będę się pokazywał — odparł Cygan. — Po co to mówić? Myślicie, że mam ochotę dostać kulkę?

— Podchodźcie do tego trochę poważniej — rzekł Robert Jordan — bo to poważna sprawa.

— Ty mi każesz poważnie podchodzić? Po tym, coś robił tej nocy? Kiedy trzeba ci było kogoś ubić, a tyś wyprawiał takie rzeczy? Powinieneś był zabić człowieka, a nie robić nowego! I to właśnie, kiedy widzimy niebo pełne samolotów w takich ilościach, że mogłyby nas wytłuc wstecz aż po naszych dziadków, a w przód aż po nie narodzonych wnuków razem ze wszystkimi kobietami, kozami i pluskwami naszymi! Kiedy widzimy samoloty, które robią taki hałas, że mleko mogłoby się zwarzyć w

piersiach naszych matek, i zaciemniają niebo, i ryczą jak lwy! I ty mnie każesz poważnie do tego podchodzić? Ja już i tak aż za poważnie podchodzę.

— No dobrze — powiedział Robert Jordan, roześmiał się i położył Cyganowi rękę na ramieniu. — Więc nie podchodź do tego za poważnie. A teraz skończ śniadanie i idź.

— A ty? — zapytał Cygan. — Co będziesz robił?

— Idę zobaczyć się z El Sordem.

— Bardzo możliwe, że po tych samolotach nie znajdziesz nikogo w całych górach — powiedział Cygan.— Kiedy tu przelatywały dziś rano, na niejednego musiały bić siódme poty.

— Oni mają inne zajęcie niż tropienie partyzantów.

— No tak — rzekł Cygan, a potem potrząsnął głową. — Ale jak im się zachce i tej roboty?

— *Que va* — powiedział Robert Jordan. — To są najlepsze lekkie bombowce niemieckie. Takich nie posyłają za Cyganami.

— Zgroza mnie ogarnia, jak je widzę — rzekł Rafael. — Owszem, tych rzeczy to się boję.

— Lecą zbombardować lotnisko — powiedział Robert Jordan, kiedy wchodzili do jaskini. — Jestem prawie pewny, że takie mają zadanie.

— Co mówicie? — spytała kobieta Pabla. Nalała mu kubek kawy i podała puszkę skondensowanego mleka.

— Macie mleko? Co za luksus!

— Wszystko mamy — odrzekła. — A odkąd przeleciały te samoloty, także i wielkiego stracha. Mówiliście, że gdzie one lecą?

Robert Jordan nalał do kawy trochę gęstego mleka z otworu wybitego w puszce, otarł puszkę o krawędź kubka i zamieszał kawę, która przybrała jasnobrunatną barwę.

— Zdaje mi się, że lecą zbombardować lotnisko. Mogą też lecieć na Escorial i Colmenar. A może we wszystkie trzy miejsca.

— Żeby już odleciały jak najdalej i nie wracały do nas — powiedział Pablo.

— Skąd oni się wzięli? — spytała kobieta. — Co ich sprowadza? Nigdy nie widzieliśmy takich samolotów. Ani w takiej ilości. Może szykują atak?

— Czy wczoraj wieczorem był ruch na szosie? — zapytał Robert Jordan.

Dziewczyna Maria stała tuż przy nim, ale nie patrzał na nią.

— Ty, Fernando — powiedziała kobieta. — Byłeś wczoraj w La Granja. Co się działo na szosie?

— Nic — odpowiedział niski, zezujący na jedno oko mniej więcej trzydziestopięcioletni mężczyzna o szczerej, otwartej twarzy, którego Robert Jordan jeszcze dotąd nie widział. — Kilka ciężarówek, jak zwykle. Parę aut. Przy mnie nie było żadnego ruchu wojsk.

— Chodzicie do La Granja co wieczór? — zapytał Robert Jordan.

— Ja albo jakiś inny — odpowiedział Fernando. — Ktoś zawsze idzie.

— Chodzą po wiadomości. Po tytoń. Po różne drobiazgi — dodała kobieta.

— Mamy tam swoich ludzi?

— A jakże. Czemu nie? Tych, co pracują w elektrowni. I jeszcze paru innych.

— Jakie były nowiny?

— *Pues nada*. Nic takiego. Na północy ciągle źle idzie. To nie nowina. Na północy idzie źle od samego początku.

— Macie jakieś wiadomości z Segovii?

— Nie, *hombre*[15]. Nie pytałem.

— A do Segovii chodzicie?

— Czasami — odrzekł Fernando. — Ale to niebezpieczne. Tam są punkty kontrolne, gdzie sprawdzają papiery.

— Znacie lotnisko?

— Nie, *hombre*. Wiem, gdzie jest, ale nigdy nie byłem blisko. Tam bardzo sprawdzają papiery.

— A wczoraj wieczorem nikt nic nie mówił o samolotach?

— W La Granja? Nikt. Ale dziś na pewno będą. Mówili coś o przemówieniu radiowym Quiepo de Liano. Nic więcej. A owszem. Podobno Republika szykuje ofensywę.

— Co?

— Że Republika szykuje ofensywę.

— Gdzie?

[15] *hombre* (hiszp.) — człowiek.

— Nie wiadomo na pewno. Możliwe, że tutaj. Może w innej części Sierra. Słyszeliście coś o tym?

— I to mówią w La Granja?

— Tak, *hombre*. Zapomniałem powiedzieć. Ale zawsze jest dużo gadania o ofensywach.

— Skąd to się bierze?

— Skąd? Ano od różnych ludzi. Oficerowie gadają po kawiarniach w Segovii i Avili, a kelnerzy podsłuchują. Potem zaczynają chodzić plotki. Już od jakiegoś czasu mówi się o republikańskiej ofensywie w tych stronach.

— Republikańskiej czy faszystowskiej?

— Republikańskiej. Gdyby miała być faszystowska, wszyscy by o niej wiedzieli. Nie, tu idzie o całkiem sporą ofensywę. Niektórzy mówią, że będą dwie. Jedna tutaj, a druga przez Alto de Leon, niedaleko Escorialu. Słyszeliście coś o tym?

— I czegoście się jeszcze dowiedzieli?

— *Nada, hombre*. Niczego. A owszem. Coś tam gadali, że jeśli będzie ofensywa, republikanie spróbują powysadzać mosty. No, ale mosty są strzeżone.

— Czy wy żartujecie? — zapytał Robert Jordan popijając kawę.

— Nie, *hombre* — odparł Fernando.

— Ten nigdy nie żartuje — odezwała się kobieta. — Na nieszczęście nie żartuje.

— No dobrze — powiedział Robert Jordan. — Dziękuję wam za te wszystkie wiadomości. Nic więcej nic słyszeliście?

— Nie. Mówią, jak zwykle, że mają przysłać wojsko, aby oczyścić te góry. Gadają, że już jakoby jest w drodze. Że już ich wysłali z Valladolid. Ale zawsze tak gadają. Nie trzeba do tego przywiązywać wagi.

— Ach ty, razem z twoim pleceniem o bezpieczeństwie! — powiedziała do Pabla kobieta nieomal ze złością.

Pablo popatrzał na nią w zamyśleniu i podrapał się w brodę.

— Ty, razem z twoimi mostami! — odparł.

— Jakimi mostami? — zapytał wesoło Fernando.

— Głupi — odpowiedziała mu kobieta. — Zakuty łbie. Tonto[16]. Wypij jeszcze kubek kawy i spróbuj przypomnieć sobie więcej wiadomości.

[16] *tonto* (hiszp.) — dureń.

— Nic złość się, Pilar — rzekł Fernando spokojnie i z pogodą. — Nie trzeba się przejmować plotkami. Opowiedziałem tobie i temu towarzyszowi wszystko, com zapamiętał.

— Więcej już nic nie pamiętacie? — zapytał Robert Jordan.

— Nie — odparł z godnością Fernando. — Szczęście, żem tyle spamiętał, bo nie zwracałem na te rzeczy uwagi, jako że to tylko plotki.

— Więc mogło być coś więcej?

— Tak. Możliwe. Alem nie zwracał uwagi. Od roku nie słyszę nic oprócz plotek.

Robert Jordan dosłyszał, że stojąca obok niego Maria nie mogąc się powstrzymać parsknęła śmiechem.

— Powiedz nam jeszcze jakąś plotkę, Fernandito — rzekła, a ramiona zadrgały jej znowu.

— Nie powiedziałbym, choćbym i pamiętał — odrzekł Fernando. — Słuchanie plotek i przywiązywanie do nich wagi jest poniżej godności mężczyzny.

— I tym mamy zbawić Republikę! — odezwała się kobieta.

— Nie. Ty ją zbawisz wysadzaniem mostów — odparł Pablo.

— Idźcie już, jeżeliście zjedli — zwrócił się Robert Jordan do Anselma i Rafaela.

— Idziemy — odrzekł stary i obaj wstali. Robert Jordan poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Była to Maria.

— Powinieneś jeść — powiedziała nie cofając ręki. — Najedz się dobrze, żeby twój żołądek mógł wytrzymać dalsze plotki.

— Te już mi odebrały apetyt.

— Nie. Tak nie powinno być. Zjedz coś teraz, zanim usłyszysz nowe. — Postawiła przed nim miskę.

— Nie żartuj ze mnie — powiedział do niej Fernando. — Jestem ci przyjacielem, Maria.

— Wcale z ciebie nie żartuję, Fernando. Żartuję sobie z nim, a on powinien jeść, bo inaczej będzie głodny.

— Wszyscyśmy powinni coś zjeść — rzekł Fernando. — Pilar, co to się stało, że nam nie dajecie jedzenia?

— Nic się nie stało, człowieku — odpowiedziała kobieta Pabla i nałożyła mu duszonego mięsa na miskę. — Jeść. Tak, to przynajmniej potrafisz. Więc jedz.

— Bardzo to smakowite, Pilar — powiedział Fernando z niewzruszoną godnością.

— Dziękuję ci — odrzekła. — Dziękuję i jeszcze raz dziękuję.

— Gniewasz się na mnie? — spytał Fernando.

— Nie. Jedz. No, bierz się do jedzenia.

— Zaraz się wezmę — powiedział. — Dziękuję ci.

Robert Jordan spojrzał na Marię; ramiona zadrgały jej znowu i odwróciła wzrok. Fernando jadł spokojnie, z pełnym dumy i namaszczenia wyrazem twarzy, której godności nie mogła umniejszyć nawet olbrzymia łyżka, jaką się posługiwał, ani wyciekający z kącików ust sos od pieczeni.

— Smakuje ci jedzenie? — zapytała kobieta.

— Tak, Pilar — odpowiedział z pełnymi ustami. — Jest takie samo jak zwykle.

Robert Jordan poczuł na ramieniu dłoń Marii, której palce zacisnęły się z rozbawienia.

— I właśnie dlatego ci smakuje? — zapytała Fernanda kobieta. — Tak. Rozumiem. Bo to jest duszone mięso, jak zwykle. *Como siempre*[17]. Na północy źle idzie, jak zwykle. Tu ma być ofensywa, jak zwykle. Podobno przyjdzie wojsko, żeby nas stąd wykurzyć, jak zwykle. Mógłbyś być pomnikiem wystawionym wszystkiemu, co jest „jak zwykle".

— Przecież te dwie ostatnie wiadomości to tylko plotki, Pilar.

— Hiszpania! — powiedziała z goryczą kobieta Pabla. Obróciła się do Roberta Jordana. — Czy w innych krajach też są tacy ludzie?

— Nie ma drugiego takiego kraju jak Hiszpania — odrzekł uprzejmie Robert Jordan.

— Racja — powiedział Fernando. — Na całym świecie nie ma takiego kraju jak Hiszpania.

— A ty widziałeś kiedy jakiś inny kraj? — spytała go kobieta.

— Nie — odparł Fernando. — I wcale nie chcę.

— Widzicie — powiedziała kobieta Pabla do Roberta Jordana.

— Fernandito — odezwała się Maria. — Opowiedz nam, jak to było w Walencji.

— Walencja mi się nie podobała.

[17] *Como siempre* (hiszp.) — jak zawsze, jak zwykle.

— Dlaczego? — spytała Maria i znowu ścisnęła rękę Roberta Jordana. — Dlaczego ci się nie podobała?

— Ludzie tam nie mają manier i nie mogłem się z nimi porozumieć. W kółko tylko krzyczeli *ché* jeden na drugiego.

— A oni cię rozumieli? — spytała Maria.

— Udawali, że nie — odrzekł Fernando.

— I coś tam robił?

— Wyjechałem nawet nie obejrzawszy morza — powiedział Fernando. — Ludzie mi się nie podobali.

— Ach, wynoś się stąd, ty stara panno! — krzyknęła na niego kobieta Pabla. — Wynoś się, zanim mnie zemdli. W Walencji przeżyłam swoje najpiękniejsze chwile. *Vamos*[18] Walencja! Nie gadaj mi o Walencji.

— A co tam robiłaś? — spytała Maria. Kobieta Pabla usiadła przy stole i wzięła sobie kubek kawy, miskę z mięsem i kawał chleba.

— *Qué*, co robiłam? Byłam tam, kiedy Finito miał kontrakt na trzy walki podczas *Feria*. W życiu nic widziałam tylu ludzi. Ani tak zatłoczonych kawiarń. Całymi godzinami nie można było dostać miejsca i nikt nie mógł dopchać się do tramwaju. Dzień i noc był wtedy ruch w Walencji.

— Ale co robiłaś? — spytała Maria.

— A wszystko — odrzekła kobieta. — Chodziliśmy na plażę, leżeliśmy w wodzie i patrzyli, jak woły wyciągały z morza na brzeg łodzie żaglowe. Wpędzali te woły do wody tak daleko, że aż musiały płynąć, i przyprzęgali je do lodzi, a kiedy już zgruntowały, zaczynały ciągnąć potykając się na piasku. Dziesięć par wołów ciągnących rankiem łódź z rozwiniętymi żaglami, a na brzegu załamujące się szeregi drobnych fal. To jest Walencja.

— Ale co robiłaś poza przyglądaniem się tym wołom?

— Jadaliśmy w pawilonikach na plaży. Placki z ugotowanych, drobionych ryb z czerwonym i zielonym pieprzem, i maleńkimi orzeszkami wielkości ziaren ryżu. Placki były delikatne i chrupkie, a ryby niewiarygodnej smakowitości. I świeżo wyłowione krewetki, pokropione sokiem cytryny. Były różowe, mięciuchne, a każdej starczyło na cztery kąski. Dużo ich jadaliśmy. A potem paellę ze świeżymi ślimakami w muszelkach, z mięczakami, krabami i małymi węgorzami. Jedliśmy także osobno

[18] Vamos! (hiszp.) — Idziemy!

jeszcze mniejsze węgorzyki gotowane w oliwie, drobniutkie jak strączki fasoli i poskręcane we wszystkie strony, a takie miękkie, że rozpływały się w ustach. Do tego piliśmy białe wino, zimne, lekkie i smaczne, po trzydzieści centimos butelka. A na zakończenie był melon. Bo to jest ojczyzna melona.

— Melony kastylijskie są lepsze — powiedział Fernando.

— *Qué va* — odparła kobieta Pabla. — Melon kastylijski jest dobry do samogwałtu, a melon z Walencji do jedzenia. Kiedy pomyślę o tych melonach, długich jak ręka, zielonych jak morze, kruchych i soczystych pod nożem, a słodszych od letniego poranka! Ach, jak pomyślę o tych najmniejszych węgorzykach, drobniutkich, delikatnych, leżących całymi kopami na półmiskach! I o tym piwie, które się piło kuflami przez całe popołudnie, tak zimnym, że aż pociły się kufle wielkości dzbanów na wodę.

— A coś robiła, kiedy nie jadłaś i nie piłaś?

— Kochaliśmy się w naszym pokoju, gdzie balkon był zasłonięty żaluzją z drewnianych deszczułek, a przez obracające się na zawiaskach okienko nad drzwiami wpadał do środka powiew. Kochaliśmy się w tym pokoju, gdzie było ciemno w dzień za opuszczoną żaluzją, a z ulicy dolatywał zapach targu kwietnego i prochu petard *traca*, przeciągniętej ulicami i wybuchającej każdego południa podczas *Feria*. To był taki sznur fajerwerków, biegnący przez całe miasto, petardy były z sobą połączone i te wybuchy leciały po słupach i drutach tramwajowych z ogromnym hałasem, i przeskakiwały ze słupa na słup z hukiem i trzaskiem nie do wiary.

Kochaliśmy się, a potem posyłałam po jeszcze jedno piwo, i kiedy dziewczyna przyniosła kufel pokryty kropelkami chłodu, odbierałam go w drzwiach i przytykałam zimne szkło do pleców Finita, który spał na łóżku i nie zbudził się, jak przynieśli piwo. Mówił do mnie: „Nie, Pilar. Nie, kobieto, dajże mi spać". A ja: „Nie, obudź się, wypij to i zobacz, jakie zimne". Więc pił nie otwierając oczu i znowu zasypiał, a ja opierałam się plecami o poduszkę ułożoną w nogach łóżka i przyglądałam mu się, kiedy tak spał, śniady, ciemnowłosy, młody i spokojny we śnie, i dopijałam kufel do dna słuchając orkiestry, która przechodziła ulicą. — Ty — zwróciła się do Pabla. — Czy ty w ogóle coś wiesz o takich rzeczach?

— Myśmy też niejedno razem robili — powiedział Pablo.

— A jakże — odparła. — Czemu nie? I nawet w swoim czasie był z ciebie lepszy mężczyzna niż Finito. Aleśmy nigdy nie pojechali do Walencji. Nigdy nie leżeliśmy razem w łóżku i nie słuchali orkiestry przechodzącej ulicą w Walencji.

— To było niemożliwe — rzekł Pablo. — Nie mieliśmy okazji tam pojechać. Sama przyznasz, jeżeli się zastanowisz. Ale z Finitem nigdy nie wysadzałaś pociągu.

— Nie — odpowiedziała. — To jedno nam zostało. Pociąg. Tak. Wciąż ten pociąg. Nikt nie może nic przeciw temu powiedzieć. Tyle zostało z całego lenistwa, gnuśności i niepowodzenia. Tyle zostało z teraźniejszego tchórzostwa. Przedtem było też wiele innych rzeczy. Nie chcę być niesprawiedliwa. Ale na Walencję nie wolno nikomu powiedzieć złego słowa. Słyszycie?

— Mnie tam się nie podobało — oświadczył Fernando. — Nie podobało mi się w Walencji.

— I mówią, że muł jest uparty! — rzekła kobieta. — Zbierz ze stołu, Maria, żebyśmy już mogli iść.

Kiedy to powiedziała, usłyszeli pierwszy odgłos powracających samolotów.

IX

Przyglądali się im stojąc w wylocie jaskini. Bombowce leciały teraz wysoko szybkimi, złowieszczymi grotami strzał, rozszczepiając powietrze hukiem motorów. Rzeczywiście mają kształt rekinów — myślał Robert Jordan. — Szerokopłetwych, ostronosych rekinów z Golfsztromu. Ale tutaj, huczące, ze srebrzyście rozpostartymi płetwami i lekką mgiełką śmigieł w słońcu, nie poruszają się jak rekiny. Ich ruch nie przypomina niczego, co dotąd było. Lecą przed siebie jak zmechanizowane fatum.

Powinieneś pisać — pomyślał. — Może jeszcze kiedyś do tego wrócisz. — Poczuł, że Maria uczepiła się jego ramienia. Patrzała w górę i zapytał ją:

— Co one ci przypominają, *guapa*[19]?

— Nie wiem — odrzekła. — Chyba śmierć.

— Mnie tam przypominają samoloty — odezwała się kobieta Pabla. — A gdzie się podziały te małe?

— Możliwe, że lecą inną drogą — odparł Robert Jordan. — Te bombowce są za szybkie, żeby na nie czekać, więc wracają same. Nigdy nie ścigamy ich za linią frontu. Za mało mamy samolotów, żeby to ryzykować.

Właśnie w tej chwili trzy myśliwce Heinkle, uszykowane w kształt litery V, przeleciały nisko nad polanką. Ukazały się tuż ponad wierzchołkami drzew niby warczące, pochylone na skrzydła, ostronose, złowrogie zabawki, zwiększyły się nagle, straszliwie, do swoich prawdziwych rozmiarów i z wyciem przewaliły się górą. Leciały tak nisko, że wszyscy stojący w otworze jaskini widzieli pilotów w hełmach i okularach i roztrzepotany szalik za głową dowódcy patrolu.

— Ci to już zobaczyli konie — powiedział Pablo.

— Ci zobaczyli niedopałek twojego papierosa — odrzekła kobieta. — Opuść derkę.

Nie pokazało się już więcej samolotów. Musiały przelecieć gdzieś dalej nad górami, i kiedy zamilkło dudnienie motorów, wszyscy wyszli z jaskini na powietrze.

Niebo było teraz puste, wysokie, błękitne i czyste.

[19] *guapa* (hiszp.) — ładna, ślicznotka.

— Wydaje się, że były jakimś snem, z którego człowiek się budzi — powiedziała Maria do Roberta Jordana. W powietrzu nie było nawet tego ostatniego, prawie niedosłyszalnego brzęczenia, które trwa, kiedy sam dźwięk zaniki już niemal zupełnie, i przypomina lekkie muskanie palcem, cofającym się i dotykającym na przemian.

— To nie jest żaden sen, a ty idź zmywać statki — powiedziała do niej Pilar. — No i co? — zwróciła się do Roberta Jordana. — Jedziemy czy idziemy piechotą?

Pablo spojrzał na nią i chrząknął.

— Jak chcecie — odrzekł Robert Jordan.

— Więc chodźmy pieszo — powiedziała. — Dobrze mi to zrobi na wątrobę.

— Jazda konna także jest dobra na wątrobę.

— Ale zła na pośladki. My pójdziemy, a ty — obróciła się do Pabla — idź policzyć swoje bydlęta i sprawdź, czy ci którego nie porwały samoloty.

— Chcecie konia pod wierzch? — zapytał Pablo Roberta Jordana.

— Nie. Bardzo dziękuję. A co z dziewczyną?

— Lepiej dla niej, żeby się przeszła — powiedziała Pilar. — Bo inaczej zesztywnieje tu i ówdzie, i będzie do niczego niezdatna.

Robert Jordan poczuł, że się czerwieni.

— Dobrzeście spali? — spytała Pilar. A potem dorzuciła: — To jest prawda, że ona nie ma żadnej choroby. A mogłaby mieć. Sama nie wiem, dlaczego nic nie złapała. Prawdopodobnie istnieje mimo wszystko Bóg, chociażeśmy go znieśli. Odejdź — powiedziała do Pabla. — To nie twoja sprawa. Tu się mówi o młodszych od ciebie. Ulepionych z innej gliny. Idź sobie. — A potem do Roberta Jordana: — Agustin popilnuje twoich rzeczy. Pójdziemy, jak się zjawi.

Dzień zrobił się jasny, pogodny i na słońcu było ciepło. Robert Jordan przyjrzał się tęgiej, śniadej kobiecie o poczciwych, szeroko osadzonych oczach i ciężkiej, kanciastej twarzy, poznaczonej zmarszczkami i brzydkiej w jakiś przyjemny sposób. Oczy miała wesołe, ale twarz smutną, dopóki nie otworzyła ust. Popatrzył na nią, a potem na krępego, flegmatycznego mężczyznę, który szedł między drzewami w stronę zagrody. Kobieta też spoglądała za nim.

— Przespaliście się z sobą? — zapytała.

— A co ona mówiła?

— Nie chciała mi powiedzieć.

— Ja też nie.

— To znaczy, żeście z sobą spali — oświadczyła kobieta. — Obchodźcie się z nią najdelikatniej jak umiecie.

— A jeżeli będzie miała dziecko?

— To jej nie zaszkodzi — odparła. — Mniej niż co innego.

— Tu nie jest odpowiednie miejsce.

— Ona tu nie zostanie. Pójdzie z wami.

— A gdzie ja pójdę? Tam, dokąd idę, nie mogę brać z sobą kobiety.

— Kto wie? A nuż dwie z sobą zabierzecie?

— Tak nie można mówić.

— Słuchajcie — powiedziała kobieta. — Ja nie jestem tchórzliwa, ale wczesnym rankiem widzę rzeczy ogromnie jasno i myślę, że wielu z tych, których znamy i którzy w tej chwili żyją, nie doczeka następnej niedzieli.

— Jaki dzień dzisiaj mamy?

— Niedzielę.

— *Qué va* — powiedział Robert Jordan. — Do następnej niedzieli jeszcze daleko. Dobrze będzie, jeżeli doczekamy do środy. Ale nie lubię, jak tak mówicie.

— Każdemu potrzeba z kimś pogadać — rzekła kobieta. — Przedtem mieliśmy religię i inne banialuki. Teraz każdy powinien mieć kogoś, z kim mógłby szczerze pomówić, bo choćby człowiek był nie wiadomo jak dzielny, czasami czuje się bardzo samotny.

— Nie jesteśmy samotni. Jesteśmy wszyscy razem.

— Na widok tych maszyn coś się dzieje z człowiekiem — powiedziała kobieta. — Wobec takich maszyn jesteśmy niczym.

— A jednak możemy je pokonać.

— Słuchajcie — powiedziała. — Przyznałam wam się do smutku, ale nie myślcie, że mi brak śmiałości. Mojej śmiałości nic się nie stało.

— Smutek rozproszy się, gdy słońce wstanie. On jest jak mgła.

— Jasne — odparła. — Jeżeli tak wolicie. Może to na mnie przyszło od gadania tych głupstw o Walencji. I przez tę ruinę człowieka, co poszła obejrzeć swoje konie. Bardzo go zraniłam moim opowiadaniem. Zabić go, owszem. Skląć, tak. Ale ranić — nie.

— Jak to się stało, żeście byli z sobą?

— A jak to się dzieje, że człowiek z kimś jest? W pierwszych dniach ruchu, a i przedtem, był czymś. Czymś poważnym. Ale teraz się skończył. Szpunt wyciągnięto i całe wino wyciekło z bukłaka.

— On mi się nie podoba.

— Wy mu się też nie podobacie, i nie bez racji. Tej nocy spałam z nim. — Uśmiechnęła się i pokiwała głową. — *Vamos a ver*[20] — rzekła. — Zapytałam go: „Pablo, dlaczego nie zabiłeś cudzoziemca?"

„To dobry chłop, Pilar — odpowiedział. — Porządny chłop".

Więc go pytam: „A rozumiesz ty, że teraz ja tu dowodzę?"

„Tak, Pilar, tak" — powiedział. Później w nocy słyszę, że nie śpi i płacze. Płacze tak urywanie, paskudnie, jak płacze mężczyzna, kiedy się zdaje, że ma w sobie jakieś zwierzę, które nim potrząsa.

„Co ci jest, Pablo?" — spytałam, objęłam go i przytrzymałam mocno.

„Nic, Pilar. Nic".

„Owszem. Coś się z tobą dzieje".

„Ci ludzie — powiedział. — To, że mnie tak opuścili. *La gente*".

„No tak, ale przecież są ze mną, a ja jestem twoja kobieta".

„Pilar — on na to. — Pamiętaj o pociągu". — A potem: „Niech ci Bóg dopomoże, Pilar".

„Po co mówisz o Bogu? — spytałam. — Co to znów za gadanie?"

„Tak — odpowiedział. — Bóg i *Virgen*".

„*Qué va*. Bóg i *Virgen*[21] — ja do niego. — To tak się mówi?"

„Boję się umrzeć, Pilar. — On na to. — *Tengo miedo de morir*. Rozumiesz?"

„To wyłaź z łóżka — powiedziałam. — W jednym łóżku nie ma miejsca dla mnie i ciebie, i twojego strachu naraz."

Wtedy się zawstydził i umilkł, a ja zasnęłam, ale z niego już jest ruina, człowieku.

Robert Jordan nic nie odpowiedział.

---

[20] *Vamos a ver* (hiszp.) — Zobaczymy.
[21] *Virgen* (hiszp.) — Dziewica, Najśw. Maria Panna.

— Przez cale życie przychodzi na mnie od czasu do czasu taki smutek — ciągnęła kobieta. — Ale nie jest podobny do smutku Pabla. Nie osłabia mojej śmiałości.

— Wierzę.

— Może to jest coś w rodzaju miesiączki u kobiet — powiedziała. — A może w ogóle nic. — Przerwała, po czym mówiła dalej: — Wielką nadzieję pokładam w Republice. Wierzę mocno w Republikę i mam przynajmniej tę wiarę. Wierzę z całym zapałem, tak jak ci, co są religijni, wierzą w tajemnice.

— Na pewno.

— A wy macie tę samą wiarę?

— W Republikę?

— Tak.

— Mam — powiedział pragnąc w duchu, żeby to była prawda.

— Tom rada — rzekła kobieta. — I nie boicie się?

— Śmierci nie — odparł zgodnie z prawdą.

— A czego innego?

— Tylko tego, że mogę nie spełnić obowiązku, tak jak powinienem.

— A schwytania, jak tamten?

— Nie — odrzekł też zgodnie z prawdą. — Gdyby człowiek bał się schwytania, byłby tym tak zaprzątnięty, że stałby się bezużyteczny.

— Bardzo chłodny z was chłopak.

— Nie — odpowiedział. — Nie sądzę.

— Owszem. Głowę macie chłodną.

— To dlatego, że jestem bardzo przejęty swoją pracą.

— A nie lubicie różnych przyjemności życia?

— Lubię. Nawet bardzo. Ale nie tak, żeby mi przeszkadzały w pracy.

— Wiem, że lubicie popijać. To zauważyłam.

— Tak. Bardzo. Ale nie tak, żeby mi to przeszkadzało w pracy.

— A kobiety?

— Lubię je bardzo, ale nie przywiązuję do nich wielkiej wagi.

— Nie ciągnie was do nich?

— Owszem. Ale jeszcze nie spotkałem kobiety, która by mnie zajęła tak, jak podobno powinna.

— Coś mi się zdaje, że teraz kłamiecie.

— Może trochę.

— Przecież was ciągnie do Marii?

— Tak. Nagle i bardzo mocno.

— Mnie też. Ogromnie ją lubię. Tak. Ogromnie.

— Ja to samo — powiedział Robert Jordan i poczuł, że głos mu więźnie w gardle. — Ja także. — Przyjemnie mu było to mówić i powiedział pełnym zdaniem po hiszpańsku: — Ja bardzo ją lubię.

— Zostawię was samych, kiedy już pogadamy z El Sordem.

Robert Jordan milczał. Potem powiedział:

— To niepotrzebne.

— Owszem, człowieku. Potrzebne. Nie ma już wiele czasu.

— Czy właśnie to zobaczyliście w mojej ręce? — zapytał.

— Nie. Zapomnijcie o tamtych bzdurach z ręką.

Odsunęła to od siebie razem ze wszystkim, co mogło być złe dla Republiki.

Robert Jordan milczał. Patrzał na Marię, która ustawiała naczynia w jaskini. Wytarła ręce, obróciła się i uśmiechnęła do niego. Nie mogła słyszeć, co mówiła Pilar, ale uśmiechając się do Roberta Jordana zarumieniła się mocno pod opalenizną, a potem uśmiechnęła znowu.

— Przecież jest także i dzień — powiedziała kobieta. — Macie noc, ale dzień też. Jasne, że nie ma tu takich zbytków, jak w Walencji za moich czasów. Ale możecie pójść sobie na poziomki albo co. — Roześmiała się.

Robert Jordan położył rękę na jej masywnym ramieniu.

— Lubię cię — powiedział. — Lubię cię bardzo.

— Z ciebie prawdziwy Don Juan Tenorio — odparła kobieta, zakłopotana i rozczulona. — Każdego kiedyś zaczyna się lubić. O, idzie Agustin.

Robert Jordan wszedł do jaskini i zbliżył się do Marii. Patrzała, jak szedł ku niej, oczy jej błyszczały, rumieniec znowu wystąpił na policzki i szyję.

— Jak się masz, króliczku — powiedział i pocałował ją w usta. Objęła go mocno, zajrzała mu w twarz i odrzekła: — Dobrze. Och, dobrze.

Fernando, który jeszcze siedział przy stole i palii papierosa, wstał, pokiwał głową i wyszedł zabierając karabin oparty o ścianę.

— To jest ogromnie niewłaściwe — powiedział do Pilar. — Wcale mi się to nie podoba. Powinniście uważać na dziewczynę.

— Tak też i robię — odparła Pilar. — Ten towarzysz to jej *novio*[22].

— Ach — rzekł Fernando. — W takim razie, jeżeli są zaręczeni, uważam rzecz za całkiem normalną.

— Cieszę się — odpowiedziała.

— Ja również — oznajmił z powagą Fernando. — *Salud*, Pilar.

— Dokąd idziesz?

— Na górny posterunek, zmienić Primitiva.

— Gdzie idziesz, do diabła? — zapytał Agustin poważnego, małego człowieczka, kiedy ten podszedł do niego.

— Na służbę — odparł Fernando z godnością.

— Na służbę! — rzucił drwiąco Agustin. — Ja fajdam w mleko twojej służby! — A potem, zwracając się do kobiety: — Gdzie u wielkiej sprośności jest to plugastwo, którego mam pilnować?

— W jaskini — odrzekła Pilar. — W dwóch plecakach. I już mnie zmęczyło to twoje świntuszenie.

— A ja paskudzę w mleko twojego zmęczenia — powiedział Agustin.

— To idź i zaplugaw się — odrzekła spokojnie Pilar.

— Twoją matkę — odparował Agustin.

— Sam jej nigdy nie miałeś — oświadczyła Pilar.

Zniewagi osiągnęły tę najwyższą formę w języku hiszpańskim, kiedy nie wymienia się już czynności, a tylko daje ją do zrozumienia.

— Co oni tam robią? — zapytał poufnie Agustin.

— Nic — odrzekła Pilar. — *Nada*. Ostatecznie mamy przecież wiosnę, zwierzaku.

— Zwierzaku — powtórzył Agustin delektując się tym słowem. — Zwierzaku. Ty córko wielkiej kurwy nad kurwami! Ja fajdam w mleko wiosny.

Pilar klepnęła go po ramieniu.

[22] *novio* (hiszp.) — narzeczony.

— Ach ty! — powiedziała i roześmiała się gromko. — Brak ci urozmaicenia w twoich przekleństwach. Ale siłę w nich masz. Widziałeś samoloty?

— Fajdam w mleko ich motorów — rzekł Agustin kiwając głową i przygryzając dolną wargę.

— To jest coś — powiedziała Pilar. — Naprawdę coś. Tylko że trudne do wykonania.

— Na tej wysokości, tak — wyszczerzył zęby Agustin. *Desde luego*[23]. Ale zawsze lepiej żartować.

— Słusznie — przyznała kobieta Pabla. — O wiele lepiej żartować, a ty jesteś dobry chłop i lubisz mocne żarty.

— Słuchaj, Pilar — powiedział poważnie Agustin. — Coś się szykuje, prawda?

— No i jak ci się to widzi?

— Parszywie, że gorzej nie można. Tych samolotów było dużo, kobieto. Bardzo dużo.

— I napędziły ci strachu, jak wszystkim?

— *Qué va* — odparł Agustin. — A jak myślisz, co szykują?

— Posłuchaj — rzekła Pilar. — Z tego, że ten chłopak przyszedł tu robić most, widać, że Republika gotuje ofensywę. A znowu z tych samolotów wynika, że faszyści szykują się do jej odparcia. Tylko dlaczego pokazali samoloty?

— W tej wojnie dużo jest głupstw — powiedział Agustin. — W tej wojnie jest bezgraniczna głupota.

— Jasne — odparła Pilar. — Inaczej nie moglibyśmy tu być.

— Właśnie — powiedział Agustin. — Już od roku nurzamy się w głupocie. Ale Pablo to człowiek wielkiego rozumu. Pablo jest bardzo przebiegły.

— Czemu to mówisz?

— Bo mówię.

— Ale musisz zrozumieć — wyjaśniła Pilar. — Teraz za późno ratować się przebiegłością, a on utracił wszystko poza tym.

— Rozumiem — rzekł Agustin. — Wiem, że musimy stąd iść. A ponieważ musimy zwyciężyć, żeby przetrzymać do końca, więc trzeba powysadzać mosty. Ale Pablo, choć teraz taki tchórz, jest wielce sprytny.

---

[23] *Desde luego* (hiszp.) — Oczywiście.

— Ja także jestem sprytna.

— Nie, Pilar — powiedział Agustin. — Ty nie jesteś sprytna. Jesteś dzielna. Jesteś wierna. Masz stanowczość. I wyczucie. Dużo stanowczości i dużo serca. Ale sprytna nie jesteś.

— Tak przypuszczasz? — spytała w zamyśleniu.

— Tak, Pilar.

— Ten chłopak jest sprytny — powiedziała. — Sprytny i chłodny. Ma bardzo chłodną głowę.

— Owszem — odparł Agustin. — Musi znać się na rzeczy, bo inaczej nie daliby mu takiej roboty. Ale nie wiem, czy jest sprytny. O Pablu wiem, że jest.

— Ale Pablo zrobił się do niczego przez swój strach i niechęć do działania.

— Mimo to jest sprytny.

— Więc co ty na to wszystko?

— Nic. Staram się jakoś to mądrze rozważyć. W tej chwili trzeba nam mądrze działać. Zaraz po moście musimy uciekać. Wszystko musi być przygotowane. Powinniśmy wiedzieć, dokąd idziemy i jak.

— Naturalnie.

— Do tego tylko Pablo. Bo trzeba to zrobić sprytnie.

— Nie mam do niego zaufania.

— W tym można mieć.

— Ty nawet nie wiesz, jaki on jest wykończony.

— *Pero es muy vivo*. Jest bardzo sprytny. A jeżeli nie zrobimy tego sprytnie, to się uplugawimy.

— Zastanowię się — powiedziała Pilar. — Mam cały dzień na myślenie.

— Do mostów nie ma jak ten chłopak — rzekł Agustin. — Na tym musi się znać. Pamiętaj, jak pięknie tamten drugi zorganizował pociąg.

— Tak — przyznała Pilar. — Bo właściwie to on wszystko obmyślił.

— Ty masz energię i stanowczość — ciągnął Agustin. — Ale do wyprowadzenia nas stąd nie ma jak Pablo. Do odwrotu tylko Pablo. Zmuś go, żeby to sobie przemyślał.

— Ty jesteś mądry chłop.

— Mądry, owszem — odrzekł Agustin. — Ale *sin picardia*[24]. Od tego jest Pablo.

— Razem ze swoim strachem i w ogóle?

— Razem ze swoim strachem i w ogóle.

— A co myślisz o tych mostach?

— To jest konieczne. Tyle wiem. Musimy zrobić dwie rzeczy. Musimy się stąd wynieść i musimy zwyciężyć. A jeśli mamy zwyciężyć, trzeba załatwić mosty.

— Jeżeli Pablo jest taki sprytny, to czemu tego nie widzi?

— Przez swoją słabość chce, żeby wszystko zostało tak jak jest. Chce płynąć z prądem własnej słabości. Ale rzeka przybiera. Jak go się zmusi do zmiany, zrobi to sprytnie. *Es muy vivo*.

— Dobrze, że ten chłopak go nie zabił.

— Qué va. Cygan chciał, żebym ja go zabił wczoraj wieczorem. Cygan to zwierzę.

— Ty także jesteś zwierzę — rzekła. — Ale rozumne.

— Obaj jesteśmy rozumni — odparł Agusrin.— Ale Pablo to talent!

— Tylko że trudno się z nim dogadać. Nawet nie wiesz, jaki jest wykończony.

— Tak. Ale to talent. Słuchaj, Pilar. Żeby prowadzić wojnę, trzeba tylko rozumu. Ale żeby zwyciężyć, potrzeba talentu i materiału.

— Zastanowię się nad tym — powiedziała. — Teraz musimy już ruszać. Zrobiło się późno. — A potem, podnosząc głos, zawołała: Anglik! Inglés! Chodź. Idziemy.

[24] *sin picardia* (hiszp.) — bez szelmostwa.

X

— Odpocznijmy — powiedziała Pilar do Roberta Jordana. — Siadaj tu, Maria, to wytchniemy trochę.

— Powinniśmy iść dalej — odrzekł Robert Jordan. — Odpoczniemy na miejscu. Muszę zobaczyć się z tym człowiekiem.

— Zobaczycie się z nim, zobaczycie — powiedziała kobieta.— Nie ma gwałtu. Siadaj, Maria.

— Chodźcie — rzekł Robert Jordan. — Odpoczniecie na górze.

— Ja już odpoczywam — oświadczyła kobieta i usiadła nad brzegiem potoku. Dziewczyna przysiadła obok wśród wrzosów, w słońcu, które lśniło na jej włosach. Tylko Robert Jordan stał nadal, patrząc na górską polanę, przez którą przepływał potok. Wszędzie dokoła rosły wrzosy. W dolnej części polany ustępowały miejsca żółtym paprociom, spośród których sterczały szare głazy, poniżej zaś wznosiła się ciemna ściana sosen.

— Czy to jeszcze daleko do El Sorda? — zapytał.

— Nie bardzo — odpowiedziała. — Trzeba pójść przez tę polanę, do następnej doliny, a potem nad tamtym lasem, co rośnie powyżej potoku. Siadajże i zapomnij o swojej powadze.

— Chcę się z nim zobaczyć i nareszcie to załatwić.

— A ja chcę wymoczyć nogi — odparła kobieta i zdjąwszy trepy na sznurkowych podeszwach ściągnęła grubą, wełnianą pończochę i zanurzyła prawą stopę w potoku. — Boże, ależ zimna!

— Powinniśmy byli wziąć konie — powiedział Robert Jordan.

— To mi dobrze zrobi — odrzekła. — Tego mi było brak. Co was ugryzło?

— Nic, tylko mi się śpieszy.

— To się uspokójcie. Mamy dużo czasu. Cóż to za dzień i jakże się cieszę, że nie siedzę między sosnami! Nie macie pojęcia, jak sosny mogą znudzić człowieka. A tobie się nie znudziły, *guapa*?

— Ja je lubię — odrzekła dziewczyna.

— Co też można w nich lubić?

— Lubię zapach i dotyk igliwia pod stopą. Lubię szum wiatru między wysokimi drzewami i ich skrzypienie, kiedy się ocierają o siebie.

— Ty wszystko lubisz — powiedziała Pilar. — Byłabyś skarbem dla każdego mężczyzny, gdybyś umiała trochę lepiej gotować. Ale sosny to jest las nudy. Nigdy nie widziałaś lasów bukowych, dębowych czy kasztanowych. To dopiero są lasy! W takich lasach każde drzewo jest inne, taki las ma charakter i piękno. A las sosnowy to nuda. Jak uważasz, Inglés?

— Ja także lubię sosny.

— *Pero, venga*[25] — powiedziała Pilar. — Jedno to samo, co drugie. Ja także lubię sosny, ale za długo między nimi siedzimy. Gór też mam już dosyć. W górach są tylko dwa kierunki: w dół i wzwyż, a ten w dół prowadzi jedynie do drogi i do miast faszystów.

— Chodzicie czasem do Segovii?

— Qué va. Z tą twarzą? Tę twarz wszyscy znają. Chciałabyś być brzydka, pięknotko? — zwróciła się do Marii.

— Ty nie jesteś brzydka.

— *Vamos*, nie jestem brzydka! Urodziłam się brzydka. Brzydka byłam przez cale życie. Słuchaj Inglés, ty, który się nic znasz na kobietach. Czy wiesz, co czuje brzydka kobieta? Wiesz, co to znaczy być przez całe życie brzydką, a w środku czuć się piękną? Bardzo to osobliwe. — Zanurzyła drugą stopę w potoku, ale ją zaraz cofnęła. — Boże, ale zimna! Patrzajcie na tę pliszkę wodną — powiedziała wskazując szarego ptaszka, który podskakiwał jak kulka na kamieniu leżącym w potoku. — One są do niczego niezdatne. Ani do śpiewu, ani do jedzenia. Tylko do merdania tymi swoimi ogonkami w górę i w dół. Daj papierosa Inglés — powiedziała i wziąwszy go zapaliła krzesiwkiem, które wyjęła z kieszeni koszuli. Zaciągnęła się i popatrzyła na Marię i Roberta Jordana.

— Życie jest bardzo ciekawe — mówiła wydmuchując dym przez nozdrza. — Ze mnie byłby niezły mężczyzna, ale jestem kobietą od stóp do głów i brzydka od stóp do głów. Mimo to wielu mężczyzn kochało się we mnie i ja też kochałam wielu mężczyzn. Dziwna rzecz. Słuchaj, Inglés, bo to ciekawe. Przyjrzyj mi się w całej mojej brzydocie. Przyjrzyj mi się uważnie, Inglés.

— Kiedy ty wcale nie jesteś brzydka.

[25] Pero, venga (hiszp.) — Ale mści się.

— *Qué no*? Nie kłam mi. A może — roześmiała się grubo — a może to już zaczęło działać i na ciebie? Nie, nie, żartuję. Popatrz na moją brzydotę. A jednak ma się w środku uczucie, które oślepia mężczyznę, póki cię kocha. Tym uczuciem oślepia się jego i samą siebie. A potem któregoś dnia, nie wiadomo dlaczego, zobaczy cię taką brzydką, jaką naprawdę jesteś, i nagle przestaje być ślepy, i wtedy sama dostrzegasz tę brzydotę, którą on widzi, i tracisz jego i swoje uczucie. Rozumiesz, *guapa* — poklepała dziewczynę po ramieniu.

— Nie — odpowiedziała Maria. — Bo ty nie jesteś brzydka.

— Staraj się myśleć głową, nie sercem, i słuchaj — powiedziała Pilar. — Bo mówię ci tu rzeczy wielce ciekawe. Ciebie to nie ciekawi, Inglés?

— Owszem. Ale już powinniśmy iść.

— *Qué va*, iść. Mnie tutaj bardzo dobrze. No więc — ciągnęła zwracając się do Roberta Jordana, jak gdyby przemawiała w sali wykładowej, nieomal jakby wygłaszała odczyt. — No więc, po pewnym czasie, kiedy się jest tak brzydką, jak ja, tak brzydką, jak tylko może być kobieta, wtedy, jak mówię, po pewnym czasie zaczyna powoli rosnąć w nas poczucie, to idiotyczne poczucie, że się jest piękną. Rośnie niczym kapusta. A jak już urośnie, zobaczy cię inny mężczyzna i wydasz mu się piękna, i wszystko trzeba zaczynać od początku. Teraz zdaje mi się, że mam to już za sobą, ale wciąż jeszcze może wrócić. Masz szczęście, *guapa*, że nie jesteś brzydka.

— Ależ ja jestem brzydka — powiedziała Maria.

— Jego zapytaj — odrzekła Pilar. — I nie wsadzaj nóg do potoku, bo ci zamarzną.

— Jeżeli Roberto mówi, że powinniśmy iść, to chyba trzeba się zbierać — powiedziała Maria.

— Słuchaj no — rzekła Pilar. — Mnie na tym zależy tak samo, jak twojemu Robertowi, a powiadam ci, że dobrze nam zrobi odpoczynek tu, nad potokiem, i że mamy dużo czasu. Co więcej, lubię gadać. To jest jedyna cywilizowana rzecz, jaka nam została. Jakże inaczej możemy się rozerwać? Czy w tym, co mówię, nie ma dla ciebie nic ciekawego, Inglés?

— Mówisz bardzo dobrze. Ale są inne rzeczy, które mnie bardziej interesują od rozmów o urodzie czy braku urody.

— W takim razie pomówmy o tym, co cię interesuje.

— Gdzie byłaś na początku ruchu?

— W moim mieście.

— W Avili?

— Qué va, w Avili.

— Pablo mówił, że pochodzi z Avili.

— Kłamał. Chciał udawać, że jest z dużego miasta. To było... — tu wymieniła nazwę miasteczka.

— I co się wtedy stało?

— Dużo się stało — odparła. — Dużo. A wszystko paskudne. Nawet to, co było wspaniałe.

— Opowiedz — rzekł Robert Jordan.

— To jest brutalne — odparła. — Nie chcę opowiadać przy dziewczynie.

— Opowiedz — powtórzył Robert Jordan. — Jeżeli to nie dla niej, niech nie słucha.

— Mogę słuchać — powiedziała dziewczyna. Położyła dłoń na ręce Roberta Jordana. — Nie ma takich rzeczy, których nie mogłabym słuchać.

— Nie idzie o to, czy możesz słuchać — rzekła Pilar — ale czy powinnam opowiadać przy tobie, bo potem będziesz miała złe sny.

— Od opowiadania nie przyjdą na mnie złe sny — odparła Maria. — Myślisz, że po tym wszystkim, co się z nami działo, mogłabym mieć złe sny od opowiadań?

— A może Inglés będzie je miał?

— Spróbuj, to zobaczymy.

— Nie, Inglés, ja nie żartuję. Widziałeś początek ruchu w jakimś małym miasteczku?

— Nie — odrzekł Robert Jordan.

— Toś nic nie widział. Widzisz tę ruinę, którą dzisiaj jest Pablo, ale trzeba ci było go zobaczyć tamtego dnia.

— Opowiedz o tym.

— Nie. Nie chcę.

— Proszę cię.

— No, dobrze. Opowiem wszystko prawdziwie, tak jak było. Ale ty mi przerwij, *guapa*, jeżeli to ci zacznie dopiekać.

— Przestanę wtedy słuchać — odpowiedziała jej Maria. — To nie może być gorsze od wielu innych rzeczy.

— Myślę, że może — powiedziała Pilar. — Daj mi jeszcze jednego papierosa, Inglés, i *vamonos*.

Dziewczyna oparła się plecami o wrzosy porastające brzeg nad potokiem, a Robert Jordan wyciągnął się na wznak i złożył głowę na kępie wrzosów. Poszukał ręki Marii i przytrzymawszy ją w swojej, potarł obiema o wrzosy, a wtedy dziewczyna rozchyliła dłoń i położyła ją płasko na jego ręce słuchając opowiadania Pilar.

— Było jeszcze wczesne rano, kiedy *civiles* poddali się w koszarach — zaczęła Pilar.

— Zaatakowaliście koszary? — zapytał Robert Jordan.

— Pablo otoczył je po ciemku, przeciął druty telefoniczne, podłożył dynamit pod ścianę i wezwał *guardia civil* do złożenia broni. Nie chcieli. O świcie wysadził ścianę. Zaczęła się walka. Dwóch *civiles* zginęło. Czterech było rannych, a czterech się poddało.

Robiło się widno, a my leżeliśmy na dachach, na ziemi, za węgłami murów i budynków, i chmura pyłu po wybuchu jeszcze nie opadła, jako że wzbiła się wysoko w powietrze, a nie było wiatru, który by ją zdmuchnął. Strzelaliśmy w ten wyłom w ścianie koszar, ładowaliśmy i strzelali w dym, a stamtąd, ze środka, wciąż błyskał ogień karabinów. Nareszcie z dymu krzyknęli, żeby nie strzelać, i ci czterej *civiles* wyszli z rękami do góry. Zawalił się cały kawał dachu, ściany nie było, więc wyszli, żeby się poddać.

„Jest was tam więcej w środku?" — krzyknął Pablo.

„Są ranni".

„Pilnujcie tych czterech — rozkazał Pablo kilku naszym, którzy podeszli do tego miejsca, skądeśmy strzelali. — Stawajcie tu. Pod murem" — powiedział do *civiles*. Czterej *civiles* stanęli pod murem, brudni, zakurzeni, usmoleni. Ci czterej nasi, co mieli ich pilnować, wymierzyli w nich karabiny, a Pablo poszedł z innymi dobić rannych.

Kiedy z tym skończyli i w koszarach nie było już słychać rannych — ani jęków, ani krzyków, ani huku strzałów — Pablo wyszedł z tamtymi; strzelbę miał przewieszoną przez plecy, a w ręku trzymał mauzera.

„Patrz, Pilar — powiedział. — To miał w ręce oficer, który sam się zabił. Jeszcze nigdy nie strzelałem z pistoletu. — Ty — obrócił się do jednego z gwardzistów. — Pokaż mi, jak to działa. Nie. Nie pokazuj. Powiedz".

Czterej *civiles* stali pod murem, pocili się i nie mówili nic, dopóki w koszarach słychać było strzały. Wszystko to były wysokie chłopy z twarzami *guardias civiles*, to znaczy, że mieli twarze w takim rodzaju jak moja, tyle że porośnięte krótką szczeciną jeszcze nie ogoloną tego ich ostatniego ranka. Stali pod murem i nie mówili ani słowa.

„Ty — powiedział Pablo do tego, co był najbliżej. — Powiedz mi, jak to działa".

„Opuśćcie tę dźwigienkę — tamten na to bardzo suchym głosem. — Odciągnijcie suwadło i spuśćcie je do przodu".

„Co to jest suwadło? — zapytał Pablo i popatrzał na czterech *civiles*. — Gdzie jest suwadło?"

„Tu na wierzchu". Pablo odciągnął zamek i tak został.

„Co teraz? — spytał. — Zaciął się. Zełgałeś mi".

„Odciągnijcie jeszcze dalej i lekko spuśćcie do przodu" — powiedział ten *civil*, a nigdy w życiu nie słyszałam takiego głosu. Był bardziej stary niż poranek bez słońca.

Pablo odciągnął i spuścił zamek, tak jak mu tamten powiedział, zamek zaskoczył na swoje miejsce, i w ten sposób pistolet był zarepetowany, a kurek odwiedziony. To jest taki brzydki pistolet, z małą, krągłą kolbą i dużą, płaską lufą, bardzo nieporęczny. Civiles przez cały czas patrzyli na Pabla i milczeli.

„Co z nami zrobicie?" — zapytał jeden.

„Zastrzelę was" — odpowiedział Pablo.

„Kiedy?" — zapytał tamten szarym głosem.

„Zaraz" — powiedział Pablo.

„Gdzie?"

„A tu — odrzekł Pablo. — Tu. Zaraz. Tutaj i zaraz. Macie coś do powiedzenia?"

„*Nada* — odparł *civil*. — Nic. Ale to wstrętne".

„Ty też jesteś wstrętny — powiedział Pablo. — Ty morderco chłopów. Ty, co byś zastrzelił własną matkę".

„Nigdy nikogo nie zabiłem — powiedział *civil*. — A wy nie gadajcie o mojej matce".

„Pokażcie nam, jak się umiera. Wy, coście zawsze zabijali".

„Nie ma potrzeby nas znieważać — odezwał się inny *civil*. — A umrzeć potrafimy".

„Klękajcie pod ścianą, głowami o mur" — rozkazał im Pablo. *Civiles* spojrzeli po sobie.

„Klękajcie, powiadam! — krzyknął Pablo. — No już, na kolana!"

„Jak ci się wydaje, Paco?" — zapytał jeden *civil* tego najwyższego, co rozmawiał z Pablem o pistolecie. Miał na rękawach kapralskie naszywki i pocił się mocno, chociaż wczesnym rankiem było jeszcze chłodno.

„Można uklęknąć — odpowiedział. — To nie ma znaczenia".

„Będzie bliżej do ziemi" — spróbował zażartować ten pierwszy, co mówił przedtem, ale tamtym było nie do żartów i żaden się nie uśmiechnął.

„No, to klękajmy" — powiedział pierwszy *civil* i uklękli we czterech, jacyś niezgrabni z tymi głowami opartymi o mur a rękami przy bokach, i Pablo przeszedł za nimi i każdemu po kolei strzelił w tył głowy z pistoletu. Szedł od jednego do drugiego i przykładał mu lufę do głowy, a kiedy strzelił, tamten osuwał się na ziemię. Jeszcze słyszę te strzały, ostre, a jednak zgłuszone, i widzę szarpnięcie lufy i głowę człowieka opadającą w przód. Jeden trzymał głowę nieruchomo, kiedy jej dotknął pistolet. Jeden wyciągnął głowę i przycisnął czoło do muru. Jeden dygotał na całym ciele i głowa mu się trzęsła. Tylko jeden zasłonił sobie oczy rękami i to był już ostatni, i kiedy Pablo odwrócił się od nich i podszedł do nas z pistoletem w ręku, pod murem zostały cztery skręcone ciała.

„Potrzymaj, Pilar — powiedział do mnie. — Nie wiem, jak się spuszcza kurek". — Oddał mi pistolet, przystanął i popatrzył na czterech gwardzistów, którzy leżeli pod murem koszar. Wszyscy ci, co byli z nami, też stali i patrzyli na nich, i żaden się nie odezwał.

Opanowaliśmy miasteczko, a było jeszcze wcześnie rano i nikt z nas nic dotąd nie jadł ani nie pił kawy. Popatrzyliśmy na siebie. Cali byliśmy obsypani pyłem po wysadzeniu koszar, tak jak ludzie zakurzeni po młocce. Stałam z pistoletem, czułam w ręce jego ciężar i ściskało mnie w dołku, kiedy patrzyłam na tych pozabijanych gwardzistów pod murem; byli tacy sami szarzy i zakurzeni jak my, tylko że teraz każdy zwilżał swoją krwią suchy pył pod ścianą, tam gdzie leżeli. I wtedy słońce wyszło zza dalekich wzgórz i oświetliło drogę, na której staliśmy, i biały mur koszar.

Pył w powietrzu zrobił się złoty od tych pierwszych promieni, a chłop, który stał koło mnie, popatrzał na mur koszar i na to, co pod nim leżało, potem na nas i na słońce i powiedział: „*Vaya*[26], zaczyna się dzień".

„Chodźmy napić się kawy" — powiedziałam.

„Dobrze, Pilar, dobrze" — on na to. I poszliśmy do miasteczka, na *plaza*, i to już byli ostatni ludzie, jakich zastrzelono w miasteczku.

— A co się stało z resztą? — zapytał Robert Jordan. — Nie było tam więcej faszystów?

— *Qué va*, nie było więcej faszystów. Było z górą dwudziestu. Ale żadnego nie zastrzelili.

— A co z nimi zrobili?

— Pablo kazał ich zatłuc na śmierć cepami i zrzucić ze skarpy do rzeki.

— Wszystkich dwudziestu?

— Zaraz ci opowiem. To nie takie proste. I już nigdy w życiu nie chciałabym widzieć takiej sceny, jak to zabijanie cepami na *plaza*, na szczycie skarpy nad rzeką.

Miasteczko stoi na wysokim brzegu i jest tam placyk ze studnią, a na nim ławki i stare drzewa, które tym ławkom dają cień. Balkony domów wychodzą na *plaza*. Zbiega się tam sześć ulic, a domy naokoło mają arkady, tak że kiedy słońce przypieka, można chodzić pod nimi. Z trzech stron placu są te arkady, z czwartej alejka spacerowa pod drzewami na skraju skarpy, a pod nią, w dole, rzeka. Do rzeki jest z dziewięćdziesiąt metrów prosto w dół.

To wszystko zorganizował Pablo, tak samo jak i ten atak na koszary. Najpierw kazał zagrodzić wyloty ulic wozami, zupełnie jakby przygotowywał plac do *capea,* do amatorskiej walki byków. Wszystkich faszystów trzymali w Ayuntamieino, ratuszu, największym budynku po jednej stronie *plaza*. Był tam na murze zegar, a obok pod arkadami klub faszystowski. Przed tym klubem, na chodniku pod arkadą, stały stoliki i fotele. To tam przed wybuchem ruchu faszyści zwykle popijali *aperitify*. Stoły i fotele były plecione z wikliny. Wyglądało to jak kawiarnia, tyle że bardziej elegancko.

— Wzięliście ich bez walki?

— Pablo kazał ich połapać w nocy, nim zaatakował koszary. Ale koszary otoczył już przedtem. Powybierali ich z domów o tej samej godzinie, o której zaczął się atak.

[26] vaya (hiszp.) - no to idę.

To było mądre. Z Pabla jest organizator. Bo inaczej mogli go napaść z boku i z tyłu, kiedy uderzał na koszary *guardia civil*.

Pablo jest bardzo przemyślny, ale i bardzo brutalny. Tamto w miasteczku uplanował i zarządził doskonale. Słuchajcie. Po udanym ataku, kiedy czterej ostatni gwardziści poddali się, a on ich zastrzelił pod murem, napiliśmy się kawy w kawiarni, którą zawsze najwcześniej otwierali na rogu, skąd odjeżdżał pierwszy autobus, i potem Pablo zaczął przygotowywać *plaza*. Poustawiali wozy zupełnie jak na *capea*, z wyjątkiem tej strony od rzeki. Ta pozostała otwarta. Wtedy Pablo kazał księdzu wyspowiadać faszystów i dać im odpowiednie sakramenty.

— Gdzie to się działo?

— W Aywitamiento, jakem już mówiła. Na placu zebrał się wielki tłum i kiedy w ratuszu odbywało się tamto z księdzem, na dworze było trochę swawoli i wykrzykiwania różnych sprośności, ale na ogół ludzie zachowywali się poważnie i z uszanowaniem. Głupstwa wygadywali ci, co już byli pijani po oblewaniu zdobycia koszar albo też różne nygusy, które są zawsze urżnięte.

Podczas gdy ksiądz spełniał tam swój obowiązek, Pablo ustawił ludzi na plaza w dwa szeregi.

Ustawił ich tak, jak do zawodów w przeciąganiu się liną albo jak w mieście stają ludzie, żeby się przyjrzeć zakończeniu wyścigu kolarskiego, zostawiając tylko tyle wolnego miejsca, żeby rowerzyści mogli przejechać, albo też jak się staje szpalerem, żeby zrobić przejście dla świętego obrazu podczas procesji. Pomiędzy szeregami były dwa metry odstępu, a szpaler ciągnął się od wejścia do Ayuntamiento przez całą *plaza* aż do krawędzi skarpy. Tak więc ktoś, kto wyszedłszy z Aywitamiento spojrzał na *plaza*, widział dwa zwarte szeregi czekających ludzi.

Uzbrojeni byli w cepy, jakich używa się do młócenia zboża, i stali trochę dalej niż na odległość cepu jeden szereg od drugiego. Nie wszyscy mieli cepy, bo nie można było dostać wystarczającej ilości. Ale większość miała cepy ze sklepu don Guillerma Martina, który był faszystą i handlował różnymi przyborami rolniczymi. Ci, co nie mieli cepów, trzymali ciężkie pasterskie pałki albo szpikulce do poganiania wołów, a inni mieli drewniane widły, takie z drewnianymi zębami, używane do rozrzucania plew i słomy po młocce. Niektórzy mieli sierpy i zakrzywione noże, ale tych Pablo ustawił na samym końcu, gdzie szpaler dochodził do brzegu skarpy.

Szeregi stały cicho, dzień był pogodny, taki jak dzisiaj, wysoko na niebie obłoki, tak jak i dziś, *plaza* jeszcze nie zakurzona, bo w nocy była gęsta rosa, drzewa rzucały cień na ludzi w szeregach i słyszało się szmer wody cieknącej z mosiężnej rurki w paszczy lwa do muszli studni, do której tam przychodzą z dzbanami kobiety.

Tylko bliżej Ayuntamiento, gdzie ksiądz dopełniał swoich obowiązków z faszystami, było trochę rozwydrzenia, ale i to robili ci nicponie, którzy, jak mówiłam, byli już pijani i cisnęli się pod okna wykrzykując przez żelazne kraty różne sprośności i żarty w złym guście. Większość mężczyzn w dwuszeregu czekała spokojnie i usłyszałam, jak jeden spytał drugiego: „A kobiety też będą?" „Mam w Bogu nadzieję, że nie" — odrzekł tamten.

Potem któryś powiedział: „O, jest ta od Pabla. Słuchaj, Pilar, będą tu kobiety?"

Popatrzyłam na niego, a to był chłop ze wsi, ubrany w niedzielną kurtkę i mocno spocony, i powiedziałam mu: „Nie, Joaquin. Kobiet nie ma. My kobiet nie zabijamy. Dlaczego mielibyśmy zabijać ich kobiety?"

On na to: „Bogu niech będą dzięki, że nie ma kobiet. Kiedy się to zaczyna?"

„Jak tylko ksiądz skończy".

„A co będzie z księdzem?"

„Nie wiem" — odpowiedziałam i zauważyłam, że żuchwy mu chodzą i pot spływa po czole: — „Nigdy jeszcze nie zabiłem człowieka" — powiedział.

„To się nauczysz — odezwał się drugi chłop, który stal obok niego. — Ale nie widzi mi się, żeby można tym zabić od jednego razu". — Podniósł obiema rękami swój cep i przyjrzał mu się z powątpiewaniem.

„To właśnie jest piękne — wtrącił inny chłop. — Bo trzeba bić wiele razy".

„Tamci wzięli Valladolid. Tamci zajęli Avilę — powiedział ktoś. — Słyszałem o tym, zanim przyszliśmy do miasta".

„Ale tego miasta nie dostaną. To miasto jest nasze. Uderzyliśmy pierwsi — odpowiedziałam. — Pablo nie taki, żeby czekać, aż oni uderzą".

„Pablo jest zdolny — rzekł inny. — Ale w tym wykańczaniu *civiles* był samolubny. Nie uważasz, Pilar?"

„Owszem — ja na to. — Ale teraz już wszyscy biorą w tym udział".

„Tak — powiedział. — Dobrze to jest zorganizowane. Tylko dlaczego nie mamy więcej wiadomości o ruchu?"

„Pablo przeciął druty telefoniczne przed atakiem na koszary. Jeszcze ich nie naprawili".

„Aha — powiedział. — To dlatego nic nie wiemy. Ja słyszałem dziś rano komunikat przez radio u dróżnika. Dlaczego to tutaj ma się robić w taki sposób, Pilar?" — zapytał mnie.

„Żeby zaoszczędzić kul. I żeby każdy miał swój udział w odpowiedzialności".

„Więc niech się już zaczyna. Niech się zaczyna". — Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że płacze.

„Czego płaczesz, Joaquin? — zapytałam. — Nie ma powodu do płaczu".

„Nic nie poradzę, Pilar — odpowiedział. — Ja jeszcze nigdy nikogo nie zabiłem".

Jeżeliś nie widział wybuchu rewolucji w małym miasteczku, gdzie wszyscy nawzajem się znają i zawsze znali, to nie widziałeś nic. Tego dnia większość tych, co stali w dwuszeregu na *plaza*, była ubrana tak jak do pracy na polu, bo przybiegli do miasta w pośpiechu, ale niektórzy, nie wiedząc, jak trzeba się ubrać na pierwszy dzień ruchu, przyszli w niedzielnych albo odświętnych garniturach i teraz widząc, że inni, także i ci, co atakowali koszary, mają na sobie najstarsze łachy, wstydzili się, że są nieodpowiednio ubrani. Ale nie chcieli zdjąć kurtek z obawy, że je pogubią albo że je ukradnie któryś z tamtych nygusów, więc pocili się na słońcu i czekali, żeby się już zaczęło.

Zerwał się wiatr, a że pyl obsechł na *plaza*, bo ludzie roznieśli go chodząc, stojąc i szurając nogami, więc zaczęło się kurzyć i jakiś mężczyzna w granatowej niedzielnej marynarce zawołał: „*Agua! Agua*[27]*!*", i zamiatacz, który miał obowiązek polewać plac co rano sikawką, przyszedł, odkręcił kurek i zaczął skrapiać *plaza* od skraju ku środkowi. Wtedy oba szeregi cofnęły się, żeby mógł polać sam środek. Tamten wymachiwał wężem szerokimi lukami, woda błyszczała w słońcu, a ludzie stali oparci na cepach, pałkach i widłach z bielutkiego drzewa i przyglądali się tryskającemu strumieniowi wody. A potem, kiedy *plaza* już była ładnie polana i kurz osiadł, szeregi ustawiły się znowu i jeden z chłopów zawołał: „Kiedy dostaniemy pierwszego faszystę? Kiedy pierwszy wylezie z pudła?"

„Niedługo! — zawołał Pablo z drzwi Ayunatamiento. — Niedługo wyjdzie pierwszy!" — Głos miał ochrypły od krzyczenia podczas ataku i od dymu w koszarach.

[27] agua (hiszp.) - woda.

„Dlaczego to się tak opóźnia?" — zapytał ktoś.

„Jeszcze są zajęci swoimi grzechami!" — krzyknął Pablo.

„Jasne; przecież ich jest dwudziestu" — powiedział ktoś.

„Więcej" — dodał inny.

„Dwudziestu ma wiele grzechów do opowiedzenia".

„Tak, ale mnie się zdaje, że to tylko sztuczka dla zyskania na czasie. Z pewnością w takiej chwili nie można spamiętać swoich grzechów z wyjątkiem największych".

„Więc miejcie cierpliwość. Bo jak jest dwudziestu z górą, to mają tyle tych największych grzechów, że to musi trochę potrwać".

„Ja mam cierpliwość — odpowiedział pierwszy. — Ale lepiej już z tym skończyć. I dla nich, i dla nas. Jest lipiec i mamy dużo roboty. Zebraliśmy już zboże, aleśmy nie wymłócili. Jeszcze nie pora na jarmarki i uroczystości".

„Ale dziś będzie tu jarmark i uroczystość — odrzekł pierwszy. — Jarmark Wolności. Od dzisiejszego dnia, jak już się tamtych wykończy, miasto i ziemia będą nasze".

— Dziś młócimy faszystów — powiedział któryś — a z plew powstanie wolność dla tego pueblo".

— „Musimy dobrze się rządzić, żeby na nią zasłużyć — odezwał się inny. — Pilar, a kiedy będzie zebranie organizacyjne?"

„Jak tylko z tym skończymy — odpowiedziałam. — I także w budynku Ayuntamiento".

Dla kawału miałam na głowie trójgraniasty lakierowany kapelusz *guardia civil*. Spuściłam kurek pistoletu przytrzymując go dużym palcem i naciskając spust, bo domyśliłam się, że tak trzeba; pistolet był na linewce, którą się opasałam i zatknęłam go za nią długą lufą. Kiedy kładłam ten kapelusz, wydawało mi się, że to dobry kawał, chociaż później żałowałam, żem nie wzięła kabury od pistoletu zamiast kapelusza. Ale jeden z szeregu powiedział do mnie: „Pilar, moja córko, widzi mi się, że to w złym guście, żebyś chodziła w tym kapeluszu. Jużeśmy skończyli z takimi rzeczami jak *guardia civil*".

„No to go zdejmę" — powiedziałam. I zdjęłam.

„Daj mi ten kapelusz — powiedział. — Trzeba go zniszczyć".

A że staliśmy na samym końcu szpaleru, tam gdzie alejka biegła wzdłuż skarpy, więc wziął kapelusz i rzucił go w dół takim ruchem, jak pastuch; który ciska spod ręki kamieniem w byki, żeby je napędzić. Kapelusz poleciał daleko i widzieliśmy, jak malał coraz bardziej, a lakierowana skóra łyskała w czystym powietrzu, kiedy opadał do rzeki. Obejrzałam się na plac i zobaczyłam, że we wszystkich oknach i na balkonach tłoczą się ludzie; wzdłuż placu aż do progu Ayuntamiento stał podwójny szereg mężczyzn, tłum cisnął się pod okna budynku i słychać było szum głosów wielu ludzi, a potem usłyszałam krzyk i ktoś powiedział: „O, idzie pierwszy!" — i to był burmistrz, don Benito Garcia. Pokazał się na progu, z gołą głową, zszedł powoli z ganku, i nic się nie stało, i ruszył szpalerem mężczyzn z cepami, i ciągle nic się nie działo. Minął dwóch, czterech, ośmiu, dziesięciu — i nic. Szedł między dwoma szeregami z podniesioną głową, jego tłusta twarz była szara, patrzał prosto przed siebie, potem zerknął w lewo, w prawo, i dalej szedł spokojnie. I ciągle nic.

Z balkonu ktoś krzyknął: „*Qué pasa, cobardes*? — Co się dzieje, tchórze?" — a don Benito szedł dalej między szeregami i nic mu nie robili. Wtedy zauważyłam mężczyznę, który stał o trzech ludzi ode mnie; żuchwy mu chodziły, przygryzał wargi i tak ściskał cep, że aż mu garście zbielały. Widziałam, że patrzy na don Benita, który był coraz bliżej. I ciągle nic się nie działo. A potem, na chwilę zanim don Benito zrównał się z nim, tamten podniósł cep tak wysoko, że trącił sąsiada w szeregu, i trzasnął don Benita w bok głowy. Don Benito spojrzał na niego, a on rąbnął go jeszcze raz i krzyknął: „Masz, *cabrón*[28]!", i trafił w twarz don Benita, który poderwał ręce do oczu. Wtedy zaczęli go okładać, póki nie upadł, a ten co pierwszy uderzył, zwołał innych, żeby mu pomogli, chwycił don Benita za kołnierz koszuli, tamci złapali go za ręce, powlekli, twarzą po ziemi, przez alejkę aż do krawędzi skarpy i stamtąd zrzucili do rzeki. Ten, który pierwszy uderzył, klęczał nad samą krawędzią, patrzał za nim i powtarzał: „*Cabrón! Cabrón!* Ach, ty *cabrón*!" To był dzierżawca don Benita i jakoś nigdy nie zgadzali się z sobą. Mieli spór o kawałek ziemi nad rzeką, który don Benito mu odebrał i wydzierżawił innemu, i ten człowiek od dawna go nienawidził. Nie wrócił już do szeregu, tylko siedział nad brzegiem skarpy i patrzał w to miejsce, gdzie spadł don Benito.

Po don Benicie nikt nie wychodził. Teraz na *plaza* nie było już hałasu, bo wszyscy czekali, kto się pokaże. Jakiś pijak krzyknął wielkim głosem: „*Qué salga el taro!* Wypuścić byka!"

[28] cabrón (hiszp.) - kozioł; tu przen.: rogacz.

Wtedy któryś ze stojących pod oknami Ayuntamiento wrzasnął: „Nie chcą się ruszyć! Wszyscy się modlą!"

Inny pijak zawołał: „Wywlec ich! Chodźcie, wywleczemy ich! koniec z modleniem!"

Ale nikt nie wychodził, a potem zobaczyłam w drzwiach jakiegoś mężczyznę.

To był don Federico Gonzales, właściciel młyna i składu paszy, faszysta pierwszej wody. Był wysoki, chudy, włosy nosił zaczesane z jednego boku głowy na drugi, ażeby przykryć łysinę, a teraz miał na sobie nocną koszulę wetkniętą w spodnie. Był boso, tak jak go wzięli z domu, i szedł przed Pablem trzymając ręce nad głową, a Pablo za nim i przyciskał mu do pleców lufę strzelby, i tak go prowadził, póki don Federico nie wszedł między szeregi. Ale kiedy Pablo go zostawił i zawrócił do Ayuntamiento, don Federico nie mógł iść naprzód, tylko stanął, oczy podniósł do góry, a ręce wyciągnął, jakby chciał pochwycić niebo.

„Nogi mu nie chodzą" — powiedział ktoś.

„Co się stało, don Federico? Nie możecie iść?" — krzyknął do niego inny. Ale don Federico ciągle stał z podniesionymi rękami i tylko wargi mu się poruszały.

„Jazda! — krzyknął do niego ze schodów Pablo. — Idź!"

Don Federico wciąż stał i nie mógł postąpić ani kroku. Jeden z pijaków pchnął go z tylu trzonkiem cepa i don Federico podskoczył szybko jak narowisty koń, ale dalej stał w tym samym miejscu, z podniesionymi rękami i z oczami obróconymi ku niebu.

Wtedy ten chłop, który był obok mnie, powiedział: „To jest haniebne. Ja nie mam nic przeciwko niemu, ale to widowisko musi się skończyć". I poszedł między szeregami, przepchał się do don Federica, powiedział: „Za pozwoleniem" i zdzielił go potężnie pałką w głowę.

Don Federico opuścił ręce, przycisnął je do ciemienia, tam gdzie była łysina, pochylił głowę i osłaniając ją dłońmi tak, że rzadkie, długie kosmyki przykrywające łysinę wymykały mu się spomiędzy palców, pobiegł szybko między dwoma szeregami. Cepy młóciły go po plecach i ramionach, aż wreszcie upadł, a ci, co stali na końcu, podnieśli go i zrzucili ze skarpy. Odkąd wyszedł popychany strzelbą przez Pabla, ani razu nie otworzył ust. Jedyną trudność miał z pójściem naprzód. Zupełnie jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Po don Federicu zauważyłam, że na końcu szpaleru, przy samej skarpie, skupili się najtwardsi ludzie. Odeszłam stamtąd do arkady Ayuntamiento, rozepchnęłam dwóch pijaków i zajrzałam w okno. W dużej sali Ayuntamiento wszyscy klęczeli półkolem i modlili się, a ksiądz klęczał i modlił się z nimi. Pablo i taki jeden, przezywany Cuatro Dedos, Cztery Palce, szewc z zawodu, który wtedy trzymał się blisko z Pablem, i jeszcze dwaj inni stali ze strzelbami w ręku i Pablo zapytał księdza: „Który teraz idzie?" — a ksiądz tylko się modlił i nic mu nie odpowiedział.

„Słuchajcie, wy — powiedział Pablo do księdza ochrypłym głosem. — Który teraz idzie? Kto jest gotowy?"

Ksiądz nie chciał odpowiedzieć i zachowywał się tak, jakby Pabla nie było, a ja widziałam, że Pabla bierze wielka złość.

„Chodźmy wszyscy razem" — powiedział do niego podnosząc głowę i przerywając modlitwę don Ricardo Montalvo, który był ziemianinem.

„Qué va — odrzekł Pablo. — Po jednemu, jak który gotowy".

„To ja teraz pójdę — powiedział don Ricardo. — Nie mogę już być bardziej gotowy niż w tej chwili".

Ksiądz pobłogosławił mu, kiedy to mówił, a potem jeszcze raz, kiedy wstał. Nie przerwał modlitwy, tylko podał mu krucyfiks do pocałowania, a don Ricardo pocałował go, obrócił się do Pabla i powiedział: „Nigdy nie będę bardziej gotowy niż teraz. Ty, *cabrón* ze złego mleka. Idziemy".

Don Ricardo był niski, siwy, z grubą szyją, w koszuli bez kołnierzyka. Nogi miał krzywe od tego, że dużo jeździł konno.

„Zegnajcie — powiedział do wszystkich, co tam klęczeli. — Nie martwcie się. Śmierć to głupstwo. Najgorsze, że trzeba zginąć z rąk tej *canalla*. Nie dotykaj mnie — obrócił się do Pabla. — Nie dotykaj mnie swoją strzelbą".

Wyszedł przed Ayuntamiento, siwy, z małymi, szarymi oczkami i krótką szyją całą nabrzmiałą z gniewu. Popatrzał na dwa szeregi chłopów i splunął na ziemię. Splunął rzeczywiście śliną, co w takich okolicznościach, jak powinieneś wiedzieć, Inglés, jest rzeczą bardzo rzadką, i zawołał: „Arriba España!" Precz z zaplugawioną Republiką! Paskudzę w mleko waszych ojców!"

Zatłukli go więc na śmierć bardzo szybko ze względu na tę zniewagę, zaczęli go bić, gdy tylko doszedł do pierwszych w szeregu, i bili, kiedy próbował iść dalej z podniesioną głową, bili, póki nie upadł, i dźgali nożami i sierpami. Całą gromadą

powlekli go na brzeg skarpy, żeby go stamtąd zrzucić, i teraz już mieli krew na rękach i ubraniu, i zaczynali czuć, że ci, co wychodzą, to naprawdę wrogowie, i że ich trzeba zabijać.

Jestem pewna, że póki don Ricardo nie wyszedł z tą zaciekłością i wyzwiskami, wielu stojących w szeregach dużo by dało, żeby tam nie być. I gdyby ktoś krzyknął: „Słuchajcie, darujmy reszcie! Już dostali nauczkę" — na pewno większość byłaby się zgodziła.

Ale don Ricardo tą swoją brawurą wyświadczył bardzo złą przysługę pozostałym. Bo rozjątrzył ludzi w szeregach i o ile dotąd spełniali obowiązek bez wielkiej ochoty, teraz się rozeźlili i od razu było widać różnicę.

„Wyprowadzić księdza, to wszystko szybciej pójdzie!" — zawołał któryś.

„Wyprowadzić księdza!"

„Mieliśmy już trzech łotrów, dajcie nam teraz księdza!"

„Dwóch — odezwał się jakiś niski chłop do tego, który krzyczał. — Tylko dwóch łotrów było obok Pana Naszego".

„Czyjego Pana?" — zapytał tamten, czerwony ze złości.

„Tak się przyjęło mówić: Pan Nasz".

„On nie jest moim panem ani nawet dla śmiechu — odpowiedział tamten. — A ty lepiej stul pysk, jeżeli sam nie chcesz przejść między szeregami".

„Ja jestem taki sam dobry republikanin wolnościowy jak i ty — odparł niski chłop. — Rąbnąłem don Ricarda w gębę. A don Federica w plecy. Don Benita nie trafiłem. Ale powtarzam, że Pan Nasz to jest formalna nazwa tamtego człowieka i że łotrów było dwóch".

„Fajdam w mleko twojego republikańskwa! Wciąż tylko gadasz «don taki», «don owaki»".

„Tak ich tu nazywają".

„Ja ich tak nie nazywam, tych cabrones. A twój Pan... O, idzie nowy!"

Wtedy zobaczyliśmy żałosny widok, bo ten, który wyszedł z drzwi Ayuntamiento, to był don Faustino Rivero, najstarszy syn ziemianina, don Celestina Rivero. Wysoki, włosy miał blond, świeżo zaczesane z czoła, bo zawsze nosił grzebień w kieszeni i teraz też się poczesał przed wyjściem. Był z niego pies na dziewczyny, poza tym tchórz i zawsze chciał wystąpić jako toreador-amator. Dużo zadawał się z Cyganami, matadorami i hodowcami byków i uwielbiał nosić strój andaluzyjski, ale

odważny nie był i wszyscy go mieli za pajaca. Kiedyś ogłoszono, że wystąpi w amatorskiej walce byków urządzanej na cel dobroczynny, na dom starców w Avili, i zabije byka z konia na sposób andaluzyjski, co ćwiczył już od dłuższego czasu. Ale jak zobaczył wielkiego byka, którego mu postawili w miejsce tego małego, słabego w nogach, co go sam sobie wybrał, powiedział, że jest chory, a nawet podobno wetknął sobie trzy palce do gardła, żeby zwymiotować.

Kiedy go zobaczyli z szeregów, zaczęli krzyczeć: „Hola, don Faustino! Uważaj, żebyś się nie zerzygał!"

„Posłuchaj, don Faustino! Tam za skarpą są ładne dziewuchy".

„Zaczekaj minutkę, don Faustino, to ci przyprowadzimy byka większego niż tamten".

A ktoś inny zawołał: „Don Faustino! Słyszałeś ty kiedy o śmierci!"

Don Faustino stał i wciąż jeszcze udawał odważnego. Jeszcze był pod wpływem tego odruchu, który kazał mu oznajmić reszcie, że wychodzi. Był to ten sam odruch, który kazał mu kiedyś zapowiedzieć, że wystąpi w walce byków. Który kazał mu wierzyć i ufać, że potrafi być toreadorem. Teraz natchnął go swoim przykładem don Ricardo, więc stał tam, a wyglądał przystojnie i dziarsko i przybrał pogardliwy wyraz twarzy. Ale przemówić nie mógł.

„Chodżże, don Faustino! — zawołał ktoś z szeregu. — Chodź, don Faustino! Tu masz największego byka ze wszystkich!"

Don Faustino stał i patrzał przed siebie, i myślę, że kiedy tak patrzał, nikt w obu szeregach nie czuł dla niego litości. Mimo to wyglądał przystojnie i dumnie; ale czas naglił, a droga była tylko jedna.

„Don Faustino! — zawołał ktoś. — Na co czekasz, don Faustino?"

„Szykuje się do rzygania" — odpowiedział inny i po szeregach poszedł śmiech.

„Don Faustino! — krzyknął jakiś chłop. — Zerzygaj się, jeżeli ci to sprawi przyjemność. Mnie to obojętne".

I wtedy, kiedyśmy tak na niego patrzyli, don Faustino spojrzał wzdłuż dwuszeregu, poprzez plac i na skarpę, i jak zobaczył urwisko i pustkę za nim, nagle zawrócił i dał nura w stronę wejścia do Ayuntamiento.

Szeregi ryknęły śmiechem i ktoś krzyknął głośno: „Gdzie, gdzie, don Faustino? Gdzie idziesz?"

„Idzie się wyrzygać!" — zawołał inny i wszyscy się roześmieli.

Wtedy znowu zobaczyliśmy don Faustina, za którym szedł Pablo ze strzelbą. Z fantazji don Faustina nic nie zostało. Widok szeregów odjął mu całą dziarskość i fason. Wyszedł teraz, a Pablo za nim, jak gdyby zamiatał ulicę, a don Faustino był czymś, co spychał przed sobą. Don Faustino żegnał się i modlił, a potem zasłonił sobie oczy rękami i zszedł ze schodków między szeregi.

„Zostawcie go! — ktoś krzyknął. — Nie ruszajcie!"

Ludzie zrozumieli i żaden nie podniósł ręki na don Faustina, a on szedł między szeregami, zasłaniał sobie oczy trzęsącymi dłońmi, a wargi mu się poruszały.

Nikt się nie odzywał i nikt go nie tknął, ale kiedy doszedł do polowy szpaleru, nie mógł iść dalej i padł na kolana.

Żaden go nie uderzył. Szłam równolegle z nim wzdłuż szeregów, żeby zobaczyć, co się stanie, i jakiś chłop pochylił się, postawił go na nogi i powiedział:

„Wstań, don Faustino, i idź dalej. Byk jeszcze się nie pokazał".

Don Faustino nie mógł iść o własnych siłach, więc ten chłop w czarnym kaftanie podtrzymał go z jednej strony, inny, też w czarnym kaftanie i pasterskich butach, podparł go z drugiej i tak poprowadzili pod ręce don Faustina, a on zasłaniał sobie oczy dłońmi, wargi mu drżały, a gładko przyczesane jasne włosy lśniły w słońcu, i kiedy tak szedł, chłopi mówili: „Don Faustino *buen provecho*. Dobrego apetytu, don Faustino" — a inni: — „Don Faustino, *a sus ordenes*. Don Faustino, na twoje rozkazy". Jeden, któremu także się nie powiodło w walkach byków, powiedział:

„Don Faustino. Matador, *a sus ordenes*" — a jeszcze inny: „W niebie są piękne dziewczyny, don Faustino". I tak go prowadzili przez szeregi, trzymali mocno z obu stron i podpierali, kiedy szedł zasłaniając sobie oczy rękami. Ale widocznie musiał zerkać przez palce, bo kiedy doszli z nim do krawędzi skarpy, znów ukląkł, rzucił się na ziemię, uczepił trawy i zaczął wołać: „Nie! Nie! Nie! Błagam! NIE. Błagam, błagam! Nie! Nie!"

Wtedy ci chłopi, co go prowadzili, a także tamci najtwardsi, z końca szeregów, szybko przykucnęli za nim i pchnęli go z rozmachu, a on przeleciał przez krawędź ani razu nie uderzony i tylko słychać było, jak krzyczał głośno i cienko, kiedy spadał do rzeki.

Wtedy poznałam, że ludzi już ogarnęło okrucieństwo, po pierwsze przez te zniewagi don Ricarda, a po wtóre przez tchórzostwo don Faustina.

„Dawajcie nam następnego!" — krzyknął jakiś chłop, a drugi klepnął go w plecy i powiedział: „Don Faustino! To ci heca! Don Faustino!"

„Teraz już zobaczył wielkiego byka — dodał inny. — Rzyganie już mu nic nie pomoże".

„W życiu nic widziałem czegoś takiego jak don Faustino" — powiedział trzeci.

„Są jeszcze inni — odrzekł mu ktoś. — Miej cierpliwość. Kto wie, co jeszcze zobaczymy".

„Mogą sobie być karły i olbrzymy — powiedział pierwszy. — Mogą być Murzyny i rzadkie bestie z Afryki. Ale dla mnie nie będzie już nigdy a nigdy czegoś takiego jak don Faustino. No, niech wychodzi następny! Dalej, dawajcie nam następnego!"

Pijacy rozdawali butelki anyżówki i koniaku zrabowane w barze faszystowskiego klubu i żłopali to jak wino, a wielu w szeregach też już miało w czubie od picia po tych silnych wrażeniach z don Benitem, don Federikiem, don Ricardem, a szczególnie z don Faustinem. Ci, co nie pili tych mocnych trunków z butelek, pociągali wino ze skórzanych bukłaków, które podawali sobie z rąk do rak. Jeden dał mi taki bukłak i ja też pociągnęłam spory łyk, wlewając chłodne wino prosto do gardła ze skórzanej *bote*, bo byłam mocno spragniona.

„Człowiekowi chce się pić od tego zabijania" — powiedział do mnie ten, co mi dał bukłak.

„*Qué va* — odpowiedziałam. — A boś ty zabijał?"

„Zabiliśmy czterech — on na to z dumą. — Nie licząc civiles. Czy to prawda, że zabiłaś jednego z *civiles*, Pilar?"

„Ani jednego — odpowiedziałam. — Kiedy ściana się zawaliła, strzelałam w dym jak inni. To wszystko".

„Skąd masz pistolet, Pilar?"

„Od Pabla. Dał mi go po zabiciu *civiles*".

„To on ich zabił z tego pistoletu?"

„Z tego a nie innego — odpowiedziałam. — A potem mnie w niego uzbroił".

„Mogę go obejrzeć, Pilar? Mogę potrzymać?"

„Czemu nie, człowieku" — powiedziałam, wyciągnęłam pistolet zza linewki i podałam mu go. Właśnie zastanawiałam się, dlaczego nikt nie wychodzi, a tu kto się pokazuje, jak nie don Guillermo Martin, z którego sklepu wzięli te cepy, pałki i drewniane widły. Don Guillermo był faszystą, ale poza tym nikt nic do niego nie miał.

Prawda, że mało płacił tym, co wyrabiali cepy, ale też tanio je sprzedawał i jak ktoś nie chciał kupować cepów u don Guillerma, mógł je zamówić gdzie indziej za cenę drewna i skóry. Miał szorstki sposób mówienia i był niewątpliwie faszystą, i członkiem tego ich klubu; w południe i wieczorem zasiadał tam w trzcinowym fotelu, żeby poczytać «El Debate», wołał sobie czyścibuta, popijał wermut z wodą selcerską i pogryzał przypiekane migdały, suszone krewetki i sardele. Ale za to się nie zabija i jestem pewna, że gdyby nie zniewagi don Ricarda Montalvo i to żałosne widowisko z don Faustinem, a potem pijaństwo po tych wszystkich wrażeniach, ktoś krzyknąłby: „Niech don Guillermo idzie w spokoju. Mamy jego cepy. Puścić go".

Bo ludzie z tamtego miasteczka są równie dobrzy, jak potrafią być okrutni, i mają wrodzone poczucie sprawiedliwości i chęć robienia tego, co słuszne. Ale w szeregi przeniknęło już okrucieństwo, a także zamroczenie od picia, czy też początek zamroczenia, i ludzie nie byli już tacy sami jak wtedy, gdy wyszedł don Benito. Nie wiem, jak jest w innych krajach i nikt nie znajduje w piciu większej przyjemności ode mnie, ale w Hiszpanii upicie się czymś innym niż wino jest rzeczą wielkiej szpetoty i ludzie robią wtedy rzeczy, których by inaczej nie robili. A w twoim kraju nie jest tak, Inglés?

— Tak samo — odpowiedział Robert Jordan. — Kiedy miałem siedem lat i pojechałem z matką do stanu Ohio na czyjś ślub, na którym miałem w parze z jedną dziewczynką nieść kwiaty...

— Robiłeś coś takiego? — zapytała Maria. — Jakie to śliczne!

— Wtedy w tym mieście powiesili na latarni Murzyna, a potem go spalili. To była taka latarnia łukowa, którą spuszcza się ze słupa aż do chodnika. Wywindowali go w górę, najpierw za pomocą mechanizmu, którym podnosi się latarnię, ale coś tam pękło...

— Murzyna! — powiedziała Maria. — Cóż to za barbarzyństwo!

— Czy ci ludzie byli pijani — spytała Pilar. — Czy byli pijani, że tak spalili Murzyna?

— Nie wiem — odrzekł Robert Jordan. — Bo widziałem to tylko przez żaluzje w oknie domu, który stał na tym samym rogu, co ta latarnia. Na ulicy był tłum i kiedy drugi raz podciągnęli w górę Murzyna...

— Jeżeliś miał tylko siedem lat i siedziałeś w tym domu, to nie mogłeś wiedzieć, czy są pijani, czy nie — powiedziała Pilar.

— Więc jak mówię, kiedy po raz drugi wywindowali Murzyna, matka odciągnęła mnie od okna i więcej nic nie widziałem — dokończył Robert Jordan. — Ale od tej pory miałem różne doświadczenia, które dowodzą, że pijaństwo jest takie samo i w moim kraju. Wstrętne i brutalne.

— Za mały jeszcze byłeś, jeżeli miałeś siedem lat — powiedziała Maria. — Za mały byłeś na takie rzeczy. Ja nigdy nie widziałam Murzyna, tylko w cyrku. Chyba że Maurowie są Murzynami.

— Niektórzy są, a inni nie — odparła Pilar. — Ja mogę coś niecoś powiedzieć o Maurach.

— Nie tyle co ja — rzekła Maria. — Nie, nie tyle co ja.

— Nie mów o takich rzeczach — powiedziała Pilar. — To niezdrowo. Na czymże stanęliśmy?

— Że się popili w szeregach — odparł Robert Jordan. — Mów dalej.

— Właściwie nie można powiedzieć, że się popili — ciągnęła Pilar — bo do upicia było im jeszcze daleko. Jednak już coś się w nich zmieniło, bo kiedy don Guillermo wyszedł i przystanął wyprostowany, krótkowzroczny, siwy, średniego wzrostu, w koszuli zapiętej na spinki, ale bez kołnierzyka, i przeżegnał się, spojrzał przed siebie, chociaż niewiele widział bez okularów, i ruszył naprzód spokojnie i pewnie — mógł wzbudzić litość. Ale ktoś krzyknął z szeregu: „Tu, don Guillermo! Tędy, don Guillermo! W tę stronę! Tutaj wszyscy mamy wasze wyroby".

Tak im się udały drwiny z don Faustina, iż nie widzieli, że don Guillermo to co innego i że jeżeli trzeba go zabić, powinno się zabić prędko i z godnością.

„Don Guillermo! — zawołał inny. — Może posłać do domu po twoje okulary?"

Dom don Guillerma to właściwie nie był dom, jako że don Guillermo nie miał dużo pieniędzy i był faszystą tylko przez snobizm i aby się pocieszyć, że musi pracować z małym zarobkiem prowadząc sklep z drewnianymi przyborami. Faszystą był także przez to, że żonę miał religijną i sam też zrobił się religijny z miłości do niej. Otóż zajmował tylko mieszkanie w kamienicy o trzy domy dalej przy placu i kiedy tak stał łypiąc krótkowzrocznymi oczami na szeregi, te dwa szeregi, między które, jak widział, musiał za chwilę wejść, z balkonu jego mieszkania zaczęła krzyczeć jakaś kobieta. Widziała go z balkonu, a była to jego żona.

„Guillermo! — krzyczała. — Guillermo! Zaczekaj, to pójdę z tobą!"

Don Guillermo obrócił głowę w stronę, z której dochodził krzyk. Nie mógł dojrzeć żony. Chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Zamachał ręką w kierunku, z którego wołała, i wszedł między szeregi.

„Guillermo! — krzyknęła. — Guillermo, och Guillermo! — Chwyciła rękami poręcz balkonu i szarpała się w przód i w tył. — Guillermo!"

Don Guillermo znowu pomachał ręką w tę stronę i z podniesioną głową wszedł między szeregi, i nikt by nie odgadł, co się z nim działo, gdyby nie kolor twarzy.

Wtedy jakiś pijany wrzasnął z szeregu: „Guillermo!" naśladując cienki, łamiący się głos jego żony, i don Guillermo ze łzami cieknącymi po policzkach rzucił się na oślep ku niemu, a tamtem gruchnął go mocno cepem przez twarz, aż don Guillermo siadł na ziemi od siły uderzenia i tak już został, zapłakany, ale nie ze strachu. Pijani bili go, a jeden wskoczył mu okrakiem na ramiona i zaczął walić butelką. Po tym wielu ludzi odeszło z szeregu, a ich miejsca zajęli pijacy, którzy przedtem wykrzykiwali pod oknami Ayuntamiento różne szyderstwa i rzeczy w złym guście.

Ja osobiście miałam dużą emocję, jak Pablo zabijał tych *guardia civil* — mówiła Pilar. — Była to wielka okropność, ale myślałam sobie, że jak trzeba, to trzeba, a przynajmniej nie było w tym okrucieństwa, tylko odebranie życia, co, jakeśmy się nauczyli w ostatnich latach, jest rzeczą paskudną, ale konieczną, jeżeli mamy zwyciężyć i zachować Republikę.

Kiedy na początku zamknęli plac i ustawili się w szeregi, podziwiałam ten pomysł Pabla, chociaż wydawał mi się trochę przesadny, i rozumiałam, że wszystko, co trzeba zrobić, musi być zrobione przyzwoicie, jeżeli to nie ma się stać wstrętne. Jasne, że jak lud miał tracić faszystów, lepiej było, żeby wszyscy w tym wzięli udział, i ja też chciałam przyjąć na siebie część winy na równi z innymi, tak samo jak spodziewałam się udziału w korzyściach, kiedy miasto będzie już nasze. Ale po don Guillermie poczułam wstyd i niesmak; a kiedy w szeregach zajęli miejsce pijacy i łobuzy po wycofaniu się tych, co wtedy odeszli na znak protestu, postanowiłam nic mieć z tym więcej nic wspólnego, poszłam na drugi koniec placu i usiadłam na ławce w cieniu jednego z dużych drzew.

Dwaj chłopi z szeregu podeszli do mnie rozmawiając i jeden zapytał: „Co ci jest, Pilar?"

„Nic, człowieku" — odpowiedziałam.

„Owszem — on na to. — Mów. Co się stało?"

„Chyba już mi się to przejadło" — powiedziałam.

„Nam też" — rzekł i obaj usiedli obok na ławce. Jeden miał bukłak z winem i podał mi go.

„Popłucz sobie usta" — powiedział, a drugi znowu zaczął przerwaną rozmowę: — „Najgorsze, że to przyniesie nieszczęście. Nikt mi nie powie, że takie rzeczy, jak zabicie w ten sposób don Guillerma, nie przynosi nieszczęścia".

Wtedy ten drugi powiedział: „Jeżeli trzeba ich wszystkich pozabijać, a wcale nie jestem przekonany, że to konieczne, niech zabijają ich przyzwoicie i bez kpin".

„Kpiny były usprawiedliwione w wypadku don Faustina — odrzekł tamten. — Jako że zawsze był z niego pajac i nigdy nie zachowywał się poważnie. Ale kpić z takiego poważnego człowieka, jak don Guillermo, to już nie jest w porządku".

„Rzygać mi się chce na to" — powiedziałam mu, co było dosłowną prawdą, ponieważ rzeczywiście robiło mi się niedobrze, biły na mnie poty i chwytały mnie takie mdłości, jak gdybym zjadła nieświeżych ślimaków.

„No, nic — powiedział pierwszy chłop. — Więcej w tym nie weźmiemy udziału. Ale ciekaw jestem, co też się dzieje w innych miastach".

„Jeszcze nie naprawili linii telefonicznej — wyjaśniłam. — Tego brak i powinno się na to zaradzić".

„Jasne — rzekł. — Kto wie, czy nie byłoby z nas większego pożytku, gdybyśmy przygotowali miasto do obrony zamiast masakrować ludzi z taką powolnością i brutalstwem".

„Idę pomówić z Pablem — powiedziałam, wstałam z ławki i poszłam w stronę arkady prowadzącej do drzwi Ayuntamiento, spod których biegł przez plac dwuszereg. Nie stał on teraz równo ani porządnie i pełno w nim było spitych na umór. Dwaj przewrócili się i leżeli na wznak na samym środku placu, i podawali sobie wzajemnie butelkę. Jeden, jak popił, zaraz krzyczał: „*Viva la Anarquial!*"[29], a leżał na plecach i darł się jak opętany. Na szyi miał czerwono-czarną chustkę. Drugi wrzeszczał! „*Viva la Libertad*!"[30], wierzgał nogami w powietrzu i znowu ryczał: „*Viva la Libertad!*". Ten także miał czerwono-czarną chustkę i machał nią jedną ręką, a w drugiej trzymał butelkę.

[29] Viva la Anarquial! (hiszp.) - Niech żyje anarchia!
[30] Viva la Libertad! (hiszp.) - Niech żyje wolność!

Jakiś chłop, który wyszedł z szeregu i teraz stał w cieniu arkad, popatrzył na nich z obrzydzeniem i powiedział: „Powinni krzyczeć: Niech żyje pijaństwo! Bo tylko w to jedno wierzą".

„Nie wierzą nawet i w to — odezwał się inny. — Tacy nie wierzą w nic i nic nie rozumieją".

Właśnie w tej chwili jeden z pijaków pozbierał się z ziemi, wyciągnął w górę obie ręce z zaciśniętymi pięściami i wrzasnął:

„Niech żyje anarchia i wolność! Fajdam w mleko Republiki!"

Drugi, który wciąż leżał na plecach, złapał krzyczącego za kostkę i pociągnął, tak że tamten zwalił się na niego, przekotłowali się razem, potem siedli, i ten, co go przewrócił, objął go za szyję, podał mu butelkę, ucałował czarno-czerwoną chustkę i obaj wzięli się do picia.

W tej chwili z szeregów doleciał ryk, a ja spojrzałam ku arkadom i nie mogłam dojrzeć, kto wychodzi, bo nie było go widać nad głowami tłumu, który się cisnął pod wejściem do Ayuntamiento. Zobaczyłam tylko, że Pablo i Cuatro Dedos wypychają kogoś strzelbami, ale nie widziałam, co to za jeden, więc podsunęłam się do samego szeregu, stłoczonego przed wejściem.

Ludzie rozpychali się, stoliki i krzesła kawiarni faszystowskiej były poprzewracane z wyjątkiem jednego stolika, na którym leżał jakiś pijak ze zwisającą głową i otwartymi ustami. Wzięłam krzesło, postawiłam je pod Pilarem i wlazłam na nie, żeby spojrzeć nad głowami tłumu.

Ten, którego Pablo i Cuatro Dedos wypychali na dwór, to był don Anastasio Rivas, zawołany faszysta i najtłustszy człowiek w miasteczku. Skupował zboże i był agentem kilku towarzystw ubezpieczeniowych, a także pożyczał ludziom pieniądze na wysoki procent. Z krzesła widziałam, jak schodził po schodkach w stronę szeregów, tłusty kark wylewał mu się znad kołnierzyka koszuli, a łysina błyszczała w słońcu. Jednakże nie wszedł między szeregi, bo podniósł się krzyk, nie poszczególnych ludzi, ale wszystkich naraz. Paskudny był ten krzyk, pijane szeregi wrzeszczały jednym głosem, potem się rozłamały, bo wszyscy rzucili się do don Anastasia i zobaczyłam, że padł na ziemię osłaniając sobie głowę rękami, a później już go nie widziałam, bo zwalili się na niego. Kiedy wstawali, don Anastasio już nie żył, bo zgruchotali mu głowę o płyty chodnika pod arkadami, i nie było już szeregów, tylko jedna zgraja.

„Wchodzimy do środka! — zaczęli ryczeć. — Idziemy po tamtych!"

„Za ciężki, żeby go nieść — powiedział jakiś mężczyzna i kopnął ciało don Anastasia, który leżał twarzą do ziemi. — Niech tu zostanie".

„Na co taszczyć aż do skarpy tę kupę flaków? Niech leży".

„Wejdziemy i wykończymy tych, co są w środku! — krzyknął któryś. — Chodźcie!"

„Po co tu sterczeć przez cały dzień na słońcu? — wrzasnął inny. — Chodźcie, idziemy!"

Tłum cisnął się pod arkady. Wrzeszczeli, przepychali się, ryczeli jak zwierzęta i wszyscy wołali: „Otwierać! Otwierać! Otwierać! do strażujących, którzy pozamykali drzwi Ayuntamiento, kiedy się rozłamały szeregi.

Z krzesła mogłam zajrzeć przez okratowane okno do sali Ayuntamiento. Wszystko tam było tak jak przedtem; ksiądz stał, a ci, co jeszcze nie wyszli, klęczeli półkolem dokoła niego i modlili się. Pablo ze strzelbą na plecach siedział na wielkim stole przed fotelem burmistrza. Nogi dyndały mu w powietrzu, a on skręcał sobie papierosa. Cuatro Dedos siedział w burmistrzowskim fotelu, nogi położył na stole i palił. Wszyscy strażujący porozsiadali się ze strzelbami na fotelach zarządu miejskiego. Klucz od głównych drzwi leżał na stole, obok Pabla.

Tłum krzyczał: „Otwierać! Otwierać! Otwierać!" — przeciągle jak pieśń, a Pablo siedział i jakby tego nie słyszał. Powiedział coś do księdza, ale nie dosłyszałam co, bo taki był wrzask.

Ksiądz i teraz nie odpowiedział nic, tylko modlił się dalej. Tłum mnie potrącał, więc przysunęłam krzesło do samego muru, pchając je przed sobą i sama popychana z tyłu przez innych. Stanęłam na krześle, przycisnęłam twarz do krat okna i uchwyciłam się ich. Jakiś mężczyzna wlazł także na to samo krzesło, otoczył mnie z tyłu rękami i przytrzymał się tych krat, co były z brzegów.

„Krzesło się złamie" — powiedziałam do niego.

„No to co? — odrzekł. — Patrzajcie na nich. Patrzajcie, jak się modlą".

Czułam na szyi jego oddech, który śmierdział tłumem, kwaśno jak wymioty na bruku, jak zapach pijaństwa. Potem mężczyzna wyciągnął szyję nad moim ramieniem, wetknął twarz między kraty i wrzasnął: „Otworzyć! Otworzyć!", a mnie się wydało, że cały tłum wskoczył mi na plecy, tak jak czasem we śnie siada ci na karku diabeł.

Ludzie rzucili się do drzwi, tak że tych, co byli na przedzie, przytłamsili inni, którzy napierali z tyłu, a jakiś ogromny pijak, w czarnym kaftanie, z czarno-czerwoną

chustką na szyi, wziął rozbieg z placu, uderzył ciałem o zbity tłum ludzi, zwalił się na nich, wstał, zawrócił i znowu rymnął z rozpędu w plecy tych, co się pchali, i krzyknął: „Niech żyję ja sam, niech żyje anarchia!"

Patrzałam na niego, a on odszedł od tłumu, usiadł na ziemi, pociągnął z butelki, a potem, siedząc, zauważył don Anastasia, który wciąż leżał twarzą na bruku, już teraz mocno potratowany. Pijak wstał, podszedł do niego, schylił się, polał mu głowę i ubranie trunkiem z butelki, a następnie wyjął z kieszeni pudełko zapałek i zaczął je kolejno pocierać, próbując podpalić don Anastasia. Ale wiał silny wiatr, który gasił mu te zapałki, więc po chwili pijak usiadł na ziemi obok don Anastasia. Potrząsał głową, popijał z butelki i coraz to schylał się i klepał don Anastasia po jego martwym ramieniu.

Przez ten czas tłum krzyczał, żeby otworzyć, a mężczyzna, który stał ze mną na krześle, trzymał się mocno krat okna i wrzeszczał tak, że mało nie ogłuchłam od jego głosu ryczącego mi koło ucha i nie udusiłam się od smrodliwego oddechu. Przestałam patrzeć na pijaka, który próbował podpalić don Anastasia i znowu zajrzałam do sali Ayuntamiento, a tam wszystko było tak samo, jak przedtem. Modlili się dalej, klęczeli w rozpiętych koszulach, jedni z głowami pochylonymi, inni z podniesionymi do górv, wpatrzeni w księdza i jego krucyfiks, a ksiądz modlił się szybko, żarliwie, spoglądając nad ich głowami. Za nimi siedział na stole Pablo z zapalonym papierosem, ze strzelbą na plecach, dyndał nogami i bawił się kluczem.

Zauważyłam, że pochylił się znowu i coś powiedział do księdza, ale nic dosłyszałam co, z powodu wrzasku. Ksiądz nic nie odrzekł, tylko modlił się dalej. Nagle z półkola modlących się wstał jakiś mężczyzna i zrozumiałam, że chce wyjść. Był to don Jose Castro, którego wszyscy nazywali don Pepe, zagorzały faszysta, handlarz końmi; podniósł się teraz, drobny, schludny, chociaż nie ogolony, w kurtce od piżamy wetkniętej w spodnie w szare paski. Ucałował krucyfiks, przyjął błogosławieństwo od księdza, potem wyprostował się, spojrzał na Pabla i pokazał drzwi ruchem głowy.

Pablo potrząsnął głową i palił dalej. Widziałam, że don Pepe coś mówił do niego, ale nie dosłyszałam co. Pablo nie odpowiedział, tylko znowu potrząsnął głową i pokazał nią drzwi.

Wtedy don Pepe popatrzył prosto na nie i zrozumiałam, iż dotąd nie wiedział, że są zamknięte. Pablo pokazał mu klucz, a on stał jeszcze chwilę patrząc na drzwi, po czym odwrócił się i ukląkł znowu. Zauważyłam, że ksiądz obejrzał się na Pabla, ale Pablo tylko wyszczerzył zęby i pokazał mu klucz, a ksiądz widać dopiero wtedy

uprzytomnił sobie, że drzwi są zamknięte i zrobił taki ruch, jakby chciał potrząsnąć głową, ale ją tylko pochylił i znowu zaczął się modlić.

Nie pojmuję, jak mogli nie wiedzieć, że drzwi są zamknięte, chyba że tak byli zajęci modlitwą i własnymi myślami; jednakże w tej chwili uświadomili to sobie nareszcie, zrozumieli te krzyki i musieli już wiedzieć, że teraz jest wszystko inaczej. Ale zachowywali się tak samo jak przedtem.

Krzyk zrobił się taki, że nic nie można było dosłyszeć, a ten pijany, co stał ze mną na krześle, szarpał rękami kraty i wrzeszczał: „Otwierać! Otwierać!", aż ochrypł.

Widziałam, że Pablo znowu zagadał do księdza, ale ten nic nie odpowiedział. Wtedy Pablo ściągnął z pleców strzelbę i trącił go nią w plecy. Ksiądz nie zwrócił na niego uwagi i Pablo pokiwał głową. Potem powiedział coś przez ramię do Cuatro Dedos, a Cuatro Dcdos powtórzył to innym strażującym, którzy wstali, odeszli na koniec sali i tam przystanęli ze strzelbami w ręku.

Pablo znów coś powiedział do Cuatro Dedos, a ten przesunął dwa stoły i kilka ławek przed tych strażujących, co stali tam z bronią. W ten sposób w tym kącie sali zrobiła się barykada. Pablo pochylił się i drugi raz trącił księdza strzelbą, ale ksiądz nie zwrócił na to uwagi; widziałam tylko, że jeden don Pepe przygląda się Pablowi, bo inni nie podnosili wzroku i modlili się dalej. Pablo widząc, że mu się przypatruje, skinął do niego głową i pokazał klucz, który trzymał w ręku. Don Pepe zrozumiał, pochylił głowę i zaczął się modlić bardzo szybko.

Pablo zeskoczył na podłogę i poszedł naokoło długiego stołu rady miejskiej do wielkiego burmistrzowskiego fotela, który stał za nim na podium. Usiadł i skręcił sobie papierosa nie spuszczając oka z faszystów, którzy modlili się razem z księdzem. Twarz Pabla nie miała żadnego wyrazu. Klucz leżał przed nim na stole. Był to wielki, żelazny klucz, długi na stopę z górą. Wreszcie Pablo krzyknął do strażujących coś, czego nie dosłyszałam, i jeden z nich podszedł do drzwi. Widziałam, że tamci modlą się jeszcze szybciej i zrozumiałam, że teraz już wiedzą.

Pablo znowu zagadał do księdza, ale ksiądz nie odpowiedział. Wtedy Pablo pochylił się nad stołem, wziął klucz i rzucił go strażnikowi, który stał przy drzwiach. Tamten złapał klucz w powietrzu i Pablo uśmiechnął się do niego. Strażnik włożył klucz w zamek, przekręcił go i odciągnął drzwi chowając się za nie przed tłumem, który runął do środka. Zobaczyłam, jak wpadli i w tej chwili ten pijak, co stał ze mną na krześle, zaczął wrzeszczeć: „Ahi! Ahi! Ahi!" Wcisnął głowę pomiędzy kraty, tak że

zasłonił mi widok, i krzyczał: „Zabić ich! Zabić! Zatłuc! Zabić ich!", odepchnął mnie na bok obiema rękami i nie widziałam już nic.

Pchnęłam go łokciem w brzuch i powiedziałam: „Ty, pijak, czyje to krzesło? Daj patrzeć".

Ale on tylko walił pięściami w kraty i darł się: „Zabić ich! Zatłuc! Zatłuc! O, tak! Zatłuc ich, zabić! *Cabrones, cabrones, cabrones*!"

Uderzyłam go mocno łokciem i powiedziałam: „*Cabron!* Pijaku! Daj patrzeć".

Wtedy nacisnął mi głowę obiema rękami, żeby mnie zepchnąć z krzesła i samemu lepiej widzieć, oparł się na niej całym ciężarem i dalej wrzeszczał: „Zatłuc ich! Tak! Zatłuc!"

„Sam się zatłucz" — powiedziałam i grzmotnęłam go mocno tam, gdzie musiało zaboleć; zabolało go rzeczywiście, puścił moją głowę, złapał się za to miejsce i powiedział: „*No hay derecho, mujer*. Nie masz prawa tego robić, kobieto". W tej chwili zobaczyłam przez kraty, że sala jest pełna ludzi, którzy walą cepami, tłuką pałkami, bodą, biją, dźgają i kłują białymi, drewnianymi widłami, które teraz już były czerwone i miały powyłamywane zęby, i że tak jest w całej sali, a Pablo siedzi w wielkim fotelu, ze strzelbą na kolanach i patrzy, a tamci wrzeszczą, biją i dźgają, i słychać ludzkie wycie niczym kwik koni w pożarze.

Zauważyłam, że ksiądz zadarł sutannę i przełazi przez jakąś ławkę, a tamci za nim, i dziabią go sierpami i krzywymi nożami, aż wreszcie któryś złapał za sutannę i wtedy usłyszałam ryk, potem drugi, i zobaczyłam, że dwaj haratają mu plecy sierpami, a trzeci trzyma za suknię. Ksiądz wyrzucił ręce w górę, potem uchwycił się oparcia jakiegoś fotela, a wtedy to krzesło, co na nim stałam, trzasło, oboje z pijakiem zlecieliśmy na chodnik, który cuchnął rozlanym winem i wymiotami, i pijak groził mi palcem i powtarzał: „*No hay derecho, mujer, no hay derecho*, mogłaś mi zrobić krzywdę". Ludzie tratowali nas, pchając się do Ayuntamiento, i widziałam tylko ich nogi przebiegające przez próg, a pijak siedział naprzeciwko mnie i trzymał się za to miejsce, gdzie go uderzyłam.

Taki był koniec zabijania faszystów w naszym mieście i cieszyłam się, że więcej już nie widziałam, bo gdyby nie ten pijak, zobaczyłabym wszystko. Więc przydał się na coś, bo tam, w Ayuntamiento, działy się rzeczy, na które przykro jest patrzeć.

Ale ten drugi pijak był jeszcze osobliwszy. Kiedyśmy oboje pozbierali się z ziemi, ludzie wciąż się pchali do Ayuntamiento i zauważyłam, że tamten w czarno-

czerwonej chustce znów czymś polewa don Anastasia. Chwiał głową z boku na bok, trudno mu było usiedzieć prosto, ale wciąż go polewał, pocierał zapałki, znowu polewał i znów pocierał, aż wreszcie podeszłam do niego i powiadam: „Co ty wyprawiasz, bezwstydniku?"

„*Nada, mujer, nada* — on na to. — Zostaw mnie".

I nie wiem, czy dlatego, że jak tam przystanęłam, moje nogi osłoniły go od wiatru, dość że zapałka się zapaliła i niebieskawy płomyk pobiegł po ramieniu don Anastasia na kark, a pijak zadarł głowę i ryknął wielkim głosem: „Palą umarłych! Palą umarłych!"

„Kto?" — zapytał jakiś człowiek.

„Gdzie?" — krzyknął inny.

„Tutaj! — ryknął pijak. — O, tutaj!"

Wtedy ktoś zdzielił go potężnie cepem przez łeb, a pijak opadł na wznak i z ziemi popatrzał na tego, co go uderzył, poczym zamknął oczy, skrzyżował ręce na piersiach i tak został, wyciągnięty obok don Anastasia, jak gdyby spał. Tamten nie uderzył go już drugi raz i pijak jeszcze leżał w tym miejscu, kiedy podnieśli don Anastasia i razem z innymi załadowali na wóz, którym tego wieczora przewieźli wszystkich na skarpę i zrzucili do rzeki, jak oczyszczano Ayuntamiento. Dla miasta byłoby lepiej, gdyby zrzucili do rzeki ze dwudziestu albo trzydziestu pijaków, szczególnie tych w czarno-czerwonych chustkach, i myślę, że jeżeli jeszcze kiedyś zrobimy rewolucję, powinno się ich wykończyć na samym początku. Wtedy tego nie wiedzieliśmy. Ale mieliśmy się dowiedzieć w najbliższych dniach.

Jednakże tamtej nocy nie mieliśmy pojęcia, co nas czeka. Po rzezi w Ayuntamiento nie było już więcej zabijania, ale tego wieczora nie mogliśmy urządzić wiecu, bo za dużo ludzi się spiło. Nie dało się zaprowadzić porządku, więc odłożono zebranie do następnego dnia.

Tej nocy spałam z Pablem. Nie powinnam ci tego mówić, *guapa*, ale z drugiej strony dobrze, żebyś wiedziała wszystko, a to, co ci powiem, jest przynajmniej prawdą. Posłuchaj, Inglés, bo to bardzo ciekawe.

Więc, jak mówię, poszliśmy coś zjeść tego wieczora i to było bardzo dziwne. Zupełnie jakby po jakiejś burzy, powodzi czy bitwie. Wszyscy byli zmęczeni i nikt wiele nie gadał. Mnie samej było niedobrze, jakby mnie coś drążyło w środku; przepełniał mnie wstyd i świadomość, żeśmy źle postąpili, byłam ogromnie zgnębiona

i pewna, że czeka nas coś niedobrego, tak, jak dziś po tych samolotach. I rzeczywiście zło przyszło już po trzech dniach.

Kiedyśmy jedli, Pablo mówił niewiele.

„Podobało ci się to, Pilar?" — zapytał w końcu z ustami pełnymi przypiekanego koźlęcia. Jedliśmy w zajeździe, sprzed którego odchodzą autobusy, izba była zatłoczona, ludzie śpiewali i podający ledwie mogli się przepchać do stolików.

„Nie — odpowiedziałam. — Nie podobało mi się, z wyjątkiem don Faustina".

„A mnie się podobało" — on na to.

„Wszystko?" — spytałam.

„Wszystko — powiedział, ukrajał sobie nożem kawał chleba i zaczął nim wycierać sos. — Wszystko z wyjątkiem księdza".

„To z księdzem ci się nie podobało?" — spytałam, bom wiedziała, że księży nienawidzi jeszcze bardziej niż faszystów.

„Zrobił mi zawód" — odpowiedział ze smutkiem Pablo.

Tylu tam ludzi śpiewało, że musieliśmy prawie krzyczeć, aby się nawzajem dosłyszeć.

„Dlaczego?"

„Bo bardzo źle umierał — powiedział Pablo. — Miał bardzo mało godności".

„Jakże ty chcesz, żeby miał godność, kiedy taki tłum rzucił się na niego? — zapytałam. — Mnie się wydaje, że cały czas przedtem miał bardzo dużo godności. Więcej już mieć nie można".

„Tak — odrzekł Pablo. — Ale w ostatniej chwili zląkł się".

„Kto by się nie zląkł? — ja na to. — Widziałeś, z czym się na niego rzucili?"

„Co nie miałem widzieć? — odpowiedział. — Ale uważam, że źle umierał".

„W takich warunkach każdy umiera źle — powiedziałam. — A co byś ty chciał? Wszystko, co się działo w Ayuntamiento, było paskudne".

„Tak — przyznał Pablo. — Organizacja była słaba. Ale to ksiądz. Powinien był dać przykład".

„Myślałam, że nienawidzisz księży".

„Owszem — odparł Pablo i ukrajał sobie chleba. — Ale hiszpański ksiądz. Hiszpański ksiądz powinien umierać wspaniale".

„Uważam, że umierał zupełnie dobrze — powiedziałam. — Zwłaszcza, że był pozbawiony wszelkich ceremonii".

„Nie — odrzekł Pablo. — Dla mnie to było wielkie rozczarowanie. Przez cały dzień czekałem na śmierć tego księdza. Myślałem, że on ostatni wejdzie między szeregi. Oczekiwałem tego z wielką niecierpliwością. Spodziewałem się, że to będzie najważniejsza chwila. Bo jeszcze nigdy nie widziałem, jak ksiądz umiera".

„Masz czas — powiedziałam ironicznie. — Ruch zaczął się dopiero dzisiaj".

„Nie — odrzekł. — Jestem zawiedziony".

„No, masz! — ja na to. — Pewnie teraz stracisz wiarę?"

„Ty nie rozumiesz, Pilar. To był hiszpański ksiądz". „Co to za naród, ci Hiszpanie" — powiedziałam do niego. Co to za dumny naród, prawda Inglés? Co za naród!

— Trzeba iść — odezwał się Robert Jordan. Popatrzał na słońce. — Już prawie południe.

— Tak — odrzekła Pilar. — Zaraz pójdziemy. Ale muszę wam jeszcze opowiedzieć o Pablu. Tej nocy powiedział mi: „Pilar, dzisiaj nie będziemy nic robili".

„Dobrze — ja do niego. — To mi odpowiada".

„Myślę, że to byłoby w złym guście, po zabiciu tylu ludzi".

„*Qué va* — odpowiedziałam. — Jaki z ciebie święty! Myślisz, że na to żyłam całe lata z toreadorami, żeby nie wiedzieć, jacy są po corridzie?"

„Czy to prawda, Pilar?" — zapytał mnie.

„A czy ci kiedy skłamałam?"

„Rzeczywiście, Pilar, tej nocy jestem do niczego. Nie masz mi za złe?"

„Nie, *hombre* — odpowiedziałam. — Ale nie zabijaj ludzi co dzień, Pablo".

I spal tej nocy jak dziecko, a obudziłam go dopiero rano o świcie, ale sama zasnąć nie mogłam, więc wstałam, usiadłam na krzesełku i wyglądałam przez okno na oświetlony księżycem plac, gdzie przedtem stały szeregi. Po drugiej stronie widziałam drzewa w promieniach księżyca, ich czarne cienie, ławki jasne w świetle, błyszczące butelki porozrzucane wszędzie i pustkę za krawędzią skarpy, gdzie tamtych zrzucali. I była zupełna cisza, słyszałam tylko plusk wody w studni i siedziałam tak, i myślałam, że źle zaczęliśmy.

Okno było otwarte i od strony Fondy[31] dolatywał płacz kobiety. Wyszłam na balkon, stanęłam boso na żelaznych płytach, księżyc oświetlał fasady domów na placu, a ten szloch dochodził z balkonu domu don Guillerma. To była jego żona, która klęczała tam i płakała.

Wtedy wróciłam do pokoju, usiadłam i starałam się nie myśleć, bo to był najgorszy dzień w moim życiu, póki nie przyszedł następny.

— A ten następny był kiedy? — spytała Maria.

— W trzy dni później faszyści zajęli miasto.

— O tym mi nie opowiadaj — przerwała Maria. — Tego już nie chcę słuchać. Już dosyć. Za wiele tego było.

— Mówiłam ci, że nie powinnaś słuchać — rzekła Pilar. — Widzisz? Nie chciałam, żebyś słuchała. Teraz będziesz miała złe sny.

— Nie — zaprzeczyła Maria. — Ale nie chcę już więcej.

— Musisz mi to kiedyś opowiedzieć — rzekł Robert Jordan.

— Opowiem. Ale to nie jest dla Marii.

— Nie chcę tego słyszeć — powtórzyła żałośnie Maria. — Proszę cię, Pilar. Nie opowiadaj przy mnie, bo mogłabym słuchać mimo woli.

Wargi jej drgały i Robert Jordan myślał, że się rozpłacze.

— Proszę cię, Pilar, nie opowiadaj.

— Nie martw się, strzyżona główko — powiedziała Pilar. — Nie martw się. Ale Inglesowi kiedyś opowiem.

— Jeżeli on będzie słuchał, to i ja będę chciała być przy tym — rzekła Maria. — Och, Pilar, nie opowiadaj wcale.

— Opowiem, jak będziesz zajęta robotą.

— Nie. Nie. Proszę cię. Nie mówmy o tym w ogóle — powtórzyła Maria.

— Powinno się dokończyć, jeżeli już tyle się powiedziało — odparła Pilar. — Ale ty tego nie usłyszysz.

— Czy nie można mówić o czymś przyjemnym? — spytała Maria. — Czy zawsze musimy rozmawiać o okropnościach?

— Dziś po południu nagadasz się z Inglésem — odrzekła Pilar. — Wy dwoje możecie mówić o czym wam się żywnie podoba.

[31] Fonda (hiszp.) - hotel, gospoda.

— Więc niech już przyjdzie to popołudnie — powiedziała Maria. — Niech przyleci na skrzydłach!

— Przyleci — odparła Pilar. — Przyleci na skrzydłach i odleci tak samo, a później przyleci i jutro.

— To popołudnie — powiedziała Maria. — To popołudnie... Żeby już przyszło!

XI

Kiedy opuścili się z górnej polany w zadrzewioną dolinę i w głębokim cieniu sosen szli pod górę ścieżką, która biegła równolegle do potoku, a potem zbaczała, aby wspiąć się na szczyt skalistej wyniosłości, zza drzewa wysunął się jakiś człowiek z karabinem.

— Stój! — zawołał. A potem: — Hola, Pilar. Kto to jest z tobą?

— Jeden Inglés — odpowiedziała. — Ale imię ma chrześcijańskie: Roberto. Jakaż to zaplugawiona stromizna to dojście tutaj!

— *Salud, camarada* — pozdrowił wartownik Roberta Jordana i wyciągnął do niego rękę. — Jak się czujecie?

— Dobrze — odrzekł Robert Jordan. — A wy?

— Również — powiedział tamten. Był bardzo młody, delikatnej budowy, wysmukły, miał lekko orli nos, wystające kości policzkowe i szare oczy. Był bez kapelusza, włosy miał czarne i zmierzwione, uścisk ręki mocny, przyjazny. Oczy jego także były przyjazne.

— Jak się masz, Maria — powiedział do dziewczyny. — Nie zmęczyłaś się?

— *Qué va* Joaquin — odrzekła. Więcej siedzieliśmy i gadali, niż chodzili.

— To wyście ten dynamitard? — zapytał Joaquin. — Słyszeliśmy, że tu jesteście.

— Przenocowałem u Pabla — odpowiedział Robert Jordan. — Tak, to ja jestem ten dynamitard.

— Cieszymy się, żeście przyszli — rzekł Joaquin. — Będziecie robić pociąg?

— A wyście byli przy ostatnim pociągu? — zapytał Robert Jordan i uśmiechnął się.

— Czy byłem! — odparł Joaquin. — Przecież właśnie tam znaleźliśmy toto — pokazał z uśmiechem Marię. — Wyładniałaś — zwrócił się do niej. — Mówił ci kto, jaka jesteś ładna?

— Cicho bądź, Joaquin. Dziękuję ci — odpowiedziała Maria.

— Ty też byś ładnie wyglądał, jakby cię ostrzygli.

— Niosłem cię wtedy — rzekł Joaquin. — Niosłem cię na ramieniu.

— Jak wielu innych — wtrąciła Pilar niskim głosem. — Kto jej nie niósł? Gdzie wasz stary?

— W obozie.

— A gdzie był wczoraj wieczorem?

— W Segovii.

— Przyniósł jakie wiadomości?

— Owszem — powiedział Joaquin. — Są wiadomości.

— Dobre czy złe?

— Zdaje się, że złe.

— Widzieliście samoloty?

— Aha — odrzekł Joaquin i pokiwał głową. — Nie mówcie mi o tym. Towarzyszu dynamitardzie, jakie to były samoloty?

— Bombowce Heinkle sto jedenaście. Pościgowce Heinkle i Fiaty — odpowiedział Robert Jordan.

— A co to były te wielkie z dolnymi skrzydłami?

— Heinkle sto jedenaście.

— Złe one są, jakkolwiek by się zwały — powiedział Joaquin.

— Ale ja was tu zatrzymuję. Poprowadzę was do komendanta.

— Komendanta? — spytała Pilar.

Joaquin poważnie kiwnął głową.

— Wolę to niż „przywódca" — oświadczył. — Bo to bardziej po wojskowemu.

— Okropnie się militaryzujesz — roześmiała się Pilar.

— Nie — odpowiedział Joaquin. — Ale lubię terminy wojskowe, bo przez to rozkazy są wyraźniejsze, a dyscyplina lepsza.

— Masz tu takiego, który ci przypadnie do gustu, Inglés — rzekła Pilar. — Ogromnie poważny chłopak.

— Może cię ponieść? — zapytał dziewczynę Joaquin i z uśmiechem położył jej rękę na ramieniu.

— Raz wystarczyło — odparła Maria. — Ale dziękuję ci.

— Pamiętasz, jak to było? — zapytał.

— Przypominam sobie, że ktoś mnie niósł — odpowiedziała.

— Ciebie nie pamiętam. Zapamiętałam Cygana, bo mnie upuścił tyle razy. Ale dziękuję ci, Joaquin. Może i ja cię kiedyś poniosę.

— Ja przypominam to sobie doskonale — powiedział Joaquin.

— Pamiętam, że cię trzymałem za obie nogi, leżałaś mi brzuchem na ramieniu, twoja głowa zwisała mi na plecy, a ręce aż na krzyże.

— Dobrą masz pamięć — uśmiechnęła się do niego Maria. — Ja nic z tego nie zapamiętałam. Ani twoich rąk, ani ramion, ani krzyżów.

— Powiedzieć ci coś? — zapytał Joaquin.

— No co?

— Rad byłem, żeś mi tak zwisała na plecy, kiedy do nas z tyłu strzelali.

— Co za świnia! — zawołała Maria. — To pewnie dlatego Cygan też mnie tak długo niósł?

— Dlatego i żeby móc cię trzymać za nogi.

— Moi bohaterowie! — powiedziała Maria. — Moi wybawcy!

— Słuchaj, *guapa*, — odezwała się Pilar. — Ten chłopiec niósł cię długo, a w tamtej chwili twoje nogi nic nikomu nie mówiły. Wtedy tylko kule gadały wyraźnie. A gdyby cię był rzucił, mógłby raz dwa dolecieć tam, gdzie by go kule nie sięgały.

— Już mu podziękowałam — odrzekła Maria. — I jeszcze kiedyś go poniosę. Przecież chyba nie muszę płakać dlatego, że mnie niósł?

— Byłbym cię rzucił — przekomarzał się z nią Joaquin. — Ale balem się, że Pilar mnie zastrzeli.

— Ja do nikogo nie strzelam — odparła Pilar.

— *No hace falta* — powiedział Joaquin. — Nie potrzebujesz. Każdego na śmierć wystraszysz swoim językiem.

— Cóż to znowu za gadanie! — rzekła Pilar. — A taki był z ciebie grzeczny chłopaczek. Coś ty robił przed ruchem, malutki?

— Niewiele — odparł Joaquin. — Miałem szesnaście lat.

— Ale dokładnie co?

— Kilka par butów od czasu do czasu.

— Szyłeś buty?

— Nie. Czyściłem.

— Qué va — powiedziała Pilar. — To jeszcze nie wszystko. — Chwilę obserwowała jego smukłą twarz, gibką budowę, niesforne włosy i szybki, elastyczny krok. — Dlaczego ci się nie powiodło?

— Co nie powiodło?

— Co? Ty wiesz co. Przecież zapuszczasz sobie warkoczyk.

— Pewnie dlatego, że się bałem — odparł chłopiec.

— Masz dobrą figurę — powiedziała Pilar. — Ale twarz taką sobie. Więc dlatego, że się bałeś, co? A przy pociągu dobrześ się sprawił.

— Teraz już ich się nie boję — powiedział chłopiec. — Ani trochę. Poza tym widziało się o wiele gorsze i niebezpieczniejsze rzeczy niż byki. Przecież to jasne, że żaden byk nie jest tak niebezpieczny, jak karabin maszynowy. Ale gdybym teraz znalazł się z bykiem na arenie, nie wiem, czy potrafiłbym zapanować nad nogami.

— On chciał zostać toreadorem, ale się bał — wyjaśniła Pilar Robertowi Jordanowi.

— A wy lubicie walki byków, towarzyszu dynamkardzie? — wyszczerzył Joaquin białe zęby.

— Bardzo — odrzekł Robert Jordan. — Bardzo a bardzo.

— Widzieliście je w Valladolid?

— Tak. We wrześniu, podczas *Feria*.

— To moje miasto — powiedział Joaquin. — Piękne miasto, ale co tam *buena gente*, dobrzy ludzie tamtejsi, wycierpieli podczas tej wojny! — A po chwili z powagą na twarzy: — Tam zastrzelili mojego ojca. I matkę. Później szwagra, a teraz siostrę.

— Co to za barbarzyńcy! — powiedział Robert Jordan. Ile już razy to słyszał? Ile razy widział, jak ludzie wypowiadali to z trudnością? Ile razy patrzał, jak oczy napełniały im się łzami, a głos wiązł w gardle, kiedy mówili: ojciec czy brat, matka czy siostra? Nie mógł spamiętać, ile razy słyszał, jak wymieniali w ten sposób swoich umarłych. Prawie zawsze zaczynali o tym mówić tak, jak ten chłopiec: niespodziewanie, w związku z nazwą jakiegoś miasta, i zawsze odpowiadało się wtedy: „Co to za barbarzyńcy!"

Słyszało się tylko stwierdzenie poniesionej straty. Nie widziało się padającego ojca, tak jak zobaczył ginących faszystów, których ukazała mu Pilar w swojej opowieści nad brzegiem potoku. Dowiadywałeś się, że ojciec zginął na jakimś podwórku albo pod murem, gdzieś w polu czy w sadzie albo też nocą, w świetle

reflektorów ciężarówki, przy jakiejś drodze. Widziało się ze wzgórz te światła i słyszało strzały, a potem schodziło się na drogę i znajdowało trupy. Nie patrzałeś, jak zabijali matkę czy siostrę, czy brata. Słyszałeś o tym; słyszałeś strzały i oglądałeś zwłoki.

Pilar ukazała mu naocznie, co się działo w tamtym miasteczku. Gdybyż ta kobieta umiała pisać! Sam spróbuje to opisać i jeżeli będzie miał szczęście, i zdoła wszystko spamiętać, może uda mu się oddać to tak, jak opowiedziała. Boże, ale ona umie opowiadać! Lepsza jest od Queveda — pomyślał. — Bo nigdy nie odmalował śmierci jakiegoś don Faustina równie dobrze jak ona. Chciałbym mieć takie zdolności pisarskie, żeby móc spisać tę opowieść — myślał. — To, co myśmy robili. Nie to, co tamci robili nam. To znał już dostatecznie. Wiedział aż nadto dobrze, co dzieje się za frontem. Ale trzeba było przedtem znać tych wszystkich ludzi i wiedzieć, czym byli w miasteczku.

Przez to, że tak szybko przenosimy się z miejsca na miejsce i nie musimy zostawać i czekać na odwet, nie wiemy nigdy, jak to się naprawdę kończy — myślał. — Jest się u jakiegoś chłopa i jego rodziny. Przychodzi się nocą i je razem z nimi. Za dnia siedzimy w kryjówce, a następnej nocy już nas nie ma. Załatwia się swoją robotę i znika. A później, kiedy znów zajdziesz w te strony, dowiadujesz się, że tamtych rozstrzelali. Takie to proste.

Ale nas nigdy nie ma, kiedy to się dzieje. *Partizany* robią zniszczenia i wynoszą się. A chłopi zostają i na nich się wszystko skrupia. Zawsze wiedziałem o tamtych rzeczach — myślał. — O tym, co myśmy zrobili im na początku. Zawsze wiedziałem, brzydziłem się tym i słyszałem, jak na ten temat mówiono bezwstydnie albo wstydliwie, jak się tym przechwalano, jak wyjaśniano i zaprzeczano. Ale ta cholerna baba sprawiła, że zobaczyłem to tak, jak bym tam był.

No cóż — myślał. — To należy do ogólnej edukacji. A to będzie niezła edukacja, jak już się ją zakończy. W tej wojnie można się dużo nauczyć, jeżeli się słucha. Ty się na pewno czegoś nauczyłeś. Miał szczęście, że przez dziesięć lat przed wojną spędzał rokrocznie jakiś czas w Hiszpanii. Tutaj ufają człowiekowi głównie na podstawie znajomości języka. Ufają mu, jeżeli naprawdę rozumie język, posługuje się nim idiomatycznie i zna różne miejscowości. W ostatecznym rachunku Hiszpan jest prawdziwie wierny tylko swojej wiosce. Najpierw jest oczywiście Hiszpania, potem jego plemię, następnie prowincja, po niej wioska, rodzina i wreszcie jego rzemiosło. Jeżeli umiesz po hiszpańsku, od razu jest do ciebie usposobiony przychylnie; jeżeli znasz jego prowincję, to tym lepiej, ale jeżeli znasz jego wioskę i rzemiosło, to jesteś w

takiej sytuacji, że dalej żaden cudzoziemiec posunąć się już nie może. On sam nigdy nie czuł się w Hiszpanii jak cudzoziemiec i ludzie na ogół nie traktowali go jak cudzoziemca — chyba że zwracali się przeciwko niemu.

To się oczywiście zdarza. Często zwracają się przeciwko tobie, ale też robią to w stosunku do każdego. Zwracają się także przeciwko sobie nawzajem. Jeżeli jest ich trzech, dwóch połączy się przeciw trzeciemu, po czym zaczną się zdradzać wzajemnie. Nie zawsze, ale dostatecznie często, aby można wyciągnąć wniosek z wielu nagromadzonych przykładów.

Tak myśleć nie należy, ale któż jest cenzorem jego myśli? Nikt prócz niego samego. Tym myśleniem nie doprowadzi siebie do jakiegoś defetyzmu. Pierwsza rzecz to wygrać wojnę. Jeżeli nie wygra się tej wojny, wszystko będzie stracone. Ale on mimo to obserwuje, słucha i zapamiętuje każdą rzecz. Służy w tej wojnie i jest absolutnie wierny, daje z siebie wszystko, co może dać będąc w służbie. Jednakże nikt nie jest panem jego umysłu ani zdolności widzenia i słyszenia, i jeżeli ma wyrobić sobie o czymś zdanie, to wyrobi je sobie później. A będzie na to pod dostatkiem materiałów. Już teraz jest ich dosyć. Czasami nawet trochę za dużo.

Weź choćby taką Pilar — pomyślał. — Bez względu na to, co się stanie, muszę ją namówić, żeby opowiedziała mi tamto do końca, jeżeli będzie czas. Warto na nią popatrzeć, jak idzie z tymi dwoma dzieciakami. Nie znaleźć trzech wspanialszych wytworów Hiszpanii. Ona jak góra, a ten chłopak i dziewczyna jak młode drzewka. Stare drzewa wycięto, a młode wybujały tak pięknie. Pomimo tego wszystkiego, co oboje przeżyli, wyglądają tak świeżo, są tak czyści, nowiutcy i nietknięci, jak gdyby nawet nie słyszeli o nieszczęściu. Ale według tego, co mówi Pilar, Maria dopiero teraz przyszła do siebie. Musiała być w okropnym stanie.

Przypomniał sobie pewnego młodego Belga z Jedenastej Brygady, który zaciągnął się razem z pięcioma innymi chłopcami z tej samej wioski. Była to wieś mająca około dwustu mieszkańców i chłopak nigdy przedtem z niej nie wyjeżdżał. Kiedy Jordan zobaczył go po raz pierwszy w sztabie brygady Hansa, tamtych pięciu z jego wsi już nie żyło, a on sam był w bardzo złej formie i używano go w sztabie jako ordynansa do posługiwania przy stole. Miał wielką rumianą flamandzką twarz, blond włosy i olbrzymie, niezgrabne chłopskie łapy, a niosąc półmiski poruszał się ociężale i niezdarnie jak pociągowy koń. I przez cały czas płakał. Od początku do końca posiłku popłakiwał nie wydając żadnego odgłosu.

Podniosłeś głowę, a on tam stal i płakał. Płakał, jeżeli poprosiłeś o wino, i płakał odwracając twarz, kiedy podsunąłeś talerz po mięso. Potem przestawał, ale jeśli spojrzało się na niego, łzy znowu zaczynały mu płynąć po twarzy. Między jednym daniem a drugim płakał w kuchni. Wszyscy odnosili się do niego bardzo łagodnie, ale to nic nie pomagało. Trzeba będzie dowiedzieć się, co się z nim stało, czy jakoś przyszedł do siebie i czy znowu jest zdatny do żołnierki.

Maria ma się teraz już dosyć dobrze. Przynajmniej robi takie wrażenie. Ale przecież on nie jest psychiatrą. Psychiatrą jest Pilar. Prawdopodobnie dobrze zrobiło im obojgu, że byli z sobą tej nocy. Tak, jeżeli to się nie urwie. Jemu na pewno zrobiło dobrze. Dziś czuje się świetnie; zdrowo, doskonale, beztrosko i szczęśliwie. Zadanie, które ma wykonać, zapowiada się nie najlepiej, ale on przecież ma szalone szczęście. Bywał już w innych historiach, które też oznajmiały się niedobrze. „Oznajmiały się" — o, to jest myślenie dosłownie po hiszpańsku. Maria jest śliczna.

Spójrz na nią — powiedział do siebie. — Spójrz na nią.

Patrzał na Marię, która szła w słońcu dużymi krokami, radosna, w rozpiętej pod szyją zielonkawej koszuli. Ma ruchy źrebięcia — pomyślał. — Czegoś takiego się nie spotyka. Takie rzeczy się nie zdarzają. A może tego w ogóle nie było? — myślał. — Może przyśniło ci się alboś to sobie wymyślił, a nie zdarzyło się wcale? Może to jest tak jak w tych snach, kiedy ktoś oglądany na filmie przychodzi nocą do twego łóżka i jest dobry i miły? W ten sposób sypiał z nimi wszystkimi leżąc we własnym łóżku. Pamiętał jeszcze Gretę Garbo i Jean Harlow. Tak. Harlow wiele razy. Może i to jest tak jak w tych snach.

Pamiętał, jak Greta Garbo przyszła do jego łóżka tamtej nocy przed natarciem na Pozoblanco i miała na sobie miękki, jedwabisty sweter wełniany, a kiedy ją objął, pochyliła się i jej włosy osypały mu się na twarz, i wtedy zapytała, dlaczego nigdy nie mówił, że ją kocha, skoro ona kochała go przez cały czas. Nie była ani płochliwa, ani zimna, ani daleka. Cudownie było ją obejmować, tak uroczą i śliczną jak za dawnych czasów z Johnem Gilbertem, i wszystko było takie prawdziwe, jakby zdarzyło się rzeczywiście, i kochał ją o wiele bardziej niż Harlow, choć tylko raz do niego przyszła, a Harlow... i może to jest właśnie tak jak w tych snach.

A może i nie? — powiedział do siebie. — Może mógłbym wyciągnąć teraz rękę i dotknąć Marii. Kto wie, czy się nie boisz? — zapytał siebie. — A nuż przekonałbyś się, że wcale tego nie było, że to nieprawda i że wymyśliłeś sobie wszystko tak jak w tych snach o aktorkach filmowych albo jak wtedy, gdy twoje dawne dziewczyny przycho-

dziły do ciebie nocą i spały w tym śpiworze na gołych podłogach, na sianie stodół, po stajniach, *w corrales i cortijos*[32], w lasach, garażach, na ciężarówkach, we wszystkich górach Hiszpanii. Kiedy zasypiał, przychodziły do jego śpiworu i były o wiele milsze niż w życiu. Może więc i teraz jest to samo. Może bałbyś się jej dotknąć, ażeby się przekonać, czy to prawda. Bo pewnie sam sobie wymyśliłeś to wszystko albo ci się przyśniło.

Przeszedł na drugą stronę ścieżki i dotknął ręki dziewczyny. Palcami wyczuł gładkość jej ciała pod znoszoną zielonkawą koszulą. Maria spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

— No, jak tam, Maria? — powiedział.

— Dobrze, Inglés — odrzekła. Ujrzał jej smagłą twarz, szarożółte oczy, roześmiane pełne wargi i przystrzyżone, zjaśniałe od słońca włosy; podniosła twarz i uśmiechnęła się patrząc mu w oczy. Więc to jednak była prawda.

Widzieli już obozowisko El Sorda między ostatnimi sosnami, tam gdzie nad rozpadliną była wypukła skała w kształcie odwróconej misy. Te wszystkie wapienne niecki muszą być pełne grot — pomyślał. — O, tam już widać dwie. Karłowate sosenki, rosnące na skale, świetnie je zasłaniają. To równie dobra albo i lepsza kryjówka jak Pabla.

— Jak to było z tym rozstrzelaniem twojej rodziny? — spytała Pilar Joaquina.

— Ano zwyczajnie, kobieto — odpowiedział Joaquin. — Oni byli lewicowcy, jak wielu innych w Valladolid. Kiedy faszyści oczyszczali miasto, najprzód zastrzelili mi ojca. Bo głosował na socjalistów. Potem rozstrzelali matkę. Głosowała tak samo. Wtedy pierwszy raz w życiu poszła głosować. Później rozstrzelali męża jednej z moich sióstr. Był członkiem syndykatu[33] motorniczych tramwajowych. Jasne, że nie mógłby pracować jako motorniczy, gdyby nie należał do syndykatu. Ale polityką się nie zajmował. Znałem go dobrze. Zachowywał się trochę bezwstydnie. Nie myślę, żeby z niego był dobry towarzysz. Potem mąż tej drugiej, mojej drugiej siostry, który też pracował w tramwajach, uciekł w góry tak jak i ja. Tamci myśleli, że żona wie, gdzie on jest. Ale nie wiedziała. Więc zastrzelili ją, bo nie chciała powiedzieć.

— Co za barbarzyńcy! — odezwała się Pilar. — Gdzie jest El Sordo, bo go nie widzę?

---

[32] w corrales i cortijos (hiszp.) - w podwórzach i na fermach.
[33] syndykat - tu: związek zawodowy.

— A tutaj. Pewnie w środku — odrzekł Joaquin i przystanąwszy oparł kolbę karabinu na ziemi i powiedział: — Posłuchaj, Pilar. I ty, Maria. Wybaczcie, żem was molestował mówieniem o moich sprawach rodzinnych. Wiem, że każdy ma takie same zmartwienia i lepiej jest o nich nie gadać.

— Właśnie, że gadaj — odparła Pilar. — Po co przyszliśmy na świat, jak nie po to, żeby sobie wzajemnie pomagać? A tylko słuchać i nic nie mówić, to bardzo chłodna pomoc.

— Ale to może być molestia dla Marii. Za dużo ma swoich własnych spraw.

— *Qué va* — odrzekła Maria. — Moje wiadro już takie pełne, że ty go nie przelejesz. Żal mi ciebie, Joaquin i tylko mam nadzieję, że twoja druga siostra jest zdrowa.

— Jak dotąd, nic jej się nie stało — powiedział Joaquin. — Trzymają ją w więzieniu i zdaje się, że nie poniewierają zanadto.

— A został jeszcze ktoś z waszej rodziny? — zapytał Robert Jordan.

— Nie — odparł chłopak. — Tylko ja. Nikt więcej. Z wyjątkiem tego szwagra, co uciekł w góry, ale myślę, że i on już nie żyje.

— Może nic mu się nie stało — powiedziała Maria. — Może jest w innych górach z jakąś bandą.

— Na mój rozum to on już nie żyje — odparł Joaquin. — Nigdy nie dawał sobie za dobrze rady i był konduktorem w tramwajach, a to nie jest najlepsze przygotowanie do życia w górach. Wątpię, czy mógł przetrzymać ten rok. Poza tym trochę słabował na piersi.

— Ale mogło mu się nic nie stać — Maria położyła mu rękę na ramieniu.

— Pewnie, dziewczyno. Kto wie? — odrzekł Joaquin. Kiedy chłopiec tak stał, Maria zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go. Joaquin odwrócił twarz, bo płakał.

— To jak brata — powiedziała Maria. — Całuję cię jak brata.

Chłopiec pokiwał głową płacząc cicho.

— Jestem ci siostrą — rzekła Maria. — Kocham cię i masz znowu rodzinę. My wszyscy jesteśmy ci rodziną.

— Razem z Inglésem! — zagrzmiała Pilar. — Prawda, Inglés?

— Tak — powiedział do chłopca Robert Jordan. — Wszyscy jesteśmy twoją rodziną, Joaquin.

— On jest twój brat — dodała Pilar. — Nie, Inglés?

Robert Jordan objął chłopca za ramię.

— Wszyscy jesteśmy braćmi — powiedział.

Chłopiec kiwnął głową.

— Wstyd mi, żem gadał — rzekł. — Jak się mówi o takich rzeczach, to wszystkim jest tylko ciężej. Wstydzę się, żem was molestował.

— Fajdam w mleko twojego wstydu! — zawołała Pilar swym niskim, ładnym głosem. A jeżeli ta Maria znowu cię pocałuje, ja sama cię zacznę całować. Od lat nie całowałam toreadora, nawet takiego nieudanego jak ty, i mam chętkę pocałować niedoszłego pogromcę byków, który się zrobił komunistą. Przytrzymaj go, Inglés, to sobie dobrze cmoknę.

— *Deja!*[34] — zawołał chłopiec i odwrócił się gwałtownie. — Zostawcie mnie! Nic mi nic jest, tylko się wstydzę.

Stał przed nimi usiłując zapanować nad własną twarzą. Maria wsunęła rękę w dłoń Roberta Jordana. Pilar podparła się pod boki i spojrzała kpiąco na chłopca.

— Jak ja cię pocałuję, to wcale nie będzie po siostrzanemu — powiedziała. — Znam się na takich siostrzanych pocałunkach!

— Nie trzeba żartować — rzekł chłopak. — Mówiłem wam, że mi nic nie jest i tylko żałuję, żem gadał.

— No, to już chodźmy do starego — powiedziała Pilar. — Męczą mnie takie wzruszenia.

Chłopiec spojrzał na nią. Po oczach można było poznać, że nagle uczuł się bardzo dotknięty.

— Nie twoje wzruszenie, a moje — wyjaśniła Pilar. — Aleś ty miętki, jak na toreadora.

— Nie udało mi się — odpowiedział Joaquin. — Nie musicie mi tego wypominać.

— Przecież znowu zapuszczasz sobie warkoczyk.

— Tak, czemu nie? Gospodarczo najodpowiedniejsi są do tego byli żołnierze. Bo w ten sposób wielu znajdzie zatrudnienie, a państwo będzie miało nad tym nadzór. I może teraz już bym się nie bał.

— Może nie — powiedziała Pilar. — Może nie.

[34] Deja! (hiszp.) - Zostaw!

— Dlaczego mówisz tak brutalnie, Pilar? — odezwała się do niej Maria. — Kocham cię bardzo, ale postępujesz ogromnie po barbarzyńsku.

— Możliwe, że jestem barbarzyńska — odparła Pilar. — Słuchaj, Inglés, czy ty już wiesz, co masz powiedzieć El Sordowi?

— Wiem.

— Bo to jest człowiek małomówny, nie taki jak ja czy ty, czy cala ta sentymenttalna menażeria.

— Dlaczego tak się wyrażasz? — zapytała z gniewem Maria.

— Nie wiem — odrzekła Pilar idąc obok niej wielkimi krokami. — Jak myślisz?

— Ja też nie wiem.

— Czasem wiele rzeczy mnie nuży — powiedziała ze złością Pilar. — Rozumiesz? A jedną z nich jest to, że mam czterdzieści osiem lat. Słyszysz? Czterdzieści osiem lat i szpetną gębę... Druga to to, że widzę strach na twarzy niedoszłego toreadora o komunistycznych ciągotkach, kiedy żartem mówię, że mogłabym go pocałować.

— Nieprawda, Pilar — odezwał się chłopiec. — Tego wcale nie widziałaś.

— *Qué va*, nieprawda. I w ogóle paskudzę w mleko was wszystkich. O, jest nareszcie! *Hola,* Santiago! *Qué tal?*

Mężczyzna, do którego zwróciła się Pilar, był niski, ciężkiej budowy, śniady, ze sterczącymi kośćmi policzkowymi, miał siwe włosy, szeroko osadzone żółto-brązowe oczy, nos cienki, zakrzywiony, jak u Indianina, wystającą górną wargę i duże wąskie usta. Był wygolony i szedł ku nim od wylotu jaskini rozkołysanym krokiem, który dobrze pasował do jego butów i spodni pasterskich. Mimo że dzień był ciepły, miał na sobie krótką skórzaną kurtę na baranim futrze, zapiętą pod szyję. Wyciągnął do Pilar potężną śniadą dłoń.

— *Hola*, kobieto — powiedział. — *Hola* — obrócił się do Roberta Jordana, uścisnął mu rękę i zajrzał bystro w twarz. Robert Jordan zauważył, że oczy ma żółte jak kot i płaskie jak ślepia gada. — *Guapa* — powiedział do Marii i poklepał ją po ramieniu.

— Jedli? — zwrócił się do Pilar. Potrząsnęła głową.

— Jeść — powiedział i spojrzał na Roberta Jordana. — Pić? — spytał opuszczając dłoń z dużym palcem skierowanym w dół.

— Owszem, chętnie.

— Dobrze — powiedział El Sordo. — Whisky?

— To macie whisky?

El Sordo kiwnął głową. — Inglés? — zapytał. — Nie Ruso?

— Americano.

— Tu mało Amerykanów — odrzekł.

— Teraz już więcej.

— To lepiej. Z Północnej czy z Południowej?

— Z Północnej.

— To samo, co Inglés. Kiedy wysadzić most?

— Już wiecie o moście?

El Sordo kiwnął głową.

— Pojutrze rano.

— Dobrze — powiedział El Sordo. — Pablo? — zapytał Pilar.

Zaprzeczyła ruchem głowy. El Sordo wyszczerzył zęby.

— Odejdź — powiedział do Marii i uśmiechnął się znowu. Spojrzał na duży zegarek, który wyciągnął za rzemyk z wewnętrznej kieszeni. — Wróć za pól godziny.

Wskazał im miejsca na płaskiej kłodzie, służącej jako ławka, i spojrzawszy na Joaquina dał mu znak dużym palcem wskazując ścieżkę, którą tu przyszli.

— Przejdę się z Joaquinem i potem wrócę — powiedziała Maria.

Eł Sordo wszedł do jaskini i po chwili ukazał się z flaszką szkockiej whisky i trzema szklankami. Flaszkę miał pod pachą, w tej samej ręce niósł szklanki wetknąwszy do środka palce, a drugą ręką trzymał za szyjkę gliniany dzbanek z wodą. Szklanki i butelkę postawił na kłodzie, a dzbanek na ziemi.

— Lodu nie ma — powiedział do Roberta Jordana i podał mu butelkę.

— Mnie nie nalewajcie — rzekła Pilar przykrywając szklankę dłonią.

— Lód wczoraj na ziemi — powiedział El Sordo i uśmiechnął się. — Cały stopniał. Lód tam — wskazał śnieg widoczny na nagich grzbietach gór. — Za daleko.

Robert Jordan chciał mu nalać, ale głuchy mężczyzna potrząsnął głową i dał znak, żeby zaczął od siebie.

Robert Jordan wlał sporo whisky do szklanki; El Sordo przypatrywał się temu uważnie, a potem podał mu dzbanek i Robert Jordan dolał do pełna zimnej wody, która trysnęła z glinianego dziobka, kiedy przechylił dzbanek.

El Sordo nalał sobie pół szklanki whisky i dodał wody.

— Wina? — zapytał Pilar.

— Nie, wody.

— Bierzcie — odrzekł. — Niedobrze — powiedział do Roberta Jordana i uśmiechnął się. — Znałem dużo Anglików. Zawsze dużo whisky.

— A gdzie?

— Rancz — odrzekł El Sordo. — Przyjaciele właściciela.

— Skąd dostajecie whisky?

— Co? — Nie dosłyszał.

— Trzeba krzyczeć — wyjaśniła Pilar. — W drugie ucho.

El Sordo pokazał swoje lepsze ucho i wyszczerzył zęby.

— Skąd dostajecie whisky? — krzyknął Robert Jordan.

— Robię — odparł El Sordo i popatrzał, jak ręka Roberta Jordana zawisa w powietrzu podnosząc szklankę do ust.

— Nie — powiedział El Sordo i klepnął go po ramieniu. — Żart. Z La Granja. Wczoraj słyszałem, przychodzi angielski dynamitard. Dobrze. Bardzo szczęśliwy. Wyszukałem whisky. Dla was. Smakuje?

— Bardzo — odrzekł Robert Jordan. — To doskonała whisky.

— Zadowolony — uśmiechnął się El Sordo. — Miałem przynieść wieczorem z wiadomościami.

— Jakimi wiadomościami?

— Duże ruchy wojsk.

— Gdzie?

— Segovia. Samoloty widzieliście?

— Tak.

— Niedobrze, co?

— Niedobrze. A gdzie są te ruchy wojsk?

— Dużo między Villacastin a Segovia. Na szosie do Valladolid. Dużo między Villacastin a San Rafael. Dużo. Dużo.

— Co o tym myślicie?

— My coś szykujemy?

— Może.

— Tamci wiedzą. Szykują się też.

— Możliwe.

— Dlaczego dziś nie wysadzić most?

— Takie rozkazy.

— Czyje rozkazy?

— Sztabu generalnego.

— Aha.

— Czy to jest ważne, kiedy wysadzi się most? — spytała Pilar.

— Bardzo ważne.

— A jeżeli oni przerzucają wojska?

— Wyślę Anselma z raportem o wszystkich ruchach i koncentracjach. On teraz obserwuje szosę.

— Macie kogoś przy szosie? — zapytał El Sordo.

Robert Jordan nie wiedział, ile tamten dosłyszał. Z głuchym nigdy nie wiadomo.

— Tak — odparł.

— Ja też. Dlaczego nie wysadzić teraz?

— Mam inne rozkazy.

— Mnie się to nie podoba — powiedział El Sordo. — Nie podoba mi się.

— Mnie też nie — odrzekł Robert Jordan.

El Sordo pokiwał głową i pociągnął łyk whisky.

— A wy co chcecie ode mnie?

— Ilu macie ludzi?

— Ośmiu.

— Trzeba przeciąć druty telefoniczne, zaatakować placówkę w domku dróżnika, wziąć ją i wycofać się na most.

— To łatwe.

— Wszystko będzie spisane.

— Nie warto. A Pablo?

— Przetnie linię telefoniczną tam niżej, uderzy na placówkę w tartaku, zdobędzie ją i też wycofa się na most.

— A co później będzie z odwrotem? — spytała Pilar. — My mamy siedmiu mężczyzn, dwie kobiety, i pięć koni. A wy? — krzyknęła staremu w ucho.

— Ośmiu ludzi i cztery konie. *Faltan caballos* — odrzekł. — Brakuje koni.

— Siedemnastu ludzi, a dziewięć koni — powiedziała Pilar. — Nie licząc potrzebnych pod juki.

El Sordo milczał.

— Nie ma sposobu, żeby skądś dostać konie? — zapytał Robert Jordan prosto w lepsze ucho Sorda.

— Po roku wojny mam cztery — odparł El Sordo podnosząc cztery palce. — A wy chcecie osiem na jutro.

— Tak — powiedział Robert Jordan. — Zważywszy, że stąd odchodzicie. Że już nie musicie zachowywać w tych stronach takiej ostrożności, jak dotychczas. Że nie musicie już się wystrzegać. Nie moglibyście gdzieś urwać ośmiu koni?

— Może — odparł Sordo. — Może ani jednego. Może więcej.

— Macie broń maszynową? — zapytał Robert Jordan.

Sordo przytaknął ruchem głowy.

— Gdzie?

— Na górze.

— Jakiego rodzaju?

— Nie wiem nazwy. Z magazynkami.

— Ile sztuk amunicji?

— Pięć magazynków.

— Czy ktoś umie je obsługiwać?

— Ja. Trochę. Nie strzelał za wiele. Nie chciał tu robić hałasu. Nie chcę marnować ładunków.

— Obejrzę ją później — rzekł Robert Jordan. — Macie granaty ręczne?

— Dużo.

— Ile amunicji na karabin?

— Dużo.

— Ale ile?

— Po sto pięćdziesiąt. Może więcej.

— A co będzie z resztą ludzi?

— Do czego?

— Żeby mieć dostateczne siły na zniszczenie placówek i osłanianie mostu, kiedy go będę wysadzał. Powinniśmy mieć dwa razy więcej ludzi, niż mamy.

— Nie martwić się o placówki. W jakiej to porze dnia?

— O świcie.

— Nie martwcie się.

— Mnie by się na pewno przydało jeszcze ze dwudziestu — powiedział Robert Jordan.

— Dobrych nie ma. Chcecie niepewnych?

— Nie. Ilu macie dobrych?

— Ze czterech.

— Dlaczego tak mało?

— Nie ma zaufania.

— Nawet na koniowodów?

— Na koniowodów trzeba dużo zaufania.

— Chciałbym mieć jeszcze z dziesięciu pewnych ludzi, gdyby można było tylu dostać.

— Czterech.

— Anselmo mówił mi, że w tych górach jest więcej niż setka.

— Do niczego.

— A wyście coś wspominali o trzydziestu — zwrócił się Robert Jordan do Pilar. — Trzydziestu, na których można w jakimś stopniu polegać.

— A co z ludźmi Eliasza? — krzyknęła Pilar do El Sorda.

Potrząsnął głową.

— Na nic.

— Nie można uzbierać nawet dziesięciu? — zapytał Robert Jordan. Sordo popatrzał na niego swymi płaskimi, żółtymi oczami i zaprzeczył ruchem głowy.

— Czterech — powtórzył podnosząc cztery palce.

— A wasi są pewni? — zapytał Robert Jordan i natychmiast pożałował tych słów. Sordo kiwnął głową.

— *Dentro de la gravedad* — powiedział po hiszpańsku. — W granicach grożącego niebezpieczeństwa. — Uśmiechnął się. — Ciężko będzie, co?

— Prawdopodobnie.

— Mnie obojętne — rzekł Sordo prosto i bez chełpliwości. — Lepsi czterej dobrzy niż dużo złych. W tej wojnie zawsze dużo złego, bardzo mało dobrego. Co dzień mniej dobrego. A Pablo? — spojrzał na Pilar.

— Jak wiecie — odrzekła. — Co dzień gorszy.

Sordo wzruszył ramionami.

— Napijcie się — powiedział do Roberta Jordana. — Przyprowadzę swoich i jeszcze czterech. Razem dwunastu. Wieczorem wszystko obgadamy. Mam sześćdziesiąt lasek dynamitu. Chcecie?

— Iloprocentowy?

— Nie wiem. Zwykły dynamit. Przyniosę.

— Wysadzimy nim tamten mały mostek na górze — powiedział Robert Jordan. — No, doskonale. Przyjdziecie dziś wieczorem? To weźcie z sobą ten dynamit, dobrze? Nie mam rozkazu co do drugiego mostku, ale powinno go się wysadzić.

— Przyjdę wieczorem. Potem poszukać koni.

— Macie możliwość dostania koni?

— Może. Teraz jeść.

Czy on ze wszystkimi rozmawia w ten sposób? — pomyślał Robert Jordan. — Czy też wyobraża sobie, że tak należy mówić, aby cudzoziemcy rozumieli?

— A dokąd pójdziemy, kiedy się z tym skończy? — krzyknęła Pilar w ucho El Sorda.

Wzruszył ramionami.

—Trzeba to wszystko przygotować — powiedziała.

— Jasne — odparł Sordo. — Czemu nie?

— Ciężka sprawa — ciągnęła Pilar. — Musi się to bardzo dobrze obmyślić.

— Tak, kobieto — powiedział Sordo. — Czymże się niepokoisz?

— Wszystkim! — odkrzyknęła Pilar.

Sordo uśmiechnął się do niej.

— Widać, że dużo obcowałaś z Pablem — powiedział. A więc tą murzyńską hiszpańszczyzną gada tylko z cudzoziemcami — pomyślał Robert Jordan. — To dobrze. Przyjemnie mi słyszeć, jak mówi zwyczajnie.

— A wy uważacie, że dokąd powinniśmy iść? — spytała Pilar.

— Dokąd?

— Tak, dokąd?

— Wiele jest różnych miejsc — odrzekł Sordo. — Bardzo wiele. Znacie Gredos?

— Tam już się robi tłok. Oczyszczą wszystkie takie okolice, jak tylko będą mieli czas.

— Tak, ale to wielki i bardzo dziki kraj.

— Trudno byłoby się tam dostać — powiedziała Pilar.

— Wszystko jest trudne — odparł El Sordo. — Możemy równie dobrze przedostać się do Gredos, jak gdzie indziej. Trzeba maszerować nocami. Tutaj jest teraz bardzo niebezpiecznie. Cud, żeśmy się tak długo utrzymali. W Gredos jest bezpieczniej niż tu.

— A wiecie, gdzie ja bym poszła? — spytała Pilar.

— Gdzie? Do Paramera? Nie nadaje się.

— Nie — odrzekła. — Nie do Sierra de Paramera. Poszłabym do Republiki.

— To można zrobić.

— A wasi ludzie by poszli?

— Tak, jeżelibym im kazał.

— Nie wiem, jak byłoby z moimi — powiedziała Pilar. — Pablo nie będzie chciał, chociaż po prawdzie mógłby tam czuć się bezpieczniej. Za stary już jest na żołnierza, chyba żeby powołali dalsze roczniki. Cygan nie zechce pójść. Co do innych — nie wiem.

— Dlatego, że tu od tak dawna nic się nie dzieje, przestali zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa— powiedział El Sordo.

— Uprzytomnia to sobie lepiej po dzisiejszych samolotach — wtrącił Robert Jordan. — Ale mnie się zdaje, że moglibyście doskonale działać z Gredos.

— Co? — spytał El Sordo i popatrzał na niego bardzo zimnym wzrokiem. W tonie, jakim zadał to pytanie, nie było życzliwości.

— Stamtąd można by skuteczniej przeprowadzać wypady — powiedział Robert Jordan.

— Aa — mruknął El Sordo. — Wy znacie Gredos?

— Znam. Stamtąd moglibyście atakować główną linię kolejową. Moglibyście stale ją przerywać, tak jak my na południu, w Estremadurze. Operowanie z Gredos

byłoby lepsze niż powrót do Republiki — mówił Robert Jordan. — Tam będzie z was większy pożytek.

Oboje sposępnieli, kiedy to mówił. Sordo spojrzał na Pilar, a ona na niego.

— Wy znacie Gredos? — zapytał Sordo. — Naprawdę?

— Oczywiście — odparł Robert Jordan.

— I dokąd byście poszli?

— Gdzieś nad Barco de Avila. Tam są lepsze miejsca niż tu. Można by robić wypady na główną szosę i linię kolejową między Bejar i Plasencją.

— Bardzo trudne — powiedział Sordo.

— A myśmy działali na tej samej linii kolejowej w znacznie niebezpieczniejszej okolicy, w Estremadurze — rzekł Robert Jordan.

— Kto to: my?

— Grupa guerrilleros[35] z Estremadury.

— Dużo was?

— Około czterdziestu.

— Czy ten o kiepskich nerwach i dziwnym nazwisku był stamtąd? — zapytała Pilar.

— Tak.

— Gdzie on teraz jest?

— Nie żyje, jak już mówiłem.

— I tyś też stamtąd?

— Tak.

— Rozumiesz, o co mi idzie? — spytała Pilar.

Popełniłem błąd — pomyślał Robert Jordan. — Powiedziałem Hiszpanom, że potrafimy robić coś lepiej od nich, podczas gdy regułą jest nigdy nie mówić o swoich wyczynach czy umiejętnościach. Trzeba było im schlebiać, a tymczasem powiedziałem, co według mnie powinni robić i teraz są wściekli. No cóż, albo przejdą nad tym do porządku, albo nie. Z całą pewnością byłby z nich większy pożytek w Gredos niż tutaj. Najlepszy dowód, że nic nie zdziałali od czasu tamtego pociągu, Zorganizowanego przez Kaszkina. Nie było to nic wielkiego. Kosztowało faszystów jeden parowóz i kilku żołnierzy, a oni tu mówią o tym, jakby to był szczytowy punkt wojny.

[35] guerrilleros (hiszp.) — partyzanci.

Może zawstydzą się i pójdą w te góry Gredos. Tak, ale możliwe też, że mnie stąd przepędzą. No, w każdym razie przyszłość nie przedstawia się zbyt różowo.

— Słuchaj, Inglés — odezwała się Pilar. — A jak twoje nerwy?

— Doskonale — odrzekł Robert Jordan. — Okey.

— Bo tamten dynamitard, którego nam ostatnio przysłali, chociaż wspaniały technik, był bardzo nerwowy.

— Są między nami i nerwowi — rzekł Robert Jordan.

— Nie mówię, że był tchórz, bo zachowywał się bardzo dobrze — ciągnęła Pilar. — Ale gadał dziwacznie i bojaźliwie. — Podniosła głos: — Prawda, Santiago, że ten ostatni dynamitard, ten od pociągu, był trochę dziwaczny?

— Algo raro[36] — przytaknął głuchy, a jego oczy przesunęły się po twarzy Roberta Jordana w sposób przywodzący na myśl okrągły otwór na końcu rury odkurzacza. — *Si, algo raro, pero bueno*[37]7.

— *Murió* — krzyknął mu w ucho Robert Jordan. — Zginął.

— Jak to się stało? — zapytał głuchy opuszczając wzrok z oczu Roberta Jordana na jego usta.

— Zastrzeliłem go — odpowiedział Robert Jordan. — Był za ciężko ranny, żeby iść, więc go dobiłem.

— Zawsze mówił o takiej możliwości — rzekła Pilar. — To była jego obsesja.

— Tak — powiedział Robert Jordan. — Zawsze mówił o takiej możliwości i to rzeczywiście była jego obsesja.

— *Cumo fue?*[38] — zapytał głuchy. — Przy pociągu?

— Kiedyśmy wracali po pociągu — odparł Robert Jordan. — Z pociągiem nam się powiodło. Wycofując się w ciemnościach natknęliśmy się na faszystowski patrol i wtedy dostał kulę wysoko w plecy, ale tak, że oprócz łopatki żadna kość nie została naruszona. Przeszedł jeszcze kawał drogi, ale z tą raną nie mógł iść dalej. Nie chciał, żebyśmy go zostawili, więc go zastrzeliłem.

— *Menos mai*[39] — powiedział El Sordo. — Trudno.

— A ty jesteś pewien swoich nerwów? — zapytała Pilar Roberta Jordana.

---

[36] Algo raro (hiszp.) — trochę dziwny.
[37] Si, algo raro, pero bueno (hiszp.) — Tak, trochę dziwny, ale dobry.
[38] Cumo fue? (hiszp.) — Jak to było?
[39] Menos mai (hiszp.) — Mniejsze zło.

— Tak — odpowiedział. — Jestem pewien, że nerwy mam dobre, i myślę, że jak skończymy z tym mostem, mądrze zrobicie przenosząc się w góry Gredos.

Zaledwie to powiedział, kobieta zaczęła kląć wyrzucając z siebie potok sprośnych wyzwisk, który obluzgał go niczym spieniony ukrop, tryskający nagle z gejzeru.

Głuchy mężczyzna kiwnął głową do Roberta Jordana i wyszczerzył zęby w zachwycie. Z radością kiwał głową, kiedy Pilar dalej przeklinała i Robert Jordan wiedział już, że wszystko jest znowu w porządku. Wreszcie przestała kląć, sięgnęła po dzbanek z wodą i przechyliwszy go napiła się trochę, po czym powiedziała spokojnie:

— Już siedź cicho i nie gadaj, co mamy potem robić, dobrze, Inglés? Wracaj do Republiki, zabieraj swoją zdobycz, a nas zostaw w spokoju i pozwól, żebyśmy sami wybrali sobie tę część gór, w której zginiemy.

— W której będziemy żyć — powiedział El Sordo. — Uspokój się, Pilar.

— Będziemy żyć i zginiemy — odparła Pilar. — Ja już widzę, jak to się skończy. Lubię cię, Inglés, ale nic gadaj nam, co mamy robić, kiedy skończysz swoją robotę.

— To twoja rzecz — powiedział Robert Jordan. — Ja się do tego nie mieszam.

— Już to zrobiłeś — odrzekła Pilar. — Zabierz tę swoją ostrzyżoną kurewkę i wracaj do Republiki, ale nie zatrzaskuj drzwi przed nosem tym, którzy nie są cudzoziemcami i kochali Republikę, kiedyś ty jeszcze obcierał sobie z brody matczyne mleko.

Podczas gdy rozmawiali, nadeszła ścieżką Maria i dosłyszała ostatnie zdanie, które Pilar wykrzyczała podniesionym głosem do Roberta Jordana. Maria gwałtownie kiwnęła na niego głową i ostrzegawczo pogroziła palcem. Pilar zauważyła, że Robert Jordan patrzy na dziewczynę i uśmiecha się, obróciła się więc i dokończyła:

— Tak, powiedziałam „kurewka" i nie cofam tego. I myślę, że wy pojedziecie razem do Walencji, a my będziemy żarli kozie bobki w Gredos.

— Mogę sobie być kurewka, jeżeli chcesz, Pilar — odparła Maria. — I pewnie jestem, jeśli tak mówisz. Ale uspokój się. Co się z tobą dzieje?

— Nic — odpowiedziała Pilar i siadła na ławie. Głos jej był już spokojny, bez śladu poprzedniej metalicznej pasji. — Wcale tak o tobie nie myślę. Ale mam taką ochotę pójść do Republiki!

— Możemy iść wszyscy razem — rzekła Maria.

— Czemu nie? — odezwał się Robert Jordan. — Zwłaszcza że Gredos najwyraźniej ci się nie podoba.

Sordo uśmiechnął się do niego.

— Zobaczymy — powiedziała Pilar. Wściekłość już jej minęła. — Dajcie mi szklankę tego dziwnego trunku. W gardle mi zaschło ze złości. Zobaczymy. Zobaczymy, co będzie.

— Widzicie towarzyszu — wytłumaczył El Sordo. — Najtrudniejsze jest, że to ma być rano. — Nie mówił już ową murzyńską hiszpańszczyzną i patrzał Robertowi Jordanowi w oczy spokojnie, wyjaśniająco, nie badawczo czy podejrzliwie ani z tym twardym wyrazem bezwzględnej wyższości starego żołnierza, który miał przedtem w spojrzeniu. — Rozumiem wasze potrzeby i wiem, że trzeba zniszczyć placówki i osłonić most, kiedy będziecie robili swoje. To rozumiem doskonale. I łatwo to zrobić przed świtem albo o świcie.

— Tak — odrzekł Robert Jordan. — Idź sobie jeszcze na chwilę, dobrze? — powiedział do Marii nie patrząc na nią.

Dziewczyna odeszła poza zasięg ich głosów i usiadła zaplatając dłonie na kostkach nóg.

— Widzicie — ciągnął Sordo — z tym nie ma trudności. Ale odejść potem i wynieść się w biały dzień z tej okolicy, to już ciężka sprawa.

— Jasne — odrzekł Robert Jordan. — Myślałem o tym. I ja też będę pracować w dzień.

— Ale wy jesteście sami — powiedział El Sordo. — A nas jest więcej.

— Możemy wrócić do naszych obozów i odejść stamtąd po ciemku — wtrąciła Pilar podnosząc szklankę do ust i opuszczając ją na powrót.

— To także bardzo niebezpieczne — powiedział El Sordo. — Może nawet jeszcze niebezpieczniejsze.

— Ja już widzę, jak by to było — rzekł Robert Jordan.

— W nocy można by zrobić most z łatwością — ciągnął El Sordo. — Ale jeżeli stawiacie warunek, że to ma być za dnia, wynikają stąd poważne skutki.

— Wiem o tym.

— Nie moglibyście wysadzić go w nocy?

— Za to by mnie rozstrzelali.

— Bardzo możliwe, że wszystkich nas wystrzelają, jeżeli go zrobicie za dnia.

— Dla mnie osobiście to będzie mniej ważne z chwilą, kiedy już zostanie wysadzony — odparł Robert Jordan. — Ale rozumiem wasz punkt widzenia. Nie możecie uplanować sobie odwrotu na dzień?

— Oczywiście — powiedział El Sordo. — Uplanujemy sobie taki odwrót. Ale ja wam tłumaczę, dlaczego człowiek jest przejęty i rozdrażniony. Wy mówicie o przejściu w góry Gredos, jakby to był zwykły wojskowy manewr. A trzeba cudu, żebyśmy doszli do Gredos.

Robert Jordan milczał.

— Posłuchajcie — mówił głuchy. — Ja dużo gadam. Ale to dlatego, żebyśmy się zrozumieli. My tutaj trzymamy się cudem. Cudem lenistwa i głupoty faszystów, na który z czasem znajdą lekarstwo. Pewnie, że jesteśmy bardzo ostrożni i w tych górach nie robimy zamieszania.

— Wiem.

— Ale teraz, po tym, trzeba będzie odejść. Musimy się dobrze namyślić, jak to zrobić.

— Jasne.

— No — powiedział El Sordo. — Teraz coś zjedzmy. Okrutnie się nagadałem.

— Jeszczem nie słyszała, żebyście tyle mówili — rzekła Pilar. — Czyżby to przez to? — podniosła szklankę.

— Nie — potrząsnął głową El Sordo. — To nie whisky. To dlatego, żem jeszcze nigdy nie miał tyle do powiedzenia.

— Cenię sobie waszą pomoc i lojalność — rzekł Robert Jordan. — Doceniam trudności, jakie wynikają z takiego wyznaczenia pory na zniszczenie mostu.

— Nie mówcie o tym — odparł El Sordo. — Na to tutaj jesteśmy, żeby robić, co możemy. Ale rzecz jest zawiła.

— A na papierze taka prosta — uśmiechnął się Robert Jordan. — Na papierze most wylatuje w powietrze w chwili rozpoczęcia natarcia, ażeby nic nie przeszło szosą. Bardzo proste.

— Żeby nam tak raz dali zrobić coś na papierze! — powiedział El Sordo. — Żebyśmy raz mogli coś obmyślić i wykonać na papierze!

— Papier mało krwawi — zacytował przysłowie Robert Jordan.

— Ale bywa bardzo przydatny — rzekła Pilar. — *Es muy util*. I właśnie do tego celu użyłabym chętnie twoich rozkazów.

— Ja też — odparł Robert Jordan. — Ale w ten sposób nie można wygrać wojny.

— Nie — powiedziała. — Pewnie, że nie. Ale wiecie, co bym chciała zrobić?

— Pójść do Republiki — odrzekł El Sordo. Kiedy mówiła, nadstawiał lepszego ucha. — *Yo iráds, mujer*[40]. Wygrajmy, to wszędzie będzie Republika.

— No dobrze — zakończyła Pilar. — A teraz zjedzmy coś, na miłość boską.

[40] Yo iráds, mujer (hiszp.) — Wkrótce pójdziesz, kobieto.

XII

Po jedzeniu ruszyli ścieżką w powrotną drogę. El Sordo odprowadził ich do dolnego posterunku.

— *Salud* — powiedział. — Do wieczora.

— *Salud, camarada* — odrzekł Robert Jordan, po czym we troje odeszli ścieżką, a głuchy został spoglądając za nimi. Maria obróciła się i pomachała do niego ręką. El Sordo zaś odpowiedział owym niedbałym, urwanym, hiszpańskim szarpnięciem ręki w górę, które przypomina odrzucanie jakiegoś przedmiotu i wydaje się być zaprzeczeniem wszelkiego zwyczajnego ukłonu. Przez cały czas posiłku ani razu nie rozpiął swojego baraniego kożuszka, był uprzedzająco grzeczny, uważał, aby obracać głowę i słuchać, co do niego mówiono, i znowu powrócił do łamanego hiszpańskiego języka, uprzejmie wypytując Roberta Jordana o stosunki w Republice. Mimo to było widoczne, że chce się już pozbyć ich trojga.

Gdy się żegnali, Pilar powiedziała do niego:

— No i co, Santiago?

— Ano nic, kobieto — odrzekł. — Wszystko w porządku. Ale się zastanawiam.

— Ja też — odparła Pilar. Teraz, kiedy schodzili w dół i szło im się łatwo i przyjemnie spadzistą ścieżką między sosnami, po której z takim trudem pięli się w górę — Pilar milczała. Ani Robert Jordan, ani Maria nie odzywali się i wszyscy troje szli szybko, aż wreszcie ścieżka zaczęła wznosić się stromo z zadrzewionej doliny, aby przez las wyjść na górną polanę.

Było gorące majowe popołudnie i Pilar przystanęła w połowie drogi na tę ostatnią stromiznę. Robert Jordan zatrzymał się, obejrzał i zauważył, że pot perli jej się na czole. Wydało mu się, że jej śniada twarz pobladła, skóra przybrała żółtawą barwę, a pod oczami pojawiły się ciemne kręgi.

— Odpocznij chwilę — powiedział. — Za szybko idziemy.

— Nie — odparła. — Chodźmy dalej.

— Odpocznij, Pilar — odezwała się Maria. — Źle wyglądasz.

— Siedź cicho — powiedziała kobieta. — Nikt cię nie pytał o zdanie.

Ruszyła dalej ścieżką, ale na górze dyszała już ciężko, twarz miała mokrą od potu i nie było teraz żadnej wątpliwości, że zbladła.

— Usiądź, Pilar — powiedziała Maria. — Proszę cię, proszę, usiądź.

— No dobrze — odrzekła Pilar i wszyscy troje usiedli pod sosną. Ponad górską polaną spoglądali w stronę, gdzie z falistego terenu wystrzelały skalne szczyty, na których iskrzył się śnieg w południowym słońcu.

— Co to za parszywa rzecz ten śnieg, a jak pięknie wygląda — powiedziała Pilar. — Jakim złudzeniem jest śnieg! — Obróciła się do Marii. — Przykro mi, że byłam dla ciebie szorstka, *guapa*. Nie wiem, co mnie dzisiaj ugryzło. Jestem we wściekłym humorze.

— Nie zwracam uwagi na to, co mówisz, kiedy jesteś zła — odparła Maria. — A często bywasz zła.

— Nie, to coś gorszego niż złość — powiedziała Pilar spoglądając na szczyty gór.

— Niedobrze się czujesz — rzekła Maria.

— Też nie to — odparła kobieta. — Chodź tu, *guapa*, i połóż mi głowę na kolanach.

Maria przysunęła się do niej, wyciągnęła i złożyła ręce jak ktoś, kto idzie spać bez poduszki i oparła na nich głowę. Leżąc podniosła twarz i uśmiechnęła się do Pilar, ale tamta wciąż spoglądała ponad polaną na góry. Nie patrząc na dziewczynę pogładziła ją po głowie i przesunęła palcem po jej czole, wokoło ucha i dalej, wzdłuż linii włosów na szyi.

— Niedługo będziesz mógł ją mieć, Inglés — powiedziała. Robert Jordan siedział za nią.

— Nie mów tak — poprosiła Maria.

— Owszem, może cię mieć — powtórzyła Pilar nie patrząc na nich. — Ja nigdy ciebie nie chciałam. Ale jestem zazdrosna.

— Nie mów tak. Pilar — powtórzyła Maria.

— Może cię mieć — powiedziała raz jeszcze Pilar i przesunęła palcem po muszli ucha dziewczyny. — Ale jestem bardzo zazdrosna.

— Ależ, Pilar — odrzekła Maria. — Przecież sama mi tłumaczyłaś, że między nami nie ma nic takiego.

— Zawsze jest coś takiego — odparła kobieta. — Zawsze jest coś, czego nie powinno być. Ale we mnie tego nie ma. Naprawdę nie. Chcę twojego szczęścia, nic więcej.

Maria milczała starając się leżeć tak, aby jej głowa nie ciążyła Pilar.

— Posłuchaj, *guapa* — rzekła Pilar i w zamyśleniu ale uważnie przesunęła palcem po wypukłości jej policzków. — Posłuchaj, *guapa*. Ja cię kocham, a on może cię mieć, bo nie jestem żadna *tortillera*[41], tylko kobieta stworzona dla mężczyzn. To jest prawda. Ale teraz przyjemnie mi mówić w biały dzień, że cię kocham.

— Ja też cię kocham.

— *Qué va*, nie gadaj głupstw. Nawet nie wiesz, o czym mówię.

— Wiem.

— *Qué va*, wiesz! Ty jesteś dla Inglésa. To widać i tak powinno być. Na to się godzę. Nie zgodziłabym się na nic innego. Nie bawię się w żadne wszeteczeństwa. Ja tylko mówię ci coś, co jest prawdą. Mało ludzi będzie do ciebie gadać prawdziwie, a kobiety nigdy. Przyznaję się: jestem zazdrosna. Mówię otwarcie.

— Nie mów — poprosiła Maria; — Nie mów tego, Pilar.

— *Por que* mam nie mówić? — spytała wciąż nie patrząc na nich. — Będę to powtarzała, dopóki mi się nie znudzi. I właśnie — spojrzała na dziewczynę — ta chwila już przeszła. Nie powiem tego więcej, rozumiesz?

— Proszę cię, przestań, Pilar — rzekła Maria.

— Bardzo miły z ciebie króliczek — powiedziała Pilar. — A teraz zabierz głowę, bo już mi przeszła ta głupota.

— To wcale nie było głupie — odparła Maria. — A mojej głowie dobrze tam, gdzie jest.

— Nie. Zabierz ją — rzekła Pilar, wsunęła wielkie dłonie pod głowę dziewczyny i uniosła ją. — A co ty, Inglés? — ciągnęła podtrzymując głowę Marii i spoglądając na góry. — Jakiż to kot pożarł ci język?

— Żaden — odpowiedział Robert Jordan.

— Więc jakiż zwierz? — złożyła głowę dziewczyny na ziemi.

— Żaden — powtórzył Robert Jordan.

— Sameś go połknął, co?

[41] tortillera (hiszp.) — lesbijka.

— Chyba tak.

— No i smakował ci? — obróciła się Pilar do niego szczerząc zęby w uśmiechu.

— Nie bardzo.

— Tak i myślałam — rzekła Pilar. — Tak myślałam. Ale oddaję ci twojego króliczka. Zresztą wcale nie próbowałam ci go zabrać. To dobra nazwa dla niej. Słyszałam, jak rano tak do niej mówiłeś.

Robert Jordan poczuł rumieniec na twarzy.

— Trudna z ciebie kobieta — powiedział.

— Nie — odparła Pilar. — Tylko taka prosta, że bardzo zawiła. A ty bardzo jesteś zawiły, Inglés?

— Nie. Ani nie taki prosty.

— Podobasz mi się, Inglés — rzekła Pilar. Potem uśmiechnęła się, pochyliła do przodu i z uśmiechem pokiwała głową. — A co by było, gdybym ci odebrała króliczka, a ciebie króliczkowi?

— Nie udałoby ci się.

— Wiem — powiedziała Pilar i uśmiechnęła się znowu. — Anibym chciała. Ale kiedy byłam młoda, mogłoby mi się to udać.

— Wierzę.

— Wierzysz?

— Oczywiście — odparł Robert Jordan. — Ale takie gadanie jest bzdurne.

— I niepodobne do ciebie — dodała Maria.

— Dzisiaj w ogóle nie bardzo jestem do siebie podobna — rzekła Pilar. — Bardzo mało podobna. Od tego twojego mostu rozbolała mnie głowa, Inglés.

— Możemy go nazwać Mostem Bólu Głowy — odparł Robert Jordan. — Ale ja go zrzucę do tego wąwozu jak potrzaskaną klatkę na ptaki.

— Dobrze — powiedziała Pilar. — Mów dalej w ten sposób.

— Złamię go tak, jak się łamie banana, z którego zdjęto skórkę.

— Zjadłabym teraz banana — rzekła Pilar. — No, dalej, Inglés. Mów jeszcze tak zadzierzyście.

— Nie potrzeba — odparł Robert Jordan. — Wracajmy do obozu.

— Ta twoja służba! — rzekła Pilar. — Przyjdzie ona aż za szybko. Powiedziałam, że was zostawię samych.

— Nie. Mam dużo roboty.

— To też jest dużo, a nie trwa długo.

— Cicho bądź, Pilar — wtrąciła Maria. — Mówisz ordynarnie.

— Bo jestem ordynarna — odparła Pilar. — Ale i bardzo delikatna. *Soy muy delicada*[42]. Zostawię was. A tamto gadanie o zazdrości to bzdury. Zła byłam na Joaquina, bo po jego spojrzeniu poznałam, jaka jestem brzydka. Zazdroszczę ci tylko tego, że masz dziewiętnaście lat. To nie jest zazdrość, która trwa długo. Nie będziesz wciąż miała dziewiętnastu lat. A teraz sobie idę.

Wstała i wziąwszy się jedną ręką pod bok popatrzyła na Roberta Jordana, który też stał. Maria siedziała ze zwieszoną głową na ziemi pod sosną.

— Chodźmy wszyscy razem do obozu — powiedział Robert Jordan. — Tak będzie lepiej, a poza tym jest dużo do roboty.

Pilar wskazała mu ruchem głowy Marię, która siedziała w milczeniu, z odwróconą twarzą.

Pilar uśmiechnęła się, niemal niedostrzegalnie wzruszyła ramionami i zapytała:

— Znasz drogę?

— Znam — odpowiedziała Maria nie podnosząc głowy.

— *Pues me voy* — rzekła Pilar. — No, to idę. Przygotujemy ci coś sutego do zjedzenia, Inglés.

Odeszła między wrzosami rosnącymi na polanie ku potokowi, który przepływał przez nią w stronę obozu.

— Zaczekaj! — zawołał Robert Jordan. — Lepiej, żebyśmy poszli razem.

Maria siedziała nie mówiąc ani słowa. Pilar nie obejrzała się.

— *Qué va*, razem — odpowiedziała. — Zobaczymy się w obozie.

Robert Jordan nadal stał w miejscu.

— Czy jej nic nie jest? — zapytał Marii. — Wygląda na chorą.

— Pozwól jej odejść — powiedziała Maria, wciąż nie podnosząc głowy.

— Chyba powinienem z nią pójść.

— Pozwól jej odejść! — powtórzyła Maria. — Pozwól jej odejść!

[42] Soy muy delicada (hiszp.) — Jestem bardzo delikatna.

XIII

Szli między wrzosami przez górską polanę i Robert Jordan czuł, jak ocierają mu się o nogi, czuł na udzie ciężar pistoletu w kaburze, na głowie ciepło słońca, na plecach chłodny podmuch dolatujący od śniegów na szczytach gór, a w dłoni dłoń dziewczyny, mocną i jędrną, z palcami wplecionymi między jego palce. Od tej dłoni, przyciśniętej do jego dłoni, od splecionych razem palców, od kiści dotykającej jego kiści przenikało w jego dłoń, palce i kiść coś tak świeżego, jak pierwszy delikatny powiew, który nadlatując znad morza zaledwie marszczy jego szklistą, gładką powierzchnię — coś tak lekkiego jak puch osiadający na wargach czy liść, który opada, kiedy nie ma wiatru; coś, co było tak lekkie, że mogły to wyczuć tylko ich palce, ale zarazem dzięki uściskowi palców, dzięki przywartym do siebie kiściom i dłoniom stawało się tak silne, wezbrane, tak nieodparte, bolesne i mocne, że po ręce przebiegał mu jakby prąd, który wypełniał całe ciało bolesnym drążącym pragnieniem. Słońce padało na płowe jak pszenica włosy dziewczyny, na jej złotośniadą, gładką, śliczną twarz i na wygięcie szyi. Odchylił w tył głowę Marii, przyciągnął ją do siebie i pocałował. Zadrżała, a on przytulił ją całą mocno, czując poprzez koszulę jej drobne, jędrne piersi i podniósł rękę, rozpiął guziki jej koszuli, pochylił się i pocałował Marię, kiedy tak stała drżąca, z głową odrzuconą do tyłu, z opuszczonymi za siebie rękami. Wtedy oparła brodę na jego głowie i poczuł, że przytrzymuje ją dłońmi i kołysze tuląc do piersi. Wyprostował się i objął Marię tak mocno, że aż ją uniósł w górę, przycisnął do siebie, czując, jak drży, jej usta znalazły się na jego szyi i wtedy postawił ją na ziemi, i powiedział:

— Maria, och, moja Maria!

A po chwili:

— Dokąd pójdziemy?

Nie odrzekła nic, tylko wsunęła mu dłoń za koszulę i zaczęła ją rozpinać. Powiedziała:

— Ciebie też. Ja też chcę pocałować.

— Nie, króliczku.

— Tak. Tak. Wszystko tak jak ty.

— Nie. To niemożliwe.

— Tak. Och, tak. Tak. Och!

Potem był zapach rozgniatanych wrzosów, szorstkość przygiętych łodyg pod jej głową i słońce świecące w zamknięte oczy, a on zapamiętał na zawsze wygięcie jej szyi, gdy odchyliła głowę w tył, między korzenie wrzosu, lekkie, mimowolne drganie warg, trzepotanie powiek zaciśniętych mocno przed światłem słońca, przed wszystkim — a dla niej wszystko było czerwone, pomarańczowe, złotoczerwone od słońca padającego na zamknięte powieki, i wszystko miało tę barwę — całe spełnienie, posiadanie, osiągnięcie — wszystko było tej barwy, oślepiające tą barwą. Dla niego było to mrocznym przejściem prowadzącym do nikąd, znowu do nikąd i znowu do nikąd, i jeszcze raz do nikąd, wciąż i na zawsze do nikąd, gdy leżał ciężko na łokciach wpartych w ziemię — do nikąd, w mrok, w nieskończoną nicość i ciągle w tę niewiadomą nicość, teraz i na zawsze do nikąd, i znowu nieznośnie, raz jeszcze do nikąd — aż wreszcie ponad wszelką wytrzymałość, coraz mocniej, mocniej, mocniej, nagle, piekąco, wciąż w nicość, i wtem nicość znikła, czas się zatrzymał, oboje znaleźli się poza czasem i wtedy uczuł, że ziemia poruszyła się i usunęła spod nich.

A potem leżał na boku, wtuliwszy głowę we wrzosy, czuł ich zapach, woń korzeni i ziemi, słońce przeświecało między łodygami, które łechtały go w nagie ramiona i boki, dziewczyna leżała przy nim, oczy wciąż jeszcze miała zamknięte, a później otworzyła je i uśmiechnęła się, i wtedy powiedział ze znużeniem, jak gdyby z wielkiego, ale czułego oddalenia: — No co, króliczku? — Ona uśmiechnęła się i odpowiedziała już z bliska: — No co, mój Inglés?

— Nie jestem Inglés — odrzekł leniwie.

— O tak, jesteś — odparła. — Jesteś mój Inglés — i wyciągnąwszy ręce przytrzymała go za uszy i pocałowała w czoło.

— Masz — rzekła. — No i jak? Lepiej cię całuję?

Później szli obok siebie wzdłuż strumienia i wtedy powiedział:

— Kocham cię, Maria, i jesteś śliczna, piękna, cudowna i jak jesteśmy razem, robi się ze mną coś takiego, że prawie chciałbym umrzeć kochając cię.

— Och — odparła — ja umieram za każdym razem. A ty nie?

— Nie. Prawie. Ale czy czułaś jak ziemia się poruszyła?

— Tak. Kiedy umierałam. Obejmij mnie, proszę cię.

— Nie. Trzymam cię za rękę. To wystarczy.

Popatrzał na nią, a potem nad łąką w stronę, gdzie krążył jastrząb i napływały zza gór wielkie, popołudniowe obłoki.

— I nie było ci tak z innymi? — spytała Maria, kiedy szli trzymając się za ręce.

— Nie. Naprawdę.

— Przecież kochałeś wiele kobiet.

— Kilka. Ale nie tak, jak ciebie.

— I nie było tego? Naprawdę?

— Było przyjemnie, ale nie w ten sposób.

— A nam poruszyła się ziemia. Nie poruszyła się nigdy przedtem?

— Nie. Naprawdę nigdy.

— Tak — powiedziała.— I to mamy tylko na jeden dzień.

Milczał.

— Ale przynajmniej mieliśmy — mówiła Maria. — I lubisz mnie? Podobam ci się? Później będę lepiej wyglądała.

— Już teraz jesteś bardzo piękna.

— Nie — odparła. — Ale mnie pogładź po głowie.

Pogładził ją czując, jak przystrzyżone włosy poddają się miękko i zaraz podnoszą między palcami, przytrzymał oburącz jej głowę, uniósł jej twarz ku swojej i pocałował.

— Bardzo lubię całować — powiedziała. — Ale nie robię tego dobrze.

— Nie musisz całować.

— Owszem, muszę. Jeżeli mam być twoją kobietą, powinnam robić ci przyjemność we wszystkim.

— I tak jest mi dostatecznie przyjemnie. Nie można więcej. Nie wyobrażam sobie, żeby mi mogło być przyjemniej.

— No to zobaczysz — powiedziała radośnie. — Moje włosy bawią cię teraz, bo są dziwne. Ale odrastają dzień po dniu. Potem zrobią się długie i nie będę już brzydko wyglądała, i może pokochasz mnie bardzo mocno.

— Masz śliczne ciało — odpowiedział. — Najśliczniejsze na świecie.

— Tyle że młode i szczupłe.

— Nie. W pięknym ciele są jakieś czary. Nie wiem, dlaczego w jednym to jest, a w drugim nie. Ale ty to masz.

— Dla ciebie — odparła.

— Wcale nie.

— Tak. Dla ciebie, zawsze dla ciebie i tylko dla ciebie. Ale to jeszcze za mało. Nauczę się bardzo o ciebie dbać. Tylko powiedz mi prawdę: czy ziemia jeszcze nigdy ci się nie poruszyła?

— Nigdy — odparł szczerze.

— Teraz jestem szczęśliwa — powiedziała. — Teraz jestem naprawdę szczęśliwa.

— Myślisz o czym innym? — zapytała po chwili.

— Tak. O mojej robocie.

— Szkoda, że nie mamy koni — powiedziała Maria. — W tym moim szczęściu chciałabym mieć dobrego konia i jechać szybko, i żebyś ty jechał obok mnie, i żebyśmy gnali cwałem coraz prędzej i prędzej, i nigdy nie mogli prześcignąć mojego szczęścia.

— Moglibyśmy wziąć twoje szczęście do samolotu — powiedział z roztargnieniem.

— I latać, latać po niebie, jak te małe pościgowce, co błyszczą w słońcu — dodała. — Robić pętle i nurkować. *Que bueno*!' — roześmiała się. — Moje szczęście nawet by tego nie zauważyło.

— Widocznie twoje szczęście ma mocny żołądek — odpowiedział na wpół nie słysząc jej słów.

Bo w tej chwili był już nieobecny. Wprawdzie szedł obok niej, ale umysł miał zaprzątnięty problemem mostu, który ukazał mu się jasno, twardo, wyraźnie, jak wówczas kiedy obiektyw aparatu fotograficznego nastawi się na ostrość. Widział obu wartowników i Anselma obserwującego ich z Cyganem. Widział szosę, to pustą, to znowu pełną ruchu. Widział, gdzie ustawi karabiny maszynowe, żeby mieć jak najbardziej płaskie pole ostrzału, i zastanawiał się, kto będzie je obsługiwał: on pod koniec, ale kto na początku? Umieszczał ładunki wybuchowe, klinował je i uwiązywał, wciskał spłonki, przewlekał druty, podwieszał je i przeciągał do miejsca, gdzie ustawił starą skrzynkę zapalarki, a potem zaczął myśleć o wszystkich rzeczach, które mogły się zdarzyć, o wszystkim, co mogło się nie udać.

Przestań — powiedział do siebie. — Miałeś tę dziewczynę i po tym w głowie ci się rozjaśniło, porządnie rozjaśniło, więc zaczynasz się martwić. Jedna rzecz to

myśleć, co powinieneś zrobić, a druga to martwić się. Nie martw się. Tego ci nie wolno. Wiesz, co masz do zrobienia, i wiesz, co się może zdarzyć. A może się zdarzyć z pewnością.

Przystąpiłeś do tego wiedząc, o co walczysz. Walczysz właśnie przeciwko temu wszystkiemu, co sam musisz robić i co trzeba robić, żeby mieć jakąś szansę zwycięstwa. Musisz więc teraz użyć tych ludzi, których lubisz, w taki sam sposób, jak się używa żołnierzy, do których nie żywi się żadnych uczuć, jeżeli ma się osiągnąć powodzenie. Pablo jest oczywiście najsprytniejszy. Z miejsca zorientował się, jakie to niebezpieczne. Pilar była i jest całkowicie za tym, ale zaczyna sobie uświadamiać, jak to będzie naprawdę wyglądało, i ta świadomość już na nią mocno podziałała. Sordo poznał się na tym od razu i chociaż zrobi, co trzeba, nie jest tym bardziej zachwycony niż ja, Robert Jordan.

Więc mówisz, że obchodzi cię nie tyle to, co będzie z tobą, ile to, co może się zdarzyć tej kobiecie, dziewczynie i im wszystkim? No dobrze. A co by się z nimi stało, gdybyś tutaj nie przyszedł? Co z nimi było, zanim się tu zjawiłeś? Nie można myśleć w ten sposób. Nie ponosisz za nich żadnej odpowiedzialności poza akcją. Nie ty wydałeś rozkaz. Rozkaz wydał Golz. A kto to jest Golz? Dobry generał. Najlepszy, pod jakim służyłeś. Ale czy człowiek powinien wykonać nierealny rozkaz wiedząc, do czego on prowadzi? Nawet jeżeli został wydany przez Golza, który jest zarówno Partią, jak wojskiem? Tak. Powinien go wykonać, bo tylko w praktyce może okazać się nierealny. Skąd wiadomo, że jest taki, jeżeli się nie spróbowało? Co by to było, gdyby każdy, otrzymawszy rozkaz, twierdził, że jest niemożliwy do wykonania? Co by się stało z nami wszystkimi, gdyby człowiek mówił tylko „niemożliwe", kiedy przychodzą rozkazy?

Dość widział dowódców, dla których każdy rozkaz był niemożliwy. Choćby ta świnia Gomez w Estremadurze. Dość widział natarć, podczas których skrzydła nie posuwały się naprzód, bo to było niemożliwe. Nie, wykona rozkaz, a tylko pech chce, że lubi tych, którymi musi się posłużyć.

Wszystko, co oni, *partizany*, robili, pomnażało tylko zagrożenie i nieszczęścia ludzi, którzy im udzielali schronienia i pomocy. A po co? Po to, żeby w końcu nie było już zagrożenia i żeby można dobrze żyć w tym kraju. To było prawdą, choć wydawało się tak oklepane.

Gdyby Republika przegrała, w Hiszpanii nie byłoby miejsca dla tych, co w nią wierzyli. Ale czy rzeczywiście? Tak, miał pewność, że tak, bo wiedział, co działo się w okolicach zajętych już przez faszystów.

Pablo jest świnią, ale inni są wspaniali, więc czy wobec nich nie jest zdradą zmuszać ich do tego? Możliwe. Ale jeżeli tego nie zrobią, i tak za tydzień przyjdą tu ze dwa szwadrony kawalerii i przepędzą ich z tych gór.

Nie. Nic się nie zyska pozostawiając ich w spokoju. Tylko że wszystkich ludzi powinno się zostawić w spokoju i nie wtrącać się do nikogo. Czyżby naprawdę tak uważał? Właśnie tak. A co z planowym układem społeczeństwa i tak dalej? Tym niech się zajmują inni. On ma co innego do roboty po tej wojnie. Walczy w niej, bo wybuchła w kraju, który kocha, i dlatego, że wierzy w Republikę, a gdyby zniszczono Republikę, życie stałoby się nieznośne dla tych wszystkich, co w nią wierzą. Na okres wojny poddał się dyscyplinie komunistycznej. Tutaj, w Hiszpanii, komuniści zapewniali najlepszą, najzdrowszą i najrozsądniejszą dyscyplinę dla dalszego prowadzenia wojny. Przyjął więc ich dyscyplinę na okres trwania wojny, ponieważ w działaniach wojennych byli jedyną partią, której program i dyscyplinę mógł szanować.

Jakież zatem są jego poglądy polityczne? — W tej chwili nie mam żadnych — odpowiedział sam sobie. — Ale tego nie mów nikomu — pomyślał. — Nigdy się do tego nie przyznawaj. — A co będziesz robił potem? — Wrócę do kraju i znowu będę zarabiał na życie ucząc hiszpańskiego jak dawniej i napiszę prawdziwą książkę. Gotów jestem założyć się, że to mi łatwo pójdzie.

Trzeba będzie pogadać z Pablem o polityce. Na pewno byłoby ciekawe dowiedzieć się, jaki był jego rozwój polityczny. Prawdopodobnie klasyczne przesunięcie z lewa na prawo — tak jak było ze starym Lerroux. Pablo bardzo go przypomina. Prieto też jest nie lepszy. Pablo i Prieto mają mniej więcej taką samą wiarę w ostateczne zwycięstwo. Oni wszyscy mają poglądy polityczne koniokradów. Wierzy w Republikę jako formę rządów, ale Republika musi się pozbyć całej tej zgrai koniokradów, którzy doprowadzili ją do tego stanu, w jakim się znajdowała, gdy wybuchł bunt. Czy istniał kiedykolwiek lud, którego przywódcy byliby tak rzetelnymi jego wrogami, jak tutaj?

Wrogowie ludu. To jest frazes, którego warto by unikać. To jest slogan, który należy omijać. Oto skutki przespania się z Marią. Bo doszedł już do takiego fanatyzmu i ciasnoty poglądów, jak jakiś zatwardziały baptysta, i frazesy w rodzaju „wrogów

ludu" przyjmował bez większego krytycyzmu. Podobnie wszelkie odmiany clichés[43] zarówno rewolucyjnych jak i patriotycznych. Jego umysł posługiwał się nimi bezkrytycznie. Były oczywiście prawdziwe, ale groziła zbytnia pochopność w ich stosowaniu. Jednakże od ubiegłej nocy i dzisiejszego popołudnia jego rozumowanie w tych sprawach stało się znacznie jaśniejsze i przejrzystsze. Fanatyzm to dziwna rzecz. Ażeby być fanatykiem trzeba mieć absolutną pewność swojej racji, a nic tak nie sprzyja owej pewności i przeświadczeniu, jak wstrzemięźliwość. Wstrzemięźliwość jest wrogiem herezji.

Jakże to założenie wytrzyma próbę analizy? Pewnie dlatego komuniści zawsze pomstują na cyganerię. Kiedy człowiek się upije albo dopuści rozpusty czy cudzołóstwa, poznaje swą własną omylność, jeżeli idzie o tę tak zmienną namiastkę wiary apostołów, jaką jest linia partyjna. Precz z cyganerią, grzechem Majakowskiego!

Ale Majakowski jest znowu świętym. To dlatego, że z nim już jest spokój, bo nie żyje. Z tobą też będzie spokój, bo umrzesz — powiedział do siebie. — A teraz przestań wymyślać takie rzeczy. Pomyśl o Marii.

Maria silnie podziałała na jego fanatyzm. Jak dotąd, nie osłabiła w nim jeszcze decyzji, ale teraz wolałby już nie umierać. Chętnie wyrzekłby się męczeńskiej czy bohaterskiej śmierci. Nie miał już ochoty urządzać żadnych Termopil ani być Horacjuszem przy jakimkolwiek moście, ani też na wzór owego holenderskiego chłopca wpychać palca w tamę. Nie. Chętnie spędziłby jakiś czas z Marią. To było najprostsze określenie. Chciałby z nią spędzić wiele, wiele czasu.

Nie wierzył, żeby kiedykolwiek .jeszcze mogło być coś takiego jak wiele czasu, ale gdyby się tak zdarzyło, chciałby ten czas spędzić z Marią. Moglibyśmy pójść do hotelu i zameldować się na przykład jako doktor Livingstone z małżonką, jak sądzę — pomyślał.

A dlaczego by się z nią nie ożenić? Jasne — pomyślał. — Ożenię się z nią. Wtedy będziemy państwem Jordan z Sun Valley w stanie Idaho. Albo z Corpus Christi w Teksasie czy z Butte w Montanie.

Hiszpańskie dziewczyny są doskonałymi żonami. Nigdy nie miałem takiej żony, więc wiem. A jak odzyskam swoją posadę na uniwersytecie, Maria będzie żoną wykładowcy i kiedy studenci z kursów języka hiszpańskiego przyjdą wieczorem, ażeby paląc fajki prowadzić owe tak cenne, nieoficjalne dyskusje o Quevedo, Lope de Vega,

[43] clichés (fr.) — komunały, szablonowe, banalne opinie lub hasła.

Galdosie i innych znakomitych nieboszczykach, Maria będzie mogła opowiedzieć, jak to walczący o prawdziwą wiarę krzyżowcy w błękitnych koszulach siadali jej na głowie, a inni wykręcali jej ręce i zadzierali spódnicę, którą zatykali jej usta.

Ciekawe, jak Maria spodoba się w Missouli, w stanie Montana? To znaczy, jeżeli odzyskam swoją posadę w Missouli. Prawdopodobnie już mi tam na dobre przypięli etykietkę Czerwonego i teraz jestem na ogólnej czarnej liście. Chociaż nigdy nie wiadomo. Trudno przewidzieć. Nie mają żadnego dowodu na to, co tu robię; zresztą i tak by nie uwierzyli, choćbym im powiedział, a przecież mam paszport wystawiony na Hiszpanię, jeszcze zanim wprowadzili ograniczenia.

Pora na powrót do kraju przyjdzie dopiero jesienią trzydziestego siódmego roku. Wyjechałem w lecie trzydziestego szóstego i chociaż mam roczny urlop, nie muszę wracać przed rozpoczęciem jesiennych wykładów. Dużo jest czasu do tego momentu. Jeżeli już o tym mowa, to jest też dużo czasu do pojutrza. Nie. Myślę, że nie warto martwić się sprawą uniwersytetu. Po prostu zjawisz się tam na jesieni i wszystko będzie dobrze. Spróbujesz tak zrobić.

Ale ty już od dawna prowadzisz dziwne życie. Gdzie tam dziwne, psiakrew. Hiszpania to twoja praca, twój zawód, więc przebywanie w Hiszpanii jest czymś naturalnym i logicznym. Niejedno lato spędziłeś przy robotach inżynieryjnych, w służbie leśnej, przy budowie dróg i nauczyłeś się obchodzić z prochem, więc niszczenie też jest dla ciebie normalnym i naturalnym zajęciem. Zawsze trochę pośpiesznym, ale normalnym.

Z chwilą, kiedy się raz uzna niszczenie za pewien problem, staje się ono jedynie problemem. Tylko że przy tym jest wiele rzeczy mniej przyjemnych, chociaż Bóg świadkiem, że ci to idzie dość gładko. Trzeba wciąż starać się osiągnąć warunki pomyślnego dokonywania zabójstw, które towarzyszą zniszczeniom. Czy wielkie słowa sprawiają, że to się staje bardziej uzasadnione? Czy może czynią zabijanie bardziej strawnym? Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to muszę powiedzieć, że trochę za łatwo włożyłeś się do tego. Mam duże wątpliwości, czym będziesz, albo też ściśle mówiąc, do czego okażesz się zdatny, kiedy zakończysz służbę Republice — pomyślał. — Przypuszczam jednak, że pozbędziesz się tego wszystkiego pisząc na ten temat — powiedział sobie. — Kiedy to już napiszesz, wszystko od ciebie odejdzie. To będzie dobra książka, jeżeli ją zdołasz napisać. O wiele lepsza niż poprzednia.

Tymczasem jednak całe życie, jakie masz i jakie cię jeszcze czeka, to dzień dzisiejszy, wieczór, potem jutro, znów dzień, wieczór, jutro i tak od nowa (mam

nadzieję) — pomyślał — więc lepiej staraj się wykorzystać czas i bądź za to bardzo wdzięczny. Jeżeli most się nie uda. A w tej chwili nie wygląda to za dobrze.

Ale Maria była dobra. Prawda? Och, była — pomyślał. — Może właśnie to mogę teraz wziąć z życia. Może właśnie to jest moim życiem i zamiast żeby trwało sześć dziesiątków i jeszcze dziesięć lat, zamyka się w czterdziestu ośmiu godzinach czy w sześciu dziesiątkach godzin i jeszcze dziesięciu albo raczej dwunastu. Licząc po dwadzieścia cztery godziny na dobę, wypadnie siedemdziesiąt dwie godziny przez trzy pełne dni.

Przypuszczam, że można zaznać równej pełni życia w ciągu siedemdziesięciu godzin, jak w ciągu siedemdziesięciu lat, pod warunkiem, że nasze życie jest już pełne w chwili, kiedy zaczyna się te siedemdziesiąt godzin, i że się już osiągnęło pewien określony wiek.

Cóż to za bzdury — pomyślał. — Do jakich idiotyzmów dochodzisz rozmyślając samotnie! To są naprawdę brednie. A może i nie? No, zobaczymy. Ostatnim razem spałem z dziewczyną w Madrycie. Nie, nie w Madrycie — w Escorialu. Prócz tego, że obudziwszy się w nocy wziąłem ją za kogo innego i byłem tym podniecony, dopóki nie uprzytomniłem sobie, kim jest naprawdę — było to po prostu pofolgowanie sobie, tyle że dosyć przyjemne. Poprzednim razem, w Madrycie, wszystko odbyło się tak samo albo i gorzej, poza tym, że kiedyśmy to robili, kłamałem i wmawiałem sam sobie, że mam do czynienia z kimś zupełnie innym. Nie jestem więc żadnym romantycznym czcicielem Hiszpańskiej Kobiety i przypadkowa przygoda nigdy nie była dla mnie czymś więcej tutaj niż w jakimś innym kraju. Natomiast kiedy jestem z Marią, kocham ją tak, że czuję dosłownie, jakbym miał umrzeć; nie wierzyłem w takie rzeczy ani nie myślałem, że mogą się zdarzyć.

Choćby więc moje życie przemieniło się z siedemdziesięciu lat w siedemdziesiąt godzin, to przecież mam już to bogactwo i na szczęście zdaję sobie z tego sprawę. A jeśli nie będzie żadnego „na długo" ani „do końca życia", ani „odtąd", a jest tylko „teraz", to trzeba cenić to „teraz" i bardzo jestem z niego szczęśliwy. *Teraz, now, ahora, maintenant, heute*. *Now*, to śmieszny dźwięk, jeżeli ma się w nim zamknąć cały świat i czyjeś życie. *Esta noche, dziś wieczorem, tonight, ce soir, heute abend*. *Life i wife", vie i mari.* Nie, to nie wyszło. Francuzi z „życiem" rymują „męża". Jest jeszcze now i Frau", ale to też niczego nie dowodzi. Weźmy „śmierć": *mort, muerte i Tod*. Z nich wszystkich *Tod* jest najbardziej trupi. „Wojna": *war, guerre, guerra i Krieg*. *Krieg* jest najbardziej jak wojna, prawda? Czy może dlatego, że najsłabiej znam

niemiecki? „Kochanie": *sweetheart, cherie, prenda i Schatz*. Mogę je wszystkie zamienić na „Maria". To jest imię!

No więc będziemy robili to wszyscy razem i nawet już niedługo. Sprawa niewątpliwie wygląda coraz gorzej. To jest po prostu coś, czego nie można zrobić rano. W nieznośnej sytuacji czeka się do nocy, aby odejść. Ty chcesz czekać do nocy, by wtedy zacząć. Może masz rację, jeżeli potrafisz przetrzymać do zmroku. A gdyby tak zacząć za dnia? Jak myślisz? Ten biedny, cholerny Sordo, który porzucił swoją murzyńską hiszpańszczyznę, żeby mi to wszystko tak starannie wyjaśnić! Jak gdybym nie zastanawiał się nad tym, ilekroć mnie opadły czarne myśli od czasu, kiedy Golz po raz pierwszy o tym wspomniał. Jak gdyby od przedprzedwczorajszej nocy nie tkwiło to we mnie niczym nie przetrawione ciasto w żołądku.

Co za historia! Człowiek idzie przez życie i ma wrażenie, że ta czy inna kobieta coś znaczy, a zawsze w końcu okazuje się, że nic. Ani razu nie było tak jak teraz. Myślisz, że to jedno nigdy ci się nie zdarzy i oto nagle, podczas takiej parszywej imprezy, przy zestrajaniu dwóch zasmarkanych band partyzanckich po to, żeby pomogły ci wysadzić most w niemożliwych warunkach, dla udaremnienia kontrofensywy, którą prawdopodobnie już puszczono w ruch — spotykasz taką dziewczynę jak Maria. Jasne. Tak musiało być. Tylko że spotkałeś ją trochę za późno, nic więcej.

Taka kobieta jak ta Pilar, właściwie mówiąc, wpycha ci tę dziewczynę do śpiwora i cóż się dzieje? No tak, co się dzieje? Co? Proszę cię, sam powiedz. Tak. Właśnie to. To właśnie się dzieje.

Nie kłam sam sobie, że Pilar wepchnęła ci ją do śpiwora i nie próbuj tego zbagatelizować czy obrzydzić. Byłeś gotów, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłeś. Dobrze wiesz, że to się stało, kiedy po raz pierwszy otworzyła usta i przemówiła do ciebie. Jeżeli cię to spotkało, choć nigdy nie myślałeś, że spotka, nie ma sensu obrzucać tego błotem. Wiesz przecież, co to jest, i wiesz, że przyszło, kiedy spojrzałeś na nią po raz pierwszy, jak wychodziła schylona, z tym żelaznym półmiskiem.

Wiesz dobrze, że wtedy cię to chwyciło, więc po co kłamać? Ile razy spojrzałeś na nią, a ona na ciebie, robiło się z tobą coś dziwnego. Więc czemu się nie przyznać? No dobrze, przyznaję się. A co do tego rzekomego podsuwania ci jej przez Pilar, to Pilar zrobiła tylko jedno: postąpiła jak mądra kobieta. Opiekowała się nią dobrze i wyczuła, co się święci, jak tylko dziewczyna wróciła do jaskini z półmiskiem.

Więc po prostu ułatwiła sprawę. Ułatwiła tak, że była wczorajsza noc i dzisiejsze popołudnie. Jest znacznie bardziej cywilizowana od ciebie i wie, co to jest czas. Tak — powiedział sobie w duchu. — Chyba możemy uznać, że ma pewne pojęcie o wartości czasu. Przeżyła przykrą chwilę tylko dlatego, że nie chciała, aby innych ominęło to, co sama utraciła, a potem myśl, że miałaby się przyznać do tej utraty, była za trudna do przełknięcia. Więc tam, na wzgórzu, było jej ciężko i myślę, żeśmy jej niczego nie ułatwili.

Tak więc się dzieje i tak się teraz stało, i możesz to uznać, i nie będziecie już mieli nawet dwóch pełnych nocy. Nie ma mowy ani o jakimś „na zawsze", ani o wspólnym życiu, ani o tym, co ludzie powinni mieć, ani o niczym. Jedna noc, która już przeszła, jedno popołudnie i może jeszcze jedna noc. Nic więcej.

Nie będzie ani długiego czasu, ani szczęścia, ani zabawy, ani dzieci, ani domu, ani łazienki, czystej pidżamy, porannych gazet, wspólnego budzenia się rano, ani budzenia się w nocy ze świadomością, że ona jest przy tobie i że nie jesteś sam. Nie. Żadnej z tych rzeczy. Ale jeżeli to jest wszystko, co możesz mieć od życia, jeżeli to wreszcie znalazłeś — dlaczego nie może być choćby jednej nocy w łóżku z pościelą?

Żądasz rzeczy niemożliwej. Żądasz czegoś piekielnie niemożliwego. Jeżeli kochasz tę dziewczynę tak bardzo, jak twierdzisz, to lepiej kochaj ją jak najmocniej i staraj się wyrównać nasileniem braki w ciągłości i trwaniu waszego uczucia. Słyszysz? Za dawnych czasów ludzie poświęcali temu całe życie. A teraz, kiedy to znalazłeś, jeżeli uda ci się urwać dwie noce, dziwisz się, skąd tyle szczęścia. Dwie noce. Dwie noce na miłość, wierność i uczciwość małżeńską. Na dobrą i złą dolę. W chorobie i w śmierci. Nie, to nie tak. W chorobie i w zdrowiu. Aż do śmierci. To wszystko w dwie noce. Więcej niż prawdopodobne. Więcej niż prawdopodobne, a teraz daj spokój z takim myśleniem. Już mógłbyś przestać. Nie wychodzi ci to na dobre. Nie rób niczego, co ci nie wychodzi na dobre. To najważniejsze.

O tym właśnie mówił Golz. Im dłużej tu był, tym Golz wydawał mu się mądrzejszy. Więc o to pytał — o dodatnie strony nieregularnej służby. Czy Golz sam te rzeczy przeżywał i czy sprawiały to okoliczności, pośpiech i brak czasu? Czy taka rzecz zdarza się każdemu w podobnych warunkach? Czy tylko dlatego uważasz to za coś szczególnego, że zdarzyło się właśnie tobie? Czy Golz przesypiał się naprędce raz z tą, raz z inną, kiedy dowodził nieregularną kawalerią Czerwonej Armii i czy tylko układ okoliczności i tak dalej sprawia, że dziewczyny wydają się takie jak Maria?

Prawdopodobnie Golz znal to dobrze i chciał podkreślić, że musisz przeżyć całe życie w ciągu dwóch nocy, które ci są dane, że żyjąc tak jak my teraz, trzeba wszystko to, co powinno się mieć na zawsze, skupić w tej krótkiej chwili, jaka pozostaje.

To dobra metoda rozumowania. Ale nie wierzył, żeby Marię stworzyły tylko okoliczności. Chyba że jest reakcją zarówno na okoliczności, w których się sama znalazła, jak i na te, w których znalazł się on. Jedna z tych jej życiowych okoliczności nie bardzo jest dobra — pomyślał. — Nie, nie za bardzo.

Skoro już tak musi być, no to jest. Ale nie istnieje prawo, które nakazywałoby mu powiedzieć, że mu się to podoba. Nie wiedziałem, że potrafię kiedykolwiek czuć to, co czułem — pomyślał. — Ani że może mi się zdarzyć coś podobnego. Chciałbym to mieć przez całe życie. Będziesz miał — podpowiedziała mu druga strona jego natury. — Będziesz. Masz teraz, a „teraz" jest całym twoim życiem. Nie ma nic poza „teraz". Z pewnością nie ma „wczoraj", a nie ma też „jutra". Ileż ci trzeba przeżyć lat, ażebyś to zrozumiał? Jest tylko „teraz", a jeżeli „teraz" jest ledwie dwoma dniami, to te dwa dni są twoim życiem i wszystko w nich będzie w odpowiedniej proporcji. Tak przeżywa się życie w ciągu dwóch dni. Jeżeli przestaniesz narzekać i żądać tego, czego nigdy nie dostaniesz, możesz je przeżyć dobrze. Dobrego życia nie mierzy się biblijną miarą.

Więc nie martw się, bierz, co masz, i rób swoje, a będziesz żył długo i bardzo wesoło. Czyż ostatnio nie było wesoło? Na co się skarżysz? Tego rodzaju praca ma to do siebie — pomyślał i bardzo mu się ta myśl spodobała. — Ważne jest nie tyle to, czego się dowiadujemy, co ludzie, których spotykamy. Ucieszył się, że znów zaczyna żartować i podszedł do dziewczyny.

— Kocham cię, króliczku — powiedział. — Coś ty mówiła?

— Mówiłam, że nie powinieneś martwić się o swoją pracę, bo nie będę ci się naprzykrzała ani przeszkadzała — odrzekła. — Powiesz mi, jeżeli będę mogła w czymś pomóc.

— Nie ma nic takiego — odparł. — To naprawdę bardzo proste.

— Nauczę się od Pilar, co trzeba robić, żeby dobrze dbać o mężczyznę i będę to robiła — powiedziała Maria. — Potem, w miarę jak będę się uczyć, sama wpadnę na różne, pomysły, a resztę ty mi dopowiesz.

— Nie ma nic do roboty.

— *Qué va*, nie ma! Dziś rano trzeba było wytrzepać twój śpiwór, przewietrzyć go i powiesić gdzieś na słońcu. A potem, zanim przyjdzie rosa, powinno się go schować.

— Mów dalej, króliczku.

— Trzeba ci wyprać i wysuszyć skarpetki. Dopilnuję, żebyś miał dwie pary.

— Co jeszcze?

— Jeżeli mi pokażesz, jak to się robi, będę ci czyściła i oliwiła pistolet.

— Pocałuj mnie — powiedział Robert Jordan.

— Nie, kiedy ja mówię poważnie. Pokażesz mi, co trzeba robić z pistoletem? Pilar ma szmaty i oliwę. W jaskini jest wycior, który powinien do niego pasować.

— Oczywiście. Pokażę ci.

— A potem — mówiła Maria — jeżeli mnie nauczysz z niego strzelać, jedno z nas będzie mogło zabić drugie i siebie, gdyby któreś zostało ranne i trzeba było uniknąć niewoli.

— Bardzo ciekawe — powiedział Robert Jordan. — Dużo masz takich pomysłów?

— Niedużo — odparła Maria. — Ale ten jest dobry. Pilar dała mi to i pokazała, co z tym robić. — Rozpięła kieszeń koszuli, wydobyła skórzany futerał, jakiego używa się do kieszonkowych grzebieni, i zdjąwszy szeroką gumową opaskę, która zamykała go z obu końców, wyciągnęła ze środka ostrze od brzytwy. — Mam to zawsze przy sobie — wyjaśniła. — Pilar mówi, że trzeba naciąć o tu, zaraz pod uchem, i przeciągnąć tędy — pokazała mu palcem. — Powiada, że tutaj jest duża arteria i że ciągnąc stąd ostrzem nie można na nią nie trafić. Mówi też, że to niebolesne i że trzeba tylko mocno naciąć pod uchem i pociągnąć w dół. Twierdzi, że to głupstwo, i że jak się tak zrobi, nie mogą już tego zatamować.

— Słusznie — odrzekł Robert Jordan. — Tam jest arteria szyjna.

Więc ona z tym chodzi przez cały czas, uważając to za zupełnie zrozumiałą i należycie zorganizowaną ewentualność — pomyślał.

— Ale ja bym wolała, żebyś ty mnie zastrzelił — mówiła Maria. — Obiecaj, że jeżeli kiedyś będzie trzeba, zastrzelisz mnie.

— Dobrze — odrzekł Robert Jordan. — Obiecuję.

— Dziękuję ci bardzo — powiedziała Maria. — Wiem, że to niełatwe.

— Proszę — odpowiedział.

Zapomina się o tych rzeczach — pomyślał. — Kiedy człowiek zanadto skupi myśli na swoim zadaniu, zapomina o urokach wojny domowej. Zapomniałeś o tym. No cóż, właściwie tak trzeba. Kaszkin nie mógł zapomnieć i to mu przeszkadzało w pracy. A może chłop miał przeczucie? Dziwna rzecz: dobijając Kaszkina, nie czuł absolutnie żadnego wzruszenia. Spodziewał się, że to może kiedyś przyjdzie. Jednakże dotąd nic było absolutnie nic.

— Ale są jeszcze inne rzeczy, które mogę dla ciebie robić — powiedziała Maria. Szła blisko niego, bardzo poważna i kobieca.

— Oprócz zastrzelenia mnie?

— Tak. Mogę ci skręcać papierosy, kiedy się skończą te z ustnikami. Pilar nauczyła mnie skręcać bardzo porządnie, mocno i równo, bez rozsypywania.

— Doskonale — powiedział Robert Jordan. — I sama liżesz bibułki?

— Tak — odparła dziewczyna. — A jak zostaniesz ranny, będę cię doglądała, opatrywała ci ranę, myła cię i karmiła...

— Może nie zostanę ranny — rzekł Robert Jordan.

— No, to jak zachorujesz, będę przy tobie siedziała, gotowała ci zupę, myła cię, robiła wszystko, co trzeba. I będę ci czytać.

— Może nie zachoruję.

— To będę ci przynosiła kawę rano, kiedy się zbudzisz...

— A może nie lubię kawy?

— Przecież lubisz — odpowiedziała wesoło. — Dziś rano wypiłeś dwa kubki.

— Ale przypuśćmy, że znudzi mi się kawa, nie będzie trzeba mnie zastrzelić, nie zostanę ranny ani nie zachoruję, rzucę palenie, będę miał tylko jedną parę skarpetek i sam będę rozwieszał swój śpiwór. Co wtedy, króliczku? — poklepał ją po plecach. — Co wtedy?

— Wtedy pożyczę od Pilar nożyczki i przytnę ci włosy — odpowiedziała Maria.

— Nie lubię, jak mi obcinają włosy.

— Ja też nie — odparła Maria. — Poza tym twoje włosy podobają mi się tak jak teraz. Więc jeżeli nie znajdzie się nic do roboty, siądę przy tobie, będę na ciebie patrzała, a w nocy będziemy się kochali.

— Dobrze — powiedział Robert Jordan.. — Ten ostatni projekt jest bardzo sensowny.

— Mnie też się tak wydaje — uśmiechnęła się Maria. — Och, Inglés — westchnęła.

— Na imię mi Roberto.

— Nie, ja cię nazywam Inglés, tak jak Pilar.

— Ale ja jestem Roberto.

— Nie — odpowiedziała. — Dzisiaj na cały dzień jesteś Inglés. Słuchaj, Inglés, a mogłabym ci coś pomóc przy twojej pracy?

— Nie. To, co teraz robię, muszę zrobić sam i na spokojnie.

— Aha — powiedziała. — A kiedy skończysz?

— Dziś wieczorem, jak dobrze pójdzie,

— Doskonale.

Widzieli już ostatni zagajnik, który dochodził do obozu.

— Kto to taki? — zapytał Robert Jordan wskazując palcem.

— Pilar — odpowiedziała dziewczyna spojrzawszy w tę stronę. — Na pewno Pilar.

Na dolnym skraju łąki, tam gdzie zaczynały się drzewa, siedziała kobieta z czołem opartym na rękach. Z daleka wyglądała jak ciemny tłumok, czerniejący na tle brunatnego pnia.

— Chodź! — zawołał Robert Jordan i zaczął biec ku niej przez wrzosy, które sięgały mu do kolan. Było ciężko i trudno biec przez nie, więc po chwili zwolnił i dalej szedł zwykłym krokiem. Widział, że kobieta siedzi z czołem opartym o skrzyżowane ręce, a jej masywna postać czerniała na tle drzewa. Podszedł do niej i krzyknął ostro:

— Pilar!

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

— O! — powiedziała. — Jużeście skończyli?

— Niedobrze ci? — zapytał pochylając się nad nią.

— *Qué va* — odparła. — Spałam sobie.

— Pilar — zawołała Maria, która nadbiegła i uklękła obok niej. — Jak się czujesz? Nic ci nie jest?

— Pysznie się czuję — odparła Pilar, ale nie wstała z ziemi. Popatrzyła na nich. — No, jak tam, Inglés? Znów wyprawiałeś swoje męskie sztuki?

— Nic ci nie dolega? — zapytał Robert Jordan nie zwracając uwagi na te słowa.

— Co ma dolegać? Spałam. A wy nie?

— Nie.

— No — zwróciła się Pilar do dziewczyny. — Zdaje się, że ci to służy.

Maria zaczerwieniła się, ale nie powiedziała nic.

— Zostaw ją — rzekł Robert Jordan.

— Nikt się do ciebie nie odzywał — odparła Pilar. — Maria! — powiedziała, a głos jej był twardy. Dziewczyna nie podniosła głowy.

— Maria — powtórzyła kobieta. — Mówiłam, że ci to wyraźnie służy.

— Ach, zostawże ją — powiedział jeszcze raz Robert Jordan.

— Siedź cicho, ty! — rzuciła Pilar nie patrząc na niego. — Słuchaj, Maria, powiedz mi jedną rzecz.

— Nie — odrzekła Maria i potrząsnęła głową.

— Maria — mówiła Pilar, a głos miała równie twardy, jak twarz, w której nie było nic przyjaznego. — Powiedz mi jedną rzecz z twojej własnej woli.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

Robert Jordan myślał: Gdybym nie musiał pracować z tą kobietą, z jej pijanicą chłopem i całą tą zafajdaną bandą, tobym ją tak trzasnął w gębę, że...

— No, mów — nakazała Pilar dziewczynie.

— Nie — odparła Maria. — Nie.

— Zostaw ją — powiedział Robert Jordan nieswoim głosem. Trzasnę ją tak czy owak, niech to szlag trafi! — pomyślał.

Pilar nawet nie odezwała się do niego. Nie przypominała węża, który hipnotyzuje ptaka, ani kota, który czyha na ptaka. Nie było w niej nic drapieżnego ani perwersyjnego. Tylko jakieś nabrzmiewanie, podobne do nabrzmiewania kaptura kobry. Czuł to wyraźnie. Czuł całą tego groźbę. A jednak to nabrzmiewanie było ujarzmiające, nie wrogie, ale badawcze.

Wolałbym tego nic widzieć — pomyślał Robert Jordan. — Ale za to nie można nikogo bić.

— Maria — mówiła Pilar. — Ja cię nie dotknę. Powiedz mi teraz z twojej własnej woli.

„*De tu propria voluntad*" — brzmiały te słowa po hiszpańsku. Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Maria — powtórzyła Pilar. — Teraz i z twojej własnej woli. Słyszysz? Powiesz mi.

— Nie — odrzekła cicho dziewczyna. — Nie i jeszcze raz nie.

— Teraz mi powiesz — mówiła Pilar. — Coś powiesz. Zobaczysz. Teraz mi powiesz.

— Ziemia się poruszyła — rzekła Maria nie patrząc na nią. — Naprawdę. To było coś, czego nie potrafię ci opowiedzieć.

— Ach tak — rzekła Pilar. Głos jej był znowu ciepły, serdeczny, bez śladu przymusu, ale Robert Jordan zauważył drobne kropelki potu na jej czole i górnej wardze. — Więc to było. Więc było.

— Mówię prawdę — odparła Maria i przygryzła wargi.

— Pewnie, że prawdę — powiedziała Pilar łagodnie. — Ale nie opowiadaj tego nawet swoim bliskim, bo ci nigdy nie uwierzą. Nie masz ty czasem krwi *Cali*, Inglés?

Robert Jordan pomógł jej wstać.

— Nie — odpowiedział. — Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

— Maria też nie ma, o ile jej wiadomo — rzekła Pilar. — *Pues es muy raro*. Bardzo to dziwne.

— Ale tak się stało, Pilar — powiedziała Maria.

— *Como que no, hija?* — odparła Pilar. — Czemu by nie, córko? Kiedy byłam młoda, ziemia tak mi się poruszała, że aż czułam, jak się cała przesuwa i strach mnie oblatywał, czy aby spode mnie nie ucieknie. Tak było każdej nocy.

— Kłamiesz — rzekła Maria.

— Tak — odpowiedziała Pilar. — Kłamię. Ziemia nigdy nie porusza się więcej niż trzy razy w życiu. Rzeczywiście się poruszyła?

— Tak — odparła dziewczyna.— Naprawdę.

— A tobie, Inglés? — spojrzała Pilar na Roberta Jordana. — Tylko nie kłam.

— Też — odpowiedział. — Naprawdę.

— To dobrze — rzekła Pilar. — Dobrze. To jest coś.

– Jak to trzy razy? – spytała Maria. – Dlaczego tak mówisz?

– Bo trzy– odparła Pilar. — Teraz już miałaś raz.

— Tylko trzy?

— Dla większości ludzi w ogóle nigdy — powiedziała Pilar. — Pewna jesteś, że się poruszyła?

— Można było spaść — odrzekła Maria.

— To chyba się poruszyła. No, chodźcie, idziemy do obozu.

— Co to za głupstwa o tych trzech razach? — zapytał ją Robert Jordan, kiedy szli między sosnami.

— Głupstwa? — spojrzała na niego krzywo. — Ty mi nie gadaj o głupstwach, Angliczku.

— Znów jakieś czary, jak z tym czytaniem z ręki?

— Nie, to jest powszechnie wiadome i udowodnione u *gitanosi*[44].

— Przecież my nie jesteśmy *gitanos*.

— Nie. Ale miałeś łut szczęścia. Ci, co nie są Cyganami, też mają czasem szczęście.

— Mówisz poważnie o tych trzech razach?

Znowu spojrzała na niego jakoś dziwnie.

— Daj mi spokój, Inglés — odrzekła. — Nie molestuj mnie. Za młody jesteś, żebym z tobą gadała.

— Ależ, Pilar — zaczęła Maria.

— Cicho bądź — przerwała jej Pilar. — Miałaś już raz i czekają cię w życiu jeszcze dwa razy.

— A ty? — zapytał Robert Jordan.

— Dwa — odrzekła Pilar podnosząc dwa palce. — Dwa i trzeciego już nigdy nie będzie.

— Dlaczego? — spytała Maria.

— Och, siądźże cicho — powiedziała Pilar. — Nudzą mnie *busnes*[45] w twoim wieku.

— Dlaczego nie masz mieć trzeciego razu? — zapytał Robert Jordan.

— Ach, zamknij się, dobrze? — zawołała Pilar. — Zamknij się!

W porządku — powiedział do siebie Robert Jordan. — Tylko że ja już nie będę miał więcej. Znałem wielu Cyganów i to są dziwni ludzie. Ale my też. Różnica polega

[44] gitanosi (hiszp.) - Cyganie.
[45] busnes (hiszp.) - osobnicy.

na tym, że my musimy uczciwie zarabiać na życie. Nikt nie wie, z jakich szczepów się wywodzimy, jakie jest nasze plemienne dziedzictwo ani jakie tajemnice kryły się w puszczach, w których żyli nasi przodkowie. Wiemy tylko tyle, że nic nie wiemy. Nie wiemy, co się z nami dzieje w nocy. Ale jeżeli taka rzecz zdarzy się za dnia, to to coś znaczy. Tak czy owak zdarzyła się, a teraz ta baba nie tylko zmusza dziewczynę, żeby coś powiedziała, choć tego nie chce, ale jeszcze musi to przejąć i przywłaszczyć sobie. Musi z tego zrobić jakąś cygańską sprawę. Wydało mi się, że tam na wzgórzu dostała cięgi, ale teraz niewątpliwie narzuciła swoją wolę. Gdyby to robiła w złych zamiarach, powinno by się ją zastrzelić. Ale w tym nie ma zła. Tylko chęć przytrzymania życia. Przytrzymania go poprzez Marię.

Jak już skończysz z tą wojną, powinieneś zabrać się do studiów nad kobietami — powiedział do siebie. — Mógłbyś zacząć od Pilar. Nieźle skomplikowała ten dzień, jeżeli o to idzie. Dotychczas ani razu nie wyjeżdżała z tymi cygańskimi historiami. Z wyjątkiem ręki — pomyślał. — Tak, oczywiście, ręki. I nie zdaje mi się, żeby z tą ręką bujała. Naturalnie nie chciała powiedzieć, co w niej zobaczyła. Ale sama wierzy w to, co widziała. To jednak niczego nie dowodzi.

— Słuchaj, Pilar — odezwał się do niej.

Pilar spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

— No co? — spytała.

— Nie bądź taka tajemnicza — powiedział Robert Jordan. — Te tajemnice mnie męczą.

— Tak? — zapytała Pilar.

— Nie wierzę w żadnych ludojadów ani w przepowiadaczy, wróżbitów czy inne zasmarkane gusła cygańskie.

— O! — rzekła Pilar.

— Nie, nie wierzę. I mogłabyś zostawić tę dziewczynę w spokoju.

— Zostawię ją.

— Daj także spokój z tymi tajemnicami — ciągnął Robert Jordan. — Mamy dosyć zajęcia i dosyć rzeczy do zrobienia, żeby to jeszcze komplikować jakimś ględzeniem. Mniej tajemniczości, a więcej pracy.

— Rozumiem — kiwnęła głową Pilar na znak zgody. — Ale słuchaj, Inglés — uśmiechnęła się do niego. — Poruszyła ci się ziemia?

— Tak, niech cię licho. Poruszyła się.

Pilar parsknęła śmiechem i przystanęła patrząc na Roberta Jordana.

— Och, Inglés, Inglés! — wykrztusiła. — Okropnie jesteś zabawny. Musisz teraz dobrze się napracować, żeby odzyskać tę swoją powagę.

Niech cię diabli! — pomyślał Robert Jordan, ale nie odezwał się ani słowem. Podczas gdy rozmawiali, słońce zasnuły chmury i kiedy teraz spojrzał w stronę gór, zauważył, że niebo jest szare i ołowiane.

— Tak — powiedziała Pilar patrząc na niebo. — Będzie śnieg.

— Teraz? Już prawie w czerwcu?

— Czemu nie? Te góry nie znają nazw miesięcy. Mamy obecnie księżyc maj.

— Niemożliwe, żeby padał śnieg — powiedział. — Niemożliwe!

— A jednak będzie śnieg, Inglés — odparła.

Robert Jordan popatrzał na ciemną szarość nieba, na lekko pożółkłe słońce, które w tej chwili znikło zupełnie; szarość stała się tak jednolita, że aż miękka i ciężka, a na jej tle odcięły się szczyty gór.

— Tak — powiedział. — Zdaje się, że masz rację.

XIV

Kiedy dochodzili do obozu, padał już śnieg i płatki leciały ukośnie między sosnami. Z początku były rzadkie i wirowały opadając na ziemię, ale potem, kiedy od gór powiał zimny wiatr, zaczęły sypać gęsto, i Robert Jordan przystanął przed jaskinią patrząc na nie z wściekłością.

— Będziemy mieli duży śnieg — odezwał się Pablo. Glos miał chrapliwy, a oczy zaczerwienione i mętne.

— Czy Cygan już wrócił? — zapytał Robert Jordan.

— Nie — odpowiedział Pablo. — Ani on, ani stary.

— Podejdziecie ze mną do górnej placówki przy szosie?

— Nie — odparł Pablo. — Ja w tym nie biorę udziału.

— No to sam trafię.

— W tej zawierusze możecie zabłądzić — powiedział Pablo. — Nie radziłbym teraz wychodzić.

— Trzeba tylko zejść do szosy, a potem dalej wzdłuż niej.

— Może i traficie. Ale te wasze dwa szyldwachy już pewnie teraz wracają, jako że pada śnieg, więc możecie rozminąć się po drodze.

— Stary tam czeka na mnie.

— Nie. Przy takiej śnieżycy przyjdzie tutaj.

Pablo popatrzył na śnieg sypiący szybko przed wylotem jaskini i zapytał:

— Wam nie w smak ten śnieg, co, Inglés?

Robert Jordan zaklął, a Pablo spojrzał na niego mętnymi oczami i roześmiał się.

— Teraz już nic z waszej ofensywy, Inglés — powiedział. — Wejdźcie do jaskini. Wasi ludzie niedługo tu będą.

W jaskini Maria rozpalała ogień, a Pilar była czymś zajęta przy kuchennym stole. Ogień dymił, ale kiedy dziewczyna poprawiła go kijem i zaczęła powiewać złożonym papierem, nagle dmuchnęło, wystrzelił płomień, a drzewo rozpaliło się jasno, gdy wiatr chwycił ciąg poprzez otwór w sklepieniu.

— A ten śnieg — odezwał się Robert Jordan. — Myślicie, że go dużo napada?

— Dużo — odparł z satysfakcją Pablo. Potem zawołał do Pilar: — Tobie to także się nie podoba, kobieto? Teraz, kiedy dowodzisz, ten śnieg ci nie w smak, co?

— *A mi qué*?[46] — odparła Pilar przez ramię. Jak pada, to pada.

— Napijcie się wina, Inglés — powiedział Pablo. — Ja cały dzień piłem czekając na śnieg.

— Dajcie mi kubek — odrzekł Robert Jordan.

— No, za ten śnieg! — powiedział Pablo i trącił się z nim. Robert Jordan popatrzył mu w oczy i zrobił to samo. Ty przeklęty pijanico z mętnymi oczami! — pomyślał. — Chętnie bym trącił cię tym kubkiem w zęby. Tylko spokojnie — powiedział do siebie. — Tylko spokojnie.

— Piękna rzecz taki śnieg — rzekł Pablo. — Chyba dziś nie będziecie spali na dworze przy tej śnieżycy?

— A, więc i to też cię korci — pomyślał Robert Jordan. — Dużo masz zmartwień, co, Pablo?

— Nie? — zapytał uprzejmie.

— Nie. Bo bardzo zimno — powiedział Pablo. — Bardzo mokro.

Ty nie wiesz, dlaczego te moje poczciwe edredony kosztowały sześćdziesiąt pięć dolarów — pomyślał Robert Jordan. — Chciałbym mieć tyle dolarów, ile razy spałem w tym śpiworze na śniegu. — Więc powinienem spać tutaj? — spytał uprzejmie.

— Tak.

— Dziękuję — powiedział Robert Jordan. — Będę spał na dworze.

— Na śniegu?

— Tak. — (Niech szlag trafi te twoje przekrwione, zaczerwienione, świńskie ślepia i świńską szczecinę na świńskim ryju.) — Na śniegu, — (Na tym przeklętym, fatalnym, niespodziewanym, ohydnym, pechowym draństwie — na śniegu.)

Podszedł do Marii, która właśnie położyła nową szczapę sośniny na ogniu.

— Bardzo piękny ten śnieg — powiedział do niej.

— Ale niedobry dla twojej roboty, prawda? — spytała. — Nie martwisz się?

— *Qué va* — odparł. — Martwienie się nic nie pomoże. Kiedy będzie kolacja?

— Spodziewałam się, że będziesz miał apetyt — powiedziała Pilar. — Chcesz teraz kawałek sera?

[46] A mi qué? (hiszp.) - Co mi tam.

— Proszę — odrzekł, a ona zdjęła z haka wielki ser wiszący w siatce u sklepienia, odkrajała kawał z napoczętego końca i podała mu ciężki płat. Zaczął jeść stojąc. Ser byłby smaczny, gdyby nie to, że trochę zanadto pachniał kozą.

— Maria — odezwał się zza stołu Pablo.

— Co? — spytała dziewczyna.

— Wytrzyj stół — rzekł Pablo i wyszczerzył zęby do Roberta Jordana.

— Sam wytrzyj, coś napaskudził — powiedziała Pilar. — Najpierw własną brodę, potem koszulę, a później stół.

— Maria! — zawołał Pablo.

— Nie zwracaj na niego uwagi. Urżnął się — powiedziała Pilar.

— Maria — powtórzył Pablo. — Śnieg ciągle pada i jest piękny.

Nie zna mojego śpiworu — myślał Robert Jordan. — Świńskie oczko nie wie, dlaczego zapłaciłem za niego u Woodsa sześćdziesiat pięć dolarów. Ale chciałbym, żeby Cygan już przyszedł. Jak tylko się zjawi, pójdę po starego. Powinienem pójść teraz, ale łatwo możemy się rozminąć. Nie mam pojęcia, gdzie stoi.

— Chcielibyście porobić kule ze śniegu? — zwrócił się do Pabla. — Chcecie pobić się trochę kulami?

— Co? — zapytał Pablo. — Co takiego proponujecie?

— Nic — powiedział Robert Jordan. — Przykryliście porządnie siodła?

— Tak.

Wtedy Robert Jordan powiedział po angielsku:

— Dasz koniom obrok czy rozpuścisz je, żeby same sobie coś wygrzebały?

— Co takiego?

— Nic. To twoja sprawa, bracie. Ja stąd i tak odejdę pieszo.

— Dlaczego mówicie po angielsku? — zapytał Pablo.

— Nie wiem — odrzekł Robert Jordan. — Czasem to robię, jeżeli czuję się bardzo zmęczony. Albo jak mnie bierze obrzydzenie. Czy też, powiedzmy, jak jestem speszony. Kiedy jestem mocno speszony, mówię po angielsku, po prostu żeby słyszeć dźwięk tego języka. To ogromnie uspokajające. Powinieneś kiedyś spróbować.

— Co ty mówisz, Inglés? — spytała Pilar.— To brzmi wielce ciekawie, ale nic nie rozumiem.

— Nic — odrzekł Robert Jordan. — Powiedziałem: „Nic" po angielsku.

— W takim razie mów po hiszpańsku — rzekła Pilar. — Bo po hiszpańsku to i krótsze, i prostsze.

— Dobrze — powiedział Robert Jordan. Ale słuchaj — pomyślał — słuchaj, Pablo; słuchaj, Pilar, i ty, Maria, i wy, dwaj bracia tam, w kącie, których imion pozapominalem, a muszę sobie przypomnieć — gdybyście wiedzieli, jak ja czasem mam tego dosyć! Tego i was, i siebie, i wojny, i w ogóle czemu musiał teraz spaść ten śnieg? Tego już, psiakrew, za wiele. Nie, nie za wiele. Nic nie jest za wiele. Trzeba po prostu pogodzić się z tym, jakoś się z tego wygrzebać, więc przestań tu primadonnować, przyjmij do wiadomości fakt, że pada śnieg, tak jak to zrobiłeś przed chwilą, porozum się ze swoim Cyganem i idź po starego. Ale ten śnieg! Teraz, w tym miesiącu! Daj spokój — powiedział do siebie. — Daj spokój i pogódź się z tym. To jest ten kielich, wiesz. Jakże to idzie, o tym kielichu? Trzeba albo wyrobić sobie pamięć, albo nie bawić się w cytaty, bo jak ci któraś ucieknie, pęta ci się potem po głowie niczym zapomniane nazwisko i nie można się od tego odczepić. Jakże to było z tym kielichem?

— Dajcie mi kielich wina — powiedział po hiszpańsku. A potem do Pabla: — Dużo śniegu, co? *Mucha nieve*.

Pijany podniósł na niego wzrok i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Kiwnął głową i uśmiechnął się znowu.

— Nie ma ofensywy. Nie ma *aviónes*. Nie ma mostu. Tylko śnieg — powiedział.

— Myślicie, że to długo potrwa? — zapytał Robert Jordan siadając przy nim. — Że będzie tak na nas sypało przez cale lato, co, stary?

— Przez całe lato nie — odrzekł Pablo. — Ale dzisiaj i jutro tak.

— Dlaczego tak myślicie?

— Są dwa rodzaje burz — powiedział Pablo ociężale i z namysłem. — Jedna przychodzi od Pirenejów. Ta niesie z sobą wielkie zimno. Ale na nią teraz za późno.

— Dobra — rzekł Robert Jordan. — To już coś.

— Ta burza idzie od Cantabrico — ciągnął Pablo. — Od morza. Przy takim wietrze będzie wielka zawieja i dużo śniegu.

— Gdzieżeś ty się nauczył tego wszystkiego, stary wygo? — zapytał Robert Jordan.

Teraz, kiedy już przeszła mu wściekłość, ta burza podniecała go, jak zawsze wszystkie burze. Podczas śnieżycy, wichury, nagłego szkwału, tropikalnego orkanu,

letniej burzy z piorunami w górach czuł podniecenie, jakiego nie dawało mu żadne inne przeżycie. Było to podobne do podniecenia bitewnego, tyle że czyste. Poprzez bitwę dmie także wiatr, ale gorący — gorący i suchy jak spieczone usta; wieje ciężko, upalny i brudny, zrywa się i ucicha razem z kolejami walki. Ten wiatr znał dobrze.

Natomiast burza śnieżna jest przeciwieństwem tego wszystkiego. Podczas niej można podejść blisko do dzikich zwierząt, a one się nie płoszą. Przebiegają okolicę, nie wiedząc, gdzie są, i czasem jeleń chroni się pod ściankę szałasu. Podczas śnieżycy możesz podjechać konno do łosia, a on weźmie twojego konia za drugiego łosia i pokłusuje ci na spotkanie. Podczas śnieżycy zawsze wydaje się przez chwilę, że nie ma w ogóle wrogów. Wtedy wiatr potrafi dąć jak szkwał, ale nawiewa czystą białość, powietrze jest pełne gnającej białości i wszystko jest jakieś inne, a kiedy wiatr ustanie, zalega cisza. Teraz przyszła wielka burza śnieżna i właściwie można się nią rozkoszować. Wprawdzie przekreśla wszystko, ale możesz się nią rozkoszować.

— Przez wiele lat pracowałem jako arroyero[47]. — powiedział Pablo. — Przewoziliśmy górami towary na wielkich wozach, jeszcze zanim weszły w życie ciężarówki. Przy tej pracy nauczyłem się wyznawać na pogodzie.

— A jak dostaliście się do ruchu?

— Zawsze byłem lewicowiec — odparł Pablo. — Często stykaliśmy się z ludźmi z Asturii, którzy są bardzo wyrobieni politycznie. Zawsze byłem za Republiką.

— A coście robili przed ruchem?

— Pracowałem u jednego handlarza koni z Saragossy. Dostarczał koni na walki byków, a także remontów dla wojska. Wtedy poznałem Pilar, która naówczas była, jako wam powiadała, z matadorem Finito de Palencia. Powiedział to z niemałą dumą.

— Nieszczególny był z niego matador — odezwał się od stołu jeden z braci patrząc na plecy Pilar stojącej przed paleniskiem.

— Nie? — odwróciła się Pilar i spojrzała na niego. — Nieszczególny był z niego matador?

Stojąc tam przed ogniem w jaskini, ujrzała go teraz, niskiego, smagłego, o skupionej twarzy, smutnych oczach, zapadniętych policzkach, z czarnymi włosami skręconymi od potu w pierścienie nad czołem, na którym ciasny toreadorski kapelusz pozostawił czerwoną pręgę, której nikt poza nią nie dostrzegał. Zobaczyła go, jak wtedy stał naprzeciw pięcioletniego byka, na wprost rogów, na których ten przed

[47] arroyero (hiszp.) - śmieciarz.

chwilą podniósł konia, dźwigając go coraz wyżej potężnym karkiem, w który dźgał piką jeździec, aż wreszcie koń przewalił się z łomotem, jeździec runął na drewniane ogrodzenie, kopyta byka odepchnęły go, a wielki kark wbił rogi w konia, by z niego wyłuskać życie. Widziała teraz Finita, tego nieszczególnego matadora, jak stał naprzeciw byka i obracał się bokiem ku niemu. Widziała go wyraźnie, jak owijał na drążku ciężką flanelową płachtę — zwisającą i ciężką od krwi, którą nasiąkła, kiedy robiąc zwroty zamiatał nią po łbie i łopatkach byka, po zbroczonym, lśniącym kłębie i dalej po grzbiecie, gdy byk wyskakiwał w górę, aż grzechotały tkwiące w nim *banderille*. Widziała Finita, jak stał profilem o pięć kroków od rogów nieruchomego, ciężkiego zwierza, a potem podniósł z wolna szpadę na wysokość ramienia i patrzał po zniżonej klindze w jakiś punkt, którego nie mógł jeszcze widzieć, gdyż zasłaniał mu go łeb byka. Za chwilę miał przygiąć ten łeb zamiatając trzymaną w lewej ręce mokrą, ciężką płachtą, ale w tej chwili kołysał się jeszcze lekko na piętach i celował klingą, stojąc bokiem do nadłamanego rogu byka, który dyszał wpatrzony w płachtę.

Ujrzała Finita bardzo wyraźnie i usłyszała jego cienki, czysty głos, kiedy obrócił głowę i spojrzawszy na siedzących w pierwszym rzędzie za czerwonym ogrodzeniem powiedział: „Zobaczymy, czy go się da zabić w ten sposób!"

Słyszała jego głos, widziała, jak przygiął kolano, ruszając prosto na rogi, które zniżały się niby za zaklęciem, kiedy byk wodził pyskiem za opuszczoną płachtą, prowadzoną przez cienką kiść smagłej ręki. Rogi pochyliły się i przeszły bokiem, a wtedy szpada wbiła się w pokryty pyłem, zwalisty kłąb.

Widziała jej błysk pogrążający się równo, powoli, jak gdyby zwierz prąc naprzód wciągał go w siebie z ręki człowieka; widziała, jak szpada wbijała się coraz głębiej, aż wreszcie knykcie śniadej pięści oparły się na napiętej skórze byka, a niski, smagły mężczyzna, który ani na chwilę nie oderwał wzroku od miejsca, gdzie wbił szpadę, teraz cofnął wciągnięty brzuch tuż przed rogiem, po czym odszedł w bok, przystanął trzymając w lewej ręce płachtę na drążku i podniósłszy prawą dłoń patrzał na konanie byka.

Widziała go stojącego, z oczami utkwionymi w zwierza, który usiłował utrzymać się na nogach, chwiał się jak podcięte drzewo i próbował jeszcze ustać, podczas gdy niski mężczyzna czekał z ręką podniesioną w ceremonialnym geście tryumfu. Widziała, jak tam stał, ogarnięty znojnym, pustym uczuciem ulgi, że już jest po wszystkim, że byk już zdycha, że nie było grzmotnięcia łbem i ciosu rogów, kiedy się przed nimi usuwał — i potem byk nie mogąc już zachować równowagi runął

martwy na grzbiet, wszystkimi czterema kopytami do góry, a niski, smagły mężczyzna znużonym krokiem odszedł bez uśmiechu w stronę ogrodzenia.

Wiedziała, że nie mógłby przebiec przez arenę, choćby jego życie od tego zależało, i patrzała, jak doszedł powoli do ogrodzenia, otarł usta ręcznikiem, spojrzał na nią i potrząsnął głową, a potem wytarł sobie twarz i rozpoczął swój tryumfalny pochód w krąg areny.

Widziała, jak szedł powoli, ociężale, uśmiechając się, kłaniając i uśmiechając znowu; za nim szli jego pomocnicy, którzy schylali się, zbierali z ziemi cygara, odrzucali między publiczność ciśnięte na arenę kapelusze. On szedł dokoła areny uśmiechnięty, ze smutnymi oczami, aż wreszcie zakończył okrążenie przed nią. Potem zobaczyła go siedzącego na występie drewnianej bariery, z ręcznikiem przytkniętym do ust.

Pilar ujrzała to wszystko stojąc teraz przed ogniem i powiedziała:

— Więc on nie był dobrym matadorem? Z jakimiż ludźmi zadawałam się przez całe życie!

— Był dobrym matadorem — odparł Pablo. — Ale przeszkadzał mu niski wzrost.

— I oczywiście miał suchoty — dodał Primitivo.

— Suchoty? — spytała Pilar. — A kto by nie miał suchot po tym wszystkim, co on przeszedł? I to w kraju, gdzie żaden biedak nie może mieć nadziei, że się dorobi, jeżeli nie jest zbrodniarzem jak Juan March albo toreadorem, albo tenorem w operze! Jakże mógł nie mieć suchot? W kraju, gdzie burżuazja obżera się tak, że ma zrujnowane żołądki i nie może żyć bez sody, a biedni głodują od urodzenia aż po swoją ostatnią godzinę? I miał nie mieć suchot? Gdybyście jako mali chłopcy podróżowali pod ławkami wagonów trzeciej klasy, żeby za darmo jeździć z jarmarku na jarmark i uczyć się na toreadorów, i leżeli tak jak on w kurzu i brudzie, pośród świeżych i zaschniętych charkocin, a potem dostawali rogami w piersi, to nie mielibyście suchot?

— Jasne — odrzekł Primitivo. — Ja tylko powiedziałem, że miał suchoty.

— Pewnie, że miał — zawołała Pilar stojąc z wielką, drewnianą chochlą w ręce. — Był niskiego wzrostu, miał cienki głos i okrutnego stracha przed bykami. Nigdy w życiu nie widziałam człowieka, który by tak bardzo się bał przed walką, a tak mało na

arenie. Ty — obróciła się do Pabla. — Ty teraz boisz się śmierci. Myślisz, że to jest coś wielkiego. Ale Finito bał się przez cały czas, a na arenie był jak lew!

— Słynął ze swojej wielkiej dzielności — powiedział drugi z braci.

— Nie znałam człowieka, który by tak się bał — mówiła Pilar. — Nie chciał nawet mieć głowy byka u siebie w domu. Kiedyś na *Feria* w Valladolid zabił wspaniale byka Pabla Romero.

— Pamiętam — przerwał pierwszy z braci. — Byłem tam wtedy. Ten byk był takiej mydlanej maści, z kędziorem na łbie i bardzo długimi rogami. Miał z górą trzydzieści *arrobas*. To był ostatni byk, jakiego Finito zabił w Valladolid.

— Właśnie — powiedziała Pilar. — A potem klub miłośników walk, który się zbierał w „Cafe Colon" i nadał sobie imię Finita, kazał wypchać głowę tego byka i ofiarował ją Finitowi na małym bankiecie w „Cafe Colon". Podczas obiadu głowa wisiała na ścianie, ale zasłonięta suknem. Siedziałam wtedy przy stole, a były tam też i inne: Pastora, która jest jeszcze brzydsza ode mnie, i Nina de los Peines, i różne Cyganki, i kurwy wysokiej kategorii. Niewielki to był bankiet, ale wielce ożywiony i nawet o mało nie doszło do awantury, bo Pastora i jedna z tych najważniejszych kurew pokłóciły się na temat przyzwoitego zachowania. Ja osobiście byłam niezmiernie szczęśliwa, siedziałam obok Finita i zauważyłam, że za nic nie chciał spojrzeć na głowę byka, zakrytą fioletową materią zupełnie jak wizerunki świętych w kościele podczas tygodnia męki byłego Pana Naszego.

Finito niewiele jadł, bo dostał *palotazo*, uderzenie rogiem na płask, kiedy wbijał szpadę bykowi podczas ostatniej tamtego roku corridy w Saragossie. Potem był przez jakiś czas nieprzytomny, wciąż jeszcze nie mógł utrzymać jedzenia w żołądku i podczas bankietu coraz to przykładał chusteczkę do ust i wypluwał na nią sporo krwi. Co to wam miałam powiedzieć?

— O głowie byka — odparł Primitivo. — O tej wypchanej głowie byka.

Aha — rzekła Pilar. — Tak jest. Ale wpierw muszę wam opowiedzieć kilka szczegółów, żebyście to sobie dobrze uprzytomnili. Otóż, wiecie, Finito nigdy nic był zanadto wesoły, a raczej z gruntu poważny i nie pamiętam, żeby się z czegoś śmiał, jakeśmy byli we dwoje. Nawet z rzeczy ogromnie zabawnych. Wszystko brał bardzo serio. Był prawie taki sensat jak Fernando. Ale ten bankiet wydali na jego cześć a*ficionados*, którzy założyli „Klub Finita", więc musiał udawać wesołość, serdeczność i rozbawienie. Toteż przez cały czas uśmiechał się i zagadywał przyjaźnie, i tylko ja

jedna widziałam, co robił z chustką. Miał przy sobie trzy chustki i zmoczył je wszystkie krwią, a potem powiedział do mnie bardzo cicho: „Pilar, ja dłużej nie wytrzymam. Chyba będę musiał wyjść".

„To chodźmy" — odrzekłam, bom wiedziała, że bardzo cierpi. Wtedy wszyscy już mocno się rozhulali i hałas był okropny.

„Nie, ja nie mogę wyjść — powiedział do mnie Finito. — Bądź co bądź to jest klub nazwany moim imieniem, więc to mnie obowiązuje".

„Jeżeli jesteś chory, to chodźmy" — powiedziałam.

„Nie — on na to. — Zostanę. Daj mi trochę tej *manzanilli*.[48]

Nie uważałam, żeby mądrze robił pijąc, jako że nic nie jadł i miał żołądek w takim stanie, ale widać nie mógł dłużej znieść tej wesołości, uciechy i hałasu nie łyknąwszy czegoś. Patrzyłam więc, jak wypił bardzo szybko prawie całą butelkę *manzanilli*. Ponieważ chustki mu się skończyły, używał teraz serwetki do tego samego celu.

Uczta doszła już do stanu wielkiego rozochocenia i członkowie klubu obnosili na ramionach dokoła stołu co lżejsze kurwy. Uprosili Pastorę, żeby coś zaśpiewała, El Nino Ricardo grał na gitarze, ogromnie to było wzruszające i zapanowało szczere wesele i pijacka serdeczność najwyższego rzędu. Nigdy nie byłam na przyjęciu, które by osiągnęło takie szczyty prawdziwego entuzjazmu *flamenco,* a przecie jeszcześmy wtedy nie doszli do odsłonięcia głowy byka, co było bądź co bądź przyczyną urządzenia bankietu.

Rozbawiłam się tak i taka byłam zajęta oklaskiwaniem gry Ricarda i pomaganiem tym, co bili brawo Ninie de los Peines, która śpiewała, iż nie zauważyłam, że Finito zmoczył już swoją serwetkę i wziął z kolei moją. Pił coraz więcej *manzanilli*, oczy mu mocno błyszczały i do każdego kiwał głową bardzo radośnie. Nie mógł wiele mówić, bo wtedy musiałby co chwila przytykać do ust serwetkę, ale udawał wielką wesołość i zadowolenie, a ostatecznie na to przecie tam był.

Bankiet trwał więc dalej, a koło mnie siedział dawny impresario Rafaela el Galio i opowiadał mi jedną historię, której koniec był taki: „Więc Rafael przyszedł do mnie i mówi: Ty jesteś najlepszym i najszlachetniejszym przyjacielem, jakiego mam na świecie. Kocham cię jak brata i chcę ci zrobić prezent. I ofiarował mi piękną szpilkę z diamentem, ucałował mnie w oba policzki i bardzo byliśmy wzruszeni. Jak już mi

[48] manzanilla (hiszp.) — andaluzyjskie białe wino wytrawne, typu sherry, lecz nie wzmocnione.

dał tę szpilkę, wyszedł z kawiarni, a ja powiedziałem do Retany, który też siedział przy stoliku: Ten parszywy Cygan właśnie podpisał kontrakt z innym impresariem".

„Jak to?" — zapytał Retana.

„Pracowałem z nim przez dziesięć lat i ani razu nie dał mi prezentu — odpowiedział impresario El Galia. — Więc to może być tylko to jedno". I rzeczywiście tak było, i w ten sposób rozstał się z nim El Galio.

Ale wtedy wtrąciła się do rozmowy Pastora, nie tyle żeby bronić dobrego imienia Rafaela, jako że nikt na niego bardziej nie napadał niż ona sama, ale dlatego, że impresario obraził Cyganów używając słów „parszywy Cygan". Wtrąciła się tak gwałtownie i takimi wyrazami, że impresaria zatkało. Wtedy znów ja się wmieszałam, żeby ją uspokoić, a inna *gitana* zaczęła uspokajać mnie i zrobił się taki harmider, że nie można było rozróżnić żadnych słów oprócz jednego wielkiego słowa „kurwa", które grzmiało ponad wszystkimi innymi, dopóki nie przywrócono spokoju. My trzy, któreśmy się wtrąciły, usiadłyśmy z wzrokiem wbitym w szklanki i wtedy zauważyłam, że Finito wpatruje się w głowę byka, wciąż jeszcze zasłoniętą fioletowym materiałem, i że ma wyraz przerażenia na twarzy.

W tej chwili prezes klubu rozpoczął przemówienie, po którym miało nastąpić odsłonięcie głowy byka, a kiedy wygłaszał tę mowę, przyjmowaną przez wszystkich okrzykami „*Olé*!", ja nie spuszczałam oka z Finita, który przykładał do ust swoją — nie: moją serwetkę, coraz głębiej wciskał się w fotel i z przerażeniem wpatrywał się w ten zasłonięty łeb byka, wiszący na wprost niego na ścianie.

Pod koniec mowy Finito zaczął trząść głową i ciągle wsuwał się coraz głębiej w fotel.

„Jak się czujesz, mały?" — zapytałam go, ale kiedy spojrzał, nie poznał mnie i tylko dalej potrząsał głową, i powtarzał: „Nie. Nie. Nie".

Prezes klubu skończył przemawiać, pośród ogólnych braw wlazł na krzesło, rozwiązał sznurek przytrzymujący na łbie byka fioletową zasłonę i powoli ją ściągnął. Zaczepiła się o róg, więc uniósł ją i zdjął z ostrych błyszczących rogów, i oto ukazał się wielki, płowy byk z rozłożystymi, czarnymi, sterczącymi rogami, których białe szpice były ostre niczym kolce jeża. Łeb byka wyglądał jak żywy, miał tak samo jak za życia kłaki na czole, nozdrza rozdęte, oczy błyszczące i patrzał prosto na Finita.

Wszyscy krzyknęli i zaczęli klaskać, a Finito wsunął się jeszcze głębiej w fotel i wtedy nagle zamilkli i popatrzyli na niego, a on powiedział: „Nie, nie" — spojrzał na

byka, cofnął się jeszcze bardziej, krzyknął głośno: „Nie!" i wtedy zanim zdążył podnieść serwetkę do ust, wyleciał mu z nich duży skrzep krwi i ześliznął się po brodzie, a on wciąż patrzał na byka i mówił: „Przez cały sezon, tak. Żeby zarobić pieniądze, tak. Żeby mieć co jeść. Tylko że ja nie mogę jeść, słyszycie? Mam chory żołądek. Ale teraz, po sezonie? Nie! Nie! Nie!" Powiódł wzrokiem dokoła stołu, potem spojrzał na łeb byka, powiedział raz jeszcze: „Nie!", zwiesił głowę, przycisnął serwetkę do ust i od tej chwili siedział bez słowa, i przyjęcie, które zaczęło się tak dobrze i zapowiadało jako coś epokowego w dziedzinie wesołej, ochoczej zabawy, skończyło się niepowodzeniem.

— Jak długo po tym umarł? — zapytał Primirivo.

— Tej samej zimy — odparła Pilar. — Już nie przyszedł do siebie po tamtym uderzeniu na płask rogiem w Saragossie. To jest gorsze niż przebicie, bo obrażenia są wewnętrzne i nie dają się, wyleczyć. Obrywał tak prawie za każdym razem, kiedy się rzucał na byka i z tej przyczyny nie miał większych sukcesów. Trudno mu było uchylić się przed rogiem, bo był niskiego wzrostu. Prawie zawsze róg trafiał go bokiem, choć oczywiście były to często tylko obcierki.

— Jeżeli był taki niski, to nie powinien był kierować się na matadora — rzekł Primitivo.

Pilar spojrzała na Roberta Jordana i potrząsnęła głową. Potem schyliła się nad pękatym, żelaznym kociołkiem, ciągle kiwając głową.

Co to za ludzie — myślała. — Co to za ludzie ci Hiszpanie! „Jeżeli był taki niski, to nie powinien był kierować się na matadora". A ja tego słucham, i nic nie mówię. Nie bierze mnie na to wściekłość i powiedziawszy swoje, siedzę cicho. Jakie proste jest wszystko, kiedy człowiek nic nie wie! *Qué sencillo!*[49] Taki, co nic nie wie, powiada: „Nieszczególny był z niego matador". Drugi, co nie wie nic, mówi: „Miał suchoty". A kiedy ktoś, kto wie, wytłumaczy, inny powiada: „Jeżeli był taki niski, to nie powinien był kierować się na matadora".

Kiedy tam stała, pochylona nad ogniem, znów zobaczyła leżące na łóżku nagie, smagłe ciało z gruzłami blizn na obu udach, ze stwardniałą, falistą krechą po prawej stronie pod żebrami i długą, białą pręgą biegnącą wzdłuż boku aż pod pachę. Widziała przymknięte powieki, skupioną, śniadą twarz i odgarnięte z czoła czarne, kędzierzawe

[49] Qué sencillo! (hiszp.) - Jaki prostak!

włosy; siedziała przy nim na łóżku, masowała mu nogi, rozcierała napięte mięśnie łydek, ugniatała je, rozluźniała, a potem klepała lekko dłońmi, ażeby usunąć skurcz.

„No, jak tam? — pytała go. — Jak nogi, mały?"

„Doskonale, Pilar" — odpowiadał nie otwierając oczu.

„Chcesz, żebym ci pomasowała pierś?"

„Nie, Pilar. Proszę cię, nie dotykaj".

„A uda?"

„Nie. Zanadto bolą".

„Ale jeżeli ci rozmasuję i natrę olejkiem, to się zagrzeją i przestaną boleć".

„Nie, Pilar. Dziękuję ci. Wolę, żebyś mnie nie ruszała".

„Obmyję cię spirytusem".

„Dobrze. Ale bardzo lekko".

„Byłeś fantastyczny przy tym ostatnim byku" — mówiła, a on odpowiadał:

„Tak, dobrze go zabiłem".

A potem, kiedy go już obmyła i przykryła prześcieradłem, kładła się obok niego na łóżku, a on dotykał jej śniadą dłonią i mówił: „Z ciebie kawał kobity, Pilar". To był jedyny dowcip, na jaki potrafił się zdobyć, i po walce zwykle zasypiał, a ona leżała trzymając jego rękę w obu dłoniach i słuchała, jak oddycha.

Często bywało, że zląkł się czegoś przez sen, i wtedy czuła, jak jego dłoń się zaciska, widziała kropelki potu występujące na czoło, a jeśli się zbudził, mówiła: „Nic, nic", i potem zasypiał znowu.

Przeżyła z nim tak pięć lat i nigdy go nie zdradziła — to znaczy prawie nigdy — a później, po pogrzebie, skumała się z Pablem, który przyprowadzał na arenę konie dla pikadorów i przypominał wszystkie te byki, jakie Finito przez cale życie zabijał. Teraz jednakże wiedziała, że ani siła bycza, ani odwaga bycza nie trwa długo, bo zresztą cóż trwa na tym świecie? Ja trwam — pomyślała. — Tak, ja przetrwałam. Ale po co?

— Maria — powiedziała. — Uważaj trochę, co robisz. To ma być ogień do gotowania, nie do spalenia miasta.

W tej chwili w progu ukazał się Cygan. Był cały okryty śniegiem; przystanął z karabinem w ręku i tupiąc otrząsał śnieg z trepów.

Robert Jordan wstał i podszedł do wejścia. — No i co? — zapytał Cygana.

— Zmiana co sześć godzin, dwóch ludzi naraz na dużym moście — odrzekł Cygan. — W domku dróżnika jest ośmiu żołnierzy i kapral. Masz tutaj swój chronometr.

— A co z placówką w tartaku?

— Tam jest stary. Baczy i na nią, i na szosę.

— A na szosie? — zapytał Robert Jordan.

— Taki sam ruch jako i zawsze — odpowiedział Cygan. — Nic nadzwyczajnego. Trochę samochodów.

Widać było, że zmarzł, ciemną twarz miał zdrętwiałą z zimna, a ręce czerwone. Stojąc w wylocie jaskini zdjął kurtkę i otrząsnął ją.

— Siedziałem tam, póki nie zmienili warty — powiedział. — Zmiana była w południe i o szóstej. To długie wartowanie. Rad jestem, że nie służę w ich wojsku.

— Idziemy po starego — rzekł Robert Jordan nakładając skórzaną kurtkę.

— Ale beze mnie — odparł Cygan. — Ja teraz idę do ognia i do gorącej zupy. Powiem któremuś z tych tutaj, gdzie jest stary, to was poprowadzi. Hej, wałkonie! — zawołał do mężczyzn siedzących za stołem. — Który chce zaprowadzić Inglésa do tego miejsca, gdzie stary baczy na szosę?

— Ja pójdę — odezwał się Fernando. — Powiedz mi, gdzie to jest.

— Słuchaj — zaczął Cygan. — To jest tak... — i wytłumaczył mu, gdzie stoi na posterunku stary Anselmo.

XV

Anselmo przycupnął za grubym pniem drzewa, po którego obu stronach wiatr miótł śniegiem. Przycisnął się do drzewa, ręce zasunął w rękawy kurty, głowę wtulił w kołnierz jak mógł najgłębiej. Jeżeli tu dłużej posiedzę, to zamarznę, a z tego będzie niewielki pożytek — myślał. — Inglés kazał mi czekać, póki nie przyjdzie zmiana, ale wtedy jeszcze nie wiedział, że będzie burza. Na szosie nie było żadnego niezwyczajnego ruchu, a poznałem już rozkład służby i zwyczaje tej placówki w tartaku za szosą. Teraz powinienem wrócić do obozu. Każdy rozsądny człowiek tego by się po mnie spodziewał. Zostanę jeszcze chwilę — pomyślał — a potem pójdę. To wina rozkazów, które są za sztywne. Nie biorą w rachubę zmiany warunków.

Potarł stopą o stopę, potem wyciągnął ręce z rękawów, pochylił się, roztarł sobie nogi i zaczął uderzać jedną stopą o drugą, żeby podtrzymać krążenie. Za drzewem było mniej zimno, bo nie czuł tutaj wiatru, ale wiedział, że niedługo trzeba będzie się zbierać.

Kiedy tak siedział w kucki rozcierając sobie nogi, usłyszał na szosie samochód. Jechał on na łańcuchach, szczękało naderwane ogniwo i kiedy stary patrzał, samochód ukazał się na ośnieżonej szosie, pomalowany w nierówne, zielone i brązowe płaty, z zamazanymi niebieską farbą szybami, przez które nie było widać, co jest w środku, gdyż pozostawiono na nich tylko małe półkola, ażeby jadący mogli wyglądać na zewnątrz. Był to osobowy Rolls-Royce sprzed dwóch lat, pomalowany na kolor ochronny i przeznaczony dla sztabu generalnego, ale o tym Anselmo nie wiedział. Nie mógł też zajrzeć do środka, gdzie siedzieli trzej oficerowie owinięci w peleryny — dwaj na głównym siedzeniu, a trzeci na strapontenie[50]. Wyglądał on właśnie przez szparę w niebieskiej farbie pokrywającej szybę, ale Anselmo tego nie wiedział. Jeden nie zobaczył drugiego.

Samochód przejechał po śniegu tuż przed Anselmem. Stary dojrzał zaczerwienionego z zimna kierowcę w stalowym hełmie; jego twarz i hełm wystawały z peleryny, w którą był owinięty. Dostrzegł też sterczącą lufę automatu, który trzymał siedzący obok ordynans. Potem samochód oddalił się szosą, a Anselmo wsunął rękę w

[50] strapontena – zapasowe, rozkładane siedzenie.

zanadrze, wyjął z kieszeni koszuli dwie kartki wyrwane z notesu Roberta Jordana i postawił znak przy rysunku wyobrażającym samochód.

Był to dziesiąty wóz, jaki tego dnia przejechał w górę szosy. Sześć już wróciło. Cztery były jeszcze na górze. Nie stanowiło to bynajmniej niezwykłego ruchu na tej drodze, ale Anselmo nie odróżniał Fordów, Fiatów, Opli, Renaultów i Citroenów sztabu dywizji, która obsadziła przełęcze i łańcuch górski, od Rolls-Royce'ów, Lancii, Mercedesów i Isott sztabu generalnego. Mógł je rozróżnić Robert Jordan i gdyby tam był na miejscu starego, doceniłby znaczenie jadących w górę samochodów. Ale nie było go, a stary po prostu stawiał na kartce z notesu kreskę po każdym samochodzie, jaki przejechał szosą.

Anselmo zziąbł już tak, że postanowił wracać do obozu, zanim się ściemni. Nie obawiał się zmylić drogi, ale uważał, że nie ma potrzeby tkwić tu dłużej, a wiatr był coraz zimniejszy i śnieg wcale nie ustawał. Jednakże kiedy się podniósł i tupiąc nogami spojrzał poprzez sypiący śnieg na szosę, nie ruszył pod górę, tylko oparł się o zasłoniętą od wiatru stronę drzewa.

Inglés kazał mi czekać — pomyślał. — Kto wie, czy już tu nie idzie, więc jeżeli stąd odejdę, może szukając mnie zabłądzić w tej śnieżycy. Przez całą tę wojnę skrupiał się na nas brak dyscypliny'! niesłuchanie rozkazów, więc jeszcze trochę poczekam na Inglésa. Ale jeżeli nie przyjdzie niedługo, będę musiał iść pomimo wszelkich rozkazów, bo mam już z czego zdać sprawę i dużo do roboty, a marznąć tutaj byłoby przesadą i rzeczą bezpożyteczną.

Z komina tartaku po drugiej stronie szosy dobywał się dym; Anselmo czuł jego woń, którą wiatr niósł poprzez śnieg ku niemu. Faszystom jest ciepło i wygodnie — pomyślał — a jutrzejszej nocy pozabijamy ich. Dziwne to i nieprzyjemnie mi o tym myśleć. Śledziłem ich przez cały dzień i widzę, że są takimi samymi ludźmi jak my. Myślę, że mógłbym podejść do tartaku i zapukać do drzwi, a oni byliby mi radzi, tyle że mają rozkaz zatrzymywać wszystkich podróżnych i sprawdzać ich papiery. Dzielą nas tylko rozkazy. Ci ludzie to nie faszyści. Ja ich tak zwę, ale oni nie są faszystami. To tacy sami biedacy jak my. Nie powinni byli walczyć przeciwko nam i nieprzyjemnie mi myśleć, że trzeba ich zabijać.

Ci z tej placówki są Gallegos. Poznałem to słysząc dziś po południu ich mowę. Nie mogą zdezerterować, bo za to rozstrzelano by ich rodziny. Gallegos bywają albo bardzo rozumni, albo też tępi i brutalni. Znałem i takich, i takich. Lister też jest Gallego, z tego samego miasta, co Franco. Ciekawym, co ci Gallegos myślą o śniegu w

tej porze roku. U siebie nie mają takich wysokich gór i w ich stronach stale padają deszcze i stale jest zielono.

W oknie tartaku błysnęła światło i Anselmo zadygotał i pomyślał: Niech licho porwie tego Inglésa! Oto tu, w naszych stronach, Gallegos siedzą sobie w cieple pod dachem, a ja marznę za drzewem i wszyscy mieszkamy w skalnej jamie niczym jakoweś górskie bestie. Ale jutro te bestie wyjdą z jamy i ci, którym jest teraz tam wygodnie, sczezną w cieple swych kołder. Tak jako sczeźli tamci onej nocy, kiedyśmy napadli na Otero — pomyślał. Nie lubił wspominać Otero.

To właśnie w Otero po raz pierwszy zabił człowieka i teraz miał nadzieję, że nie będzie już musiał zabijać przy likwidowaniu tych placówek. Wtedy, w Otero, Pablo dźgnął nożem wartownika, któremu Anselmo zarzucił koc na głowę. Żołnierz złapał Anselma za nogę i trzymał ją, zduszony w kocu, spod którego było słychać jego płaczliwy głos, i Anselmo musiał namacać go pod kocem i kłuć nożem, dopóki nie puścił nogi i nie znieruchomiał. Przycisnął mu gardło kolanem, żeby nie krzyczał, i dźgał jak w tłumok, a Pablo wrzucił granat przez okno do izby, gdzie spali żołnierze z placówki. I kiedy błysnęło, cały świat jakby wybuchnął przed oczami czerwono i żółto, a już zaraz dwa następne granaty wleciały do środka. Pablo wyrwał zawleczki i szybko wrzucił oba przez okno, i ci, co nie zginęli w łóżkach, padli zrywając się z nich, kiedy wybuchnął drugi granat. To działo się w owym okresie świetności Pabla, kiedy to szalał po kraju jak Tatar i żaden posterunek faszystowski nie był bezpieczny w nocy.

A teraz Pablo jest tak wykończony i do niczego jak skastrowany knur — myślał Anselmo. — Kiedy zakończy się kastrowanie, a kwik ucichnie, odrzuca się precz oba jądra, i taki knur, który już nie jest knurem, podchodzi ryjąc i węsząc i zżera je. Nie, nie jest z nim aż tak źle — uśmiechnął się Anselmo. — Można myśleć niesprawiedliwie nawet o Pablu. Ale paskudny jest i wielce się zmienił.

Za zimno się robi — pomyślał. — Żeby ten Inglés już przyszedł i żebym nie musiał zabijać, jak już się zacznie z tymi placówkami. Ci czterej Gallegos i ich kapral są dla tych, co lubią zabijać. Tak powiedział Inglés. Zrobię to, jeżeli taki będzie mój obowiązek, ale Inglés powiadał, że mam być z nim przy moście, i że to się zostawi innym. Przy moście będzie bitwa, a jeżeli potrafię wytrzymać bitwę, to uczynię już wszystko, co stary człowiek może uczynić w tej wojnie. Ale niech Inglés już przyjdzie, bo mi zimno, a jak widzę światło w tartaku, gdzie Gallegos siedzą w cieple, robi mi się jeszcze zimniej. Chciałbym znów być u siebie w domu i żeby ta wojna już się

skończyła. Tylko że teraz nie masz domu — pomyślał. — Na to, żebyś mógł kiedyś wrócić do domu, trzeba nam wygrać tę wojnę.

Wewnątrz tartaku jeden z żołnierzy siedział na pryczy i smarował tłuszczem buty. Drugi spał obok. Trzeci coś gotował, a kapral czytał gazetę. Ich hełmy wisiały na gwoździach, a karabiny stały oparte o drewnianą ściankę.

— Co to za kraj, żeby śnieg padał prawie w czerwcu! — odezwał się żołnierz siedzący na pryczy.

— To fenomen — odrzekł kapral.

— Mamy teraz księżyc maj — powiedział żołnierz, który gotował jedzenie. — Księżyc maj jeszcze się nie skończył.

— A cóż to za kraj, gdzie śnieg pada w maju? — powtórzył żołnierz siedzący na pryczy.

— W maju śnieg nie jest rzadkością w tych górach — rzekł kapral. — W Madrycie było mi zimniej w miesiącu maju niż kiedykolwiek.

— A i goręcej także — dodał żołnierz, który gotował. — Maj jest miesiącem dużych zmian temperatury — powiedział kapral. — Tutaj, w Kastylii, bywają w maju wielkie upały, ale i wielkie zimna.

— Albo deszcze — dokończył siedzący na pryczy. — Tego roku w maju lalo prawie co dzień.

— Wcale nie — odparł żołnierz, który gotował jedzenie. — A zresztą w maju był jeszcze księżyc kwiecień.

— Można zwariować z tymi twoimi księżycami — powiedział kapral. — Przestańże wciąż gadać o księżycach.

— Każdy, kto mieszka nad morzem czy na wsi, wie że liczą się nie miesiące, ale księżyce — odrzekł tamten. — Teraz na przykład ledwie weszliśmy w księżyc maj. A zachodzi on aż na czerwiec.

— To dlaczego nie spóźniamy się całkiem z porami roku? — zapytał kapral. — Łeb mnie rozbolał od twojego gadania.

— Wy jesteście z miasta — odrzekł żołnierz. — Z Luogo. Co możecie wiedzieć o morzu czy o wsi?

— W mieście człowiek więcej się dowiaduje niż wy, *analfabetos*, nad swoim morzem czy na wsi.

— W tym księżycu podpływają pierwsze ławice sardynek — powiedział żołnierz, który gotował. — Teraz rybacy szykują łodzie na sardynki, a makrela odciąga na północ.

— Czemu nie służysz w marynarce, jeżeli pochodzisz z Noya? — zapytał kapral.

— Bo mnie wpisali na listę poborową nie w Noya, a w Negreira, gdzie się rodziłem. A z Negreira, która leży nad rzeką Tambre, biorą do armii.

— To pech — powiedział kapral.

— Nie myślcie, że w marynarce nie ma niebezpieczeństwa — odezwał się żołnierz siedzący na pryczy. — Nawet jeżeli nie grozi walka, to przy tych wybrzeżach jest niebezpiecznie w zimie.

— Nie może być nic gorszego od armii — odparł kapral.

— I wy jesteście kapralem! — powiedział żołnierz, który gotował. — Co to za gadanie?

— Nie — odparł kapral. — Mnie idzie o niebezpieczeństwo. O te bombardowania, o to, że trzeba atakować, o życie w okopach.

— Tu mało tego mamy — powiedział żołnierz siedzący na pryczy.

— Bóg łaskaw — odrzekł kapral. — Ale kto wie, kiedy to znów na nas spadnie? Z pewnością nie zawsze będzie nam się tak dobrze działo, jak teraz!

— Myślicie, że długo jeszcze będziemy pełnić tę służbę?

— A bo ja wiem? — odparł kapral. — Ale chciałbym, żeby do końca wojny.

— Sześć godzin to za długa zmiana — powiedział żołnierz, który gotował.

— Póki ta burza trwa, będziemy pełnić warty trzygodzinne — rzekł kapral. — To jest całkiem normalne.

— Co znaczą te wszystkie wozy sztabowe? — zapytał siedzący na pryczy. — Mnie się one nie podobały.

— Ani mnie — odparł kapral. — Wszystkie takie rzeczy źle wróżą.

— No i lotnictwo — wtrącił żołnierz, który gotował. — Lotnictwo to jeszcze jeden zły znak.

— Ale my mamy potężne lotnictwo — rzekł kapral. — Czerwoni takiego nie mają. Te samoloty dziś rano mogły każdego uradować.

— Ja już widziałem czerwone samoloty, kiedy to było coś poważnego — powiedział żołnierz siedzący na pryczy. — Widziałem te dwumotorowe bombowce w takiej chwili, że straszno było wytrzymać.

— Owszem, ale nie są takie potężne jak nasze — odparł kapral. — My mamy niezwyciężone lotnictwo.

Tak oni rozmawiali w tartaku, podczas gdy Anselmo czekał na śniegu obserwując szosę i światło w oknie.

Mam nadzieję, że nie będę musiał zabijać — myślał. — Widzi mi się, że po wojnie przyjdzie odprawić jakąś wielką pokutę za to zabijanie. Jeżeli po wojnie nie będziemy już mieli religii, to chyba urządzą taką czy inną obywatelską pokutę, ażeby wszyscy mogli oczyścić się z zabijania, bo inaczej nigdy nie będziemy mieli rzetelnej i ludzkiej podstawy życia. Wiem, że zabijanie jest konieczne, ale jednak bardzo niedobre dla człowieka, i myślę, że kiedy to już się zakończy i wygramy wojnę, musi przyjść jakaś pokuta dla oczyszczenia nas wszystkich.

Anselmo był bardzo dobrym człowiekiem i kiedy na dłużej zostawał sam — a większość czasu spędzał w samotności — powracał mu zawsze na myśl ten problem zabijania.

Ciekawym, jak to jest z Inglésem — pomyślał. — Mówił mi, że jemu to nie przeszkadza. A przecie widzi mi się, że jest wrażliwy i dobry. Możliwe, że dla młodych to nie ma znaczenia. Możliwe, że cudzoziemcy albo ci, co nie wyznawali naszej religii, inaczej do tego podchodzą. Ale myślę, że każdy, kto to robi, musi się z czasem rozbestwić i chociaż to konieczne, przecie jest chyba wielkim grzechem i potem trzeba uczynić coś bardzo mocnego, ażeby go zmazać.

Było już ciemno; popatrzał na światło za szosą i począł zabijać w ręce, aby się rozgrzać. Pomyślał, że teraz już na pewno pójdzie do obozu, ale coś go trzymało tam, przy tym drzewie nad drogą. Śnieg padał gęściej i Anselmo pomyślał: Gdybyśmy mogli wysadzić ten most dziś w nocy! W taką noc zdobycie placówek i wysadzenie mostu byłoby fraszką, a przynajmniej już by się to miało za sobą. W taką noc można zrobić wszystko.

Stał oparty o drzewo, przytupywał z lekka i nie myślał więcej o moście. Nadejście mroku zawsze budziło w nim uczucie samotności, a dzisiaj czul się tak samotny, że aż go coś drążyło w środku niczym głód. Dawniej mógł na to zaradzić odmawianiem modlitw i często wracając z polowania do domu powtarzał wielokrotnie

tę samą modlitwę i wtedy robiło mu się lżej. Jednakże od czasu ruchu nie pomodlił się ani razu. Brakowało mu modlitw, ale uważał, że odmawianie ich byłoby czymś nieuczciwym i nieszczerym, i nie chciał prosić o żadne łaski ani o inny los niż ten, który czekał wszystkich.

Nie — pomyślał. — Jestem samotny, ale równie samotni są wszyscy żołnierze i żony żołnierzy, i ci, co utracili rodziny i bliskich. Nic mam żony, alem rad, że pomarła jeszcze przed ruchem. Bo ona by tego nie zrozumiała. Nie mam dzieci i już nigdy nie będę ich miał. Jestem samotny za dnia, kiedy nic nie robię, jednakże dopiero ze zmrokiem przychodzi pora wielkiej samotności. Ale mam jedną rzecz, której nie może mi odebrać żaden człowiek ani żaden Bóg, a mianowicie to, żem uczciwie pracował dla Republiki. Pracowałem ciężko dla tego dobra, w którym później wszyscy będziemy mieli swój udział. Od pierwszej chwili ruchu robiłem, com tylko mógł, i nie uczyniłem nic, czego bym się wstydził.

Żałuję tylko jednego: zabijania. Ale z pewnością będzie można za to odpokutować, bo za taki grzech, który obciąża tak wielu, muszą wynaleźć jakieś sprawiedliwe zadośćuczynienie. Chciałbym pogadać o tym z Inglésem, ale możliwe, że nie zrozumie, bo jest miody. Wspomniał już coś o zabijaniu. Czy może to ja sam o tym wspomniałem? Musiał wiele zabijać, ale nie widać po nim, żeby to lubił. W tych, co to lubią, jest zawsze zgnilizna.

To prawdziwie musi być wielki grzech — pomyślał. — Boć przecie tego właśnie na pewno nie mamy prawa robić, choć wiem, że czasem trzeba. Ale w Hiszpanii robią to za łatwo i często bez rzetelnej potrzeby, i dużo bywa pochopnych a niesprawiedliwych czynów, których już potem nie można naprawić. Wolałbym tyle o tym nie myśleć. Chciałbym, żeby była jakaś pokuta, którą można by zacząć już teraz, bo ze wszystkiego, com w życiu uczynił, to jedno mi doskwiera, kiedy zostaję sam. Wszystko inne już jest wybaczone albo też miało się możność zadośćuczynić za to dobrocią czy w jakiś inny godziwy sposób. A myślę, że zabijanie musi być bardzo wielkim grzechem, i chciałbym to wynagrodzić. Później może naznaczą jakieś dni, kiedy człowiek będzie mógł pracować dla państwa albo robić coś innego, żeby to zmazać. Możliwe, że będzie się dawało ofiarę jak za czasów Kościoła — pomyślał i uśmiechnął się. Kościół był dobrze zorganizowany w rzeczach grzechu. Ta myśl spodobała mu się i właśnie uśmiechał się w ciemnościach, kiedy podszedł do niego Robert Jordan. Zbliżył się cicho i stary dojrzał go dopiero, kiedy stanął przed nim.

— *Hola, viejo*[51] — szepnął Robert Jordan i poklepał go po plecach. — Jak tam, stary?

— Okrutnie zimno — odrzekł Anselmo. Fernando stal nieco dalej, obrócony plecami do sypiącego śniegu.

— Chodźcie — szepnął Robert Jordan. — Idźcie do obozu i rozgrzejcie się. To była zbrodnia, trzymać was tutaj tak długo.

— Tam pali się ich światło — pokazał Anselmo.

— A gdzie posterunek?

— Stąd go nie widać. Stoi za zakrętem.

— Niech go szlag trafi. Opowiecie mi w obozie — rzekł Robert Jordan. — Chodźcie, idziemy.

— Pozwólcie pokazać — rzekł Anselmo.

— Przyjdę zobaczyć rano — powiedział Robert Jordan. — Macie, łyknijcie sobie.

Podał staremu flaszkę. Anselmo przechylił ją i pociągnął łyk.

— Aiii! — syknął i potarł usta. — To ogień!

— Chodźcie — powtórzył w mroku Robert Jordan. — Idziemy.

Zrobiło się tak ciemno, że widać było tylko przelatujące płatki śniegu i twardą czerń pni sosen. Fernando stał nieco wyżej na stoku. Patrz na tego Indianina z reklamy cygar — pomyślał Robert Jordan. Właściwie powinienem go także poczęstować.

— Hej, Fernando — powiedział podchodząc do niego. — Łykniecie sobie?

— Nie — odrzekł Fernando. — Dziękuję.

To ja ci dziękuję — pomyślał Robert Jordan. — Dobrze, że Indianie z reklamy cygar nie piją. Bo już nie za dużo tego zostało. Oj, ale się cieszę, że widzę starego! — pomyślał. Popatrzał na Anselma i znowu klepnął go w plecy, kiedy ruszyli pod górę.

— Rad jestem, że was widzę, *viejo* — powiedział. — Kiedy mi ciężko na duchu, wystarczy, żebym was zobaczył, a zaraz mi weselej. No, chodźcie prędzej.

Szli w śniegu pod górę.

— Wracamy do pałacu Pabla — rzekł do Anselma Robert Jordan. Wspaniale to brzmiało po hiszpańsku.

---

[51] viejo (hiszp.) - stary.

— *El Palacio del Miedo* — odparł Anselmo. — Do Pałacu Strachu.

— *La cueva de los huevos perdidos* — dorzucił wesoło Robert Jordan. — Do jaskini utraconych jaj.

— Jakich jaj? — zapytał Fernando.

— To dowcip — odparł Robert Jordan. — Tylko dowcip. Nie takich jaj, no wiecie. Tych drugich.

— Ale dlaczego utraconych? — spytał Fernando.

— Czy ja wiem — odrzekł Robert Jordan. — Zajrzyjcie do książki, to się dowiecie. Spytajcie Pilar. — Potem objął Anselma za ramię, przytrzymał mocno i potrząsnął nim idąc. — Słuchajcie — powiedział. — Cieszę się, że was widzę, słyszycie? Nie macie pojęcia, co to znaczy znaleźć w tym kraju kogoś na tym samym miejscu, gdzie go się zostawiło.

Fakt, że mógł powiedzieć coś krytycznego na temat kraju, był dowodem wielkiej zażyłości i zaufania.

— I ja się cieszę, że cię widzę — odrzekł Anselmo. — Ale już miałem iść.

— Akurat byście poszli, jak cholera! — powiedział wesoło Robert Jordan. — Prędzej byście zamarzli.

— A co słychać na górze? — zapytał Anselmo.

— W porządku. Wszystko w porządku — odparł Robert Jordan.

Czuł ową nagłą, rzadką radość, jakiej może zaznać ten, kto dowodzi w rewolucyjnej armii: radość ze stwierdzenia, że choćby jedno skrzydło się trzyma. Gdyby kiedykolwiek utrzymały się obydwa, byłoby to chyba za wiele szczęścia — pomyślał. — Nie wiem, kto mógłby znieść coś podobnego. A każde skrzydło sprowadza się w końcu do jednego człowieka. Tak, jednego człowieka. Nie o ten aksjomat mu chodziło. Ale ten człowiek był dobry. Jeden dobry. Jak dojdzie do bitwy, ty będziesz moim lewym skrzydłem — pomyślał. — Lepiej jeszcze ci tego nie mówić. Tylko to będzie strasznie mała bitwa — myślał. — Ale i strasznie udana. Cóż, zawsze chciałem stoczyć własną bitwę. Zawsze miałem wyrobione zdanie o tym, co się komu w której nie udało, poczynając od bitwy pod Agincourt[52]. Muszę się postarać, żeby ta dobrze wypadła. Będzie niewielka, ale wyborowa. Jeżeli przyjdzie mi zrobić to, co przypuszczam, będzie rzeczywiście wyborowa.

[52] Słynna bitwa pod Agincourt w płn. Francji, gdzie w 1415 r. Henryk V, król Anglii, na czele swego rycerstwa rozgromił przewyższające trzykrotnie jego siły wojska francuskie.

— Słuchajcie — powiedział do Anselma. — Strasznie się cieszę, że was widzę.

— A ja, że widzę ciebie — odrzekł stary.

Kiedy w ciemnościach, pośród zawiei, wspinali się na zbocze mając wiatr w plecy, Anselmo nie czuł się już samotny. Nie był samotny od chwili, gdy Inglés poklepał go po ramieniu. Inglés był kontent, rozradowany i obaj rozmawiali wesoło. Inglés powiedział, że wszystko dobrze, więc stary nie martwił się o nic. Trunek rozgrzewał mu żołądek, a stopy także zagrzały się w marszu.

— Na szosie niewiele się działo — powiedział do Inglésa.

— Dobra — odrzekł Inglés. — Pokażecie mi na miejscu.

Anselmo był szczęśliwy i bardzo zadowolony, że wytrwał na swoim posterunku.

Gdyby wrócił do obozu, byłoby to zupełnie w porządku — myślał Robert Jordan. — Zrobiłby rzecz rozumną i właściwą w takich okolicznościach. Ale został na miejscu, tak jak mu kazano. To jest coś, co w Hiszpanii zdarza się najrzadziej. Pozostanie na miejscu podczas burzy odpowiada w pewnym sensie wielu rzeczom. Nie na darmo Niemcy nazywają atak słowem oznaczającym burzę. Z całą pewnością przydałoby mi się jeszcze paru takich, co potrafiliby zostać. Nie ma dwóch zdań. Ciekaw jestem, czy ten Fernando by został. Zupełnie możliwe. Ostatecznie on sam zaproponował dopiero co, że ze mną pójdzie. Myślisz, że by został? To byłoby niezłe. Po prostu jest na to wystarczająco uparty. Trzeba będzie popytać się o niego. Ciekawe, co ten Indianin z reklamy cygar myśli sobie w tej chwili.

— O czym myślicie, Fernando? — zapytał Robert Jordan.

— Dlaczego pytacie?

— Z ciekawości — odrzekł Robert Jordan. — Jestem człowiekiem bardzo ciekawym z natury.

— Myślałem o kolacji — powiedział Fernando.

— Lubicie jeść?

— Tak. Bardzo.

— Jak Pilar gotuje?

— Średnio — odpowiedział Fernando. To drugi Coolidge — pomyślał Robert Jordan. — Ale jednak coś mi mówi, że by został.

Wszyscy trzej brnęli pod górę wśród śniegu.

XVI

Był tu El Sordo — powiedziała Pilar do Roberta Jordana. Z zawiei weszli do ciepłej, zadymionej jaskini i kobieta dała mu głową znak, żeby się zbliżył. — Poszedł szukać koni.

— Dobra. Zostawił dla mnie jakąś wiadomość?

— Tylko tyle, że poszedł po konie.

— A co u nas?

— *No sé*[53] — odrzekła. — Spójrz na tamtego.

Robert Jordan wchodząc zobaczył Pabla, który uśmiechnął się do niego. Teraz spojrzał na Roberta Jordana znad stołu, wyszczerzył zęby i pomachał ręką.

— Inglés! — zawołał. — Wciąż pada, Inglés.

Robert Jordan kiwnął mu głową.

— Daj swoje trepy, to ci wysuszę — odezwała się Maria. — Powieszę je tu w dymie nad ogniem.

— Uważaj, żeby ich nie spalić — powiedział Robert Jordan. — Nie mam ochoty chodzić na bosaka. Co się tu dzieje? — obrócił się do Pilar. — Czy to jakieś zebranie? Nie wystawiliście żadnych posterunków?

— W taką zawieruchę? *Qué va*.

W jaskini było sześciu mężczyzn, którzy siedzieli za stołem albo stali oparci o ścianę. Anselmo i Fernando jeszcze strząsali śnieg z kurt, otrzepywali spodnie i ocierali Stopy o ścianę przy wejściu.

— Daj swoją kurtkę — powiedziała Maria. — Żeby śnieg na niej nie topniał.

Robert Jordan ściągnął kurtkę, otrzepał śnieg ze spodni i rozwiązał trepy.

— Wszystko mi tutaj zamoczysz — powiedziała Pilar.

— Przecież sama mnie zawołałaś.

— Co nie przeszkadza, że mogłeś wrócić do wejścia i tam się otrzepać.

— Przepraszam — powiedział Robert Jordan stając boso na klepisku. — Poszukaj mi skarpetek, Maria.

— Pan i władca — mruknęła Pilar i wetknęła szczapę w ogień.

[53] No sé (hiszp.) - Nie wiem.

— *Hay que aprovechar el tiempo* — odparł Robert Jordan. — Trzeba korzystać z chwili.

— Zamknięte — powiedziała Maria.

— Masz klucz — rzucił go jej.

— Nie pasuje do tego plecaka.

— Są w tym drugim. Na samym wierzchu, z boku.

Dziewczyna znalazła skarpetki, zamknęła plecak i przyniosła je razem z kluczem.

— Siądź, włóż je i dobrze rozetrzyj stopy — powiedziała.

Robert Jordan uśmiechnął się do niej.

— Nie mogłabyś osuszyć mi stóp włosami? — zapytał głośno, tak żeby Pilar usłyszała.

— Co za świnia! — zawołała Pilar. — Najpierw robi z siebie pana jaśnie wielmożnego, a teraz samego eks-Pana Naszego. Daj mu po łbie kawałkiem drewna, Maria.

— Nie — odparł Robert Jordan. — Żartuję, bo jestem kontent.

— Kontent jesteś?

— Aha. Uważam, że wszystko idzie świetnie.

— Roberto — powiedziała Maria. — Usiądź, wytrzyj sobie nogi, a ja ci przyniosę coś do wypicia na rozgrzewkę.

— Myślałby kto, że jeszcze nigdy nóg nie zamoczył — rzekła Pilar. — Ani że dotąd nie padł na niego płatek śniegu.

Maria przyniosła owczą skórę i położyła ją na klepisku.

— Masz — powiedziała. — Trzymaj na tym nogi, póki ci trepy nie wyschną.

Skóra była świeżo wysuszona, nie garbowana, i kiedy Robert Jordan oparł na niej stopy w skarpetkach, poczuł, że trzeszczy jak pergamin.

Ogień dymił i Pilar zawołała do Marii:

— Rozdmuchaj ogień, leniuchu. Tu nie wędzarnia.

— Sama rozdmuchaj — odparła Maria. — Ja szukam tej butelki, którą zostawił El Sordo.

— Jest tam za plecakami — rzekła Pilar. — Musisz na niego tak chuchać jak na oseska?

— Nie — odpowiedziała Maria. — Jak na mężczyznę, który zmarzł i przemókł. I który właśnie wrócił do domu. Proszę. — Przyniosła butelkę Robertowi Jordanowi. — To jest ta sama, co w południe. Z tej butelki można by zrobić piękną lampę. Co za lampę zrobimy z niej, jak znów będziemy mieli elektryczność! — Z zachwytem przyjrzała się butelce. — Jak to chcesz wypić, Roberto?

— Myślałem, że jestem Inglés — powiedział Robert Jordan.

— Przy innych nazywam cię Roberto — powiedziała zniżonym głosem i zarumieniła się. — Jak chcesz to wypić, Roberto?

— Roberto — odezwał się chrapliwie Pablo kiwając głową do Roberta Jordana. — Jak chcesz to wypić, don Roberto?

— A wy chcecie trochę? — zapytał go Robert Jordan.

Pablo potrząsnął głową. — Ja się upijam winem — powiedział z godnością.

— To idź do Bachusa! — rzekł Robert Jordan po hiszpańsku.

— Kto to jest Bachus? — zapytał Pablo.

— Taki twój kolega.

— Nigdy o nim nie słyszałem — rzekł ociężale Pablo. — W tych górach takiego nie było.

— Daj kubek Anselmowi — powiedział Robert Jordan do Marii. — Bo on najbardziej przemarzł.

Nakładał suche skarpetki, a whisky zmieszana w kubku z wodą miała czysty, delikatnie rozgrzewający smak. A jednak nie faluje w człowieku tak jak absynt — pomyślał. — Nie ma to jak absynt.

Kto by przypuszczał, że tu będą mieli whisky! — myślał. — Chociaż, jak się nad tym zastanowić, to z całej Hiszpanii najłatwiej dostać ją właśnie w La Granja. Pomyśleć, że taki Sordo wyszukuje butelkę dla przychodzącego w odwiedziny dynamitarda, a potem pamięta, żeby ją przynieść tu i zostawić! To nie jest u nich tylko kurtuazja. Kurtuazją byłoby wyciągnąć butelkę i oficjalnie wypić po szklaneczce. Tak postąpiliby Francuzi, a to, co by zostało, schowaliby na inną okazję. Nie; ta prawdziwa dbałość, która każe pomyśleć, że to będzie miłe gościowi, a potem przynieść butelkę, żeby mu sprawić przyjemność, kiedy samemu ma się na głowie coś, co daje wszelkie prawo do myślenia wyłącznie o sobie i o tym, co trzeba zrobić — to jest prawdziwie hiszpańskie. To jeden rodzaj hiszpańskości — pomyślał. — Ta myśl o przyniesieniu whisky jest jedną z przyczyn, dla których kocha się tych ludzi. Tylko nie zaczynaj ich

uromantyczniać — pomyślał. — Istnieje tyleż odmian Hiszpanów, co i Amerykanów. Ale jednak to przyniesienie whisky było bardzo ładne.

— Smakuje wam? — zapytał Anselma.

Stary siedział uśmiechnięty przed ogniem, trzymając kubek w wielkich dłoniach. Potrząsnął głową.

— Nie? — spytał Robert Jordan.

— Mała dolała do tego wody — powiedział Anselmo.

— Bo tak pije Roberto — odparła Maria. — A co, ty jesteś lepszy?

— Nie — odrzekł Anselmo. — Wcale nie lepszy. Ale lubię, jak mnie pali, kiedy spływa do gardła.

— Daj mi ten kubek — powiedział do dziewczyny Robert Jordan — a jemu nalej tego, co pali.

Przelał zawartość kubka Anselma do swojego i oddał pusty dziewczynie, która ostrożnie nalała whisky z butelki.

— O! — rzekł Anselmo. Wziął kubek, odchylił głowę do tyłu i wlał sobie trunek do gardła. Popatrzał na Marię, która stała przed nim z butelką, i mrugnął do niej, a z oczu pociekły mu łzy.

— O to, to — powiedział i oblizał się. — To zabija tego robaka, co nas gryzie.

— Roberto — rzekła Maria i podeszła trzymając butelkę. — Chcesz teraz coś zjeść?

— A już gotowe?

— Będzie, kiedy zechcesz.

— Inni już jedli?

— Wszyscy prócz ciebie, Anselma i Fernanda.

— To jedzmy — powiedział. — A ty?

— Ja potem, z Pilar.

— Zjedz teraz z nami.

— Nie. To nie byłoby jak należy.

— No chodź, zjedz. W moim kraju mężczyzna nie jada przed swoją kobietą.

— To w twoim kraju. Tutaj lepiej jeść później.

— Jedz z nim — odezwał się Pablo spoglądając znad stołu. — Jedz z nim. Pij z nim. Śpij z nim. Umrzyj z nim. Postępuj tak, jak każą obyczaje jego kraju.

— Wyście pijani? — zapytał Robert Jordan stając przed Pablem. Brudny, obrośnięty mężczyzna popatrzał na niego z zadowoleniem.

— Tak — odpowiedział. — Gdzie jest ten twój kraj, Inglés, w którym kobiety jadają z mężczyznami?

— W Estados Unidos. W stanie Montana.

— Czy to tam mężczyźni noszą spódnice, jak kobiety?

— Nie, to w Szkocji.

— Ale słuchaj, Inglés — powiedział Pablo. — Jak nosisz taką spódnicę...

— Kiedy nie noszę — przerwał mu Robert Jordan.

— Jak nosisz taką spódnicę — ciągnął Pablo — to co masz pod spodem?

— Nie wiem, co mają Szkoci — odparł Robert Jordan. — Sam się zastanawiałem.

— Nie Escoceses — powiedział Pablo. — Kogo obchodzą Escoceses? Kogo może obchodzić coś, co ma taką dziwaczną nazwę? Bo mnie nie. Ale wy, Inglés. Wy, powiadam. Co nosicie pod spódnicą w waszym kraju?

— Już dwa razy mówiłem, że nie nosimy spódnic — powiedział Robert Jordan. — Ani po pijanemu, ani dla kawału.

— Ale pod spódnicą — upierał się Pablo. — Jako że dobrze wiadomo, iż nosicie spódnice. Nawet żołnierze. Widziałem na fotografiach a także w cyrku. Co macie pod spódnicą, Inglés?

— *Los cojones*[54] — odpowiedział Robert Jordan.

Anselmo roześmiał się, roześmieli się też pozostali, którzy słuchali rozmowy; wszyscy, z wyjątkiem Fernanda. Dźwięk tego słowa, ordynarnego słowa wypowiedzianego w obecności kobiet, obrażał jego uszy.

— No, to jest normalne — rzekł Pablo. — Ale mnie się widzi, że gdybyście naprawdę mieli *cojones*, nie nosilibyście spódnic.

— Nie pozwólcie mu znowu zaczynać, Inglés — odezwał się mężczyzna o płaskiej twarzy i złamanym nosie, nazywany Primitivo. — Upił się. Powiedzcie lepiej, co hodują w waszym kraju.

— Krowy i owce — odrzekł Robert Jordan. — Uprawiają też dużo żyta i fasoli. I buraki cukrowe.

---

[54] Los cojones (hiszp.) - jądra.

Wszyscy trzej usiedli przy stole, a reszta przysunęła się także, z wyjątkiem Pabla, który siedział na uboczu przed misą z winem. Na kolację było to samo duszone mięso, co poprzedniego wieczora, i Robert Jordan jadł je z apetytem.

— A w waszym kraju są góry? Pewnie są, jeżeli ma taką nazwę? — zapytał uprzejmie Primitivo, aby podtrzymać rozmowę. Był zakłopotany tym, że Pablo się upił.

— Dużo gór i to bardzo wysokich.

— Macie dobre pastwiska?

— Doskonałe; na lato są górskie pastwiska w lasach rządowych. Potem, jak przyjdzie jesień, sprowadza się bydło na niziny.

— Czy u was ziemia należy do chłopów?

— Większość ziemi należy do tych, co na niej gospodarują. Początkowo była własnością państwa i jak ktoś się na niej osiedlił i zadeklarował chęć jej uprawiania, mógł uzyskać tytuł własności do stu pięćdziesięciu hektarów.

— Powiadajcie, jak to się odbywa — rzekł Anselmo. — Taka reforma rolna to jest coś.

Robert Jordan przedstawił im system osadnictwa. Nigdy dotąd nie myślał o tym jako o reformie rolnej.

— To wspaniale — rzekł Primitivo. — Więc w waszym kraju jest komunizm?

— Nie. To się dzieje w republice.

— Po mojemu wszystko da się zrobić w republice — powiedział Agustin. — Nie widzę potrzeby innego ustroju.

— A nie macie u siebie obszarników? — zapytał Andrés.

— Bardzo wielu.

— To muszą być nadużycia.

— Oczywiście. Jest wiele nadużyć.

— Ale je usuniecie?

— Staramy się coraz bardziej. Mimo to jest jeszcze wiele nadużyć.

— Ale nie ma dużych majątków, które trzeba by rozparcelować?

— Są. Niektórzy uważają, że da się je rozbić podatkami.

— Jak?

Robert Jordan, wycierając sos z miski kawałkiem chleba, wyjaśnił działanie podatku dochodowego i spadkowego.

— Ale duża własność ziemska pozostaje. Prócz tego są jeszcze podatki gruntowe — powiedział.

— To z pewnością wielcy obszarnicy i bogacze zrobią bunt przeciwko tym podatkom. Bo mnie się widzi, że takie podatki są rewolucyjne. Więc jak tamci zobaczą, że są zagrożeni, zbuntują się przeciwko rządowi, akuratnie jak u nas faszyści — rzeki Primitivo.

— Możliwe.

— Wtedy będziecie musieli się bić w waszym kraju, tak jak my bijemy się tutaj.

— Tak, będziemy musieli się bić.

— Ale u was nie ma wielu faszystów?

— Jest wielu takich, co sami nie wiedzą, że są faszystami, ale odkryją to, jak przyjdzie czas.

— A nie możecie ich zniszczyć, zanim się zbuntują?

— Nie — odparł Robert Jordan. — Zniszczyć ich nie możemy. Ale możemy wychowywać ludzi tak, żeby lękali się faszyzmu i potrafili rozpoznać go i zwalczyć, kiedy podniesie głowę.

— A wiecie, gdzie nie ma faszystów? — zapytał Andrés.

— No gdzie?

— W mieście Pabla — odparł Andrés szczerząc zęby.

— Słyszeliście, co zrobiono w tym miasteczku? — zapytał Primitivo.

— Tak, słyszałem.

— Od Pilar?

— Tak.

— Nie mogliście słyszeć od niej wszystkiego — odezwał się ociężale Pablo. — Samego zakończenia nie widziała, bo spadła z krzesła pod oknem.

— To mu opowiedz, co się wtedy stało — rzekła Pilar. — Powiedz sam, jeżeli ja nie wiem.

— Nie — odparł Pablo. — Nigdy tego nie opowiadałem.

— I nie opowiesz — dodała Pilar. — A teraz żałujesz, że to się stało.

— Nie — odrzekł Pablo. — To nieprawda. Gdyby wszyscy wybili faszystów tak jak ja, nie mielibyśmy tej wojny. Ale teraz nie zrobiłbym tego w ten sposób.

— Czemu to mówisz? — zapytał Primitivo. — Może zmieniasz poglądy?

— Nie. Tylko to było barbarzyństwo — rzekł Pablo. — W owym czasie byłem wielce barbarzyński.

— A teraz jesteś pijany — dodała Pilar.

— Tak — odparł Pablo. — Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

— Wolałam cię, kiedy byłeś barbarzyński — powiedziała kobieta. — Ze wszystkich mężczyzn pijak jest najwstrętniejszy. Złodziej, kiedy nie kradnie, jest taki sam jak każdy człowiek. Szantażysta nie krzywdzi swoich. Morderca może w domu obmyć sobie ręce. Ale pijak śmierdzi i rzyga we własne łóżko, i rozpuszcza sobie wnętrzności w alkoholu.

— Ty jesteś kobieta i nic nie rozumiesz — powiedział spokojnie Pablo. — Upiłem się winem i byłbym całkiem szczęśliwy, gdyby nie ci ludzie, których pozabijałem. Bo oni napełniają mnie smutkiem — ponuro pokiwał głową.

— Dajcie mu trochę tego, co przyniósł Sordo — powiedziała Pilar. — Dajcie mu coś, żeby go rozruszać. Robi się taki smętny, że to nie do zniesienia.

— Przywróciłbym im życie, gdybym mógł — rzekł Pablo.

— Odplugaw się — powiedział Agustin. — Gdzie my jesteśmy?

— Przywróciłbym ich wszystkich do życia — powtórzył smutnie Pablo. — Co do jednego.

— Twoją matkę! — wrzasnął na niego Agustin. — Przestań tak gadać, albo wynoś się stąd. Ci, których zabiłeś, to byli faszyści.

— Słyszałeś, com powiedział — odparł Pablo. — Wszystkich ich przywróciłbym do życia.

— A potem chodziłbyś po wodzie — odezwała się Pilar. — Jak żyję nie widziałam takiego człowieka. Jeszcze do wczoraj miałeś jakieś resztki męskości, ale dziś tyle z ciebie zostało, że nie starczyłoby na chorego kota. Mimo to jesteś szczęśliwy w tym swoim opilstwie.

— Trzeba nam było zabić wszystkich albo żadnego — kiwnął głową Pablo. — Wszystkich albo żadnego.

— Słuchajcie, Inglés — rzekł Agusrin. — Skąd wyście się wzięli w Hiszpanii? Nie zwracajcie uwagi na Pabla. Spił się.

— Po raz pierwszy przyjechałem tu przed dwunastu laty, żeby poznać kraj i język — odpowiedział Robert Jordan. — Wykładam hiszpański na uniwersytecie.

— Nie bardzo wyglądacie na profesora — rzeki Primitivo.

— Bo nie ma brody — wtrącił Pablo. — Przyjrzyjcie mu się. Nie ma brody.

— Wyście naprawdę profesor?

— Wykładowca.

— Ale uczycie?

— Tak.

— Tylko czemu hiszpańskiego? — spytał Andrés. — Nie łatwiej by wam było uczyć angielskiego, skoroście Anglik?

— On mówi po hiszpańsku tak jak my — wtrącił Anselmo. — Dlaczego nie miałby uczyć hiszpańskiego?

— Owszem. Ale właściwie to jest zarozumialstwo ze strony cudzoziemca, uczyć po hiszpańsku — odezwał się Fernando. — Ja tego nie mówię przeciwko wam, don Roberto.

— On jest podrabiany profesor — rzekł Pablo, bardzo zadowolony z siebie. — Bo nie ma brody.

— Z pewnością lepiej znacie angielski — powiedział Fernando. — Czy nie było wam łatwiej, lepiej i prościej uczyć angielskiego?

— Przecież on nie uczy Hiszpanów... — zaczęła Pilar.

— Ja myślę! — przerwał Fernando.

— Dajże mi skończyć, ty mule! — powiedziała Pilar. — Uczy po hiszpańsku Amerykanów. Północnych Amerykanów.

— To oni nie znają hiszpańskiego? — zapytał Fernando. — Bo południowi znają.

— Słuchaj, mule — ciągnęła Pilar. — On uczy hiszpańskiego północnych Amerykanów, którzy mówią po angielsku.

— Tak czy owak uważam, że łatwiej by mu było uczyć angielskiego, jeżeli to jest jego język — oświadczył Fernando.

— Nie słyszysz, że mówi po hiszpańsku? — zapytała Pilar potrząsając ze zniechęceniem głową do Roberta Jordana.

— Owszem. Ale z akcentem.

— Jakim? — zapytał Robert Jordan.

— Z Estremadury — odpowiedział godnie Fernando.

— O, matko! — westchnęła Pilar. — Co za ludzie!

— To możliwe — powiedział Robert Jordan. — Bo właśnie stamtąd przychodzę.

— O czym on dobrze wie — dokończyła Pilar. — Ty, stara panno — obróciła się do Fernanda. — Najadłeś się do syta?

— Mógłbym zjeść więcej, gdyby było pod dostatkiem jedzenia — odparł Fernando. — A wy, don Roberto, nie myślcie, że chcę coś na was powiedzieć.

— *Leche!* Mleko! — zaklął krótko Agustin. — I jeszcze raz mleko! Czy po to robimy rewolucję, żeby gadać „don Roberto" do towarzysza?

— Po mojemu rewolucja jest na to, żeby każdy mógł mówić „don" do każdego — odparł Fernando. — Tak powinno być pod Republiką.

— Mleko! — powtórzył Agustin. — Czarne mleko!

— I mimo wszystko uważam, że don Robertowi byłoby łatwiej i prościej uczyć angielskiego.

— Don Roberto nie ma brody — odezwał się Pablo. — I jest podrabianym profesorem.

— Jak to, nie mam brody? — zapytał Robert Jordan. — A to co? — dotknął szczęki i policzków pokrytych jasną trzydniową szczeciną.

— To nie jest broda — odrzekł Pablo potrząsając głową. — To nie broda. — Powiedział to niemal jowialnie. — On jest podrabiany profesor.

— Fajdam w mleko was wszystkich! — zaklął Agustin. Istny dom wariatów.

— Powinieneś sobie popić — rzekł Pablo. — Mnie wszystko wydaje się normalne. Z wyjątkiem tego, że don Roberto nie ma brody.

Maria dotknęła dłonią policzka Roberta Jordana.

— Ma brodę — powiedziała do Pabla.

— Ty to wiesz najlepiej — odrzekł Pablo, a Robert Jordan popatrzał na niego.

Nie zdaje mi się, żeby był tak bardzo pijany — pomyślał. — Nie, wcale nie tak bardzo. Chyba lepiej mieć się na baczności.

— Słuchaj — zwrócił się do Pabla. — Myślisz, że ten śnieg długo będzie tak padał?

— A ty jak przypuszczasz?

— Ciebie pytałem.

— Spytaj kogo innego — odparł Pablo. — Ja nie jestem twoją służbą informacyjną. Masz papiery ze swojej służby informacyjnej. Zapytaj kobiety. Ona tu dowodzi.

— Pytałem ciebie.

— Odplugaw się ode mnie — powiedział Pablo. — Ty i kobieta, i dziewczyna.

— On jest pijany — rzekł Primitivo. — Nie baczcie na niego, Inglés.

— Wcale nie myślę, żeby był taki pijany — powiedział Robert Jordan.

Maria stała za nim i Robert Jordan zauważył, że Pablo wpatruje się w nią ponad jego ramieniem. Małe, świńskie oczki spoglądały na dziewczynę z okrągłej zarośniętej twarzy i Robert Jordan pomyślał: Znałem wielu zabójców podczas tej wojny, a kilku i przedtem, i każdy z nich był inny. Nie mieli ani jednej wspólnej cechy czy rysu, ani tego, co się nazywa typem zbrodniczym; ale ten Pablo z pewnością nie jest przyjemny dla oka.

— Nie zdaje mi się, żebyś umiał pić — powiedział do Pabla. — Ani żebyś był teraz pijany.

— Jestem pijany — odparł Pablo z godnością. — Pić to jeszcze nic. Upić się, to jest ważne. *Estoy muy borracho*[55].

— Wątpię — powiedział Robert Jordan. — Ale tchórz, tak.

W jaskini zrobiło się nagle tak cicho, że słychać było syczenie drew płonących na palenisku, na którym gotowała Pilar. Robert Jordan usłyszał trzeszczenie owczej skóry, gdy podniósł się i stanął na niej. Zdawało mu się niemal, że słyszy padający na dworze śnieg. Tak wprawdzie nie było, ale słyszał ciszę tam, gdzie opadały płatki.

Chętnie zabiłbym go i raz z tym skończył — myślał. — Nie wiem, co ma zamiar zrobić, ale na pewno nic dobrego. Pojutrze ma być most, a ten człowiek jest zły i zagraża całemu przedsięwzięciu. No, jazda. Skończmy z tym.

Pablo wyszczerzył do niego zęby i podniósłszy palec przeciągnął nim po gardle. Potrząsnął głową, która poruszyła się tylko nieznacznie w lewo i w prawo na jego grubej, krótkiej szyi.

— Nie, Inglés — powiedział. — Nie prowokuj mnie. — Spojrzał na Pilar i rzekł do niej: — Nie w ten sposób można się mnie pozbyć.

---

[55] Estoy muy borracho (hiszp.) - Jestem strasznie pijany.

— *Sinvergilenza!*[56] — powiedział do niego Robert Jordan, zdecydowany już działać. — *Cobarde!*[57]

— Bardzo możliwe — odrzekł Pablo. — Ale ja nie dam się sprowokować. Weź sobie coś do picia, Inglés, i daj znak kobiecie, że ci się nie udało.

— Zamknij pysk — powiedział Robert Jordan. — Prowokuję cię z własnej woli.

— Nie warto się wysilać — odparł Pablo. — Ja nie dam się sprowokować.

— Ty jesteś *bicho raro*[58] — powiedział Robert Jordan nie chcąc zrezygnować, nie chcąc pozwolić, żeby to po raz drugi spełzło na niczym, mając wrażenie, kiedy wymawiał te słowa, że to już kiedyś było, że odgrywa znaną na pamięć rolę z czegoś, co czytał, czy co mu się przyśniło, i że wszystko jakby toczy się kołem.

— Tak, bardzo osobliwy — odrzekł Pablo. — Bardzo osobliwy i bardzo pijany. Twoje zdrowie, Inglés. — Zanurzył kubek w misie z winem i podniósł go. — *Salud y cojones*[59].

Naprawdę jest dziwny — myślał Robert Jordan — i chytry, i bardzo skomplikowany. Nie słyszał już syczenia ognia, bo zagłuszał mu go własny oddech.

— Twoje zdrowie — odrzekł i zaczerpnął kubkiem wina. Zdrada byłaby niczym bez tych wszystkich toastów — pomyślał.

— Więc pijmy. — *Salud* — powiedział.

— *Salud* i jeszcze raz salud! — Ja ci pokażę *salud* — myślał. — *Salud*, ty *salud*!

— Don Roberto — powiedział ociężale Pablo.

— Don Pablo — odparł Robert Jordan.

— Nie jesteś profesorem — rzekł Pablo — bo nie nosisz brody. Żeby ze mną skończyć, musiałbyś mnie zamordować, a na to nie masz *cojones*.

Patrzał na Roberta Jordana zacisnąwszy usta, tak że wargi tworzyły wąską kreskę. Jak pysk ryby — pomyślał Robert Jordan.

— Ta jego gęba przypomina ryby-jeże, które łykają powietrze i nadymają się po złowieniu.

— *Salud*, Pablo — powiedział, podniósł kubek do ust i upił trochę. — Dużo się uczę od ciebie.

---

[56] Sinvergilenza! (hiszp.) — Bezwstydniku!
[57] Cobarde! (hiszp.) — Tchórzu!
[58] bicho raro (hiszp.) — dziwak.
[59] Salud y cojones (hiszp.) — Zdrowia i jaj.

— Ja uczę profesora — kiwnął głową Pablo. — No, don Roberto, będziemy przyjaciółmi.

— Już jesteśmy przyjaciółmi — odrzekł Robert Jordan.

— Ale teraz będziemy dobrymi przyjaciółmi.

— Już jesteśmy.

— Ja się stąd zabieram — przerwał im Agustin. — Wprawdzie powiadają, że w życiu trzeba zjeść tego całą tonę, ale mnie już teraz tkwi w każdym uchu po dwadzieścia pięć funtów.

— Co się stało, *negro*? — zapytał Pablo. — Nie podoba ci się przyjaźń między don Robertem i mną?

— Ty uważaj z tym nazywaniem mnie *negro*. — Agustin podszedł do Pabla i stanął przed nim z opuszczonymi rękami.

— Tak cię zwą — odparł Pablo.

— Ale nie ty.

— No to *blanco*...

— Tak też nie.

— No to co jesteś? Czerwony?

— Tak. Czerwony. *Rojo*. Od czerwonej gwiazdy naszej armii i na chwałę Republiki. A na imię mam Agustin.

— Co za patriota — powiedział Pablo. — Patrzaj, Inglés, jaki to wzorowy patriota.

Agustin trzasnął go silnie na odlew w usta lewą ręką. Pablo nie ruszył się z miejsca. Kąciki warg, miał poplamione winem, jego twarz nie zmieniła wyrazu, ale Robert Jordan zauważył, że źrenice zwęziły mu się, podobnie jak źrenice kota zbiegają się w pionowe szparki przy mocnym świetle.

— I to też na nic — powiedział Pablo.— Na to nie licz, kobieto — obrócił głowę na Pilar. — Nie dam się sprowokować.

Agustin uderzył go znowu. Tym razem trzasnął go w usta zaciśniętą pięścią. Robert Jordan trzymał pod stołem pistolet. Odbezpieczył go i odepchnął Marię lewą ręką. Odsunęła się nieco, a wtedy raz jeszcze trącił ją mocno w żebra, chcąc, żeby naprawdę odeszła. Wstała i widział kątem oka, że przesuwa się pod ścianą w stronę ognia. Obserwował twarz Pabla.

Ten wpatrywał się w Agustina swymi płaskimi oczkami, osadzonymi w okrągłej głowie. Jego źrenice wydawały się teraz jeszcze mniejsze. Oblizał wargi, podniósł rękę i otarł je wierzchem dłoni, spojrzał i zauważył na niej krew. Przesunął językiem po wargach i splunął.

— Nic z tego — powiedział. — Ja nie głupi. Nie dam się sprowokować.

— *Cabrón* — rzeki Agustin.

— Ty powinieneś to wiedzieć — odparł Pablo. — Znasz kobietę.

Agustin znów uderzył go silnie w usta, a Pablo roześmiał się do niego ukazując żółte, popsute, wyszczerbione zęby w poczerwieniałej od krwi szparze ust.

— Zostaw już — powiedział sięgając kubkiem do miski, aby zaczerpnąć wina. — Nikt tutaj nie ma *cojones*, żeby mnie zabić, a to z tymi pięściami jest głupie.

— *Cobarde* — rzekł Agustin.

— Słowami też nic nie zdziałasz — odpowiedział Pablo i popłukał usta winem wdychając ze świstem powietrze. Wypluł wino na ziemię. — Słowa już dawno przestały na mnie działać.

Agustin stał patrząc na niego i wymyślał mu powoli, dobitnie, zaciekle i pogardliwie; przeklinał Pabla tak miarowo, jak gdyby rozrzucał po polu gnój zgarniając go widłami z wozu.

— I z tego także nic — rzekł Pablo. — Zostaw, Agustin. I nie bij mnie więcej. Tylko pokaleczysz sobie ręce.

Agustin odwrócił się i ruszył do wyjścia.

— Nie wychodź — powiedział Pablo. — Na dworze pada śnieg. Rozgość się tutaj.

— Ach, ty! Ty — obrócił się od progu Agustin, wkładając całą pogardę w to jedno słowo *Tú*.

— Tak, ja — odrzekł Pablo. — Ja będę żył, kiedy ty zdechniesz.

Zaczerpnął znowu wina i przepił do Roberta Jordana.

— Zdrowie profesora — powiedział. Potem obrócił się do Pilar. — Zdrowie señory dowódcy. — Wreszcie przepił do pozostałych. — Zdrowie tych wszystkich; co mają złudzenia.

Agustin podszedł do niego i szybkim uderzeniem pięści wytrącił mu kubek z ręki.

— To marnotrawstwo — rzekł Pablo. — To głupie.

Agustin powiedział mu coś ordynarnego.

— Nie — odparł Pablo nabierając sobie wina. — Nie widzisz, żem pijany? Kiedy nie jestem pijany, nie gadam. Nigdyś nie słyszał, żebym dużo gadał. Ale rozumny człowiek czasem musi się upić, żeby wytrzymać z głupcami.

— Fajdam w mleko twojego tchórzostwa! — powiedziała do niego Pilar. — Za dużo wiem o tobie i twoim tchórzostwie.

— Co ta kobieta gada! — rzekł Pablo. — Idę teraz do koni.

— A idź i poplugaw je sobie! — zawołał Agustin. — Przecież taki masz zwyczaj.

— Nie — odparł Pablo i potrząsnął głową. Zdjął ze ściany swą wielką sukienną pelerynę i spojrzał na Agustina. — Ty razem z twoimi wymysłami!

— Co będziesz robił z tymi końmi? — zapytał Agustin.

— Obrządzę je — odrzekł Pablo.

— Poplugaw je sobie, koński kochanku — rzekł Agustin.

— Bardzo lubię te konie — powiedział Pablo. — Nawet od zadu ładniejsze są i więcej mają rozumu niż ci ludzie. Bawcie się dobrze — dodał z uśmiechem.

— Pogadaj z nimi o moście, Inglés. Wytłumacz im, co mają robić podczas ataku. Powiedz, jak się mają wycofać. Dokądże ich zaprowadzisz po tym moście, Inglés? Dokąd zabierzesz swoich patriotów? Cały dzień rozmyślałem o tym przy winie.

— I coś myślał? — spytał Agustin.

— Co myślałem? — odrzekł Pablo i sprawdził językiem wewnętrzną stronę warg. — *Qué te importa*[60], co myślałem?

— Mów! — rzekł Agustin.

— A dużo — odparł Pablo. Naciągnął pelerynę na głowę, która wypukliła się pod jej brudnożółtymi fałdami. — Dużo myślałem.

— Ale co? — zapytał Agustin. — Co?

— Myślałem, że jesteście kupą zapaleńców — odrzekł Pablo — którymi dowodzi kobieta, co ma mózg między nogami, i cudzoziemiec, który przychodzi, żeby was zniszczyć.

[60] Qué te importa (hiszp.) — Co cię to obchodzi.

— Wynoś się! — krzyknęła Pilar. — Wynoś się precz i zbranzluj się na śnieg. Zabieraj stąd swoje zepsute mleko, ty wypstrykany koński *maricon*[61]!

— Tak trzeba gadać — powiedział Agustin z podziwem, ale i roztargnieniem. Był wyraźnie zatroskany.

— Idę — odrzekł Pablo. — Ale niedługo wrócę. — Uniósł derkę wiszącą u wylotu jaskini i wyjrzał na dwór. A potem, z progu, zawołał:

— Śnieg ciągle pada, Inglés!

[61] maricon (hiszp. obsc.) — kutas, pedryl.

XVII

Jedynym odgłosem w jaskini było teraz syczenie rozżarzonych węgli, na które przez otwór w sklepieniu opadał śnieg.

— Pilar — odezwał się Fernando. — Jest jeszcze mięso?

— Ach, siedź cicho! — odparła kobieta. Maria wzięła miskę Fernanda, podeszła do dużego kociołka, odstawionego z ognia, i napełniła ją chochlą. Wróciła do stołu, postawiła na nim miskę i poklepała Fernanda po ramieniu, kiedy pochylił się i zaczął jeść. Przez chwilę stała nad nim trzymając mu rękę na ramieniu, ale Fernando nie podnosił wzroku. Był pochłonięty jedzeniem.

Agustin stał przed ogniem. Inni siedzieli. Pilar usiadła przy stole naprzeciwko Roberta Jordana.

— Teraz, Inglés, widziałeś jaki on jest — powiedziała.

— A co robi? — zapytał.

— Wszystko może zrobić. Wszystko. — Kobieta opuściła wzrok na stół. — Jest do wszystkiego zdolny.

— Gdzie erkaem? — zapytał Robert Jordan.

— Tam w kącie, zawinięty w koc — odrzekł Primitivo. — Potrzebny wam?

— Później — odpowiedział Robert Jordan. — Chciałem tylko wiedzieć, gdzie jest.

— Tam — rzekł Primitivo. — Przyniosłem go i zawinąłem w swój koc, żeby go wilgoć nie chwyciła. Magazynki są w tym worku.

— On by tego nie zrobił — wtrąciła Pilar. — Nie zrobiłby nic *maquiną*.

— Przecież mówiłaś, że wszystko może zrobić.

— Może — odpowiedziała. — Ale nie umie obchodzić się z tą *maquiną*. Potrafiłby wrzucić tu granat. To bardziej do niego podobne.

— Wielka głupota i słabość, że go się nie zabiło — odezwał się Cygan. Przez cały wieczór nie brał udziału w rozmowie. — Roberto powinien był go wczoraj zabić.

— Zabijcie go — rzekła Pilar. Jej masywna twarz była posępna i zmęczona. — Teraz już jestem za tym.

— Ja byłem przeciwny — powiedział Agustin. Stał przed paleniskiem, długie ręce zwisały mu wzdłuż boków, a w świetle ognia kości policzkowe rzucały cienie na obrośniętą twarz. — A teraz też jestem za tym. Bo on jest jadowity i byłby rad, gdyby nas wszystkich zniszczyli.

— Niech każdy się wypowie — rzekła Piłar znużonym głosem. — Co ty na to, Andrés?

— *Malario*[62] — odparł kiwając głową ten z braci, który miał czarne włosy zarastające w szpic nisko na czoło.

— A Eladio?

— Również — odrzekł drugi brat. — Mnie się widzi, że wielce jest niebezpieczny, a pożytek z niego żaden.

— Primitivo?

— Również.

— Fernando?

— Nie można by zatrzymać go jako więźnia? — zapytał Fernando.

— A kto go będzie pilnował? — spytał Primitivo. — Trzeba by dwóch ludzi, żeby pilnować więźnia, i co byśmy z nim w końcu zrobili?

— Można by go sprzedać faszystom — powiedział Cygan.

— Co to, to nie — odparł Agustin. — Żadnych takich świństw.

— Tak tylko mi przyszło do głowy — powiedział Cygan Rafael. — Widzi mi się, że facciosos[63] byliby wielce radzi, gdyby go mogli dostać.

— Zostaw! — rzekł Agustin. — To byłoby świństwo.

— Nie większe niż sam Pablo — bronił się Cygan.

— Jedno świństwo nie usprawiedliwia drugiego — rzekł Agustin. — No, to już wszyscy. Z wyjątkiem starego i Inglésa.

— Oni nie mają nic do tego — odpowiedziała Pilar. — Pablo nie był ich przywódcą.

— Chwileczkę — przerwał Fernando. — Jeszczem nie skończył.

— No, to mów! — powiedziała Pilar. — Gadaj, aż tu wróci. Gadaj, aż wturla tu granat pod derkę i wysadzi wszystko w powietrze, razem z tym dynamitem.

---

[62] Malario (hiszp.) — zabić go.
[63] facciosos (hiszp.) - faszyści.

— Uważam, że przesadzacie, Pilar — rzekł Fernando. — Nie myślę, żeby miał takie zamiary.

— Ja też nie myślę — dodał Agustin. — Bo wtedy i wino wyleciałoby w powietrze, a on niedługo do niego wróci.

— A może go oddać w ręce El Sorda i niechby go sprzedał faszystom? — zaproponował Rafael. — Można by go oślepić, bo wtedy łatwiej byłoby dać sobie z nim radę.

— Milcz — odparła Pilar. — Kiedy tak gadasz, przychodzi mi na myśl coś wielce usprawiedliwionego także i przeciw tobie.

— Faszyści i tak nic by za niego nie dali — rzekł Primitivo. — Inni już próbowali takich rzeczy i okazało się, że tamci nic nie płacą. Jeszcze by ciebie zastrzelili na dodatek.

— Mnie się zdaje, że gdyby go oślepić, można by coś za niego dostać — powiedział Rafael.

— Milcz! — krzyknęła Pilar. — Jeszcze raz powtórz o tym oślepieniu, a spotka cię to samo, co jego.

— Przecież Pablo oślepił tego rannego *guardia civil*. — zaprotestował Cygan. — Jużeście zapomnieli?

— Stul gębę — powiedziała Pilar. Wstyd jej było wobec Roberta Jordana tej wzmianki o oślepianiu.

— Nie pozwolono mi skończyć — przerwał Fernando.

— To kończ — odparła Pilar. — No dalej, kończ.

— Ponieważ niepodobna zatrzymać Pabla jako więźnia — zaczął Fernando — a jest rzeczą odrażającą wydać go...

— Kończ — przerwała mu Pilar. — Kończże na miłość boską!

— ... w toku takich czy innych układów — ciągnął spokojnie Fernando — przeto jestem zdania, że może najlepiej byłoby go zlikwidować, ażeby zapewnić maksimum szans powodzenia projektowanym operacjom.

Pilar popatrzyła na małego człowieczka, potrząsnęła głową, przygryzła wargi i nie powiedziała nic.

— Taka jest moja opinia — mówił Fernando. — Uważam, iż mamy powody mniemać, że stanowi on niebezpieczeństwo dla Republiki...

— Matko Boska! — jęknęła Pilar. — Nawet tu jeden człowiek może zrobić gębą biurokrację!

— ... z uwagi zarówno na jego słowa, jak i niedawne czyny — ciągnął Fernando. — I chociaż zasłużył sobie na uznanie za swoją działalność w pierwszej fazie ruchu i aż do ostatniego okresu...

Pilar, która podeszła do ognia, zawróciła do stołu.

— Fernando — powiedziała spokojnie, podając mu miskę. — Proszę cię, weź jak najformalniej to mięso, zatkaj nim sobie gębę i nie gadaj więcej. Już przyjęliśmy do wiadomości twoją opinię.

— No, ale jak w takim razie... — zaczął Primitiyo i zamilkł nie kończąc zdania.

— *Estoy listo*[64] — powiedział Robert Jordan. — Jestem gotów to zrobić. Skoro wszyscy uznajecie, że należy tak postąpić, mogę się podjąć wyświadczenia tej usługi.

Co się dzieje? — pomyślał. — Od samego słuchania Fernanda zaczynam mówić tak jak on. Ten język jest widać zaraźliwy. Francuski to język dyplomacji. Hiszpański — język biurokracji.

— Nie — odezwała się Maria. — Nie.

— To nie twoja rzecz — odpowiedziała jej Pilar. — Siedź cicho.

— Zrobię to jeszcze dziś — powiedział Robert Jordan. Spostrzegł, że Pilar patrzy na niego przykładając palec do ust. Potem spojrzała na wylot jaskini.

Zasłaniająca wejście derka uniosła się i Pablo wetknął głowę do środka. Uśmiechnął się do wszystkich, prześliznął pod derką, potem obrócił się i poprawił ją za sobą. Stanął twarzą do nich, ściągnął z głowy pelerynę i strząsnął z niej śnieg.

— O mnie mówiliście? — zapytał zwracając się do wszystkich obecnych. — Przerwałem wam?

Nikt mu nie odpowiedział, więc powiesił pelerynę na kołku wbitym w ścianę i podszedł do stołu.

— *Qué tal*? — zapytał i wziąwszy ze stołu swój pusty kubek zanurzył go w misie. — Nie ma wina — powiedział do Marii. — Ściągnij trochę z bukłaka.

Maria wzięła misę, podeszła do zakurzonego, ciężko rozdętego, nasmołowanego bukłaka, który wisiał na ścianie szyją w dół, i odkręciła szpunt w jednej z nóg, tak że wino strzyknęło przez otwór. Pablo przyglądał się dziewczynie, która klęcząc

[64] Estoy listo (hiszp.) - Jestem gotów.

podtrzymywała misę, i patrzał na jasnoczerwone wino, które tryskało do naczynia tak szybko, że wypełniając je wirowało dokoła ścianek.

— Uważaj — powiedział do niej. — Wino jest już poniżej piersi.

Nikt się nie odezwał.

— Dziś wypiłem od pępka do piersi — rzekł Pablo. — Przez jeden dzień. Co wam jest? Zapomnieliście języka w gębie?

Nikt mu nie odpowiedział.

— Zakręć, Maria — rzekł Pablo. — Tylko żeby nie wyciekało.

— Jest dosyć wina — odezwał się Agustin. — Możesz się spić.

— No, przynajmniej jeden odnalazł język — skinął do niego głową Pablo. — Winszuję. Jużem myślał, że to wam odjęło mowę.

— Co? — zapytał Agustin.

— Moje wejście.

— Myślisz, że twoje wejście jest takie ważne? Zdaje się, że Agustin sam się podbechtuje — pomyślał Robert Jordan — i możliwe, że to zrobi. Na pewno wystarczająco nienawidzi Pabla. Ja go nie nienawidzę — pomyślał. — Wcale nie. Wstrętny jest, ale nie czuję do niego nienawiści. Chociaż tamta historia z oślepieniem stawia go w rzędzie specjalnych ludzi. No, ale ostatecznie to jest ich wojna. W każdym razie lepiej, żeby się tutaj nie kręcił przez dwa najbliższe dni. Nie będę się do tego mieszał — pomyślał. — Już dzisiaj raz się z nim wygłupiłem i jestem zupełnie zdecydowany go zlikwidować. Ale nie mam zamiaru bawić się przedtem w jakieś błazeństwa. Tu, przy tym dynamicie, nie może być żadnych zawodów strzeleckich ani innych głupich kawałów. Pablo oczywiście pomyślał o tym. A ty pomyślałeś? — zapytał sam siebie. Nie, ani ty, ani Agustin. Zasłużyłeś na to, co cię czeka.

— Agustin — powiedział.

— Co? — Agustin oderwał ponury wzrok od Pabla i spojrzał na niego.

— Chcę ci coś powiedzieć — rzekł Robert Jordan.

— Później.

— Nie, teraz — odparł Robert Jordan. — *Por fawor*.

Odszedł do wylotu jaskini, a Pablo odprowadził go wzrokiem.

Agustin, wysoki, z zapadniętymi policzkami, wstał i zbliżył się do niego. Szedł niechętnie, pogardliwie.

— Zapomniałeś, co jest w plecakach? — spytał go Robert Jordan tak cicho, że nikt nie mógł dosłyszeć.

— *Leche!* — zaklął Agustin. — Mleko! Człowiek się przyzwyczaja i zapomina.

— Ja też zapomniałem.

— Mleko! — powtórzył Agustin. — *Leche!* Jacy z nas durnie! Wrócił do stołu niedbałym, rozkołysanym krokiem i usiadł.

— Napij się stary — powiedział do Pabla. — Jak tam konie?

— Doskonale — odrzekł Pablo. — I śnieg mniej pada.

— Myślisz, że przestanie?

— Tak — odpowiedział Pablo. — Teraz już rzednie i lecą małe, twarde grudki. Wiatr będzie jeszcze wiał, ale śnieg ustaje. Bo wiatr się zmienił.

— Myślicie, że jutro się przejaśni? — zapytał go Robert Jordan.

— Tak — odrzekł Pablo. — Przypuszczam, że będzie zimno i pogodnie. Wiatr zmienia kierunek.

Co to za człowiek — pomyślał Robert Jordan. — Teraz jest usposobiony przyjaźnie. Zmienił się jak ten wiatr. Ma pysk i ciało wieprza, i wiem, że jest wielokrotnym mordercą, a przecież ma również wrażliwość dobrego barometru. Tak — pomyślał. — Wieprz też jest bardzo inteligentnym zwierzęciem. Pablo nienawidzi nas, czy może tylko nasze zamiary, i tę nienawiść posuwa zniewagami aż do takiego punktu, że jesteśmy gotowi z nim skończyć, a kiedy widzi, żeśmy już do tego dojrzeli, daje spokój i zaczyna wszystko od nowa.

— Będziemy mieli dobrą pogodę na tę robotę, Inglés — powiedział Pablo do Roberta Jordana.

— Będziemy? — zapytała Filar. — My?

— Tak, my — uśmiechnął się do niej Pablo i popił wina. — Czemu nie? Zastanowiłem się nad tym, kiedy byłem na dworze. Czemu nie mielibyśmy dojść do porozumienia.

— Co do czego? — spytała Pilar. — Co do czego znowu?

— Co do wszystkiego — odrzekł Pablo. — Co do tego mostu. Ja teraz jestem z wami.

— Jesteś teraz z nami? — zapytał Agustin. — Po tym, coś gadał?

— Tak — odparł Pablo. — Po zmianie pogody jestem z wami.

Agustin potrząsnął głową. — Pogody? — zapytał i potrząsnął głową raz jeszcze. — I po tym, jak ci dałem w pysk?

— Tak — uśmiechnął się do niego Pablo i przesunął palcami po wargach. — I po tym także.

Robert Jordan obserwował Pilar. Przypatrywała się Pablowi niby jakiemuś dziwnemu zwierzęciu. Na jej twarzy został jeszcze cień owego wyrazu, który się na niej pojawił po wzmiance o oślepianiu. Targnęła głową, jak gdyby chcąc go strząsnąć, po czym odrzuciła ją do tyłu.

— Słuchaj — powiedziała do Pabla.

— No co, kobieto?

— Co się z tobą dzieje?

— Nic — odparł Pablo. — Zmieniłem zdanie. Nic więcej.

— Podsłuchiwałeś przy wejściu — rzekła.

— Tak — odpowiedział. — Alem nic nie mógł dosłyszeć.

— Boisz się, że cię zabijemy.

— Nie — odparł i spojrzał na nią znad kubka. — Tego się nie boję. Ty dobrze wiesz.

— Więc co się z tobą dzieje? — zapytał Agustin. — Najpierw urzynasz się, pyskujesz na nas wszystkich, nie chcesz mieć nic wspólnego z robotą i gadasz parszywie o naszej śmierci, obrażasz kobiety i sprzeciwiasz się temu, co powinniśmy zrobić...

— Byłem pijany — przerwał mu Pablo.

— A teraz?

— Teraz już nie jestem — powiedział Pablo. — I zmieniłem zdanie.

— Niech inni ci ufają. Bo ja nie ufam — rzekł Agustin.

— Ufaj mi albo nie — odparł Pablo. — Ale nie ma nikogo, kto by tak potrafił przeprowadzić was do Gredos jak ja.

— Do Gredos?

— To jest jedyne miejsce, gdzie można pójść, jak się załatwi most.

Robert Jordan patrząc na Pilar podniósł rękę z tej strony, której Pablo nie mógł widzieć, i pytająco postukał się palcem w ucho.

Kobieta kiwnęła głową. Potem kiwnęła raz jeszcze. Powiedziała coś Marii, a ta podeszła do Roberta Jordana.

— Mówi, że oczywiście słyszał — szepnęła mu do ucha.

— No więc, Pablo — powiedział z namysłem Fernando. — Jesteś obecnie z nami i opowiadasz się za mostem?

— Tak, człowieku — odrzekł Pablo. Spojrzał mu prosto w oczy i kiwnął głową.

— Naprawdę? — zapytał Primitivo.

— *De veras*[65] — odpowiedział mu Pablo.

— I myślisz, że to może się udać? — zapytał Fernando. — Masz teraz ufność?

— Czemu nie? — odparł Pablo. — A ty nie masz?

— Tak — rzekł Fernando. — Ale ja zawsze mam ufność.

— Ja stąd wychodzę! — oświadczył Agustin.

— Na dworze zimno — uprzedził go Pablo przyjaznym tonem.

— Możliwe — odparł Agustin. — Ale nie mogę dłużej wytrzymać w tym *manicomio*.[66]

— Nie nazywaj tej jaskini domem obłąkanych — powiedział Fernando.

— *Manicomio* dla zbrodniczych wariatów! — powtórzył Agustin. — Wychodzę stąd, zanim sam zwariuję.

[65] De veras (hiszp.) - naprawdę.
[66] manicomio (hiszp.) - dom wariatów.

XVIII

Zupełna karuzela — myślał Robert Jordan. — I to nie taka, co obraca się szybko przy dźwiękach fisharmonii, a dzieci jadą na krowach z pozłacanymi rogami i chwytają na kijki pierścienie we wczesnym, błękitnym, rozświetlonym lampami gazowymi zmierzchu na Avenue du Maine, gdzie na sąsiednim straganie sprzedają smażone ryby, a obok kręci się koło szczęścia uderzając skórzanymi klapkami o ponumerowane przedziałki, w których jako wygrane leżą piramidy paczek z kostkami cukru. Nie, to nie ten rodzaj karuzeli, chociaż i tutaj ludzie czekają — podobnie jak tam, przed wirującym kołem szczęścia, stoją mężczyźni w czapkach i kobiety we włóczkowych swetrach, z gołymi głowami w gazowym świetle, które im błyszczy na włosach. Tak, ludzie tutaj są tacy sami. Tylko koło jest inne. To koło obraca się do góry i w dół.

Obróciło się już dwa razy. Duże jest i nachylone pod kątem, a za każdym obrotem wraca do punktu wyjścia. Jedną stronę ma wyższą od drugiej i obrót wynosi nas w górę, a potem opuszcza z powrotem. Tu nie ma wygranych — myślał — i nikt dobrowolnie nie wsiadłby na to koło. Za każdym razem robi się obrót wbrew własnej woli. Jest tylko jeden duży, eliptyczny, wznoszący się i opadający obrót, a potem znów wraca się do punktu wyjścia. W tej chwili wróciliśmy do niego i nic nie zostało rozstrzygnięte.

W jaskini było ciepło, a na dworze wiatr ucichł. Robert Jordan siedział przy stole, miał przed sobą notes i obmyślał całą techniczną stronę wysadzenia mostu. Zrobił trzy szkice, obliczył wzory, przedstawił na dwóch rysunkach sposób wysadzenia mostu tak prosto jak w przedszkolu, ażeby Anselmo mógł to doprowadzić do końca, gdyby jemu samemu coś się stało w toku niszczenia. Skończył rysunki i obejrzał je uważnie.

Maria siedziała obok i zaglądała mu przez ramię, kiedy pracował. Był świadom obecności zarówno Pabla siedzącego po drugiej stronie stołu, jak pozostałych, którzy rozmawiali i grali w karty; czuł wyziewy jaskini, w której woń gotowanego jedzenia zastąpił teraz zapach dymu i mężczyzn — ów zapach tytoniu i czerwonego wina, zmieszany z metalicznym, nieświeżym odorem ciała. Kiedy Maria, która przyglądała się, jak kończył rysować, oparła na stole dłoń, podniósł ją lewą ręką do twarzy i

poczuł, że pachnie świeżo szarym mydłem i wodą po zmywaniu naczyń. Nie patrząc na Marię położył jej dłoń z powrotem na stole, wrócił do rysowania i nie zauważył, że się zarumieniła. Trzymała rękę nadal opartą o stół, blisko jego ręki, ale on nie podniósł jej więcej.

Skończywszy plan zniszczenia, przewrócił kartkę w notesie i zaczął wypisywać rozkazy operacyjne. Układały mu się w głowie jasno i dobrze, i był zadowolony z tego, co pisał. Zapełnił dwie stronice w notesie, po czym odczytał je uważnie.

Chyba to już wszystko — powiedział do siebie. — Jest całkiem jasne i bodaj nie ma żadnych luk. Obie placówki zostaną zniszczone, most wysadzony w powietrze zgodnie z rozkazem Golza i to jest wszystko, za co ja odpowiadam. Nie powinienem był ubrać się w tę historię z Pablem, ale to się rozwikła w taki czy inny sposób. Albo Pablo będzie, albo nie. Jedno i drugie jest mi obojętne. Tylko już nie mam zamiaru wsiadać na to koło. Dwa razy znalazłem się na nim i oba razy okręciło się i wróciło do tego samego punktu, więc ani myślę więcej jeździć.

Zamknął notes i spojrzał na Marię.

— *Hola, guapa* — powiedział. — Zrozumiałaś coś z tego?

— Nie, Roberto — odpowiedziała kładąc dłoń na jego dłoni, w której jeszcze trzymał ołówek. — Skończyłeś?

— Tak. Wszystko już wypisane i ułożone.

— Coście robili, Inglés? — spytał zza stołu Pablo. Oczy miał znowu mętne.

Robert Jordan popatrzył bacznie na niego. Tylko z daleka od tego koła! — powiedział do siebie. — Nie wsiadaj na nie. Zdaje się, że znów zacznie się obracać.

— Pracowałem nad zagadnieniem mostu — odpowiedział uprzejmie.

— No i jak to wygląda? — zapytał Pablo.

— Doskonale — odrzekł Robert Jordan. Wszystko doskonale.

— Ja pracowałem nad zagadnieniem odwrotu — powiedział Pablo, a Robert Jordan spojrzał na jego pijane, świńskie oczki i na misę z winem. Była już prawie pusta.

Trzymaj się z dala od koła — powtórzył sobie w duchu. — On znowu pije. Jasne. Bylebyś tylko nie dostał się na to koło. Ale czy nie mówiono, że generał Grant był prawie stale pijany podczas amerykańskiej wojny domowej? Na pewno był. Chybaby się wściekł na to porównanie, gdyby mógł widzieć Pabla. Poza tym Grant palił cygara.

No cóż; trzeba by jeszcze wystarać się dla Pabla o cygaro. Tego właściwie brakuje tej twarzy do całości: na wpół zżutego cygara. Skąd by tu wziąć cygaro dla Pabla?

— I jak wam idzie? — zapytał grzecznie.

— Bardzo dobrze — odpowiedział Pablo kiwając głową ciężko i z namaszczeniem. — *Muy bien.*

— Obmyśliłeś coś? — spytał Agustin znad kart.

— Tak — odrzekł Pablo. — Różne rzeczy.

— Gdzieżeś je znalazł? W tej misie?

— Może — odparł Pablo. — Kto wie? Maria, nalej wina do miski, dobrze?

— Ale w bukłaku to dopiero muszą być pyszne pomysły — rzekł Agustin wracając do gry w karty. — Dlaczego nie wleziesz do środka i nie poszukasz ich tam?

— Nie — odrzekł Pablo. — Ja szukam ich w misce.

On też nie wsiada na koło — pomyślał Robert Jordan. — Widać obraca się samo. Zdaje się, że na tym kole nie można za długo jeździć. Musi być zupełnie zabójcze. Dobrze, żeśmy z niego zsiedli. Parę razy miałem już na nim zawrót głowy. Ale na takich właśnie jeżdżą do śmierci pijacy i ci, co są naprawdę podli albo okrutni. Podjeżdża ono do góry obrotem, który za każdym razem jest inny, a potem okręca się w dół. Niechże się kręci — pomyślał. — Już mnie na nie nie wsadzą. Nie, panie generale Grant; ja już zsiadłem z tego koła.

Pilar siedziała przed ogniem ustawiwszy zydel tak, żeby móc zaglądać nad ramionami obu grających w karty, którzy byli obróceni do niej tyłem. Przypatrywała się grze.

Najdziwniejsze tutaj jest to przejście od morderczej zajadłości do normalnego życia rodzinnego — myślał Robert Jordan. — Najgorzej jest, kiedy to cholerne koło obraca się w dół. Ale ja już na nim nie siedzę — pomyślał — i nikt mnie na nie nie wsadzi.

Jeszcze przed dwoma dniami nie wiedziałem nawet, że istnieje Pilar czy Pablo, czy cała reszta — pomyślał. — Nie było na świecie czegoś takiego jak Maria. Świat był przez to niewątpliwie o wiele prostszy. Dostałem od Golza zupełnie jasne instrukcje, które wydawały się całkowicie możliwe do wykonania, choć nasuwały pewne trudności i pociągały za sobą pewne skutki. Spodziewałem się, że po wysadzeniu mostu albo wrócimy przez front, albo nie, a gdybyśmy wrócili, chciałem poprosić o

zezwolenie na krótki pobyt w Madrycie. Podczas tej wojny nikt nie dostaje urlopu, ale z pewnością daliby mi ze dwa-trzy wolne dni na Madryt.

W Madrycie chciałem kupić trochę książek, pójść do hotelu „Florida", wziąć sobie pokój i gorącą kąpiel — myślał. — Miałem zamiar posłać portiera Luisa po butelkę absyntu; jeżeliby udało mu się znaleźć ją w „Mantequerias Leonesas" albo gdzieś na Gran Via, a po kąpieli chciałem położyć się do łóżka, poczytać i wypić kilka absyntów, później zadzwonić do „Gaylordu" i dowiedzieć się, czy mógłbym tam przyjść coś zjeść.

Nie chciał jadać w restauracji „Gran Via", bo w gruncie rzeczy karmili tam podle, a trzeba było przychodzić punktualnie, gdyż inaczej nie zostało nic do jedzenia. Poza tym siedziało tam za wielu znajomych dziennikarzy, a nie miał ochoty wciąż trzymać języka za zębami. Chciał napić się absyntu, poczuć chęć do rozmowy i wtedy pójść do „Gaylordu", gdzie było dobre jedzenie i prawdziwe piwo, zjeść coś z Karkowem i dowiedzieć się, co słychać z wojną.

Kiedy po raz pierwszy zaszedł do „Gaylordu", madryckiego hotelu, który zajęli dla siebie Rosjanie, nie podobało mu się tam, bo było zbyt luksusowo, jedzenie za dobre jak na oblężone miasto, a rozmowy za cyniczne jak na wojnę. Ale zdemoralizowałem się bardzo szybko — pomyślał. Bo dlaczego nie korzystać z możliwie najlepszego jedzenia, kiedy się wraca po czymś takim? A rozmowy, w których z początku dopatrywał się cynizmu, okazały się aż nazbyt prawdziwe. Będę miał co do opowiadania w „Gaylordzie", kiedy to tutaj skończę — pomyślał. — Tak, kiedy to skończę.

Czy można by zabrać Marię do „Gaylordu"? Nie. Niemożliwe. Ale mogłaby zostać w hotelu, wziąć gorącą kąpiel i czekać aż stamtąd wróci. Tak, to można by zrobić, a jakby już opowiedział o niej Karkowowi, mógłby później przyjść z nią, bo tamci byliby jej ciekawi i chcieliby ją zobaczyć.

A może wcale nie poszedłby do „Gaylordu"? Mógłby jadać w „Gran Via" i szybko wracać do „Floridy". Ale wiedział, że by poszedł, bo po tym, co przeżył, chciałby znowu zobaczyć to wszystko, pokosztować tego jedzenia, napatrzyć się komfortu i luksusu. Później wróciłby do „Floridy", gdzie czekałaby Maria. Jasne, że ona tam będzie, kiedy to już się zakończy. Kiedy to się zakończy. Tak, kiedy się zakończy. Jeżeli mu wszystko dobrze pójdzie, zasłuży sobie na obiad w „Gaylordzie".

W „Gaylordzie" spotykało się słynnych hiszpańskich dowódców chłopskiego i robotniczego pochodzenia, którzy na początku wojny chwycili za broń wyszedłszy z ludu, bez żadnego przygotowania wojskowego — i stwierdzało się, że wielu z nich mówi po rosyjsku. Przed paroma miesiącami było to jego pierwszym wielkim rozczarowaniem i sam przed sobą zaczął odnosić się do tego cynicznie. Ale kiedy zrozumiał, jak to się stało, doszedł do wniosku, że wszystko jest w porządku. To naprawdę byli chłopi i robotnicy. Brali udział w powstaniu 1934 roku, po jego klęsce musieli uciekać z kraju, a w Rosji posłano ich do akademii wojskowej i do prowadzonego przez Komintern Instytutu Lenina, ażeby za następnym razem byli przygotowani do walki i mieli wykształcenie wojskowe niezbędne do sprawowania dowództwa.

Tam wykształcił ich Komintern. Podczas rewolucji nie można przyznawać się niewtajemniczonym, kto nam pomaga, ani też, że ktoś wie więcej, niż się przypuszcza. Tego już się nauczył. Jeżeli coś jest z gruntu słuszne, kłamstwo nie powinno się liczyć. Jednakże dużo było tego kłamstwa. Z początku to mu się nie podobało. Nienawidził kłamstwa. Później polubił je, bo było oznaką wtajemniczenia, lecz mimo wszystko pozostało czymś bardzo demoralizującym.

Właśnie w „Gaylordzie" mogłeś się dowiedzieć, że Valentin Gonzales zwany El Campesino, czyli Chłop, nigdy nie był chłopem, tylko eks-sierżantem hiszpańskiej Legii Cudzoziemskiej, który zdezerterował i walczył po stronie Abd el-Krima". To także było w porządku. Bo i dlaczego nie? Podczas takiej wojny trzeba mieć jak najprędzej tych chłopskich dowódców, a prawdziwy dowódca chłopski może trochę zanadto przypominać Pabla. Nie sposób czekać na prawdziwego Chłopskiego Wodza, a gdyby się nawet objawił, mógłby mieć za wiele cech chłopskich. Trzeba więc było go sfabrykować. Zresztą o ile zdołał poznać Campesina, z tą czarną brodą, grubymi, murzyńskimi wargami i rozgorączkowanymi, wytrzeszczonymi oczyma, przypuszczał, że może z nim być nieomal tyleż kłopotu, co z prawdziwym chłopskim dowódcą. Kiedy go widział po raz ostatni, Campesino najwyraźniej zaczynał już wierzyć we własną reklamę i uważać się za chłopa. Był to tak twardy i dzielny mężczyzna, że dzielniejszego nie znaleźć na świecie. Ale za to gadał, mój Boże! W podnieceniu mógł powiedzieć każdą rzecz bez względu na skutki swojej niedyskrecji, a te skutki były już liczne. Okazał się wspaniałym dowódcą brygady, nawet w takiej sytuacji, kiedy wszystko wydawało się stracone. Nigdy nie zdawał sobie sprawy, kiedy wszystko jest już stracone, a jeżeli nawet było, zawsze umiał się z tego wygrzebać.

W „Gaylordzie" widywało się też prostego kamieniarza z Galicji, Enrique Listera, który teraz dowodził dywizją i również mówił po rosyjsku. Spotykało się także stolarza, Juana Modesto z Andaluzji, który właśnie otrzymał dowództwo korpusu. Po rosyjsku nie nauczył się w Puerto de Santa Maria, jakkolwiek mógłby to zrobić, gdyby tam była szkoła Berlitza, do której uczęszczaliby stolarze. Ze wszystkich młodych wojskowych miał on największe zaufanie do Rosjan, ponieważ był prawdziwym człowiekiem partii, „stuprocentowym", jak mówili, używając z dumą tego amerykanizmu, i o wiele inteligentniejszym od Listera czy El Campesina.

Nie ma dwóch zdań, że „Gaylord" był niezbędny do uzupełnienia edukacji. Tam człowiek dowiadywał się, jak wszystko dzieje się naprawdę, a nie jak to przedstawiają. Ja ledwie rozpocząłem edukację — myślał Robert Jordan i zastanawiał się, czy będzie jeszcze długo trwała. — „Gaylord" jest doskonały, sensowny, i właśnie tego mi trzeba. Na początku, gdy jeszcze wierzył w różne niedorzeczności, był to dla niego wstrząs. Teraz jednakże wiedział już dosyć, ażeby uznać konieczność całego tego zwodzenia, i to, czego dowiedział się w „Gaylordzie", umocniło w nim tylko wiarę we wszystkie rzeczy, które uważał za prawdziwe. Wolał wiedzieć, jak jest naprawdę, a nie jak to przedstawiano. Podczas wojny zawsze jest kłamstwo. Ale prawda Listera, Modesta i El Campesina była o wiele lepsza niż wszelkie kłamstwa i legendy. No cóż, kiedyś powiedzą tę prawdę wszystkim; tymczasem był zadowolony, że istnieje taki „Gaylord", gdzie mógł jej się dowiedzieć.

Tak, tam by poszedł w Madrycie, kiedy by już kupił książki, wyleżał się w gorącej kąpieli, wypił kilka absyntów i poczytał trochę. Ale takie plany miał, zanim pojawiła się Maria. Więc dobrze. Wzięliby dwa pokoje i kiedy by tam poszedł, ona mogłaby robić, co by jej się podobało, a potem wróciłby do niej z „Gaylordu". Tyle czasu czekała w tych górach, to mogłaby trochę poczekać w hotelu „Florida". W Madrycie spędziliby trzy dni. Trzy dni to może być dużo. Zabrałby ją na film „Noc w Operze" z braćmi Marx. Idzie on już od trzech miesięcy i na pewno będą go wyświetlali jeszcze przez dalsze trzy. Podobałaby jej się ta „Noc w Operze" — pomyślał. — Na pewno by jej się bardzo podobała.

Tylko że z „Gaylordu" jest daleka droga do tej jaskini. Nie, to nie ta jest daleka. Daleka droga będzie z tej jaskini do „Gaylordu". Po raz pierwszy zaprowadził go tam Kaszkin i wtedy wcale mu się nie podobało. Kaszkin mówił, że powinien poznać Karkowa, bo Karkow chciałby zaznajomić się z Amerykanami, a poza tym jest największym w świecie wielbicielem Lope de Vegi i uważa *Fuente Ovejuna* za

najświetniejszą sztukę, jaką w ogóle napisano. Może i była taka, ale Robert Jordan miał inne zdanie.

Karkow podobał mu się, natomiast hotel nie. Karkow był najinteligentniejszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkał. Nosił czarne buty z cholewami, szare bryczesy i szarą kurtkę, miał drobne ręce i stopy, delikatną, pulchną twarz i ciało, ślinił się mówiąc przez zepsute zęby i kiedy Robert Jordan zobaczył go po raz pierwszy, Karkow wydał mu się komiczny. Jednakże miał więcej rozumu, wewnętrznej godności i zewnętrznego zuchwalstwa, i humoru niż którykolwiek ze znanych mu ludzi.

Sam „Gaylord" wydał się Jordanowi nieprzyzwoicie luksusowy i rozwiązły. Ale właściwie dlaczego przedstawiciele mocarstwa, które rządzi jedną szóstą świata, nie mieliby korzystać z odrobiny komfortu? Tak czy owak korzystali z niego, i Robert Jordan, który na początku uważał to wszystko za odpychające, później uznał, że tak być powinno, i nawet znajdował w tym przyjemność. Kaszkin przedstawił go jako nadzwyczajnego faceta i Karkow zrazu był obraźliwie uprzejmy, ale potem, kiedy Robert Jordan, zamiast zgrywać bohatera, opowiedział naprawdę zabawną historyjkę, sprośną i kompromitującą dla niego samego, Karkow z ulgą przeszedł od kurtuazji do szorstkości, a potem do zuchwalstwa i wtedy zostali przyjaciółmi.

Kaszkina ledwie tam tolerowano. Najwyraźniej musiał w przeszłości coś przeskrobać i teraz odrabiał to w Hiszpanii. Nie chcieli powiedzieć, co to było; może powiedzą teraz, kiedy już Kaszkin nie żyje. W każdym razie Robert Jordan zaprzyjaźnił się z Karkowem; a także z niewiarygodnie chudą, mizerną brunetką, zakochaną, nerwową, skromną i pozbawioną goryczy kobietą o wychudłym, zaniedbanym ciele i krótko przystrzyżonych, przyprószonych siwizną włosach, która była żoną Karkowa i służyła jako tłumaczka w broni pancernej. Nawiązał też przyjaźń z kochanką Karkowa, która miała kocie oczy, rudawozłote włosy (czasami bardziej rude, czasami bardziej złote, zależnie od fryzjera), leniwe, zmysłowe ciało (stworzone na to, by dobrze przylegać do innych ciał), usta pasujące do innych ust i była głupia, ambitna i bezwzględnie lojalna. Ta kochanka uwielbiała plotki i od czasu do czasu miewała różne przygody, które najwyraźniej tylko bawiły Karkowa. Podobno oprócz owej żony z broni pancernej miał on gdzieś jeszcze jedną, a może nawet dwie, ale nikt tego nie wiedział na pewno. Robert Jordan lubił zarówno tę znaną sobie żonę jak i kochankę. Przypuszczał, że polubiłby i drugą żonę, gdyby ją poznał, i gdyby rzeczywiście istniała. Karkow miał dobry gust do kobiet.

Na dole, przed bramą „Gaylordu", stali wartownicy z bagnetami na karabinach i dzisiejszego wieczora było to pewnie najprzyjemniejsze i najbezpieczniejsze miejsce w całym oblężonym Madrycie. Wolałby dzisiaj być tam niż tutaj. Chociaż i tu było dobrze, odkąd to koło się zatrzymało. A i śnieg też ustawał.

Chętnie przedstawiłby Karkowowi swoją Marię, ale nie mógłby jej tam zaprowadzić nie zapytawszy naprzód o pozwolenie, a poza tym, musiałby się jeszcze przekonać, jak go przyjmą po tej wyprawie. Golz powinien .tam być po przeprowadzeniu natarcia i jeśli wszystko pójdzie dobrze, dowiedzą się o tym od niego. Golz będzie z pewnością podkpiwał na temat Marii po tym, co od niego słyszał, że nie zadaje się z dziewczynami.

Sięgnął do .misy stojącej przed Pablem i zaczerpnął w kubek wina.

— Za waszym pozwoleniem — powiedział.

Pablo kiwnął głową. Jest pewnie zajęty swoimi wojskowymi rozważaniami — pomyślał Robert Jordan. — Nie szuka przelotnej chwały w paszczy lufy armatniej, tylko rozwiązania problemu w tej misce. Mimo wszystko drań musi być zdolny, jeżeli potrafił z powodzeniem dowodzić tą bandą tak długo. Patrząc na Pabla zastanawiał się, jaki by z niego był przywódca partyzantów podczas amerykańskiej wojny domowej. Tylu ich było — myślał — a tak mało o nich wiemy. Nie o Quantrillach czy Mosbych, ani o takich jak mój własny dziadek, ale o tych pomniejszych, tych z lasu. A co z piciem? Myślisz, że Grant naprawdę był pijakiem? Dziadek zawsze utrzymywał, że tak. Że stale był trochę zawiany około czwartej po południu, a podczas oblężenia Vicksburga bywał nieraz bardzo pijany przez kilka dni. Mimo to dziadek twierdził, że funkcjonował zupełnie normalnie, choćby się nie wiedzieć jak upił, tyle tylko, że czasem trudno go było dobudzić. Ale jeżeli go już obudzono, zachowywał się normalnie.

Jak dotąd, nie ma w tej wojnie ani Granta, ani Shermana, ani Stonewall Jacksona czy to po jednej, czy po drugiej stronie. Nic. Ani Jeba Stuarta. Ani Shcridana. Natomiast jest zalew McClellanów. Faszyści mają ich do licha, a my co najmniej trzech.

Z całą pewnością nie napotkał podczas tej wojny żadnych geniuszów wojskowych. Ani jednego. Nawet kogoś, kto by przypominał geniusza. Kleber, Lukacs i Hans mieli piękną kartę w obronie Madrytu razem z Brygadami Międzynarodowymi, i potem stary, łysy, zarozumiały okularnik, głupi jak but, nieinteligentny w rozmowie,

odważny i tępy jak byk Miaja, kreowany przez propagandę obrońcą Madrytu, był tak zazdrosny o reklamę, jaką zrobiono Kleberowi, że zmusił Rosjan do odwołania go ze stanowiska dowódcy i odesłania do Walencji. Kleber był dobrym żołnierzem, ale ograniczonym człowiekiem i rzeczywiście za dużo gadał jak na swoje stanowisko. Golz jest dobrym generałem i świetnym żołnierzem, ale wciąż go trzymają na funkcjach podrzędnych i nigdy nie dają mu wolnej ręki. To natarcie miało być jak dotąd jego największym wyczynem, a Robertowi Jordanowi niezbyt się podobało to, co słyszał na ten temat. Poza tym był jeszcze Węgier Gali, którego należałoby rozstrzelać, gdyby uwierzyć bodaj w połowę tego, co się słyszało w „Gaylordzie". Powiedzmy nawet w dziesięć procent — pomyślał Robert Jordan.

Żałował, że nie widział walk na płaskowzgórzu za Guadalajarą, kiedy pobito Włochów. Ale wówczas był w Estremadurze. Przed dwoma tygodniami Hans opowiadał mu o tym któregoś wieczora w „Gaylordzie" i wtedy zobaczył wszystko jakby na własne oczy. W pewnym momencie, gdy Włosi przełamali front pod Trijueque, było już bardzo krucho i dwunasta brygada zostałaby odcięta, gdyby zamknęli szosę Torija-Brihuega. „Ale wiedząc, że to są Włosi — opowiadał Hans — spróbowaliśmy manewru, który byłby nie do usprawiedliwienia przeciwko innym oddziałom. I udało nam się".

Hans pokazywał mu to wszystko na swoich szkicach bitwy. Nosił je stale przy sobie, w mapniku, i najwyraźniej ciągle jeszcze nie mógł się nadziwić i nacieszyć tym cudem. Hans był doskonałym żołnierzem i dobrym kolegą. Mówił mu, że hiszpańskie oddziały Listera, Modesta i Campesina walczyły świetnie w tej bitwie i że była to zasługa dowódców i dyscypliny, jaką narzucili. Jednakże Lister, Modesto i Campesino otrzymali wskazówki co do szeregu posunięć od swoich rosyjskich doradców wojskowych. Wszyscy trzej byli niby kandydaci na lotników uczący się latać na maszynie o podwójnych sterach, które pilot może przejąć, jeżeli popełnią błąd. No, ten rok pokaże, ile i jak się nauczyli. Niedługo już nie będzie podwójnych sterów i wtedy zobaczymy, jak sami dadzą sobie radę z dywizjami i korpusami.

To są komuniści i ludzie zdyscyplinowani. Dyscyplina, którą zaprowadzą, da w wyniku dobre wojsko. Lister jest morderczy, jeżeli idzie o dyscyplinę. To prawdziwy fanatyk i ma rzetelnie hiszpański brak poszanowania dla życia. Od czasu pierwszego najazdu Tatarów na zachód Europy niewiele było armii, w których wykonywano by doraźnie wyroki śmierci na żołnierzach z przyczyn tak błahych jak pod jego komendą. Ale on wie, jak przekuć dywizję na jednostkę bojową. Utrzymanie pozycji to jedna

sprawa. Atakowanie pozycji i wzięcie ich to rzecz inna, a manewrowanie armią w polu to jeszcze co innego — myślał Robert Jordan siedząc w jaskini przy stole. — Po tym, co widziałem, zastanawiam się, jak Lister da sobie radę, kiedy nie będzie już podwójnych sterów. Ale może mu ich nie odbiorą? — pomyślał. — Ciekaw jestem, czy odbiorą, czy jeszcze je wzmocnią? Ciekawe też, jakie jest stanowisko Rosjan w tej sprawie. Nie ma jak „Gaylord" — pomyślał. — Wiele jest rzeczy, które powinienem znać, i których mogę się dowiedzieć tylko w „Gaylordzie".

Kiedyś myślał, że „Gaylord" źle na niego wpływa. Był przeciwieństwem purytańskiego, religijnego komunizmu z ulicy Velazqueza Nr 63 — pałacu madryckiego, który przemieniono na kwaterę główną Brygad Międzynarodowych w stolicy. Na Velazqueza 63 człowiek czuł się jak gdyby członkiem zakonu — w „Gaylordzie" daleko było do tego uczucia, jakie miało się w kwaterze głównej piątego pułku, nim został podzielony między brygady nowej armii.

I tu, i tam czułeś, że bierzesz udział w krucjacie. To jedyne właściwe określenie, chociaż ten wyraz jest tak wyświechtany i nadużyty, że nie oddaje już swojej prawdziwej treści. Pomimo całej biurokracji, nieudolności i sporów partyjnych miałeś tam uczucie podobne do tego, którego spodziewałeś się, a nie zaznałeś, przystępując do pierwszej komunii. Było to uczucie poświęcenia się sprawie wszystkich uciśnionych na świecie, równie trudne i kłopotliwe do omawiania jak przeżycia religijne, a jednak tak samo prawdziwe jak to, którego doświadcza się słuchając Bacha czy patrząc na światło wpadające przez wysokie okna do katedry w Chartres albo w Leon, czy wreszcie oglądając w Prado obrazy Mantegni, El Greca i Breughela. Pozwalało brać udział w czymś, w co można było wierzyć do głębi i bez zastrzeżeń i co dawało świadomość absolutnego braterstwa z innymi, którzy służą tej samej sprawie. Było to coś, czego nie zaznałeś nigdy przedtem, ale zaznałeś wtedy i przywiązywałeś taką wagę do tej sprawy i do przyczyn, które się na nią złożyły, że własna śmierć wydawała ci się zupełnie bez znaczenia i była co najwyżej rzeczą, której należało unikać, ponieważ mogła przeszkodzić ci w spełnieniu obowiązku. Jednakże najlepsze było to, że mogłeś coś zdziałać w imię tych swoich uczuć i tej wewnętrznej potrzeby. Mogłeś walczyć.

Więc stanąłeś do walki — myślał. — Ale w toku walki ci, którzy przeżyli i spisywali się dobrze, wkrótce wyzbyli się czystości uczuć. Już po pierwszych sześciu miesiącach.

Obrona pozycji czy miasta jest epizodem wojennym, podczas którego można właśnie zaznać przeżyć tego pierwszego rodzaju. Takie były walki w Sierras. Bili się tam z prawdziwym poczuciem rewolucyjnego koleżeństwa. I kiedy po raz pierwszy wystąpiła konieczność zaprowadzenia dyscypliny, pochwalał ją i rozumiał. Pod ogniem artylerii ludzie stchórzyli i zaczęli uciekać. Widział, jak ich rozstrzeliwano i zostawiano przy drodze, aby tam puchli, i nikt nie troszczył się o nic poza zabraniem im amunicji i cennych przedmiotów. Zabranie naboi, butów i kurtek skórzanych było słuszne. Zabranie cennych przedmiotów było zwykłym realizmem. Dzięki temu nie dostawały się w ręce anarchistów.

Rozstrzeliwanie tych, co uciekali, wydawało się rzeczą sprawiedliwą, słuszną i konieczną. Nie było w tym nic złego. Ich ucieczka była samolubstwem. Faszyści poszli do natarcia, a myśmy ich zatrzymali na tamtym stoku, wśród szarych skał, karłowatych sosen i janowców Guadarramy. Trzymaliśmy się na linii szosy pod bombardowaniem lotniczym, a potem pod ostrzałem z dział, kiedy faszyści podciągnęli artylerię, i ci z naszych, którzy pod wieczór tego dnia zostali przy życiu, odepchnęli ich przeciwnatarciem. Później, kiedy tamci spróbowali obejść nas od lewego skrzydła przenikając między skałami i drzewami, utrzymaliśmy się w budynku sanatorium i strzelaliśmy do nich z okien i z dachu, chociaż zaszli nas z obu stron. Dowiedzieliśmy się wtedy, co to znaczy być okrążonym i dopiero przeciwuderzenie odrzuciło ich z powrotem za drogę.

Wtedy właśnie — gdy czując strach, od którego zasychało w ustach i gardle, wśród pyłu rozkruszonego tynku i nagłej grozy ściany walącej się w błysku i huku granatu, wywlekałeś z rumowiska karabin maszynowy, odciągałeś zabitą obsługę, która leżała na twarzach przysypana gruzem, i kryjąc głowę za tarczą karabinu usuwałeś zacięcie, wyrywałeś złamaną łuskę, naprostowywałeś taśmę i leżąc za tarczą znów siałeś kulami po drodze — wtedy robiłeś to, co należało, i wiedziałeś, że słuszność jest po twojej stronie. Poznałeś wysuszającą usta, oczyszczoną przez strach i oczyszczającą ekstazę bitwy, i tamtego lata i jesieni walczyłeś za wszystkich biednych na ziemi, przeciwko wszelkiej tyranii, o wszystko to, w co wierzyłeś, o nowy świat, który wskazywało ci twoje wychowanie. Tamtej jesieni — myślał — uczyłeś się przetrzymać, nie zwracać uwagi na cierpienie podczas długich dni zimna i wilgoci, błota, rycia się w ziemi i okopywania. Uczucia z czasu lata i jesieni ugrzęzły głęboko pod zmęczeniem, sennością, zdenerwowaniem i niewygodami. Jednakże trwały nadal i wszystko, co przechodziłeś, tylko je umacniało. W tym czasie czułeś głęboką, zdrową,

niesamolubną dumę... którą w „Gaylordzie" uznano by za piekielne nudziarstwo — pomyślał nagle.

Nie, wtedy nie nadałbyś się do „Gaylordu" — myślał. — Byłeś zanadto naiwny. Znajdowałeś się niejako w stanie łaski. Ale może i „Gaylord" nie był wtedy taki jak teraz. Nie, w gruncie rzeczy nie był — powiedział do siebie. — Wcale a wcale. Wtedy „Gaylord" jeszcze nie istniał.

Karkow opowiadał mu o tym okresie. Wówczas wszyscy Rosjanie mieszkali w „Palace Hotelu". Robert Jordan nie znał żadnego z nich. To było jeszcze zanim utworzono pierwsze grupy partyzanckie i zanim poznał Kaszkina czy innych. Kaszkin przebywał na północy, w Irunie i San Sebastian, i brał udział w nieudanych atakach na Vitorię. Do Madrytu przyjechał dopiero w styczniu, a Karkow też był w Madrycie, gdy Robert Jordan walczył za Carabanchelem i Userą przez owe trzy dni, kiedy to zatrzymywali prawe skrzydło faszystów uderzających na Madryt i wydzierali Maurom oraz Tercio dom po domu, aby oczyścić przedmieście leżące w gruzach na skraju szarego, spieczonego słońcem płaskowzgórza, i utworzyć na pagórkach linię obrony, która osłoniłaby tę część miasta.

Karkow nie mówił o tych czasach w sposób cyniczny. To były chwile, które wszyscy wspólnie przeżywali; zdawało się wtedy, że to już koniec, i dzisiaj każdy zachowywał w pamięci — żywiej niż jakieś odznaczenie czy pochwałę w rozkazie — świadomość, jak się zachował, kiedy wszystko wydawało się stracone. Rząd opuścił miasto zabierając w ucieczce samochody Ministerstwa Wojny i stary Miaja musiał przeprowadzać inspekcję pozycji obronnych jeżdżąc na rowerze. Robertowi Jordanowi nie chciało się w to wierzyć. Nawet w najbardziej patriotycznych rojeniach nic mógł sobie wyobrazić Miaji na rowerze, ale Karkow twierdził, że to prawda. Tylko że napisał o tym do rosyjskich gazet, więc po napisaniu prawdopodobnie sam chciał w to wierzyć.

Jednakże była jeszcze inna sprawa, o której Karkow nie pisał. W „Palace Hotelu" miał on pod opieką trzech rannych Rosjan. Byli to dwaj czołgiści i jeden lotnik, zbyt ciężko ranni, aby ich można ruszyć, a ponieważ w tym czasie było rzeczą najwyższej wagi, że nie istniały żadne dowody rosyjskiej interwencji, które mogłyby uzasadnić jawną interwencję faszystów, Karkow miał obowiązek nie dopuścić, żeby ci ranni dostali się w ręce faszystów na wypadek ewakuacji miasta.

Gdyby doszło do oddania Madrytu, Karkow przed opuszczeniem „Palace Hotelu" miał ich otruć, ażeby uniemożliwić ustalenie ich tożsamości. Nikt nie mógłby

udowodnić, że to są Rosjanie, znalazłszy ciała trzech poranionych ludzi, z których jeden miał trzy kule w brzuchu, drugi odstrzeloną szczękę i obnażone struny głosowe, trzeci kość udową roztrzaskaną pociskiem na kawałki, a głowę i ręce tak poparzone, że twarz była jedną raną bez rzęs, bez brwi, bez włosów. Nikt nie mógłby poznać Rosjan w zwłokach tych ludzi, które pozostawiłby w łóżkach w „Palace Hotelu". Nie ma dowodu, że nagi trup jest Rosjaninem. Gdy ktoś jest trupem, nie można poznać jego narodowości ani poglądów politycznych.

Robert Jordan pytał Karkowa, co myślał o konieczności dokonania tego czynu, a Karkow odpowiedział, że ta perspektywa nie była mu przyjemna. „A jakeście chcieli to zrobić? — zapytał Robert Jordan i dodał: — Bo, wiecie, to nie takie proste nagle kogoś otruć". A Karkow odpowiedział: „I owszem, proste, jeżeli zawsze nosi się przy sobie truciznę na własny użytek". Otworzył wtedy papierośnicę i pokazał Robertowi Jordanowi, co w niej było po jednej stronie.

— Przecież pierwszą rzeczą, jaką zrobiliby po wzięciu was do niewoli, byłoby odebranie wam papierośnicy — zauważył Robert Jordan. — Kazaliby wam podnieść ręce do góry.

— Ale ja mam jeszcze trochę tutaj — uśmiechnął się Karkow pokazując klapę marynarki. — Trzeba po prostu chwycić klapę zębami, przegryźć ją i połknąć to.

— To już lepiej — rzekł wtedy Robert Jordan. — Powiedzcie mi, czy to rzeczywiście pachnie gorzkimi migdałami, tak jak zwykle opisują w powieściach kryminalnych?

— Nie wiem — odparł z rozbawieniem Karkow. — Nigdy nie wąchałem. Może stłuczemy ampułkę i powąchamy?

— Lepiej ją zachowajcie.

— Tak — odpowiedział Karkow i schował papierośnicę. — Ja, wiecie, nie jestem defetystą, ale zawsze mogą wrócić ciężkie chwile, a tego nigdzie się nie dostanie. Czytaliście komunikat z frontu kordobańskiego? Bardzo piękny. Dla mnie najlepszy ze wszystkich komunikatów.

— A co tam było? — Robert Jordan przyjechał do Madrytu właśnie z frontu kordobańskiego i na te słowa zesztywniał, podobnie jak wtedy, gdy słyszymy od kogoś żart na temat rzeczy, z której nam samym wolno żartować, natomiast innym nie. — Powiedzcie.

— *Nuestra gloriosa tropa siga avanzando sin perder ni una sola palma de verreno* — powiedział Karkow swoją dziwaczną hiszpańszczyzną.

— Chyba tam tak naprawdę nie było — odrzekł z powątpiewaniem Robert Jordan.

— „Nasze wspaniałe wojska postępują naprzód nie tracąc ani piędzi ziemi" — powtórzył Karkow po angielsku. — Tak jest w komunikacie. Wyszukam go dla was.

Miało się jeszcze w pamięci kolegów, którzy padli w walkach pod Pozoblanco, ale w „Gaylordzie" zbywano to dowcipem.

Tak więc wyglądał teraz „Gaylord". Jednakże nie istniał on zawsze i jeżeli obecnie powstała sytuacja, w której ci, co przeżyli pierwszy okres, utworzyli taki właśnie „Gaylord", to Robert Jordan był zadowolony, że go zobaczył i poznał. Daleko odszedłeś od tego, co czułeś w Sierra, pod Carabanchelem i Userą — myślał. — Demoralizujesz się bardzo łatwo. Tylko czy to jest demoralizacja, czy też po prostu wyzbyłeś się swojej początkowej naiwności? Czy nie tak samo byłoby ze wszystkim? Któż potrafi zachować tę pierwszą dziewiczość pojęć o swojej pracy, jaką mają zwykle na początku młodzi lekarze, młodzi księża i młodzi żołnierze? Księża na pewno ją zachowują albo rezygnują w ogóle. Przypuszczalnie zachowują ją też hitlerowcy — myślał — i ci komuniści, którzy mają dostatecznie surową dyscyplinę wewnętrzną. Ale taki Karkow?

Nigdy nie miał dość rozważań na temat przypadku Karkowa. Kiedy ostatnim razem był w „Gaylordzie", Karkow opowiadał bardzo interesująco o pewnym ekonomiście angielskim, który wiele czasu spędził w Hiszpanii. Robert Jordan od lat czytywał prace tego człowieka i zawsze miał dla niego szacunek nic o nim nie wiedząc. Nie bardzo mu się podobało to, co tamten pisał o Hiszpanii. Było to zbyt jasne, proste i jednostronne, i wiedział, że niektóre dane statystyczne są zniekształcone przez naginanie ich do pobożnych życzeń autora. Jednakże uważał, że rzadko podoba nam się publicystyka na temat kraju, który naprawdę znamy, i szanował tego człowieka za jego intencje.

A potem wreszcie zetknął się z nim tamtego popołudnia, kiedy nacierali w Carabanchelu. Siedzieli pod ścianą areny, z obu ulic padały strzały i wszyscy byli podenerwowani czekaniem na atak. Obiecano im czołg, ale nie przyszedł, i Montero siedział z głową opartą na ręce i powtarzał: „A czołgu nie ma. Czołgu nie ma".

Był zimny dzień, wiatr nawiewał z ulicy żółty pył, Montero miał przestrzelone ramię i czul, że mu sztywnieje. „Musimy mieć czołg — powiedział. — Musimy zaczekać na czołg, a czekać nie możemy". Pod wpływem bólu mówił rozdrażnionym tonem.

Robert Jordan zawrócił poszukać czołgu, który według przypuszczeń Montera mógł zatrzymać się za kamienicą na zakręcie linii tramwajowej. Rzeczywiście tam stał. Ale to nie był czołg. W owym czasie Hiszpanie wszystko nazywali czołgami. Był to stary samochód pancerny. Kierowca nie miał ochoty wyjechać zza węgła kamienicy i podprowadzić wozu pod arenę. Stał za nim, głowę w skórzanym hełmie wcisnął między skrzyżowane ręce, które oparł o metalowe płyty. Kiedy Robert Jordan przemówił do niego, potrząsnął tylko głową nie odrywając jej od rąk. Potem odwrócił twarz nie spojrzawszy na Roberta Jordana.

— Nie mam rozkazu tam jechać — powiedział ponuro.

Robert Jordan wyciągnął z kabury pistolet i przytknął lufę do skórzanej kurty kierowcy.

— Tu macie rozkaz — powiedział. Tamten potrząsnął głową w wielkim, skórzanym, watowanym hełmie, podobnym do tych, jakich używają gracze w piłkę nożną i odrzekł:

— Nie ma amunicji do karabinu maszynowego.

— Mamy amunicję przy arenie — odparł Robert Jordan. — No, dalej. Jazda. Tam naładujemy taśmy. Jazda!

— Nie ma komu obsługiwać karabinu — powiedział kierowca.

— A gdzie ten drugi? Wasz kolega?

— Nie żyje. Tam, w środku.

— Wyciągnijcie go — rozkazał Robert Jordan. — Wyciągnijcie go stamtąd.

— Nie chcę go dotykać — odparł kierowca. — A poza tym leży skręcony między karabinem a kołem i nie mogę przez niego przeleźć.

— Chodźcie — powiedział Robert Jordan. — Wyciągniemy go razem.

Włażąc do samochodu uderzył o coś głową i skaleczył się lekko nad brwią. Krew pociekła mu po twarzy. Zabity był ciężki i tak zesztywniały, że nie mógł go zgiąć i musiał walić trupa po głowie, aby go wypchnąć spomiędzy siedzenia i koła, gdzie wcisnął się twarzą w dół. Wreszcie udało mu się podsunąć kolano pod głowę zabitego, po czym chwycił go wpół i uwolniwszy głowę pociągnął go do drzwiczek.

— Pomóżcie mi — powiedział do kierowcy.

— Nie chcę go dotykać — odrzekł tamten i Robert Jordan zauważył, że płacze. Łzy spływały mu z obu stron nosa po zamazanej i zakurzonej pochyłości policzków, a z nosa ciekło mu także.

Stanąwszy pod drzwiczkami Robert Jordan wywlókł na chodnik zabitego, który upadł obok szyn tramwajowych, nadal w tej samej przygarbionej, zgiętej pozycji. Został tak, z woskowoszarą twarzą na betonowym chodniku, z rękami tak samo podwiniętymi pod siebie jak w samochodzie.

— Wsiadajcie, psiakrew! — krzyknął do kierowcy Robert Jordan wskazując drzwiczki pistoletem. — No, już!

Wtedy właśnie zobaczył tamtego człowieka, który wyszedł zza kamienicy. Był w długim palcie, miał gołą głowę, siwe włosy, szerokie kości policzkowe i oczy osadzone głęboko i blisko siebie. W ręku trzymał paczkę Chesterfieldów; wyjął jednego i podał Robertowi Jordanowi, który popychał kierowcę do samochodu.

— Chwileczkę, towarzyszu — powiedział po hiszpańsku do Roberta Jordana. — Możecie mi coś wyjaśnić w związku z walką?

Robert Jordan wziął papierosa i wetknął go do górnej kieszeni swej granatowej wiatrówki. Tego towarzysza poznał z fotografii. Był to ów angielski ekonomista.

— Odpieprz się — rzekł po angielsku, a potem, po hiszpańsku, do kierowcy: — Tam. Pod arenę. Widzicie?

Zatrzasnął ciężkie boczne drzwi, zaryglował je i ruszyli po długiej pochyłości, a kule zaczęły grzechotać o blachy niczym kamyki ciskane w żelazny kocioł. Potem, kiedy otworzył na nich ogień karabin maszynowy, przypominało to suche uderzenia młotka. Zajechali za arenę, gdzie obok kas wisiały jeszcze ostatnie październikowe afisze, stały poodbijane skrzynki amunicji i czekali ludzie z karabinami w rękach, z granatami u pasa i w kieszeniach, i Montero powiedział:

— Dobra. Jest czołg. Teraz możemy nacierać.

Później tej nocy, kiedy zdobyli ostatnie domy na wzgórzu Robert Jordan ułożył się wygodnie za murem z cegieł, pod wybitą w nim dziurą, która służyła jako strzelnica, patrzał na piękne, równe pole ostrzału, dzielące ich od wyniosłości, na którą wycofali się faszyści, i czuł graniczące z rozkoszą pokrzepienie na myśl, że lewe skrzydło osłonięte jest przez zbocze wzgórza, gdzie stała potrzaskana willa. Leżał na wiązce słomy, ubranie miał przepocone na wylot, więc owinął się kocem, aby obeschnąć. Leżąc tam pomyślał o ekonomiście i roześmiał się, a potem zrobiło mu się

przykro, że odpowiedział mu tak ordynarnie. Ale w owej chwili, kiedy tamten wyciągnął papierosa, nieomal jak napiwek za informacje, w Jordanie wzięła górę nienawiść człowieka walczącego do tego, który nie walczy.

Teraz przypomniał sobie, jak Karkow opowiadał o nim w „Gaylordzie".

— Więc to tam go spotkaliście — mówił Karkow. — Ja nie doszedłem tego dnia dalej niż do Puente de Toledo. A on siedział przy samym froncie. To, zdaje się, był ostatni dzień jego brawury. Nazajutrz wyjechał z Madrytu. Bodaj że najodważniej zachował się w Toledo. W Toledo był fantastyczny. Bardzo się przyczynił do zdobycia przez nas Alkazaru. Trzeba wam było go widzieć w Toledo. Moim zdaniem oblężenie zakończyło się pomyślnie w znacznej mierze dzięki jego wysiłkom i radom. To był najgłupszy okres wojny. Wtedy osiągnęła szczyty głupoty. Ale powiedzcie mi, co myślą w Ameryce o tym człowieku?

— W Ameryce uważają, że ma bliskie powiązania z Moskwą — odrzekł Robert Jordan.

— Nic podobnego — powiedział Karkow. — Ale za to ma świetną twarz, która razem z jego sposobem bycia zapewnia mu powodzenie. Ja z moją twarzą nie mógłbym nic zdziałać. To, co zdołałem osiągnąć, udało mi się na przekór mojej twarzy, która wcale nie budzi w ludziach ciepłych uczuć ani zaufania. Natomiast ten Mitchell ma twarz, która jest warta majątek. Bo to jest twarz konspiratora. Wszyscy, którzy czytali w książkach o konspiratorach, z miejsca czują do niego zaufanie. Poza tym ma sposób bycia prawdziwego spiskowca. Ktokolwiek go zobaczy wchodzącego do pokoju, od razu wie, że ma przed sobą konspiratora pierwszej wody. Wszyscy wasi bogaci rodacy, którzy w swoim mniemaniu sentymentalnie pragną dopomóc Związkowi Radzieckiemu albo też zabezpieczyć się trochę przed jakimś ewentualnym sukcesem Partii, natychmiast poznają po twarzy i zachowaniu tego człowieka, że to nie może być nikt inny, jak tylko zaufany agent Kominternu.

— A on nic ma żadnych powiązań z Moskwą?

— Żadnych. Słuchajcie, towarzyszu Jordan. Wiecie, jakie są dwa rodzaje głupców?

— Zwykli i bezdenni.

— Nie. Dwa rodzaje głupców, które mamy w Rosji. — Karkow uśmiechnął się i mówił dalej: — Najpierw jest głupiec zimowy. Głupiec zimowy staje pod drzwiami waszego domu i głośno puka. Podchodzicie do drzwi i widzicie kogoś, kogo nie

oglądaliście nigdy dotąd. A widok jest imponujący. Stoi tam wielkie chłopisko w wysokich butach, w futrze i futrzanej czapie, całe obsypane śniegiem. Naprzód tupie nogami i otrząsa z butów śnieg. Potem ściąga i strzepuje futro, i śniegu spada jeszcze więcej. Wreszcie zdejmuje czapkę i otrzepuje ją ze śniegu o drzwi. Wtedy przytupuje raz jeszcze i pcha się do izby. Patrzycie na niego i widzicie, że macie przed sobą głupca. To jest głupiec zimowy.

A znowu w lecie widzicie głupca, który idzie ulicą, macha rękami i kiwa głową z boku na bok, i każdy może poznać na dwieście kroków, że to głupiec. To jest głupiec letni. Ten ekonomista jest głupcem zimowym.

— Ale dlaczego mu tutaj ufają? — zapytał Robert Jordan.

— A przez tę gębę — odparł Karkow. — Tę jego piękną *gueule de conspirateur*[67]. I dzięki jego bezcennej sztuczce, polegającej na tym, że zawsze przychodzi skądsiś, gdzie był ogromnie ważny i zaufany. No, oczywiście — uśmiechnął się — musi bardzo dużo jeździć, żeby ta sztuczka wciąż grała. Bo wiecie, Hiszpanie to dziwni ludzie — ciągnął Karkow. — Ten rząd miał dużo pieniędzy. Dużo złota. A przyjaciołom nie chciał nic dać. Wyście przyjaciel. No, dobrze. Zrobicie swoje za darmo i nie potrzeba wam płacić. Ale za to ludziom reprezentującym wielką firmę albo kraj, który nie jest nastawiony przyjaźnie, a w którym trzeba pozyskać wpływy, dają bardzo dużo. To ogromnie ciekawe, kiedy to bliżej obserwować.

— Ja tego nie pochwalam. Poza tym te pieniądze należą do robotników hiszpańskich.

— Nie macie nic pochwalać. Tylko rozumieć — odparł Karkow. — Za każdym naszym spotkaniem uczę was czegoś nowego i w końcu zdobędziecie wykształcenie. Mieć wykształcenie, to może być cos bardzo interesującego dla profesora.

— Nie wiem, czy po powrocie będę mógł być profesorem. Pewnie mnie wyrzucą jako Czerwonego.

— No, to może uda wam się przyjechać do Związku Radzieckiego na dalsze studia. Kto wie, czy to nie byłoby dla was najlepsze.

— Kiedy moją dziedziną jest język hiszpański.

— Wiele jest krajów, gdzie mówią po hiszpańsku — odparł Karkow. — Nie w każdym musi być tak ciężko coś zrobić jak w Hiszpanii. Poza tym powinniście pamiętać, że nie jesteście profesorem już prawie od dziewięciu miesięcy. W ciągu

[67] gueule de conspirateur (fr.) - gęba konspiratora.

dziewięciu miesięcy mogliście wyuczyć się nowego zawodu. Dużoście czytali z dialektyki?

— Tylko podręcznik marksizmu wydany przez Emila Burnsa. Nic więcej.

— Jeżeliście go przeczytali w całości, to już coś jest. Ta książka ma tysiąc pięćset stron, a pewnie zatrzymaliście się chwilę przy każdej. Ale prócz tego jest jeszcze kilka innych rzeczy, które powinniśmy przeczytać.

— Teraz nie ma czasu na czytanie.

— Wiem — odparł Karkow. — Ja mówię, że przy okazji. Dużo jest rzeczy do przeczytania, które wam pozwolą trochę zrozumieć, co się tu dzieje. Ale z tego powstanie bardzo potrzebna książka; wyjaśni ona wiele spraw, o których trzeba wiedzieć. Może sam ją napiszę. Mam nadzieję, że to właśnie ja zrobię.

— Nie wiem, kto mógłby napisać ją lepiej.

— Nie pochlebiajcie mi — rzekł Karkow. — Ja jestem dziennikarzem. Ale, jak wszyscy dziennikarze, chcę pisać dzieła literackie. Właśnie w tej chwili jestem ogromnie zajęty studium o Calvie Sotelo. To był bardzo dobry faszysta, prawdziwy faszysta hiszpański. Franco taki nie jest ani cała reszta. Przestudiowałem wszystkie pisma i przemówienia Sotela. To był bardzo inteligentny człowiek i bardzo było inteligentne, że go zabili.

— Myślałem, że nie jesteście zwolennikiem zabójstw politycznych.

— To bywa stosowane bardzo szeroko — odparł Karkow. — Bardzo, bardzo szeroko.

— Ale....

— Nie jesteśmy zwolennikami aktów terrorystycznych dokonywanych przez jednostki — uśmiechnął się Karkow. — Tym bardziej, oczywiście, aktów dokonywanych przez zbrodniczych terrorystów i organizacje kontrrewolucyjne. Mamy wstręt i odrazę do dwulicowości i łajdactwa takich morderczych hien, jak bucharynowscy rozłamowcy, i takich ludzkich szumowin, jak Zinowiew, Kamieniew, Rykow i ich poplecznicy. Czujemy nienawiść i obrzydzenie do tych prawdziwych szatanów — uśmiechnął się znowu. — Ale mimo to jestem zdania, że zabójstwo polityczne bywa stosowane bardzo szeroko.

— Chcecie powiedzieć...

— Nic nie chcę powiedzieć. Ale ma się rozumieć niszczymy i rozstrzeliwujemy takich łajdaków i ludzkie szumowiny, a także zdradzieckich psubratów — generałów i

kładziemy kres oburzającemu widowisku, jakim są przeniewierczy admirałowie. Tych się niszczy. To nie jest zabójstwo. Widzicie różnicę?

— Widzę — odpowiedział Robert Jordan.

— A dlatego, że ja czasem żartuję... wy wiecie, jak niebezpiecznie bywa żartować nawet dla żartu? To dobrze. No, więc dlatego, że czasem żartuję, nie myślcie, iż lud hiszpański nie będzie kiedyś żałował, że nie rozstrzelał pewnych generałów, którzy dziś jeszcze sprawują dowództwo. Ja, uważacie, nie lubię tych wszystkich rozstrzeliwań.

— Mnie one nie przeszkadzają — powiedział Robert Jordan. — Nie lubię ich, ale już mi nie przeszkadzają.

— To wiem — odparł Karkow. — Tak mnie informowano.

— Czy to ważne? — zapytał Robert Jordan. — Chciałem po prostu być szczery.

— Można nad tym ubolewać — odparł Karkow — ale to jest jedna z rzeczy, które pozwalają uznać za godnych zaufania takich ludzi, którzy w zwykłych warunkach musieliby o wiele dłużej czekać na zaliczenie do tej kategorii.

— Czy mnie uważa się za godnego zaufania?

— W waszej pracy macie opinię człowieka bardzo pewnego. Muszę z wami kiedyś pogadać, żeby zobaczyć, co się dzieje w waszym mózgu. Szkoda, że nigdy nie rozmawiamy poważnie.

— Mój mózg jest w zawieszeniu, dopóki nie wygramy wojny — powiedział Robert Jordan.

— No, to możliwe, że nie będziecie go używali jeszcze przez długi czas. Ale powinniście pamiętać, żeby go trochę poćwiczyć.

— Czytuję «Mundo Obrero» — powiedział Robert Jordan, a Karkow odrzekł:

— A to dobre. Doskonale. Ja także lubię żarty. Ale w «Mundo Obrero» bywają rzeczy bardzo inteligentne. Jedyne inteligentne rzeczy, jakie się pisze o tej wojnie.

— Tak — odrzekł Robert Jordan. — Zgadzam się z wami. Ale na to, żeby mieć pełny obraz sytuacji, nie można czytać wyłącznie organu partyjnego.

— Nie — powiedział Karkow. — Ale choćbyście czytali dwadzieścia gazet, nie uzyskacie takiego obrazu, a gdyby nawet, to nie wiem, co byście z nim zrobili. Ja osobiście mam taki obraz prawie stale i tylko usiłuję o nim zapomnieć.

— Myślicie, że jest aż tak źle?

— Teraz już lepiej, niż było. Pozbywamy się tych najgorszych. Ale jeszcze jest bardzo parszywie. Tworzymy w tej chwili olbrzymią armię i niektóre jej elementy, takie jak Modesta, El Campesina, Listera czy Durana są pewne. Więcej niż pewne — wspaniałe. Sami się przekonacie. Poza tym mamy nadal Brygady, chociaż ich rola się zmienia. Ale armia złożona i z dobrych, i ze złych elementów nie może wygrać wojny. Wszyscy muszą być podciągnięci do pewnego poziomu uświadomienia politycznego; każdy musi wiedzieć, o co walczy i jaka jest tego waga. Każdy musi wierzyć w walkę, do której staje, i podporządkować się dyscyplinie. Tworzymy ogromną armię poborową nie mając czasu na wpojenie dyscypliny, którą taka armia musi mieć, żeby zachować się w ogniu jak należy. Nazywamy ją armią ludową, ale nie będzie miała zalet prawdziwej armii ludowej ani żelaznej dyscypliny niezbędnej w armii poborowej. Zobaczycie. To bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie.

— Nie jesteście dzisiaj w zbyt wesołym nastroju.

— Nie — odpowiedział Karkow. — Dopiero co przyjechałem z Walencji, gdzie widziałem się z różnymi ludźmi. Z Walencji nikt nie wraca w zbyt wesołym nastroju. W Madrycie ma się dobre, czyste samopoczucie i widzi się tylko możliwość zwycięstwa. A Walencja to co innego. Wciąż rządzą tam ci tchórze, którzy uciekli z Madrytu. Dla tych, co są w Madrycie, mają tylko pogardę. Ich manią prześladowczą jest teraz osłabienie komisariatu wojny. No, a Barcelona! Trzeba wam widzieć Barcelonę.

— Jak tam jest?

— Ciągle jak w operze komicznej. Najpierw to był raj postrzeleńców i romantycznych rewolucjonistów. Teraz jest raj malowanych żołnierzy. Takich, co lubią zawadiacko paradować w mundurach i nosić czerwono-czarne szaliki. Takich, którym na wojnie podoba się wszystko z wyjątkiem walki. W Walencji chce się człowiekowi rzygać, a w Barcelonie śmiać.

— A co z tym puczem POUM—u?

— POUM nie był nigdy poważny. To była herezja półgłupków i wariatów, a w gruncie rzeczy po prostu infantylizm. Znalazło się tam kilku uczciwych, ale wprowadzonych w błąd ludzi, jedna niezgorsza głowa i trochę faszystowskich pieniędzy. Niewiele. Biedny ten POUM. To bardzo niemądrzy ludzie.

— Ale czy dużo było ofiar podczas puczu?

— Nie tyle, co rozstrzelanych później albo tych, którzy jeszcze będą rozstrzelani. Ten cały POUM! On jest taki jak jego nazwa. Niepoważny. Powinni go byli nazwać ŚWINKA albo ODRA. Chociaż nie. Odra jest znacznie niebezpieczniejsza. Może się rzucić na oczy i uszy. Ale wiecie, że tam uknuli spisek, żeby zamordować mnie, zamordować Waltera, zamordować Modesta i Prieta. Widzicie, jak im się wszystko pokiełbasiło? Przecież wcale nic jesteśmy jednakowi. Biedny POUM. I w końcu nikogo nie zabili. Ani na froncie, ani gdzie indziej. No, te kilka osób w Barcelonie.

— Byliście tam?

— Tak. Wysłałem telegram opisujący nikczemność tej łajdackiej organizacji trockistowskich morderców oraz ich faszystowskie machinacje, niegodne nawet pogardy, ale mówiąc między nami ten POUM jest niepoważny. Jedyny człowiek, jakiego mieli, to był Nin. Złapaliśmy go, ale wymknął nam się z rąk.

— A gdzie jest teraz?

— W Paryżu. Mówimy, że w Paryżu. To był bardzo przyjemny gość, tylko że paskudnie skrzywiony politycznie.

— Ale oni przecież kontaktowali się z faszystami, prawda?

— A któż tego nie robi?

— My.

— Kto wie? Mam nadzieję, że nie. Ale wy sami często chodzicie za ich linie — uśmiechnął się. — A w zeszłym tygodniu brat jednego z sekretarzy republikańskiej ambasady w Paryżu pojechał do St. Jean de Luz, żeby się spotkać z przedstawicielami Burgos.

— Wolę już być na froncie — powiedział Robert Jordan. — Im bliżej frontu, tym lepsi ludzie.

— A jak wam się podoba za faszystowskimi liniami?

— Bardzo. Mamy tam doskonałych ludzi.

— A widzicie, oni też muszą mieć doskonałych ludzi za naszymi liniami. Wyłuskujemy ich i rozstrzeliwujemy, a oni wyłuskują i rozstrzeliwują naszych. Kiedy jesteście na ich terenie, powinniście zawsze pamiętać, ilu swoich muszą przerzucać do nas.

— Myślałem o tym.

— No — powiedział Karkow. — Pewnie macie na dzisiaj dość do myślenia, więc dopijcie tego piwa, co zostało w dzbanku, i uciekajcie, bo muszę iść na górę, żeby się z kimś zobaczyć. Z kimś z górnych pięter. Wpadnijcie do mnie niedługo.

Tak — myślał teraz Robert Jordan. — Dużo można nauczyć się w „Gaylordzie". Karkow przeczytał jego jedyną wydrukowaną książkę. Nie cieszyła się powodzeniem. Miała tylko dwieście stron i Robert Jordan wątpił, czy przeczytało ją bodaj dwa tysiące osób. Zawarł w niej wszystko, czego dowiedział się o Hiszpanii w ciągu dziesięciu lat podróżowania po niej pieszo, w wagonach trzeciej klasy, w autobusach, konno, na mułach i ciężarówkach. Znal dobrze Baskonię, Navarrę, Aragonię, Galicję, obie Kastylie i Estremadurę. Barrow, Ford i inni napisali już tak dobre książki, że mógł do tego dodać bardzo niewiele. Ale Karkow twierdził, że jego książka jest dobra.

— Dlatego się wami zajmuję — powiedział kiedyś. — Uważam, że piszecie absolutną prawdę, a to jest bardzo rzadkie. Toteż chciałbym, żebyście wiedzieli pewne rzeczy.

Więc dobrze. Jak już z tym skończy, napisze kiedyś książkę. Ale tylko o rzeczach, które naprawdę zna, i o tym, co mu wiadomo. Jednak, żeby te sprawy pokazać, będę musiał pisać o wiele lepiej niż dotąd — pomyślał. To, czego dowiedział się podczas tej wojny, nie było takie proste.

XIX

— Co tu porabiasz? — zapytała Maria. Stanęła przy nim, a on obrócił głowę i uśmiechnął się.

— Nic — odpowiedział. — Tak sobie rozmyślałem.

— O czym? O moście?

— Nie. Z mostem już skończyłem. O tobie, o jednym hotelu w Madrycie, gdzie znam paru Rosjan, i o książce, którą kiedyś napiszę.

— Czy w Madrycie jest dużo Rosjan?

— Nie. Bardzo mało.

— A w faszystowskich tygodnikach piszą, że setki tysięcy.

— To kłamstwo. Jest ich bardzo niewielu.

— Lubisz Rosjan? Ten, co tu był to także Rosjanin.

— A tyś go lubiła?

— Tak. Byłam wtedy chora, ale wydawał mi się bardzo piękny i dzielny.

— Piękny? Co za bzdura! — odezwała się Pilar. — Nos miał płaski jak moja ręka, a kości policzkowe rozstawione niczym barani zadek.

— To był mój dobry przyjaciel i kolega — powiedział Robert Jordan do Marii. — Bardzo go lubiłem.

— Tak — odparła Pilar. — Aleś go zastrzelił.

Na te słowa grający w karty podnieśli wzrok znad stołu, a Pablo wpatrzył się w Roberta Jordana. Nikt się nie odezwał; po chwili Cygan Rafael zapytał:

— Czy to prawda, Roberto?

— Tak — odrzekł Robert Jordan. Żałował, że Pilar to powiedziała i że wspomniał o tym u El Sorda. — Na jego własne żądanie. Był ciężko ranny.

— *Qué cosa mas rara*[68] — powiedział Cygan. — Kiedy był z nami, wciąż mówił o takiej możliwości. Nie wiem, ile razy musiałem mu obiecywać, że to uczynię. To ci osobliwa rzecz! — powtórzył kiwając głową.

— Bo też to był osobliwy człowiek — rzekł Primitivo. — Wielce osobliwy.

[68] Qué cosa mas rara (hiszp.) - co za historia.

— Słuchajcie — odezwał się Andrés, jeden z braci. — Wy, co jesteście profesor i tak dalej. Wierzycie, że człowiek może przewidzieć, co się z nim stanie?

— Moim zdaniem nie może — odparł Robert Jordan. Pablo wpatrywał się w niego ciekawie, a Pilar obserwowała go także, ale jej twarz była bez wyrazu. — W tym wypadku nasz rosyjski towarzysz miał stargane nerwy, bo za długo siedział na froncie. Walczył pod Irunem, gdzie, jak wiecie, było ciężko. Bardzo ciężko. Później bił się na północy. A odkąd utworzono pierwsze grupy, działające za nieprzyjacielskimi liniami, pracował tutaj, w Estremadurze i w Andaluzji. Przypuszczam, że był przemęczony, wyczerpany nerwowo i wyobrażał sobie różne paskudne rzeczy.

— Musiał niezawodnie napatrzyć się wielu okropności — rzekł Fernando.

— Jak wszyscy — powiedział Andrés. — Ale słuchajcie, Inglés, czy myślicie, że jest to możliwe, aby człowiek wiedział z góry, co mu się przytrafi?

— Nie — odparł Robert Jordan. — To tylko ciemnota i przesąd.

— Mów dalej — wtrąciła Pilar. — Posłuchajmy, jaki jest punkt widzenia profesora. — Powiedziała to takim tonem, jakby zwracała się do przedwcześnie rozwiniętego dziecka.

— Uważam, że strach rodzi złe przywidzenia — zaczął Robert Jordan. — Kiedy ktoś widzi jakieś złe znaki...

— Takie jak dziś te samoloty — wtrącił Primitivo.

— Jak twoje przybycie — powiedział cicho Pablo.

Robert Jordan spojrzał na niego ponad stołem, ale widząc, że to nie zaczepka, tylko wyrażenie pewnej myśli, mówił dalej: — Kiedy ktoś widzi złe znaki, a jest strachliwy, wyobraża sobie, że z nim już koniec, i myśli, że ma przeczucie. Wydaje mi się, że to jest tylko to. Nie wierzę w ludojadów, wróżbitów ani w żadne nadprzyrodzone rzeczy.

— Ale ten o dziwnym nazwisku wyraźnie przewidział swój los — rzekł Cygan. — I tak się też stało.

— Wcale go nie przewidział — odparł Robert Jordan. — Bal się takiej możliwości i to stało się u niego obsesją. Nikt mi nie powie, że kiedyś coś przewidział..

— Nawet ja? — zapytała Pilar i zebrawszy z paleniska trochę popiołu zdmuchnęła go z dłoni. — Ja też nie mogłabym tego powiedzieć?

— Nie. Nawet ty razem z wszystkimi twoimi cygańskimi czarami.

— Bo ty jesteś istnym cudem głuchoty — rzekła Pilar, której szeroka twarz wyglądała surowo i potężnie w świetle świecy. — Nie żebyś był głupi. Aleś po prostu głuchy. Kto głuchy, ten nie słyszy muzyki. Ani nie słyszy radia. Więc ponieważ ich nigdy nie słyszał, może twierdzić, że takie rzeczy nie istnieją. *Qué va*, Inglés. Śmierć tego o dziwnym nazwisku widziałam na jego twarzy tak wyraźnie, jakby ją tam wypalono gorącym żelazem.

— Wcale nie — zaprzeczył Robert Jordan. — Widziałaś strach i niepokój. Strach wywołało to wszystko, co przeszedł. Niepokój budziła możliwość nieszczęścia, które sobie uroił.

— *Qué va* — powtórzyła Pilar. — Widziałam śmierć tak wyraźnie, jak gdyby mu siedziała na ramieniu. A co więcej, on cuchnął śmiercią.

— Cuchnął śmiercią! — powiedział drwiąco Robert Jordan.

— Może strachem? Strach także ma swój zapach.

— *De la muerte* — powtórzyła Pilar. — Posłuchaj. Kiedy Blanquet, który był największym *peon de brega*[69], jaki kiedykolwiek istniał, pracował pod rozkazami Granero, opowiadał mi, że w dniu śmierci Manola Granero wstąpili do kaplicy po drodze na arenę i od Manola rozchodził się taki silny odór śmierci, że Blanqueta o mało nie zemdliło. A przecież Manolo przy nim wziął kąpiel i przebrał się w hotelu, zanim wyszli na walkę byków. Odoru nie czuło się w samochodzie, kiedy jechali do cyrku ściśnięci wszyscy razem. Nie poczuł go też nikt inny w kaplicy, oprócz Juana Luisa de la Rosa. Marcial i Chicuelo nie czuli go ani wtedy, ani później, kiedy we czterech ustawiali się do *paseo*. Za to Juan Luis był podobno śmiertelnie blady i Blanquet zagadał do niego mówiąc:

„Ty także?"

„Że aż nie mogę oddychać — odpowiedział mu Juan Luis. — I to od twojego matadora".

„*Pues nada* — powiedział Blanquet. — Nic się nie poradzi. Miejmy nadzieję, żeśmy się pomylili".

„A tamci?" — zapytał Blanqueta Juan Luis.

„*Nada* — odpowiedział Blanquet. — Nic. A on cuchnie gorzej niż Jose w Talaverze".

---

[69] peon de brega (hiszp.) - — inaczej: banderillero; torero zatrudniony przez matadora, zadaniem jego jest pomoc w przepędzaniu byka i rozdrażnienie zwierzęcia przy pomocy banderillas.

I właśnie tego popołudnia byk Pocapena z rancza Veragua rozmiażdżył Manola Granero o deski bariery, przed *tendido* numer dwa, na Plaza de Toros w Madrycie. Byłam tam wtedy z Finitem i widziałam wszystko. Róg całkiem rozniósł mu czaszkę, jako że głowa Manola wtłoczyła się pod *estribo* u spodu *barrery*, gdzie rzucił go byk.

— Ale czuliście coś wtedy? — zapytał Fernando.

— Nie — odpowiedziała Pilar. — Bo byłam za daleko. Siedzieliśmy w siódmym rzędzie *tendido* numer trzy. Właśnie dlatego widziałam z boku wszystko, co się działo. Tego samego wieczora, u Fornosa, opowiedział o tym Finitowi Blanquet, który pracował także pod Joselitem, kiedy ten zginął. Finito zapytał Juana Luisa da la Rosa, ale Juan nic nie chciał powiedzieć. Kiwnął tylko głową, że to prawda. Byłam przy tym. Więc widzisz, Inglés, możliwe, żeś głuchy na pewne rzeczy, podobnie jak owego dnia byli na to głusi Chicuelo, Marcial Lalanda, wszyscy ich *banderilleros* i pikadorzy, i cała *gente* Juana Luisa i Manola Granero. Ale Juan Luis i Blanquet głusi nie byli. I ja też nie jestem głucha na takie rzeczy.

— Dlaczego powiadacie „głucha", kiedy to sprawa nosa? — zapytał Fernando.

— *Leche!* — zaklęła Pilar. — To ty powinieneś być profesorem w miejsce Inglésa. Mogłabym powiedzieć ci jeszcze inne rzeczy, Inglés, więc nigdy nie powinieneś wątpić w to, czego nie możesz po prostu zobaczyć albo usłyszeć. Nie zdołasz dosłyszeć tego, co słyszy pies. I nie poczujesz tego, co pies czuje. A jednak wiesz już trochę z doświadczenia, co może przydarzyć się człowiekowi.

Maria położyła dłoń na ramieniu Roberta Jordana, a on nagle pomyślał: Skończmy już z tymi bzdurami i korzystajmy z czasu, który nam pozostaje. Tylko że jeszcze za wcześnie. Trzeba jakoś zabić resztę popołudnia. Powiedział więc do Pabla:

— A ty wierzysz w te czarodziejstwa?

— Czy ja wiem... — odrzekł Pablo. — Jestem raczej twojego zdania. Nigdy nie przydarzyło mi się nic nadprzyrodzonego. Ale strach, owszem, na pewno. Bardzo często. Jednakże myślę, że Pilar umie czytać z ręki. Jeżeli nie kłamie, to może i prawda, że coś takiego poczuła.

— *Qué va*, co ja mam kłamać — powiedziała Pilar. — To nie mój wymysł. Ten Blanquet był człowiekiem niezmiernie poważnym, a co więcej, bardzo nabożnym. Żaden tam Cygan; mieszczanin z Walencji. Tyś nigdy go nie widział?

— I owszem — odrzekł Robert Jordan. — Widziałem go wiele razy. Był niski, blady i nikt nie umiał władać kapą lepiej od niego. A ruszał się żwawo jak królik.

— Właśnie — odpowiedziała Pilar. — Twarz miał bladą, bo był sercowy, i Cyganie powiadali, że nosi z sobą śmierć, ale potrafi odegnać ją kapą, tak jak się okurza stół. A jednak on, który nie był Cyganem, poczuł woń śmierci od Joselita, kiedy ten walczył w Talaverze. Chociaż właściwie nie wiem, jak mógł to wywąchać poprzez zapach *manzanilii*. Później Blanquet wspominał o tym bardzo chętnie, a ci, z którymi gadał, twierdzili, że to fantazja i że czuł tylko zapach życia, jakie Joselito naówczas prowadził, wydzielający się w pocie spod pach. No, ale później zdarzyło się tamto z Manolem Granero, w czym Juan Luis de la Rosa brał także udział. Oczywiście Juan Luis był niezbyt honorowym człowiekiem, choć bardzo wrażliwym w swojej pracy, a także wielkim psem na kobiety. Ale Blanquet był ogromnie poważny i spokojny, i całkiem niezdolny do kłamstwa. A powiadam ci, żem czuła śmierć od tego twojego kolegi, który był tutaj.

— Nie wierzę — odrzekł Robert Jordan. — Poza tym mówisz, że Blanquet poczuł to przed samym *paseo*. Przed samym rozpoczęciem walki byków. No a to tutaj z pociągiem udało się przecież wam i Kaszkinowi. Wtedy Kaszkin nie zginął. Więc jakże mogłaś to czuć?

— Jedno nie ma nic do drugiego — wyjaśniła Pilar. — Podczas swojego ostatniego sezonu Ignacio Sanchez Mejias tak silnie cuchnął śmiercią, że wielu nie chciało z nim usiąść w kawiarni. Wszyscy Cyganie o tym wiedzieli.

— Takie rzeczy wymyśla się po czyjejś śmierci — oświadczył Robert Jordan. — Każdy wiedział, że Sanchez Mejias jest na prostej drodze do *cornady*, bo za długo był bez treningu, walczył stylem ciężkim i niebezpiecznym, utracił siłę i zwinność w nogach i nie miał już takiego refleksu jak dawniej.

— Pewnie — odrzekła Pilar. — To wszystko prawda. Ale Cyganie wiedzieli też, że cuchnie śmiercią, i kiedy wchodzili do „Villa Rosa", bywało, że tacy ludzie, jak Ricardo czy Felipe Gonzales uciekali małymi drzwiczkami za barem.

— Pewnie mu byli winni pieniądze — powiedział Robert Jordan.

— Możliwe — rzekła Pilar. — Bardzo możliwe. Ale także to czuli i wszyscy o tym wiedzieli.

— To prawda, co ona mówi, Inglés — odezwał się Cygan Rafael. — U nas to są rzeczy dobrze znane.

— Nie wierzę w to ani trochę — powiedział Robert Jordan.

— Słuchaj, Inglés — zaczął Anselmo. — Ja jestem przeciwny wszelakim czarom. Ale ta Pilar słynie ze swojej biegłości w tych sprawach.

— No dobrze, ale jak to pachnie? — zapytał Fernando. — Jaką to ma woń? Bo jeżeli jest woń, to przecież musi być określona.

— Chcesz wiedzieć, Fernandito? — uśmiechnęła się do niego Piiar. — Myślisz, że mógłbyś to poczuć?

— Jeżeli coś takiego naprawdę istnieje, to czemu nie miałbym poczuć tak samo jak i każdy?

— Czemu nie? — zażartowała Pilar splatając wielkie dłonie na kolanach. — Byłeś ty kiedy na statku, Fernando?

— Nie. I wcale bym nie chciał.

— To chyba byś nie poznał tego zapachu. Bo jest po trosze taki jak podczas burzy, kiedy na statku pozamykają okienka kajut. Przytknij nos do mosiężnej klamki zakręconego okienka na rozkołysanym statku, który przewala się pod tobą, że aż ci słabo, i czujesz drążenie w żołądku — a będziesz miał cząstkę tego zapachu.

— Byłoby dla mnie niepodobieństwem go poznać, jako że za nic nie wsiądę na żaden statek — oświadczył Fernando.

— Ja kilka razy pływałam na statkach — powiedziała Pilar. — I do Meksyku, i do Wenezueli.

— No a jaka jest reszta? — zapytał Robert Jordan.

Pilar spojrzała na niego drwiąco; w tej chwili wspominała z dumą swoje podróże.

— Dobrze, Inglés. Ucz się. Tego ci trzeba. Ucz się. Bardzo dobrze: Więc po tym statku powinieneś zejść wczesnym rankiem do *matadero* przy Puente de Toledo w Madrycie i kiedy z Manzanaresu podnosi się mgła, przystanąć na mokrym chodniku i czekać na stare kobiety, które przed świtem przychodzą napić się krwi zarżniętego bydła. Gdy taka starucha wyjdzie z *matadero*, owinięta szalem, z popielatą twarzą i zapadniętymi oczami, z kępkami sterczących włosów na brodzie i policzkach, włosów, co wyrastają z woskowej bladości jej twarzy jak kiełki z ziarnka grochu i nie są szczeciną, ale bladymi kiełkami na śmierci jej twarzy — wtedy obejmij mocno taką staruchę, Inglés, przytul ją i pocałuj w usta, a poznasz drugą cząstkę tego zapachu.

— To mi odebrało apetyt — powiedział Cygan. — To z tymi kiełkami było za mocne.

— Chcesz dalej słuchać? — spytała Pilar Roberta Jordana.

— Jasne — odrzekł. — Uczmy się, jeżeli trzeba się uczyć.

— Zemdliło mnie od tego z tymi kiełkami na gębie staruchy — oświadczył Cygan. — Dlaczego to musi być u starych bab, Pilar? U nas tego nie ma.

— Nie — odpowiedziała kpiąco Pilar. — U nas stara kobieta, taka, co za młodu była szczupła, ma się rozumieć poza tym stałym bandziochem, który jest znakiem łask męża, i który każda Cyganka ciągle przed sobą obnosi...

— Nie mów tak — przerwał Rafael. — To niegodne.

— Razi cię, co? — odparła Pilar. — A widziałeś ty kiedy gitanę, która nie miałaby zaraz urodzić albo dopiero co nie urodziła dziecka?

— Ciebie.

— Zostaw — powiedziała Pilar. — Nie ma człowieka którego nie można by dotknąć. Chciałam tylko powiedzieć, że starość każdemu przynosi taką czy inną szpetotę. Nie trzeba się nad tym rozwodzić. Ale jeżeli Inglés ma się dowiedzieć coś o tym zapachu, który tak chciałby rozpoznać, to musi wczesnym rankiem pójść pod *matadora*.

— Pójdę tam — powiedział Robert Jordan. — Ale poczuję ten zapach bez całowania, kiedy będą przechodziły. Mnie też przerażają te kiełki, jak Rafaela.

— Pocałuj taką staruchę — rzekła Pilar. — Pocałuj taką, Inglés, dla własnej nauki, a potem, zatrzymawszy w nozdrzach tę woń, zawróć do miasta i kiedy zobaczysz kosz śmieci, w którym leżą zwiędnięte kwiaty, wetknij weń nos głęboko i wdychaj tak, żeby ich zapach zmieszał się z tymi, które już masz w kanale oddechowym.

— Już to zrobiłem — powiedział Robert Jordan. — A jakie to mają być kwiaty?

— Chryzantemy.

— Mów dalej — rzekł Robert Jordan. — Już je czuję.

— No więc — ciągnęła Pilar — jest rzeczą ważną, aby to była jesień czy nawet początek zimy, a dzień deszczowy albo przynajmniej mglisty. Pójdziesz wtedy dalej przez miasto, na Calle de Salud i będziesz wąchał zapachy z *casas de putas*[70], kiedy je wymiatają i wylewają kubły do ścieków. Gdy ta woń strwonionego miłosnego znoju, pomieszana ze słodkawym zapachem mydlin i niedopałków doleci do twoich nozdrzy, powinieneś pójść do Ogrodu Botanicznego, gdzie nocą te dziewczyny, co już nie mogą

[70] casas de putas (hiszp.) — domy publiczne.

pracować w domach publicznych, robią swoją robotę oparte o bramy parku, pod żelaznymi sztachetami ogrodzenia i na chodnikach. Tam, w cieniu drzew, pod żelaznym parkanem, spełniają wszystko, czego może zapragnąć mężczyzna: od żądań najprostszych, płatnych po dziesięć centimos, aż do pesety za ów wielki akt, do którego się rodzimy. Tam, na klombie zwiędłych kwiatów, których jeszcze nie powyrywano, żeby zasadzić nowe, na klombie, gdzie ziemia jest miększa od chodnika, znajdziesz porzucony worek jutowy, pachnący wilgotną ziemią, zwiędłymi kwiatami i dziejami tej nocy. W tym worku zawarta będzie sama esencja wszystkiego: zapach martwej ziemi, martwych łodyg kwiatów, ich przegniłych kielichów i ta woń, która jest zarazem śmiercią i narodzinami człowieka. Tym workiem owiniesz sobie głowę i spróbujesz przez niego odetchnąć.

— Nie.

— Tak — powiedziała Pilar. — Owiniesz nim sobie głowę i spróbujesz odetchnąć, a wtedy, jeśli nie zagubiłeś żadnego z poprzednich zapachów, poczujesz nabrawszy głęboko tchu ten odór przyszłej śmierci, który my znamy.

— Dobrze — odparł Robert Jordan. — I mówisz, że kiedy Kaszkin tu był, pachniał w ten sposób?

— Tak.

— No — rzekł poważnie Robert Jordan. — Jeżeli to prawda, to dobrze, że go zastrzeliłem.

— *Ole* — zawołał Cygan. Pozostali roześmieli się.

— Doskonale — przytaknął Primitivo. — To ją przynajmniej zatka na chwilę.

— Ależ, Pilar — odezwał się Fernando. — Przecież nic możesz wymagać, żeby człowiek o takim wykształceniu jak don Roberto robił podobne paskudztwa.

— Nie — przyznała Pilar.

— To wszystko jest najwyższą obrzydliwością.

— Tak — zgodziła się Pilar.

— Chyba się nie spodziewasz, żeby mógł rzeczywiście dokonać czynów tak poniżających?

— Nie spodziewam się — odparta Pilar. — Idź ty spać, dobrze?

— Ale, Pilar... — ciągnął Fcrnando.

— Stul gębę! — krzyknęła nagle Pilar ze złością. — Nie rób z siebie wariata, a ja postaram się nie robić z siebie wariatki i nie gadać z takimi, którzy nie rozumieją, co się do nich mówi.

— Wyznaję, że nic rozumiem — zaczął Fernando.

— Nic nie wyznawaj i nie staraj się zrozumieć — powiedziała Pilar. — Czy śnieg wciąż pada?

Robert Jordan podszedł do wylotu jaskini, uniósł derkę i wyjrzał na dwór. Noc była pogodna, zimna i śnieg nie padał. Popatrzał na biel leżącą między drzewami, a potem w górę, na czyste już teraz niebo. Kiedy odetchnął, do płuc wpadło mu ostre, zimne powietrze.

El Sordo zostawi dużo śladów, jeżeli dziś ukradnie konie — pomyślał.

Opuścił derkę i wrócił do zadymionej jaskini.

— Przejaśniło się — powiedział. — Już po burzy.

XX

Leżał wśród nocy i czekał na dziewczynę. Wiatru nie było i sosny stały nieruchomo w mroku. Ich pnie sterczały ze śniegu pokrywającego ziemię; Robert Jordan leżał w śpiworze, czul, jak ugina się pod nim legowisko, które sobie przygotował, nogi miał wyciągnięte w cieple śpiwora, a ostre powietrze chłodziło mu głowę i wpadało w nozdrza przy oddechu. Leżał na boku, pod głową miał węzełek ze spodni i kurtki, w które zawinął buty, ażeby zrobić sobie poduszkę, a jego ciała dotykał zimny metal dużego pistoletu, który rozbierając się wyjął z kabury i przytroczył sobie linewką do przegubu prawej ręki. Obserwując ponad śniegiem ciemną szczelinę w skalach, gdzie było wejście do jaskini, odłożył pistolet i głębiej wsunął się w śpiwór. Niebo było czyste, a odblask od śniegu pozwalał dojrzeć pnie drzew i wypukłość skały w miejscu, gdzie była jaskinia.

Nieco wcześniej tego wieczora wziął z jaskini siekierę, poszedł po świeżym śniegu na skraj polanki i ściął mały świerk. W ciemnościach przyciągnął go pod skalną ścianę. Tam, pod skałą ustawił drzewko pionowo, przytrzymał je mocno za czubek jedną ręką i ująwszy drzewce siekiery przy samej głowicy obciosał wszystkie gałęzie, aż uzbierał się spory ich stosik. Wtedy położył ogołocony pniak na śniegu obok gałęzi i wszedł do jaskini po krótką deskę, którą tam zauważył pod ścianą. Tą deską odgarnął śnieg z ziemi pod skałą, następnie zebrał obciosane gałęzie, strząsnął z nich śnieg i poukładał warstwami jak zachodzące na siebie pióropusze, aż utworzyło się legowisko. Pień drzewka ułożył poprzecznie w nogach, ażeby utrzymać gałęzie na miejscu, i umocował go dwoma spiczastymi kawałkami drewna, które odłupał z deski. Następnie odniósł do jaskini siekierę i deskę schylając się, kiedy przechodził pod derką, i obie postawił pod ścianą.

— Coś robił na dworze? — spytała Pilar.

— Łóżko.

— Nie obłupujże na to łóżko mojej nowej półki.

— Przepraszam.

— Nieważne — powiedziała. — W tartaku znajdzie się więcej desek. A cóż to za łóżko zrobiłeś?

— Takie jak w moim kraju.

— To śpij na nim smacznie — powiedziała wtedy Pilar, a Robert Jordan otworzył jeden z plecaków, wyciągnął śpiwór, schował z powrotem rzeczy, które były w niego zawinięte, wyniósł śpiwór z jaskini schylając się znowu pod derką i rozłożył go na gałęziach, tak że zaszyty koniec opierał się o pień świerczka umocowany kolkami w nogach legowiska. Otwarty górny koniec śpiwora osłaniała od wiatru skalna ściana. Następnie wrócił do jaskini po plecaki, ale Pilar powiedziała:

— Mogą spać ze mną, jak zeszłej nocy.

— Nie wystawicie posterunków? — zapytał. — Noc jest pogodna, a burza już przeszła.

— Fernando pójdzie — odrzekła Pilar.

Maria była w głębi jaskini i Robert Jordan jej nie widział.

— Życzę wszystkim dobrej nocy — powiedział. — Idę spać.

Inni rozkładali przed paleniskiem koce i zwinięte posłania, odsuwali zbite z desek stoły i kryte surową skórą zydle, ażeby zrobić sobie miejsce do spania, i tylko Primitivo i Andrés podnieśli głowy i odpowiedzieli:

— *Buenas noches*.

Anselmo chrapał już w kącie zawinięty w koc i pelerynę, tak że nawet nosa nie było widać, a Pablo spał na zydlu.

— Chcesz owczą skórę do tego swojego łóżka? — spytała cicho Pilar Roberta Jordana.

— Nie, dziękuję — odparł. — Nie trzeba.

— Śpij dobrze — rzekła. — Odpowiadam za twoje materiały.

Fernando wyszedł z nim i na chwilę przystanął nad rozłożonym śpiworem.

— Dziwny macie pomysł z tym sypianiem na dworze, don Roberto — powiedział stojąc w ciemnościach, okutany w pelerynę, z karabinem zawieszonym na ramieniu.

— Jestem przyzwyczajony. Dobranoc.

— A, jeżeliście przyzwyczajeni...

— Kiedy was zmienią?

— O czwartej.

— Przedtem zrobi się bardzo zimno.

— Jestem przyzwyczajony.

— A, jeżeliście przyzwyczajeni... — powiedział uprzejmie Robert Jordan.

— Tak — potwierdził Fernando. — No, muszę już iść. Dobranoc, don Roberto.

— Dobranoc, Fernando.

Zrobił sobie zagłówek z ubrania, wsunął się do śpiwora i czekał; pod ciepłą, flanelową, puchową lekkością śpiwora wyczuwał uginające się gałęzie, patrzał nad śniegiem w wylot jaskini i czul, jak serce bije mu z wyczekiwania.

Noc była pogodna, umysł miał równie czysty i chłodny jak powietrze. Wciągał nozdrzami zapach świerkowych gałęzi, na których leżał, choinowy aromat zgniecionego igliwia i ostrzejszą woń żywicy wyciekającej z odrąbanych gałęzi. Ta Pilar — myślał. — Ta Pilar z tym swoim odorem śmierci! Taki zapach jak teraz, to lubię. I jeszcze zapach świeżo skoszonej koniczyny i dzikiej szałwii rozgniatanej kopytami konia, kiedy się jedzie za bydłem, i dym płonącego drewna, i palone jesienne liście. To musi być woń tęsknoty, ten zapach dymu ze stosów zgrabionych liści, które jesienią palą na ulicach Missouli. Co wolałbyś wąchać? Słodkie trawy, których Indianie używają do wyplatania koszyków? Suszoną w dymie skórę? Zapach ziemi na wiosnę po deszczu? Czy morza, kiedy się idzie przez janowce na jakimś przylądku w Galicji? Czy też wiatr wiejący od lądu, gdy nocą podpływa się do Kuby? Jest w nim aromat kwiatów kaktusa, mimozy i wodorostów. A może wolałbyś zapach boczku smażonego rano, gdy jesteś głodny? Albo porannej kawy? Albo czerwonego jabłka, kiedy je nadgryzasz? Albo tłoczni, na której robią jabłecznik, czy chleba prosto z pieca? Musisz być głodny — pomyślał, obrócił się na bok i przy odbitym od śniegu świetle gwiazd patrzał na wejście do jaskini.

Ktoś wyszedł na dwór schylając się pod derką; widział, że przystanął obok szczeliny w skalach, gdzie było wejście do jaskini. Usłyszał śliski plusk na śniegu, po czym tamten pochylił się i wrócił do środka.

Chyba nie przyjdzie, dopóki wszyscy nie zasną — myślał. — To jest marnowanie czasu. Połowa nocy już przeszła. Och, Maria! Przyjdź jak najprędzej, Maria, bo czasu już mało.

Dosłyszał miękki szelest okiści osypującej się z gałęzi na śnieg, który pokrywał ziemię. Zrywał się lekki powiew. Poczuł go na twarzy. Nagle zdjęło go przerażenie, że Maria może nie przyjść. Zrywający się wiatr przypomniał mu, że już niedługo będzie świt. Z gałęzi znowu osypało się trochę śniegu, kiedy powiew poruszył koronami drzew.

Przyjdź już, Maria. Przyjdź szybko, proszę cię — myślał. — Och, przyjdź zaraz. Nie czekaj. Już teraz nie warto czekać, aż wszyscy zasną.

W tej chwili zobaczył ją wychodzącą spod derki, która zasłaniała wylot jaskini. Przystanęła na chwilę; wiedział, że to ona, ale nie mógł dojrzeć, co robi. Zagwizdał cicho, ale Maria wciąż stała u wejścia, zajęta czymś w cieniu skały. Potem zaczęła biec trzymając coś w rękach i dojrzał ją, długonogą, nadbiegającą po śniegu. A potem już klęczała przy śpiworze i przytuliwszy mocno głowę do ramienia Roberta Jordana otrzepywała śnieg ze stóp. Pocałowała go i podała mu węzełek.

— Połóż to przy swojej poduszce — rzekła. — Zdjęłam wszystko, żeby nie tracić czasu.

— Przyszłaś boso po śniegu?

— Tak — odpowiedziała — i tylko w mojej ślubnej koszuli.

Objął ją mocno, a ona potarła głową o jego brodę.

— Nie dotykaj moich stóp— powiedziała. — Bo bardzo są zimne, Roberto.

— Włóż je tu i ogrzej.

— Nie — odrzekła. — Zaraz się rozgrzeją. Ale teraz powiedz prędko, że mnie kochasz.

— Kocham cię.

— To dobrze, dobrze, dobrze.

— Kocham cię, króliczku.

— Podoba ci się moja ślubna koszula?

— To ta sama, co przedtem?

— Tak. Ta, co zeszłej nocy. Moja ślubna.

— Daj tutaj stopy.

— Nie, to byłoby niełądnie. Same się zagrzeją. Ja w nich nie czuję zimna. Tylko ciebie ziębią od śniegu. Powiedz to jeszcze raz.

— Kocham cię, mój króliczku.

— Ja też cię kocham i jestem twoją żoną.

— Czy tamci już śpią?

— Nie — odpowiedziała. — Ale nie mogłam dłużej wytrzymać. A zresztą, czy to ważne?

— Nie — odrzekł czując ją przy sobie, szczupłą, długą, cudownie ciepłą. — Nic nie jest ważne poza tym.

— Połóż mi rękę na głowie — powiedziała — to zobaczę, czy potrafię cię całować. — Czy tak było dobrze? — zapytała.

— Bardzo — odparł. — Zdejmij tę ślubną koszulę.

— Chcesz, żebym zdjęła?

— Tak, jeżeli ci nie będzie zimno.

— *Qué va*, zimno! Jestem cała w ogniu.

— Ja też. Ale nie będzie ci zimno potem?

— Nie. Potem będziemy oboje jak jedno leśne zwierzę, tak blisko siebie, że żadne z nas nie rozezna, czy jest jednym, czy drugim. Nie czujesz, że moje serce jest twoim sercem?

— Tak. Nie ma żadnej różnicy.

— Dotknij mnie. Ja jestem tobą, ty jesteś mną i każde z nas jest cale drugim. I kocham się, och, tak cię kocham! Czyż nie jesteśmy naprawdę jednym? Nie czujesz tego?

— Czuję — odpowiedział. — Naprawdę.

— Dotknij mnie teraz. Nie masz już innego serca poza moim.

— Ani nóg, ani stóp, ani ciała.

— A jednak jesteśmy różni — powiedziała. — Chciałabym, żebyśmy byli zupełnie tacy sami.

— Chyba tak nie myślisz? :

— Owszem, myślę. Musiałam ci to powiedzieć.

— Nie myślisz tego naprawdę.

— Może i nie — odrzekła cicho, dotykając wargami jego ramienia. — Ale chciałam to powiedzieć. A ponieważ już jesteśmy różni, cieszę się, że ty jesteś Roberto, a ja Maria. Ale gdybyś kiedyś chciał się zamienić, zgodzę się z radością. Chętnie stanę się tobą, bo tak cię kocham.

— Wcale nie chcę się zamieniać. Lepiej, żeby każde z nas było tym, czym jest.

— Ale teraz będziemy jednością i już nigdy więcej czymś osobnym. — Potem dodała: — Chcę być tobą, kiedy cię przy mnie nie ma. Och, kocham cię i muszę bardzo o ciebie dbać.

— Maria.

— Co?

— Maria.

— Co?

— Maria.

— Och, tak. Proszę cię!

— Nie zimno ci?

— O nie! Naciągnij sobie śpiwór na plecy.

— Maria!

— Nie mogę mówić.

— Och, Maria, Maria, Maria!

Później leżeli blisko siebie, wpośród zimnej nocy, wyciągnięci w cieple śpiwora, jej głowa dotykała jego policzka i Maria przytuliła się do niego spokojnie, szczęśliwie i zapytała cicho:

— A ty?

— *Como tul* — odrzekł.

— Tak — powiedziała. — Ale nie było tak, jak po południu.

— Nie.

— Tak jeszcze wolę. Nie musi się umierać.

— *Ojalá no* — odrzekł. — Mam nadzieję, że nie!

— Nie to chciałam powiedzieć.

— Wiem. Wiem, co chciałaś powiedzieć. Oboje myślimy to samo.

— To dlaczego tak powiedziałeś, zamiast tego, co ja myślałam?

— U mężczyzny to jest inaczej.

— W takim razie cieszę się, że jest między nami różnica.

— Ja też — odrzekł. — Ale zrozumiałem, o co ci chodziło z tym umieraniem. Powiedziałem tamto tylko jako mężczyzna, z przyzwyczajenia. Czuję to samo, co ty.

— Jakikolwiek byś był i cokolwiek byś mówił chcę, żebyś był taki, jak jesteś.

— A ja cię kocham i kocham twoje imię, Maria.

— To pospolite imię.

— Nie — odparł. — Wcale nie pospolite.

— Może się teraz prześpimy? — powiedziała. — Zasnę od razu.

— To śpijmy — odrzekł. Czuł jej wysmukłe, lekkie ciało ciepło przytulone do niego, kojąco przytulone do niego, tym przytuleniem niweczące samotność w jakiś czarodziejski sposób, przez zwykle zetknięcie boków, ramion i stóp i zawierające z nim sojusz przeciwko śmierci. Powiedział:

— Śpij dobrze, mój mały, długi króliczku.

— Już śpię — odrzekła.

— Ja także zaraz zasnę. Śpij dobrze, ukochana — powiedział i w następnej chwili zasnął szczęśliwy.

Ale w nocy przebudził się i objął ją mocno, jak gdyby była całym jego życiem i jakby mu je odbierano. Trzymał ją tak czując, że jest całym życiem, jakie ma, i to była prawda. Ale ona spała smacznie, głęboko i nie zbudziła się. Obrócił się więc na bok, nasunął jej śpiwór na głowę, pocałował ją pod nim w szyję, a potem przyciągnął za linewkę pistolet i położył przy sobie, gdzie mógł go łatwo sięgnąć. Leżał wśród nocy, rozmyślając.

XXI

O świcie powiał ciepły wiatr i Robert Jordan usłyszał, jak śnieg topnieje na drzewach i ciężko opada. Był późnowiosenny poranek. Po pierwszym zaczerpniętym oddechu wiedział już, że śnieżyca była jedynie kaprysem natury w górach i że do południa śnieg zniknie. W tej chwili dosłyszał nadjeżdżającego konia, którego kopyta, oblepione mokrym śniegiem, dudniły głucho w kłusie. Usłyszał też klapanie luźno zawieszonego przy siodle futerału do karabinu i skrzypienie skóry.

— Maria — szepnął i potrząsnął dziewczynę za ramię, aby ją zbudzić. — Schowaj się w śpiwór.

Jedną ręką zapiął koszulę, a drugą chwycił pistolet odsuwając dużym palcem bezpiecznik. Zauważył, że przystrzyżona głowa dziewczyny szybko znika w śpiworze, a potem ujrzał zbliżającego się między drzewami jeźdźca. Skulił się w śpiworze i trzymając oburącz pistolet wymierzył w nadjeżdżającego człowieka. Nie widział go nigdy dotąd.

Kawalerzysta był już prawie na wprost niego. Jechał na dużym, siwym wałachu, miał beret koloru khaki, sukienną pelerynę podobną do poncha i ciężkie, czarne buty. Z futerału przytroczonego po prawej stronie siodła sterczała kolba i podłużny magazynek krótkiego karabinka automatycznego. Jeździec miał twarz młodą, surową i w tejże chwili spostrzegł Roberta Jordana.

Sięgnął do futerału i kiedy szamotał się z nim, schylony nisko i obrócony bokiem, Robert Jordan dojrzał szkarłat wojskowej odznaki, którą tamten miał na piersi, po lewej stronie zielonkawej peleryny.

Mierząc w sam środek piersi, nieco poniżej odznaki, Roocrt Jordan nacisnął spust.

Strzał z pistoletu zahuczał w ośnieżonym lesie.

Koń skoczył jakby ukłuty ostrogą, a młody mężczyzna, wciąż jeszcze szarpiąc futerał, osunął się z siodła z prawą nogą wplątaną w strzemię. Koń pognał między drzewami wlokąc go i obijając twarzą po ziemi, a Robert Jordan wstał z pistoletem w ręku.

Wielki, siwy koń galopował między sosnami. Na śniegu pozostała szeroka bruzda, tam gdzie wlókł jeźdźca, a wzdłuż niej, z jednej strony, długi, szkarłatny ślad.

Ludzie już wychodzili z jaskini. Robert Jordan wyjął ze śpiwora spodnie, rozwinął je i wciągnął na nogi.

— Ubieraj się — powiedział do Marii.

W górze dosłyszał warkot lecącego wysoko samolotu. Między drzewami widział siwego konia, który przystanął z jeźdźcem wciąż wiszącym twarzą do ziemi u strzemienia.

— Łap konia! — zawołał do Primitiva, który szedł ku niemu. A potem dodał: — Kto był na straży na górze?

— Rafael — odpowiedziała spod jaskini Pilar. Stała tam, z włosami zwisającymi jeszcze w dwóch warkoczach na plecy.

—Tu gdzieś idzie kawaleria — powiedział Robert Jordan. — Dawajcie na górę tę waszą cholerną maszynę.

Usłyszał, że Pilar wywołuje z jaskini Agustina. Potem weszła do środka i zaraz wybiegli stamtąd dwaj mężczyźni, z których jeden niósł na ramieniu ręczny karabin maszynowy z trójnogiem, a drugi worek magazynków.

— Lećcie tam z nimi — rozkazał Robert Jordan Anselmowi. — Połóżcie się przy erkaemie i przytrzymajcie trójnóg.

Wszyscy trzej pobiegli ścieżką przez las.

Słońce jeszcze nie wzeszło zza szczytów gór; Robert Jordan stojąc zapinał spodnie i dociągał pas, a u napięstka zwisał mu na linewce ciężki pistolet. Schował go do kabury przy pasie, przesunął szlufkę na linewce i założył jej pętlę na szyję.

Ktoś cię tym kiedyś zadusi — pomyślał. — No, stało się. Wyciągnął pistolet z kabury, wyjął magazynek, włożył do niego jeden z naboi, które były zatknięte rzędem w tulejkach przy kaburze i wepchnął magazynek z powrotem w kolbę pistoletu.

Spojrzał między drzewami ku miejscu, gdzie Primitivo przytrzymując konia za wodze wyciągał ze strzemienia stopę kawalerzysty. Zabity leżał twarzą w śniegu i Robert Jordan widział, że Primitivo przetrząsa mu kieszenie.

— Chodź tu! — zawołał. — Przyprowadź konia.

Kiedy uklęknął, aby nałożyć trepy, poczuł, że w kolana potrąca go Maria, która ubierała się wewnątrz śpiwora. W tej chwili nie było dla niej miejsca w jego życiu.

Ten kawalerzysta niczego się nie spodziewał — myślał. — Nie jechał po końskich śladach ani nie zachowywał należytej ostrożności, nie mówiąc już o pogotowiu. Nie jechał nawet po tropach prowadzących do placówki. Musiał być z

jakiegoś patrolu rozproszonego w tych górach. Ale kiedy patrol zauważy brak kolegi, przyjedzie tutaj jego śladem. Chyba że przedtem śnieg stopnieje — pomyślał. — Albo że coś się stanie z patrolem.

— Lepiej zejdźcie w dół — powiedział do Pabla.

Wszyscy już stali przed jaskinią, z karabinami i z granatami u pasów. Pilar wyciągnęła do niego skórzany worek granatów, a Robert Jordan wziął trzy i włożył je do kieszeni. Wpadł do jaskini, odszukał swoje plecaki, otworzył ten, w którym miał pistolet maszynowy, wyjął lufę i łoże, zatrzasnął ją na przednim zaczepie, założył jeden magazynek na broń, a trzy wsadził do kieszeni. Zamknął plecak i pobiegł do wyjścia. Obie kieszenie mam pełne żelastwa — pomyślał. — Żeby tylko szwy wytrzymały. Wyszedł z jaskini i powiedział do Pabla:

— Idę wyżej. Czy Agustin umie strzelać z tamtej broni?

— Tak — odpowiedział Pablo.

Przyglądał się koniowi, którego prowadził Primitivo.

— *Mira que caballo* — rzekł. — Patrzajcie, co za koń.

Wielki siwek był zgrzany, drżał lekko i Robert Jordan poklepał go po kłębie.

— Odprowadzę go do tamtych — powiedział Pablo.

— Nie — odparł Robert Jordan. — Zostawił ślady prowadzące tutaj. Musi zrobić je także i od nas.

— Prawda — przyznał Pablo. — Odjadę na nim, schowam go gdzieś i przyprowadzę z powrotem, jak śnieg stopnieje. Masz tęgą głowę, Inglés!

— Poślijcie kogoś na dół — rzekł Robert Jordan. — My musimy iść tam wyżej.

— Nie trzeba — powiedział Pablo. — Kawaleria nie może przyjść z tej strony. Za to my możemy wydostać się tędy i jeszcze dwoma innymi przejściami. Lepiej nie robić śladów, bo a nuż przylecą samoloty. Daj mi botę z winem, Pilar.

— Żebyś gdzieś polazł i urżnął się — odparła Pilar. — Masz, weź lepiej to.

Pablo wyciągnął rękę i włożył do kieszeni dwa granaty.

— *Qué va*, urżnął się — powiedział. — Sytuacja jest poważna. Dajże mi botę. Nie chce mi się tego robić o samej wodzie.

Podniósł ręce, chwycił cugle i wskoczył na siodło. Wyszczerzył zęby w uśmiechu i poklepał zestrachanego konia. Robert Jordan zauważył, że czule potarł nogą jego bok.

— *Qué caballo mas banito*[71] — powiedział Pablo i znowu poklepał rosłego siwka. — *Qué caballo mas hermoso*. Jazda! Im prędzej stąd pójdzie, tym lepiej.

Pochylił się i wyciągnął z futerału lekki karabinek automatyczny z chłodzoną lufą, właściwie pistolet maszynowy na dziewięciomilimetrową amunicję, i obejrzał go.

— Patrzajcie, jak oni są uzbrojeni — powiedział. — Zobaczcie, co to jest nowoczesna kawaleria.

— Nowoczesna kawaleria leży tam, twarzą do ziemi — odparł Robert Jordan. — *Vamons*!

— Ty, Andrés, osiodłaj konie i trzymaj je w pogotowiu. Jeżeli usłyszysz strzały, podprowadź konie do tego lasku za rozpadliną. Sam podejdź z bronią, a kobiety niech je trzymają. Fernando niech dopilnuje, żeby przynieśli moje plecaki. A przede wszystkim, żeby je nieśli ostrożnie. Ty także pilnuj plecaków — obrócił się do Pilar. — Pamiętaj, żeby przyszły razem z końmi. *Vamonos*. Chodźmy — powiedział.

— Ja z Marią przygotuję wszystko do odejścia — rzekła Pilar. A potem do Roberta Jordana: — Patrz na niego. — Wskazała głową Pabla, który siedział na siwku ciężko, po pastersku. Koń miał rozdęte chrapy, a Pablo zakładał magazynek do automatu. — Patrz, co z niego zrobił koń.

— Gdybym tak miał dwa konie! — powiedział z zapałem Robert Jordan.

— Twoim koniem jest niebezpieczeństwo.

— To daj mi muła — uśmiechnął się Robert Jordan. — Obszukaj go — dodał wskazując głową leżącego na śniegu kawalerzystę. — Zabierz, co tylko ma, wszystkie listy i papiery, i włóż do zewnętrznej kieszeni mojego plecaka. Wszystko, rozumiesz?

— Tak.

— *Vamonos!* — powtórzył.

Pablo ruszył pierwszy, a obaj mężczyźni podążyli za nim gęsiego, żeby nie zostawiać śladów na śniegu. Robert Jordan niósł pistolet maszynowy lufą do dołu, trzymając go za przedni uchwyt. Szkoda, że do niego nie pasuje amunicja od tego kawaleryjskiego automatu — myślał. — Ale nie pasuje. Ten jest niemiecki. To była broń tego biedaka, Kaszkina.

. Słońce wychodziło zza gór. Wiał ciepły wiatr i śnieg topniał. Był piękny poranek wiosenny.

[71] Qué caballo mas banito (hiszp.) — Jaki piękny koń.

Robert Jordan obejrzał się i zobaczył Marię stojącą obok Pilar. Nagle zaczęła biec ich śladem. Został nieco w tyle za Primitivem, ażeby z nią pomówić.

— Mogę iść z tobą? — zapytała.

— Nie. Pomóż Pilar.

Szła za nim, trzymając go za ramię.

— Pójdę.

— Nie.

Wciąż szła tuż za nim.

— Mogłabym przytrzymywać nogi karabinu, tak jakoś kazał Anselmowi.

— Nic będziesz trzymała żadnych nóg. Ani karabinu, ani czego innego.

Dopędzila go i wsunęła mu rękę w kieszeń.

— Nie — powiedział. — Ale pilnuj dobrze swojej ślubnej koszuli.

— Pocałuj mnie, jeżeli odchodzisz — poprosiła.

— Jesteś bezwstydna — powiedział.

— Tak — odparła. — Zupełnie.

— Wracaj już. Mamy dużo do roboty. Może być walka, jeżeli przyjdą śladami konia.

— Słuchaj — powiedziała. — Widziałeś, co on miał na piersi?

— Tak. Czemu nie?

— To było Przenajświętsze Serce.

— Aha. Wszyscy z Navarry to noszą.

— I tyś do tego strzelał?

— Nie. Niżej. No, wracaj już.

— Słuchaj — powiedziała. — Ja wszystko widziałam.

— Nic nie widziałaś. Jednego człowieka. Jednego człowieka, który zleciał z konia. *Vete*. Idź.

— Powiedz, że mnie kochasz.

— Nie. Nie teraz.

— Teraz mnie nie kochasz?

— *Dejamos*[72]. Wracaj. Nie można robić tego i kochać, w tej samej chwili.

[72] Dejamos (hiszp.) — Zostaw.

— Chcę pójść, przytrzymać nogi karabinu i kiedy zagada, kochać cię w tej samej chwili.

— Oszalałaś. Wróć już.

— Nie oszalałam — odparła. — Tylko cię kocham.

— To wracaj.

— Dobrze. Już idę. A jeżeli ty mnie nie kochasz, to ja kocham za nas oboje.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się poprzez swoje myśli.

— Kiedy usłyszycie strzały, przyjdźcie z końmi — powiedział. — Pomóż Pilar nieść moje plecaki. Możliwe, że nic nie będzie. Mam nadzieję.

— Idę — rzekła. — Patrz, co to za koń, ten, na którym jedzie Pablo.

Rosły siwek szedł w przedzie ścieżką.

— Aha. Ale już idź.

— Idę.

Pięść Marii, zaciśnięta w jego kieszeni, uderzyła go mocno w udo. Spojrzał na dziewczynę i zauważył, że ma łzy w oczach. Wyciągnęła rękę z kieszeni, objęła go mocno za szyję i pocałowała.

— Idę — powtórzyła. — *Me voy*. Idę.

Obejrzał się i zobaczył, że stoi w miejscu, a pierwsze promienie porannego słońca oświetlają jej smagłą twarz i przystrzyżone włosy koloru przypalonego złota. Pozdrowiła go wzniesioną pięścią, zawróciła i odeszła ścieżką zwiesiwszy głowę.

Primitivo obejrzał się za nią.

— Gdyby nie miała tak krótko przyciętych włosów, byłaby z niej ładna dziewczyna — powiedział.

— Tak — odrzekł Robert Jordan. Myślał w tej chwili o czym innym.

— A jaka jest w łóżku? — zapytał Primitivo.

— Co?

— Jaka jest w łóżku?

— Uważaj, co gadasz.

— Nie trzeba się obrażać, jeżeli...

— Zostaw już — przerwał mu Robert Jordan. Przyglądał się stanowisku.

XXII

— Naścinaj mi sosnowych gałęzi — powiedział Robert Jordan do Primitiva — i przynieś tu szybko. To nie jest dobre miejsce na erkaem — obrócił się do Agustina.

— Dlaczego?

— Ustaw go tam — wskazał mu Robert Jordan. — Powiem ci później.

— Tak. Pomogę ci. Tutaj — powiedział i przykucnął. Popatrzał przez podłużny celownik notując sobie w pamięci wysokość skał po obu stronach.

— Trzeba go wysunąć dalej do przodu — powiedział. — Dobrze. Tutaj. Wystarczy póki co. Tak. Połóżcie tu kamienie. Macie tu jeden. Drugi dajcie tam, z boku. Zostawcie miejsce, żeby można było wodzić lufą. Ten kamień trzeba odsunąć dalej. Anselmo, skocz do jaskini po siekierę. Prędko!

— Nigdy nie mieliście porządnego stanowiska dla tego erkaemu? — zapytał Agustina.

— Zawsze stawialiśmy go tam.

— Kaszkin nigdy nie mówił, żeby go tu postawić?

— Nie. Dostaliśmy karabin po jego odejściu.

— Czy przyniósł go wam ktoś, kto umiał się z nim obchodzić?

— Nie. Zwykli nosiciele.

— Co to za robota! — powiedział Robert Jordan. — Dali go wam ot tak, bez żadnego pouczenia?

— Tak jak się daje podarek. Jeden był dla nas i jeden dla El Sorda. Czterech ludzi je niosło. Prowadził ich Anselmo.

— Cud, że ich nie stracili, jeżeli aż we czterech przechodzili przez linie.

— Ja też tak uważam — powiedział Agustin. — Myślałem sobie, że ci, co je wysłali, chcieli, żeby nie doszły na miejsce. Ale Anselmo przeprowadził je dobrze.

— Umiecie się z tym obchodzić?

— Tak. Już próbowałem. Umiem. I Pablo umie. I Primitivo. Fernando też. Uczyliśmy się rozkładać go i składać na stole w jaskini. Raz, jakeśmy go rozłożyli, nie mogliśmy przez dwa dni złożyć. Od tej pory już nie rozkładamy.

— A teraz strzela?

— Owszem, ale nie pozwalamy pieprzyć się z nim Cyganowi ani reszcie.

— Widzicie? Stamtąd erkaem nie mógł nic zrobić — powiedział Robert Jordan. — Patrzcie. Te skały, które powinny osłaniać wam skrzydła, dają ochronę tym, co was atakują. Mając taką broń trzeba wyszukać sobie płaskie pole ostrzału. Poza tym trzeba mieć boczny ogień. Widzicie? Zobaczcie teraz. Stąd panuje się nad całym tym terenem.

— Aha — powiedział Agustin. — Ale my nigdy nie walczyliśmy w obronie, tylko wtedy, jak zdobywali nasze miasteczko. Przy pociągu *maquine* mieli żołnierze.

— Będziemy się razem uczyć — powiedział Robert Jordan. — Trzeba pamiętać o paru rzeczach. Gdzie jest Cygan? Powinien tu być.

— Nie wiem.

— Ale gdzie on mógł się podziać?

— Nie wiem.

Pablo przejechał konno przez przełęcz, skręcił i zatoczył koło na równej przestrzeni u jej szczytu, w miejscu, gdzie było pole ostrzału ręcznego karabinu maszynowego. Robert Jordan patrzał teraz, jak zjeżdża ze zbocza po śladach, które koń zostawił idąc pod górę. Następnie skręcił w lewo i zniknął między drzewami.

Mam nadzieję, że nie napruje się na kawalerię — pomyślał Robert Jordan. — Obawiam się, że pognałby prosto w nasze objęcia.

Primitivo przyniósł sosnowe gałęzie i Robert Jordan powtykał je przez śnieg w niezamarzniętą ziemię i nachylił z obu stron tak, że utworzyły łuk nad karabinem.

— Przynieście jeszcze — powiedział. — Trzeba zrobić osłonę dla dwóch ludzi obsługi. To nie jest najlepsze, ale wystarczy, póki nie przyjdzie siekiera. Uważajcie — ciągnął. — Jeżeli usłyszycie samolot, padnijcie na ziemię tam, gdzie będziecie, w cieniu skał. Ja jestem tu, przy karabinie.

Teraz, kiedy powiał ciepły wiatr, a słońce podeszło wyżej, przyjemnie było z tej strony skał, na którą padały jego promienie. Cztery konie — myślał Robert Jordan. — Dwie kobiety i ja, Anselmo, Primitivo, Fernando, Agustin i ten drugi brat, jakże mu tam, u diabła? To razem ośmioro. Nie licząc Cygana. To dziewięcioro. Plus Pablo, który odjechał z jednym koniem; razem dziesięć osób. Andrés — tak ma na imię tamten brat. Plus ten drugi, Eladio. Razem dziesięcioro. To nawet nie wypada po pół konia na głowę. Trzech ludzi może tu się trzymać, a czterech odjechać. Z Pablem pięciu. Zostaje dwóch. Trzech razem z Eladiem. Gdzież on u diabla jest?

Bóg wie, co dzisiaj spotka El Sorda, jeżeli znaleźli ślady koni na śniegu. To draństwo, żeby ten śnieg tak nagle przestał padać. Ale jeżeli dzisiaj stopnieje, wszystko się jakoś ułoży. Tylko nie dla Sorda. Boję się, że już za późno, aby się ułożyło dla Sorda.

Jeżeli zdołamy przetrzymać przez dzisiejszy dzień i nie będziemy musieli się bić, to jutro da się załatwić całą sprawę tym, co mamy. Na pewno. Może nie najlepiej. Może nie tak, jakby trzeba, żeby było bez pudla, nie tak, jak byśmy chcieli — ale wszyscy razem możemy coś zrobić. Jeżeli dziś nie będziemy musieli się bić. Bo jeśli tak, to niech nas Bóg ma w swojej opiece.

Tymczasem nie widzę lepszego miejsca niż tutaj. Jeżeli się teraz ruszymy, zostawimy ślady. Tu jest równie dobrze jak gdzie indziej, a jakby przyszło najgorsze, są stąd trzy drogi odwrotu. Później zrobi się ciemno, a o świcie mogę z każdego miejsca w tych górach dostać się do mostu i wysadzić go. Nie rozumiem, dlaczego się tym martwiłem. Teraz wydaje mi się to zupełnie proste. Mam nadzieję, że przynajmniej raz wyślą w porę samoloty. Tak, mam nadzieję. Jutro będzie kurz na drogach.

No, dzisiejszy dzień będzie albo bardzo ciekawy, albo bardzo nudny. Bogu dzięki, że się stąd wyprawiło tego kawaleryjskiego wierzchowca. Nie przypuszczam, żeby się połapali w tych śladach, nawet gdyby dojechali aż tutaj. Pomyślą, że tamten się zatrzymał i krążył, i pójdą tropem Pabla. Ciekaw jestem, gdzie ta stara świnia pojedzie? Pewnie zostawi ślady jak stary łoś wynoszący się z okolicy, podjedzie kawał pod górę, a potem, kiedy śnieg stopnieje, zakręci w koło z powrotem. Ten koń rzeczywiście na niego podziałał. Naturalnie jest możliwe, że Pablo spieprzył stąd razem z nim. No cóż, niech myśli o sobie. Już od dawna to robi. Nie mam do niego nawet tyle zaufania, co brudu za paznokciami.

Myślę, że mądrzej będzie wykorzystać te skały i zrobić porządną osłonę dla erkaemu, niż kopać dla niego stanowisko. Zaczniemy kopać i przyłapią nas, że tak powiem, ze spuszczonymi portkami, jeżeli się zjawią albo jeżeli przylecą samoloty. Tak jak jest, można ich zatrzymać dopóki trzeba, a zresztą, ja w żadnym razie nie mogę wdawać się w walkę. Muszę się stąd wynosić razem z moimi materiałami i zabiorę z sobą Anselma. Kto zostanie, żeby nas osłaniać, jeżeli zaczniemy się bić?

Właśnie w tej chwili, gdy obserwował cały teren widoczny z tego miejsca, spostrzegł po lewej Cygana zbliżającego się między skałami. Szedł swobodnym, niedbałym krokiem kołysząc się w biodrach, z karabinem zarzuconym na plecy; jego

śniada twarz była roześmiana, a w rękach niósł dwa duże zające. Trzymał je za nogi, a głowy im dyndały.

— *Hola*, Roberto! — zawołał wesoło.

Robert Jordan położył palec na ustach, co wyraźnie zaskoczyło Cygana. Wśliznął się między skały i podbiegł do Roberta Jordana, który siedział skulony za osłoniętym gałęziami erkaemem. Przykucnął obok niego i położył zające na śniegu. Robert Jordan popatrzał na niego.

— Ty, *hijo de la gran puta*[73]*!* — powiedział cicho. — Gdzieś ty był, u wielkiej sprośności?

— Tropiłem je — odparł Cygan. — I rąbnąłem obydwa. Kochały się na śniegu.

— A twój posterunek?

— To nie trwało długo — szepnął Cygan. — Co się dzieje? Czy to alarm?

— Idzie tu gdzieś kawaleria.

— *Redios!* — szepnął Cygan. — Widziałeś ich?

— Jeden jest teraz w obozie — odparł Robert Jordan. — Przyjechał na śniadanie.

— Zdawało mi się, żem słyszał strzał czy coś takiego — rzekł Cygan. — Paskudzę w mleko! To on tędy przeszedł? .

— Tędy. Przez twój posterunek.

— *Ay, mi mądre!* — stęknął Cygan. — O, ja biedny, nieszczęśliwy!

— Gdyby nie to, żeś Cygan, zastrzeliłbym cię.

— Nie, Roberto. Tego nie mów. Ja bardzo żałuję. To przez te zające. Przed świtem usłyszałem samca, jak się kotłował w śniegu. Nie masz pojęcia, co one za rozpustę wyprawiały. Poszedłem w stronę tego harmideru, ale uciekły. Ruszyłem tropem po śniegu i tam, wysoko, nakryłem je i rąbnąłem obydwa. Pomacaj, jakie tłuste, i to w tej porze roku. Tylko pomyśl, co Pilar z nich zrobi. Żałuję, Roberto, żałuję tak samo jak ty. Zabili tego kawalerzystę?

— Tak.

— Ty?

— Tak.

[73] hijo de la gran puta! (hiszp.) — synu wielkiej kurwy.

— *Qué tio!*[74] — zawołał Cygan z jawnym pochlebstwem. — Ty jesteś prawdziwy fenomen!

— Twoją matkę! — odparł Robert Jordan. Mimo woli uśmiechnął się do Cygana. — Zabierz te swoje zające do obozu i przynieś nam śniadanie.

Wyciągnął rękę i pomacał zające, które leżały bezwładnie na śniegu, długie, ciężkie, puszyste, grubonogie, z długimi uszami i otwartymi, krągłymi, ciemnymi oczyma.

— Rzeczywiście tłuste — powiedział.

— Tłuste? — powtórzył Cygan. — Każdy ma na żebrach całą baryłkę słoniny. W życiu nic śniło mi się o takich zającach.

— No, idź już — powiedział Robert Jordan. — Wracaj prędko ze śniadaniem i przynieś mi dokumenty tego *requeté*.[75] Poproś o nie Pilar.

— Nie gniewasz się na mnie, Roberto?

— Gniewać się, nie. Ale obrzydzenie mnie bierze, żeś zszedł z posterunku. A gdyby to był cały oddział kawalerii?

— *Redios!* — rzekł Cygan. — Masz wielką rację.

— Posłuchaj. Nie wolno ci nigdy więcej schodzić z takiego posterunku. Pod żadnym pozorem. O tym zastrzeleniu wcale nie mówiłem na wiatr.

— Jasne, że nie. I jeszcze jedno. Taka sposobność jak z tymi dwoma zającami nie powtórzy się już nigdy. Nigdy w życiu jednego człowieka.

— *Anda!*[76] — powiedział Robert Jordan. — I wracaj prędko. Cygan podniósł zające i zniknął między skałami, a Robert Jordan popatrzał na płaską polanę i zbocze poniżej. W górze krążyły dwie wrony, a potem siadły na sośnie. Przyłączyła się do nich trzecia i Robert Jordan obserwując je pomyślał: To będą moje czaty. Póki siedzą spokojnie, to znaczy, że nikt się nie zbliża zza drzew.

Ten Cygan! — myślał. — On jest naprawdę nic nie wart. Nie ma ani wyrobienia politycznego, ani dyscypliny i nie można mu w niczym zaufać. Ale potrzebny mi jest na jutro. Jutro mi się przyda. Dziwnie jest widzieć Cygana na wojnie. Powinni być od tego zwolnieni tak jak ci, co się powołują na zastrzeżenia moralne. Albo jak niezdolni do służby wojskowej fizycznie czy umysłowo. Bo są do niczego. Tylko że w tej wojnie

---

[74] Qué tio! (hiszp.) — dosł.: Cóż za wujek! Tu: w sensie popularnego przezwiska.
[75] requeté (hiszp.) — żołnierz z oddziałów requetés, zbrojnych formacji karlistów, walczących po stronie frankistów.
[76] Anda! (hiszp.) — Idź!

nie zwalnia się takich, co mają zastrzeżenia. Nie zwalnia się nikogo. Przyszła do wszystkich na równi. Przyszła teraz i do tych wałkoni. Teraz ją mają.

Agustin i Primitivo wrócili niosąc gałęzie i Robert Jordan zbudował dla erkaemu porządną osłonę, która nie pozwalała go dojrzeć z powietrza, a od strony lasu wyglądała naturalnie. Pokazał, gdzie trzeba postawić wysoko na skałach jednego człowieka, aby mógł widzieć cały teren poniżej i w prawo — a gdzie drugiego, żeby obserwował jedyny odcinek lewej ściany, na który można było się dostać.

— Jeżeli kogoś stamtąd zobaczysz, nie strzelaj — powiedział Robert Jordan. — Sturlaj z góry kamyk, żeby nas ostrzec, i daj znak karabinem, o tak — podniósł karabin i przytrzymał go nad głową, jak gdyby chciał ją osłonić. — A tak, żeby pokazać, ilu idzie — podniósł i opuścił broń. — Jeżeli będą spieszeni, trzymaj karabin lufą w dół. W ten sposób. Nie strzelaj, dopóki nic usłyszysz, że strzela nasza *máquina*. Strzelając z tej wysokości, celuj w kolana. Jeżeli zagwiżdżę dwa razy tym gwizdkiem, złaź na dół kryjąc się, aż do tych skal, gdzie jest *máquina*.

Primitivo podniósł karabin.

— Rozumiem — powiedział. — To bardzo proste.

— Najpierw spuść z góry mały kamyk, żeby nas ostrzec, a potem pokaż kierunek i ilość ludzi. Uważaj, żeby cię nie zobaczyli.

— Dobrze — powiedział Primitivo. — A mógłbym rzucić granat?

— Dopiero wtedy, jak zagada *máquina*. Możliwe, że kawaleria przyjdzie tu szukając kolegi, a jednak nie spróbuje wejść w przesmyk. Mogą pojechać dalej śladem Pabla. Nie chcemy walki, jeżeli da się jej uniknąć. Nade wszystko trzeba jej unikać. A teraz właź na górę.

— *Me voy*[77] — rzekł Primitivo i z karabinem w ręku zaczął się wspinać na wysokie skały.

— Ty, Agustin — powiedział Robert Jordan. — Co umiesz robić z tą bronią?

Agustin przykucnął, rosły, czarnowłosy, z obrośniętą twarzą, zapadniętymi oczyma, wąskimi wargami i wielkimi, spracowanymi dłońmi.

— *Pues*, nabijać. Celować. Strzelać. Nic więcej.

— Nie wolno ci strzelać, dopóki nie podjadą na pięćdziesiąt metrów, i tylko wtedy, gdy będziesz pewny, że wejdą w przesmyk, który prowadzi do jaskini — powiedział Robert Jordan.

[77] Me voy (hiszp.) — Idę.

— Dobrze. Jak to daleko?

— Do tamtej skały. Jeżeli będzie oficer, strzelaj najprzód do niego. Potem przenieś ogień na resztę. Przesuwaj lufę bardzo powoli. Wystarczy mały ruch. Pokażę Fernandowi, jak strzelać. Trzymaj karabin mocno, żeby ci nie skakał, mierz starannie i jeżeli możesz, nie dawaj więcej niż sześć strzałów naraz. Bo lufa podrywa się przy ogniu. Za każdym razem celuj w jednego człowieka, a potem przenoś ogień na następnego. Strzelając do jeźdźców, mierz w brzuch.

— Dobrze.

— Jeden ma trzymać mocno trójnóg, żeby erkaem nic skakał. W ten sposób. Będzie ci też ładował broń.

— A ty gdzie będziesz?

— Tutaj, na lewo. Trochę wyżej, żebym mógł wszystko widzieć. Będę cię osłaniał z lewej strony tą moją małą *maquiną*. No. Jeżeli przyjdą, powinniśmy tu zrobić masakrę. Ale nie wolno ci strzelać, dopóki nie będą blisko.

— Zdaje się, że naprawdę możemy tu zrobić masakrę. *Menuda matanza!*[78]

— Ale mam nadzieję, że nie przyjdą.

— Gdyby nie twój most, moglibyśmy zrobić masakrę i wynieść się stąd.

— To by nic nie dało. Nie byłoby z tego żadnego pożytku. Most jest cząstką planu wygrania wojny. A to byłoby nic. Zwyczajna utarczka. Po prostu nic.

— *Qué va*, nic. Z każdym zabitym faszystą jest o jednego faszystę mniej.

— Tak. Ale przez to, co ma być z mostem, możemy wziąć Segovię. Stolicę prowincji. Pamiętaj o tym. To będzie pierwsza, jaką weźmiemy.

— Naprawdę w to wierzysz? Że możemy zdobyć Segovię?

— Naturalnie. To jest możliwe, jeżeli wysadzi się most jak należy.

— Ja bym chciał i zrobić tu masakrę, i wysadzić ten most.

— Masz wielkie apetyty — powiedział Robert Jordan. Przez cały ten czas obserwował wrony. W tej chwili zauważył, że jedna przyglądała się czemuś. Zakrakała i zerwała się z gałęzi. Jednakże druga pozostała na drzewie. Robert Jordan spojrzał w górę, ku miejscu, gdzie Primitivo siedział wysoko między skalami. Zobaczył, że obserwuje teren, ale nie daje żadnego znaku. Robert Jordan pochylił się, odciągnął zamek ręcznego karabinu maszynowego, wprowadził nabój do komory i zaryglował

[78] Menuda matanza! (hiszp.) — Masakra!

zamek. Wrona ciągle siedziała na drzewie. Druga zatoczyła szerokie koło nad śniegiem i siadła znowu. Pod wpływem słońca i ciepłego wiatru okiść spadała z obciążonych gałęzi sosen.

— Mam dla ciebie masakrę na jutro rano — powiedział Robert Jordan. — Trzeba będzie zniszczyć placówkę w tartaku.

— Jestem gotów — odparł Agustin. — *Estoy listo*.

— A także tę placówkę w domku dróżnika poniżej mostu.

— Mogę jedną albo drugą — odrzekł Agustin. — Albo obydwie.

— Obydwóch nie. Będzie się je załatwiało jednocześnie — powiedział Robert Jordan.

— No, to jedną z nich — rzekł Agustin. — Już od dawna miałem ochotę coś zdziałać na tej wojnie. Pablo zgnoił nas tutaj bezczynnością.

Nadszedł Anselmo z siekierą.

— Chcecie jeszcze gałęzi? — zapytał. — Bo mnie się widzi, że to jest dobrze ukryte.

— Gałęzi nie — odpowiedział Robert Jordan — ale dwa małe drzewka, które by tu można zatknąć, żeby to wyglądało naturalniej. Za mało tu drzew, żeby wyglądało naprawdę naturalnie.

— Zaraz przyniosę.

— Zetnijcie je gdzieś dalej, żeby nie było widać pieńków. Robert Jordan usłyszał za sobą stukot siekiery w lesie. Popatrzył w górę na Primitiva ukrytego wśród skał, a potem w dół, na sosny za polanką. Jedna z wron jeszcze tam siedziała.

W tej chwili usłyszał pierwszy wysoki, tętniący pomruk samolotu. Podniósł głowę i dojrzał samolot nad sobą, drobny i srebrzysty w słońcu, pozornie nieruchomy na wysokim niebie.

— Nie mogą nas widzieć — powiedział do Agustina. — Ale lepiej się położyć. To dzisiaj już drugi samolot obserwacyjny.

— A te wczorajsze? — zapytał Agustin.

— Teraz wydają się jakby złym snem— odpowiedział Robert Jordan.

— Muszą być w Segovii. Zły sen tam czeka, żeby się stać rzeczywistością.

Samolot zniknął już za górami, ale warkot silników wciąż jeszcze dźwięczał w powietrzu.

Kiedy Robert Jordan opuścił wzrok, spostrzegł, że wrona podrywa się w górę. Odleciała nie kracząc prosto między drzewa.

XXIII

Padnij! — szepnął Robert Jordan do Agustina i obróciwszy się dał ręką znak „padnij, padnij"! Anselmowi, który szedł rozpadliną niosąc na ramieniu mały świerczek niby choinkę na Boże Narodzenie. Zobaczył, że stary rzucił go za jakiś głaz, po czym zniknął między skałami. Robert Jordan spojrzał nad polanką ku przeciwległemu lasowi.

Nie widział i nie słyszał nic, czuł tylko łomotanie własnego serca, a po chwili usłyszał stukot kamienia o kamień i podskakujący szelest spadającej z góry skałki. Obrócił głowę w prawo i dojrzał karabin Primitiva, który podniósł go i opuścił poziomo cztery razy. A potem nie patrzał już na nic oprócz białej, naznaczonej kręgiem końskich śladów płaszczyzny i lasu za nią.

— Kawaleria — szepnął do Agustina.

Agustin spojrzał na niego i śniade, zapadnięte policzki rozszerzyły mu się w uśmiechu. Robert Jordan zauważył, że na czoło wystąpił mu pot. Wyciągnął rękę i położył mu ją na ramieniu. Trzymał ją tak jeszcze, kiedy ujrzeli wyjeżdżających z lasu czterech jeźdźców i wtedy poczuł, że mięśnie barków Agustina drgnęły pod jego dłonią.

Jeden z kawalerzystów jechał na przedzie, a trzej za nim. Pierwszy podążał śladami konia. Jadąc wpatrywał się w ziemię. Trzej pozostali jechali za nim półkolem przez las. Wszyscy rozglądali się bacznie. Robert Jordan czuł, jak serce bije mu o śnieg, gdy leżał wsparty na szeroko rozstawionych łokciach i patrzał na nich ponad celownikiem karabinu maszynowego.

Jadący na przedzie dotarł śladem do miejsca, gdzie Pablo zatoczył krąg. Zatrzymał konia; reszta podjechała do niego i także stanęła.

Robert Jordan widział ich wyraźnie nad niebiesko oksydowaną stalową lufą erkaemu. Widział twarze żołnierzy i zwisające u siodeł szable, ciemne od potu boki koni, stożkowate peleryny koloru khaki i nasadzone po nawarryjsku na bakier berety. Dowódca obrócił konia przodem do rozpadliny w skałach, gdzie był ustawiony erkaem, i Robert Jordan dojrzał jego młodą twarz, ogorzałą od słońca i wiatru, oczy osadzone blisko siebie, orli nos i wydłużoną klinowato brodę.

Siedząc na koniu, który stał z podniesionym łbem, obrócony piersią do Roberta Jordana, z kolbą lekkiego pistoletu automatycznego sterczącą z futerału po prawej stronie siodła, dowódca wskazał ręką rozpadlinę, w której był erkaem.

Robert Jordan wparł łokcie w ziemię i patrzał po lufie na czterech kawalerzystów stojących tam na śniegu. Trzej z nich mieli w ręku pistolety automatyczne. Dwaj trzymali je w poprzek łęków siodeł. Trzeci siedząc na koniu oparł swój kolbą o prawe biodro.

Rzadko się ich widuje na taką odległość — myślał Robert Jordan. — Nigdy w ten sposób, po lufie broni. Zwykle celownik jest podniesiony, a oni wydają się miniaturkami ludzi i trzeba się dobrze namęczyć, żeby do nich doniosło. Albo też nadlatują galopem, z tętentem, rozpędzeni, a ty siejesz kulami po jakimś zboczu, zamykasz ogniem jakąś ulicę czy walisz po oknach albo ich widzisz z daleka, maszerujących drogą. Tak widuje się ich tylko przy pociągach. Tylko wtedy są tak blisko jak teraz i wystarczą cztery strzały, żeby ich rozproszyć. Z tej odległości, widziani przez celownik, wydają się dwa razy więksi niż w naturze.

Ty — myślał patrząc na muszkę broni osadzoną teraz dobrze w szczerbinie celownika i czubkiem nakierowaną na środek piersi dowódcy patrolu, nieco w prawo od szkarłatnej odznaki, która w porannym słońcu jaskrawo odcinała się od zielonawej peleryny. — Ty — myślał teraz po hiszpańsku przyciskając palec do wewnętrznej strony kabłąka spustowego, ażeby nie dotknąć cyngla, którego naciśnięcie wyzwoliłoby z erkaemu szybki, szarpiący, terkotliwy pęd. — Oto w tej chwili zginąłeś w kwiecie młodości. Ach, ty — myślał — ty i jeszcze raz ty! Ale niech się to nie stanie. Niech się nie stanie.

Poczuł, że leżącemu obok Agustinowi zbiera się na kaszel i że się powstrzymuje, krztusi i przełyka ślinę. A potem, kiedy znów spojrzał po naoliwionej błękitnej lufie przez szczelinę między gałęziami, ciągle trzymając palec przyciśnięty do kabłąka spustowego, zobaczył, że dowódca zawraca konia i pokazuje las, do którego prowadziły ślady Pabla. Wszyscy czterej pokłusowali między drzewami, a Agustin szepnął cicho:

— *Cabrones!*

— Robert Jordan obejrzał się na głazy, za które Anselmo rzucił świerczek.

Między skałami szedł ku nim Cygan Rafael z karabinem przewieszonym przez plecy, niosąc dwie płócienne sakwy od siodła. Robert Jordan dal mu znak, żeby padł na ziemię i Cygan zniknął mu z oczu.

— Mogliśmy zabić wszystkich czterech — powiedział cicho Agustin. Był jeszcze mokry od potu.

— Tak — szepnął Robert Jordan. — Ale kto wie, co by się stało, gdybyśmy zaczęli strzelać.

W tej chwili znowu usłyszał chrobot spadającego kamyka i obejrzał się szybko. Nie było widać ani Cygana, ani Anselma. Spojrzał na zegarek a potem w górę, gdzie Primitivo podrywał i opuszczał karabin niezliczonymi, krótkimi szarpnięciami.

Pablo ma czterdzieści pięć minut przewagi — pomyślał Robert Jordan i jednocześnie usłyszał tętent nadjeżdżającego oddziału kawalerii.

— *No te apures* — szepnął do Agustina. — Nie martw się. Przejadą tak jak tamci.

Ukazali się kłusując dwójkami skrajem lasu; było ich dwudziestu jeźdźców, uzbrojonych i umundurowanych tak samo jak pierwsi, ze zwisającymi u siodeł szablami, z .karabinkami w futerałach. Zniknęli w lesie tak jak tamci.

— *Tu ves*? — powiedział Robert Jordan do Agustina. — Widzisz?

— Dużo ich było — rzekł Agustin.

— Mielibyśmy z nimi do czynienia, gdybyśmy kropnęli tamtych — powiedział bardzo cicho Robert Jordan. Serce już mu się uspokoiło, a koszulę na piersi miał mokrą od topniejącego śniegu. Czuł pustkę w piersiach.

Słońce mocno przygrzewało i śnieg topniał szybko. Znikał kręgami wokół pni drzew, a za wylotem lufy, przed oczami Roberta Jordana, powierzchnia jego była wilgotna i pajęcza, gdyż z wierzchu roztapiało go słońce, a od spodu cieple tchnienie ziemi.

Robert Jordan popatrzał w stronę stanowiska Primitiva i zauważył, że tamten daje znak „nic" krzyżując ręce zwrócone dłońmi w dół.

Znad głazu wysunęła się głowa Anselma i Robert Jordan dał mu znak, żeby wstał. Stary, ześlizgując się ze skały na skałę, podpełznął i położył się płasko przy karabinie.

— Dużo ich. Dużo — powiedział.

— Już nie potrzeba drzewek — rzekł do niego Robert Jordan. — Nie ma konieczności przeprowadzania dalszych robót leśnych.

Anselmo i Agustin uśmiechnęli się.

— To dobrze wytrzymało próbę, a byłoby niebezpiecznie sadzić tu teraz drzewka, bo ci ludzie będą tędy wracali, a może nie są durniami.

Czuł potrzebę wygadania się, co u niego było oznaką, że przed chwilą groziło duże niebezpieczeństwo. Zawsze mógł poznać, jak bardzo było źle, po natężeniu gadatliwości, która potem go napadała.

— Dobra ta osłona, co? — zapytał.

— Dobra — odpowiedział Agustin. — Do wielkiej sprośności z taką faszystowską dobrocią! Mogliśmy zabić tamtych czterech. Widziałeś? — zapytał Anselma.

— Widziałem.

— Ty — powiedział Robert Jordan do Anselma. — Musisz teraz iść na swoje wczorajsze stanowisko albo jakieś inne równie dobre, które sobie wybierzesz, i obserwować szosę, i meldować o wszystkich ruchach tak jak wczoraj. Jużeśmy się z tym zapóźnili. Zostań tam do zmierzchu. Potem wróć, to wtedy poślemy kogoś innego.

— A ślady, które zrobię?

— Podejdź od dołu, jak tylko śnieg stopnieje. Po śniegu droga będzie błotnista. Zauważ, czy dużo przejechało ciężarówek albo czy na błocie są ślady czołgów. Tyle możemy się dowiedzieć, nim zaczniesz obserwować.

— Czy wolno mi coś rzec? — zapytał stary.

— Oczywiście.

— Za twoim pozwoleniem, czy nie lepiej by było, gdybym poszedł do La Granja, wypytał tam, co przeszło wczorajszego wieczora, i umówił się z kimś, żeby dziś obserwował, tak jakeś mnie przyuczył? Ktoś taki mógłby nam o tym donieść dzisiaj wieczorem albo, co jeszcze lepiej, ja mógłbym znów pójść do La Granja po wiadomości.

— Nie obawiasz się spotkać kawalerii?

— Nie, jeżeli nie będzie śniegu.

— A w La Granja jest ktoś odpowiedni do tego?

— Tak. Do tego, tak. To byłaby kobieta. W La Granja są różne zaufane kobiety.

— Wierzę — powiedział Agustin. — Więcej nawet: wiem, że tak jest i że znajdzie się jeszcze kilka, które mogą się nadać do innych celów. Nie chciałbyś, żebym to ja poszedł?

— Niech idzie stary. Ty rozumiesz się na tej broni, a dzień jeszcze się nie skończył.

— Pójdę, jak śnieg stopnieje — powiedział Anselmo. — A topnieje szybko.

— Jak myślisz, uda im się złapać Pabla? — zapytał Agustina Robert Jordan.

— Pablo jest chytry — odparł Agustin. — Albo to ludzie mogą schwytać bez ogarów mądrego jelenia?

— Czasami — rzekł Robert Jordan.

— Ale nie Pabla — powiedział Agustin. — Jasne, że teraz jest tylko śmieciem w porównaniu z tym, czym był kiedyś. Ale nie darmo żyje sobie wygodnie w tych górach i jeszcze potrafi pić na umór, kiedy tylu innych poszło pod ścianę.

— Czy on naprawdę jest taki chytry, jak mówią?

— O wiele bardziej.

— Tutaj nie wykazał wielkiej zręczności.

— *Como qué no?*[79] Gdyby nie miał wielkiej zręczności, zginąłby wczoraj wieczorem. Widzi mi się, że nie wyznajesz się na polityce, Inglés, ani na partyzanckiej wojaczce. W tym i w polityce pierwsza rzecz to przetrwać. I patrzaj, jak on przetrwał wczoraj wieczorem. A ile gówna musiał przełknąć ode mnie i ciebie!

Teraz, kiedy Pablo znowu współdziałał z ich grupą, Robert Jordan nie chciał nic mówić na niego i zaraz pożałował tych słów o jego zręczności. Sam dobrze wiedział, jaki Pablo jest przebiegły. Przecież to Pablo natychmiast dostrzegł wszystkie złe strony rozkazu o wysadzeniu mostu. Robert Jordan zrobił tę uwagę tylko z niechęci do niego i wypowiedziawszy ją zrozumiał, że postąpił niedobrze. To także był objaw owej nadmiernej gadatliwości po chwili napięcia. Porzucił więc ten temat i rzekł do Anselma:

— A dostaniesz się do La Granja w biały dzień?

— Nie jest tak źle — odparł stary. — Nie pójdę tam z wojskową orkiestrą.

— Ani też z dzwonkiem na szyi — dodał Agustin. — Ani z chorągwią.

[79] Como qué no? (hiszp.) — Jak to nie?

— Którędy pójdziesz?

— Górą, a potem zejdę przez las.

— A jeżeli cię zatrzymają?

— Mam papiery.

— Wszyscy je mamy, ale te niedobre musisz szybko zjeść.

Anselmo potrząsnął głową i poklepał się po górnej kieszeni kaftana.

— Ileż razy na to się gotowałem — powiedział. — A przecież nigdy nie lubiłem łykać papieru.

— Myślałem sobie, że zawsze powinniśmy nosić na dokumentach trochę musztardy — powiedział Robert Jordan. — Ja mam nasze papiery w lewej kieszeni, a faszystowskie w prawej. W ten sposób nie można się pomylić w nagłym przypadku.

Widać musiało być naprawdę źle, kiedy dowódca tamtego pierwszego patrolu kawalerii pokazał przesmyk, bo wszyscy trzej gadali bardzo wiele. Za wiele — pomyślał Robert Jordan.

— Ale posłuchaj, Roberto — rzekł Agustin. — Powiadają, że rząd z każdym dniem przesuwa się bardziej na prawo. Że w Republice już teraz nie mówią „towarzyszu", tylko „*señor*" i „*señora*". Może byś zamienił te kieszenie?

— Jak rząd przesunie się dostatecznie na prawo, będę nosił papiery w tylnej kieszeni spodni — odparł Robert Jordan. — I jeszcze ją zaszyję przez środek.

— Niech już zostaną w koszuli — powiedział Agustin. — Czyż mamy wygrać tę wojnę, a przegrać rewolucję?

— Nie — odrzekł Robert Jordan. — Ale jeżeli nie wygramy wojny, nie będzie ani rewolucji, ani żadnej Republiki, ani ciebie, ani mnie, ani niczego, tylko jedno wielkie *carajo*.

— Tak i ja powiadam — rzekł Anselmo. — Że musimy wygrać tę wojnę.

— A potem wystrzelać anarchistów i komunistów, i całą tę *canalla* z wyjątkiem dobrych republikanów — powiedział Agustin.

— Żebyśmy już wygrali tę wojnę i nie rozstrzeliwali nikogo — rzekł Anselmo. — Żebyśmy rządzili sprawiedliwie i żeby wszyscy mieli swój udział w dobrodziejstwach zależnie od tego, jakie robili wysiłki. I żeby tych, co przeciw nam walczyli, wychować tak, aby poznali swój błąd.

— Wielu trzeba będzie rozstrzelać — powiedział Agustin. — Wielu, wielu, wielu.

Uderzył się zaciśniętą prawą pięścią po lewej dłoni.

— Żebyśmy nikogo nie rozstrzeliwali. Nawet przywódców. I żeby się poprawili przez pracę.

— Już ja wiem, do jakiej pracy bym ich zapędził — powiedział Agustin i zgarnąwszy trochę śniegu włożył go do ust.

— Do jakiej, ty paskudniku? — zapytał Robert Jordan.

— Do dwóch zajęć o niezwykłej świetności.

— A jakich?

Agustin wziął do ust jeszcze trochę śniegu i popatrzał na polanę, przez którą przejechała kawaleria. Potem wypluł roztopiony śnieg.

— *Vaya*. Co za śniadanie! — powiedział. — Gdzież ten parszywy Cygan?

— Do jakich zajęć? — zapytał go Robert Jordan. — Gadajże, niewyparzona gębo.

— Do skakania z samolotu bez spadochronów — powiedział Agustin i oczy mu zabłysły. — To dla tych, których lubimy. A resztę kazałbym poprzybijać gwoździami do pali od parkanu.

— Takie gadanie jest nikczemne — powiedział Anselmo. — W ten sposób nigdy nie będziemy mieli Republiki.

— Chciałbym przepłynąć dziesięć mil w gęstej zupie nawarzonej z ich *cojones* — ciągnął Agustin. — Kiedym tutaj zobaczył tych czterech i pomyślałem, że można by ich zabić, byłem jak klacz czekająca w zagrodzie na ogiera.

— Ale rozumiesz, dlaczegośmy ich nie zabili? — zapytał spokojnie Robert Jordan.

— Tak — odparł Agustin. — Tak. Ale chwyciła mnie taka potrzeba, jak tę klacz, co się grzeje. Nie możesz wiedzieć, co to jest, jeżeliś sam tego nie czuł.

— Pociłeś się mocno — powiedział Robert Jordan. — Myślałem, że ze strachu.

— Ze strachu też — odrzekł Agustin. — Ze strachu i z tamtego. A w tym życiu nie ma nic silniejszego niż tamto.

Tak — myślał Robert Jordan. — My to robimy na zimno, ale oni nie, i nigdy na zimno nie robili. To jest ich dodatkowy sakrament. Ten prastary, który mieli jeszcze zanim nowa religia przyszła do nich z drugiego krańca Morza Śródziemnego; ten, którego nie porzucili nigdy, a tylko przytaili i skryli po to, aby go wydobywać na jaw podczas wojen i inkwizycji. To jest naród Auto da Fé — aktu wiary. Zabijanie bywa

konieczne, ale u nas jest inne niż u nich. A ty sam? — myślał. — Ciebie to nigdy nie przeżarło? Nie czułeś tego w Sierra? Ani pod Userą? Ani przez cały czas w Estremadurze? Nigdy w ogóle? *Qué va!* — powiedział do siebie. — Przy każdym pociągu.

Przestań tworzyć wątpliwą literaturę na temat Berberów i dawnych Iberyjczyków, i przyznaj, że lubiłeś zabijać podobnie jak wszyscy ci, którzy są żołnierzami z wyboru, znajdowali w tym kiedyś przyjemność, bez względu na to, czy się zapierają, czy nie. Anselmo nie lubi zabijać, bo jest myśliwym, nie żołnierzem. Ale i jego nie idealizuj. Myśliwi zabijają zwierzęta, a żołnierze ludzi. Nie kłam sam sobie — pomyślał. — I nie baw się w literaturę. Jesteś tym zarażony już od dawna. I nie myśl źle o Anselmie. To jest chrześcijanin. Coś bardzo rzadkiego w krajach katolickich.

Natomiast myślałem, że u Agustina to był strach. Ten naturalny strach poprzedzający walkę. A było też i tamto. Oczywiście, może się teraz przechwala. Strachu miał sporo. Czułem go pod dłonią. Czas już był przestać gadać.

— Zobacz, czy Cygan przyniósł jedzenie — powiedział do Anselma. — Niech tu nie podchodzi. To głupiec. Przynieś je sam. I bez względu na to, ile przyniósł, poślij po więcej. Jestem głodny.

XXIV

Poranek był późnomajowy, niebo wysokie i czyste, i Robert Jordan czuł na plecach ciepły powiew. Śnieg topniał szybko, a oni jedli śniadanie. Każdy dostał po dwie duże, podwójne kromki chleba z mięsem i serem zalatującym kozą; Robert Jordan pokrajał scyzorykiem cebulę na grube płatki i obłożył nimi mięso i ser pomiędzy dwoma kawałkami chleba.

— Będzie od ciebie tak zajeżdżało, że faszyści poczują przez las — powiedział Agustin z pełnymi ustami.

— Daj bukłak z winem, to sobie popłuczę gardło — odparł Robert Jordan mając usta pełne mięsa, sera, cebuli i pogryzionego chleba.

Nigdy jeszcze nie był tak głodny; wlał sobie do ust wina, które miało lekko smolisty posmak od skórzanego bukłaka, i przełknął. Potem pociągnął jeszcze duży łyk podnosząc wysoko bukłak, ażeby strumień trysnął prosto do gardła. Gdy podniósł rękę, bukłak dotknął igieł gałęzi sosnowych, które tworzyły osłonę erkaemu, a głowa Roberta Jordana, odchylona do tylu, aby wino spływało gładko, także oparła się o gałęzie.

— Chcesz drugą kromkę chleba? — zapytał Agustin podając mu ją nad erkaemem.

— Nic, dziękuję. Zjedz sam.

— Nie mogę. Nie zwykłem jadać rano.

— Naprawdę nie chcesz?

— Nie. Bierz.

Robert Jordan wziął kromkę i położywszy ją na kolanie wyjął cebulę z bocznej kieszeni kurtki, gdzie miał granaty, i otworzył scyzoryk, aby ją pokrajać. Oddarł nim cienką wierzchnią łupinę, która zabrudziła się w kieszeni, po czym ukrajał gruby płat. Odpadł z niego zewnętrzny krążek, więc podniósł go, złożył wszystko razem i wsunął między oba kawałki chleba.

— Ty zawsze jadasz cebulę na śniadanie? — zapytał Agustin.

— Jeżeli jest.

— Czy wszyscy w twoim kraju to robią?

— Nie — odrzekł Robert Jordan. — Tam to jest źle widziane.

— Tom rad — powiedział Agustin. — Bom zawsze uważał Amerykę za kraj cywilizowany.

— A co ty masz przeciwko cebuli?

— Że śmierdzi. Nic więcej. Poza tym jest jako róża.

Robert Jordan uśmiechnął się do niego pełnymi ustami.

— Jako róża — powtórzył. — Ogromnie podobna do róży. Róża to jest róża jak cebula.

— Twoje cebule na mózg ci uderzyły — rzekł Agustin. — Uważaj.

— Cebula to jest cebula jak cebula — powiedział wesoło Robert Jordan i pomyślał: A kamień to kamionka, to skala, to głaz, to żwir.

— Popłucz sobie usta winem — doradził Agustin. — Tyś bardzo osobliwy, Inglés. Jest wielka różnica między tobą a tym dynamitardem, co ostatnio z nami pracował.

— Jest jedna wielka różnica.

— Powiedz jaka.

— Że ja żyję, a on nie — odparł Robert Jordan. A potem pomyślał: Co się z tobą dzieje? Czy wolno tak mówić? Czyżby jedzenie tak cię rozradowało? Coś ty? Upiłeś się cebulą? Czy tamto tylko tyle dla ciebie znaczy? Nigdy wiele nie znaczyło — odpowiedział sobie szczerze. — Starałeś się, żeby znaczyło, ale na próżno. Nie warto kłamać przez ten czas, który jeszcze zostaje.

— Nie — powiedział już teraz poważnie. — Tamten to był człowiek, który dużo przecierpiał.

— A ty? Tyś nic cierpiał?

— Nie — odrzekł Robert Jordan. — Ja jestem z tych, co cierpią mało.

— Ja też — powiedział Agustin. — Są tacy, co cierpią, i tacy, co nie. Ja bardzo mało cierpię.

— To i lepiej — Robert Jordan znowu przechylił bukłak. — A z tym jest jeszcze lepiej.

— Ja cierpię za innych.

— Tak jak powinni wszyscy porządni ludzie.

— Ale za siebie bardzo mało.

— Masz żonę?

— Nie.

— Ja też nie.

— Ale teraz masz tę Marię.

— Tak.

— To osobliwa rzecz — powiedział Agustin. — Odkąd do nas przyszła po tym pociągu, Pilar trzymała ją z daleka od wszystkich tak zażarcie, jakby była w klasztorze karmelitanek. Nie wyobrażasz sobie nawet, z jaką zażartością jej pilnowała. I oto ty przychodzisz, a ona ci ją daje w podarunku. Jakże ci się to widzi?

— To nie tak było.

— No a jak?

— Oddala mi ją pod opiekę.

— A twoja opieka polega na tym, żeby z nią joder po całych nocach?

— Tak się złożyło.

— Ładna opieka!

— Nie rozumiesz, że w ten sposób też można kimś się dobrze zaopiekować?

— I owszem, ale taką opiekę mógł jej dać każdy z nas.

— Nie mówmy już o tym — powiedział Robert Jordan. — Ja mam dla niej poważne uczucie.

— Poważne?

— Takie, że poważniejszego nie może być na świecie.

— A co będzie potem? Po moście?

— Ona pójdzie ze mną.

— No, to żeby już nikt o tym więcej nie gadał i żebyście oboje byli szczęśliwi — powiedział Agustin.

Podniósł skórzany bukłak, pociągnął długi łyk i podał Robertowi Jordanowi.

— Jeszcze jedno, Inglés — rzekł.

— Proszę, mów.

— Ja także miałem dla niej dużo uczucia.

Robert Jordan położył mu rękę na ramieniu.

— Dużo — powtórzył Agustin. — Bardzo dużo. Więcej, niż można sobie wyobrazić.

— Ja mogę to sobie wyobrazić.

— Zrobiła na mnie wrażenie, które nie mija.

— Rozumiem cię.

— Słuchaj. Ja ci to mówię z całą powagą.

— Mów.

— Nigdym jej nie tknął ani nic z nią nie miałem, ale bardzo mi jest droga. Inglés, ty jej lekko nie traktuj. Nie myśl, że ona jest kurwa, dlatego że z tobą sypia.

— Będę się nią opiekował.

— Wierzę ci. Ale jeszcze jedno. Ty nie wiesz, czym by była taka dziewczyna, gdyby nie rewolucja. Masz wielką odpowiedzialność. Ona naprawdę dużo przecierpiała. Nie jest taka jak my.

— Ożenię się z nią.

— Nie. Nie to. To niepotrzebne za rewolucji. Chociaż... — kiwnął głową — tak byłoby lepiej.

— Ożenię się z nią — powtórzył Robert Jordan i poczuł, że coś mu nabrzmiewa w gardle. — Kocham ją bardzo.

— Później — odrzekł Agustin. — Kiedy będzie można. Najważniejsze jest mieć tę intencję.

— Mam ją.

— Słuchaj — ciągnął Agustin. — Gadam za wiele o sprawie, do której nie mam prawa się wtrącać, ale czyś ty znał wiele dziewczyn w naszym kraju?

— Znałem trochę.

— Kurew?

— Parę takich, które nimi nie były.

— Ile?

— Kilka.

— I spałeś z nimi?

— Nie.

— A widzisz?

— Aha.

— Chcę powiedzieć, że ta Maria nie robi tego lekkomyślnie.

— Ani ja.

— Gdybym myślał, że tak, byłbym cię zastrzelił wczoraj wieczorem, kiedyś z nią leżał. U nas często się za to zabija.

— Posłuchaj, stary — powiedział Robert Jordan. — To wszystko odbyło się tak nieformalnie tylko z braku czasu. Tego jednego nie mamy: czasu. Jutro trzeba będzie się bić. Dla mnie samego to głupstwo. Ale dla mnie i Marii to oznacza, że całe nasze życie musimy przeżyć w tym czasie.

— A dzień i noc to niewiele — rzekł Agustin.

— Niewiele. Ale było jeszcze wczoraj i poprzednia noc, i teraz ta.

— Słuchaj — powiedział Agustin. — Jeżeli ci mogę w czymś pomóc...

— Nie. Nic nam nie trzeba.

— Jeżeli mógłbym coś zrobić dla ciebie albo dla tej ostrzyżonej główki...

— Nic.

— Co prawda jeden człowiek niewiele może zrobić dla drugiego.

— Owszem. Bardzo dużo.

— A co?

— Bez względu na to, co będzie się działo dzisiaj i jutro w związku z naszą walką, miej do mnie zaufanie i słuchaj rozkazów, choćby ci się wydały niesłuszne.

— Masz moje zaufanie. Od czasu tego z tą kawalerią i odkąd odesłałeś konia.

— To było głupstwo. Widzisz, my mamy jeden cel. Wygrać wojnę. Wszystko poza tym jest bez znaczenia. Jutro mamy zrobić rzecz wielkiej wagi. Rzetelnej wagi. Prócz tego będzie trzeba się bić. Podczas walki musi być dyscyplina, bo wtedy różne rzeczy wydają się inne, niż są. Dyscyplina musi wypływać z pełnego zaufania.

Agustin splunął na ziemię.

— Maria i tamto wszystko to jest osobna rzecz — powiedział. — Korzystajcie oboje jak ludzkie stworzenia z tego czasu, który wam jeszcze zostaje. Jeżeli mogę ci w czymś dopomóc, jestem na twoje rozkazy. A w tej jutrzejszej sprawie będę cię słuchał ślepo. Jeżeli trzeba będzie umrzeć dla tej jutrzejszej sprawy, pójdzie się ochotnie i z lekkim sercem.

— Tak samo i ja czuję — odparł Robert Jordan. — Ale przyjemnie mi to słyszeć od ciebie.

— I jeszcze jedno — ciągnął Agustin. — Ten tam na górze — pokazał w stronę Primitiva — to jest ktoś, na kim można polegać. Pilar to o wiele, wiele więcej, niż sobie

wyobrażasz. Stary Anselmo także. Andrés też. I Eladio. Bardzo spokojny, ale pewny.. I Fernando. Nie wiem, jak on ci się widzi. To prawda, że umysł ma cięższy od rtęci. Więcej w nim nudy niźli w wole, co ciągnie wóz po gościńcu. Ale do walki i żeby robić, co mu każą — to tak. *Es muy hombre*[80]. Zobaczysz.

— To mamy szczęście.

— Nie. Mamy dwa słabe punkty. Cygana i Pabla. Za to banda El Sorda jest akurat nie o tyle lepsza od nas, ile my od koziego łajna.

— W takim razie wszystko w porządku.

— Tak — powiedział Agustin, — Ale wolałbym, żeby to było na dziś.

— Ja też. Żeby z tym skończyć. Cóż, kiedy nie można.

— Myślisz, że będzie ciężko?

— Możliwe.

— Ale tyś teraz ogromnie wesół, Inglés?

— Tak.

— Ja też. Mimo że tak jest z Marią i w ogóle.

— A wiesz chociaż, dlaczego?

— Nie wiem.

— Ja także nie. Może to przez ten dzień. Bo dzień mamy piękny.

— Kto wie? Może dlatego, że będziemy się bić.

— Myślę, że to chyba to — odparł Robert Jordan.

— Byle nie dzisiaj. Nade wszystko ważne jest, żebyśmy dziś tego uniknęli.

Kiedy mówił te słowa, dosłyszał coś. Był to daleki odgłos, który przenikał poprzez szum ciepłego wiatru w koronach drzew. Robert Jordan jeszcze nie był pewny; rozchylił usta i nasłuchiwał zerkając na Primitiva. Już mu się zdawało, że słyszy, ale ucichło. Wiatr wiał między sosnami i Robert Jordan ze wszystkich sił wytężył słuch. Wtedy znowu usłyszał ów cichy dźwięk nadlatujący z wiatrem.

— Dla mnie to żadna tragedia — dobiegł go głos Agustina. — Że nigdy nie będę miał Marii, to głupstwo. Pójdę na kurwy, jak zwykle.

— Cicho! — powiedział Robert Jordan. Nie słuchał go; leżał obok odwróciwszy głowę. Agustin nagle popatrzał na niego.

[80] Es muy hombre (hiszp.) - To prawdziwy mężczyzna.

— *Qué pasa?*[81] — zapytał.

Robert Jordan położył palec na ustach i nasłuchiwał dalej. Odgłos odezwał się znowu. Doleciał do jego uszu, słaby, przytłumiony, suchy i bardzo daleki. Ale teraz nie było już wątpliwości. Był to precyzyjny, trzaskający, toczący się warkot broni maszynowej. Przypominał wybuchanie wiązki za wiązką miniaturowych petard w odległości tak wielkiej, że ledwie można go było ułowić uchem.

Robert Jordan spojrzał w górę na Primitiva, który siedział z podniesioną głową, zwrócony twarzą ku niemu, ze zwiniętą dłonią przyłożoną do ucha. Kiedy na niego popatrzał, Primirivo wskazał mu ręką daleką wyżynę.

— U El Sorda się biją — powiedział Robert Jordan.

— To chodźmy im na pomoc — odparł Agustin. — Zbierajmy ludzi. *Vamonos!*

— Nie — odrzekł Robert Jordan. — Zostajemy tutaj.

[81] Qué pasa? (hiszp.) - Co się dzieje?

XXV

Robert Jordan popatrzał w górę, gdzie Primirivo stał na stanowisku pokazując coś karabinem. Kiwnął mu głową, ale tamten nadal dawał mu znaki, przykładał dłoń do ucha i natarczywie wyciągał przed siebie karabin, jak gdyby go nie rozumieli.

— Zostań tutaj, przy erkaemie, i nie strzelaj, dopóki nie będzie zupełnie, zupełnie pewne, że tu idą. I nie wcześniej, aż dojdą do tego krzaka — pokazał Robert Jordan. — Rozumiesz?

— Tak, ale...

— Nie ma żadnego ale. Wytłumaczę ci później. Idę do Primitiva.

Anselmo stal przy nim, więc powiedział do niego:

— *Viejo*, zostań z Agustinem przy karabinie. — Mówił powoli, niespiesznie. — Nie wolno mu strzelać, dopóki kawaleria nie wejdzie w przesmyk. Jeżeli się tylko pokażą, ma ich przepuścić, tak jak przedtem. Jeżeli będzie musiał strzelać, przytrzymaj mu mocno trójnóg i podawaj magazynki w miarę, jak będą się opróżniały.

— Dobrze — odrzekł stary. — A co z La Granja?

— Później.

Robert Jordan zaczął się wspinać po szarych skałach, czując pod palcami ich wilgotność, kiedy podciągał się coraz wyżej. Słońce szybko roztapiało leżący na nich śnieg. Wierzchołki skał już obsychały; kiedy obejrzał się na okolicę, zobaczył sosnowy las, podłużną, otwartą polanę, dalej spadzisty upłaz, a za nim wysokie góry. Wreszcie stanął obok Primitiva w zagłębieniu za dwoma głazami i niski, smagły mężczyzna powiedział do niego:

— Atakują Sorda. Co robimy?

— Nic — odrzekł Robert Jordan.

Z tego miejsca słyszał wyraźnie strzały i popatrzywszy na okolicę dojrzał daleko, za odległą doliną, tam gdzie teren znów wznosił się stromo, oddział kawalerii, który wynurzywszy się z lasu jechał pod górę po ośnieżonym zboczu w kierunku strzelaniny. Długa, podwójna linia jeźdźców i koni czerniała na śniegu, wjeżdżając na strome wzniesienie. Widział, jak dosięgnęła szczytu i znikła między drzewami.

— Musimy im pomóc — powiedział Primitivo. Głos jego był suchy i płaski.

— Niemożliwe — odparł Robert Jordan. — Spodziewałem się tego przez całe rano.

— Jak to?

— Wczoraj wieczorem poszli ukraść konie. Śnieg przestał padać i tamci ich wytropili.

— Ale my musimy im pomóc — powtórzył Primitivo. — Nie możemy zostawić ich samych w takiej chwili. To są nasi towarzysze.

Robert Jordan położył mu rękę na ramieniu.

— Nie możemy nic zrobić — powiedział. — Gdybyśmy mogli, zrobilibyśmy to zaraz.

— Górą można się tam przedostać. Możemy pójść tamtędy z końmi i dwoma automatami. Tym, co jest na dole, i twoim. W ten sposób im pomożemy.

— Słuchaj... — zaczął Robert Jordan.

— Ja słucham tego — odparł Primitivo.

Strzały toczyły się zachodzącymi na siebie falami. Potem, pośród suchego terkotu broni maszynowej, usłyszeli ciężkie, głuche wybuchy ręcznych granatów.

— Oni są zgubieni — powiedział Robert Jordan. — Byli zgubieni już wtedy, jak śnieg przestał padać. Jeżeli tam pójdziemy, będziemy zgubieni także. Nie można rozdzielać tych skąpych sił, jakie mamy.

Szczęki Primitiva, jego górną wargę i szyję pokrywała szpakowata szczecina zarostu. Reszta twarzy była jednolicie śniada, ze złamanym, spłaszczonym nosem i głęboko osadzonymi szarymi oczami. Patrząc na niego Robert Jordan zauważył, że szczecina drga mu w kącikach ust i na krtani.

— Posłuchaj tego — rzekł Primitivo. — Tam jest masakra.

— Jeżeli otoczyli kotlinę, to tak — odparł Robert Jordan. — Ale kilku mogło się wydostać.

— Gdybyśmy teraz na nich uderzyli, można by zajść ich od tyłu — powiedział Primitivo. — Niech czterech naszych idzie z końmi.

— A potem co? Co będzie, jak ich zajdziecie od tylu?

— Połączymy się z Sordem.

— Żeby tam zginąć? Spójrz na słońce. Dzień jeszcze długi. Niebo było wysokie, bezchmurne, a słońce grzało ich w plecy. Pod nimi, na południowym stoku polany, widać było wielkie płaty nagiej ziemi, a z sosen opadł już wszystek śnieg. Głazy poniżej, mokre od topniejącego śniegu, parowały teraz lekko w gorącym słońcu.

— Musisz to wytrzymać — powiedział Robert Jordan. — *Hay que aguantarse*. Takie rzeczy zdarzają się na wojnie.

— Ale czy nic nie możemy zrobić? Naprawdę? — Primitivo spojrzał na niego i Robert Jordan wyczuł, że mu ufa. — Nie mógłbyś posłać mnie i jeszcze jednego z tym małym karabinkiem maszynowym?

— To by się na nic nie zdało — odpowiedział Robert Jordan. Przez chwilę miał wrażenie, że widzi coś, czego wypatrywał, ale był to tylko jastrząb, który ześliznął się w dół z wiatrem, a potem wzbił się ponad linię dalekich lasów sosnowych.

— Na nic by się nie zdało, choćbyśmy poszli wszyscy — powtórzył Robert Jordan.

Właśnie w tej chwili podwoiło się natężenie ognia i zadudniły w nim ciężkie wybuchy granatów ręcznych.

— Och, sprośność na nich! — powiedział Primitivo bluźniąc w zapamiętaniu, ze łzami w oczach i z drgającymi policzkami. — Och, Boże i Najświętsza Panno, zaplugawcie ich — w mleku ich sprośności!

— Uspokój się — rzekł Robert Jordan. — Już bardzo niedługo sam będziesz z nimi walczył. O, idzie kobieta.

Pilar wspinała się do nich, z wysiłkiem podciągając się na skały. Ilekroć wiatr przyniósł odgłos strzałów, Primitivo powtarzał:

— Sprośność na nich! Och, Boże i Najświętsza Panno, zaplugawcie ich!

Robert Jordan spełznął w dół, żeby pomóc Pilar.

— *Qué tal*, kobieto? — zapytał chwytając ją za kiście obu rąk i podciągając w górę, gdy gramoliła się ciężko przez ostatnią skałę.

— Masz swoją lornetkę — odpowiedziała zdejmując jej pasek przez głowę. — Więc to przyszło na Sorda?

— Tak.

— *Pobre*[82] — powiedziała ze współczuciem. — Biedny Sordo. Dyszała ciężko po wspinaczce; chwyciła Roberta Jordana za rękę i ścisnęła ją mocno rozglądając się po okolicy.

— Jak ci się widzi ta walka?

— Niedobrze. Bardzo niedobrze.

— Myślisz, że on jest *jodido*[83]?

— Chyba tak.

— *Pobre* — powiedziała. — Pewnie przez te konie?

— Prawdopodobnie.

— *Pobre* — powtórzyła Pilar. A potem: — Rafael opowiedział mi całą gównianą powieść o jakiejś kawalerii. Co tutaj było?

— Patrol i część szwadronu.

— A dokąd doszli?

Robert Jordan pokazał jej, gdzie zatrzymał się patrol i gdzie był ukryty karabin maszynowy. Z miejsca, w którym oboje stali, widać było jeden but Agustina sterczący spod osłony.

— Cygan powiadał, jakoby dojechali tak blisko, że wylot lufy oparł się o pierś konia dowódcy — rzekła Pilar. — Co to za plemię! Te twoje szkła były w jaskini.

— Spakowaliście rzeczy?

— Wszystko, co można zabrać. Wiadomo coś o Pablu?

— Miał czterdzieści minut przewagi nad kawalerią. Pojechali jego śladami.

Pilar uśmiechnęła się do niego. Do tej chwili trzymała go za rękę. Teraz ją puściła.

— Nie zobaczą go na oczy — powiedziała. — A teraz co do Sorda. Możemy coś zrobić?

— Nic.

— *Pobre* — powiedziała. — Bardzo go lubiłam. Jesteś pewny, pewny, że on już jest *jodido*?

— Tak. Widziałem dużo kawalerii.

— Więcej niż było tutaj?

---

[82] Pobre (hiszp.) - biedny.
[83] jodido (hiszp.) - tu: wykończony.

— Drugi pełny oddział, który jechał w tamtą stronę.

— Słuchaj, co tam się dzieje — rzekła Pilar. — *Pobre, pobre* Sordo.

Wsłuchali się w strzelaninę.

— Primitivo chciał tam iść — powiedział Robert Jordan.

— Czyś ty zwariował? — obróciła się Pilar do płaskonosego mężczyzny. — Skąd u nas się biorą tacy *locos*[84]?

— Chciałbym im pomóc.

— *Qué va!* — zawołała Pilar. — Jeszcze jeden romantyk. Myślisz, że nie umrzesz tutaj dość szybko bez zbędnych podróży?

Robert Jordan spojrzał na jej masywną, śniadą twarz o sterczących jak u Indianki kościach policzkowych i szeroko rozstawionych ciemnych oczach, i na gorzko roześmiane usta o grubej górnej wardze.

— Musisz się zachować jak mężczyzna — powiedziała do Primitiva. — Jak dorosły mężczyzna. Ty, razem z twoimi siwymi włosami!

— Nie żartuj ze mnie — odparł posępnie Primitivo. — Jeżeli człowiek ma trochę serca i wyobraźni...

— .. .to powinien nauczyć się panować nad nimi — dokończyła Pilar. — I tak dość rychło umrzesz przy nas. Nie trzeba szukać tego u obcych. A co do tej twojej wyobraźni, to Cygan ma jej dosyć za wszystkich. Cóż on za powieść wymyślił!

— Gdybyś to sama widziała, nie nazywałabyś tego powieścią — rzekł Primitivo. — Była to chwila wielce poważna.

— *Qué va* — odparła Pilar. — Przyjechało tu trochę kawalerii i pojechało sobie. A wy robicie z siebie bohaterów. Do tego doszliśmy przez naszą bezczynność.

— A to z Sordem też nie jest poważne? — zapytał wzgardliwie Primitivo. Cierpiał widocznie, ilekroć wiatr przyniósł odgłos strzałów, i chciał albo iść do walki, albo pozbyć się Pilar, żeby go już zostawiła w spokoju.

— *Total quo?*' — zapytała Pilar. — Co się stało, to się stało. Nie gub swoich *cojones* z powodu cudzego nieszczęścia.

— Odplugaw się! — zawołał Primitivo. — Są kobiety tak wielkiej głupoty i brutalności, że to nieznośne.

---

[84] locos (hiszp.) - wariaci.

— Po to, żeby podtrzymać i wesprzeć tych mężczyzn, co są licho wyposażeni do płodzenia — odparła Pilar. — Idę sobie, jeżeli tu nic nie można zobaczyć.

W tej chwili Robert Jordan usłyszał wysoko w górze samolot. Podniósł głowę i zobaczył na niebie bodaj ten sam, obserwacyjny, który już widział rano. Wracał teraz od strony frontu i leciał w kierunku wyżyny, na której atakowano El Sorda.

— O, jest ten ptak nieszczęścia — powiedziała Pilar. — Czy oni dojrzą, co tam się dzieje?

— Na pewno — odrzekł Robert Jordan. — Jeżeli nie są ślepi. Patrzyli na srebrzysty samolot lecący równo, wysoko w promieniach słońca. Zbliżał się od lewej strony i widzieli dwa świetliste kręgi jego śmigieł.

— Padnij! — rozkazał Robert Jordan.

Samolot znalazł się nad nimi, jego cień przesunął się po polanie, a warkot doszedł do najwyższego natężenia. Potem ich minął kierując się ku dolinie. Patrzyli, jak leciał prosto przed siebie, a kiedy już miał zniknąć, spostrzegli, że zawraca szerokim, zniżającym się kołem, po czym dwa razy zatoczył krąg nad wyżyną i zniknął w kierunku Segovii.

Robert Jordan spojrzał na Pilar. Czoło miała mokre od potu i pokiwała głową. Przygryzała dolną wargę.

— Na każdego coś się znajdzie — powiedziała. — Na mnie są one.

— Czyżbyś się zaraziła moim strachem? — zapytał ironicznie Primitivo.

— Nie — położyła mu dłoń na ramieniu. — W tobie nie ma strachu, którym się można zarazić. Przykro mi, że tak ci dogryzałam. Wszyscy jesteśmy na tym samym wozie. — A potem zwróciła się do Roberta Jordana: — Przyślę wam jedzenie i wino. Potrzeba ci czegoś jeszcze?

— W tej chwili nie. Gdzie reszta naszych?

— Twoje odwody są nietknięte na dole, razem z końmi — uśmiechnęła się. — Wszystko się pochowało. Wszystko gotowe do odjazdu. Maria pilnuje twoich materiałów.

— Gdyby przypadkiem nadleciały samoloty, nie wypuszczaj jej z jaskini.

— Dobrze, jaśnie panie Inglés — odparła Pilar. — Twojego Cygana (bo ci go daję) posłałam, żeby nazbierał grzybów do ugotowania z zającami. Teraz jest dużo grzybów, a pomyślałam, że można zjeść te zające, chociaż byłyby lepsze jutro albo pojutrze.

— Myślę, że najlepiej będzie je zjeść — powiedział Robert Jordan, a Pilar położyła mu swą wielką dłoń na ramieniu, tam, gdzie przebiegał przez piersi pas od pistoletu maszynowego, po czym podniosła rękę i rozburzyła mu palcami włosy.

— Co to za Inglés! — powiedziała. — Przyślę Marię z *puchero*[85], jak już się ugotuje.

Daleka strzelanina przycichła i teraz było słychać tylko pojedyncze strzały.

— Myślisz, że to już koniec? — spytała Pilar.

— Nie — odpowiedział Robert Jordan. — Sądząc po tym, co słyszeliśmy, musieli zaatakować i zostali odparci. Przypuszczam, że w tej chwili atakujący ich otoczyli. Ukryli się i czekają na samoloty.

Pilar obróciła się do Primitiva.

— Ty — powiedziała. — Rozumiesz, że nie miałam zamiaru cię obrazić?

— *Ya lo sé*[86] — odrzekł Primitivo. — Znosiłem już gorsze rzeczy od ciebie. Masz jadowity język. Ale uważaj, co gadasz, kobieto. Sordo to był mój dobry przyjaciel.

— A mój to nie? — zapytała. — Posłuchaj, płaska gębo. Na wojnie nie można mówić, co się czuje. Dość mamy swojego i nie potrzeba brać jeszcze od Sorda.

Primitivo był nadal ponury.

— Powinieneś wziąć jakieś lekarstwo — doradziła mu Pilar. — No, idę szykować jedzenie.

— Przyniosłaś dokumenty tego *requete?* — zapytał Robert Jordan.

— Alem ja głupia! — wykrzyknęła. —Zapomniałam. Przyślę tu Marię.

[85] puchero (hiszp.) - hiszpańska potrawa mięsno-jarzynowa.
[86] Ya lo sé (hiszp.) - Już wiem.

XXVI

Do godziny trzeciej samoloty jeszcze nie nadleciały. W południe śnieg zniknął ostatecznie, a skały były nagrzane od słońca. Na niebie nie było ani jednej chmurki: Robert Jordan siedział bez koszuli między głazami, opalał sobie plecy i czytał listy znalezione w kieszeniach zabitego kawalerzysty. Od czasu do czasu przerywał czytanie, rzucał okiem na stok, linię lasu i wyżynę ponad nim i znowu wracał do listów. Nie pokazało się już więcej kawalerii. Chwilami od strony obozowiska El Sorda dolatywał odgłos pojedynczych strzałów. Ale odzywały się tylko z rzadka.

Z dokumentów wojskowych dowiedział się, że chłopak pochodził z Navarry, z miasteczka Tafalla, miał lat dwadzieścia jeden, był kawalerem i synem kowala. Służył w N-tym pułku kawalerii, co zdziwiło Roberta Jordana, ponieważ myślał, że pułk ten jest na północy. Był karlistą i na początku wojny został ranny w walkach pod Irunem.

Prawdopodobnie widziałem go biegnącego ulicą przed bykami podczas *Feria* w Pamplonie — myślał Robert Jordan. — Na wojnie nigdy nie zabija się tego, kogo chciałoby się zabić — powiedział do siebie. — No cóż, to się w ogóle prawie nie zdarza — dodał w myśli i zabrał się do czytania listów.

Pierwsze, jakie przeczytał, były bardzo oficjalne, bardzo starannie pisane i dotyczyły prawie wyłącznie wydarzeń lokalnych. Pochodziły od siostry zabitego i Robert Jordan dowiedział się z nich, że w Tafalli wszystko w porządku, ojciec czuje się dobrze, a matka tak jak zwykle, tylko trochę narzeka na bóle w krzyżach; że ona sama ma nadzieję, iż jest zdrów i nie naraża się za bardzo, i jest szczęśliwa, że tępi Czerwonych, aby wyzwolić Hiszpanię spod jarzma hord marksistowskich. Dalej następował spis chłopców z Tafalli, którzy zginęli albo zostali ciężko ranni od czasu jej ostatniego listu. Wymieniała dziesięciu poległych. To bardzo wielu na takie miasteczko jak Tafalla — pomyślał Robert Jordan.

W liście było sporo zaklęć religijnych: siostra modliła się o opiekę nad bratem do świętego Antoniego, do Błogosławionej Dziewicy z Pilar i do innych Dziewic i prosiła, aby nigdy nie zapominał, że chroni go także Przenajświętsze Serce Jezusa, które, jak ufa, zawsze i stale nosi na własnym sercu, gdzie niezliczoną — to słowo było podkreślone — ilość razy wykazało swą moc odwracania kul. Pozostawała jego zawsze kochającą siostrą, Conchą.

Ten list był trochę przybrudzony na brzegach i Robert Jordan włożył go starannie między dokumenty wojskowe, po czym wziął inny, pisany mniej surowym charakterem. Pochodził on od novii, narzeczonej chłopaka, i w spokojnych, banalnych słowach mówił o zupełnie histerycznym lęku, żeby mu się nie stało coś złego. Robert Jordan przeczytał go do końca, po czym wszystkie listy razem z dokumentami schował do tylnej kieszeni. Nie miał już chęci czytać pozostałych.

Zdaje się, że na dziś spełniłem swój dobry uczynek — powiedział do siebie. — Zdaje się, że rzeczywiście tak — powtórzył w myśli.

— Coś ty czytał? — zapytał go Primitivo.

— Papiery i listy tego *requete*, którego zastrzeliliśmy dziś rano. Chciałbyś zobaczyć?

— Nie umiem czytać — odrzekł Primitivo. — Jest tam coś ciekawego?

— Nie — odpowiedział Robert Jordan. — Takie prywatne listy.

— Co słychać tam, skąd on pochodzi? Można zmiarkować z tych listów?

— Zdaje się, że wszystko dobrze — odparł Robert Jordan. — W jego miasteczku mają duże straty.

Popatrzył w dół, na osłonę erkaemu, którą zmienili trochę i poprawili, kiedy śnieg stopniał. Wyglądała dosyć przekonywająco. Przeniósł wzrok na okolicę.

— Z jakiego miasta on był? — zapytał Primitivo.

— Z Tafalli — odparł Robert Jordan.

No, dobrze — powiedział do siebie. — Żal mi, o ile to coś pomoże.

Nie pomoże — odrzekł sam sobie.

W porządku. Więc zostaw to już — powiedział w myśli.

Dobrze. Już zostawiłem.

Ale nie tak łatwo było to zostawić. Ilu właściwie ludzi zabiłeś? — zapytał siebie. — Nie wiem. Czy uważasz, że masz prawo zabijać każdego? Nie. Ale muszę. Ilu z tych, których zabiłeś, było naprawdę faszystami? Bardzo niewielu. Ale to wszystko są wrogowie, których sile przeciwstawiamy siłę. Przecież ze wszystkich Hiszpanów najbardziej lubisz navarryjczyków? Tak. A zabijasz ich. Tak; jeżeli nie wierzysz, pójdź zobaczyć do obozu. Czy nie wiesz, że źle jest zabijać? Wiem. Ale zabijasz? Tak. I nadal bezwzględnie wierzysz, że twoja sprawa jest słuszna? Wierzę.

Jest słuszna — powiedział sobie, nie dla uspokojenia ale z dumą. — Wierzę w lud i w jego prawo do rządzenia się zgodnie z własną wolą. Ale nie wolno ci wierzyć w

zabijanie — powiedział do siebie. — Powinieneś to robić jako zło konieczne, ale nie wolno ci wierzyć, że to jest twoje prawo. Jeżeli uwierzysz, wszystko okaże się złe.

Jak myślisz, ilu dotychczas zabiłeś? Nie wiem, bo nie chcę prowadzić rachunku. Ale wiesz? Tak. No ilu? Nigdy nie wiadomo na pewno. Przy wysadzaniu pociągów zabija się wielu. Bardzo wielu. Ale nie ma się pewności. A ilu takich, których jesteś pewny? Więcej niż dwudziestu. Ilu z nich było naprawdę faszystami? Co do dwóch mam pewność. Bo musiałem ich zastrzelić, kiedyśmy wzięli ich do niewoli pod Userą. I nie sprawiło ci to różnicy? Nie. Ani przyjemności? Też nie. Postanowiłem więcej tego nie robić. Unikałem tego. Unikałem zabijania bezbronnych.

Słuchaj — powiedział sobie. — Lepiej daj z tym spokój. To bardzo niedobre dla ciebie i dla twojej pracy. Wtedy jego ja odpowiedziało mu: To ty słuchaj. Bo robisz coś bardzo poważnego i muszę wiedzieć, że przez cały czas rozumiesz, o co idzie. Muszę pilnować, żebyś miał całkiem jasno w głowie. Bo jeżeli nie będziesz miał absolutnie jasno w głowie, nie wolno ci robić tego, co robisz, ponieważ wszystkie te rzeczy są zbrodniami i żaden człowiek nie ma prawa odbierać drugiemu życia, chyba że przez to nie dopuszcza, aby innym stało się coś gorszego. Więc zrozum to dobrze i nie kłam sam sobie.

Ale nie będę prowadził rachunku ludzi, których zabiłem, tak jakby to była lista trofeów czy jakieś obrzydlistwo w rodzaju nacięć na kolbie karabinu — powiedział do siebie. — Mam prawo nie prowadzić rachunku i mam prawo zapomnieć o nich.

Nie — odpowiedziało mu jego ja. — Nic masz prawa zapomnieć niczego. Nie masz prawa na nic zamykać oczu, nie masz prawa niczego zapominać, niczego łagodzić ani zmieniać.

Cicho bądź — powiedział do siebie. — Robisz się strasznie pompatyczny.

Ani oszukiwać samego siebie — ciągnęło jego ja.

No, dobrze — odpowiedział. — Dziękuję za wszystkie dobre rady. A czy przynajmniej wolno mi kochać Marię?

Tak.

Nawet jeżeli w czysto materialistycznej koncepcji społeczeństwa nie ma miejsca na taką rzecz jak miłość?

A odkąd to masz tę koncepcję? — zapytało jego ja. — Nigdy jej nie miałeś. I nigdy nie mogłeś mieć. Nie jesteś prawdziwym marksistą i dobrze o tym wiesz. Wierzysz w Wolność, Równość i Braterstwo. Wierzysz w Życie, Swobodę i Dążenie do

Szczęścia. Nie zwódź się zbyt wielką dozą dialektyki. To dobre dla innych, ale nie dla ciebie. Trzeba to znać, aby nie być naiwniakiem. Wiele rzeczy musi się trzymać w zawieszeniu, ażeby wygrać wojnę. Jeżeli przegramy, wszystkie one przepadną.

Natomiast potem będziesz mógł odrzucić to, w co nie wierzysz. Dużo jest rzeczy, w które nie wierzysz, a dużo takich, w które wierzysz.

I jeszcze jedno. Nigdy niczego sobie nic wmawiaj na temat miłości. Po prostu większość ludzi nie ma szczęścia tego przeżyć. Sam nigdy jeszcze tego nie miałeś, a teraz masz. To, co masz z Marią — obojętne, czy będzie trwało przez dziś i kawałek jutra, czy przez całe długie życie — jest najważniejszą sprawą, jaka może się zdarzyć ludzkiej istocie. Zawsze znajdą się tacy, którzy będą twierdzili, że to nie istnieje, ponieważ sami nie mogą tego zaznać. Ale ja ci powiadam, że to jest prawdziwe, że to już masz i że spotkało cię wielkie szczęście, nawet gdyby ci jutro przyszło umrzeć.

Daj spokój z tym umieraniem — powiedział sobie. — U nas się tak nie mówi. Tak mówią nasi przyjaciele anarchiści. Jak tylko robi się naprawdę źle, zaraz chcą coś podpalić i umrzeć. To bardzo dziwna umysłowość. Bardzo dziwna. No, dzień się kończy, stary — powiedział do siebie w myśli. — Już prawie trzecia i prędzej czy później przyniosą coś do jedzenia. U Sorda ciągle strzelają, co oznacza, że go otoczyli i pewnie czekają na posiłki. Ale przecież muszą z tym skończyć przed nocą.

Ciekawe, jak tam jest u Sorda. Wszyscy możemy spodziewać się w końcu tego samego. Wyobrażam sobie, że nie jest tam zbyt wesoło. Nie ma co, paskudnie go urządziliśmy tą historią z końmi. Jak to się mówi po hiszpańsku? *Un callejón sin salida*. Zaułek bez wyjścia. Przypuszczam, że jakoś bym to zniósł. Trzeba przez to przejść tylko raz i szybko jest po wszystkim. A jednak czy nie byłoby luksusem walczyć na takiej wojnie, na której można się poddać, kiedy człowieka otoczą? *Estamos copados*. Jesteśmy otoczeni. To jest wielki krzyk lęku w tej wojnie. A potem dają kulę w łeb, jeżeli ma się tyle szczęścia, że przedtem nie spotka człowieka coś gorszego. Sordo nie będzie miał tego szczęścia. Ani oni we właściwym czasie.

Była godzina trzecia. W tej chwili usłyszał daleki, pulsujący dźwięk i podniósłszy głowę zobaczył samoloty.

XXVII

El Sordo toczył walkę na szczycie wzgórza. Nie podobało mu się to wzgórze i kiedy je zobaczył, pomyślał, że ma kształt szankra. Ale nie było innego wyboru, więc upatrzył je sobie z daleka i pogalopował ku niemu z ciężkim erkaemem na plecach, na koniu robiącym bokami, które wzdymały się między udami jeźdźca, z rozkołysanym workiem granatów na jednym biodrze i workiem magazynków do erkaemu obijającym mu się o drugie. Joaquin i Ignacio co chwila zatrzymywali się i strzelali, i znowu zatrzymywali się i strzelali, ażeby dać mu czas na ustawienie karabinu.

Wtedy był jeszcze śnieg, ten śnieg, który ich zgubił, i kiedy koń został trafiony i z ciężkim sapaniem pokonywał ostatni odcinek stromizny wolnym, chwiejnym stępem, obryzgując śnieg jaskrawym, pulsującym strumieniem, Sordo ciągnął go pod górę za wodze, które przerzucił sobie przez ramię. Wspinał się jak mógł najszybciej, z dwoma ciężkimi workami na ramionach, pośród kul grzechoczących o skały, a potem, przytrzymawszy konia za grzywę, zastrzelił go prędko, biegle, troskliwie, akurat w tym miejscu, gdzie było trzeba, tak że kiedy koń runął łbem w przód, zatarasował szczelinę pomiędzy dwiema skalami. Sordo położył erkaem na jego grzbiecie i wystrzelał dwa magazynki; broń warczała, puste łuski wbijały się w śnieg, czuć było swąd przypalonej sierści w miejscu, gdzie opierał się gorący wylot lufy, a Sordo strzelał do podchodzących na zbocze, zmuszał ich do rozproszenia się i ukrycia, i przez cały czas czuł zimno na krzyżu, ponieważ nie wiedział, co dzieje się za nim. Kiedy wreszcie ostatni z jego pięciu ludzi wydostał się na szczyt wzgórza, uczucie zimna ustąpiło i Sordo postanowił zachować resztę magazynków do chwili, gdy będą potrzebne.

Na stoku leżały jeszcze dwa zabite konie, na szczycie wzgórza dalsze trzy. Ubiegłej nocy udało mu się skraść tylko trzy konie, czwarty uciekł, kiedy próbowali dosiąść go na oklep w zagrodzie przy obozowisku w chwili, gdy zaczęła się strzelanina.

Z pięciu ludzi, którzy dotarli na wzgórze, trzech było rannych. Sordo był ranny w łydkę i dwa razy w lewą rękę. Chciało mu się pić, rany mu zdrętwiały, a jedna w lewej ręce bolała mocno. Miał także silny ból głowy i kiedy leżał czekając na pojawienie się samolotów, przypomniał sobie pewne hiszpańskie powiedzenie. Brzmiało ono: „*Hay que tomar la muerte como sifuera aspirina*", co znaczy: „Śmierć powinno się brać jak aspirynę". Ale nie wypowiedział tego głośno. Uśmiechnął się

wewnętrznie poprzez ból głowy i mdłości, które go chwytały, gdy tylko ruszył ręką, i obejrzał się na resztki swojej bandy.

Pięciu ludzi rozłożyło się na wzgórzu w kształt pięcioramiennej gwiazdy. Zgarniając ziemię i kamienie rękami i kolanami usypali sobie kopczyki, które osłaniały im głowy i ramiona. Kryjąc się za nimi łączyli teraz poszczególne kopczyki nasypami z ziemi i z kamieni. Osiemnastoletni Joaquin miał stalowy hełm, którym wygarniał ziemię i podawał ją dalej.

Hełm ten zdobył przy wysadzeniu pociągu. Przebity był kulą na wylot i wszyscy zawsze kpili z Joaquina, że go zabrał. Ale on gładko sklepał młotkiem poszarpane krawędzie otworu od kuli i zatknął go drewnianym kółeczkiem, który następnie oberżnął wewnątrz i wygładził równo z blachą.

Kiedy zaczęła się strzelanina, nasadził ten hełm na głowę z takim rozmachem, że aż mu zadzwoniło w uszach, jak gdyby go ktoś zdzielił garnkiem po ciemieniu. Potem pod Joaquinem zabito konia i podczas kłującego w płuca, odrętwiającego nogi, wysuszającego usta, grzechoczącego, trzaskającego i wyjącego kulami biegu po ostatnim odcinku zbocza wydało mu się, że hełm waży strasznie dużo i ściska mu pękające czoło jakby żelazną obręczą. Ale go nie odrzucił. Teraz wygarniał nim ziemię miarowo, z desperacją, nieomal jak maszyna. Dotychczas jeszcze nie został trafiony.

— Na coś się w końcu przydał — powiedział do niego Sordo niskim, gardłowym głosem.

— *Resistir y fortificar es vencer* — odparł Joaquin ustami drętwymi od owej suchości strachu, która przekraczała normalne bitewne pragnienie. Było to jedno z haseł Partii Komunistycznej i znaczyło: „Stawianie oporu i umacnianie się jest zwycięstwem".

Sordo popatrzał po zboczu, ku miejscu, gdzie jakiś kawalerzysta strzelał zza głazu. Bardzo lubił Joaquina, ale nie był w nastroju do sloganów.

— Coś powiedział?

Jeden z ludzi budujących osłonę obrócił się nagle. Leżał płasko na twarzy i ostrożnie utykał kamień w nasypie nie odrywając brody od ziemi.

Joaquin nie przestał kopać ani na chwilę, ale powtórzył hasło zaschniętym, chłopięcym głosem.

— Jakie jest ostatnie słowo? — zapytał mężczyzna leżący brodą na ziemi.

— *Vencer* — odrzekł chłopiec.

— *Mierda!* — zaklął tamten.

— Jest jeszcze jedno hasło, które się tu nadaje — powiedział Joaquin wydobywając je jak talizmany. — La Pasionaria mówi, że lepiej jest umrzeć stojąc, niż żyć na kolanach.

— Jeszcze raz *mierda*! — powtórzył mężczyzna, a drugi dorzucił przez ramię:

— My nie na kolanach; na brzuchach.

— Ty, komunista! A wiesz, że ta cała Pasionaria ma syna w twoim wieku, który od początku ruchu siedzi w Rosji.

— To kłamstwo — odparł Joaquin.

— *Qué va*, kłamstwo — powiedział tamten. — Mówił mi to ów dynamitard o osobliwym nazwisku. On także był z twojej partii. Dlaczego miałby kłamać?

— To kłamstwo — powtórzył Joaquin. — Nie zrobiłaby czegoś takiego, żeby schować syna w Rosji, z daleka od wojny.

— Chciałbym być teraz w Rosji — odezwał się inny z ludzi Sorda. — Może by twoja Pasionaria przeniosła mnie teraz stąd do Rosji, komunisto?

— Jeżeli tak wierzysz w tę swoją Pasionarię, to poproś, żeby nas ściągnęła z tego wzgórza — powiedział inny, który miał obandażowane udo.

— Faszyści to zrobią — odparł ten, który leżał brodą na ziemi.

— Nie gadajcie tak — obrócił się do niego Joaquin.

— Zetrzyj z gęby matczyne mleko i dawaj trochę tej ziemi — odparł tamten. — Żaden z nas nie zobaczy dziś zachodu słońca.

El Sordo myślał: To wzgórze ma kształt szankra. Albo piersi młodej dziewczyny, bez sutki. Albo stożka wulkanu. Nigdyś nie widział wulkanu — pomyślał. — I nigdy nie zobaczysz. A to wzgórze jest jak szankier. Zostaw wulkany. Za późno już na wulkany.

Wyjrzał ostrożnie spoza kłębu martwego konia i w tej chwili zza głazu leżącego w dole na stoku zaterkotał szybki ogień pistoletu maszynowego i Sordo usłyszał kule łupiące głucho w konia. Popełznął wzdłuż niego i wyjrzał przez szparę między zadem zwierzęcia a skałą. Niżej na zboczu leżały trzy trupy faszystów, którzy tam padli, kiedy pod osłoną ognia pistoletów automatycznych i erkaemów uderzyli na wzgórze, a Sordo i jego ludzie odparli atak rzucając i turlając w dół granaty ręczne. Po drugiej stronie wzgórza leżały inne trupy, ale ich z tego miejsca nie widział. Nie było nigdzie martwego pola, po którym atakujący mogliby podejść do szczytu, i Sordo wiedział, że

póki starczy amunicji i granatów, a zostanie chociaż czterech ludzi, tamci go stąd nie wykurzą, chyba że sprowadzą moździerz. Nie wiedział, czy już posłali po modździerz do La Granja. Możliwe, że nie, bo przecież i tak niedługo powinny przylecieć samoloty. Cztery godziny minęły już od chwili, kiedy przeleciał nad nimi samolot obserwacyjny.

To wzgórze jest naprawdę jak szankier — myślał Sordo — a my jesteśmy jego ropą. Ale sporo ich natłukliśmy, kiedy zrobili to głupstwo. Jak mogli myśleć, że nas tak wezmą? Mają takie nowoczesne uzbrojenie, że tracą rozum od nadmiaru pewności siebie. Młodego oficera prowadzącego natarcie zabił granatem, który tocząc się i podskakując zleciał po zboczu, kiedy tamci biegli, przygięci, pod górę. W żółtym błysku, huku i szarym dymie zobaczył wtedy oficera walącego się na twarz tam, gdzie teraz leżał niby ciężki, zgnieciony tłumek starego odzienia, wyznaczając najdalszy punkt, do jakiego doszło natarcie. Sordo popatrzał na jego trupa, a potem niżej, na pozostałych.

Odważni są, ale głupi! — pomyślał. — Jednak mają tyle rozumu, żeby nie atakować znowu, dopóki nie przyjdą samoloty. Chyba że czekają na moździerz. Z moździerzem poszłoby im łatwo. Moździerz to była rzecz normalna i Sordo wiedział, że on i jego ludzie zginą, gdy tylko nadejdzie, ale kiedy pomyślał o samolotach, poczuł się na tym szczycie wzgórza tak nagi, jak gdyby zdarto z niego cale ubranie, a nawet skórę.

Nie może być nic bardziej nagiego niż ja w tej chwili — pomyślał. — Obłupiony ze skóry królik jest w porównaniu ze mną okryty grubo jak niedźwiedź. Ale po co mają sprowadzać samoloty? Mogą nas łatwo stąd wykurzyć moździerzem. Tylko że oni są dumni ze swoich samolotów, więc pewnie je ściągną. Tak jak dumni byli ze swojej broni automatycznej i przez to zrobili takie głupstwo. Ale na pewno posłali i po moździerz.

Któryś z jego ludzi wystrzelił. Potem szybko zarepetował broń i strzelił znowu.

— Oszczędzaj amunicję — powiedział Sordo.

— Jeden z tych synów wielkiej kurwy chciał podejść do tamtego głazu — pokazał mężczyzna.

— Trafiłeś go? — zapytał Sordo obracając z trudnością głowę.

— Nie — odrzekł tamten. — Schował się drań.

— Kto jest kurwą nad kurwami, to Pilar — odezwał się ten, który leżał brodą na ziemi. — Przecież ta kurwa wie, że my tu umieramy.

— Nie mogłaby nic zrobić — powiedział Sordo. Tamten mówił od strony jego lepszego ucha, więc usłyszał nie obracając głowy. — No bo co może zrobić?

— A zajść tych łobuzów od tylu.

— *Qué va* — odparł Sordo. — Rozrzuceni są dookoła wzgórza. Jakżeby do nich podeszła? Jest ich ze stu pięćdziesięciu. Teraz może i więcej.

— Ale jeżeli wytrzymamy do nocy — powiedział Joaquin.

— Albo jeżeli Boże Narodzenie wypadnie na Wielkanoc — mruknął ten, co leżał brodą na ziemi.

— A jakby twoja ciocia miała *cojones*, to byłby z niej wujaszek — odezwał się inny. — Poślij po swoją Pasionarię. Ona jedna może nam pomóc.

— Nie wierzę w to o jej synu — powiedział Joaquin. — A jeżeli nawet tam jest, to szkoli się na lotnika albo coś podobnego.

— Siedzi tam schowany dla bezpieczeństwa.

— Studiuje sobie dialektykę. Twoja Pasionaria też tam była. I Lister, i Modesto, i inni. Mówił mi ten o osobliwym nazwisku.

— Niech jeżdżą tam się uczyć i niech wracają nam pomagać— rzekł Joaquin.

— Niech nam teraz pomogą — powiedział inny. — Niech nam teraz pomogą te wszystkie parszywe rosyjskie oszukańce. — Wystrzelił i powiedział: — *Me cago en tal*. Znowu go spudłowałem.

— Oszczędzaj amunicję i nie gadaj tyle, bo będzie ci się chciało pić — powiedział El Sordo. — Na tym wzgórzu nie ma wody.

— Masz tutaj — odrzekł tamten i przekręciwszy się na bok zdjął przez głowę bukłak z winem, który miał zawieszony na ramieniu, i podał go Sordowi. — Popłucz sobie gardło, stary. Musisz mieć okrutne pragnienie od tych ran.

— Niech każdy się napije — powiedział Sordo.

— No, to ja pierwszy łyknę — rzekł właściciel i puścił sobie do ust długi strumień, po czym oddał innym skórzany bukłak.

— Sordo, jak myślisz, kiedy przyjdą samoloty?—zapytał ten, który opierał brodę na ziemi.

— Lada chwila — odparł Sordo. — Powinny już tu być.

— Myślisz, że te syny wielkiej kurwy znowu zaatakują?

— Tylko jeżeli nie przyjdą samoloty.

Nie uważał, żeby trzeba było wspominać o moździerzu. I tak niedługo się dowiedzą, jak przyjdzie.

— Bóg wie, że mają dużo samolotów, po tym cośmy widzieli wczoraj.

— Za dużo — odrzekł Sordo.

Głowa bolała go bardzo, a ręka sztywniała tak, że przy ruchu ból stawał się trudny do zniesienia. Sordo podnosząc bukłak zdrową ręką popatrzał na czyste, wysokie błękitne wiosenne niebo. Miał pięćdziesiąt dwa lata i był pewny, że widzi to niebo po raz ostatni.

Wcale nie bal się śmierci, ale brała go złość, że jest osaczony na tym wzgórzu, które nadawało się tylko do tego, by na nim umrzeć. Gdybyśmy się byli od nich oderwali! — myślał. — Gdyby nam się udało wciągnąć ich w tę długą dolinę albo przeskoczyć przez drogę, wszystko byłoby w porządku. Ale to szankrowate wzgórze! Musimy je wykorzystać jak się da, a dotychczas wykorzystujemy bardzo dobrze.

Gdyby nawet wiedział, ilu ludzi w historii musiało umierać na wzgórzu, nie pocieszyłoby go to wcale, ponieważ przeżywał chwilę, w której na nikim nie robi wrażenia to, co zdarzyło się innym w podobnych okolicznościach, tak jak wdowie nie pomaga świadomość, że inni ukochani mężowie także już umierali. Bez względu na to, czy boimy się śmierci, czy nie, trudno nam z nią się pogodzić. Sordo pogodził się z nią, ale nie było w tym żadnego ukojenia, chociaż miał pięćdziesiąt dwa lata, trzy rany i był otoczony na wzgórzu.

Zażartował na ten temat do siebie, ale kiedy spojrzał na niebo i dalekie góry i przełknął wino, pomyślał, że nie pragnie tego wcale. Jeżeli trzeba umrzeć, a jasne, że trzeba, to mogę umrzeć. Ale to wstrętne.

Śmierć była niczym; w swoim umyśle nie miał jej obrazu ani też lęku przed nią. Natomiast życie to było pole zboża falujące na stoku wzgórza. Życie to był jastrząb na niebie. Życie to był gliniany dzban wody wśród pyłu młocki i wymłócone ziarno, i ulatujące plewy. Życie to był koń między kolanami i karabin pod udem, i wzgórze, i dolina, i potok, nad którym rosną drzewa, i przeciwległe zbocze doliny, i góry za nim.

Sordo oddal bukłak i skinął głową na podziękowanie. Podsunął się do przodu i poklepał martwego konia po łopatce, w miejscu, gdzie wylot lufy erkaemu osmalił mu skórę. Jeszcze czuł swąd przypalonej sierści. Myślał o tym, jak przytrzymał drżącego

konia, wśród kul, które świszczały i trzaskały nad nimi i wszędzie dokoła, otaczając ich niby jakąś kurtyną, i starannie strzelił mu w samo skrzyżowanie przekątnych między oczami i uszami. A potem, kiedy koń runął, przypadł za jego ciepłym, mokrym grzbietem i puścił erkaem w ruch, gdy tamci zaczęli wchodzić na wzgórze.

— *Eras mucho caballo* — powiedział, co oznaczało: „Był z ciebie kawał konia".

El Sordo położył się na zdrowym boku i popatrzał w niebo. Leżał na stosie pustych łusek od naboi, głowę osłaniała mu skała, a ciało zabity koń. Rany mu zdrętwiały, czuł silny ból i był zbyt wyczerpany, ażeby się poruszyć.

— Co z tobą, stary? — zapytał leżący obok.

— Nic. Odpoczywam sobie trochę.

— Prześpij się. Tamci pobudzą nas, jak przyjdą. W tej chwili ktoś zaczął wołać do nich z dołu.

— Słuchajcie, bandyci! — doleciał ich głos zza skał, gdzie był najbliższy karabin maszynowy. — Poddajcie się teraz, zanim samoloty rozniosą was na kawałki!

— Co on gada? — zapytał Sordo.

Joaquin powtórzył mu. Sordo przekręcił się na bok i podciągnął trochę wyżej, tak że znowu znalazł się za erkaemem.

— Może samoloty nie przyjdą — powiedział. — Nie odpowiadajcie im i nie strzelajcie. Może uda się zmusić ich do nowego ataku.

— A gdyby im trochę powymyślać? —. zapytał ten, który mówił Joaquinowi, że syn La Pasionarii jest w Rosji.

— Nie — odparł Sordo. — Dajcie mi duży pistolet. Który ma duży pistolet?

— Ja.

— Daj mi go.

Przyklęknął skulony, wziął wielkiego, dziewięciomilimetrowego Stara i strzelił raz w ziemię, tuż przy zabitym koniu, odczekał chwilę i wystrzelił jeszcze cztery razy w nieregularnych odstępach. Następnie policzył do sześćdziesięciu i strzelił po raz ostatni wprost w nieżywego konia. Wyszczerzył zęby i zwrócił pistolet.

— Naładuj go — szepnął. — I niech każdy zamknie twarz i nie strzela.

— *Bandidos!* — krzyknął glos zza skał.

Nikt nie odezwał się na wzgórzu.

— *Bandidos!* — Poddajcie się, zanim was rozniesiemy na kawałki.

— Ryba bierze — szepnął z radością Sordo.

W tej chwili któryś z żołnierzy wytknął głowę zza skały. Ze szczytu wzgórza nie padł żaden strzał i głowa zniknęła na powrót. El Sordo patrzał i czekał, ale nic więcej się nie zdarzyło. Obrócił głowę i spojrzał na pozostałych, którzy też obserwowali swoje odcinki zbocza. Potrząsnęli do niego głowami.

— Niech się żaden nie rusza — szepnął.

— Syny wielkie kurwy! — doleciał znów głos zza skał.

— Czerwone świnie! Gwałciciele matek! Zjadacze mleka własnych ojców!

Sordo wyszczerzył zęby w uśmiechu. Nadstawiając zdrowe ucho dosłyszał wykrzykiwane zniewagi. To lepsze niż aspiryna — myślał. — Ilu też dostaniemy? Czy to możliwe, żeby byli aż tacy głupi?

Głos umilkł znowu i przez parę minut nie słyszeli nic i nie widzieli żadnego ruchu. Po chwili strzelec wyborowy, ukryty za głazem o sto metrów niżej na stoku, pokazał się i strzelił. Kula uderzyła o skałę i zrykoszetowała z jękliwym świstem. A potem Sordo zobaczył, że zza skał, gdzie był ręczny karabin maszynowy, wypadł jakiś człowiek i zgięty we dwoje przebiegł przez otwartą przestrzeń do wielkiego głazu, za którym siedział strzelec. Długim susem skrył się za głazem.

Sordo obejrzał się. Jego ludzie dawali mu znaki, że na innych zboczach nie ma żadnego ruchu. El Sordo uśmiechnął się z zadowoleniem i kiwnął głową. To dziesięć razy lepsze niż aspiryna — pomyślał i czekał tak rozradowany, jak może być tylko myśliwy.

Niżej na stoku człowiek, który przebiegł od kopca kamieni za głaz, mówił do strzelca:

— Wierzycie w to?

— A bo ja wiem — odparł strzelec.

— To byłoby logiczne — powiedział tamten, który był dowodzącym oficerem. — Są otoczeni. Nie mogą się spodziewać niczego prócz śmierci.

Strzelec milczał.

— Co myślicie? — zapytał oficer.

— Nic — odpowiedział strzelec.

— Zauważyliście jakiś ruch po tych strzałach?

— Żadnego.

Oficer spojrzał na zegarek. Była za dziesięć trzecia.

— Samoloty powinny były przylecieć już godzinę temu — powiedział. W tej chwili przypadł za głaz drugi oficer. Strzelec posunął się, żeby mu zrobić miejsce.

— Ty, Paco — powiedział pierwszy oficer. — Jak ci się wydaje?

Drugi dyszał ciężko po szybkim biegu przez zbocze od stanowiska ręcznego karabinu maszynowego.

— Moim zdaniem to jest podstęp — odparł.

— A jeżeli nie? Jak się ośmieszamy czekając tu i oblegając nieboszczyków!

— Zrobiliśmy już coś gorszego niż ośmieszenie się — powiedział drugi oficer. — Popatrz na to zbocze.

Spojrzał na stok, gdzie pod szczytem leżały rozrzucone trupy. Z miejsca, z którego patrzał, widać było na górnej krawędzi wzgórza pojedyncze skały, brzuch, wyciągnięte nogi i sterczące, podkute kopyta konia El Sorda, i świeżo wykopaną ziemię.

— A co z moździerzami? — zapytał drugi oficer.

— Powinny tu być za godzinę. Jeżeli nie wcześniej.

— To zaczekajmy na nie. Już dosyć narobiło się głupstw.

— *Bandidos!* — huknął nagle pierwszy oficer podnosząc się z ziemi i wysuwając głowę nad głaz, tak że z pozycji stojącej szczyt wzgórza wydal mu się znacznie bliższy. — Czerwone świnie! Tchórze!

Drugi oficer spojrzał na strzelca i pokiwał głową. Tamten odwrócił wzrok i zacisnął usta.

Pierwszy oficer stał z głową wytkniętą nad głaz i z ręką na kolbie pistoletu. Przeklinał i lżył szczyt wzgórza. Nic się nie stało. Wreszcie wyszedł zza głazu i przystanął patrząc w górę.

— Strzelajcie, tchórze, jeżeli żyjecie! — krzyknął. — Strzelajcie do człowieka, który nie boi się żadnego Czerwonego, jaki kiedykolwiek wylazł z brzucha wielkiej kurwy!

Zdanie to było zbyt długie do wykrzyczenia i kiedy oficer skończył, miał twarz czerwoną i nabrzmiałą.

Drugi oficer był szczupły, opalony, miał spokojne oczy, wąskie, długie wargi i szczecinę zarostu na zapadniętych policzkach, i teraz znowu pokiwał głową. Oficer, który krzyczał, dał przedtem rozkaz do pierwszego natarcia. Młody porucznik, który

leżał zabity wyżej stoku, był najserdeczniejszym przyjacielem tego drugiego oficera, który nazywał się Paco Berrendo i teraz słuchał krzyków kapitana będącego najwyraźniej w stanie uniesienia.

— To są te świnie, co mi zabiły siostrę i matkę — mówił kapitan. Miał rumianą twarz, jasny, angielski wąsik i coś nie w porządku z oczami. Były one bladoniebieskie, o jasnych rzęsach. Kiedy się na nie patrzało, sprawiały wrażenie, że ogniskują się bardzo powoli. Kapitan wrzasnął nagle: — Czerwoni! Tchórze! — i zaczął znowu przeklinać.

Stał teraz całkowicie odsłonięty i wymierzywszy starannie strzelił do jedynego celu, jaki był widoczny na wzgórzu: do zabitego konia Sorda. Kula wyrzuciła garść ziemi o piętnaście metrów poniżej konia. Kapitan strzelił powtórnie. Pocisk uderzył o skałę i odleciał jękliwie w przestrzeń.

Kapitan stał i patrzał na wzgórze. Porucznik Berrendo spoglądał na trupa oficera leżącego tuż pod szczytem. Strzelec wpatrywał się w ziemię, którą miał przed oczami. Potem spojrzał na kapitana.

— Tam nie ma nikogo żywego — rzekł kapitan. — Ty — zwrócił się do strzelca. — Idź na górę i zobacz. Strzelec opuścił wzrok. Nie odpowiedział nic.

— Nie słyszysz, co mówię? — krzyknął kapitan.

—Tak jest, panie kapitanie — odparł strzelec nie patrząc na niego.

— To wstawaj i idź! — Kapitan ciągle trzymał pistolet w ręku. — Słyszysz?

— Tak jest, panie kapitanie.

— Więc dlaczego nie idziesz?

— Nie chcę, panie kapitanie.

— Nie chcesz? — Kapitan przytknął mu pistolet do krzyża. — Nie chcesz?

— Boję się, panie kapitanie — odpowiedział żołnierz z godnością.

Porucznik Berrendo, obserwując twarz i dziwne oczy kapitana, pomyślał, że ten zabije teraz żołnierza.

— Kapitanie Mora — powiedział.

— Poruczniku Berrendo?

— Możliwe, że ten człowiek ma rację.

— Ma rację, bo mówi, że się boi? Ma rację, bo mówi, że nie chce wykonać rozkazu?

— Nie, ale że to jest podstęp.

— Oni tam wszyscy nie żyją — powiedział kapitan. — Nie słyszycie? Mówię, że nie żyją.

— Masz na myśli naszych kolegów na zboczu? — zapytał Berrendo. — Zgadzam się z tobą.

— Paco — powiedział kapitan. — Nie bądź niemądry. Myślisz, że ty jeden lubiłeś Juliana? Powiadam ci, że Czerwoni nie żyją. Patrz!

Wyprostował się, położył obie ręce na głazie, podciągnął się pomagając sobie niezdarnie kolanami i stanął na wierzchu.

— Strzelajcie! — krzyknął stojąc na szarym granitowym głazie i machając rękami. — Strzelajcie! Zabijcie mnie!

Na szczycie wzgórza El Sordo leżący za martwym koniem wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Co za ludzie! — pomyślał. Chwycił go śmiech, ale starał się pohamować, bo od drgania bolała go ręka.

— Czerwoni! — doleciał krzyk z dołu. — Czerwone kanalie! Zastrzelcie mnie! Zabijcie!

Sordo trzęsąc się ze śmiechu zerknął ostrożnie spod zadu konia i zobaczył kapitana stojącego na kamieniu i wymachującego rękami. Obok stał drugi oficer. Po przeciwnej stronie głazu stał strzelec. Sordo nie spuszczał z nich oka i pokiwał z zadowoleniem głową.

— Zastrzelcie mnie. Zabijcie — szepnął do siebie i ramiona zadrgały mu znowu. Od śmiechu bolała go ręka, a głowa zdawała się pękać za każdym drgnięciem. Ale śmiech wstrząsał nim dalej jak spazm.

Kapitan Mora zlazł z kamienia.

— Teraz mi wierzysz, Paco? — zapytał porucznika Berrendo.

— Nie — odpowiedział tamten.

— *Cojones!* — zaklął kapitan. — Tutaj są sami idioci i tchórze. Strzelec znowu ukrył się przezornie za głazem, a porucznik Berrendo przykucnął obok niego.

Kapitan stojąc przy głazie zaczął wykrzykiwać plugawe słowa w stronę szczytu wzgórza. Nie ma języka tak rozwiązłego jak hiszpański. Są w nim odpowiedniki wszystkich grubych słów angielskich, a ponadto inne słowa i wyrażenia, których używa się tylko w takich krajach, gdzie bluźnierstwo idzie w parze z surowością religii.

Porucznik Berrendo był żarliwym katolikiem. To samo strzelec. Obaj byli karlistami z Navarry i chociaż w gniewie klęli i bluźnili, uważali to za grzech, z którego spowiadali się regularnie.

Siedząc tam w kucki za głazem, obserwując kapitana i słuchając jego krzyków, odgradzali się od niego i od tego, co mówił. Nie chcieli mieć na sumieniu podobnych słów w dniu, w którym mogli umrzeć.

Taka mowa nie przyniesie nic dobrego — myślał strzelec. — Z takiego mówienia o *Virgen* może być nieszczęście. Ten gada gorzej niż Czerwoni.

Julian zabity — myślał porucznik Berrendo. — Leży tam martwy na stoku, w taki dzień. A ta plugawa gęba tu stoi i ściąga nam na głowę dalsze nieszczęścia swoimi bluźnierstwami.

Kapitan przestał krzyczeć i obrócił się do porucznika Berrendo. Oczy miał jeszcze dziwniejsze niż przedtem.

— Paco — powiedział wesoło. — Pójdziemy tam obaj.

— Ja nie.

— Co?! — Kapitan znowu wyciągnął pistolet.

Nie znoszę tych specjalistów od wymachiwania bronią — myślał Berrendo. — Nie mogą wydać rozkazu nie wyciągając pistoletu. Prawdopodobnie łapią się za pistolet nawet, jak idą do klozetu i rozkazują sobie, co mają robić.

— Pójdę, jeżeli mi rozkażesz. Ale protestuję przeciwko temu — powiedział do kapitana.

— To idę sam — rzekł kapitan. — Zanadto tu śmierdzi strachem.

Trzymając w prawej ręce pistolet ruszył pod górę. Berrendo i strzelec obserwowali go. Kapitan nie starał się kryć i patrzył prosto przed siebie, na skały, zabitego konia i świeżo wykopaną ziemię u szczytu wzgórza.

El Sordo leżał za koniem przy skale i patrzał na kapitana wchodzącego wielkimi krokami na zbocze.

Tylko jeden — myślał. Będziemy mieli tylko jednego. Ale z jego sposobu mówienia widać, że to jest *caza mayor*. Patrzcie, jak on idzie. Patrzcie, co to za zwierzę. Jak pcha się przed siebie. Ten jest mój. Tego zabieram z sobą w drogę. Ten, co tu idzie, wyrusza w tę samą podróż, co ja. Chodź, Towarzyszu Podróży. Chodź prędko. Chodź tutaj. Chodź na spotkanie tego. No, idź dalej. Nie zwalniaj kroku. Idź prosto. Tak jak idziesz. Nie zatrzymuj się i nie oglądaj na tamtych. O tak. Nie

spuszczaj wzroku. Idź dalej, z oczami przed siebie. Patrzcie, ma wąsy. Co ty na to? Zapuszcza sobie wąsy, ten mój Towarzysz Podróży. Jest kapitanem. Widać po rękawach. Mówiłem, że to *caza mayor*. Ma twarz Inglésa. Patrzajcie. Rumiana twarz, włosy blond i niebieskie oczy. Idzie bez czapki, a wąsy ma żółte. I oczy niebieskie. Bladoniebieskie. Bladoniebieskie oczy, z którymi coś jest nie w porządku. Bladoniebieskie oczy, które nie mogą się skupić. Już teraz dość blisko. Za blisko. Tak, Towarzyszu Podróży. Masz, Towarzyszu Podróży.

Łagodnie nacisnął spust erkaemu, a karabin trzykrotnie kopnął go w ramię tym śliskim szarpnięciem, jakie daje odrzut broni maszynowej na trójnogu.

Kapitan leżał na pochyłości, twarzą do ziemi. Lewą rękę miał podwiniętą pod siebie. Prawa, trzymająca pistolet, wyciągnięta była do przodu. Z całego podnóża zbocza strzelano znowu na szczyt.

Skulony za głazem, myśląc, że teraz będzie musiał przebiec pod ogniem otwartą przestrzeń, porucznik Berrendo usłyszał ze szczytu wzgórza gruby, chrapliwy głos El Sorda.

— *Bandidos!* — krzyczał głos. — *Bandidos!* Zastrzelcie mnie! Zabijcie!

Na wzgórzu El Sordo leżał za erkaemem i śmiał się tak, że aż go bolało w piersiach, aż myślał, że mu rozsadzi głowę.

— *Bandidos!* — ryknął znowu radośnie. — Zabijcie mnie, *bandidos*! — Potem z zadowoleniem pokiwał głową. Będzie dużo towarzystwa na Podróż — pomyślał.

Miał zamiar sięgnąć z erkaemu drugiego oficera, gdy tylko ten wyjdzie zza głazu. Prędzej czy później musi wyjść. Sordo wiedział, że stamtąd nie będzie mógł wydać rozkazów, i uważał, iż jest duże prawdopodobieństwo, że go dostanie.

Właśnie w tej chwili jego ludzie na wzgórzu usłyszeli pierwszy pomruk nadlatujących samolotów.

El Sordo ich nie słyszał. Trzymał erkaem wymierzony w dolną krawędź głazu i myślał: Kiedy go zobaczę, będzie już biegł, więc spudłuję, jeżeli nie będę uważał. Muszę do niego strzelać przez cały ten odcinek. Powinienem prowadzić lufą i założyć przed niego. Albo pozwolić mu wybiec, a potem założyć. Spróbuję złapać go przy samym głazie i przerzucić ogień przed niego. W tej chwili poczuł, że ktoś go trąca w ramię i obróciwszy się zobaczył szarą, zmartwiałą ze strachu twarz Joaquina, spojrzał w kierunku, który mu chłopiec wskazywał, i spostrzegł trzy nadlatujące samoloty.

W tym samym momencie porucznik Berrendo wypadł zza głazu i ze schyloną głową pognał wielkimi susami po zboczu w dół, za skały, gdzie stal ręczny karabin maszynowy.

Sordo, który przyglądał się samolotom, nie zauważył go wcale.

— Pomóż mi to wyjąć — powiedział do Joaquina, a chłopiec wyciągnął erkaem spomiędzy skał i konia.

Samoloty zbliżały się coraz bardziej. Leciały szykiem schodkowym i z każdą chwilą rosły, a ich warkot stawał się coraz głośniejszy.

— Kładźcie się na wznak i walcie do nich — rozkazał Sordo. — Zakładajcie dobrze przed nie, jak będą nadlatywały.

Nie spuszczał oka z samolotów. — *Cabrones! Hijos de puta!* — zaklął szybko.

— Ignacio! — powiedział. — Oprzyj erkaem na ramieniu Joaquina. A ty — do chłopca — przysiądź tak i ani drgnij. Skul się. Bardziej. Nie, bardziej.

Obrócił się na wznak i wymierzył erkaem w zbliżające się samoloty.

— Ty, Ignacio, trzymaj mi trójnóg.

Nóżki erkaemu zwisały Joaquinowi na plecy, a wylot lufy drgał od dreszczów, które wstrząsały ciałem chłopca i których nie mógł opanować, kiedy tak siedział skulony, ze schyloną głową, słuchając coraz bliższego ryku motorów.

Leżąc płasko na brzuchu i oglądając się na niebo Ignacio zebrał w obie ręce nóżki trójnogu i przytrzymał je mocno.

— Schyl się! — powiedział do Joaquina. — Wyciągnij głowę do przodu.

— Pasionaria mówi: Lepiej umrzeć stojąc... — powtarzał sobie Joaquin, podczas gdy warkot się zbliżał. A potem nagle przeszedł na: — Zdrowaś Mario, łaskiś pełna. Pan z Tobą; błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławion Owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej, amen. Święta Mario, Matko Boża — zaczął, ale kiedy ryk stal się już nie do zniesienia, przypomniał sobie nagle i rozpoczął pośpiesznie akt skruchy: — O, Boże mój, serdecznie żałuję, że obraziłem Ciebie, który jesteś godny całej mojej miłości...

W tej chwili koło uszu załomotał mu huk strzałów, a na ramieniu poczuł gorąco lufy. Zahuczało znowu i ogłuszył go trzask wylatujących pocisków. Ignacio co sił przytrzymywał trójnóg, a lufa parzyła Joaquinowi barki. Załomotało raz jeszcze wśród ryku motorów i nie mógł sobie przypomnieć aktu skruchy.

Pamiętał jedynie: „w godzinę śmierci naszej, amen. W godzinę śmierci naszej, amen. W godzinę... W godzinę... Amen". Wszyscy strzelali. „Teraz i w godzinę śmierci naszej, amen".

A potem, poprzez łoskot erkaemu, usłyszał wycie rozszczepianego powietrza i czerwonoczarny grom, ziemia zakołysała mu się pod kolanami, wydźwignęła do góry i uderzyła go w twarz, i w następnej chwili posypały się dookoła grudy i kawałki skał, i poczuł, że Ignacio leży na nim razem z erkaemem. Ale Joaquin nie był martwy, bo znowu usłyszał wycie i ziemia znowu zakołysała się pod nim wśród grzmotu. Powtórzyło się to raz jeszcze i ziemia targnęła mu się pod brzuchem, jeden bok szczytu wzgórza podniósł się w powietrze i z wolna opadł na nich.

Samoloty zawracały trzy razy i bombardowały wzgórze, ale na jego szczycie nikt o tym nie wiedział. Potem ostrzelały szczyt z karabinów maszynowych i odleciały. Kiedy po raz ostatni znurkowały na wzgórze warcząc karabinami maszynowymi, pierwszy samolot poderwał się i położył na skrzydło, po czym reszta zrobiła to samo i przeszedłszy z szyku schodkowego w klucz odleciały w kierunku Segovii.

Nie przerywając gęstego ognia wymierzonego w górną krawędź wzgórza porucznik Berrendo poprowadził patrol do jednego z lejów od bomb, z którego można było wrzucić granaty na szczyt. Wolał nie ryzykować tego, że ktoś tam pozostał przy życiu i czeka na nich wśród miazgi, którą zrobiły samoloty, więc cisnął cztery granaty w kotłowisko zabitych koni, potrzaskanych i połupanych skał, i rozoranej, pokrytej żółtymi plamami, śmierdzącej materiałem wybuchowym ziemi, zanim wydrapał się z leja i podszedł popatrzeć.

Na szczycie wzgórza nie żył nikt poza chłopcem Joaquinem, który leżał nieprzytomny pod trupem Ignacia. Joaquin krwawił z nosa i uszu. Nie wiedział nic i nic nie czuł, odkąd nagle znalazł się w samym sercu gromu, a kiedy jedna z bomb upadła blisko, wydarła mu dech z piersi. Porucznik Berrendo uczynił znak krzyża, a potem strzelił Joaquinowi w tył głowy równie szybko i łagodnie — o ile tak raptowny ruch może być łagodny — jak Sordo, kiedy dobijał rannego konia.

Porucznik Berrendo stał na szczycie wzgórza i patrzał na trupy swoich żołnierzy leżące na pochyłości, a potem przeniósł wzrok dalej, ku miejscu, gdzie galopowali, zanim Sordo oparł się tutaj. Zanotował sobie w pamięci zajęte stanowiska, a potem kazał podprowadzić konie poległych żołnierzy i przytroczyć w poprzek siodeł zwłoki ich jeźdźców, ażeby je odstawić do La Granja.

— Tego też zabierzcie — powiedział. — I tego z rękami na erkaemie. To powinien być El Sordo, bo jest najstarszy i miał erkaem. Albo nie. Odrąbać mu głowę i zawinąć w poncho. — Zastanowił się chwilę. — Właściwie można zabrać głowy ich wszystkich. I tych, co leżą niżej, i tych, co padli tam, gdzieśmy się na nich natknęli. Zbierzcie karabiny i pistolety a erkaem załadujcie na konia..

Następnie podszedł do miejsca, gdzie leżał porucznik zabity w pierwszym natarciu. Popatrzał na niego, ale go nie dotknął.

— *Qué cosa mas mala es la guerra* — powiedział do siebie, co znaczyło: „Jaką straszną rzeczą jest wojna".

Potem przeżegnał się raz jeszcze i schodząc ze wzgórza odmówił pięć Ojcze Nasz i pięć Zdrowaś Mario za spokój duszy zabitego kolegi. Nie chciał tam zostać i patrzyć, jak wykonują jego rozkaz.

XXVIII

Po przelocie samolotów Robert Jordan siedząc z Primitivem usłyszał znowu strzały i poczuł, że serce zaczyna mu bić. Ponad ostatnimi widocznymi na wyżynie szczytami wzgórz wzbił się słup dymu, a samoloty przemieniły się w trzy malejące na niebie punkciki.

Pewnie wybombardowali duszę z własnej kawalerii, a nawet nie tknęli Sorda i spółki — powiedział do siebie Robert Jordan. — Te cholerne samoloty napędzają człowiekowi śmiertelnego strachu, ale nie zabijają.

— Walka trwa — odezwał się Primitivo nasłuchując gęstej strzelaniny. Wzdrygał się za każdym łomotem bomby, a teraz oblizał zaschnięte wargi.

— Czemu nie? — odparł Robert Jordan. — Od tych rzeczy się nie ginie.

A potem ogień urwał się zupełnie i nie usłyszeli już ani jednego huku. Odgłos pistoletowego strzału porucznika Berrendo nie doleciał tak daleko.

Robert Jordan nie przejął się z początku przerwaniem ognia. Ale później, gdy cisza wciąż trwała, coś ścisnęło mu się w piersiach. Następnie usłyszał wybuchy granatów i to go przez chwilę podniosło na duchu. Jednakże znów wszystko umilkło, cisza przedłużała się i wiedział już, że to koniec.

Maria przyniosła z obozu blaszany kubełek z duszonym zającem i grzybami pływającymi w zawiesistym sosie oraz worek chleba, skórzany bukłak z winem, cztery blaszane miski, dwa kubki i cztery łyżki. Zatrzymała się przy erkaemie, nałożyła na miski porcje dla Agustina i Eladia, który zastąpił Anselma przy broni, dała im trochę chleba, odkręciła rogową zatyczkę bukłaka i nalała wina do kubków.

Robert Jordan patrzał, jak wspina się zręcznie do jego stanowiska, z workiem przerzuconym przez ramię, z kubełkiem w jednej ręce, z przystrzyżoną głową oświetloną słońcem. Spełznął trochę niżej, odebrał kubełek i pomógł jej wciągnąć się na ostatnią skałę.

— Co to lotnictwo zrobiło? — spytała z lękiem w oczach.

— Zbombardowało Sorda.

Zdjął pokrywę z kubełka i nakładał mięso na miskę.

— Czy tam się jeszcze biją?

— Nie. Już po wszystkim.

— Och — szepnęła i przygryzłszy wargę spojrzała daleko przed siebie.

— Nie mam apetytu — powiedział Primitivo.

— Mimo to jedz — odparł Robert Jordan.

— Nie mógłbym nic przełknąć.

— Napij się tego, człowieku — rzekł Robert Jordan i podał mu bukłak. — A potem jedz.

— To z Sordem odebrało mi ochotę — odparł Primitivo. — Jedz sam. Ja nie mam chęci.

Maria podeszła do niego, objęła go za szyję i pocałowała.

— Jedz, staruszku — powiedziała. — Trzeba dbać o swoje siły.

Primitivo odwrócił twarz. Wziął bukłak, odchylił głowę w tył i puściwszy sobie w usta strumień wina łykał miarowo. Potem nałożył mięsa na miskę i zaczął jeść.

Robert Jordan spojrzał na Marię i pokiwał głową. Usiadła przy nim i objęła go za ramię. Jedno wiedziało, co czuje drugie, i siedzieli tak przy sobie, a Robert Jordan jadł bez pośpiechu, ażeby w pełni docenić smakowite grzyby, pił wino i oboje milczeli.

— Możesz tu zostać, jeżeli chcesz, *guapa* — powiedział po chwili, kiedy skończył.

— Nie — odrzekła. — Muszę wracać do Pilar.

— Możesz śmiało zostać. Nie myślę, żeby teraz coś było.

— Nie. Muszę iść do Pilar. Ona mi daje nauki.

— Co ci daje?

— Nauki. — Uśmiechnęła się i pocałowała go. — Nigdyś nie słyszał o naukach religijnych? — Zarumieniła się. — To coś w tym rodzaju. — Zaczerwieniła się jeszcze bardziej. — Ale inne.

— No, to idź na te swoje nauki — rzekł i pogładził ją po głowie. Uśmiechnęła się znowu do niego, a potem spytała Primitiva: — Chcesz, żeby ci coś przysłać z dołu?

— Nie, córko — odparł. Oboje wiedzieli, że jeszcze nie przyszedł do siebie.

— *Salud*, staruszku — powiedziała.

— Słuchaj — zaczął Primitivo. — Ja się śmierci nie boję, ale tak ich zostawić samych... — głos mu się załamał.

— Nie było innego wyjścia — powiedział Robert Jordan.

— Wiem. Ale jednak.

— Nie było wyjścia — powtórzył Robert Jordan. — A teraz lepiej o tym nie mówić.

— Tak. Ale tam, sami jedni, bez żadnej pomocy od nas...

— Dużo lepiej o tym nie mówić — rzeki Robert Jordan. — A ty, *guapa*, idź na te swoje nauki.

Patrzał, jak schodzi po skałach. A potem przez długi czas siedział zamyślony, spoglądając na wyżynę.

Primitivo coś mówił do niego, ale Robert Jordan nie odpowiadał. Na słońcu było gorąco, ale nie czul tego siedząc tam i patrząc na zbocza wzgórz i podłużne kępy sosen na najwyższym stoku. Minęła godzina i słońce było już daleko po lewej, kiedy zobaczył ich wyjeżdżających zza grzbietu wzniesienia i podniósł do oczu lornetkę.

Konie wydawały się drobne i maleńkie, gdy pierwsi dwaj jeźdźcy pojawili się na długim, zielonym zboczu najwyższego wzgórza. Potem zjechało dalszych czterech, rozproszonych szeroko na stoku, aż wreszcie zobaczył przez lornetkę podwójną kolumnę ludzi i koni, którzy ukazali mu się w szkłach ostro i wyraźnie. Patrząc na nich czul, że pot występuje mu pod pachami i ścieka po bokach. Na czele kolumny jechał pojedynczy człowiek. Potem dalsi konni. Następnie szły konie bez jeźdźców, ze swym ładunkiem przytroczonym w poprzek siodeł. Potem znów dwaj jeźdźcy. Dalej ranni na koniach, które prowadzili piesi żołnierze. Wreszcie reszta kawalerzystów zamykająca kolumnę.

Robert Jordan patrzał, jak zjeżdżali ze wzgórza i znikali w lesie. Z tej odległości nie mógł dojrzeć, że do jednego z siodeł przytroczone było długie, zrolowane poncho, przewiązane w kilku miejscach i na końcach, tak że wydymało się pomiędzy jednym węzłem a drugim niby strąk grochu. Było przerzucone przez siodło i przywiązane z obu stron do puślisk strzemion. Na wierzchu był dumnie umocowany erkaem El Sorda.

Porucznik Berrendo, który jechał na czele kolumny mając po bokach szperaczy, a w przedzie wysuniętą daleko szpicę, nie czuł dumy. Doznawał jedynie uczucia wewnętrznej pustki, która następuje po akcji. Rozmyślał: Ucięcie głów to było barbarzyństwo. Ale dowody i ustalenie tożsamości są nieodzowne. I tak będę miał z tym dość kłopotu, a kto wie, może te głowy im się spodobają? Są między nimi tacy, co to lubią. Możliwe, że je prześlą do Burgos. To barbarzyńska historia. Samoloty były

muchos. Bardzo. Bardzo. Ale mogliśmy to wszystko zrobić moździerzem prawie bez strat. Dwa muły pod pociski i jeden z moździerzami po obu stronach siodła jucznego. Co za wojsko byłoby z nas wtedy! Razem z siłą ogniową całej tej broni automatycznej. I trzeba by mieć jeszcze jednego muła, nie: dwa muły pod amunicję. Daj spokój — powiedział do siebie. — To już nie kawaleria. Daj spokój. Tworzysz sobie całą armię. Niedługo zachce ci się działka górskiego.

Potem pomyślał o Julianie, który tam zginął na wzgórzu, a teraz był przytroczony do siodła na czele oddziału, i kiedy wjechali w ciemny sosnowy las pozostawiając za sobą słońce na wzgórzach, zaczął znów modlić się za niego w ciszy i cieniu lasu.

— Witaj Królowo, Matko miłosierdzia — rozpoczął. — Życie, Słodkości, Nadziejo nasza, witaj. Do ciebie wzdychamy jęcząc i płacząc na tym łez padole...

Odmawiał dalej modlitwę, konie miękko stawiały kopyta na opadłym igliwiu sosnowym, światło przenikało tu i ówdzie pomiędzy pniami drzew jak między kolumnami katedry, a on modląc się patrzał na szperaczy, którzy posuwali się przez las.

Wyjechali wreszcie na żółtą, piaszczystą drogę wiodącą do La Granja i spod kopyt koni wzbił się kurz, który zawisł nad całym oddziałem. Osiadł na trupach przytroczonych do siodeł twarzami w dół, a ranni i prowadzący ich żołnierze maszerowali w gęstym tumanie.

W tym miejscu, gdy przejeżdżali wśród kłębów kurzu, zobaczył ich Anselmo.

Policzył zabitych i rannych, i poznał erkaem Sorda. Nie wiedział wtedy, co było w zrobionym z poncha tłumoku, który obijał się o boki prowadzonego konia, gdy kołysały się puśliska strzemion, ale w drodze powrotnej zaszedł po ciemku na wzgórze, gdzie walczył Sordo, i domyślił się od razu, co zawierało to długie, zrolowane poncho. W ciemnościach nie mógł rozpoznać, kto był na wzgórzu. Ale policzył tych, co tam leżeli, a potem ruszył przez wyżynę do obozu Pabla.

Idąc samotnie wśród mroku, zdjęty strachem, który niejako zamroził w nim serce na widok lejów po bombach i tego, co było na wzgórzu, Anselmo odsunął od siebie wszelkie myśli o dniu jutrzejszym. Po prostu szedł jak mógł najszybciej, ażeby przynieść wiadomości. A idąc modlił się za dusze Sorda i wszystkich jego ludzi. Modlił się po raz pierwszy od początku ruchu.

— Najmilsza, najsłodsza, najłaskawsza Panno — szeptał.

Ale w końcu nie mógł powstrzymać się od myśli o następnym dniu. Więc pomyślał: Będę wszystko robił ściśle tak, jak mi każe Inglés. Ale pozwól mi być blisko niego, o Boże, i niech mi da dokładne wskazówki, bo wątpię, czy potrafię wytrzymać pod bombardowaniem z samolotów. Dopomóż mi, Panie Boże, żebym jutro zachował się tak, jak człowiek powinien w swojej ostatniej godzinie. Pomóż mi, Panie, jasno zrozumieć wszystko, co jutro trzeba będzie zrobić. Pomóż mi, Boże, zapanować nad moimi nogami, żebym nie uciekł, jak przyjdzie zła chwila. Pomóż mi, Panie, zachować się w jutrzejszym dniu bitwy, jak na mężczyznę przystało. A ponieważ proszę Cię o tę pomoc, nie odmawiaj mi jej, boć przecie wiesz, że nie prosiłbym, gdyby sprawa nie była poważna. Potem nie poproszę Cię już o nic więcej.

Idąc samotnie w ciemnościach poczuł się znacznie raźniej po tej modlitwie i był już pewien, że jutro zachowa się dobrze. Schodził teraz z wyżyny i znowu zaczął się modlić za ludzi Sorda, i wkrótce dotarł do górnego stanowiska, gdzie go zatrzymał Fernando.

— To ja — odpowiedział. — Anselmo.

— Dobrze — powiedział Fernando.

— Wiesz już, co z Sordem, stary? — zapytał go Anselmo, kiedy stanęli obok siebie w ciemnościach, u wejścia do przesmyku między wysokimi skalami.

— Czemu nie? — odparł Fernando. — Mówił nam Pablo.

— On tam był na górze?

— Czemu nie? — powtórzył flegmatycznie Fernando. — Poszedł na wzgórze, jak tylko kawaleria odjechała.

— I opowiedział wam...

— Opowiedział nam wszystko — przerwał Fernando. — Cóż to za barbarzyńcy ci faszyści! Musimy skończyć w Hiszpanii ze wszystkimi takimi barbarzyńcami. — Przerwał, a potem dodał z goryczą: — Brak im zupełnie wszelkiego pojęcia godności.

Anselmo uśmiechnął się w mroku. Godzinę temu nie mógłby sobie wyobrazić, że jeszcze kiedyś się uśmiechnie. Co to za cudak ten Fernando! — pomyślał.

— Tak — odpowiedział mu. — Musimy ich uczyć. Musimy odebrać im samoloty, broń maszynową, czołgi i artylerię i uczyć ich godności.

— Właśnie — potwierdził Fernando. — Rad jestem, że się zgadzacie.

Anselmo pozostawił go stojącego sam na sam ze swoją godnością i zaczął schodzić do jaskini.

XXIX

Anselmo zastał w jaskini Roberta Jordana siedzącego naprzeciw Pabla przy zbitym z desek stole. Między nimi stała misa z winem, a jeden i drugi miał przed sobą pełny kubek. Robert Jordan rozłożył na stole notes, a w ręku trzymał ołówek. Pilar i Maria siedziały gdzieś w głębi jaskini. Anselmo nie mógł wiedzieć, że Pilar zatrzymuje tam dziewczynę, ażeby nie słyszała rozmowy, i wydało mu się dziwne, że kobiety nie ma przy stole.

Robert Jordan podniósł głowę, kiedy Anselmo wszedł uchylając derki, która zasłaniała wylot jaskini. Pablo miał oczy spuszczone. Był zapatrzony w misę z winem, ale jej nie widział.

— Przychodzę z góry — powiedział Anselmo do Roberta Jordana.

— Pablo nam mówił — odrzekł Robert Jordan.

— Na wzgórzu było sześciu zabitych, a głowy mieli ucięte — powiedział Anselmo. — Zaszedłem tam po zmierzchu.

Robert Jordan kiwnął głową. Pablo wciąż siedział zapatrzony w misę z winem i milczał. Twarz jego była bez wyrazu, a małe, świńskie oczki patrzyły w misę, jak gdyby jej nigdy jeszcze nie widział.

— Siadaj — powiedział Robert Jordan do Anselma.

Stary usiadł przy stole na krytym skórą zydlu, a Robert Jordan sięgnął pod stół i wyjął stamtąd butelkę whisky, podarunek od Sorda. Była prawic do połowy pełna. Robert Jordan wziął kubek, nalał whisky i posunął go po stole ku Anselmowi.

— Wypij to, stary — powiedział.

Kiedy Anselmo pił, Pablo podniósł wzrok, spojrzał mu w twarz, a potem znów zapatrzył się w misę.

Anselmo łykając whisky poczuł pieczenie w nosie, oczach i ustach, a później miłe, pokrzepiające ciepło w żołądku. Otarł sobie usta wierzchem dłoni, spojrzał na Roberta Jordana i zapytał:

— Można by jeszcze trochę?

— Czemu nie? — odrzekł Robert Jordan, nalał mu whisky z butelki i tym razem podał kubek, zamiast go popchnąć przez stół.

Teraz, gdy stary łyknął, nie zapiekło go już, natomiast podwoiło się ciepłe uczucie pokrzepienia. Zrobiło mu to równie dobrze, jak zastrzyk soli fizjologicznej człowiekowi, który przeszedł ciężki krwotok.

Anselmo znowu zerknął na butelkę.

— Reszta będzie na jutro — powiedział Robert Jordan. — Co się działo na drodze, stary?

— Wielki był ruch — odparł Anselmo. — Wszystko sobie zaznaczyłem, tak jak mi pokazałeś. Teraz mam jedną taką, co dla mnie śledzi i zapisuje. Później pójdę po wiadomości.

— Widziałeś działka przeciwpancerne? Te na oponach, z długimi lufami?

— Tak — odrzekł Anselmo. — Szosą przejechały cztery ciężarówki, a na każdej było takie działo z lufą przykrytą sosnowymi gałęziami. Na ciężarówkach jechało po sześciu ludzi przy każdym dziale.

— Cztery, powiadasz? — zapytał Robert Jordan.

— Cztery — odparł Anselmo. Nie zajrzał do swoich notatek.

— Mów, co jeszcze przejechało.

Robert Jordan notował, a Anselmo opowiadał o wszystkim, co widział na szosie. Opowiadał od początku i po kolei, z tą nadzwyczajną pamięcią, właściwą ludziom nie umiejącym czytać ani pisać. Podczas gdy mówił, Pablo dwa razy zaczerpnął wina z misy.

— Była też kawaleria, która szła do La Granja z onej wyżyny, gdzie walczył El Sordo — powiedział Anselmo.

Następnie wymienił liczbę rannych i zabitych, którzy byli przytroczeni do siodeł.

— Przez jedno siodło był przewieszony tłumok, któregom nie mógł wyrozumieć — ciągnął. — Ale teraz już wiem, że były w nim głowy. — Mówił dalej, nie przerywając: — Kawalerii był szwadron. Został im tylko jeden oficer. Nie ten, co tu podjechał rano, kiedy siedziałeś przy karabinie. Tamten musiał być miedzy zabitymi. Dwóch zabitych oficerów poznałem po rękawach. Przywiązali ich do siodeł, twarzami w dół, a ręce im dyndały. Mieli tam także *maquinę* El Sorda przytroczoną do tego siodła z głowami. Lufa była wygięta. To wszystko — zakończył.

— Wystarczy — powiedział Robert Jordan i zanurzył kubek w misie. — Kto oprócz ciebie chodził przez linię frontu na stronę Republiki?

— Andrés i Eladio.

— Który jest lepszy?

— Andrés.

— Ile mu trzeba czasu, żeby stąd dojść do Navacerrady?

— Bez obciążenia, idąc ostrożnie, dojdzie za trzy godziny, jeżeli mu się poszczęści. My szliśmy dłuższą i bezpieczniejszą drogą przez wzgląd na twoje materiały.

— A on to na pewno potrafi?

— *No sé*[87], nie ma takiej rzeczy jak na pewno.

— Dla ciebie też nie?

— Nie.

To przesądza sprawę — pomyślał Robert Jordan. — Gdyby powiedział, że sam to zrobi na pewno, byłbym go wysłał.

— Andrés przedostanie się tam równie dobrze jak ty?

— Albo i lepiej. Jest młodszy.

— Ale to, co poślę, musi bezwzględnie tam dojść.

— Jeżeli nic się nie przytrafi, to dojdzie. A jak się przytrafi, to może się przytrafić każdemu.

— Napiszę meldunek i poślę przez Andrésa — powiedział Robert Jordan. — Wytłumaczę mu, gdzie może znaleźć generała. Powinien być w *Estado Mayor*[88] dywizji.

— Andrés nie wyzna się na tych wszystkich dywizjach i tak dalej — powiedział Anselmo. — Mnie też to się zawsze plącze. Powinien wiedzieć, jak zwie się generał i gdzie go znaleźć.

— Znajdzie go właśnie w *Estado Mayor* dywizji.

— Ale czy to jest jakieś miejsce?

— Oczywiście, że tak, stary — wyjaśniał cierpliwie Robert Jordan. — Ale takie miejsce, które wybierze sobie generał. To będzie tam, gdzie założy swoją kwaterę na czas bitwy.

---

[87] No sé (hiszp.) - nie wiem.
[88] Estado Mayor (hiszp.) - sztab główny.

— Więc gdzie to jest? — Anselmo był zmęczony i to zmęczenie go ogłupiało. Poza tym gmatwały mu wszystko takie słowa jak brygady, dywizje, korpusy. Najpierw były kolumny, potem pułki, potem brygady. Teraz znów i brygady, i dywizje. Nic nie rozumiał. Miejsce to miejsce.

— Powoli, stary — odrzekł Robert Jordan. Wiedział, że jeśli nie wbije tego do głowy Anselmowi, nie zdoła też jasno wytłumaczyć i Andrésowi. — *Estado Mayor* dywizji to takie miejsce, które obiera sobie generał, żeby tam zorganizować dowodzenie. A dowodzi dywizją, czyli dwiema brygadami. Nie wiem, gdzie to jest, bo mnie nie było, kiedy to miejsce wybierał. Prawdopodobnie w jakiejś grocie, ziemiance czy schronie, i będą tam szły druty. Andrés musi pytać o generała i o *Estado Mayor* dywizji. Musi to oddać albo samemu generałowi, albo szefowi jego sztabu, albo komuś innemu, którego nazwisko napiszę. Jeden z nich będzie tam na pewno, choćby reszta poszła na inspekcję przygotowań do natarcia. Teraz już rozumiesz?

— Tak.

— To zawołaj Andrésa, a ja to zaraz napiszę i ostempluję tą pieczęcią. — Pokazał mu wyjętą z kieszeni, małą, okrągłą pieczątkę gumową z drewnianą rączką i stemplem SIM-u oraz okrągłą poduszeczkę z tuszem w blaszanym pudełeczku, nie większą od monety pięćdziesięciocentowej. — Tę pieczęć będą honorowali. Zawołaj teraz Andrésa, to mu wytłumaczę. Musi iść zaraz, ale przedtem musi wszystko zrozumieć.

— Zrozumie, jeżeli ja zrozumiałem. Ale musisz mu wytłumaczyć bardzo jasno. Te wszystkie sztaby i dywizje, to dla mnie tajemnica. Zawsze chodziłem w takich razach do jakiegoś określonego miejsca, jak na przykład dom. W Navacerradzie dowództwo jest w starym hotelu. W Guadarramie zaś w domu z ogrodem.

— W wypadku tego generała, to będzie gdzieś bardzo blisko linii — powiedział Robert Jordan. — Pewnie pod ziemią, dla ochrony przed samolotami. Andrés łatwo się dopyta, jeżeli będzie wiedział, o co pytać. Wystarczy, żeby pokazał to, co napiszę. Ale teraz go sprowadź, bo to musi prędko tam dojść.

Anselmo wyszedł schylając się pod derką. Robert Jordan zaczął coś pisać w notesie.

— Słuchaj, Inglés — odezwał się Pablo nic odrywając oczu od misy z winem.

,— Ja teraz piszę — powiedział Robert Jordan nie podnosząc głowy.

— Słuchaj, Inglés — mówił Pablo prosto od misy. — Nie trzeba upadać na duchu. I bez Sorda mamy dość ludzi, żeby wziąć placówki i wysadzić ten twój most.

— To dobrze — odparł Robert Jordan nie przerywając pisania.

— Dość ludzi — powtórzył Pablo. — Wielce dziś podziwiałem twój rozsądek, Inglés — mówił do misy z winem. — Uważam, że masz dużo *picardia*[89]. Że jesteś bystrzejszy ode mnie. Mam do ciebie zaufanie.

Skupiając całą uwagę na meldunku dla Golza, starając się sformułować go w możliwie niewielu słowach, ale tak, żeby był bezwzględnie przekonywający, żeby natarcie bezwzględnie odwołano i zarazem żeby ich przekonać, że nie prosi o to odwołanie z obawy przed grożącym jemu samemu niebezpieczeństwem, a tylko chce przedstawić wszystkie fakty — Robert Jordan słuchał tylko jednym uchem.

— Inglés — powtórzył Pablo.

— Ja piszę — odpowiedział Robert Jordan nie podnosząc głowy.

Właściwie powinienem posłać dwa egzemplarze — myślał. — Ale wtedy zostanie za mało ludzi do wysadzenia mostu, jeżeli będę musiał go wysadzić. Czy ja znam powody, dla których robi się to natarcie? Może to jest tylko natarcie wiążące? Może chcą odciągnąć wojska z jakiegoś innego miejsca? Może to robią, żeby tu ściągnąć lotnictwo z północy? Może tylko o to idzie? Może to wcale nie musi się udać? Cóż ja o tym wiem? Tu jest meldunek dla Golza. Mam nie wysadzać mostu, dopóki nie zacznie się atak. Rozkaz jest wyraźny i jeżeli atak zostanie odwołany, nie będę nic wysadzał. Ale muszę zachować sobie minimum ludzi potrzebnych do wykonania rozkazu.

— Coś mówił? — zapytał Pabla.

— Że mam zaufanie, Inglés — odpowiedział Pablo nadal zwracając się do misy z winem.

Człowieku, gdybym ja mógł je mieć! — pomyślał Robert Jordan i pisał dalej.

[89] picardia (hiszp.) - spryt.

XXX

Tak więc zrobiono już wszystko, co było do zrobienia tego wieczora. Wszystkie rozkazy zostały wydane. Każdy wiedział dokładnie, czym ma się zająć nazajutrz rano. Andrésa nie było już od trzech godzin. Teraz albo to przyjdzie razem ze świtem, albo nie. Przypuszczam, że przyjdzie — mówił do siebie Robert Jordan wracając z górnego posterunku, dokąd chodził porozumieć się z Primitivem. — Golz przeprowadza natarcie, ale nie ma władzy odwołania go. Zezwolenie na to musi przyjść z Madrytu. Bardzo możliwe, że nie zdołają nikogo się tam dobudzić, a jeżeli obudzą, ci ludzie będą zanadto zaspani, aby myśleć. Powinienem był wcześniej zawiadomić Golza o tych przygotowaniach do odparcia naszego ataku, ale jak mogłem zawiadomić o czymś, zanim się to stało? A cały ten sprzęt przerzucili dopiero o zmierzchu. Nie chcieli, żeby lotnictwo wykryło ruch na szosie. Ale co mogą znaczyć te ich samoloty? Te wszystkie faszystowskie samoloty?

Dla naszych musiały z pewnością być ostrzeżeniem. A może tymi samolotami faszyści chcą odwrócić uwagę od innej ofensywy, przez Guadalajarę? Podobno w Sorii, a także w Singuenzy skoncentrowane są jakieś oddziały włoskie poza tymi, co działają na północy. Ale nie mają dostatecznej ilości wojska ani materiału, aby jednocześnie przeprowadzić dwie duże ofensywy. Nie, wykluczone, to musi być tylko bluff.

Jednakże wiemy, ile oddziałów włoskich wylądowało w Kadyksie przez cały ostatni i przedostatni miesiąc. Zawsze może się zdarzyć, że znowu popróbują przez Guadalajarę, tylko już nie tak głupio jak przedtem, ale trzema głównymi zagonami, które rozwiną się i dotrą wzdłuż linii kolejowej do zachodniej części płaskowzgórza. W ten sposób może im się to udać. Hans mi pokazywał. Za pierwszym razem popełnili wiele błędów. Cała koncepcja była wadliwa. Podczas argandzkiej ofensywy na szosę Madryt-Walencja nie użyli żadnej z tych formacji, które rzucili na Guadalajarę. Dlaczego nie przeprowadzili jednocześnie tych dwóch uderzeń? Dlaczego? Dlaczego? Kiedy dowiemy się dlaczego?

A przecież my zatrzymaliśmy ich oba razy tymi samymi wojskami. W żadnym wypadku nie udałoby się nam ich zatrzymać, gdyby przypuścili oba natarcia jednocześnie. Nie łam sobie głowy — powiedział do siebie. — Pamiętaj, jakie cuda

zdarzały się przedtem. Albo będziesz musiał wysadzić ten most jutro rano, albo nie. Ale nie zacznij się łudzić, że nie będziesz musiał. Wysadzisz go nie tego dnia, to innego. Albo jeżeli nie będzie ten most, to będzie jakiś inny. Nie ty decydujesz, co trzeba robić. Wykonujesz rozkazy. Stosuj się do nich i nie próbuj odgadywać, co się za nimi kryje.

Ten rozkaz jest bardzo wyraźny. Za bardzo wyraźny. Ale nie powinieneś się martwić ani bać. Bo jeżeli pozwolisz sobie na luksus normalnego strachu, tym strachem zarażą się ci, którzy mają z tobą współdziałać.

Ale jednak ta historia z głowami to było coś — powiedział do siebie. — I ten stary, który sam jeden napatoczył się na nich tam, na wzgórzu? Jak byś się czuł, gdybyś był na jego miejscu? To zrobiło na tobie wrażenie, co? Tak, zrobiło na tobie wrażenie, Jordan. Dziś miałeś kilka silnych wrażeń. Ale zachowałeś się okey. Jak dotąd, zachowałeś się dobrze.

Wcale nieźle dajesz sobie radę jak na wykładowcę języka hiszpańskiego z uniwersytetu w Montanie — zażartował z siebie. — Zupełnie nieźle. Tylko aby nie zacznij myśleć, że jesteś kimś nadzwyczajnym. Niedaleko zaszedłeś w tym rzemiośle. Weź takiego Durana, który nie miał żadnego przygotowania wojskowego, przed ruchem był po prostu kompozytorem i światowym młodzieńcem, a teraz jest diabelnie dobrym generałem i dowodzi brygadą. Dla Durana nauczenie się i zrozumienie tego wszystkiego było tak proste i łatwe jak gra w szachy dla cudownego dziecka. Ty zaczytywałeś się w sztuce wojennej i studiowałeś ją od małego, odkąd dziadek opowiadał ci o amerykańskiej Wojnie Domowej. Tylko że dziadek zawsze nazywał ją Wojną Buntowniczą. Ale w porównaniu z Duranem jesteś jak dobry, rozsądny gracz w szachy wobec cudownego dziecka. Ten stary Duran! Miło byłoby zobaczyć go znowu. Zobaczę się z nim w „Gaylordzie", kiedy to tutaj się zakończy. Tak, kiedy się zakończy. Widzisz, jak dobrze się trzymasz?

Zobaczę się z nim w „Gaylordzie" — powtórzył sobie znowu — jak już z tym skończę. Nie łudź się — powiedział. — Trzymasz się doskonale. Chłodno. Bez blagowania samemu sobie. Nigdy już nie zobaczysz Durana i to nie ma żadnego znaczenia. Taki też nie bądź — powiedział do siebie. — Nie pozwalaj sobie na żadne takie luksusy.

Ani na heroiczną rezygnację. Tutaj, w tych górach, nie potrzeba nam obywateli pełnych heroicznej rezygnacji. Twój dziadek walczył przez cztery lata podczas naszej Wojny Domowej, a ty kończysz dopiero pierwszy rok tej. Masz przed sobą jeszcze

dużo czasu i bardzo dobrze nadajesz się do tej roboty. A teraz masz także i Marię. No, więc masz wszystko. Nie powinieneś się martwić. Cóż to jest, taka drobna utarczka między bandą partyzantów a szwadronem kawalerii? Nic. A że im poucinali głowy? Czy to ważne? Wcale a wcale.

Kiedy dziadek po wojnie był w Forcie Kearny, Indianie zawsze zdejmowali skalpy. Pamiętasz gablotkę w gabinecie ojca, z grotami strzał rozłożonymi na półce, i te wojenne indiańskie pióropusze na ścianie, ze zwisającymi orlimi piórami, i przydymiony zapach skórzni i kurt z koźlej skóry, i mokasyny wyszywane paciorkami? Pamiętasz długie drzewce łuku na bawoły, który tam stał oparty w rogu, i dwa kołczany strzał bojowych i myśliwskich, i to uczucie, kiedy ściskałeś w ręku ich pęk?

Przypomnij sobie coś takiego. Przypomnij sobie jakąś rzecz konkretną i namacalną. Przypomnij sobie szablę dziadka, błyszczącą, starannie naoliwioną, w powgniatanej pochwie, i to, jak dziadek pokazywał ci jej głownię zwężoną od wielokrotnego ostrzenia. Przypomnij sobie Smith-Wessona dziadka. Był to rewolwer oficerski kalibru 32, z odwodzonym kurkiem, bez kabłąka spustowego. Miał cyngiel, który chodził tak miękko i gładko, że podobnego nigdy nie dotykałeś; był zawsze dobrze naoliwiony, lufę miał wewnątrz wyczyszczoną, choć z wierzchu całe oksydowanie już zeszło, a ciemny metal lufy i bębenka był wytarty od skórzanej kabury. Leżał schowany w szufladzie, w kaburze z literami US na klapie, razem z przyborami do czyszczenia i dwiema setkami naboi. Ich kartonowe pudełka były zawinięte w papier i porządnie obwiązane nawoskowanym szpagatem.

Wolno ci było wyjąć pistolet z szuflady i potrzymać go. „Ruszaj go sobie, ile chcesz" — tak zawsze mawiał dziadek. Ale nie mogłeś się nim bawić, bo to była „poważna broń".

Raz zapytałeś dziadka, czy kiedy zabił kogoś z tego rewolweru, a on odpowiedział: „Tak".

Wtedy spytałeś: „A kiedy, dziadziu?" — a on odrzekł: „Podczas Wojny Buntowniczej i potem".

Zapytałeś: „Opowiesz mi, jak to było, dziadziu?" — a on odpowiedział ci: „Nie lubię o tym mówić, Robercie".

Później, kiedy ojciec zastrzelił się z tego rewolweru i przyjechałeś ze szkoły do domu na pogrzeb, coroner zwrócił ci rewolwer po śledztwie mówiąc: „Bob, ty pewnie chciałbyś go mieć? Powinienem właściwie go zatrzymać, ale wiem, że twój tata

przywiązywał do niego wielką wagę, bo jego ojciec miał ten rewolwer przez całą wojnę, a także i wtedy, jak tu przyszedł z kawalerią, i to jest jeszcze diabelnie dobra broń. Wypróbowałem ją dziś po południu. Pocisk niewielki, ale można z niej coś trafić".

Otrzymawszy wtedy od coronera rewolwer schował go do szuflady, na dawne miejsce, ale następnego dnia wyjął go i pojechał z Chubem konno na szczyt tej wyżyny ponad Red Lodge, gdzie teraz wybudowali szosę przez przełęcz i płaskowyż Bear Tooth do Cooke City i gdzie zacinał wiatr, a śnieg leżał przez całe lato na górach. Stanęli tam nad ciemnozielonym jeziorem, które jakoby miało osiemset stóp głębokości, i Chub przytrzymał konie, a on wdrapał się na skałę, wychylił się i zobaczył w spokojnej wodzie odbicie swojej twarzy i siebie trzymającego za wylot lufy rewolwer, i wtedy wrzucił go do jeziora, i widział, jak opada w dół pośród banieczek powietrza, aż stał się nie większy niż brelok od zegarka i w końcu zniknął zupełnie.

Zszedł ze skały i kiedy wskoczył na siodło, dał starej Bess tak mocno ostrogami, że zaczęła kozłować niczym koń na biegunach. Przepędził ją wzdłuż brzegu jeziora i kiedy się uspokoiła, zawrócili do domu.

„Ja wiem, dlaczegoś to zrobił z tym rewolwerem" — powiedział wtedy Chub.

„No, to nie mamy o czym gadać" — odparł.

Nigdy już o tym nie wspomnieli i taki był koniec jedynej broni bocznej dziadka poza szablą. Szablę miał nadal w Missouri, schowaną w kufrze razem ze swoimi rzeczami.

Ciekaw jestem, jakie byłoby zdanie dziadka o moim obecnym położeniu — pomyślał. — Wszyscy zawsze twierdzili, że był diablo dobrym żołnierzem. Mówili, że gdyby tamtego dnia był przy Custerze nie pozwoliłby, aby go tak wywiedli w pole. Jak tamten mógł nie zauważyć dymu i pyłu wzbijającego się z tych wszystkich chat w parowie wzdłuż Linie Big Horn, jeżeli nie było gęstej porannej mgły? A mgły nie było.

Chciałbym, żeby zamiast mnie był tutaj dziadek. No, może jutro wieczorem będziemy już razem. Gdyby istniała taka idiotyczna historia jak tamten świat, a jestem pewien, że nie istnieje — myślał — to oczywiście chętnie bym z nim pogadał. Bo jest mnóstwo rzeczy, których chciałbym się dowiedzieć. Teraz mam prawo go pytać, bo sam musiałem robić to, co on. Myślę, że teraz nie miałby już nic przeciwko temu. Przedtem nie miałem prawa go wypytywać. Rozumiem, że mi nie mówił o tych rzeczach, bo mnie nie znal. Ale przypuszczam, że teraz dogadalibyśmy się doskonale.

Chciałbym móc z nim pomówić i poprosić o radę. Psiakrew, choćby mi nawet nic nie doradził, chętnie bym z nim po prostu pogadał. Szkoda, że jest taki wielki dystans w czasie między takimi jak my.

A potem, zastanowiwszy się chwilę, uprzytomnił sobie, że gdyby istniało coś takiego jak ponowne wzajemne spotkanie, obaj z dziadkiem byliby mocno zakłopotani obecnością ojca. Każdy ma prawo zrobić to, co on — pomyślał. — Ale to nie jest dobre. Rozumiem to, ale nie pochwalam. *Láche*, tak brzmi to słowo. Ale czy rzeczywiście rozumiesz? Jasne, rozumiem, ale... Właśnie, ale. Trzeba być strasznie zajętym sobą, żeby zrobić coś podobnego.

Ach, psiakrew, chciałbym, żeby dziadek tu był — pomyślał. — Chociażby na godzinę. Może tę trochę czegoś, co mam, przekazał mi za pośrednictwem tamtego drugiego, który tak źle posłużył się rewolwerem. Może to jest jedyna łączność, jaka istnieje między nami. A, do diabła! Rzeczywiście do diabła! Szkoda, że przedzielał nas tak wielki odstęp czasu, bo mógłbym nauczyć się od dziadka tego wszystkiego, czego nigdy nie nauczył mnie ojciec. A może to ten strach, który dziadek musiał przeżyć, stłumić i w końcu wyrzucić z siebie w ciągu tych czterech lat wojny i potem, podczas walk z Indianami — chociaż to na ogół nie mogło być tak bardzo straszne — uczynił *cobarde* z jego syna, tak jak to bywa prawie zawsze z drugim pokoleniem toreadorów? Może tak było? I może te zdrowe soki odzyskały swą siłę dopiero przepłynąwszy przez tamtego?

Nigdy nie zapomnę, co się ze mną działo, kiedy po raz pierwszy zrozumiałem, że ojciec był *cobarde*. No, jazda! Powiedz to po angielsku. *Coward*, tchórz. Łatwiej jest, jak to się już raz powie, i nigdy nie ma sensu określać łajdaka jakimś cudzoziemskim terminem. Ale ojciec nie był łajdakiem. Był po prostu tchórzem, a to jest najgorsze nieszczęście, jakie może spotkać człowieka. Bo gdyby nie był tchórzem, byłby się przeciwstawił tej kobiecie i nie pozwolił sobą poniewierać. Ciekawe, jaki by był, gdyby ożenił się z inną? To jest coś, czego się nigdy nie dowiesz — pomyślał z uśmiechem. — Może to, co w niej było brutalne, uzupełniało jego braki. No, no. Powoli. Nie gadaj o zdrowych sokach i tym podobnych rzeczach, dopóki nie przebrniesz przez jutro. Nie zadzieraj za wcześnie nosa. W ogóle nosa nie zadzieraj. Jutro zobaczymy, jakie masz w sobie soki.

Znów zaczął rozmyślać o dziadku.

„George Custer nie był inteligentnym dowódcą kawalerii, Robercie — powiedział mu kiedyś dziadek. — Nie był nawet inteligentnym człowiekiem".

Pamiętał, iż kiedy usłyszał to od dziadka, był oburzony, że ktoś może źle się wyrażać o tej postaci, która w kurcie z kozłowej skóry, z rozwianym blond włosem i wojskowym rewolwerem w garści stała na wzgórzu otoczonym przez Siuksów, na litografii Anheusera-Buscha wiszącej w pokoju bilardowym w Red Lodge.

„Miał po prostu ogromną zdolność do wkopywania się w ciężkie sytuacje, a potem wygrzebywania się z nich — mówił dziadek. — Ale na Littie Big Hornie wkopał się i już nie mógł wygrzebać. Phil Sheridan to był mądry człowiek, a tak samo Jeb Stuart. Ale najznakomitszym na świecie dowódcą kawalerii był John Mosby".

W kufrze w Missouri miał między swoimi rzeczami list od generała Phila Sheridana do starego Kilpatricka, w którym generał pisał, że dziadek był lepszym dowódcą nieregularnej kawalerii niż John Mosby.

Powinienem wspomnieć Golzowi o dziadku — pomyślał. — Ale na pewno nigdy o nim nie słyszał. Prawdopodobnie nie słyszał nawet o Johnie Mosbym. Natomiast wszyscy Anglicy znają ich nazwiska, bo muszą się uczyć o naszej Wojnie Domowej znacznie więcej niż ludzie na kontynencie. Karkow mówił, że jeśli zechcę, będę mógł po tej wojnie pojechać do Moskwy, do Instytutu Lenina. Mówił, że gdybym chciał, mógłbym studiować w akademii wojskowej Czerwonej Armii. Ciekawe, co by dziadek na to powiedział? Dziadek, który przez całe życie nie usiadł świadomie do stołu z przedstawicielem partii demokratycznej.

Nie, ja nie chcę być żołnierzem — pomyślał. — To wiem na pewno. Więc to odpada. Chcę tylko, żebyśmy wygrali tę wojnę. Mam wrażenie, że prawdziwie dobrzy żołnierze nadają się do niewielu rzeczy poza tym. Nie, to oczywista nieprawda. Weź Napoleona i Wellingtona. Bardzo jesteś głupi dzisiejszego wieczora — pomyślał.

Zazwyczaj dobrze się czuł w towarzystwie własnych myśli i tak też było dzisiaj, kiedy rozmyślał o dziadku. Ale potem te rozmyślania sprowadziły go na manowce. Rozumiał ojca, wybaczał wszystko i współczuł mu, ale go się wstydził.

Lepiej w ogóle nie myśl — powiedział sobie. — Niedługo przyjdzie Maria i nie będziesz musiał myśleć. To najlepsze wyjście teraz, gdy wszystko jest już przygotowane. Kiedy człowiek tak usilnie koncentruje się na czymś, czego nie może powstrzymać, myśli zaczynają mu gnać niczym koło zamachowe maszyny, z którego urwał się ciężarek. Lepiej po prostu nie myśleć.

Ale tylko przypuśćmy — pomyślał. — Tylko przypuśćmy, że kiedy nasze samoloty zrzucą bomby, to porozwalają te wszystkie działka przeciwpancerne i zrobią

miazgę z ich pozycji, i że nasze stare czołgi przynajmniej raz wtoczą się dobrze na to czy tamto wzgórze, i że Golz pchnie naprzód tę kupę pijaków, clochardów, włóczęgów, fanatyków i bohaterów, z których składa się la Quatorzieme Brigade'a — a wiem, jacy świetni są ludzie Durana z drugiej brygady Golza. Wtedy jutro wieczorem będziemy w Segovii.

Tak. Tylko przypuśćmy — powiedział do siebie. — Zgodzę się nawet na La Granja. Ale będziesz musiał wysadzić ten most — poczuł nagle bezwzględną pewność. — Nie przyjdzie żadne odwołanie. Bo właśnie tak, jak to sobie teraz przez chwilę wyobrażałeś, wyglądają możliwości natarcia dla tych, co je zarządzili. Będziesz musiał wysadzić most — wiedział już na pewno. — To, co się stanie z Andrésem, nie ma żadnego znaczenia.

Kiedy w ciemnościach schodził w dół ścieżką sam na sam z przyjemnym poczuciem, że wszystko, co było do zrobienia, jest już zakończone na najbliższe cztery godziny, z ufnością, która wynikała z myślenia o rzeczach konkretnych — świadomość, że na pewno będzie musiał wysadzić most, przyszła na niego niemal jak pokrzepienie.

Opuściła go teraz całkowicie owa niepewność, która nie odstępowała go od chwili, kiedy wyprawił Andrésa z meldunkiem do Golza, a była jakby zwielokrotnionym uczuciem niepewności, jakiego się doznaje, kiedy przez pomieszanie dat nie wiemy, czy goście naprawdę zjawią się na przyjęcie. Był już pewien, że uroczystość nie zostanie odwołana. O wiele lepiej jest mieć pewność — pomyślał. — Zawsze lepiej mieć pewność.

XXXI

Znowu leżeli razem w śpiworze i była późna godzina tej ostatniej nocy. Maria przytuliła się do niego i wyczuwał udami smukłą gładkość jej ud, czuł jej piersi niby dwa małe wzgórki wznoszące się wśród długiej równiny, na której jest źródło, a za wzgórkami była dolina szyi, gdzie opierały się jego wargi. Leżał bez ruchu i starał się nie myśleć, a ona gładziła go po głowie.

— Roberto — szepnęła cicho i pocałowała go. — Wstyd mi... Nie chcę ci zrobić zawodu, ale tam mi coś dokucza i jest wielka bolesność. Chyba ci się na nic nie przydam.

— Zawsze coś dokucza i jest wielka bolesność — odpowiedział. — Nie króliczku, to głupstwo. Nie będziemy robili nic, co by cię mogło zaboleć.

— Nie o to mi idzie. Tylko że nie mogłabym przyjąć ciebie tak, jak bym chciała.

— To nieważne. To przejdzie. Jesteśmy razem, kiedy leżymy przy sobie.

— Tak, ale mi wstyd. Pewnie to jest od tego, co mi robili. — Nie od ciebie i mnie.

— Nie mówmy o tym.

— Ja wcale nie chcę. Tylko nie mogłam znieść myśli, że cię zawiodę tej nocy, i chciałam się wytłumaczyć.

— Słuchaj, króliczku — powiedział. — Wszystkie takie rzeczy mijają i potem nie ma problemu. — Ale pomyślał: Nie miałem szczęścia na tę ostatnią noc.

Zawstydził się tego i rzekł: — Przytul się do mnie, króliczku. Tak samo cię kocham, kiedy cię czuję przy sobie w ciemnościach, jak wtedy, gdy jesteś moja.

— Wstydzę się bardzo, bo myślałam sobie, że może dziś znów będzie tak jak wtedy, na wzgórzach, kiedy wracaliśmy od El Sorda.

— *Qué va* — odrzekł. — To się nie co dzień zdarza. Tak mi jest równie dobrze jak wtedy — skłamał tłumiąc w sobie uczucie zawodu. — Poleżymy razem spokojnie, a potem uśniemy. Porozmawiamy. Bardzo mało cię znam z rozmowy.

— Może pomówimy o jutrze i o twojej robocie? Chciałabym powiedzieć coś mądrego o twojej robocie.

— Nie — odpowiedział. Odprężył się teraz całkowicie i wyciągnął się spokojnie w śpiworze, oparł policzek o ramię Marii i podłożył lewą rękę pod jej głowę. — Najmądrzej będzie nie mówić wcale o jutrze ani o tym, co stało się dzisiaj. Nie powinno się rozmawiać o stratach, a jutro i tak zrobimy, co trzeba. Chyba się nie boisz?

— *Qué va* — odparła. — Zawsze się boję. Ale teraz boję się o ciebie tak bardzo, że już nie myślę o sobie.

— Nie powinnaś się bać, króliczku. Bywałem już w różnych historiach. W gorszych niż ta — skłamał.

A potem, ulegając nagle czemuś, potrzebie pozwolenia sobie na luksus ucieczki w nierzeczywistość, powiedział:

— Pomówmy o Madrycie i o tym, jak tam razem będziemy.

— Dobrze — odrzekła. A po chwili: — Och, Roberto, tak mi przykro, że cię zawiodłam! Czy nie mogłabym zrobić dla ciebie nic innego?

Pogładził ją po głowie, pocałował, przysunął się do niej i leżał uspokojony, wsłuchując się w ciszę nocy.

— Możesz ze mną porozmawiać o Madrycie — powiedział i pomyślał: Zachowam cały tego nadmiar na jutro. Jutro będę potrzebował wszystkich sił, jakie mam w sobie. Żadne sosnowe igły nie potrzebują tego w tej chwili tak, jak ja będę potrzebował jutro. Kto to w Biblii miotał swoje nasienie na ziemię? Onan. No i co się z nim stało? — pomyślał. — Nie pamiętam, żebym później jeszcze coś słyszał o Onanie. Uśmiechnął się w ciemnościach.

A potem znowu poddał się swemu pragnieniu ucieczki i osunął się w nierzeczywistość z uczuciem rozkoszy podobnym do jakiegoś erotycznego spełnienia, które może przyjść wpośród nocy, kiedy już nie ma rozsądku, tylko sama rozkosz spełnienia.

— Moja ukochana — powiedział i pocałował ją. — Posłuchaj. Wczoraj wieczorem myślałem sobie o Madrycie i o tym, jak tam przyjedziemy i jak cię zostawię w hotelu, a sam pójdę zobaczyć się z kimś do tego drugiego, który zajmują Rosjanie. Ale to była nieprawda. Nie zostawiłbym cię w żadnym hotelu.

— Dlaczego?

— Bo będę się tobą opiekował. Nigdy cię nie zostawię samej. Pójdę z tobą do Seguridad, żeby ci wyrobić papiery. A później wybierzemy się razem kupić ci wszystko, co potrzebne do ubrania.

— Nie potrzeba mi wiele i mogę to kupić sama.

— Nie. Trzeba ci dużo i pójdziemy razem, kupimy dobre rzeczy i będziesz w nich ślicznie wyglądała.

— Wolałabym zostać z tobą w hotelu i posłać po nie kogoś.

Gdzie jest ten hotel?

— Na Plaza del Callao. Będziemy dużo czasu spędzali w pokoju hotelowym. Jest tam szerokie łóżko z czystą pościelą i ciepła, bieżąca woda w wannie, i dwie szafy w ścianach, i w jednej będą wisiały moje rzeczy, a w drugiej twoje. Są wysokie, szerokie okna, które się otworzy, a za nimi, na ulicach, będzie wiosna. Znam także różne knajpki, które są wprawdzie nielegalne, ale można w nich dobrze zjeść, i sklepy, gdzie jeszcze jest wino i whisky. W pokoju też będziemy mieli coś do przegryzienia na wypadek, gdyby nam się zachciało jeść, i whisky, gdybym chciał się napić, a tobie kupię manzanilli.

— Chciałabym spróbować whisky.

— No, ale trudno ją dostać, a ty przecież lubisz manzanillę.

— Zatrzymaj już sobie whisky, Roberto — powiedziała. — Och, kocham cię strasznie! Ciebie i tę twoją whisky, której mi nie chcesz dać. Jesteś paskudny.

— Nie, nie. Spróbujesz i whisky. Ale to niedobre dla kobiet.

— Myślisz, że zawsze próbowałam tylko tych rzeczy, które są dobre dla kobiet? — zapytała. — I tam, w tym łóżku, będę leżała w mojej ślubnej koszuli?

— Nie. Jeżeli wolisz, kupię ci różne pidżamy i szlafroki.

— Kupię sobie siedem ślubnych koszul — powiedziała. — Jedną na każdy dzień tygodnia. I czystą ślubną koszulę dla ciebie. Pierzesz sobie czasem koszulę?

— Czasami.

— Będę dbała, żeby wszystko było zawsze czyste, i nalewała ci whisky i wody, tak jak to robiłeś u Sorda. Wystaram się dla ciebie o oliwki i solonego sztokfisza, i orzechy laskowe, żebyś miał co pogryzać, jak będziesz pił, i zostaniemy w naszym pokoju przez cały miesiąc, i nie ruszymy się stamtąd nigdzie. Jeżeli będę zdatna do tego, żeby cię przyjąć — powiedziała, nagle zmartwiona.

— To jest głupstwo — odrzekł Robert Jordan, — Naprawdę głupstwo. Możliwe, że miałaś tam kiedyś rankę i teraz jest blizna, która cię boli. To się zdarza. Wszystkie takie rzeczy mijają. A jeżeli naprawdę coś jest, to w Madrycie są dobrzy lekarze.

— Ale przedtem już było wszystko dobrze — usprawiedliwiała się.

— Dlatego można mieć nadzieję, że znowu będzie dobrze.

— No, to pomówmy jeszcze o Madrycie. — Wsunęła mu między kolana podkurczone nogi i potarła go czubkiem głowy w ramię.

— A nie będziesz się mnie tam wstydził, że jestem taka paskudna z tą ostrzyżoną głową?

— Nie. Jesteś śliczna. Masz śliczną twarz, piękne długie i smukłe ciało, i gładką skórę koloru przypalonego złota, i wszyscy będą próbowali odebrać mi ciebie.

— *Qué va*, odebrać mnie tobie! — powiedziała. — Do końca mojego życia nie tknie mnie żaden inny mężczyzna. Odebrać mnie tobie! *Qué va*.

— Ale wielu będzie próbowało. Zobaczysz.

— Przekonają się, że kocham cię tak, że byłoby równie niebezpiecznie mnie tknąć, jak włożyć rękę do kotła z roztopionym ołowiem. Ale co będzie z tobą, kiedy zobaczysz piękne kobiety tak samo wykształcone jak ty? Nie będziesz, się mnie wstydził?

— Nigdy w życiu. I ożenię się z tobą.

— Jeżeli chcesz — odrzekła. — Ale nie myślę, żeby to było ważne, jako że już nie mamy kościoła.

— Chciałbym, żebyśmy się pobrali.

— Jak chcesz. Ale słuchaj, gdybyśmy kiedyś byli w innym kraju, gdzie jeszcze jest kościół, to może moglibyśmy wziąć tam ślub.

— W moim kraju jest jeszcze kościół — odpowiedział. — Tam możemy wziąć ślub, jeżeli to coś dla ciebie znaczy. Nigdy nie byłem żonaty, więc nie ma trudności.

— Cieszę się, że nigdy nie byłeś żonaty — odparła. — Ale też jestem rada, że umiesz takie rzeczy, jakich mnie nauczyłeś, bo to znaczy, że byłeś z wieloma kobietami, a Pilar mówiła mi, że tylko tacy mężczyźni nadają się na mężów. Ale teraz już nie będziesz biegał za innymi? Bo to by mnie zabiło.

— Nigdy nie biegałem za wieloma kobietami — powiedział zgodnie z prawdą. — Dopóki nie spotkałem ciebie, nie myślałem, że będę mógł kogoś głęboko pokochać.

Pogładziła go po twarzy, a potem zaplotła mu ręce na szyi.

— Musiałeś znać wiele kobiet.

— Ale ich nie kochałem.

— Słuchaj, Pilar mówiła mi jedną rzecz...

— No, powiedz.

— Nie, lepiej nie. Porozmawiajmy znowu o Madrycie.

— Co chciałaś powiedzieć?

— Nie chcę o tym mówić.

— Może jednak lepiej powiedz, jeżeli to coś ważnego.

— A myślisz, że jest ważne?

— Tak.

— Skąd możesz wiedzieć, jeżeli nie wiesz, co to jest?

Z twojego sposobu mówienia.

— Więc nie będę tego przed tobą ukrywała. Pilar powiedziała mi że jutro wszyscy umrzemy i że ty o tym wiesz tak samo dobrze jak ona, ale nie przywiązujesz do tego wagi. Mówiła to nie z potępieniem, tylko z podziwem.

— Tak mówiła? — zapytał. Zwariowana dziwka! — pomyślał i rzekł: — To znowu te jej cygańskie świństwa. Tak gadają stare przekupki i kawiarniani tchórze. To jest zgnojone plugastwo.

Poczuł, że pot ścieka mu spod pach między bokiem i ręką, i zapytał sam siebie: Zląkłeś się, co? — a głośno powiedział: — Ona jest obrzydliwa, zabobonna dziwka. Pomówmy jeszcze o Madrycie.

— Więc nic ci o tym nie wiadomo?

— Jasne, że nie. Nie mów takich plugawych bredni — odparł używając mocniejszego, grubego słowa.

Ale kiedy tym razem zaczął mówić o Madrycie, nie było już owego pogrążania się w złudzenie. Teraz po prostu kłamał swojej dziewczynie i sobie samemu, ażeby jakoś spędzić tę noc przed walką, i zdawał sobie z tego sprawę. Przyjemne mu to było, ale cała rozkosz spełnienia zniknęła. Jednakże zaczął od nowa.

— Myślałem o twoich włosach — powiedział — i o tym, co można z nimi zrobić. Widzisz, one rosną ci teraz równo na całej głowie, jak zwierzęce futerko, są śliczne i miłe w dotyku, kocham je bardzo i kiedy przygładzam je ręką, kładą się, a potem podnoszą jak łan pszenicy na wietrze. .

— Pogładź je.

Zrobił to i nie cofnął ręki, a potem mówił dalej dotykając ustami jej szyi i czuł, że coś nabrzmiewa mu w gardle.

— Ale myślałem sobie, że w Madrycie moglibyśmy pójść do fryzjera i tam by ci je ładnie przycięli po bokach i z tyłu, tak samo jak mnie, bo wtedy lepiej wyglądałyby w mieście, kiedy będą odrastać.

— Byłabym podobna do ciebie — powiedziała i objęła go mocno.— A potem już nigdy nie chciałabym tego zmienić.

— Nie. Będą ciągle odrastały, a podstrzyże je się tylko po to, żeby porządnie wyglądały na początku, dopóki nie będą dłuższe. Ile trzeba czasu, żeby już były długie?

— Naprawdę długie?

— Nie. Do ramion. Bo chciałbym, żebyś tak się czesała.

— Jak Greta Garbo w kinie?

— Tak — odpowiedział zdławionym głosem.

Teraz złudzenie wracało potężną falą, a on poddawał mu się całkowicie. Opanowało go zupełnie, więc znowu uległ i mówił dalej:

— Będą ci zwisały aż do ramion, podwinięte na końcach jak morska fala, i będą miały barwę dojrzałej pszenicy, a twoja twarz barwę przypalonego złota, a oczy jedyny kolor, jaki mogą mieć przy twoich włosach i skórze: złoty z ciemnymi cętkami. Odchylę twoją głowę do tylu, spojrzę ci w oczy, i przytulę cię mocno do siebie...

— Gdzie?

— Gdziekolwiek. Tam, gdzie będziemy. Ile trzeba czasu, żeby ci włosy odrosły?

— Nie wiem, bo jeszcze nigdy nie miałam obciętych. Ale myślę, że za sześć miesięcy powinny mi już sięgać dobrze poniżej uszu, a za rok zrobią się takie długie, że będziesz zadowolony. Ale wiesz, co będzie przedtem?

— Powiedz.

— Położymy się do tego wielkiego, czystego łóżka w tym wspaniałym pokoju w naszym wspaniałym hotelu i usiądziemy razem w tym wspaniałym łóżku, spojrzymy w lustro na drzwiach szafy i tam będziesz ty i ja, i wtedy obrócę się do ciebie o tak, obejmę cię o tak i pocałuję cię o tak.

Leżeli przy sobie bez ruchu, wśród nocy, pełni gorącego, bolesnego napięcia, i Robert Jordan przyciskając ją do siebie przytrzymywał to wszystko, o czym wiedział, że nigdy się nie stanie, i mówił dalej z pełną świadomością:

— Ale, króliczku, my nie zawsze będziemy mieszkali w tym hotelu.

— Dlaczego?

— Bo wynajmiemy sobie mieszkanie w Madrycie, na tej ulicy, co idzie wzdłuż parku Buen Retiro. Znam jedną Amerykankę, która tam miała umeblowane pokoje i wynajmowała je przed ruchem, i wiem, jak dostać takie mieszkanie za tę samą cenę, co wtedy. Są takie, co wychodzą na park i z okien go widać: żelazne sztachety, kwietniki, wyżwirowane ścieżki i zieleń trawników tam, gdzie stykają się ze ścieżkami, i drzewa rzucające głęboki cień, i fontanny, a teraz pewnie kwitną tam kasztany. Jak zamieszkamy w Madrycie, będziemy spacerować po parku i pływać łódką po stawie, jeżeli znów napuścili wody.

— A dlaczego nie miałoby być wody?

— Spuścili ją w listopadzie, bo była punktem orientacyjnym dla samolotów, kiedy przylatywały bombardować. Ale myślę, że teraz znowu jest. A nawet jeżeli jej nie ma, będziemy mogli spacerować po całym parku dalej za stawem, a jest tam jedna jego część zupełnie jak las, gdzie rosną drzewa ze wszystkich stron świata. Na tych drzewach wiszą tabliczki, a na nich jest wypisane, co to za drzewa, jak się nazywają i skąd pochodzą.

— Tak samo chciałabym pójść do kina — rzekła Maria. — Ale te drzewa muszą być ogromnie ciekawe i jeżeli zdołam spamiętać, nauczę się razem z tobą wszystkich ich nazw.

— One tam nie są jak w muzeum — powiedział Robert Jordan. — Rosną całkiem naturalnie, a w parku są pagórki i jedna część zupełnie jak dżungla. Dalej jest targ książkowy, gdzie wzdłuż chodników stoją setki straganów z używanymi książkami. Teraz, od czasu ruchu, jest tam dużo książek ukradzionych podczas plądrowania, zbombardowanych domów i z mieszkań faszystów, i przyniesionych na targ przez tych, co je ukradli. Gdybym mógł jeszcze kiedyś być w Madrycie, chętnie bym spędzał całe dnie przy tych straganach, tak jak dawniej, przed ruchem.

— A kiedy pójdziesz na ten targ, ja będę się zajmowała mieszkaniem — rzekła Maria. — Czy będziemy mieli dosyć pieniędzy, żeby trzymać służącą?

— Na pewno. Mogę wziąć Petrę, która pracuje w hotelu Jeżeli ci się spodoba. Dobrze gotuje i jest czysta. Jadałem tam z dziennikarzami, dla których gotowała. Mają elektryczne piecyki w pokojach.

— Weźmiemy ją, jeżeli będziesz chciał, albo znajdę kogoś innego — powiedziała Maria. — Ale czy ty nie będziesz za często wyjeżdżał z powodu swojej pracy? Bo przecież nie daliby mi jechać z tobą na taką robotę jak ta.

— Może dostanę coś do roboty w Madrycie. Tą pracą zajmuję się już od dłuższego czasu, a walczę od samego początku ruchu. Możliwe, że teraz dadzą mi coś w Madrycie. Nigdy o to nie prosiłem. Stale byłem albo na froncie, albo na takiej robocie jak tutaj.

Czy ty wiesz, że zanim cię spotkałem, nigdy o nic nie prosiłem? Ani niczego nie chciałem? Ani nie myślałem o niczym poza ruchem i wygraniem tej wojny? Naprawdę bardzo byłem czysty w swoich dążeniach. Pracowałem dużo, a teraz kocham cię i — mówił, jak gdyby obejmując to wszystko, co nigdy nie miało być — i kocham cię tak, jak kocham wszystko to, o cośmy walczyli. Kocham cię tak, jak kocham wolność i godność, i prawo każdego człowieka do pracy i do tego, żeby nie być głodnym. Kocham cię tak, jak Madryt, któregośmy bronili, i jak moich kolegów, którzy zginęli. A zginęło ich wielu. Wielu. Wielu. Nawet nie domyślasz się, jak wielu. Ale kocham cię tak, jak to, co kocham najbardziej na świecie, i więcej jeszcze. Kocham cię bardzo, króliczku. Bardziej, niż potrafię powiedzieć. Ale mówię ci o tym, żebyś wiedziała choć trochę. Nigdy nie miałem żony, a teraz mam ciebie za żonę i jestem szczęśliwy.

— Będę ci tak dobrą żoną, jak tylko potrafię — odrzekła Maria. — Jasne, że nie mam wykształcenia, ale postaram się to nadrobić. Jeżeli mamy mieszkać w Madrycie — dobrze. Jeżeli będziemy musieli mieszkać gdzie indziej — też dobrze. Jeżeli nigdzie nie będziemy mieszkali, a będę mogła pójść za tobą — tym lepiej. Jeżeli pojedziemy do twojego kraju, nauczę się mówić po *inglés* jak najlepszy z Inglésów. Przypatrzę się ich zachowaniu i będę wszystko robiła tak jak oni.

— Będziesz ogromnie komiczna.

— Na pewno. Zdarzą mi się różne pomyłki, ale ty mi powiesz i nie zrobię ich dwa razy albo najwyżej dwa razy. Jeżeli w swoim kraju zatęsknisz za naszym jedzeniem, będę ci gotowała. Pójdę do szkoły, w której uczą, jak być żoną, jeżeli są takie szkoły, i będę tam brała lekcje.

— Są takie szkoły, ale tobie nie potrzeba tej nauki.

— Pilar mówiła mi, że podobno są w twoim kraju. Czytała o nich w jakimś piśmie. Powiedziała mi też, że muszę nauczyć się po *inglés* i mówić dobrze, żeby ci nigdy nie przynieść wstydu.

— Kiedy ona ci to mówiła?

— Dzisiaj, jakeśmy pakowały rzeczy. W kółko powtarzała mi, co powinnam robić, żeby być twoją żoną.

Zdaje się, że ona też podróżowała dziś do Madrytu — pomyślał Robert Jordan i powiedział:

— A co jeszcze mówiła?

— Że muszę dbać o swoje ciało i o to, żeby zachować dobrą figurę, tak jakbym była toreadorem. I że to ogromnie ważne.

— Jest ważne — powiedział Robert Jordan. — Ale z tym masz spokój jeszcze na wiele lat.

— Nie. Mówiła, że kobiety naszej rasy muszą się zawsze pilnować, bo to może przyjść nagle. Opowiadała, że kiedyś była taka szczupła jak ja, ale że za jej czasów kobiety nie używały ruchu. Powiedziała mi, jaką gimnastykę powinnam uprawiać i czego nie wolno mi jeść za wiele. Mówiła też, czego wcale nie jeść, ale zapomniałam i muszę zapytać jeszcze raz.

— Kartofli — powiedział.

— Tak — ciągnęła. — Kartofli i wszystkiego, co smażone. A kiedy jej wspomniałam o tym bólu, kazała nic ci nie mówić, tylko znieść ból i nie pokazać tego po sobie. Ale powiedziałam, że nie chcę nigdy ci kłamać, a poza tym bałam się, abyś nie pomyślał, że już nie mamy razem radości i że tamto, co było na wzgórzach, nie zdarzyło się naprawdę.

— Miałaś rację, żeś mi powiedziała.

— Naprawdę? Bo mi wstyd i zrobię dla ciebie wszystko, co tylko zechcesz. Pilar opowiadała mi o różnych rzeczach, które można robić dla męża.

— Nie trzeba nic robić. To, co mamy, mamy wspólnie i zachowamy to, i będziemy tego strzegli. Kocham cię, kiedy tak leżę przy tobie i dotykam cię, i wiem, że tu jesteś naprawdę, a jak znowu będziesz gotowa, będziemy mieli wszystko.

— Ale nie masz żadnych pragnień, które mogłabym spełnić? Ona mi to tłumaczyła.

— Nie. Razem będziemy mieli nasze pragnienia. Nie mam żadnych pragnień osobno od ciebie.

— To chyba dużo lepiej. Ale pamiętaj, że zawsze zrobię, co zechcesz. Tylko musisz mi powiedzieć, bo jestem bardzo nieuczona i z tego, co mi Pilar mówiła, wielu rzeczy nie zrozumiałam jasno. Wstydziłam się pytać, a to jest kobieta wielkiej i różnorakiej mądrości.

— Króliczku — powiedział. — Jesteś zupełnie cudowna.

— *Qué va* — odparła. — Ale to niezwykła rzecz, chcieć się nauczyć w jeden dzień wszystkiego, co należy do żony, kiedy się zwija obóz i pakuje przed bitwą, a w okolicy trwa druga bitwa. Więc jeżeli zrobię jakiś poważniejszy błąd, musisz mi zaraz powiedzieć, bo cię kocham. Mogłam źle zapamiętać niektóre rzeczy, a wiele z tego, co mi mówiła, było ogromnie zawiłe.

— Cóż jeszcze ci powiedziała?

— *Pues* tyle, że już nie mogę spamiętać. Mówiła, że można ci opowiedzieć, co mi robili, jeżeli znów zacznę o tym myśleć, bo ty jesteś dobry i wszystko już zrozumiałeś. Ale że lepiej o tym nie mówić, chyba, że znów przyjdą na mnie czarne myśli, tak jak kiedyś, i że jeżeli ci powiem, mogę się tego wreszcie pozbyć.

— A teraz ci to ciąży?

— Nie. Odkąd pierwszy raz byliśmy z sobą, to jest tak, jakby się w ogóle nie zdarzyło. Wciąż tylko żal mi rodziców. Ale to już zostanie na zawsze. Jednakże chciałabym żebyś wiedział to, co powinieneś wiedzieć dla swojej własnej dumy, jeżeli mam być twoją żoną. Nigdy nikomu nie uległam. Broniłam się i trzeba było dwóch albo więcej, żeby mi zrobić krzywdę. Jeden mi siadał na głowie i trzymał. Mówię ci to dla twojej dumy.

— Moją dumą jesteś ty sama. Nie opowiadaj mi o tym.

— Nie, ja mówię o takiej dumie, którą powinieneś czuć z powodu swojej żony. I jeszcze jedno. Mój ojciec był burmistrzem miasteczka i zacnym człowiekiem. Matka była zacną kobietą i dobrą katoliczką, a rozstrzelali ich razem za poglądy polityczne ojca, który był republikaninem. Widziałam, jak ich rozstrzeliwali, i ojciec krzyknął: „Viva la Republica!", kiedy go postawili pod ścianą rzeźni w naszym miasteczku.

Matka też stała pod tą ścianą i powiedziała: „Viva mój mąż, który jest burmistrzem tego miasta", a ja miałam nadzieję, że mnie także zastrzelą i chciałam

zawołać: „Viva la Republica y vivan mis padres!", ale zamiast mnie zabić, zaczęli mi robić tamto.

Słuchaj. Opowiem ci jedną rzecz, bo to nas dotyczy. Po tym rozstrzeliwaniu pod *matadero* zabrali nas stamtąd — tych krewnych, co na to patrzyli, ale nie zostali zabici — i poprowadzili przez strome wzgórze na główny plac miasta. Prawie wszyscy płakali, ale niektórzy zdrętwieli od tego, co widzieli, i łzy w nich wyschły. Ja nie mogłam płakać. Nie wiedziałam, co się koło mnie dzieje, bo miałam w oczach tylko ojca i matkę w chwili rozstrzelania i słyszałam słowa matki: „Niech żyje mój mąż, który jest burmistrzem tego miasta", i to mi dźwięczało w głowie jak krzyk, który wciąż trwa i nie ucicha. Bo matka nie była republikanką i nie chciała zawołać: „Viva la Republica", tylko viva mój ojciec, który tam leżał twarzą do ziemi u jej nóg.

Ale to, co powiedziała, powiedziała bardzo głośno, prawie krzykiem, i wtedy do niej strzelili, a ona upadła. Chciałam się wyrwać z szeregu i podbiec do niej, ale wszystkie byłyśmy powiązane. Rozstrzeliwali ci z *guardia civil* i czekali, żeby jeszcze kogoś zabić, ale falangiści pognali nas przez wzgórza, a *civiles* zostali oparci na karabinach obok ciał leżących pod ścianą. Szłyśmy długim rzędem dziewczyn i kobiet, powiązane za ręce, a oni nas pędzili przez wzgórze i dalej ulicami na plac, i na tym placu zatrzymali się przed fryzjernią, która była naprzeciwko ratusza.

Wtedy ci dwaj, co nas prowadzili, przyjrzeli nam się i jeden powiedział: „To córka burmistrza". A drugi: „Zacznijmy od niej".

Przecięli linkę, którą byłam związana za obie ręce z innymi, jeden powiedział do reszty: „Dołączyć tam w szeregu!", ci dwaj wyciągnęli mnie za ręce, wprowadzili do fryzjerni, podnieśli, posadzili na fotelu i przytrzymali.

Zobaczyłam w lustrze swoją twarz i twarze tych, co mnie trzymali, i jeszcze trzech innych, którzy stali pochyleni, nade mną. Nie znałam żadnego, a w lustrze widziałam i siebie, i ich, ale oni widzieli tylko mnie. To było tak, jakby się siedziało na dentystycznym fotelu, a naokoło stali różni dentyści, tylko że wszyscy obłąkani. Trudno mi było poznać własną twarz, bo zmieniła się z tej rozpaczy, ale patrzałam na siebie i wiedziałam, że to ja. Moja rozpacz była tak wielka, że nie czułam strachu ani w ogóle nic poza nią.

Wtedy nosiłam włosy splecione w dwa warkocze i kiedy patrzałam w lustro, jeden z tych ludzi podniósł warkocz i naciągnął go tak mocno, że poprzez moją rozpacz poczułam nagle ból, a potem obciął go brzytwą przy samej głowie. I

zobaczyłam siebie z jednym warkoczem i kępką włosów tam, gdzie był drugi. Potem obciął mi i ten, ale już go nie naciągał i brzytwa skaleczyła mnie w ucho, i zobaczyłam krew. Czujesz pod palcem bliznę?

— Czuję. Ale czy nie lepiej byłoby o tym nie mówić?

— To wszystko głupstwo. Nie będę opowiadała tego, co było naprawdę złe. Więc obciął mi brzytwą oba warkocze przy samej głowie, a tamci roześmieli się. Nawet nie czułam tego skaleczenia na uchu; dwaj mnie przytrzymali, a on stanął przede mną i uderzył mnie warkoczami w twarz, i powiedział: „Tak robimy czerwone mniszki! Nauczysz się łączyć ze swoimi proletariackimi braćmi, ty oblubienico Czerwonego Chrystusa!"

Znowu uderzył mnie raz i drugi w twarz tymi warkoczami, które jeszcze przed chwilą były moje, potem wepchnął mi oba do ust i obwiązał mocno dokoła szyi, żeby mnie zakneblować, a ci dwaj, co mnie trzymali roześmieli się.

Wszyscy, którzy na to patrzyli, śmieli się także i kiedy zobaczyłam ich roześmianych w lustrze, rozpłakałam się, bo do tej chwili byłam zanadto zmrożona w sobie od tego rozstrzeliwania, żeby móc płakać.

Później ten, co mnie zakneblował, przejechał mi maszynką po głowie, najpierw od czoła aż do karku, następnie po ciemieniu, potem po całej głowie i nad uszami, a tamci trzymali mnie tak, że wszystko widziałam w lustrze i nie wierzyłam własnym oczom, i płakałam, i płakałam, ale nie mogłam oderwać wzroku od tej potworności, jaką była moja twarz z otwartymi ustami, w które wepchnęli mi warkocze, i moja głowa, która robiła się goła pod maszynką.

Kiedy ten z maszynką skończył mnie strzyc, wziął z półki fryzjera butelkę z jodyną (fryzjera też zastrzelili, bo był członkiem jakiegoś syndykatu i teraz leżał w progu, i kiedy mnie prowadzili, musieli mnie przez niego przesadzić) i tym szklanym sztyfcikiem, co jest w takich butelkach, dotknął mi skaleczonego ucha, a ten mały ból przeniknął przez całą moją rozpacz i grozę.

Wtedy stanął przede mną i wypisał mi jodyną na czole litery UHP[90] powoli i starannie, jak gdyby był artystą, a ja to wszystko widziałam w lustrze i już nie płakałam, bo serce we mnie zamierało z żalu za ojcem i matką, i wiedziałam, że to, co dzieje się ze mną, jest niczym.

[90] UHP (Unidos Hermanos Proletarios, hiszp.) — Łączcie się bracia proletariusze; hasło rewolucyjne górników Asturii podczas zbrojnego powstania w październiku 1934 roku.

Kiedy ten falangista skończył malować litery, cofnął się o krok i przyjrzał się swojej robocie, a potem odstawił butelkę, wziął maszynkę i powiedział: „Następna". Wyprowadzili mnie z fryzjerni trzymając mocno za ręce; w progu potknęłam się o fryzjera, który wciąż tam leżał na plecach, szarą twarzą do góry, i o mało nie zderzyłyśmy się z moją najlepszą przyjaciółką Concepcion Gracia, którą dwóch prowadziło do środka. Kiedy mnie zobaczyła, nie poznała mnie, a potem poznała i krzyknęła, i jeszcze ciągle słyszałam jej krzyk, kiedy mnie popychali przez plac, w drzwi i na schody ratusza, i do gabinetu mojego ojca, gdzie mnie rzucili na kanapę. I to tam robili mi te złe rzeczy.

— Mój króliczku — powiedział Robert Jordan i przytulił ją do siebie najmocniej i najczulej jak umiał. Ale w tej chwili był ponad ludzką miarę przepełniony nienawiścią. — Nie mów już o tym. Nie opowiadaj mi nic więcej, bo mnie rozsadza nienawiść.

Leżała sztywna i chłodna w jego objęciach i powiedziała:

— Dobrze. Więcej już nigdy nie będę o tym mówiła. Ale to są źli ludzie i gdybym mogła, chętnie zabiłabym z tobą paru. Ale opowiedziałam to tylko dla twojej dumy, jeżeli mam ci być żoną. Żebyś wszystko zrozumiał.

— Zadowolony jestem, żeś mi powiedziała — odrzekł. — Bo jutro, jeżeli nam się poszczęści, zabijemy ich wielu.

— Ale czy będziemy zabijać falangistów? Bo to oni tamto robili.

— Oni nie walczą — odpowiedział ponuro. — Oni zabijają na tyłach. Nie z nimi walczymy podczas bitwy.

— A nie można ich jakoś pozabijać? Bardzo bym chciała zabić kilku.

— Ja już ich zabijałem — powiedział. — I jeszcze ich będziemy zabijać. Zabijaliśmy falangistów przy pociągach.

— Chciałabym pójść z tobą, jak będziesz robił pociąg — powiedziała Maria. — Kiedy robili tamten, z którego przyprowadziła mnie Pilar, byłam trochę niespełna rozumu. Opowiadała ci o tym?

— Tak. Nie mów mi.

— Miałam pustkę i martwotę w głowie i wciąż tylko płakałam. Ale jest jeszcze jedna rzecz, którą ci muszę powiedzieć, Roberto. To już muszę. Bo wtedy może nie zechcesz mnie za żonę. Ale, Roberto, jeżeli nie będziesz chciał się ze mną ożenić, to czy nie moglibyśmy po prostu być zawsze razem?

— Ożenię się z tobą.

— Nie. Zapomniałam o tym. Może nie powinieneś się ze mną żenić. Widzisz, możliwe, że ja nie będę mogła urodzić ci ani syna, ani córki, bo Pilar powiada, że gdybym mogła, już by to się stało po tym, co mi robili. Muszę ci to powiedzieć. Och, sama nie wiem, dlaczego zapomniałam.

— To nie ma znaczenia, króliczku — odpowiedział. — Po pierwsze, to może być nieprawda. O tym musi się wypowiedzieć lekarz. Po wtóre, wcale nie chcę mieć syna czy córki, jeżeli mają żyć na takim świecie jak teraz. A wreszcie, ty już zabrałaś całą miłość, na jaką mnie stać.

— A ja chciałabym urodzić ci i syna, i córkę — odrzekła. — Jak można poprawić świat, jeżeli nie będzie na nim dzieci, które zrodzimy my, walczący z faszystami?

— Ach ty! — powiedział. — Kocham cię, słyszysz? A teraz trzeba iść spać, króliczku. Bo muszę wstać na długo przed świtem, a w tym miesiącu rozwidnia się wcześnie.

— Więc wszystko jest w porządku z tym, co powiedziałam na ostatku? I dalej możemy się pobrać?

— Już się pobraliśmy. Biorę z tobą ślub w tej chwili. Jesteś moją żoną. Ale teraz idź spać, króliczku, bo już jest mało czasu.

— I naprawdę się pobierzemy? To nie jest tylko takie mówienie?

— Naprawdę.

— To idę spać i będę o tym myślała, jeżeli się przebudzę.

— Ja też.

— Dobranoc, mój mężu.

— Dobranoc — odpowiedział. — Dobranoc, żono.

Po chwili usłyszał jej równy, miarowy oddech i wiedział, że już śpi, i leżał bardzo spokojnie, nie chcąc obudzić jej jakimś ruchem. Myślał o tym wszystkim, czego mu nie opowiedziała, i czul nienawiść, i cieszył się, że rano będzie zabijał.

Ale nie wolno mi podchodzić do tego tak osobiście — pomyślał. — Tylko jak mogę inaczej? Wiem, że my też robiliśmy im straszne rzeczy. Ale to dlatego, że byliśmy nieoświeceni i nie mieliśmy rozeznania. Natomiast oni robią wszystko celowo i świadomie. Ci, co to robią, są ostatecznym wykwitem tego, co dało ich wychowanie. Są kwiatem hiszpańskiego rycerstwa. Jaki to był naród! Jakie dranie, poczynając od Koneza, Pizarra, Menendeza de Avila, przez Enrique Listera aż po Pabla! A co to za

cudowny naród! Nie ma wspanialszego i gorszego narodu na świecie. Nie ma lepszego i zarazem okrutniejszego niż ten. Kto ich rozumie? Ja nie, bo gdybym rozumiał, wybaczyłbym im wszystko. Rozumieć znaczy wybaczać. To nieprawda. Przesadzono z tym wybaczaniem. Przebaczanie to pomysł chrześcijański, a Hiszpania nigdy nie była krajem chrześcijańskim. Zawsze miała swój własny, osobny kult bożków w ramach Kościoła. *Otra Virgen más*. Przypuszczam, że właśnie dlatego musieli niszczyć dziewice swoich wrogów. Z pewnością to sięgało głębiej u nich, tych hiszpańskich fanatyków religijnych, niż u ludu. Lud oddalił się od Kościoła, bo Kościół brał udział w rządach, a rządy były zawsze parszywe. To jest jedyny kraj, do którego nigdy nie dotarła reformacja. Teraz dopiero płacą za Inkwizycję.

To jest coś, nad czym warto się zastanowić. Coś, co może odwrócić myśli od troski o własną robotę. To zdrowsze niż udawanie. Mój Boże, dużo było tego udawania dzisiejszej nocy. Pilar też udawała przez cały dzień. Oczywiście. Co z tego, że może jutro zginiemy? Czy to ważne, jeżeli tylko zrobimy most jak należy? A jutro nie ma nic więcej do zrobienia.

Nieważne. Nie można bez końca robić tych rzeczy. Ale też nie ma się wcale żyć wiecznie. Może całe moje życie przeżyłem w ciągu trzech dni? — pomyślał. — Jeżeli tak, to szkoda, że nie spędziliśmy inaczej tej ostatniej nocy. Ale ostatnie noce nigdy nie są udane. Nic, co ostatnie, nie jest udane. I owszem, czasem ostatnie słowa. „Viva mój mąż, który jest burmistrzem tego miasta" — to było udane.

Wiedział, że tak, bo kiedy to w myśli powtórzył, uczul ciarki przebiegające po skórze. Pochylił się i pocałował Marię, ale się nie przebudziła. Szepnął po angielsku:

— Chciałbym ożenić się z tobą, króliczku. Bardzo jestem dumny z twojej rodziny.

XXXII

Tej samej nocy w Madrycie w hotelu „Gaylord" zebrało się wiele osób. Przed bramę zajechał samochód z reflektorami zamalowanymi niebieską farbą i wysiadł z niego niski mężczyzna w czarnych butach z cholewami, szarych bryczesach i krótkiej, szarej kurtce zapiętej pod szyję. Otwierając drzwi odsalutował dwóm wartownikom, skinął głową funkcjonariuszowi tajnej policji, który siedział za biurkiem portiera, i wsiadł do windy. W marmurowym hallu, po obu stronach wejścia siedzieli na krzesłach dwaj inni wartownicy i ci tylko spojrzeli na niego, kiedy ich mijał podchodząc do windy. Mieli obowiązek obmacać każdego nieznajomego po bokach, pod pachami i po tylnej kieszeni, żeby sprawdzić, czy nie ma przy sobie pistoletu, jeżeli zaś miał, kazać mu złożyć go u portiera. Ale niskiego mężczyznę w butach z cholewami znali bardzo dobrze i ledwie na niego spojrzeli, kiedy przechodził.

Pokój, który zajmował w „Gaylordzie", był przepełniony, kiedy tam wszedł. Ludzie siedzieli, stali i rozmawiali jak w pierwszym lepszym salonie, mężczyźni i kobiety pili wódkę, whisky z wodą sodową i piwo ze szklaneczek, które napełniano z dużych karafek. Czterech mężczyzn było w mundurach. Reszta miała na sobie wiatrówki albo skórzane kurtki, trzy z czterech obecnych kobiet były ubrane w zwykły strój miejski, a czwarta, wychudła brunetka, w rodzaj prostego munduru milicjantki, ze spódnicą, spod której wyglądały wysokie buty.

Wszedłszy do pokoju Karkow od razu zbliżył się do kobiety w mundurze, ukłonił się i uścisnął jej dłoń. Była to jego żona; powiedział jej po rosyjsku coś, czego nikt nic dosłyszał, i wyraz zuchwalstwa, który miał w oczach wchodząc do pokoju, zniknął na chwilę. Potem zapłonął w nich znowu, kiedy Karkow zobaczył kasztanowate włosy i zmysłowo-leniwą twarz dobrze zbudowanej dziewczyny, która była jego kochanką. Podszedł do niej krótkim, sprężystym krokiem, ukłonił się i uścisnął jej rękę w taki sposób, że nikt nie potrafiłby odgadnąć, czy nie było to naśladownictwem powitania z żoną. Żona nie patrzyła za nim, kiedy przechodził przez pokój. Stała z wysokim, przystojnym oficerem hiszpańskim i rozmawiała z nim po rosyjsku.

— Twoja wielka miłość zaczyna trochę tyć — powiedział Karkow do dziewczyny. — Wszyscy nasi bohaterowie obrastają w tłuszcz teraz, kiedy zbliżamy się do drugiego roku wojny. — Nie patrzał na mężczyznę, o którym mówił.

— Jesteś tak brzydki, że potrafiłbyś być zazdrosny nawet o ropuchę — odpowiedziała wesoło dziewczyna. Mówiła po niemiecku. — Czy mogę pojechać jutro z tobą na ofensywę?

— Nie. Zresztą nie ma żadnej ofensywy.

— Przecież wszyscy o tym wiedzą — rzekła dziewczyna. — Nie bądź taki tajemniczy. Dolores jedzie. Pojadę z nią albo z Carmen. Dużo osób się wybiera.

— Jedź sobie z kimś, kto cię zabierze — powiedział Karkow. — Bo ja tego nie zrobię.

Potem obrócił się do niej i zapytał poważnie:

— Kto ci to mówił? Powiedz dokładnie.

— Ryszard — odrzekła równie poważnym tonem. Karkow wzruszył ramionami i odszedł,

— Karkow! — zawołał do niego ochrypłym głosem jakiś mężczyzna średniego wzrostu o szarej, obrzmiałej, nalanej twarzy, mający worki pod oczami i obwisłą dolną wargę. — Słyszeliście już dobrą wiadomość?

Karkow podszedł do niego, a tamten rzekł:

— Dowiedziałem się dopiero w tej chwili. Jeszcze nie ma dziesięciu minut. Coś nadzwyczajnego. Przez cały dzień faszyści bili się między sobą pod Segovią. Byli zmuszeni stłumić bunt automatami i karabinami maszynowymi. Po południu zbombardowali własne oddziały z samolotów.

— Tak? — zapytał Karkow.

— To pewne — odparł mężczyzna o podpuchniętych oczach. — Dolores sama przyniosła tę wiadomość. Przybiegła tutaj w stanie tak radosnego uniesienia, że nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Prawdziwość tych nowin promieniała z jej twarzy. Ach, ta wspaniała twarz! — powiedział z zachwytem.

— Ta wspaniała twarz — powtórzył Karkow bezbarwnym głosem.

— Gdybyście mogli ją słyszeć! — ciągnął mężczyzna z podpuchniętymi oczami. — Ta nowina promieniowała z niej jakimś nieziemskim światłem. W głosie czuło się prawdziwość tego, co mówi. Zamieszczam to w artykule dla «Izwiestiii». Dla mnie to był jeden z najwspanialszych momentów tej wojny, kiedy słuchałem jej przepysznego

głosu, w którym zmieszana jest litość, współczucie i rzetelność. Dobroć i prawda promieniują od niej jak od prawdziwej świętej ludowej. Nie darmo ją nazywają La Pasionaria!

— Nie darmo — powiedział Karkow matowym głosem. — Lepiej napiszcie to zaraz dla «Izwiestii», zanim wyleci wam z głowy ten piękny wstęp.

— To jest kobieta, z której nie wolno żartować. Nawet takiemu cynikowi jak wy — odparł mężczyzna o podpuchniętych oczach. — Gdybyście mogli tu być i słyszeć ją, i widzieć jej twarz!

— Ten wspaniały głos — powiedział Karkow. — Ta wspaniała twarz. Napiszcie to. Nie opowiadajcie mi. Nie marnujcie dla mnie całych akapitów. Idźcie napisać zaraz.

— Jeszcze nie w tej chwili.

— Myślę, że tak byłoby lepiej — powiedział Karkow i popatrzał na niego, a potem odwrócił wzrok. Mężczyzna z podpuchniętymi oczami stał jeszcze parę minut trzymając szklaneczkę z wódką, a jego oczy, choć podpuchnięte, były zapatrzone w piękno tego, co niedawno widział i słyszał. Wreszcie wybiegł z pokoju, by to opisać.

Karkow podszedł do innego mężczyzny, lat około czterdziestu ośmiu, niskiego, krępego, o jowialnej twarzy, bladoniebieskich oczach, rzednących blond włosach i wesołych ustach pod szczecinowatym, żółtawym wąsikiem. Ten człowiek miał na sobie mundur, był Węgrem i generałem dywizji.

— Byliście tutaj, jak przyszła Dolores? — zapytał go Karkow.

— Byłem.

— O co to chodziło?

— O to, że faszyści jakoby pobili się między sobą. Piękne, jeżeli prawdziwe.

— Dużo się tutaj słyszy gadania o jutrze.

— To skandal. Powinno się powystrzelać wszystkich dziennikarzy i większość ludzi, którzy są w tym pokoju, a już na pewno tego zaplugawionego niemieckiego intryganta, Ryszarda. Ten, kto dał temu niedzielnemu „Fuggierowi" dowództwo brygady, powinien iść pod mur. Może trzeba by też rozstrzelać i was, i mnie. Zupełnie możliwe — roześmiał się generał. — Ale tego nie proponujcie.

— To jest rzecz, o której nie lubię mówić — powiedział Karkow. — Po tamtej stronie jest ten Amerykanin, który tu czasem przychodzi. No wiecie, ten Jordan, wysłany do grupy partyzanckiej. On jest tam, gdzie ma być to, o czym gadają.

— W takim razie powinien dziś w nocy przysłać meldunek — powiedział generał. — Mnie tu nie lubią; gdyby nie to, poszedłbym dowiedzieć się i dał wam znać. On pracuje dla Golza, prawda? Jutro zobaczycie się z Golzem.

— Z samego rana.

— Nie pchajcie mu się przed oczy, dopóki to się dobrze nie rozkręci — powiedział generał. — Golz nie znosi was, drani dziennikarzy, tak samo jak ja. Tylko że ma o wiele lepszy charakter.

— A co z tym...

— Pewnie faszyści robili manewry — uśmiechnął się generał. — No, zobaczymy, czy Golz potrafi ich wymanewrować. Niech popróbuje. Myśmy ich wymanewrowali pod Guadalajarą.

— Słyszałem, że wy też macie podróżować — rzeki Karkow pokazując w uśmiechu zepsute zęby. Generał nagle się rozzłościł.

— A więc ze mną to samo. Teraz mnie wzięli na języki. Jak zawsze nas wszystkich. Ta parszywa kuźnia plotek! Jeden człowiek, który potrafiłby trzymać gębę na kłódkę, mógłby uratować ten kraj, gdyby miał wiarę w siebie.

— Wasz przyjaciel Prieto potrafi.

— Ale nie wierzy, że może zwyciężyć. Jak można zwyciężyć bez wiary w lud?

— Sami to rozstrzygnijcie — powiedział Karkow. — Ja idę się trochę przespać.

Z zadymionego, nabrzmiałego plotkami pokoju przeszedł do sypialni, usiadł na łóżku i ściągnął buty. Wciąż słyszał rozmowy, więc zamknął drzwi i otworzył okno. Nie opłacało już mu się rozbierać, bo o drugiej miał wyruszać przez Colmenar, Cercedę i Navacerradę na front, gdzie o świcie Golz rozpoczynał natarcie.

XXXIII

Była druga nad ranem, gdy Pilar zbudziła Roberta Jordana. Kiedy dotknęła go ręką, wydało mu się w pierwszej chwili, że to Maria, więc przysunął się do niej i szepnął: — Króliczku. — Wtedy ciężka ręka kobiety potrząsnęła go za ramię i nagle oprzytomniał całkowicie i absolutnie, a jego dłoń zacisnęła się na kolbie pistoletu, który leżał tuż przy nagiej prawej nodze. Cały był napięty jak ten pistolet z odciągniętym bezpiecznikiem.

W ciemnościach poznał Pilar, więc spojrzał na tarczkę zegarka, na której obie wskazówki świeciły blisko siebie u samej góry, i widząc, że to dopiero druga, zapytał:

— Co się stało, kobieto?

— Pablo uciekł — odpowiedziała.

Robert Jordan nałożył spodnie i trepy. Maria się nie przebudziła.

— Kiedy? — zapytał.

— Z godzinę temu.

— I co?

— Zabrał coś z twoich rzeczy — powiedziała żałośnie kobieta.

— Ach, tak. Co?

— Nie wiem — odrzekła. — Chodź, zobacz.

Ruszyli w ciemnościach do wylotu jaskini i schyliwszy się pod derką weszli do środka. Robert Jordan wszedł za Pilar do jaskini cuchnącej wygasłym popiołem, zatęchłym powietrzem i śpiącymi ludźmi. Świecił latarką elektryczną, ażeby nie nadepnąć tych, co spali na ziemi. Anselmo obudził się i zapytał:

— Już czas?

— Nie — odrzekł Robert Jordan. — Śpij, stary.

Oba plecaki leżały w głowach posłania Pilar, które było oddzielone od reszty jaskini rozwieszonym kocem. Posianie cuchnęło słodko-mdławo stęchlizną i zaschłym potem, jak legowisko indiańskie, i Robert Jordan przyklęknął i skierował światło latarki na plecaki. Na obu były przecięcia biegnące od góry do dołu. Trzymając latarkę w lewej ręce, Robert Jordan prawą pomacał wewnątrz pierwszego plecaka. Nosił w nim śpiwór, więc nie powinien był być zbyt wypchany. I rzeczywiście nie był.

Znajdowało się w nim nadal trochę drutu, ale kwadratowa drewniana skrzynka zniknęła. Tak samo pudełko od cygar, w którym były starannie owinięte i zapakowane detonatory. Zniknęła też zakręcana puszka z lontem i spłonkami.

Robert Jordan pomacał w drugim plecaku. Był pełen materiału wybuchowego. Brakło może jednej kostki.

Wstał i obrócił się do kobiety. Istnieje drążące uczucie wewnętrznej próżni, którego czasem doświadcza człowiek, kiedy go zbudzą za wcześnie, i które jest niemal jak świadomość katastrofy. Miał w tej chwili to uczucie zwielokrotnione tysiąc razy.

— I ty to nazywasz pilnowaniem moich materiałów! — powiedział.

— Spałam z głową na plecakach i trzymałam na nich rękę — odrzekła Pilar.

— Mocno spałaś.

— Posłuchaj — powiedziała. — On wstał w nocy, a ja go pytam: „Dokąd idziesz, Pablo?" „Odlać się, kobieto", odpowiedział mi, więc zasnęłam na powrót. Kiedy się znów obudziłam, nie wiedziałam, ile czasu minęło, ale jak zobaczyłam, że go nie ma, pomyślałam, że pewnie poszedł do koni, jak to miał w zwyczaju. A potem — dokończyła zgnębiona — kiedy nie wracał, zaniepokoiłam się i pomacałam plecaki, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, no i tam były te przecięcia, więc przyszłam do ciebie.

— Chodź — powiedział Robert Jordan.

Wyszli na dwór; było jeszcze tak krótko po północy, że nie czuło się wcale nadchodzącego świtu.

— Czy on może uciec z końmi inną drogą niż koło posterunku?

— Dwiema.

— Kto tam jest na górze?

— Eladio.

Robert Jordan nie powiedział nic więcej, póki nie doszli do polanki, na której zwykle pasły się uwiązane konie. Teraz były tam tylko trzy; duży kasztan i siwek zniknęły.

— Jak dawno on mógł wyjść?

— Z godzinę temu.

— No, tak — powiedział Robert Jordan. — Muszę zabrać to, co zostało z moich plecaków, i jeszcze się trochę przespać.

— Będę ich pilnowała.

— *Qué va*, będziesz pilnowała. Już raz pilnowałaś.

— Inglés — powiedziała kobieta. — Ja to odczuwam tak samo jak ty. Nie ma rzeczy, której bym nie zrobiła, żeby ci zwrócić twoją własność. Nie musisz mi robić przykrości. Pablo zdradził nas oboje.

Kiedy to powiedziała, Robert Jordan zrozumiał, że nic może pozwolić sobie na luksus rozgoryczenia ani kłócić się z tą kobietą. Musiał z nią współpracować w tym dniu, który rozpoczął się już przeszło dwie godziny temu.

Położył jej rękę na ramieniu.

— Nic się nie stało, Pilar — powiedział. — To, co zabrał, nie ma większego znaczenia. Zaimprowizuje się coś, co będzie równie dobre.

— Ale co on wziął?

— Nic takiego, kobieto. Pewne zbytkowne rzeczy, na które człowiek sobie pozwala.

— Czy to była część twojego mechanizmu do robienia wybuchu?

— Tak. Ale są inne sposoby, żeby zrobić wybuch. Powiedz mi, czy Pablo nie miał lontu i spłonek? Musiał chyba to dostać?

— Zabrał — odpowiedziała zgnębiona. — Od razu popatrzałam. Tego też nie ma.

Wrócili przez las pod jaskinię.

— Prześpij się jeszcze — powiedział. — Lepiej nam będzie bez Pabla.

— Idę pogadać z Eladiem.

— Pablo na pewno pojechał inną drogą.

— W każdym razie pójdę. Zdradziłam cię przez mój brak sprytu.

— Nie — odpowiedział. — Prześpij się, kobieto. Musimy ruszyć o czwartej.

Wszedł razem z nią do jaskini i wyniósł oba plecaki obejmując je, ażeby nic nie wypadło przez przecięcia.

— Pozwól mi je pozszywać.

— Przed odejściem — powiedział cicho. — Zabieram je nie dlatego, żebym ci nie ufał, ale chcę jeszcze móc zasnąć.

— Muszę je mieć wcześnie, żeby zeszyć.

— Dostaniesz je bardzo wcześnie — odrzekł. — Prześpij się trochę, kobieto.

— Nie — powiedziała. — Zawiodłam ciebie i zawiodłam Republikę.

— Idź spać — rzekł łagodnie. — Prześpij się jeszcze, kobieto.

XXXIV

W tym miejscu obsadzili wzgórza faszyści. Dalej była dolina nie obsadzona przez nikogo z wyjątkiem faszystowskiej placówki na folwarku, gdzie umocnili budynki i stodołę. Andrés idąc do Golza z meldunkiem Roberta Jordana okrążył z daleka w ciemnościach tę placówkę. Wiedział, gdzie jest przeciągnięty drut, który odpalał nastawione działko, odszukał go więc po ciemku, przelazł przez niego i ruszył dalej wzdłuż strumienia obrzeżonego topolami, których liście szeleściły na nocnym wietrze. Na folwarku, gdzie była placówka faszystowska, zapiał kogut, a Andrés idąc wzdłuż strumienia obejrzał się i między topolami dostrzegł światło w dolnym rogu jednego z okien budynku. Noc była cicha i pogodna, i Andrés odszedł od potoku i ruszył na przełaj łąką.

Na łące były cztery kopki siana, które tam stały od czasu walk w lipcu poprzedniego lata. Nikt ich nie zebrał i cztery minione pory roku spłaszczyły kopki, a siano przegniło.

Andrés rozmyślał nad tym marnotrawstwem przełażąc przez drut rozciągnięty między dwiema kopkami. No, ale republikanie musieliby wwozić siano na ten stromy stok Guadarramy, który zaczyna się za łąką, a faszyści pewnie w ogóle siana nie potrzebują — pomyślał. — Mają, ile chcą siana i zboża. Dużo mają — myślał.

— Ale jutro rano damy im łupnia. Jutro rano damy im za Sorda. Co to za barbarzyńcy! Ale rano zakurzą się drogi.

Chciał już nareszcie doręczyć ten meldunek i zdążyć z powrotem na poranny atak na placówki. Ale czy naprawdę chciał wrócić, czy tylko udawał? Pamiętał to uczucie ulgi, kiedy Inglés powiedział mu, że ma zanieść meldunek. O tym, co ich czekało rano, myślał ze spokojem. To trzeba było zrobić. Sam opowiedział się za tym i był gotów. Pogrom Sorda wywarł na nim głębokie wrażenie. Ale bądź co bądź, to spotkało Sorda, nie ich. Zrobią wszystko, co mają do zrobienia.

Jednakże kiedy Inglés powiedział mu o meldunku, poczuł to samo, co wówczas, gdy jeszcze był małym chłopcem i budząc się rano w dzień fiesty w swojej wiosce, słyszał deszcz padający gęsto i wiedział już, że będzie za mokro i że igrzyska z bykami zostaną odwołane.

Jako mały chłopiec uwielbiał te igrzyska i nie mógł doczekać się chwili, kiedy stanie na placu w gorącym słońcu i pyle, na zamkniętej przestrzeni, utworzonej przez rozstawione dokoła wozy, które zagradzały wszystkie wyloty, a byk, zaparty czterema kopytami, ześliźnie się na ziemię ze swojej klatki, kiedy podniosą jej kratę. Z zachwytem i podnieceniem, ale i spotniały ze strachu, wyczekiwał momentu, gdy usłyszy na placu łomot rogów byka bodącego drewnianą klatkę, w której go przywieziono, a potem zobaczy go zsuwającego się w dół na sztywnych kopytach, z zadartym łbem, rozdętymi nozdrzami i drgającymi uszami, z pyłem na czarnej, lśniącej skórze, z zaschniętym gnojem na zadnich nogach, i ujrzy szeroko rozstawione ślepia, te niezmrużone ślepia pod rozłożystymi rogami, gładkimi i twardymi jak drewno wyrzucone na brzeg rzeki i oszlifowane przez piasek, i ze szpicami sterczącymi tak, że na ich widok ściskało się serce.

Przez cały rok wyczekiwał chwili, kiedy byk stanie owego dnia na placu i wszyscy wpatrzą się w jego ślepia, a on będzie wybierał, na kogo rzucić się ze schylonym łbem, tym nagłym, szybkim, bodącym, kocim skokiem, od którego serce stawało w piersiach. Andrés będąc małym chłopcem przez cały rok oczekiwał tej chwili, ale uczucie, jakiego doznał, kiedy Inglés wydał mu rozkaz zaniesienia meldunku, było takie samo jak wtedy, gdy budząc się słyszał z ulgą deszcz padający na łupkowy dach, kamienną ścianę domu i kałuże, które stały na uliczce jego wioski.

Zawsze bardzo dzielnie poczynał sobie z bykiem podczas owych wiejskich *capeas*, dorównywał odwagą wszystkim ze swojej wsi i z wiosek sąsiednich i za nic w świecie nie opuściłby tej zabawy żadnego roku, chociaż nie brał udziału w *capeas* urządzanych przez inne wioski. Umiał czekać spokojnie na szarżującego byka i uskakiwał dopiero w ostatniej chwili. Machał mu workiem przed pyskiem, ażeby go odciągnąć, jeżeli kogoś przewrócił, i nieraz szarpał za rogi, gdy byk tratował kopytami jakiegoś człowieka, ciągnął go w bok za róg, bił i kopał po pysku, dopóki zwierz nie zostawił leżącego i nie zaszarżował na innych.

Kiedy indziej znów targał byka za ogon, ażeby go odciągnąć od przewróconego człowieka, szarpał ten ogon i skręcał, mocno zaparty nogami. Raz jedną ręką skręcił go tak, że drugą dosięgnął rogu, i kiedy byk podniósł łeb, aby na niego uderzyć, zaczął biec tyłem, odwracając się razem z nim w koło, i trzymał jedną ręką ogon, a drugą róg, dopóki tłum nie obskoczył byka z nożami i nie zakłuł go. W kurzu, upale, wśród wrzasku, odoru byka, ludzi i wina był jednym z pierwszych, którzy rzucali się na zwierza, i pamiętał to uczucie, kiedy byk podrygiwał i wierzgał pod nim, a on leżał

przewieszony w poprzek kłębu i objąwszy jedną ręką nasadę rogu trzymał w garści drugi i zaciskał na nim palce. Jego ciałem wstrząsały i miotały skoki byka, lewa ręka nieomal wyrywała się ze stawu, ale wciąż leżał na rozgrzanym, zakurzonym, szczecinowatym, szarpiącym się kopcu mięśni, ściskał mocno zębami ucho byka, wbijał nóż jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze w nabrzmiałą, rozedrganą masę karku, z którego teraz tryskał mu na pięść gorący strumień, i zwisał całym ciężarem na spiętrzonym wzgórzu kłębu, i kłuł, i kłuł nożem w kark.

Kiedy po raz pierwszy wczepił się tak zębami w ucho byka i nie puścił pomimo wstrząsów, napinając szyję i ściskając szczęki, wszyscy później naśmiewali się z niego. Ale chociaż tak żartowali, mieli dla niego wielki respekt. I potem już co roku musiał to powtarzać. Nazwali go Buldogiem z Villaconejos i śmieli się, że jada byki na surowo. Ale wszyscy we wsi cieszyli się, że zobaczą, jak to robi, i co roku wiedział, że najpierw byk się pokaże, potem nastąpią jego ataki i skoki, a wreszcie, kiedy ludzie z krzykiem rzucą się go zabijać, on sam przeciśnie się przez tłum napastników i wskoczy na swoją ofiarę. Później, kiedy już będzie po wszystkim i byk zwali się martwy pod ciężarem ludzi, on wstanie i odejdzie, wstydząc się tego, co robił z uchem, ale i dumny jak nikt. Przejdzie między wozami, ażeby umyć sobie ręce przy kamiennej studni, a wszyscy będą go klepać po plecach, podawać mu bukłaki z winem mówiąc: „Niech żyje Buldog! Niech żyje twoja matka!".

Albo będą mówili: „Proszę, co to jest mieć dwa *cojones*! I to tak rok po roku!".

Andrés będzie zawstydzony, pusty w środku, dumny i szczęśliwy i rozepchnie ich, obmyje sobie dłonie i prawą rękę, wymyje dobrze nóż, a potem weźmie jeden z bukłaków i na ten rok spłucze sobie z ust smak byczego ucha. Najpierw wypluje wino na kamienne płyty plaza, a potem podniesie bukłak wysoko i puści sobie do gardła strumień wina.

Tak. Był Buldogiem z Yillaconejos i za nic w świecie nie wyrzekłby się możności powtarzania tego co roku w swojej wiosce. Jednakże wiedział, iż nie ma milszego uczucia, niż słyszeć szum deszczu i wiedzieć, że nie będzie musiał tego robić.

Ale muszę wrócić — myślał teraz. — Nie ma mowy: muszę wrócić na tamto z mostem i placówkami. Jest tam mój brat Eladio, z tej samej krwi i kości, co ja. I Anselmo, Primitivo, Fernando, Agustin i Rafael, choć ten, rzecz jasna, nie jest poważny, i obie kobiety, Pablo i Inglés, mimo że Inglés się nie liczy, bo jest cudzoziemcem i działa z rozkazu. Wszyscy tam będą. Niemożliwe, żeby mnie ominęła ta próba przez taki przypadek z meldunkiem. Muszę oddać meldunek prędko i

dobrze, a potem spieszyć się z powrotem, żeby zdążyć na zdobywanie placówek. Byłoby nikczemnie z mojej strony nie wziąć udziału w walce przez ten przypadek z meldunkiem. To chyba całkiem jasne. A poza tym — pomyślał jak człowiek przypominający sobie nagle przyjemną stronę jakiejś sprawy, w której dotychczas dostrzegał jedynie uciążliwości — poza tym z ochotą zabiję paru faszystów. Już dawno nie zatłukliśmy żadnego. Jutrzejszy dzień może być dniem ważnych działań. Jutrzejszy dzień może być dniem istotnych czynów. Jutrzejszy dzień może być coś wart. Więc żeby już przyszło jutro i żebym tam był.

W tej chwili, kiedy po kolana w janowcach brnął pod górę po stromym zboczu prowadzącym do linii republikańskich, zerwała mu się spod nóg kuropatwa wybuchając w ciemnościach takim furkotem skrzydeł, że obleciał go nagły strach, zapierający dech w piersiach. To przez tę nagłość — pomyślał. — Jak one mogą tak szybko ruszać skrzydłami? Musi teraz siedzieć na jajach. Pewnie stąpnąłem gdzieś blisko gniazda. Gdyby nie było wojny, uwiązałbym tutaj chustkę na krzaku, wrócił za dnia, odszukał gniazdo i mógłbym wybrać jaja, podłożyć je pod wysiadującą kurę i kiedy by się wylęgły, mielibyśmy na podwórku małe kuropatewki i przyglądałbym się, jak rosną, a kiedy by już wyrosły, używałbym ich na wabia. Nie oślepiłbym ich, bo byłyby obłaskawione. A może by odleciały? Możliwe. No, to trzeba by je oślepić.

Ale nie chciałbym tego robić, jakbym je sobie wyhodował. Używając ich na wabia mógłbym im podciąć skrzydła albo uwiązać za nóżkę. Gdyby nie było wojny, poszedłbym z Eladiem wybierać raki z tego strumienia koło faszystowskiej placówki. Raz wybraliśmy z niego cztery tuziny przez jeden dzień. Jeżeli po tym moście pójdziemy w Sierra de Gredos, to tam też będą dobre potoki z pstrągami i rakami. Chciałbym, żebyśmy poszli do Gredos. Tam dobrze by nam się żyło letnią porą i na jesieni, tylko w zimie byłoby okrutnie zimno. Ale może do zimy już wygramy wojnę.

Gdyby nasz ojciec nie był republikaninem, Eladio i ja służylibyśmy teraz w wojsku u faszystów, a jakbyśmy byli u nich żołnierzami, wszystko byłoby proste. Słuchałoby się rozkazów, żyłoby się albo zginęło, a później byłoby, co by było. Łatwiej jest żyć w jakimś ustroju niż go zwalczać.

Ta nieregularna wojaczka to jest rzecz wielce odpowiedzialna. Ma się dużo zmartwień, jeżeli człowiek jest z tych, co się martwią. Eladio rozmyśla więcej ode mnie. I martwi się. A ja naprawdę wierzę w naszą sprawę i nie martwię się wcale. Ale takie życie jest bardzo odpowiedzialne.

Myślę, żeśmy się urodzili w ogromnie trudnych czasach. I że kiedy indziej musiało być łatwiej. Człowiek nie bardzo cierpi, bo wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni nie poddawać się cierpieniu. Ci, co cierpią, nie nadają się do tego klimatu. To jest czas trudnych decyzji. Faszyści zaatakowali i zdecydowali za nas. My bijemy się, żeby żyć. Ale chciałbym, żeby było tak, abym mógł uwiązać chustkę do tamtego krzaka, wrócić za dnia, wybrać jaja i podłożyć je pod kurę, i widzieć kuropatwie pisklęta na naszym podwórku. Chciałbym mieć takie drobne i zwykłe rzeczy.

Ale nie masz już domu ani podwórka przy tym domu, którego nie ma — pomyślał. — Nie masz nikogo z rodziny, prócz brata, który jutro idzie do walki, i nie posiadasz nic, oprócz wiatru i słońca, i pustego brzucha. Wiatr jest słaby — pomyślał — a słońce teraz nie świeci. Masz w kieszeni cztery granaty, ale one są tylko do tego, żeby je rzucić. Masz na plecach karabin, ale on jest tylko do tego, żeby wyrzucać kule. Masz meldunek, który musisz oddać. I pełen jesteś łajna, które możesz oddać ziemi — uśmiechnął się w ciemnościach. — Możesz je także podlać uryną. Wszystko, co masz, jest do oddania. Jesteś istnym dziwem filozofii i nieszczęśliwym człowiekiem — powiedział do siebie i uśmiechnął się znowu.

Ale mimo tych wszystkich wzniosłych myśli było w nim uczucie ulgi, które zawsze zjawiało się razem z szumem deszczu, tam, w wiosce, w poranek fiesty. Przed sobą, na szczycie wzgórza, miał teraz pozycje wojsk rządowych i wiedział, że go tam zatrzymają.

XXXV

Robert Jordan leżał w śpiworze obok Marii, która wciąż spała. Leżał na boku, obrócony tyłem do dziewczyny, i czuł plecami jej smukłe ciało, którego dotyk był w tej chwili jak ironia. Ty! — wściekał się na siebie. — Ach, ty! Kiedy pierwszy raz zobaczyłeś tego człowieka, powiedziałeś sobie, że jak zacznie udawać przyjaźń, będzie to znak, że szykuje zdradę. Ty przeklęty durniu! Ty skończony, cholerny durniu! Daj z tym spokój. Teraz masz co innego do roboty.

Czy jest możliwe, że to gdzieś schował albo wyrzucił? Nie bardzo. A zresztą i tak byś tego nie znalazł po ciemku. Pewnie wziął z sobą. Zabrał też trochę dynamitu. Och, parszywy, nikczemny, drański pijanica! Parszywe, zgniłe gówno! Dlaczego nie mógł po prostu stąd spieprzyć i nie zabierać zapalarki i detonatorów? I dlaczego ja byłem takim skończonym, przeklętym durniem, żeby to zostawić u tej cholernej baby? Chytry, wstrętny oszust. Parszywy *cabrón!*

Przestań już i uspokój się — powiedział do siebie. — Musiałeś zaryzykować, a tak było jeszcze najlepiej. Wpadłeś — mówił sobie. — Wpadłeś jak śliwka w gówno. Ale opanuj się, ochłoń ze złości i daj spokój z tym tanim lamentowaniem pod jakąś cholerną ścianą płaczu. Tamto już przepadło. Przepadło, szlag by cię trafił. Niech cholera weźmie tę wstrętną świnię. Możesz się jakoś z tego wygrzebać. Zrobisz to, bo dobrze wiesz, że musisz wysadzić ten most, choćbyś miał na nim stanąć i... z tym także daj spokój. Dlaczego nie zapytasz dziadka?

Och, pieprzę dziadka i cały ten oszukańczy, pieprzony kraj i wszystkich pieprzonych Hiszpanów po jednej i po drugiej stronie!

Niech ich diabli porwą! Niech zgniją wszyscy: Largo, Prieto, Asensio, Miaja, Rojo — wszyscy. Niech ich co do jednego szlag trafi. Niech szlag trafi cały ten oszukańczy kraj. Niech szlag trafi ich egotyzm i samolubstwo, i samolubstwo, i egotyzm, i zarozumialstwo, i zdradliwość! Niech ich wszyscy diabli! Niech ich cholera weźmie, zanim dla nich zginiemy. I potem, jak już dla nich zginiemy. Żeby ich krew zalała! Boże, daj, żeby tego Pabla szlag trafił. Pablo to oni wszyscy. Boże, zlituj się nad ludem hiszpańskim. Każdy przywódca, jakiego mają, musi ich zapieprzyć. Jeden porządny człowiek na dwa tysiące lat, Pablo Iglesias, a wszyscy inni ich pieprzą. Zresztą czy to wiadomo, jak on by postąpił w tej wojnie? Pamiętam, jak myślałem, że

Largo jest porządny, Durruti też był porządny, a jego właśni ludzie zastrzelili go przy Puente de los Franceses. Zastrzelili go, bo chciał, żeby poszli do ataku. Zastrzelili go z tą prześwietną dyscypliną niezdyscyplinowania. Tchórzliwe świnie! Ach, niech ich wszystkich szlag trafi! I ten Pablo musiał zwiać z moją zapalarką i pudełkiem detonatorów! Żeby się zapieprzyl! Ale nie. To on nas zapieprzyl. Zawsze wszyscy tak robią, od Koneza i Menendeza de Avila aż po Miaję. Przypomnij sobie, co Miaja zrobił Kleberowi. Łysa świnia zapatrzona we własny pępek. Głupi, przemądrzały drań. Pieprzę wszystkie te obłąkane, samolubne, zdradzieckie świnie, które zawsze rządziły Hiszpanią i dowodziły jej wojskami. Pieprzę wszystkich, prócz ludu, a i to trzeba cholernie uważać, co z niego będzie, kiedy dostanie władzę.

Jego wściekłość zaczęła stygnąć, w miarę jak wpadał w coraz większą przesadę i rozciągał swoją pogardę i złość tak szeroko i niesprawiedliwie, że sam przestawał w to wierzyć. Jeżeli to prawda, to dlaczego tu jesteś? Wiesz doskonale, że nieprawda. Pomyśl, ilu jest między nimi porządnych ludzi. Ilu wspaniałych. Nie mógł znieść myśli, że jest niesprawiedliwy. Nienawidził niesprawiedliwości tak samo jak okrucieństwa, leżał więc ogarnięty pasją, która go zaślepiała, aż gniew stopniowo przycichł, czerwono-czarna, oślepiająca, mordercza furia odeszła i w końcu poczuł, że umysł jego jest tak spokojny, pusty, trzeźwy i chłodny, jak mężczyzna po stosunku z kobietą, której nie kocha.

— Mój biedny króliczku — szepnął pochylając się nad Marią, która uśmiechnęła się przez sen i przysunęła do niego. — Gdybyś się przed chwilą odezwała, byłbym cię pewnie uderzył. Jakimże zwierzęciem jest człowiek w pasji!

Przysunął się bliżej, objął ją, oparł brodę na jej ramieniu i leżąc tak obmyślał szczegółowo, co musi zrobić i jak to zrobić.

— Nie jest tak źle — myślał. — Naprawdę nie jest wcale tak źle. Nie wiem, czy ktoś już wpadł na ten pomysł. Ale odtąd zawsze znajdą się ludzie, którzy tak zrobią w podobnie paskudnej sytuacji. Jeżeli to się uda i jeżeli się dowiedzą. Tak, jeżeli się dowiedzą. Jeżeli nie będą się tylko dziwić, jakeśmy to zrobili. Za mało nas jest, ale tym nie ma sensu się martwić. Załatwię most tym, co mamy. Boże, ale się cieszę, że już mi przeszła ta złość. To było zupełnie tak, jakby człowiek nie mógł złapać tchu podczas burzy. Złoszczenie się to jeszcze jeden luksus, na który nie możesz sobie pozwolić.

— Wszystko już obmyślone, *guapa* — powiedział cicho, dotykając ustami ramienia Marii. — Nie miałaś z tego powodu żadnych zmartwień. W ogóle nic nie wiedziałaś. Zabiją nas, ale ten most wysadzimy. Nie musiałaś tym się martwić. To nie

jest nadzwyczajny prezent ślubny, ale czy spokojnego snu nie uważa się za rzecz bezcenną? A przecież miałaś spokojny sen. Spróbuj go nosić jak obrączkę na palcu. Śpij, *guapa*. Śpij dobrze, ukochana. Nie zbudzę cię. Nic więcej nic mogę dla ciebie zrobić w tej chwili.

Leżał obejmując ją delikatnie, czul jej oddech i bicie serca, i śledził upływający czas na tarczy zegarka.

XXXVI

Andrés zaczął nawoływać, kiedy doszedł pod pozycje rządowe. To znaczy położył się na ziemi, tam gdzie zbocze opadało stromo spod potrójnego pasa drutów kolczastych, i krzyknął w stronę skał i ziemnego okopu. Nie było tu ciągłej linii obronnej i tę pozycję mógł łatwo wyminąć w ciemnościach i wejść głębiej w terytorium rządowe, zanim natknąłby się na kogoś, kto by go zatrzymał. Jednakże wydawało mu się bezpieczniej i prościej przejść przez to od razu tutaj.

— *Salud!* — zakrzyknął. — *Salud, milicianos!*

Usłyszał szczęknięcie odciąganego zamka karabinu. Potem nieco dalej w bok padł z okopu strzał. W mroku rozległ się suchy trzask i błysnęło w dół żółtym językiem ognia. Kiedy Andrés usłyszał szczęknięcie, rozpłaszczył się na brzuchu i przycisnął czoło do ziemi.

— Nie strzelajcie, towarzysze! — krzyknął. — Chcę do was podejść!

— Ilu was jest? — zawołał ktoś zza okopu.

— Jeden. Ja. Sam.

— Kto taki?

— Andrés Lopez z Villaconejos. Z bandy Pabla. Z meldunkiem.

— Masz karabin i oporządzenie?

— Tak, człowieku.

— Nie przyjmujemy nikogo bez karabinu i oporządzenia — powiedział głos. — I nie w większych grupach niż po trzech.

— Jestem sam! — krzyknął Andrés. — Ważna sprawa. Pozwólcie mi podejść.

Usłyszał, że coś do siebie mówią w okopie, ale nie mógł rozróżnić słów. A potem glos zawołał znowu:

— Ilu was jest?

— Jeden. Ja. Sam. Na miłość Boga!

Znów naradzali się w okopie. Potem doleciał go głos:

— Słuchaj, faszysto!

— Ja nie żaden faszysta! — krzyknął Andrés. — Jestem *guerrillero* z bandy Pabla. Niosę meldunek do sztabu generalnego.

— To wariat — dosłyszał czyjś glos. — Rzuć w niego granatem.

— Słuchajcie! — zawołał Andrés. — Jestem sam. Zupełnie sam. Plugawię w środek świętych tajemnic, że jestem sam. Pozwólcie mi podejść.

— Gada jak chrześcijanin — usłyszał czyjś glos, a potem śmiech.

Ktoś inny odpowiedział:

— Najlepiej rzucić w niego granatem.

— Nie! — krzyknął Andrés. — To byłaby wielka pomyłka! Mam ważną sprawę. Wpuście mnie.

Właśnie dlatego nigdy nie lubił wędrówek tam i z powrotem przez linie. Raz bywało lepiej, raz gorzej. Ale nigdy nie było dobrze.

— Sam jesteś? — zawołał głos z góry.

— *Me cago en la leche!* — krzyknął Andrés. — Ile razy mam powtarzać? JESTEM SAM!

— No to jeżeli jesteś sam, wstań i podnieś karabin nad głowę.

Andrés wstał i podniósł oburącz karabin.

— Teraz przełaź przez druty. Trzymamy cię pod lufą *maquiny!* — zawołał glos.

Andrés znalazł się w pierwszym zygzakowatym pasie zasieków.

— Muszę sobie pomóc rękami, żeby przejść! — krzyknął.

— Trzymaj ręce do góry — rozkazał glos.

— Zaczepiłem się o drut — zawołał Andrés.

— Byłoby prościej rzucić w niego granatem — powiedział czyjś głos.

— Daj mu założyć karabin na ramię — odezwał się inny głos.

— Nie może tamtędy przeleźć z rękami nad głową. Miejże trochę rozumu.

— Wszyscy ci faszyści są tacy sami — odpowiedział tamten. — Stawiają jeden warunek po drugim.

— Słuchajcie! — zawołał Andrés. — Ja nie jestem faszystą, tylko *guerrillero* z bandy Pabla. Natłukliśmy więcej faszystów niż tyfus.

— Nigdy nie słyszałem o żadnej bandzie Pabla — powiedział ten, który najwyraźniej dowodził placówką. — Ani o Piotrze, ani o Pawle, ani o żadnych innych świętych czy apostołach. Ani o ich bandach. Załóż karabin na ramię, pomóż sobie rękami i przełaź przez druty.

— Zanim puścimy w ciebie *maquinę* — krzyknął inny.

— *Qué poco amables sois!* — powiedział Andrés. — Nie bardzo jesteście uprzejmi.

Przedzierał się przez druty.

— *Amables!* — ktoś krzyknął do niego. — Teraz jest wojna, człowieku.

— Tak mi się zaczyna wydawać — powiedział Andrés.

— Co on gada?

Andrés znowu usłyszał szczęknięcie zamka.

— Nic! — krzyknął. — Nic nie gadam. Nie strzelajcie, póki nie przejdę przez te pieprzone druty.

— Nie pyskuj na nasze druty! — ktoś krzyknął. — Bo dostaniesz granatem.

— *Quiero decir, que buena alambrada!*[91] — zawołał Andrés. — Co to za piękne druty! Przez Boga w latrynie, jakie ładne druty! Zaraz będę przy was, bracia.

— Rzuć w niego granatem — usłyszał znowu ten sam głos. — Powiadam ci, że to najmądrzejszy sposób załatwienia całej sprawy.

— Bracia — powiedział Andrés. Był zlany potem i wiedział, że zwolennik granatu może nim rzucić każdej chwili. — Ja nie jestem ważny.

— A, wierzę — odparł ten od granatu.

— Macie rację — rzekł Andrés. Przedostawał się ostrożnie przez trzeci pas zasieków i był już bardzo blisko okopu. — Ja w ogóle się nie liczę. Ale sprawa jest poważna. *Muy, muy seria.*[92]

— Nie ma nic poważniejszego niż wolność! — zawołał ten od granatu. — Uważasz, że jest coś ważniejszego niż wolność? — spytał zaczepnie.

— Nie, człowieku — odparł z ulgą Andrés. Wiedział już, że ma przed sobą tych wariatów z czerwono-czarnymi szalikami. — *Viva la Libertad!*

— *Viva la FAI! Viva la CNT!* — odkrzyknęli mu z okopu. — *Viva el anarco-sindicalismo* i wolność!

— *Viva nosotros!* — zawołał Andrés. — Niech żyjemy my sami!

— To nasz współwyznawca — powiedział ten od granatu. — A ja mogłem go tym zabić.

---

[91] (hiszp.) — Chcę powiedzieć, jakie piękne druty!
[92] (hiszp.) — Bardzo, bardzo poważna.

Patrzał na trzymany w ręku granat i był głęboko wzruszony, gdy Andrés przełaził przez nasyp okopu. Chwycił Andrésa w objęcia ciągle trzymając granat w ręku, tak że oparł mu go o łopatkę, i ucałował chłopca w oba policzki.

— Rad jestem, że ci się nic nie stało, bracie — powiedział. — Bardzom rad.

— Gdzie wasz oficer? — zapytał Andrés.

— Ja tu dowodzę — odezwał się jakiś mężczyzna. — Pokaż mi swoje papiery.

Zabrał je do ziemianki i obejrzał przy świecy. Był tam złożony kwadracik jedwabiu w barwach Republiki, z pieczęcią SIM-u pośrodku. Dalej *salvoconducio* czyli przepustka, na której było nazwisko Andrésa, jego wiek, wzrost, miejsce urodzenia i zadanie, a którą wypisał Robert Jordan na kartce z notesu i opieczętował gumowym stemplem SIM-u, wreszcie cztery złożone kartki zawierające meldunek dla Golza, obwiązane sznurkiem i zapieczętowane woskiem, na którym odciśnięta była metalowa pieczątka SIM-u, wprawiona w górny koniec drewnianej rączki gumowego stempla.

— Takie już widziałem — oświadczył dowódca placówki zwracając Andrésowi kawałek jedwabiu. — To macie wszyscy, ja wiem. Ale sam fakt, że to masz, niczego nie dowodzi bez tego — podniósł *salvoconducto* i odczytał raz jeszcze. — Gdzie się rodziłeś?

— W Villaconejos — odrzekł Andrés.

— A co tam uprawiają?

— Melony — odparł Andrés. — Jak wszystkim wiadomo.

— Kogo tam znasz?

— A bo co? Może jesteście stamtąd?

— Nie. Ale byłem tam. Ja jestem z Aranjuezu.

— Pytajcie, o kogo chcecie.

— Opisz Jose Rincona.

— Tego, co ma bodegę?[93]

— Naturalnie.

— Łysy, z wielkim brzuchem, zezuje na jedno oko.

— Znaczy, że to jest ważne — oświadczył tamten i zwrócił mu przepustkę. — Ale co ty robisz po ich stronie?

[93] Bodega (hiszp.) – winiarnia.

— Nasz ojciec osiedlił się przed ruchem w Villacastin — odpowiedział Andrés. — Na tej równinie za górami. I tam nas zaskoczył ruch. Od czasu ruchu walczę w bandzie Pabla. Ale ja się ogromnie śpieszę, człowieku, żeby oddać ten meldunek.

— A co słychać w kraju faszystów? — zapytał dowódca placówki. Jemu się nie spieszyło.

— Dzisiaj było dużo *tomate* — odpowiedział z dumą Andrés. — Dzisiaj przez cały dzień był wielki kurz na drogach. I dzisiaj zniszczyli bandę Sorda.

— A co to za jeden ten Sordo? — zapytał tamten lekceważąco.

— Dowódca jednej z najlepszych band w tych górach.

— Wy wszyscy powinniście przejść do Republiki i wstąpić do wojska — oświadczył oficer. — Za dużo jest tej całej głupiej partyzantki. Wszyscyście powinni tu przyjść i poddać się naszej wolnościowej dyscyplinie. A potem, jak byśmy chcieli wysyłać partyzantów, robilibyśmy to w miarę potrzeby.

Andrés był człowiekiem obdarzonym niemal nadludzką cierpliwością. Przejście przez druty przyjął spokojnie. Obecne badanie nie wyprowadziło go z równowagi. Uważał za rzecz całkowicie normalną, że ten człowiek nie ma zrozumienia ani dla nich, ani dla tego, co robią, a że będzie wygadywał idiotyzmy, to można było przewidzieć. Również do przewidzenia było, że wszystko pójdzie bardzo powoli; ale teraz chciał już ruszać w drogę.

— Słuchajcie, *compadre* — powiedział. — Bardzo możliwe, że macie rację. Ale ja mam rozkaz doręczyć ten meldunek generałowi dowodzącemu trzydziestą piątą dywizją, która o świcie robi natarcie w tych górach, a noc już późna, więc muszę iść.

— Jakie natarcie? Co ty wiesz o natarciu?

— Nie wiem nic. Ale muszę teraz iść do Navacerrady, a potem dalej. Odstawcie mnie do waszego komendanta, żeby mi dał na czym pojechać. Wyślijcie mnie teraz z kimś, kto do niego za mną przemówi, żeby nie tracić czasu.

— Bardzo mi się to wszystko nie podoba — powiedział tamten. — Może i lepiej było zastrzelić cię, kiedyś podchodził do drutów.

— Widzieliście moje papiery, towarzyszu, i wytłumaczyłem wam już, jakie mam zadanie — odpowiedział Andrés.

— Papiery mogą być sfałszowane — odparł oficer. — A takie zadanie może wymyślić pierwszy lepszy faszysta. Sam pójdę z tobą do komendanta.

— Dobrze — powiedział Andrés. — To już chodźmy. Byle prędko.

— Ty, Sanchez! Obejmiesz dowództwo w moim zastępstwie — powiedział oficer. — Znasz przecież obowiązki. Zabieram tego tak zwanego towarzysza do komendanta.

Ruszyli płytkim wykopem za grzbietem wyniosłości i Andrés poczuł w ciemnościach smród odchodów, które obrońcy wzgórza pozostawili między paprociami na całym zboczu. Nie podobali mu się ci ludzie, którzy byli jak niebezpieczne dzieci: brudni, niechlujni, niezdyscyplinowani, poczciwi, uczuciowi, głupi i ciemni, ale zawsze niebezpieczni, ponieważ mieli broń. On, Andrés, nie miał określonych poglądów politycznych, prócz tego, że był za Republiką. Nieraz słyszał rozmowy tych ludzi i uważał, że to, co mówili, było często piękne i brzmiało wspaniale, lecz ich nie lubił. To nie jest wolność nie zakopywać tego, co się napaskudziło — pomyślał. — Nie ma zwierzęcia równie wolnego jak kot, a przecie kot zagrzebuje swoje łajno. Kot to najlepszy anarchista. Dopóki nie nauczą się tego od kota, nie mogę ich szanować.

Idący przed nim oficer zatrzymał się nagle.

— Ty masz swój karabin? — zapytał.

— Tak — odrzekł Andrés. — Czemu nie?

— Daj go — powiedział oficer. — Jeszcze mi strzelisz w plecy.

— Dlaczego? — zapytał Andrés. — Dlaczego miałbym wam strzelić w plecy?

— Nigdy nie wiadomo — odparł oficer. — Nikomu nie ufam. Dawaj karabin.

Andrés zdjął broń z ramienia i podał mu.

— Jeżeli wam się podoba go nieść — powiedział.

— Tak będzie lepiej — rzekł oficer.— W ten sposób jest bezpieczniej.

Schodzili ze wzgórza w ciemnościach.

XXXVII

Robert Jordan leżał obok dziewczyny i śledził na tarczy zegarka upływający czas. Przemijał on powoli, prawie niedostrzegalnie, bo zegarek był mały i Jordan nie mógł dojrzeć wskazówki sekundowej. Jednakże wpatrując się w tę, która wskazywała minuty, stwierdził, że może nieomal zatrzymać ją natężeniem myśli. Brodą dotykał głowy dziewczyny i kiedy obracał się, by spojrzeć na zegarek, czuł pod policzkiem jej przystrzyżone włosy, miękkie, ale prężne i jedwabiste jak futerko kuny, które podnosi się pod dłonią, kiedy otwierasz pułapkę, wyjmujesz zwierzątko i trzymając je przygładzasz sierść. W gardle coś mu nabrzmiewało, gdy dotykał policzkiem włosów Marii, a kiedy ją obejmował, czuł drżący ból, który rozchodził się od krtani po całym ciele. Pochylił głowę i przybliżył oczy do zegarka, na którym spiczasta jak lanca, świetlista igiełka przesuwała się z wolna po lewej stronie tarczy. Widział teraz wyraźnie jej ruch i przytrzymał mocno Marię, ażeby go zwolnić.

Nie chciał jej budzić, ale nie mógł leżeć spokojnie teraz, kiedy nadeszła ostatnia chwila, więc musnął ją wargami za uchem i po szyi, czując gładkość skóry i miękki dotyk włosów. Widział poruszającą się wskazówkę zegarka, przycisnął Marię jeszcze mocniej do siebie i czubkiem drżącego języka przesunął po jej policzku, do muszli ucha, a potem wzdłuż jego prześlicznych zwojów aż do rozkosznie jędrnego obrąbka u góry. Poczuł, że poprzez cały drżący, wewnętrzny ucisk przenika go dreszcz, i spostrzegł, że wskazówka zegarka podchodzi pod ostrym kątem do góry, gdzie była godzina. Obrócił głowę śpiącej Marii i przyłożył wargi do jej warg. Przytrzymał je tak chwilę, lekko dotykając obrzmiałych ze snu ust, i łagodnie potarł wargami wargi dziewczyny, czując ich delikatną szorstkość. Obrócił się do niej i poczuł, że po jej smukłym, prześlicznym, lekkim ciele przebiega drżenie; westchnęła przez sen, potem, wciąż przez sen, objęła go także i nagle ocknęła się, jej usta przywarły twardo, mocno do jego ust, a on powiedział:

— Ale ten ból...

Odpowiedziała:

— Nie, nie ma bólu.

— Króliczku...

— Nie mów nic.

— Mój króliczku.

— Nie mów. Nie mów.

A potem byli razem, tak że kiedy wskazówka zegarka, na którą już teraz nie patrzył, posuwała się naprzód, wiedzieli, że jednemu z nich nie może zdarzyć się nic, co by się nie zdarzyło drugiemu, że nie może się zdarzyć nic więcej niż to; że to jest i wszystko, i zawsze — to, co było, jest i kiedykolwiek będzie. Mieli to, czego mieli nie mieć. Mieli to teraz i przedtem, i zawsze, i teraz, i teraz, i teraz. Och, teraz, teraz, teraz, jedynie teraz, nade wszystko teraz, i nie ma innego teraz niż ty, i ono jest twoim prorokiem. Teraz i na zawsze teraz. Chodź teraz, teraz, bo nie ma innego teraz. Tak, teraz. Błagam cię, teraz, tylko teraz, nie ma nic, tylko to jedno — gdzie jesteś, gdzie jestem i gdzie to drugie, nie pytaj, nigdy nie pytaj, jest tylko teraz; i jeszcze, i na zawsze, błagam na zawsze teraz, zawsze teraz, już na zawsze jedno jedyne, jedno jedyne, nie ma nic, tylko to jedno, a teraz już idzie, wznosi się, ulatuje, pędzi, toczy się, wzbija, coraz wyżej i dalej, i dalej; nie ma teraz tego drugiego, jest tylko jedno; jedno i jedno jest jednym, tym jednym, tym jednym, tym jednym i ciągle jednym, wciąż jednym, odpływające, miękko, tęsknie, łagodnie, szczęśliwie, w rozkoszy, w uwielbieniu, i znów na ziemi, z łokciami na uciętych, wygniecionych od snu gałęziach, w zapachu sośniny i nocy, i już się spełniło, na ziemi, w świcie nadchodzącego dnia. I wtedy powiedział, bo tamto wszystko działo się tylko w jego myślach i dotąd nie mówił nic:

— Och, Maria, kocham cię i dziękuję ci za to.

A Maria odpowiedziała.

— Nie mów nic. Lepiej nie mówić.

— Muszę ci powiedzieć, bo to jest wielka rzecz.

— Nie.

— Króliczku…

A kiedy przytrzymała go mocno i odwróciła głowę, zapytał cicho:

— Zabolało cię, króliczku?

— Nie — odrzekła. — Tylko ja też jestem ci wdzięczna za to, że jeszcze raz byłam w *la gloria*.

A potem leżeli spokojnie przy sobie, dotykając się całą długością kostek, ud, bioder i ramion, Robert Jordan trzymał zegarek tak, żeby go znowu widzieć, i Maria powiedziała:

— Mieliśmy wielkie szczęście.

— Tak — odrzekł. — Jesteśmy ludźmi mającymi dużo szczęścia.

— Nie ma już czasu spać?

— Nie — odparł. — Teraz niedługo się zacznie.

— To zjedzmy coś, jeżeli trzeba wstawać.

— Dobrze.

— Słuchaj. Nie martwisz się niczym?

— Nie.

— Naprawdę?

— Nie. Teraz nie.

— Ale przedtem martwiłeś się?

— Przez chwilę.

— Czy to jest coś, w czym mogę ci pomóc?

— Nie — odpowiedział. — Dosyć mi już pomogłaś.

— Mówisz o tym? To było dla mnie.

— Dla nas obojga — rzekł. — W tym żadne z nas nie jest samo. Chodź, króliczku, ubierzmy się.

Ale jego umyśl, który mu był najlepszym towarzyszem, mówił: *la gloria*. Powiedziała: *la gloria*. To nie ma nic wspólnego z chwalą ani z tą *la glorie*, o której piszą i mówią Francuzi. To jest coś, co jest w Cante Hondo i w Saetas. Jest i u El Greca i oczywiście u świętego Jana od Krzyża, i u innych. Nie jestem mistykiem, ale przeczenie temu byłoby równą ciemnotą, jak gdyby ktoś przeczył, że istnieje telefon albo że ziemia obraca się dokoła słońca, czy że są inne planety niż nasza.

Jak mało wiemy z tego, co można wiedzieć! Chciałbym móc pożyć jeszcze długo, zamiast umierać dzisiaj, bo przez te cztery dni dowiedziałem się wiele o życiu; myślę, że więcej niż przez cały czas dotąd. Chciałbym doczekać starości i wiedzieć naprawdę. Ciekaw jestem, czy człowiek ciągle się uczy, czy też istnieje tylko pewna suma wiedzy, którą każdy może wchłonąć. Zdawało mi się, że rozumiem tyle rzeczy, o których nie wiem nic. Chciałbym mieć przed sobą więcej czasu.

— Wiele mnie nauczyłaś, *guapa* — powiedział po angielsku.

— Co mówisz?

— Ze dużo się od ciebie nauczyłem.

— *Qué va!* — powiedziała. — Przecież to ty jesteś wykształcony.

Wykształcony! — pomyślał. — Mam dopiero pierwsze początki wykształcenia. Same początki. Jeżeli dzisiaj umrę, to będzie marnotrawstwo, bo teraz już wiem parę rzeczy. Ciekawe, czy dlatego dowiedziałeś ich się dopiero teraz, że jesteś wyczulony z powodu krótkiego czasu, jaki ci pozostaje? Ale nie ma czegoś takiego jak krótkość czasu — pomyślał. — Powinieneś mieć tyle rozumu, żeby to wiedzieć. Odkąd tutaj przyszedłem, przeżyłem cale życie w tych górach. Mój najstarszy przyjaciel to Anselmo. Znam go lepiej niż Charlesa, niż Chuba, niż Guya, niż Mike'a, a przecież ich znam dobrze. Agustin ze swoją niewyparzoną gębą jest moim bratem, a nigdy nie miałem brata. Maria to moja prawdziwa miłość i żona. Nigdy nie miałem prawdziwej miłości. Nigdy nie miałem żony. Jest także moją siostrą, a nigdy nie miałem siostry, i córką, a już nigdy nie będę miał córki. Ciężko cni odejść od czegoś, co jest tak dobre.

Skończył wiązać trepy na sznurkowych podeszwach.

— Uważam, że życie jest bardzo ciekawe — powiedział do Marii.

Siedziała obok niego na śpiworze zaplótłszy dłonie na kolanach. Ktoś odchylił derkę wiszącą w wejściu do jaskini i oboje dojrzeli światło. Była jeszcze noc i nic nie zapowiadało brzasku, prócz tego, że kiedy spojrzał na niebo między sosnami, zauważył, jak nisko opuściły się gwiazdy. Świt robił się wcześnie w tym miesiącu.

— Roberto — powiedziała Maria.

— Co, *guapa*?

— W tym, co ma dziś być, będziemy razem, prawda?

— Jak już się zacznie.

— A na początku nie?

— Nie. Ty będziesz przy koniach.

— Nie mogę być z tobą?

— Nie. Mam taką robotę, którą mogę robić tylko sam, i niepokoiłbym się o ciebie.

— Ale przyjdziesz prędko, jak już skończysz?

— Bardzo prędko — powiedział i uśmiechnął się w ciemnościach. — Chodź, *guapa*, pójdziemy coś zjeść.

— A śpiwór?

— Zwiń go, jeżeli ci się podoba.

— Podoba mi się — odrzekła.

— Pomogę ci.

— Nie trzeba. Sama to zrobię.

Uklękła, żeby rozłożyć i zwinąć śpiwór, ale zastanowiwszy się chwilę wstała i najpierw strzepnęła go z trzaskiem. Potem uklękła znowu, wygładziła go i zwinęła. Robert Jordan podniósł oba plecaki i trzymając je ostrożnie, tak żeby nic nie wypadło przez przecięcia, poszedł między sosnami ku wejściu do jaskini, w którym wisiała przydymiona derka. Była za dziesięć trzecia na jego zegarku, kiedy odsunął łokciem derkę i wszedł do środka.

XXXVIII

W jaskini mężczyźni zebrali się przed ogniem, który rozdmuchiwała Maria. Pilar miała przygotowaną kawę w garnku. Nie położyła się już spać, odkąd zbudziła Roberta Jordana, a teraz siedziała na zydlu w zadymionej jaskini i zeszywała rozcięcie na plecaku. Drugi był już zeszyty. Ogień oświetlał jej twarz.

— Weź sobie jeszcze mięsa — powiedziała do Fernanda. — Co szkodzi, że będziesz miał pełny brzuch? I tak nie ma doktora, który by zrobił operację, jak ci go przedziurawią.

— Nie mówże tak, kobieto — rzekł Agustin. — Masz jęzor wielkiej kurwy.

Stał oparty o ręczny karabin maszynowy, którego nóżki były złożone na pokrytej wżerami lufie, kieszenie miał pełne granatów, przez jedno ramię przewieszony worek z magazynkami, przez drugie pas z amunicją. Palił papierosa, w ręce trzymał kubek kawy i podnosząc go do ust wydmuchiwał dym na jej powierzchnię.

— Z ciebie jest chodzący skład żelastwa — powiedziała do niego Pilar. — Nie ujdziesz i stu metrów z tym wszystkim.

— *Qué va*, kobieto — odparł Agustin. — Stąd idzie się przez cały czas w dół.

— Zanim się zacznie spadek, trzeba podejść pod górę do placówki — rzekł Fernando.

— Podejdę jak kozica — odparł Agustin. — A co z twoim bratem? — zapytał Eladia. — Zacny braciszek spieprzył, co?

Eladio stał pod ścianą.

— Zamknij twarz — powiedział.

Był zdenerwowany i czuł, że wszyscy to widzą. Zawsze był nerwowy i rozdrażniony przed akcją. Podszedł do stołu i zaczął napełniać sobie kieszenie granatami, wyjmując je z krytego surową skórą koszyka, który stał otwarty przy nodze stołu.

Robert Jordan też kucnął przy koszyku. Sięgnął do środka i wyjął cztery granaty. Trzy z nich były typu Mili, jajowate, żłobkowane, z ciężkiego żelaza, z łyżką przytrzymywaną przez zawleczkę z pierścieniem.

— Skąd je macie? — zapytał Eladia.

— Te? Te przyszły z Republiki. Przyniósł je stary.

— Jakie są?

— *Valen mas que pesan*[94] — odrzekł Eladio. — Każdy jest wart majątek.

— To ja je przyniosłem — odezwał się Anselmo. — Sześćdziesiąt sztuk w jednej paczce. Dziewięćdziesiąt funtów ważyły, Inglés.

— Używaliście ich? — zapytał Robert Jordan Pilar.

— *Qué va*, czyśmy używali — odrzekła kobieta. — To właśnie nimi Pablo rozwalił placówkę w Otero.

Kiedy wspomniała o Pablo, Agustin zaczął kląć. Robert Jordan zauważył w świetle ognia wyraz twarzy Pilar.

— Zostaw! — powiedziała do Agustina. — Nie ma o czym gadać.

— Czy zawsze wybuchały? — zapytał Robert Jordan trzymając w ręku szaro pomalowany granat i przesuwając paznokciem po wygięciu zawleczki.

— Zawsze — odrzekł Eladio. — Między tymi, których używaliśmy, nie było ani jednego niewypału.

— A jak prędko?

— Jak tylko doleciały tam, gdzie się je rzuciło. Prędko. Bardzo prędko.

— A te?

Wyjął granat w kształcie puszki od konserw, z pętlą drutu obwiązanego taśmą.

— To świństwo — odparł Eladio. — I owszem, wybuchają, ale tyle że błysną, a odłamków nic ma.

— Ale wybuchają zawsze!

— *Qué va*, zawsze! — wtrąciła Pilar. — Nie ma żadnego „zawsze" ani z ich amunicją, ani z naszą.

— Przecież mówiłaś, że tamte zawsze wybuchały.

— To nie ja — odparła Pilar. — Pytałeś kogoś innego, nie mnie. Jeszcze nie widziałam, żeby było jakieś „zawsze" w tych rzeczach.

— Wybuchają wszystkie — upierał się Eladio. — Gadajże prawdę, kobieto.

— A ty skąd wiesz? — spytała Pilar. — To Pablo je rzucał. Tyś nikogo nie zabił w Otero.

— Ten syn wielkiej kurwy... — zaczął Agustin.

[94] …(hiszp.) – więcej są warte niż ważą.

— Zostaw! — przerwała mu ostro Pilar. Potem mówiła dalej: — Wszystkie są mniej więcej takie same, Inglés. Ale te żłobkowane są prostsze.

Najlepiej użyję po jednym takim i takim do każdego ładunku — pomyślał Robert Jordan. — Ale te żłobkowane można łatwiej i lepiej zamocować.

— Będziecie rzucać granatami, Inglés? — zapytał Agustin.

— Czemu nie? — odpowiedział Robert Jordan. Ale siedząc tam w kucki i przebierając granaty myślał: To niemożliwe. Nie rozumiem, jak mogłem się łudzić. Wpadliśmy z tą chwilą, kiedy uderzyli na Sorda, tak samo jak Sordo wpadł, kiedy przestał sypać śnieg. Po prostu człowiek nie może się z tym pogodzić. Musi dalej tworzyć plan, o którym wie, że jest niemożliwy do wykonania. Obmyśliłeś go, a teraz wiesz, że jest do niczego. Teraz, gdy robi się dzień, widać, że to na nic. Tymi ludźmi, których masz, możesz doskonale wziąć jedną z placówek, ale obu nie weźmiesz. To znaczy, nie możesz mieć pewności. Nic oszukuj sam siebie. Zwłaszcza jak przyjdzie dzień.

Nic nie wyjdzie z próby wzięcia obu placówek. Pablo wiedział to od początku. Przypuszczam, że przez cały czas miał zamiar spieprzyć, ale kiedy zaatakowali Sorda, zrozumiał, że jesteśmy wykończeni. Nie można opierać jakiejś akcji na założeniu, że stanie się cud. Jeżeli nie będziesz miał więcej ludzi, zgubisz ich wszystkich i nawet nie wysadzisz tego swojego mostu. Zgubisz Pilar, Anselma, Agustina, Primitiva i spietranego Eladia, tego nygusa Cygana i poczciwca Fernanda, a mostu nie wysadzisz. Czy myślisz, że stanie się cud, Golz odbierze meldunek od Andrésa i wszystko zatrzyma? Bo jeżeli nie, wygubisz ich co do jednego przez ten rozkaz. I Marię też. Ją też zabijesz tym rozkazem. Czy nie można jakoś wyciągnąć choćby jej jednej? Boże, skaż tego przeklętego Pabla! — pomyślał.

Nie, nie wpadaj w złość. Złoszczenie się jest równie niedobre jak strach. Ale zamiast spać ze swoją dziewczyną, powinieneś był przez całą noc jeździć z Pilar po tych górach i starać się uzbierać ludzi, żeby to jakoś wyszło. Tak — myślał. — A niechby mi się coś stało, nie byłoby mnie tutaj, żeby wysadzić most. Tak. Właśnie. Dlatego nie pojechałeś. A nie mogłeś wysłać nikogo, bo nie wolno ci było ryzykować utraty jeszcze jednego człowieka. Musiałeś zatrzymać wszystkich, których masz, i obmyślić taki plan, żeby to zrobić nimi.

Ale ten twój plan jest do chrzanu. Do chrzanu, powiadam ci. To był plan nocny, a teraz już dnieje. Nocne plany są do niczego za dnia. Nocny sposób rozumowania jest nic nie wart w dzień. Więc teraz już wiesz, że to na nic.

Dobrze, ale czy Johnowi Mosby'emu nie udawały się rzeczy równie niemożliwe jak ta? Jasne, że tak. O wiele trudniejsze. Pamiętaj, że nie można nie doceniać czynnika zaskoczenia. Pamiętaj o tym. Pamiętaj, że to wcale nie głupie, jeżeli się uda. Ale nie tak powinieneś do tego podchodzić. Powinieneś mieć nie tylko prawdopodobieństwo, ale pewność. Patrz, co się porobiło! No cóż, to było złe od samego początku, a w takich razach klęska narasta jak kula śnieżna tocząca się po mokrym śniegu.

Siedząc w kucki obok stołu podniósł głowę i zobaczył Marię, która uśmiechała się do niego. Uśmiechnął się w odpowiedzi samą powierzchnią twarzy, wybrał cztery granaty i schował je do kieszeni. Mógłbym po prostu wykręcić spłonki i użyć je do tego. Ale nie przypuszczam, żeby rozprysk miał jakieś złe skutki. Granaty wybuchną w tej samej chwili, co ładunek, i nie rozrzucą go. Przynajmniej nie przypuszczam, żeby tak się stało. Na pewno nie. Miejże trochę ufności — powiedział do siebie. — Takeś w nocy rozmyślał, jacyście to nadzwyczajni obaj z dziadkiem, a jakim tchórzem był ojciec! Pokaż teraz, że masz odrobinę ufności w siebie.

Uśmiechnął się znowu do Marii, ale i ten uśmiech nie sięgnął głębiej niż naskórek napięty na kościach policzkowych i wokół ust.

Jej się zdaje, że jesteś nadzwyczajny — pomyślał. — A ja mam wrażenie, że śmierdzisz strachem. Ta cala gloria i tamte wszystkie bzdury! Miałeś wspaniałe pomysły, prawda? Urządziłeś sobie cały ten świat, co? Niech to diabli wezmą!

Tylko spokojnie — powiedział do siebie. — Nie wpadaj we wściekłość. To też jest jakieś wyjście. Zawsze jest jakieś wyjście. Musisz utrafić w sedno. Nie potrzeba zaprzeczać wszystkiemu, co było, tylko dlatego, że masz to stracić. Nie bądź niby jakiś cholerny wąż z przetrąconym grzbietem, gryzący sam siebie. Poza tym wcale nie masz przetrąconego grzbietu, psiakrew. Zaczekaj z lamentami, aż ci się coś stanie. A z gniewem zaczekaj, aż przyjdzie walka. W walce będziesz miał na to dość czasu. W walce to ci się przyda.

Pilar podeszła do niego z plecakiem.

— Teraz będzie się mocno trzymało — powiedziała. — A te granaty są bardzo dobre, Inglés. Możesz mieć do nich zaufanie.

— Jak się czujesz, kobieto?

Spojrzała na niego, kiwnęła głową i uśmiechnęła się. Zastanowił się, jak daleko w głąb jej twarzy sięga ten uśmiech. Wydawał się dosyć głęboki.

— Dobrze — odpowiedziała. — *Dentro de la gravedad*[95].

Przykucnęła obok niego i zapytała:

— A tobie jak się to wszystko wydaje teraz, kiedy już się naprawdę zaczyna?

— Że nas jest mało — odpowiedział jej szybko Robert Jordan.

— Ja też tak myślę — rzekła. — Bardzo mało.

Potem powiedziała zwracając się nadal tylko do niego:

— Maria może sama potrzymać konie. Ja nie jestem do tego potrzebna. Spętamy je. To są konie kawaleryjskie i strzałów się nie zlękną. Ja pójdę do dolnej placówki i zrobię to, co było obowiązkiem Pabla. W ten sposób będzie nas o jedno więcej.

— Dobrze — odrzekł. — Przypuszczałem, że będziesz chciała tak zrobić.

— No, Inglés — Pilar spojrzała na niego bacznie. — Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Pamiętaj, że tamci niczego się nie spodziewają.

— Tak — odparł Robert Jordan.

— I jeszcze jedno, Inglés — powiedziała Pilar tak cicho, jak na to pozwalał jej chrapliwy szept. — Jeżeli idzie o tamto z ręką...

— Co z ręką? — przerwał jej szorstko.

— Nie, posłuchaj. Nie złość się, mały. Mówię o tym, co było z twoją ręką. To tylko cygańskie bajdy, którymi chcę sobie dodać ważności. Nie ma nic takiego.

— Daj spokój — powiedział zimno.

— Nie — odparła szorstko, ale serdecznie. — To takie moje głupie bajdy. Nie chciałabym, żebyś się martwił w dzień bitwy.

— Nie martwię się — odrzekł Robert Jordan.

— I owszem, Inglés — powiedziała. — Martwisz się bardzo i nie bez racji. Ale wszystko będzie dobrze. Do tego się rodzimy.

— Nie potrzeba mi politycznego komisarza — rzekł Robert Jordan.

Uśmiechnęła się znowu do niego milo i szczerze swymi opierzchniętymi, szerokimi wargami i powiedziała:

— Lubię cię bardzo, Inglés.

---

[95] … (hiszp.) – w granicach grożącego niebezpieczeństwa.

— Tego teraz nie potrzebuję — odparł. — *Ni tu, ni Dios*.

— Tak, wiem — odrzekła swoim chrapliwym szeptem. — Chciałam ci tylko powiedzieć. I nie martw się. Zrobimy wszystko pierwszorzędnie.

— Czemu nie? — powiedział Robert Jordan i najcieńsza, wierzchnia warstwa naskórka jego twarzy uśmiechnęła się. — Oczywiście, że tak. Wszystko będzie dobrze.

— Kiedy ruszamy? — spytała Pilar.

Robert Jordan spojrzał na zegarek.

— Zaraz — odpowiedział.

Podał Anselmowi jeden z plecaków.

— Jak tam, stary? — zapytał.

Anselmo kończył strugać ostatni z całego stoiska klinów sporządzonych według wzoru, który mu dal Robert Jordan. Były to dodatkowe kliny, przygotowane na wszelki wypadek.

— A dobrze — odpowiedział i kiwnął głową. — Jak dotąd, bardzo dobrze. — Wyciągnął rękę. — Patrz — powiedział i uśmiechnął się. Ręka mu nie drżała.

— Bueno y qué? — zapytał Robert Jordan. — Ja zawsze mogę utrzymać rękę bez ruchu. Wysuń jeden palec.

Anselmo zrobił tak. —Palec mu drżał. Popatrzył na Roberta Jordana i potrząsnął głową.

— Mój to samo — pokazał mu Robert Jordan. — Zawsze. To normalne.

— A u mnie nie — odezwał się Fernando. Pokazał wyciągnięty palec wskazujący prawej ręki, a potem lewej.

— Możesz splunąć? — zapytał go Agustin i mrugnął do Roberta Jordana.

Fernando odcharknął i dumnie splunął na ziemię, po czym roztarł to nogą.

— Ty parszywy mule! — powiedziała do niego Pilar. — Pluj w ogień, jeżeli już musisz przechwalać się swoją odwagą.

— Nie splunąłbym na ziemię, Pilar, gdybyśmy nie opuszczali tego miejsca — odrzekł z godnością Fernando.

— Dzisiaj uważaj, gdzie plujesz — powiedziała Pilar. — Bo możesz splunąć w takie miejsce, z którego już się nie ruszysz.

— Ta baba kracze jak kruk — rzekł Agustin. Odczuwał nerwową potrzebę żartowania, która jest jeszcze jedną formą tego, co czuli wszyscy.

— Żartuję sobie — powiedziała Pilar.

— Ja też — odparł Agustin. — Ale *me cago en la leche*, że będę rad, jak to się już zacznie.

— Gdzie Cygan? — zapytał Robert Jordan Eladia.

— Przy koniach — odpowiedział Eladio. — Widać go z wejścia do jaskini.

— Jak on się trzyma?

Eladio wyszczerzył zęby.

— Ma okrutnego stracha — odparł. Uspokajało go mówienie o cudzym strachu.

— Słuchaj, Inglés... — zaczęła Pilar i urwała. Robert Jordan spojrzał na nią i zobaczył, że usta jej się rozchylają, a na twarzy pojawia się wyraz niedowierzania. Obrócił się szybko ku wejściu i chwycił za pistolet. Tam, przytrzymując uniesioną derkę jedną ręką, ze sterczącą nad ramieniem lufą krótkiego automatu, na którą nasadzony był tłumik ognia, stał Pablo, niski, barczysty, zarośnięty, a jego małe, zaczerwienione oczy patrzyły w przestrzeń.

— Ty... — powiedziała Pilar nie wierząc własnym oczom. — Ty?

— Ja — odrzekł spokojnie Pablo. Wszedł do jaskini.

— Halo, Inglés — powiedział. — Mam tu na górze pięciu z band Eliasza i Alejandra i konie.

— A zapalarka i detonatory? — zapytał Robert Jordan. — A reszta sprzętu?

— Wrzuciłem je do rzeki w wąwozie — powiedział Pablo wciąż patrząc w przestrzeń. — Ale obmyśliłem sposób odpalenia ładunku za pomocą granatu.

— Ja to samo — odparł Robert Jordan.

— Macie coś do picia? — zapytał Pablo znużonym głosem.

Robert Jordan podał mu butelkę, a Pablo pociągnął szybko kilka łyków i otarł usta wierzchem dłoni.

— Co się z tobą stało? — zapytała Pilar.

— *Nada* — odpowiedział, jeszcze raz ocierając, usta. — Nic. Wróciłem.

— Ale co to było?

— Nic. Miałem chwilę słabości. Odszedłem, ale już jestem z powrotem.

Obrócił się do Roberta Jordana.

— *En el fondo no soy cobarde* — powiedział. — W gruncie rzeczy nie jestem tchórzem.

Ale za to jesteś czym innym — pomyślał Robert Jordan. — Niech mnie cholera, jeżeli nie. Mimo to cieszę się, że cię widzę, ty sukinsynu.

— Udało mi się dostać tylko pięciu ludzi od Eliasza i Alejandra — mówił Pablo. — Nie zsiadłem z konia, odkąd stąd odjechałem. W dziewięciu nie dalibyście rady. Nigdy w życiu. Zrozumiałem to, kiedy Inglés tłumaczył wszystko wczoraj wieczorem. Nigdy w życiu. Na dolnej placówce jest siedmiu ludzi i kapral. Co by było, jakby podnieśli alarm albo zaczęli się bronić?

Popatrzał teraz na Roberta Jordana.

— Kiedym odjechał, myślałem, że zrozumiesz, jako to niemożliwe, i dasz spokój. Ale kiedy wyrzuciłem ten twój sprzęt, zwidziało mi się to inaczej.

— Cieszę się, że jesteś — rzekł Robert Jordan i podszedł do niego. — Damy sobie radę granatami. To się uda. Reszta już teraz nieważna.

— Nie — odparł Pablo. — Ja nic nie robię dla ciebie. Ty jesteś zły omen. To wszystko przyszło na nas przez ciebie. Na Sorda też. Ale kiedym wyrzucił ten twój sprzęt, poczułem się wielce samotny.

— Twoją matkę! — zaklęła Pilar.

— Wiecem pojechał po tamtych, żeby coś z tego wyszło. Przywiodłem najlepszych, jakich mogłem dostać. Zostawiłem ich na górze, żeby najpierw się z tobą rozmówić. Oni myślą, że to ja jestem przywódcą.

— I jesteś — rzekła Pilar. — Jeżeli chcesz.

Pablo popatrzał na nią w milczeniu. Potem rzekł prosto i spokojnie:

— Dużo rozmyślałem od czasu tego z Sordem. Widzi mi się, że jeśli już mamy skończyć, powinniśmy skończyć razem. Ale słuchaj, Inglés. Nienawidzę cię za to, żeś nam to przyniósł.

— Ależ Pablo — zaczął Fernando, który wycierał chlebem sos ze swojej miski, siedząc z kieszeniami pełnymi granatów i pasem z nabojami przewieszonym przez ramię. — Nie wierzysz, że operacja się powiedzie? Przedwczorajszego wieczora mówiłeś, że jesteś o tym przekonany.

— Daj mu jeszcze żarcia — powiedziała ze złością Pilar do Marii. Potem obróciła się do Pabla i oczy jej złagodniały. — Więc wróciłeś, co?

— Tak, kobieto — odrzekł Pablo.

— No, to jesteś mile widziany — powiedziała Pilar. — Nie wierzyłam, żebyś był taką szmatą, jaką się wydawałeś.

— Kiedy człowiek zrobi coś takiego, ogarnia go samotność, której nie można strzymać — odpowiedział spokojnie Pablo.

— Której nie można strzymać! — powtórzyła kpiąco. — Której ty nie możesz strzymać przez piętnaście minut.

— Nie wyśmiewaj się ze mnie, kobieto. Przecież wróciłem.

— I mile jesteś widziany — odparła. — Nie słyszałeś, com powiedziała przed chwilą? Wypij kawę i chodźmy. Ten cały teatr mnie nuży.

— Czy to jest kawa? — zapytał Pablo.

— A jakże — odpowiedział Fernando.

— Daj mi trochę, Maria — rzekł Pablo. — Jak twoje zdrowie?

— Nie patrzał na nią.

— Dobrze — odparła Maria i przyniosła mu kubek kawy. — Chcesz mięsa?

Pablo potrząsnął głową.

— *No me gusta estar solo* — tłumaczył dalej zwracając się do Pilar, jak gdyby innych nie było. — Nie lubię być sam. Sabes? Wczoraj, jakem przez cały dzień pracował w pojedynkę dla dobra wszystkich, nie czułem się sam. Ale za to wieczorem! *Hombre, que mai lo pase!*

— Twój poprzednik, słynny Judasz Iskariota, powiesił się — rzekła Pilar.

— Nie gadaj tak do mnie, kobieto — odparł Pablo. — Albo to nie widzisz? Przecie jestem. Nie gadaj o Judaszu ani o niczym takim. Wróciłem.

— Co to za ludzi przyprowadziłeś? — spytała Pilar. — Masz takich, których warto było ściągnąć?

— *Son buenos* — powiedział Pablo. Odważył się spojrzeć jej w oczy, a potem odwrócił wzrok. — *Buenos y bobos*. Dobrzy i głupi. Gotowi na śmierć i na wszystko. *A tu gusta*. Wedle twojego gustu. Tacy, jakich lubisz.

Spojrzał jej znowu w oczy i tym razem nie odwrócił wzroku. Patrzał na nią uporczywie swoimi małymi, zaczerwienionymi świńskimi oczkami.

— Ty! — powiedziała, a jej chrapliwy głos znów zabrzmiał czule. — Ty! Wydaje mi się, że jak człowiek raz coś ma, zawsze mu trochę z tego zostaje.

— *Listo* — rzekł Pablo wpatrując się w nią spokojnie i pewnie. — Jestem gotów na to, co dzień przyniesie.

— Zdaje mi się, żeś naprawdę wrócił — powiedziała Pilar. — Zdaje się, że tak. Ale dalekoś odjechał, *hombre*.

— Daj mi jeszcze łyk z tej swojej butelki — rzekł Pablo do Roberta Jordana. — A potem chodźmy.

XXXIX

W ciemnościach szli pod górę przez las, ku wąskiemu przesmykowi u szczytu. Wszyscy byli mocno obciążeni i posuwali się wolno. Konie też dźwigały juki przytroczone do siodeł.

— W razie potrzeby można odciąć te toboły — powiedziała przedtem Pilar. — Ale jeżeli uda nam się zachować to wszystko, będziemy mieli czym urządzić nowy obóz.

— A gdzie reszta amunicji? — zapytał Robert Jordan, kiedy wiązali juki.

— W tych sakwach u siodeł.

Robert Jordan idąc czuł ciężar plecaka, szyję obciągała mu kurtka, której kieszenie pełne były granatów, na udzie zwisał ciężko pistolet, a kieszenie spodni wydymały się od magazynków do pistoletu maszynowego. W ustach miał jeszcze smak kawy, w prawej ręce niósł pistolet maszynowy, a lewą podciągał kołnierz kurtki, żeby złagodzić ucisk pasów plecaka.

— Inglés — odezwał się w mroku idący przed nim Pablo.

— Co, człowieku?

— Ci, których przyprowadziłem, myślą, że to się uda dlatego, żem to ja ich przyprowadził — rzekł Pablo. — Nie mów nic takiego, co by im odebrało złudzenia.

— Dobrze — odparł Robert Jordan. — Ale zróbmy tak, żeby się naprawdę udało.

— Mają pięć koni, *sabes*? — powiedział niepewnie Pablo.

— W porządku — rzekł Robert Jordan. — Będziemy trzymać wszystkie razem.

— Dobrze — powiedział Pablo i nie odezwał się więcej. Nie myślałem, żebyś przeżył pełne nawrócenie na swojej drodze do Tarsu, ty stary Pablo' — pomyślał Robert Jordan. — Nie. Ale twój powrót to i tak cud. Nie sądzę, żeby kiedyś był problem z kanonizowaniem ciebie.

— Z tymi pięcioma załatwię dolną placówkę nie gorzej niż Sordo — powiedział Pablo. — Przetnę druty i wycofam się na most, tak jakeśmy się umówili.

Już to obgadaliśmy dziesięć minut temu — pomyślał Robert Jordan. — Ciekawe, dlaczego znowu...

— Jest możliwość dostania się do Gredos — mówił Pablo. — Naprawdę dużo o tym myślałem.

Zdaje się, że miałeś nowy przebłysk w ciągu ostatnich paru minut — pomyślał Robert Jordan. — Doznałeś nowego objawienia. Ale nie przekonasz mnie, że i ja mam wziąć w tym udział. Nie, Pablo. Nie żądaj ode mnie zbyt wielkiej wiary.

Odkąd Pablo wszedł do jaskini i powiedział, że ma pięciu ludzi, Robert Jordan coraz bardziej podnosił się na duchu. Zjawienie się Pabla przełamało tragiczny układ, który zdawała się przybierać cała operacja od chwili, kiedy zaczął padać śnieg. Od powrotu Pabla Robert Jordan miał uczucie, nie że szczęście się odmieniło, bo w szczęście nie wierzył, ale że cała sprawa wzięła lepszy obrót i teraz jest już możliwa. Zamiast pewności klęski czuł w sobie wzrastającą ufność, podobnie jak pompowana opona napełnia się powietrzem. Najpierw różnica była niewielka, chociaż początek wyraźny, tak jak wówczas, gdy się zaczyna pompować i dętka gumowa drgnie lekko, ale później wzbierało to coraz bardziej, niby przypływ lub soki rozchodzące się po drzewie, aż wreszcie wyczuł w sobie pierwsze oznaki owej negacji niepokoju, która często przemienia się w prawdziwą radość przed działaniem.

To był jego największy dar, talent, dzięki któremu nadawał się do wojny — ta umiejętność nie tyle lekceważenia możliwej klęski, co pogardzania nią. Tę cechę niweczyła zbyt wielka odpowiedzialność za innych albo konieczność wykonania czegoś, co było źle uplanowane czy pomyślane. Bo w takich razach nie można było nie brać pod uwagę złego wyniku, klęski. Nie chodziło tu o możliwość poniesienia osobistego szwanku, którą zlekceważyć można. Wiedział, że sam jest niczym i że śmierć jest niczym. Wiedział to naprawdę, tak jak mało co poza tym. Ale w ciągu kilku ostatnich dni zrozumiał, że on z kimś drugim może być wszystkim. Jednakże wewnętrznie czuł, że to jest właśnie wyjątek.

Tyle przynajmniej mieliśmy — myślał. — To było moje wielkie szczęście. Możliwe, że zostało mi dane dlatego, że o nie nigdy nie prosiłem. Tego ani mi nikt nie odbierze, ani ja sam nie zagubię. Ale już się skończyło dzisiejszego rana i teraz zostaje tylko nasze zadanie.

Ach, ty — mówił do siebie. — Cieszę się, że wróciło ci coś, czego przez pewien czas bardzo brakowało. Ale jeszcze niedawno źle z tobą było. Wstydziłem się ciebie przez chwilę. Tylko że sam byłem tobą. Nie istniało inne ja, żeby cię osądzić. Byliśmy w kiepskiej formie. Ty i ja, my obydwaj. Dajże spokój. Przestań myśleć jak schizofrenik. Wszystko po kolei. Teraz znów jesteś w porządku. Ale słuchaj: przez cały

dzień nie wolno ci myśleć o dziewczynie. Nie możesz już nic zrobić dla jej ochrony poza tym, żeby ją trzymać z daleka od tego, a tak właśnie robisz. Wszystko wskazuje, że koni będzie dosyć. Najlepsze, co możesz dla niej uczynić, to zakończyć robotę szybko i dobrze i wynieść się stąd. Myślenie o niej tylko utrudni ci sprawę, więc nie myśl o niej w ogóle.

Rozważywszy to dobrze, przystanął i zaczekał, aż nadeszła Maria razem z Pilar, Rafaelem i końmi.

— No, *guapa* — powiedział do niej w ciemnościach. — Jak tam?

— Dobrze, Roberto — odrzekła.

— Nie martw się o nic — powiedział i przełożywszy pistolet maszynowy do lewej ręki objął ją za ramię.

— Nie martwię się — odparła.

— Wszystko jest doskonale zorganizowane — powiedział. — Będziesz z Rafaelem przy koniach.

— Wolałabym być z tobą.

— Nie. Przy koniach będziesz najpotrzebniejsza.

— Dobrze — odparła. — Więc zostanę przy nich.

W tej chwili jeden z koni zarżał, a z otwartej przestrzeni za rozpadliną między skałami odpowiedział mu inny rżeniem, które przeszło w ostry, raptownie urwany kwik.

Robert Jordan dojrzał przed sobą w ciemnościach sylwetki nowych koni. Przyspieszył kroku i podszedł do nich razem z Pablem. Ludzie stali przy swoich wierzchowcach.

— *Salud* — powiedział Robert Jordan.

— *Salud* — odpowiedzieli mu z mroku. Nie widział ich twarzy.

— To jest ten Inglés, który idzie z nami — rzekł Pablo. — Ten dynamitard.

Nikt na to nie odpowiedział. Być może kiwnęli głowami w ciemnościach.

— Chodźmy już, Pablo — odezwał się jeden z mężczyzn. — Niedługo się rozwidni.

— Przyniosłeś więcej granatów? — zapytał drugi.

— Mnóstwo — odparł Pablo. — Nabierzecie sobie, jak zostawimy zwierzęta.

— To chodźmy — rzekł inny. — Czekaliśmy tu przez pół nocy.

— *Hola*, Pilar — odezwał się któryś, kiedy nadeszła.

— *Qué me maten*[96], jeżeli to nie Pepe! — powiedziała chrapliwie Pilar. — Jak się masz, pastuchu?

— Dobrze się mam — odrzekł tamten. — *Dentro de la gravedad*.

— Na czym jedziesz — spytała go Pilar.

— Na siwku Pabla — odparł. — To kawał konia.

— Jazda — odezwał się inny. — Ruszamy. Nie ma co wdawać się tu w gawędy.

— Jak się masz, Elicio! — powiedziała Pilar, kiedy wsiadał na konia.

— Jak mam się mieć? — odparł szorstko. — Chodź, kobieto, robota czeka.

Pablo dosiadł wielkiego kasztana.

— Teraz bądźcie cicho i jedźcie za mną — powiedział. — Poprowadzę was do miejsca, gdzie zostawimy konie.

[96] Qué me maten (hiszp.) - niech mnie zabiją.

XL

W ciągu owego czasu, który Robert Jordan przespał, potem poświęcił na obmyślanie zniszczenia mostu, a wreszcie spędził z Marią, Andrés niewiele posunął się naprzód. Zanim dotarł do linii republikańskich, szedł na przełaj, a potem przez linie faszystowskie tak szybko, jak może iść po ciemku chłop ze wsi, który jest w dobrej formie fizycznej i zna okolicę. Jednakże kiedy znalazł się za liniami republikańskimi, wszystko zaczęło postępować bardzo powoli.

Teoretycznie wystarczyło mu pokazać przepustkę wystawioną przez Roberta Jordana i ostemplowaną pieczątką SIM-u oraz meldunek z tym samym stemplem, aby go odesłano jak najśpieszniej do miejsca przeznaczenia. Jednakże zaraz na początku napotkał owego dowódcę kompanii z pierwszej linii, który do całej jego misji odniósł się z ponurą, sowią podejrzliwością.

Andrés poszedł za nim do komendy batalionu, którego dowódca, przed ruchem fryzjer, wpadł w entuzjazm wysłuchawszy relacji o jego zadaniu. Tenże oficer, nazwiskiem Gomez, sklął dowódcę kompanii za jego głupotę, poklepał Andrésa po plecach, dał mu szklaneczkę kiepskiego koniaku i oświadczył, że on sam, były fryzjer, zawsze marzył, żeby być *guerrillerem*. Następnie obudził adiutanta, przekazał mu komendę nad batalionem i posłał ordynansa, ażeby zbudził i przyprowadził jego motocyklistę. Zamiast jednak wyprawić z nim Andrésa na tyły, do dowództwa brygady, Gomez postanowił zawieźć go tam osobiście, żeby przyspieszyć sprawę. Andrés uchwycił się kurczowo przedniego siodełka i obaj, podskakując na wybojach zrytej pociskami górskiej drogi, popędzili z warkotem między dwoma szeregami wysokich drzew; w świetle reflektora widzieli pobielone u dołu pnie i miejsca, gdzie wapno i kora były posiekane i oddarte przez kule i odłamki podczas walk, które toczyły się wzdłuż tej drogi pierwszego lata ruchu. Skręcili do niewielkiej, zrujnowanej granatami górskiej miejscowości wypoczynkowej, gdzie było dowództwo brygady; Gomez zahamował motocykl niczym żużlowiec i oparł go o ścianę domu. Zaspany wartownik stanął na baczność, gdy Gomez mijając go wchodził do dużego pokoju, gdzie ściany zawieszone były mapami, a mocno senny oficer z zielonym celuloidowym daszkiem na czole siedział przy biurku, na którym stała lampa, dwa telefony i leżał numer «Mundo Obrero».

Oficer podniósł wzrok na Gomeza i zapytał:

— Co ty tu robisz? Nie słyszałeś, że istnieje taka rzecz jak telefon?

— Muszę zobaczyć się z podpułkownikiem — odparł Gomez.

— Teraz śpi — powiedział oficer. — Już na milę widziałem światła tego twojego bicykla. Chcesz ściągnąć na nas artylerię?

— Poproś podpułkownika — rzekł Gomez. — To jest sprawa najwyższej wagi.

— Mówię ci, że śpi — powtórzył oficer. — Co to za bandytę masz z sobą? — pokazał głową Andrésa.

— To jest *guerrillero* z tamtej strony frontu i niesie bardzo ważny meldunek do generała Golza, który ma poprowadzić o świcie natarcie za Navacerradą — powiedział Gomez z powagą i przejęciem. — Na miłość boską obudźże *teniente-coronela*[97].

Oficer popatrzył na niego klejącymi się oczami, które ocieniał zielony celuloid.

— Wyście wszyscy powariowali — rzekł. — Nic nie wiem o generale Golzu ani o żadnym natarciu. Zabieraj tego sportowca i wracaj do batalionu.

— Mówię ci, obudź *teniente-coronela* — powtórzył Gomez i Andrés zauważył, że usta mu się zaciskają.

— Odplugaw się — rzekł leniwie oficer i odwrócił głowę.

Gomez wyciągnął z kabury ciężkiego, dziewięciomilimetrowego Stara i przyłożył go do ramienia oficera.

— Obudź go, ty faszystowski draniu! — powiedział. — Obudź go, bo cię zastrzelę.

— Uspokój się — powiedział oficer. — Wy, fryzjerzy, jesteście strasznie pobudliwi.

Andrés zauważył w świetle lampy, że twarz Gomeza ściąga się z nienawiści. Gomez powiedział jednak tylko:

— Obudź go.

— Służbowy! — zawołał oficer wzgardliwym tonem. W drzwiach stanął żołnierz, który zasalutował i zniknął.

— Ma u siebie narzeczoną. Na pewno będzie zachwycony jak cię zobaczy — rzekł oficer i zabrał się do czytania gazety.

---

[97] teniente-coronel (hiszp.) — podpułkownik.

— To właśnie tacy jak ty utrudniają na każdym kroku wygranie tej wojny — powiedział Gomez do oficera sztabowego.

Ten nie zwracał na niego uwagi. A potem, czytając gazetę, mruknął jakby do siebie:

— Jakie to ciekawe pismo!

— Dlaczego nie czytasz «El Debate»? To jest pismo dla ciebie — powiedział Gomez wymieniając główny organ konserwatywno-katolicki, wydawany w Madrycie przed ruchem.

— Nie zapominaj, że jestem twoim przełożonym i że jak złożę na ciebie raport, to może mieć pewną wagę — odparł oficer nie podnosząc wzroku. — Nigdy nie czytywałem «El Debate». Nie wysuwaj fałszywych oskarżeń.

— Nie. Ty czytywałeś «ABC» — odrzekł Gomez. — Armia wciąż jeszcze gnije od takich jak ty. Od takich zawodowców. Ale nie będzie tak zawsze. Ugrzęźliśmy między nieukami a cynikami. Ale pierwszych wykształcimy, a drugich usuniemy.

— „Czystka", tego słowa ci trzeba — powiedział oficer wciąż nie podnosząc wzroku. — Tu piszą o nowej czystce u twoich wspaniałych Rosjan. W dzisiejszych czasach ci czyszczą lepiej niż sól gorzka.

— Obojętne, jak to się nazwie — odparł zaciekle Gomez. — Obojętne, jak się nazwie, byleby zlikwidować takich jak ty.

— „Zlikwidować" — powtórzył zuchwale oficer, jak gdyby do siebie. — To jeszcze jedno nowe słowo, które ma niewiele wspólnego z mową kastylijską.

— No, to wystrzelać — odparł Gomez. — To już po kastylijsku. To chyba rozumiesz?

— Tak, człowieku, ale nie podnoś głosu. Tu, w sztabie brygady, śpi jeszcze kilka osób poza podpułkownikiem, a twoje podniecenie mnie nudzi. Właśnie dlatego zawsze się sam goliłem. Bo nie lubiłem rozmów.

Gomez spojrzał na Andrésa i potrząsnął głową. Oczy błyszczały mu tym wilgotnym blaskiem, który rodzi się z pasji i nienawiści. Ale tylko potrząsnął głową i nie powiedział nic; wszystko, co czuł, odłożył sobie na później. Wiele się tego nazbierało przez okres półtora roku, w ciągu którego awansował do funkcji dowódcy batalionu w Sierra. Teraz, kiedy do pokoju wszedł podpułkownik w pidżamie, Gomez wyprężył się i zasalutował.

Podpułkownik Miranda, niski, wybladły mężczyzna, który przez całe życie służył w wojsku i utracił miłość pozostawionej w Madrycie żony, jednocześnie tracąc w Maroku sprawność żołądka — został republikaninem, kiedy przekonał się, że nie będzie mógł przeprowadzić rozwodu (o odzyskaniu sprawności żołądka w ogóle nie było mowy), i wojnę domową rozpoczął w stopniu podpułkownika. Miał tylko jedną ambicję: zakończyć ją w tej samej randze. Dobrze bronił Sierra i chciał, żeby go tu zostawili w spokoju, aby mógł nadal jej bronić w razie ataku. Na wojnie czuł się o wiele zdrowszy, prawdopodobnie dzięki przymusowemu ograniczeniu ilości dań mięsnych, posiadał olbrzymi zapas sody, wieczorem popijał whisky, jego dwudziestotrzyletnia kochanka była w ciąży jak niemal wszystkie dziewczyny, które w lipcu poprzedniego roku zaczęty służbę jako milidanas — a teraz wszedł do pokoju, kiwnął głową Gomezowi i wyciągnął do niego rękę.

— Co cię sprowadza, Gomez? — zapytał, a potem zwracając się do siedzącego za biurkiem oficera, który był szefem operacyjnym w jego sztabie: — Poproszę o papierosa, Pepe.

Gomez pokazał mu papiery i meldunek Andrésa. Podpułkownik rzucił okiem na *salvoconducto*, popatrzał na Andrésa, kiwnął głową i uśmiechnął się, po czym łakomie obejrzał meldunek. Pomacał pieczęć, nacisnął ją wskazującym palcem i zwrócił przepustkę i meldunek Andrésowi.

— Ciężko wam się żyje tam w górach? — zapytał.

— Nie, obywatelu pułkowniku — odparł Andrés.

— Powiedzieli ci, gdzie mniej więcej może być miejsce postoju generała Golza?

— Koło Navacerrady, obywatelu pułkowniku — odrzekł Andrés. — Inglés mówił, że to będzie gdzieś zaraz w prawo od Navacerrady, za linią frontu.

— Jaki Inglés? — zapytał spokojnie podpułkownik.

— Ten, co jest u nas jako dynamitard.

Podpułkownik kiwnął głową. Była to jeszcze jedna z nieoczekiwanych i niewytłumaczonych osobliwości tej wojny: „Inglés, który jest u nas jako dynamitard".

— Gomez, ty go lepiej zawieź tam na motorze — rzekł podpułkownik. — Wystaw im bardzo mocny *salvoconducto* do Estado Mayor generała Golza, a ja to podpiszę — zwrócił się do oficera z zielonym daszkiem celuloidowym. — Napisz to na maszynie, Pepe. Tutaj masz dane — skinął głową na Andrésa, żeby podał swoją przepustkę. — I przyłóż dwie pieczątki. — Obrócił się do Gomeza. — Dzisiaj będzie

wam trzeba czegoś mocnego. I słusznie. Ludzie powinni być ostrożni, kiedy szykuje się ofensywa. Dam wam najmocniejszą przepustkę, jaką tylko mogę. — Potem powiedział bardzo łagodnie do Andrésa: — Może coś chcesz? Napić się albo zjeść?

— Nie, obywatelu pułkowniku — odrzekł Andrés. — Nie jestem głodny. W tym dowództwie, gdzie teraz byłem, dali mi koniaku, a jakbym wypił więcej, zrobiłoby mi się niedobrze.

— Zauważyłeś jakieś ruchy czy przesunięcia naprzeciwko moich pozycji, kiedy przechodziłeś przez front? — zapytał uprzejmie podpułkownik Andrésa.

— Nie było nic niezwykłego. Spokój. Zupełny spokój.

— Czy ja ciebie nie widziałem ze trzy miesiące temu w Cercedilli? — zapytał podpułkownik.

— Tak jest, obywatelu pułkowniku.

— Tak mi się zdawało. — Podpułkownik poklepał go po ramieniu. — Byłeś tam z tym starym Anselmem. Co się z nim dzieje?

— Wszystko dobrze, obywatelu pułkowniku — odpowiedział Andrés.

— To w porządku. To się cieszę — rzekł podpułkownik. Oficer pokazał mu wystukaną na maszynie przepustkę, a podpułkownik przeczytał ją i podpisał. —Teraz musicie prędko jechać — obrócił się do Gomeza i Andrésa. — Ostrożnie z tym motorem — powiedział Gomezowi. — Jedź ze światłem. Nic się nie stanie od jednego motocykla, a musisz uważać. Pozdrów ode mnie towarzysza generała Golza. Poznaliśmy się po Peguerinos. — Uścisnął im obu dłonie. — Wsadź sobie papiery za koszulę — doradził. — Na motorze dmie mocno.

Kiedy obaj wyszli, podszedł do szafki, wyjął z niej butelkę i szklankę, nalał sobie trochę whisky i dodał zwyczajnej wody z glinianego dzbanka, który stał na podłodze pod ścianą. Potem trzymając szklankę i z wolna popijając whisky stanął przed wielką mapą zawieszoną na ścianie i zaczął studiować możliwości ofensywy w rejonie Navacerrady.

— Cieszę się, że to robi Golz, a nie ja — rzekł wreszcie do oficera siedzącego za biurkiem. Oficer nie odpowiedział, więc obejrzał się na niego i zobaczył, że śpi z głową złożoną na rękach. Podpułkownik zbliżył się do biurka i zsunął oba telefony tak, że dotknęły z obu stron głowy oficera. Następnie podszedł do szafki, nalał sobie jeszcze whisky, dodał wody i wrócił do mapy.

Andrés przytrzymał się mocno siodełka, na którym siedział okrakiem Gomez, pochylił głowę dla ochrony przed wiatrem, a motocykl strzelając głośno silnikiem pognał w rozszczepiony reflektorem mrok wiejskiej drogi, otwierający się przed nim obrzeżoną wysokimi, czarnymi sylwetkami topól smugą światła, która roztopiła się i zmętniała żółto, gdy droga zbiegła w dół, we mgłę wiszącą nad łożyskiem potoku, potem znów zaostrzyła się twardo, kiedy zaczęli wznosić się coraz wyżej, a przed sobą, na skrzyżowaniu, ujrzeli w świetle reflektora szare pudla pustych ciężarówek wracających od strony gór.

XLI

Pablo zatrzymał konia i w ciemnościach zeskoczył na ziemię. Robert Jordan usłyszał skrzypienie siodeł i ciężkie sapnięcia, kiedy wszyscy zsiadali, oraz brzęk ogłowia, gdy któryś koń targnął łbem. Czuł zapach koni, kwaśną woń nie mytych, nie rozbieranych na noc ciał ludzi, których przyprowadził Pablo, i przesiąknięty dymem, zatęchły od snu zapach tych, co nocowali w jaskini. Pablo stał blisko i Robert Jordan poczuł rozchodzącą się od niego metaliczną, zwietrzałą woń wina, podobną do smaku trzymanej w ustach miedzianej monety. Zapalił papierosa osłaniając ogieniek dłonią i usłyszał, że Pablo mówi bardzo cicho:

— Zdejmij worek z granatami, Pilar, a my przez ten czas spętamy konie.

— Agustin — szepnął Robert Jordan. — Ty i Anselmo pójdziecie teraz ze mną do mostu. Masz worek z magazynkami do *maquiny*?

— Mam — odrzekł Agustin. — Czemu nie?

Robert Jordan podszedł do Pilar, która razem z Primitivem rozjuczala jednego z koni.

— Posłuchaj, kobieto — rzekł cicho.

— Co tam znowu? — szepnęła ochryple odpinając sprzączkę pod brzuchem konia.

— Pamiętasz, że nie wolno atakować placówki, dopóki nie usłyszycie bomb?

— Ile razy będziesz mi to powtarzał, Inglés? — odparła Pilar. — Robi się z ciebie stara baba.

— Chciałem się tylko upewnić — rzekł Robert Jordan. — A po zniszczeniu placówki wycofujecie się na most i z góry kryjecie drogę i moje lewe skrzydło.

— Kiedy to pierwszy raz tłumaczyłeś, zrozumiałam tak dobrze, że lepiej już nie zrozumiem — szepnęła Filar. — Zajmij się swoją robotą.

— I żeby nikt się nie ruszył, nie strzelił ani nie rzucił granatem, dopóki nie zacznie się bombardowanie — dokończył cicho Robert Jordan.

— Nie molestujże mnie — szepnęła gniewnie Pilar. — Zrozumiałam to wszystko, jeszcze kiedyśmy byli u Sorda.

Robert Jordan podszedł do Pabla, który pętał konie.

— Spętałem tylko te, które są płochliwe — powiedział Pablo.

— Resztę powiązałem tak, że można je rozpuścić jednym pociągnięciem za linkę, o widzisz?

— W porządku.

— Powiem dziewczynie i Cyganowi, jak się z nimi obchodzić — rzekł Pablo. — Jego nowi ludzie stali razem na uboczu, oparci na karabinach.

— Zrozumiałeś wszystko? — zapytał Robert Jordan.

— Czemu nie? — odparł Pablo. — Zniszczyć placówkę. Przeciąć drut. Wycofać się na most. Kryć most, póki go nie wysadzisz.

— I nie wolno nic zacząć przed bombardowaniem.

— Tak jest.

— No, to wszystkiego dobrego.

Pablo odchrząknął. Potem powiedział:

— A ty nas będziesz dobrze krył *maquiną* i tą swoją małą *maquiną*, kiedy zaczniemy się wycofywać, Inglés?

— *De la primera* — odrzekł Robert Jordan. — Pierwszorzędnie.

— No, to już wszystko — powiedział Pablo. — Ale wtedy musisz bardzo uważać, Inglés. To wcale nie łatwe, jeżeli nie będziesz bardzo uważał.

— Sam będę strzelał z *maquiny* — odrzekł Robert Jordan.

— A masz doświadczenie? Bo nie uśmiecha mi się dostać kulę od tego Agustina nafaszerowanego dobrymi intencjami.

— Mam duże doświadczenie. Naprawdę. A jeżeli Agustin będzie przy jednej czy drugiej *maquinie*, dopilnuję, żeby strzelał nad wami. Dobrze nad wami.

— No, to już wszystko — rzekł Pablo. Potem dodał cicho, poufnie: — A koni jeszcze nam brak.

— Sukinsyn! — pomyślał Robert Jordan. — Czy mu się zdaje, że nie zrozumiałem za pierwszym razem?

— Ja pójdę pieszo — odparł. — Konie, to twoja sprawa.

— Nie; dla ciebie będzie koń, Inglés — szepnął Pablo. — Każdy z nas będzie miał konia.

— To już twoja rzecz — powiedział Robert Jordan. — Mnie nie licz. Masz dosyć amunicji do swojej nowej *maquiny*?

— Tak — odrzekł Pablo. — Wszystko, co miał przy sobie ten kawalerzysta. Wystrzeliłem tylko cztery sztuki na próbę. Wypróbowałem broń wczoraj w wysokich górach.

— Teraz pójdziemy — powiedział Robert Jordan. — Musimy tam być zawczasu i dobrze się ukryć.

— Idziemy wszyscy — rzekł Pablo. — *Suerte*[98], Inglés. Ciekawe, co ten drań knuje? — pomyślał Robert Jordan. — Ale zdaje mi się, że wiem. No cóż, to jego sprawa, nie moja. Bogu dzięki, nie znam tych nowych ludzi. Wyciągnął do niego rękę i powiedział:

— *Suerte*, Pablo.

Ich dłonie uścisnęły się w ciemnościach.

Robert Jordan wyciągając rękę spodziewał się, że to będzie jak dotknięcie gada czy trędowatego. Nie wiedział, jaka mu się wyda ręka Pabla. Ale Pablo chwycił w mroku jego dłoń i uścisnął ją szczerze, a on odwzajemnił mu uścisk. W ciemnościach ręka Pabla była przyjemna, i uczucie, jakiego doznał Robert Jordan, kiedy jej dotknął, było najdziwniejsze ze wszystkich tego rana.

Musimy teraz być sprzymierzeńcami — pomyślał. — Między sprzymierzeńcami jest zawsze mnóstwo ściskania się za ręce. Nie mówiąc już o odznaczeniach i całowaniu w oba policzki — myślał. — Cieszę się, że tego nie musimy robić. Przypuszczam, że wszyscy sprzymierzeńcy są tacy. Zawsze nienawidzą się wzajemnie *au fond*. Ale ten Pablo to dziwny człowiek.

— *Suerte*, Pablo — powtórzył i uścisnął mocno tę dziwną, twardą, stanowczą dłoń. — Będę cię dobrze osłaniał. Nie martw się o nic.

— Żałuję, żem zabrał twój sprzęt — powiedział Pablo. — To było nieporozumienie.

— No, ale wróciłeś z tym, czego nam było potrzeba.

— Nie mam ci za złe tego mostu, Inglés — rzekł Pablo. — Czuję, że wszystko dobrze się skończy.

— Co wy tu wyprawiacie? Robicie się *maricones*? — usłyszeli nagle głos Pilar. — Tylko tego ci brakowało — powiedziała do Pabla. — No, jazda, Inglés! Skończ z tymi pożegnaniami, zanim on ci zwędzi resztę twoich materiałów.

---

[98] Suerte (hiszp.) - szczęścia, powodzenia.

— Ty mnie nie rozumiesz, kobieto — odrzekł Pablo. — A my z Inglésem rozumiemy się dobrze.

— Nikt ciebie nie rozumie. Ani Pan Bóg, ani twoja własna matka — powiedziała Pilar. — Ja też nie. Chodź, Inglés. Pożegnaj się z ostrzyżoną główką i chodź już. *Me cago en tu podre*[99], że zaczynam się zastanawiać, czy aby nie obleciał cię strach przed bykiem.

— Twoją matkę! — odparł Robert Jordan.

— Sameś jej nigdy nie miał — szepnęła wesoło Pilar. — A teraz chodźmy, bo bardzo bym chciała już raz zacząć i mieć to za sobą. Idź ze swoimi ludźmi — obróciła się do Pabla. — Kto wie, jak długo wytrwają w tej srogiej stanowczości? Masz tutaj paru takich, na których bym ciebie nie zamieniła. Zabieraj ich i idź.

Robert Jordan założył plecak na ramiona i poszedł do koni, żeby odszukać Marię.

— Do widzenia, *guapa* — powiedział. — Niedługo się zobaczymy.

Wszystko wydawało mu się teraz nierealne, jak gdyby już przedtem to mówił albo jakby czekał na odejście pociągu — tak, właśnie jakby miał odjechać pociąg, a on stał na peronie dworca.

— Do widzenia, Roberto — odpowiedziała. — Uważaj na siebie.

— Oczywiście — rzekł. Pochylił się, żeby ją pocałować, i w tej chwili plecak zsunął mu się na kark, tak że Jordan uderzył mocno czołem Marię. Wtedy doznał wrażenia, że i to już się kiedyś zdarzyło.

— Nie płacz — powiedział czując się nieporadnie nie tylko z powodu ciężaru.

— Nie płaczę — odrzekła. — Ale wróć prędko.

— Nie denerwuj się, kiedy usłyszysz strzały. Na pewno będzie dużo strzelania.

— Dobrze. Tylko wróć prędko.

— Do widzenia *guapa* — powiedział z zakłopotaniem.

— *Salud*, Roberto.

Robert Jordan nie czuł się tak młody od czasu, kiedy wsiadł do pociągu w Red Lodge, aby pojechać do Billings i tam się przesiąść na inny pociąg, który miał zawieźć go po raz pierwszy do szkół. Bal się wtedy jechać i nie chciał, żeby ktoś to wyczul, i kiedy konduktor już miał zabrać skrzynkę, po której wchodziło się na schodki

[99] Me cago en tu podre (hiszp.) - przekleństwa.

wagonu, ojciec ucałował Roberta na pożegnanie i powiedział: „Niech Pan Bóg czuwa nad tobą i nade mną, kiedy będziemy z daleka od siebie". Ojciec był bardzo wierzący i powiedział to prosto i szczerze. Ale wąsy miał lekko zroszone, a oczy wilgotne ze wzruszenia i to wilgotnie religijne brzmienie modlitwy, i pożegnalny pocałunek wprawiły Roberta Jordana w takie zakłopotanie, że nagle poczuł się o wiele starszy od ojca i zrobiło mu go się nieznośnie żal.

Gdy pociąg ruszył, został na tylnej platformie i patrzał, jak stacja i wieża ciśnień malały coraz bardziej, a podkreślone podkładami szyny zbiegały się w jeden punkt, w którym pośród równego stukotu, co go zabierał daleko, widział maleńką już stację i wieżę.

Hamulcowy powiedział wtedy do niego: „Tata jakoś ciężko przeżył twój wyjazd. Bob".

„Tak" — odrzekł i przypatrywał się kępom bożydrzewu, które pomiędzy uciekającymi w tył słupami telegraficznymi biegły od toru aż do przepływającego obok, piaszczystego strumienia drogi. Wypatrywał wśród nich pardw.

„Nie smutno ci jechać do szkoły?"

„Nie" — odpowiedział wtedy, co było prawdą. Nie byłoby prawdą przedtem, ale stało się nią w tamtej chwili i dopiero teraz, przy tym rozstaniu poczuł się po raz pierwszy znowu tak młody jak wówczas, przed odejściem pociągu. Czuł się bardzo młody i bardzo nieporadny, i żegnał się niezgrabnie jak uczniak, który odprowadził pod ganek panienkę i nie wie, czy ją pocałować na do widzenia, czy nie. Nagle zrozumiał, że jego nieporadność wcale nie wynika z tego pożegnania. Budziło ją w nim spotkanie, na które szedł. Pożegnanie było tylko częściową przyczyną nieporadności, którą wywoływało tamto.

Znowu cię chwyta — powiedział do siebie. — Ale myślę, że nie ma człowieka, który by nie czuł, że jest na to za młody. Nie chciał tego nazwać po imieniu.

Chodź już — powiedział do siebie. — Chodź. Jeszcze za wcześnie na twoje drugie dzieciństwo.

Do widzenia, *guapa* — rzekł. — Do widzenia, króliczku.

— Do widzenia, mój Roberto — odpowiedziała, a on podszedł do Anselma i Agustina i rzekł:

— *Vámonos.*

Anselmo zarzucił na ramię ciężki plecak. Agustin mocno obładowany, odkąd wyszli z jaskini, stal oparty o drzewo, z lufą ręcznego karabinu maszynowego sterczącą nad workami.

— Dobra — powiedział. — *Vámonos*.

Wszyscy trzej ruszyli w dół po pochyłości.

— *Buena suerte*, don Roberto — odezwał się Fernando, kiedy go mijali idąc gęsiego między drzewami. Siedział w kucki nieco w bok od miejsca, przez które przechodzili, ale powiedział to z wielką godnością.

— *Buena suerte* dla ciebie, Fernando — rzekł Robert Jordan.

— I w tym, co teraz robisz — dorzucił Agustin.

— Dziękuję, don Roberto — powiedział Fernando, wcale nie stropiony słowami Agustina.

— Ten to dopiero cudak, Inglés — szepnął Agustin.

— Masz rację — odrzekł Robert Jordan. — Może ci pomóc? Jesteś obładowany jak koń.

— Nie szkodzi — powiedział Agustin. — Człowieku, alem rad, że już zaczynamy!

— Mów ciszej — rzekł Anselmo. — Od tej chwili mówcie mało i cicho.

Schodzili ostrożnie po pochyłości, Anselmo na przedzie, za nim Agustin, wreszcie Robert Jordan, który stąpał ostrożnie, żeby się nie pośliznąć; czuł pod sznurkowymi podeszwami zwiędłe igliwie sosnowe, potknął się o jakiś korzeń i wyciągnąwszy rękę przed siebie natrafił na zimny metal lufy erkaemu i jego złożony trójnóg. Zsuwał się bokiem po stoku, ślizgając się na podeszwach, którymi rył leśną ziemię; wyciągnął lewą rękę i dotknąwszy szorstkiej kory drzewa zatrzymał się, a kiedy wyczuł dłonią gładkie miejsce na pniu, cofnął ją lepką od żywicy wyciekającej z nacięcia. Opuszczali się tak coraz niżej po spadzistym, zadrzewionym zboczu, aż do tego miejsca ponad mostem, skąd Robert Jordan i Anselmo obserwowali pierwszego dnia.

W pewnej chwili Anselmo zatrzymał się przy sośnie, chwycił w ciemnościach Roberta Jordana za przegub ręki i szepnął tak cicho, że Jordan ledwie go dosłyszał:

— Patrz. Widać żar w jego koszyku.

Ujrzeli wątłe światełko w dole, gdzie jak Robert Jordan wiedział, most łączył się z szosą.

— Patrzyliśmy wtedy z tego miejsca — szepnął Anselmo.

Wziął Roberta Jordana za rękę i przygiął ją, aż dotknęła małego, świeżego nacięcia na korze u dołu pnia jednego z drzew. — Zrobiłem ten znak, kiedy przyglądałeś się mostowi. Na prawo stąd chciałeś ustawić *maquinę*.

— Ustawimy ją tam.

— Dobrze.

Złożyli plecaki pod drzewami i obaj podeszli za Anselmem do płaskiego miejsca, gdzie rosła kępa młodych sosenek.

— To tutaj — rzekł Anselmo. — Akuratnie tu.

— Jak się rozwidni — szepnął do Agustina Robert Jordan przykucnąwszy za młodymi drzewkami — zobaczysz stąd kawałek szosy i wejście na most. A także sam most i mały kawałek szosy po drugiej stronie, tam gdzie skręca za skały.

Agustin milczał.

— Będziesz tu leżał, kiedy my pójdziemy wysadzać most, i otworzysz ogień na wszystko, co się pokaże z góry czy z dołu.

— Gdzie jest to światełko? — spytał Agustin.

— Przy budce wartownika po tej stronie mostu — szepnął Robert Jordan.

— A kto załatwi wartowników?

— Stary i ja, jak ci już powiedziałem. Ale gdybyśmy tego nie zrobili, masz strzelać do budek i do wartowników, jeżeli ich zobaczysz.

— Dobrze. Toś mi już mówił.

— Po wybuchu, kiedy ludzie Pabla wybiegną zza zakrętu, strzelaj nad nimi, jeżeli ktoś będzie ich gonił. Jak się pokażą, musisz strzelać wysoko nad nimi, ale tamci w żadnym razie nie mogą przejść. Rozumiesz?

— Co nie mam rozumieć? Jużeś to mówił wczoraj wieczorem.

— Masz jakieś pytania?

— Nie. Tu są dwa worki. Mogę w nie nabrać ziemi tam wyżej, gdzie nie będzie widać, i znieść tutaj.

— Tylko żadnego kopania. Musisz tu być tak dobrze ukryty, jak my byliśmy na górze.

— Dobrze. Przyniosę w workach ziemię po ciemku. Zobaczysz. Ułożę je tak, że nic nie będzie widać.

— Jesteś tu bardzo blisko. *Sabes?* Za dnia wyraźnie widać z dołu tę kępę drzew.

— Nie martw się, Inglés. A ty gdzie będziesz?

— Ja zejdę trochę niżej z moją małą *maquiną*. Stary przejdzie teraz przez wąwóz, żeby się naszykować na drugą budkę. Ona stoi przodem w tamtą stronę.

— No, to już wszystko — powiedział Agustin. — *Salud*, Inglés. Masz tytoń?

— Nie można palić. Za blisko.

— Nie, tylko żeby potrzymać w ustach. Zapalę sobie później.

Robert Jordan podał mu papierośnicę, a Agustin wziął trzy papierosy i zatknął je za przednią klapę swojej płaskiej pasterskiej czapki. Rozstawił trójnóg broni między niskimi sosenkami i zaczął po omacku rozpakowywać tobół i układać na ziemi jego zawartość.

— *Nada mas* — powiedział. — To już nic więcej.

Anselmo i Robert Jordan zawrócili do miejsca, gdzie leżały plecaki.

— Gdzie je najlepiej zostawić? — zapytał szeptem Robert Jordan.

— Chyba tu. A pewien jesteś, że stąd sięgniesz swoją małą *maquiną* tego wartownika?

— Czy to jest dokładnie to samo miejsce, w którym byliśmy wtedy?

— To samo drzewo — odpowiedział Anselmo tak cicho, że Jordan ledwie go dosłyszał. Wiedział, że stary mówi nie poruszając wargami, tak jak pierwszego dnia. — Zrobiłem na nim znak nożem.

Robert Jordan znowu doznał wrażenia, że to wszystko już się kiedyś zdarzyło, ale tym razem przyczyną był fakt, że powtórzył pytanie i otrzymał od Anselma tę samą odpowiedź. Podobnie było z Agustinem, który zapytał o wartowników, choć z góry wiedział, co usłyszy.

— Tu jest dosyć blisko. Nawet za blisko — szepnął. — Ale będziemy mieli światło za sobą. To bardzo dobre miejsce.

— No, to teraz pójdę na drugą stronę wąwozu i zajmę stanowisko przy tamtym końcu mostu — rzekł Anselmo. A potem dodał: — Przepraszam cię, Inglés. Żeby nie było pomyłki. Bo może jestem ciemny.

— A co? — wyszeptał cicho.

— Tylko żebyś mi wszystko powtórzył, tak abym to zrobił dokładnie.

— Strzelisz, kiedy ja strzelę. Jak załatwisz swojego, przebiegniesz do mnie przez most. Ja tam już będę z plecakami i pomożesz mi zakładać ładunki, tak jak ci

wskażę. Wszystko ci powiem. Gdyby mi się coś stało, zrobisz to sam, tak jak ci pokazywałem. Nie spiesz się, zakładaj porządnie ładunki, klinuj je dobrze tymi drewnianymi klinami i uwiązuj mocno granaty.

— Wszystko jest dla mnie jasne — powiedział Anselmo. — Zapamiętałem wszystko. A teraz idę. Schowaj się dobrze, Inglés, jak zacznie świtać.

— Kiedy będziesz strzelał — mówił Robert Jordan — strzelaj spokojnie i pewnie. Nie myśl o tym, że to jest człowiek, tylko cel, *de acuerdo?* Nie strzelaj w całego człowieka, tylko w jakiś punkt. Celuj w sam środek brzucha, jeżeli tamten będzie przodem do ciebie. W środek pleców, jeżeli będzie tyłem. Posłuchaj, stary. Jeżeli ten twój będzie siedział, kiedy ja strzelę, to wstanie, zanim ucieknie czy gdzieś przypadnie. Strzel wtedy. Jeśliby dalej siedział, strzel też. Nie czekaj. Ale strzelaj na pewniaka. Podejdź na pięćdziesiąt metrów. Jesteś myśliwy. To dla ciebie nie nowina.

— Uczynię, jako mi rozkazujesz — powiedział Anselmo.

— Tak. Tak ci rozkazuję.

Dobrze, że sobie przypomniałem, że mam to podać jako rozkaz — pomyślał. — To mu ułatwia sprawę. To z niego częściowo zdejmuje klątwę. Mam nadzieję w każdym razie. Chociaż częściowo. Zapomniałem, co mi mówił pierwszego dnia o zabijaniu.

— Tak rozkazuję — powiedział. — Teraz idź.

— *Me voy* — rzekł Anselmo. — No, to tymczasem, Inglés.

— Tymczasem, stary — odparł Robert Jordan.

Przypomniał mu się ojciec na stacji i wilgotność tamtego pożegnania, więc nie powiedział *salud* ani „do widzenia", ani „wszystkiego dobrego", ani nic w tym rodzaju.

— Przetarłeś lufę, stary? — szepnął. — Żeby nie dawała rozrzutu?

— Jeszcze w jaskini — odparł Anselmo. — Przeczyściłem całą wyciorem.

— No, to tymczasem — powtórzył Robert Jordan, a stary odszedł cicho na swoich sznurkowych podeszwach, stawiając wielkie kroki między drzewami.

Robert Jordan położył się na leśnym igliwiu i słuchał, jak gałęziami sosen porusza lekko pierwszy powiew wiatru, który miał zerwać się o świcie. Wyjął magazynek z pistoletu maszynowego i odciągnął, a potem spuścił zamek. Następnie odwrócił broń z otwartym zamkiem, po ciemku przyłożył do ust wylot lufy i przedmuchał ją czując tłusty, oleisty smak metalu, gdy dotknął językiem otworu. Położył pistolet na przedramieniu, zamkiem do góry, tak aby igliwie lub pył nie

dostały się do środka, po czym dużym palcem powypychał z magazynka wszystkie naboje na rozłożoną chustkę. Następnie obmacując każdy z osobna i obracając go w palcach wcisnął je po kolei z powrotem do magazynka. Teraz magazynek znowu zaciążył mu w ręce; założył go na broń i wyczuł jak zaskoczył. Ułożył się na brzuchu za pniem sosny trzymając pistolet maszynowy na lewym przedramieniu i patrzał w punkcik światła na dole. Chwilami go nie widział i wtedy domyślał się, że wartownik musiał przechodząc zasłaniać żarzące się węgielki. Leżał tak i oczekiwał świtu.

XLII

Przez ten czas, kiedy Pablo powrócił z gór do jaskini, a potem wszyscy zeszli do miejsca, gdzie zostawili konie, Andrés zbliżał się szybko do kwatery Golza. Tam, gdzie wjechali na główną szosę do Navacerrady, którą wracały z gór ciężarówki, był punkt kontrolny. Jednakże kiedy Gomez dał żołnierzowi na punkcie przepustkę wystawioną przez podpułkownika Mirandę, ten skierował na nią światło latarki elektrycznej, pokazał koledze, a potem zwrócił i zasalutował.

— *Siga* — powiedział. — Jedźcie dalej. Ale bez światła.

Motocykl zawarczał znowu, Andrés uchwycił się przedniego siodełka i ruszyli drogą. Gomez ostrożnie wymijał samochody. Żadna z ciężarówek posuwających się w długiej kolumnie nie miała zapalonych reflektorów. Załadowane wozy jechały w drugą stronę, pod górę, a wszystkie wzbijały kurz, którego Andrés nie widział w ciemnościach, tylko czul jako tuman nawiewany w twarz i zgrzytający między zębami.

Jechali teraz tuż za tylną klapą jakiejś ciężarówki, motocykl terkotał, wreszcie Gomez dodał gazu, wyminął tę, potem następną, jeszcze jedną i jeszcze jedną, podczas gdy z lewej przetaczały się z łoskotem jadące w przeciwną stronę samochody. Za motocyklem zjawiło się jakieś auto i w warkot ciężarówek i kurz wdzierał się wciąż ryk jego klaksonu; potem błysnęło reflektorami, w których pył ukazał się jako gęsta, żółtawa chmura, i minęło ich wśród zgrzytu włączanych biegów i natrętnego, groźnego wrzasku klaksonu.

Potem natrafili na zator; wszystkie pojazdy były zatrzymane. Mijając sanitarki, wozy sztabowe, jeden samochód pancerny, po nim drugi i trzeci, stojące niby potężne, stalowe, najeżone lufami żółwie wśród pyłu, który jeszcze nie opadł, dojechali do drugiego punktu kontrolnego, gdzie przed chwilą nastąpiła kraksa. Któraś z ciężarówek zahamowała, a następna, nie zauważywszy tego, wjechała na nią i zdruzgotała jej cały tył wyrzucając na szosę skrzynki z amunicją do broni ręcznej. Jedna ze skrzynek roztrzaskała się przy upadku i kiedy Gomez z Andrésem przystanęli i zsiadłszy z motocykla prowadzili go naprzód między zatrzymanymi pojazdami, aby pokazać przepustkę na punkcie kontrolnym, Andrés stąpał po mosiężnych łuskach setek nabojów rozsypanych w pyle drogi. Druga ciężarówka miała wgniecioną chłodnicę. Stojąca za nią dotykała jej tylnej klapy. Ze sto następnych przystawało już

za nimi i jakiś oficer w grubych butach biegł do tyłu po drodze krzycząc do kierowców, żeby się cofnęli, aby można było ściągnąć z szosy rozbity wóz.

Jednakże samochodów nadjechało zbyt wiele, by mogły się cofnąć, chyba żeby oficer zdołał dotrzeć do końca ciągle rosnącej kolumny i nie dopuścić do jej dalszego powiększania. Andrés widział, jak potykając się biegł z latarką elektryczną w ręce, krzyczał i klął, a ciężarówki wciąż nadjeżdżały w ciemnościach.

Żołnierz na punkcie kontrolnym nie zwracał im przepustki. Było ich tam dwóch, z karabinami na plecach i latarkami w rękach, i obaj też krzyczeli. Ten, który trzymał przepustkę, podbiegł do ciężarówki jadącej w dół drugą stroną szosy i kazał kierowcy jechać do następnego punktu i powiedzieć tam, aby zatrzymali wszystkie samochody, dopóki nie usunie się zatoru. Kierowca wysłuchał go i ruszył dalej. Wtedy, ciągle z przepustką w ręku, żołnierz podszedł krzycząc do kierowcy tego wozu, którego ładunek wysypał się na drogę.

— Zostaw wszystko i jedź dalej, na miłość Boga, żebyśmy mogli to rozładować! — wrzasnął do niego.

— Mam rozwalony dyferencjał — odpowiedział kierowca pochylając się nad tyłem samochodu.

— Plugawię twój dyferencjał! Jedź dalej, powiadam.

— Jak dyferencjał jest rozbity, to wóz nie pójdzie — odparł kierowca i pochylił się znowu.

— To niech cię któryś pociągnie, byle dalej, żebyśmy mogli zepchnąć z drogi tamto drugie plugastwo.

Kierowca spojrzał spode łba na żołnierza, który oświetlił latarką rozwalony tył samochodu.

— Jazda dalej! Jazda! — krzyknął tamten, ciągle trzymając w ręce przepustkę.

— Dajcie mi papier — powiedział do niego Gomez. — Moją przepustkę. Nam się spieszy.

— Bierz do diabla swoją przepustkę — odparł żołnierz, oddał mu ją i przebiegł na drugą stronę szosy, żeby zatrzymać jadący w dół samochód.

— Zawróć na skrzyżowaniu i ustaw się tak, żeby ściągnąć z drogi ten gruchot — powiedział do kierowcy.

— Kiedy ja mam rozkaz...

— Plugawię twój rozkaz. Rób, co ci mówię.

Kierowca włączył bieg, wóz potoczył się prosto przed siebie i zniknął w kurzu.

Kiedy Gomez, minąwszy rozbitą ciężarówkę, ruszył prawą stroną szosy, wolną od tego miejsca, Andrés trzymając się znowu siodełka spostrzegł, że żołnierz z punktu kontrolnego zatrzymuje następny wóz i mówi coś do kierowcy wychylonego przez drzwiczki.

Pędzili teraz po drodze, która ciągle wznosiła się w kierunku gór. Cały ruch naprzód utknął przy punkcie kontrolnym i tylko z lewej mijały ich i mijały zjeżdżające w dół ciężarówki. Motocykl walił szybko i równo pod górę, aż wreszcie zaczęli doganiać tę część kolumny, która oderwała się od reszty po katastrofie przy punkcie kontrolnym.

Jadąc ciągle bez światła minęli cztery dalsze wozy pancerne, a potem długi rząd ciężarówek wyładowanych wojskiem. Żołnierze siedzieli milcząco w ciemnościach i Andrés z początku wyczuwał ich tylko nad sobą majaczących w pyle ponad bokami mijanych ciężarówek. Potem znowu nadjechał z tylu jakiś wóz sztabowy rycząc klaksonem i pobłyskując reflektorami, i za każdym razem, gdy zapalały się jego światła, Andrés widział żołnierzy w żelaznych hełmach, sterczące pionowo karabiny, broń maszynową wymierzoną w ciemne niebo, wszystko narysowane ostro na tle nocy, w którą zapadało się, gdy tylko zgasły reflektory. Raz, kiedy motocykl przejeżdżał tuż obok ciężarówki z wojskiem, a reflektory właśnie zabłysły, Andrés dojrzał w nagłym świetle nieruchome i smutne twarze żołnierzy. W stalowych hełmach, na samochodach wiozących ich poprzez noc ku czemuś, o czym wiedzieli jedynie, że będzie natarciem, mieli twarze ściągnięte w mroku od własnych trosk i światło ujawniało je takimi, jakimi nie byłyby za dnia, bo wstydziliby się pokazać je sobie wzajemnie, póki nie zaczęłoby się bombardowanie i atak, a każdy nie przestał myśleć o swojej twarzy.

Andrés mijając teraz szybko ciężarówkę za ciężarówką, gdyż Gomezowi wciąż udawało się trzymać przed jadącym za nimi wozem sztabowym, nie miał podobnych myśli o twarzach żołnierzy. Myślał jedynie: Co to za armia! Co za wyposażenie! Co za motoryzacja! *Vaya gente*. Patrz na tych ludzi. To jest armia Republiki. Spójrz: jedna ciężarówka za drugą. Wszyscy jednakowo umundurowani. Wszyscy w stalowych hełmach. Popatrz na te *maquiny* sterczące z wozów dla ochrony przed samolotami. Patrz, jaką armię stworzono!

I kiedy motocykl mijał wysokie, szare samochody ciężarowe, pełne żołnierzy, szare samochody o dużych kanciastych budkach kierowców i brzydkich, kwadra-

towych chłodnicach, jadące pod górę w pyle i błyskach świateł wozu sztabowego, który pędził z tyłu — kiedy te światła wydobywały z ciemności czerwoną gwiazdę armii na tylnych klapach i zakurzonych bokach ciężarówek — kiedy je mijali jadąc ciągle pod górę, w chłodniejszym już teraz powietrzu, drogą, która zaczęła wić się skrętami i zakosami, a ciężarówki zgrzytając pięły się z wysiłkiem coraz wyżej, niektóre zaś dymiły nawet w błyskach reflektorów — kiedy motocykl też z trudem parł naprzód, Andrés, trzymając się mocno przedniego siodełka, myślał, że ta jazda na motorze jest *mucho, mucho*. Nigdy jeszcze nie siedział na motocyklu i teraz, gdy jechali pod górę wśród tego całego ruchu zmierzającego do natarcia, wiedział już, że nie ma mowy, aby zdążył z powrotem na zaatakowanie placówek. Przy takim ruchu i zamieszaniu dobrze będzie, jeżeli wróci następnego wieczora. Nigdy dotąd nie widział ofensywy ani przygotowań do niej, i jadąc tak drogą dziwił się ogromowi i potędze armii, którą stworzyła Republika.

Jechali teraz po długim, wznoszącym się skośnie odcinku drogi, który piął się na zbocze góry, i w pobliżu szczytu zrobiło się tak stromo, że Gomez kazał mu zsiąść i razem wepchnęli motocykl na ostatnią pochyłość przełęczy. Po lewej, zaraz za szczytem zbocza, była pętla drogi, gdzie mogły zawracać samochody, i tam dojrzeli światła migocące przed dużym kamiennym budynkiem, którego podłużna masa rysowała się ciemno na tle nocnego nieba.

— Chodźmy spytać, gdzie jest dowództwo — powiedział Gomez do Andrésa i obaj podprowadzili motocykl do dwóch wartowników, którzy stali przed zamkniętymi drzwiami wielkiego kamiennego budynku. Gomez oparł motocykl o ścianę domu, a w tej chwili drzwi otworzyły się i w świetle, które padło z wnętrza, zobaczyli wychodzącego motocyklistę w skórzanym kombinezonie, z torbą meldunkową przewieszoną przez ramię i mauzerem w drewnianym futerale na biodrze. Gdy światło znikło, odnalazł po ciemku stojący obok wejścia motocykl, popchnął go parę kroków, póki silnik nie zawarczał, po czym wskoczył na siodełko i z łoskotem oddalił się drogą.

Gomez podszedł do jednego z wartowników stojących przy wejściu.

— Jestem kapitan Gomez z sześćdziesiątej piątej brygady — rzekł. — Możecie mi powiedzieć, gdzie jest miejsce postoju generała Golza dowodzącego trzydziestą piątą dywizją?

— To nie tutaj — odparł wartownik.

— A co tu jest?

— *Comandancia*.

— Jaka *comandancia?*

— Ano, *comandancia*.

— *Comandancia* czego?

— A coś ty za jeden, żeby tyle pytać? — powiedział w ciemnościach wartownik do Gomeza. Tutaj, na szczycie przełęczy, niebo było czyste, gwiazdy świeciły i Andrés wydostawszy się z tumanów kurzu, widział wszystko wyraźnie po ciemku. Poniżej, gdzie droga skręcała w prawo, dostrzegał sylwetki ciężarówek i aut przesuwające się na tle horyzontu.

— Jestem kapitan Rogelio Gomez z pierwszego batalionu sześćdziesiątej piątej brygady i pytam, gdzie jest miejsce postoju generała Golza.

Wartownik uchylił drzwi.

— Zawołajcie kaprala dowódcę warty! — krzyknął do środka.

W tej chwili zza zakrętu wyjechał duży wóz sztabowy i skierował się w stronę kamiennego budynku, przed którym Andrés i Gomez czekali na kaprala. Podjechał do nich i zatrzymał się przed wejściem.

Tylnymi drzwiczkami wysiadł masywny mężczyzna, stary i ociężały, w zbyt obszernym berecie barwy khaki, takim jakie noszą *chasseurs à pied*[100] w armii francuskiej, w płaszczu, z mapnikiem i z pistoletem u pasa. Za nim wysiedli dwaj inni, w mundurach Brygad Międzynarodowych.

Kazał szoferowi odprowadzić samochód sprzed wejścia i postawić go w bezpiecznym miejscu; mówił po francusku, którego to języka Andrés nie rozumiał, a Gomez, jako fryzjer, znał z niego ledwie parę słów.

Kiedy podszedł do drzwi razem z dwoma oficerami, Gomez dojrzał wyraźnie jego twarz w świetle i poznał go. Widywał tego człowieka na wiecach politycznych i nieraz czytywał w «Mundo Obrero» jego artykuły tłumaczone z francuskiego. Rozpoznał te krzaczaste brwi, wodniste, szare oczy i podwójny podbródek, i wiedział już, że ma przed sobą jednego z wielkich współczesnych rewolucjonistów francuskich, który kierował buntem francuskiej marynarki wojennej na Morzu Czarnym. Wiedział, jak wysoko postawiony jest w Brygadach Międzynarodowych, i pewien był, że musi znać miejsce postoju Golza i że go tam skieruje. Nie wiedział natomiast, co z tego człowieka uczyniły rozczarowania, czas, gorzkie przeżycia zarówno osobiste jak

[100] chasseurs à pied (hiszp.) - żołnierze piechoty.

polityczne i zawiedziona ambicja; nie wiedział też, że zadawanie mu pytań należy do najniebezpieczniejszych rzeczy, jakie można zrobić. Nie wiedząc nic o tym wszystkim zastąpił mu drogę, pozdrowił go zaciśniętą pięścią i powiedział:

— Towarzyszu Massard, wieziemy meldunek do generała Golza. Czy możecie wskazać nam drogę do jego kwatery? Sprawa jest pilna.

Wysoki, ciężki, stary mężczyzna wyciągnął szyję i uważnie przyjrzał się Gomezowi swoimi wodnistymi oczami. Nawet tutaj, na froncie, w świetle nagiej żarówki elektrycznej, bezpośrednio po jeździe otwartym samochodem wśród chłodnej nocy, jego szara twarz miała w sobie coś przegniłego. Wyglądała tak, jakby ją ulepiono z błota, które można znaleźć pod pazurami bardzo starego lwa.

— Co macie, towarzyszu? — zapytał Gomeza po hiszpańsku z silnym katalońskim akcentem. Jego oczy zerknęły ukosem na Andrésa, przesunęły się po nim i wróciły do Gomeza.

— Meldunek do generała Golza, który ma być doręczony w jego kwaterze, towarzyszu Massard.

— A skąd, towarzyszu?

— Zza linii faszystowskich — odpowiedział Gomez.

André Massard wyciągnął rękę po meldunek i resztę papierów. Rzucił na nie okiem i schował do kieszeni.

— Zaaresztować obu — rozkazał kapralowi. — Zrewidować i przyprowadzić do mnie, jak po nich przyślę.

Z meldunkiem w kieszeni wszedł do wnętrza wielkiego kamiennego domu.

W pokoju, gdzie była wartownia, żołnierze rewidowali Gomeza i Andrésa.

— Co mu się stało? — zapytał Gomez jednego z nich.

— *Está loco* — odrzekł wartownik. — To wariat.

— Nie. On jest wielką figurą polityczną — powiedział Gomez. — To przecież główny komisarz Brygad Międzynarodowych.

— *Apesar de eso, está loco* — rzekł kapral. — Mimo to jest wariatem. Co wy robicie za faszystowskimi liniami?

— Ten towarzysz jest partyzantem stamtąd — powiedział Gomez, podczas gdy kapral go obszukiwał. — Niesie meldunek do generała Golza. Nie zgubcie moich papierów. Uważajcie na pieniądze i tę kulę na sznurku. To pamiątka po mojej pierwszej ranie z Guadarramy.

— Nie martwcie się — odrzekł kapral. — Wszystko będzie w tej szufladzie. Dlaczegoście mnie nie zapytali, gdzie jest Golz?

— Chcieliśmy. Spytałem wartownika, a on was zawołał.

— Ale wtedy przyjechał ten wariat i zapytaliście jego. Nikt nie powinien o nic go pytać. On jest niespełna rozumu. A wasz Golz siedzi o trzy kilometry drogą stąd, na prawo między skałami w lesie.

— Nie możecie nas do niego puścić?

— Nie. Zapłaciłbym za to głową. Muszę was zaprowadzić do wariata. Poza tym on ma wasz meldunek.

— A moglibyście komuś o tym powiedzieć?

— Dobrze — odrzekł kapral. — Powiem pierwszemu odpowiedzialnemu człowiekowi, jakiego zobaczę. Wszyscy wiedzą, że to wariat.

— A ja go zawsze miałem za wielką figurę — rzekł Gomez. — Za chwałę Francji.

— Może sobie być chwałą i czym chcecie — powiedział kapral kładąc rękę na ramieniu Andrésa. — Ale jest zwariowany jak pluskwa. Ma manię rozstrzeliwania ludzi.

— Naprawdę?

— *Como lo oyes*[101] — odparł kapral. — Ten stary zabija więcej ludzi niż dżuma. *Mata más que la peste bubonica*. Ale nie zabija faszystów tak jak my. *Qué va*. Skąd! *Mata bichos raros*. Zabija samych specjalnych. Trockistów. Odszczepieńców. Wszelakie rzadkie bestie.

Andrés nic z tego nie rozumiał.

— Kiedyśmy byli w Escorialu, rozstrzelało się nie wiem ilu z jego rozkazu — mówił kapral. — Zawsze to z nas formują pluton egzekucyjny. Ludzie z Brygad nie chcą rozstrzeliwać swoich. Szczególnie Francuzi. Za każdym razem robimy to my, żeby uniknąć trudności. Rozstrzeliwaliśmy Francuzów. Rozstrzeliwaliśmy Belgów. I innych różnej narodowości. Wszelkiego rodzaju. *Tiene mania de fusilar gente*[102]. Zawsze za coś politycznego. To wariat. *Purifica mas que el salvarsan*. Wyczyszcza lepiej niż salvarsan.

— Ale powiecie komuś o tym meldunku?

---

[101] Como lo oyes (hiszp.) - tak jak słyszysz.
[102] … (hiszp.) — Cierpi na manię zabijania ludzi.

— Tak, człowieku. Na pewno. Znam wszystkich z tych dwóch brygad. Każdy tędy przejeżdża. Znam nawet wszystkich Rosjan, chociaż mało ich mówi po hiszpańsku. Nie damy temu wariatowi rozstrzeliwać Hiszpanów.

— Ale ten meldunek...

— O meldunku też powiem. Nie martwcie się, towarzyszu. Wiemy, jak dać sobie radę z tym wariatem. On jest niebezpieczny tylko dla swoich ludzi. Teraz już go znamy.

— Wprowadzić więźniów! — rozległ się glos Andre Massarda.

— *Quereis echar un trago?* — zapytał kapral. — Chcecie sobie coś łyknąć?

— Czemu nie?

Kapral wyjął z kredensu butelkę anyżówki i Gomez z Andrésem napili się trochę. Kapral też. Otarł ręką usta.

— *Vámonos* — powiedział.

Wyszli z wartowni czując, jak paląca anyżówka rozgrzewa im usta, żołądki i serca, i minąwszy sień weszli do pokoju, gdzie za długim stołem, nad rozłożoną mapą siedział Massard trzymając w ręku niebiesko-czerwony ołówek, którym zabawiał się w generała. Dla Andrésa był to tylko jeszcze jeden epizod. Dużo ich już było tego wieczora. Jak zawsze. Ale jeżeli miało się papiery w porządku i czyste sumienie, nic człowiekowi nie groziło. W końcu zawsze puszczali i szło się dalej. Tylko że Inglés kazał się spieszyć. Andrés wiedział już, że w żadnym razie nie zdąży na most, ale miał doręczyć meldunek, a ten stary, który siedział za stołem, schował go do kieszeni.

— Stańcie tam — powiedział Massard nie podnosząc wzroku.

— Słuchajcie, towarzyszu Massard — wybuchnął Gomez, którego gniew zaostrzyła jeszcze anyżówka. — Już raz dzisiejszego wieczora zatrzymała nas ciemnota anarchistów. Potem wałkońśtwo biurokratycznego faszysty. A teraz znów nadpodejrzliwość komunisty.

— Zamknijcie twarz — rzekł Massard nie podnosząc głowy. — Tu nie wiec.

— Towarzyszu Massard, to jest niezmiernie pilna sprawa — mówił Gomez. — Sprawa najwyższej wagi.

Stojący przy nich kapral i żołnierz przysłuchiwali się temu z żywym zaciekawieniem, jak gdyby byli na sztuce, którą oglądali już wiele razy, ale której najlepsze momenty zawsze umieli doceniać.

— Wszystko jest pilne — powiedział Massard. — Każda rzecz ma wielką wagę. — Spojrzał teraz na nich trzymając ołówek. — Skąd wiecie, że Golz tu jest? Rozumiecie, jaka to poważna sprawa przychodzić i pytać o danego generała przed natarciem? Skąd mogliście wiedzieć, że taki generał tu będzie?

— Powiedz mu ty — rzeki Gomez do Andrésa.

— Towarzyszu generale — zaczął Andrés, a Massard nie sprostował tej omyłki co do jego stopnia. — Dali mi ten meldunek po tamtej stronie linii...

— Po tamtej stronie linii? — przerwał Massard. — Tak, słyszałem, jak ten mówił, że przychodzisz od linii faszystowskich.

— Dał mi go, towarzyszu generale, jeden Inglés imieniem Robeno, który przyszedł do nas jako dynamitard robić most. Rozumiecie?

— Opowiadaj dalej tę swoją historię — powiedział Massard do Andrésa używając określenia „historia" tak, jakby mówił: kłamstwo, fałsz czy zmyślenie.

— Więc, towarzyszu generale, ten Inglés kazał mi to jak najprędzej zanieść do generała Golza. Bo ten generał robi dzisiaj natarcie w tych górach i my tylko prosimy, żebyśmy mogli mu to prędko doręczyć, jeżeli towarzysz generał pozwoli.

Massard pokiwał głową. Patrzał na Andrésa, ale go nie widział. Golz — myślał z tą mieszaniną zgrozy i rozradowania, jaką może odczuwać człowiek słysząc, że jego konkurent w interesach zginął w szczególnie okropnej katastrofie samochodowej albo że ktoś, kogo się nienawidziło nie wątpiąc jednak nigdy o jego uczciwości, popełnił defraudację. — Żeby i Golz do nich należał? Żeby Golz był w tak oczywistym kontakcie z faszystami! Ten Golz, którego znam od blisko dwudziestu lat. Golz, który tamtej zimy na Syberii zdobył z Lukacsem pociąg wiozący transport złota. Golz, który walczył przeciwko Kołczakowi i w Polsce. I na Kaukazie. I w Chinach, i tutaj od października. No, ale przecież on jednak był blisko z Tuchaczewskim. Z Woroszyłowem wprawdzie też, ale i z Tuchaczewskim. Z kim jeszcze? Tutaj oczywiście z Karkowem. I z Lukacsem. Ale wszyscy Węgrzy to intryganci. Nienawidzi Galla. Golz nienawidzi Galla. O tym trzeba pamiętać. To trzeba zapisać sobie w pamięci. Golz zawsze nienawidził Galla. Natomiast faworyzuje Putza. To także pamiętaj. A jego szefem sztabu jest Duval. Patrz, jak to się układa. Słyszałeś, jak mówił, że Ćopić to dureń. To zupełnie jasne. To fakt. A teraz ten meldunek z linii faszystowskich. Tylko przez odrąbanie takich zgniłych gałęzi drzewo może zachować zdrowie i rosnąć. Zgnilizna musi się ujawnić, bo trzeba ją zniszczyć. Ale żeby właśnie Golz! Żeby Golz był jednym

ze zdrajców! Wiedział, że nikomu nie można ufać. Nikomu. Nigdy. Nawet własnej żonie! Nawet rodzonemu bratu. Ani najstarszemu towarzyszowi. Nikomu. Nigdy.

— Wyprowadzić ich — rozkazał wartownikom. — I pilnować dobrze.

Kapral spojrzał na żołnierza. Jak na zwyczaje Massarda, odbyło się to bardzo spokojnie.

— Towarzyszu Massard — odezwał się Gomez. — Nie bądźcie szaleńcem. Posłuchajcie mnie, lojalnego oficera i towarzysza. Meldunek musi być doręczony. Ten towarzysz przeniósł go przez linie faszystowskie, żeby oddać generałowi Golzowi.

— Wyprowadźcie ich — powiedział Massard łagodnie do kaprala. Współczuł im jako ludziom, kiedy pomyślał, że może będzie trzeba ich zlikwidować. Ale przytłaczała go tragedia Golza. Żeby to musiał być właśnie Golz — myślał. Natychmiast zaniesie tę faszystowską korespondencję do Warłowa. Albo nie, lepiej sam ją odda Golzowi i przyjrzy się, jak on to przyjmie. Tak zrobi. Czyż może być pewny Warłowa, jeżeli Golz jest jednym z nich? Nie. Z tym trzeba bardzo ostrożnie.

Andrés obrócił się do Gomeza.

— Jak to? To on nie pośle meldunku? — zapytał z niedowierzaniem.

— Przecież słyszysz — odparł Gomez.

— *Me cago en sit puta madre!* — zawołał Andrés. — *Está loco!*

— Tak — rzekł Gomez. — To wariat! Wy jesteście wariat! Słyszycie? Wariat! — krzyknął do Massarda, który znowu pochylił się nad mapą trzymając w ręku czerwono-niebieski ołówek. — Słyszysz mnie, ty obłąkany morderco?

— Wyprowadzić ich — powiedział Massard do wartowników. — Rozum im się pomieszał od nadmiaru winy.

To były słowa, które kapral rozpoznał. Słyszał je już nieraz.

— Ty obłąkany morderco! — krzyknął Gomez.

— *Hijo de la gran puta!* — zawołał Andrés. — *Loco!*

Oburzyła go głupota tego człowieka. Jeżeli jest wariatem, niech go usuną jako wariata. Niech mu zabiorą z kieszeni meldunek. Boże, strąć tego obłąkańca do piekła! Zwykły Andrésowi pogodny spokój przemieniał się w ciężki hiszpański gniew. Jeszcze chwila a oślepi go.

Massard, zapatrzony w mapę pokiwał smutnie głową, kiedy wartownicy wyprowadzili Gomeza i Andrésa. Żołnierze z satysfakcją słuchali wymysłów, jakimi go

obrzucono, ale ogółem biorąc widowisko ich rozczarowało. Oglądali już znacznie lepsze.

André Massard nie miał za złe tym dwom, że go przeklinali. Już tylu przeklinało go przy końcu! Zawsze żałował ich szczerze jako ludzkich istot. Zawsze to sobie powtarzał i była to jedna z ostatnich prawdziwych, własnych myśli, jakie mu pozostały.

Siedział pochylony, tak że wąsy zwisały mu nad mapą, w którą wpatrzone były jego oczy — w tę mapę, której nigdy naprawdę nie rozumiał, w owe brunatne kontury, wykreślone delikatnie i koncentrycznie jak pajęczyna. Poznawał po zarysach wzniesienia doliny, ale w gruncie rzeczy nigdy nie rozumiał, dlaczego tu ma być właśnie to wzgórze, a tutaj ta dolina. Jednakże w sztabie generalnym, gdzie ze względu na instytucję komisarzy politycznych miał prawo interweniować jako polityczny zwierzchnik Brygad, nieraz kładł palec na tym czy innym punkcie, zaopatrzonym w numer i obwiedziony cienkimi, brunatnymi liniami pośród zieleni lasów poprzecinanych kreskami dróg równoległych do skrętów jakiejś rzeki, i mówił: „O, tu. Tu jest ich słabe miejsce".

Gall i Ćopić, wytrawni i ambitni politycy, przytakiwali mu, i później ludzie, którzy nigdy nie widzieli mapy, a tylko słyszeli numer wzgórza przed wyruszeniem z pozycji wyjściowych, i którym pokazano ziemię wyrzuconą na jego szczycie przy kopaniu rowów strzeleckich, pięli się po zboczu, aby tam znaleźć śmierć, albo też, zatrzymani ogniem karabinów maszynowych z gajów oliwnych, nie dochodzili do niego w ogóle. Na innych frontach znowu udawało im się dostać na szczyt z łatwością, ale nic przez to nie osiągali. Jednakże kiedy w sztabie Golza Massard przykładał palec do mapy, zaciskały się szczęki bladego generała o głowie poznaczonej bliznami i Golz myślał: „Powinienem zastrzelić cię, André Massard, nim dotkniesz mojej mapy tym szarym, zgniłym paluchem. Żeby cię piekło pochłonęło za tych wszystkich, których zabiłeś wtrącając się do spraw, o których nie masz pojęcia. Niech będzie przeklęty dzień, kiedy nazwali twoim imieniem fabryki traktorów, wsie i spółdzielnie, tak że się stałeś symbolem, którego nie mogę tknąć. Idź gdzie indziej podejrzewać, napominać, interweniować, oskarżać i masakrować, a mój sztab zostaw w spokoju".

Jednakże zamiast to powiedzieć, Golz tylko odsuwał się od pochylonego tułowia, wyciągniętego palca, szarych wodnistych oczu, siwawego wąsa i smrodliwego oddechu i mówił: „Tak, towarzyszu Massard. Rozumiem, o co wam idzie. Ale to nie jest właściwa ocena i nie mogę się zgodzić. Możecie spróbować to przeprowadzić

ponad moją głową. Proszę bardzo. Możecie z tego zrobić sprawę partyjną, jak mówicie. Ale ja się nie zgadzam".

Tak więc André Massard, w za dużym berecie ściągniętym na czoło, aby ocienić oczy, siedział teraz studiując mapę rozłożoną na nagim stole w świetle wiszącej nad nim żarówki bez klosza, zaglądał do powielonego rozkazu natarcia i powoli, starannie, żmudnie opracowywał go na mapie, jak młody oficer rozwiązujący zadanie w szkole sztabowej. Prowadził wojnę. W myśli komenderował wojskami; miał prawo interwencji i uważał, że to jest równoznaczne z dowodzeniem. Siedział więc tam mając w kieszeni meldunek Roberta Jordana do Golza, gdy tymczasem Gomez i Andrés czekali na wartowni, a Robert Jordan leżał w lesie nad mostem.

Wątpliwe jest, czy wynik misji Andrésa byłby odmienny, gdyby jemu i Gomezowi pozwolono jechać dalej bez przeszkód ze strony Massarda. Na froncie nie było nikogo, kto by miał dostateczną władzę, aby odwołać natarcie. Machina już za długo była w ruchu, aby ją dało się nagle zatrzymać. Wszelkie większe operacje wojskowe cechuje ogromna inercja. Natomiast kiedy ta inercja zostanie raz przezwyciężona, a wszystko wprawione w ruch, jest niemal równie trudno to zatrzymać, jak rozpocząć.

Jednakże tej nocy, kiedy stary mężczyzna w ściągniętym na czoło berecie siedział przy stole nad mapą, drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Karkow, dziennikarz radziecki, a za nim dwaj inni Rosjanie w cywilnych ubraniach, skórzanych kurtkach i czapkach. Kapral z warty niechętnie zamknął za nimi drzwi. Karkow był pierwszym odpowiedzialnym człowiekiem, z jakim zdołał się porozumieć.

— Towariszcz Massard — powiedział Karkow swoim uprzejmie wzgardliwym, sepleniącym głosem i uśmiechnął się ukazując zepsute zęby.

Massard wstał. Nie lubił Karkowa, ale Karkow, przysłany przez «Prawdę» i mający bezpośredni kontakt ze Stalinem, był w tej chwili jednym z trzech najważniejszych ludzi w Hiszpanii.

— Towariszcz Karkow — odpowiedział.

— Przygotowujecie natarcie? — spytał wyzywająco Karkow i wskazał głową mapę.

— Tylko je studiuję — odrzekł Massard.

— Czy to wy atakujecie czy Golz? — zapytał spokojnie Karkow.

— Ja jestem tylko komisarzem, jak wam wiadomo — odparł Massard.

— No nie — rzekł Karków. — Jesteście skromni. Wy w gruncie rzeczy generał. Macie mapę i lornetkę polową. Czy wy nie byliście kiedyś admirałem, towarzyszu Massard?

— Miałem stopień bombardiera — odpowiedział Massard. Było to kłamstwo. Za czasu buntu pełnił na okręcie funkcje podoficera gospodarczego. Ale teraz zawsze uważał, że służył jako bombardier.

— Ach tak? A ja myślałem, że byliście gospodarczym. Zawsze mi się plączą fakty. To właściwość dziennikarzy.

Pozostali Rosjanie nie brali udziału w rozmowie. Zerkali na mapę ponad ramieniem Massarda, robiąc od czasu do czasu jakieś uwagi w swoim języku. Massard i Karkow po pierwszym powitaniu mówili z sobą po francusku.

— W «Prawdzie» lepiej nie plątać faktów — rzeki Massard. Powiedział to szorstko, żeby odzyskać pewność siebie. Karkow stale go „nakłuwał"; francuskie określenie na to brzmi *dégonfler* i Massard spotykając się z Karkowem był zawsze niespokojny i miał się na baczności. Gdy Karkow mówił, trudno było pamiętać, jaka powaga otaczała jego, André Massarda, kiedy tu przybył z ramienia Komitetu Centralnego Francuskiej Partii Komunistycznej. Trudno było także pamiętać, że jest nietykalny. Karkow zawsze dotykał go z całą swobodą i kiedy chciał. Teraz powiedział:

— Zwykle sprawdzam fakty, zanim coś poślę do «Prawdy». W «Prawdzie» jestem ogromnie ścisły. Powiedzcie mi, towarzyszu Massard, czy nie słyszeliście o meldunku, który miał przyjść do Golza od jednej z naszych grup partyzanckich operujących w rejonie Segovii? Jest tam pewien amerykański towarzysz nazwiskiem Jordan, który powinien był przekazać nam wiadomości. Mamy informacje, że za faszystowskimi liniami toczyły się jakieś walki. Powinien był przysłać meldunek dla Golza.

— Amerykanin? — zapytał Massard. Andrés wspominał o jakimś Inglésie. A więc to tak. Więc się pomylił. Dlaczego ci durnie do niego zagadali?

— Tak — odrzekł Karkow patrząc na niego pogardliwie. — Młody Amerykanin o niewielkim wyrobieniu politycznym, ale mający doskonałe stosunki z Hiszpanami i piękne osiągnięcia partyzanckie. Może mi dacie ten meldunek, towarzyszu Massard. Już dosyć długo był przetrzymany.

— Jaki meldunek? — zapytał Massard. Było to bardzo głupie pytanie i zdawał sobie z tego sprawę. Ale nie mógł się zdobyć na to, aby tak szybko przyznać się do błędu, i chciał przynajmniej odwlec chwilę upokorzenia.

— Ten meldunek od młodego Jordana do Golza, który macie w kieszeni — powiedział Karkow przez zepsute zęby.

André Massard wsunął rękę do kieszeni i położył meldunek na stole. Popatrzał Karkowowi prosto w oczy. Dobrze. Pomylił się i teraz nie było już na to rady, ale nie godził się na upokorzenie.

— Jeszcze przepustkę — powiedział miękko Karkow.

Massard położył ją obok meldunku.

— Towarzyszu kapralu! — zawołał Karkow po hiszpańsku.

Kapral otworzył drzwi i wszedł. Rzucił okiem na Massarda, który popatrzył na niego jak stary odyniec osaczony przez ogary. Na twarzy Massarda nie było lęku ani upokorzenia. Był on tylko zły i tylko chwilowo osaczony. Wiedział, że te psy nigdy nie zdołają go utrzymać.

— Odnieście to tym dwom towarzyszom, co są na wartowni, i skierujcie ich do miejsca postoju generała Golza — powiedział Karkow. — Za bardzo się to opóźniło.

Kapral wyszedł; Massard odprowadził go wzrokiem, a potem spojrzał na Karkowa.

— Towariszcz Massard — rzekł Karkow. — Mam zamiar przekonać się, jak dalece jesteście nietykalni.

Massard patrzał na niego nie mówiąc nic.

— I tylko aby nie róbcie sobie żadnych projektów co do tego kaprala — mówił dalej Karkow. — To nie on. Zobaczyłem tych dwóch na wartowni i zwrócili się do mnie. — (Było to kłamstwo.) Mam nadzieję, że wszyscy będą się zawsze do mnie zwracali. — To była prawda, aczkolwiek zwrócił się do niego kapral. Jednakże Karkow wierzył w dobroczynne skutki własnej dostępności i w humanistyczność życzliwej interwencji. Była to jedyna rzecz, do której nie odnosił się cynicznie.

— Wiecie, że kiedy jestem w Związku Radzieckim, ludzie piszą do mnie, do «Prawdy», jak tylko zdarzy się jakaś niesprawiedliwość w którymś z miast Azerbejdżanu. Słyszeliście o tym? Mówią: „Karkow nam pomoże".

André Massard przypatrywał mu się, a na jego twarzy nie było żadnego wyrazu prócz złości i antypatii. Miał w tej chwili tylko jedną myśl: że Karkow zrobił coś przeciwko niemu. No, dobrze, niech się wystrzega razem z całą swoją władzą.

— Tutaj jest co innego — ciągnął Karkow — ale zasada ta sama. Przekonam się, jak dalece jesteście nietykalni, towarzyszu Massard. Muszę się dowiedzieć, czy nie można by zmienić nazwy tej fabryki traktorów.

André Massard odwrócił wzrok i spojrzał na mapę.

— Co pisał ten młody Jordan? — zapytał go Karkow.

— Nie czytałem — odrzekł André Massard, — *Et maintenant fiche-moi la paix*[103], towarzyszu Karkow.

— Dobrze — powiedział Karkow. — Nie będę was dłużej odrywał od waszych zajęć wojskowych.

Wyszedł z pokoju i udał się na wartownię. Andrésa i Gomeza już nie było; Karkow stał tam chwilę i patrzał na drogę i na szczyt gór, kiedy rysowały się w pierwszej szarości brzasku. Trzeba tam jechać — pomyślał. — Teraz niedługo się zacznie.

Andrés i Gomez znowu pędzili drogą na motocyklu. Już dniało; Andrés trzymał się przedniego siodełka, wjeżdżali coraz wyżej, zakos po zakosie, w delikatnej, szarej mgle, która wisiała nad szczytem przełęczy. Czuł pod sobą rwącą naprzód maszynę, a potem motocykl nagle zarzucił i zahamował, i obaj już stali obok niego na drodze opadającej po długiej pochyłości i wśród drzew po lewej widzieli czołgi zamaskowane sosnowymi gałęziami. W całym lesie było pełno wojska. Andrés zauważył żołnierzy niosących na ramionach długie drążki noszy. Trzy wozy sztabowe zamaskowane z boków i z wierzchu gałęziami, stały pod drzewami na prawo od drogi.

Gomez podprowadził motocykl do jednego z nich. Postawił go pod sosną i powiedział coś do kierowcy, który siedział obok samochodu, oparty plecami o drzewo.

— Zaprowadzę was do niego — odrzekł kierowca. — Schowajcie gdzieś swój motor i przykryjcie go tym — pokazał stos naścinanych gałęzi.

W chwili gdy słońce zaczęło przeświecać między koronami sosen, Gomez i Andrés prowadzeni przez kierowcę, który na imię miał Vicente, przeszli na drugą stronę drogi i dotarli do znajdującego się wyżej włazu ziemianki, od której biegły kable po zadrzewionym stoku. Zatrzymali się na zewnątrz i gdy kierowca wszedł do

[103] Et maintenant fiche-moi la paix (fr.) - a teraz daj mi święty spokój.

środka, Andrés z podziwem przyjrzał się konstrukcji ziemianki, od której biegły kable po zadrzewionym stoku, bez śladu wykopanej ziemi; mimo to zauważył z wejścia, że była zarówno głęboka jak wysoka i ludzie poruszali się w niej swobodnie nie musząc schylać głów pod masywnym sklepieniem z klocków drzewnych.

Kierowca Vicente wyszedł z ziemianki.

— Generał jest wyżej, gdzie rozwijają się do natarcia — powiedział. — Oddałem to jego szefowi sztabu. Podpisał mi tutaj odbiór.

Wręczył Gomezowi kopertę z pokwitowaniem. Gomez dał ją Andrésowi, który obejrzał kopertę i schował ją za koszulę.

— Jak się nazywa ten, co podpisał? — zapytał.

— Duval — odrzekł Vicente.

— W porządku — powiedział Andrés. — To jeden z trzech, którym wolno mi było to oddać.

— Zaczekamy na odpowiedź? — zapytał Andrésa Gomez.

— Tak będzie lepiej. Tylko że Pan Bóg wie, gdzie ja znajdę Inglésa i resztę po tym moście.

— Chodźcie zaczekać ze mną, aż generał wróci — powiedział Vicente. — Dam wam kawy. Musicie być głodni.

— Co to są te czołgi? — zapytał Gomez.

Mijali przykryte gałęziami czołgi koloru błota; przy każdym widać było podwójne ślady gąsienic głęboko odciśnięte w sosnowym igliwiu, tam gdzie czołgi skręciły tyłem z drogi. Lufy ich czterdziestopięciomilimetrowych działek sterczały poziomo pod gałęziami, a kierowcy i strzelcy w skórzanych kurtkach i watowanych hełmach siedzieli oparci o drzewa albo spali wyciągnięci na ziemi.

— To są odwody — powiedział Vicente. — Tak samo całe to wojsko. Ci, co zaczynają natarcie, są wyżej.

— Dużo tego jest — rzekł Andrés.

— Tak — odparł Vicente. — Pełna dywizja. W ziemiance Duval trzymał w lewej ręce otwarty meldunek Roberta Jordana i spoglądając na zegarek, który miał na przegubie tej samej ręki, odczytywał meldunek po raz czwarty, za każdym razem czując, jak pot spływa mu spod pach wzdłuż boków, i mówił w telefon:

— To dajcie mi pozycję Segovia. Już go nie ma? Dajcie pozycję Avila.

Nie odkładał słuchawki. Nadaremnie. Rozmawiał już z obiema brygadami. Golz przeprowadził inspekcję zgrupowania do natarcia i był w drodze na punkt obserwacyjny. Duval połączył się z punktem, ale Golza nie było.

— Dajcie mi lotnisko polowe numer jeden — powiedział Duval, nagle biorąc na siebie całą sprawę. Zatrzyma to na własną odpowiedzialność. Lepiej zatrzymać. Nie można posyłać ludzi do natarcia mającego być zaskoczeniem, jeżeli nieprzyjaciel na nie czeka. Nie można. To zwykłe morderstwo. Nie można. Nie wolno. Bez względu na to, co się stanie. Mogą go potem rozstrzelać, jeżeli zechcą. Połączy się bezpośrednio z lotniskiem i każe odwołać bombardowanie. A jeżeli to jest tylko natarcie wiążące? A jeżeli mamy tutaj ściągnąć ten cały ich sprzęt i oddziały? Jeżeli taki jest cel? Przecież nigdy nie mówią z góry, że ma się robić natarcie wiążące.

— Skreślić połączenie z lotniskiem numer jeden — powiedział telefoniście. — Dajcie mi punkt obserwacyjny sześćdziesiątej dziewiątej brygady.

Wciąż jeszcze usiłował tam się dodzwonić, kiedy usłyszał pierwszy pomruk samolotów.

W tej samej chwili uzyskał połączenie z punktem obserwacyjnym.

— Słucham — odezwał się spokojnie Golz.

Siedział oparty o worki z piaskiem, u dolnej wargi zwisał mu papieros, nogę trzymał na kamieniu i rozmawiając oglądał się w górę przez ramię. Patrzał, jak rozwinięte kliny trójek, srebrzyste i huczące na niebie, nadlatywały zza dalekiego garbu góry, nad którym zabłysło pierwsze słońce. Patrzał, jak leciały, połyskliwe i piękne w słońcu. Widział w jego promieniach bliźniacze, świetliste kręgi śmigieł.

— Tak — powiedział w telefon po francusku, ponieważ rozmawiał z Duvalem. — *Nous sommes foutus. Oui. Comme toujours. Oui. C'est dommage. Oui*[104]. Szkoda, że to przyszło za późno.

Jego oczy, które śledziły nadlatujące samoloty, były pełne dumy. Widział już czerwone znaki na skrzydłach i patrzał, jak maszyny leciały równo, majestatycznie, z hukiem motorów. Tak to mogło być. To są nasze samoloty. Przyszły rozmontowane, w okratowaniach, na statkach, z Morza Czarnego przez Cieśninę Marmara, Dardanele, Morze Śródziemne aż tutaj, rozładowano je pieczołowicie w Alicante, zmontowano wytrawnie, wypróbowano i stwierdzono, że są znakomite, a teraz lecą z piękną, tętniącą precyzją, w równych, czystych kluczach, wysokie i srebrne w porannym

[104] … (fr.) — Przerżnęliśmy. Tak. Jak zawsze. Szkoda. Tak.

słońcu, ażeby zmiażdżyć tamte wzgórza., wywalić je z hukiem w powietrze i pozwolić nam przejść.

Golz wiedział, że kiedy przelecą nad nim, po chwili spadną bomby wyglądające w powietrzu jak delfiny. A potem szczyty wzgórz wytrysną z rykiem słupami dymu i znikną w jednej olbrzymiej, przetaczającej się chmurze. Następnie zachrzęszczą po tych dwóch zboczach czołgi, a potem pójdą jego obie brygady. I gdyby udało się zaskoczenie, mogliby iść dalej i w dół, i w górę, i naprzód, przystawać, oczyszczać teren, mieć pełne ręce roboty, mądrej roboty, i pomagałyby im czołgi, zakręcałyby i zawracały, kładły osłaniający ogień, a inne podwoziłyby nacierających i parłyby dalej, w górę, i przebijały się coraz głębiej. Tak mogłoby być, gdyby nie zdrada i gdyby każdy robił, co do niego należy.

Przed sobą miał dwa wzniesienia i czołgi, które już wysunęły się naprzód, w lesie czekały gotowe jego dwie doskonałe brygady, a teraz nadlatywały samoloty. Wszystko, co miał do zrobienia, zostało zrobione jak należy.

Jednakże kiedy patrzał na samoloty, które teraz były prawie wprost nad nim, poczuł ucisk w dołku, bo wysłuchawszy przez telefon meldunku Jordana wiedział już, że na tych wzgórzach nie będzie nikogo. Tamci wycofali się zapewne nieco dalej, do wąskich okopów dla ochrony przed odłamkami albo ukryli się w lesie i po przejściu bombowców wrócą ze swoimi karabinami maszynowymi, z bronią automatyczną i z działkami przeciwpancernymi, które według słów Jordana przejechały szosą, i znowu będzie jeszcze jedno wielkie gówno. Ale samoloty, które leciały nad nim z ogłuszającym rykiem, były tym, co mogło być, i Golz przypatrując się im powiedział do telefonu:

— Nie. *Rien á faire. Rien. Faut pas penser. Faut accepter*[105]. Golz patrzał na samoloty swymi twardymi, dumnymi oczami, które wiedziały, jak mogło być, a jak będzie w rzeczywistości, i powiedział, pełen dumy z tego, co mogło być, i wiary w to, co może być, choćby nawet nigdy się nie stało:

— *Bon. Nous ferons notre petit possible*[106] — i odłożył słuchawkę.

Ale Duval go nie usłyszał. Siedząc przy stoliku, ze słuchawką przy uchu, słyszał jedynie huk samolotów i myślał: Teraz. Może tym razem; słuchaj, jak nadlatują, może te bombowce rozniosą ich, może się przebijemy, może dostanie te odwody, których żądał, może to jest właśnie to, może to teraz. Dalej. No, dalej. Dalej!

---

[105] …(fr.) — Nic się nie da zrobić. Nic. Nie trzeba [o tym] myśleć. Trzeba [to] przyjąć.
[106] … (fr.) — Dobrze. Zrobimy ile się da.

Huk motorów był taki, że nie mógł dosłyszeć własnych myśli.

XLIII

Robert Jordan leżał za pniem sosny na zboczu wzgórza nad szosą i mostem i patrzał, jak dnieje. Zawsze lubił tę godzinę i teraz czuł w sobie jej szarość, jak gdyby był cząstką owego powolnego świtania, poprzedzającego wschód słońca, kiedy to przedmioty ciemnieją, przestrzeń się rozjaśnia, a światła, które w nocy błyszczały, żółkną i blakną, w miarę jak robi się dzień. Poniżej rysowały się teraz twardo, wyraźnie pnie sosen, masywne i brunatne, a nad lśniącą nawierzchnią drogi unosiło się pasmo mgły.

Przemókł od rosy; leśna ziemia była miękka i pod łokciami czuł uginające się, bure, opadłe igliwie. Poprzez lekki opar, który wstawał z łożyska potoku, widział w dole stal mostu rozciągniętego sztywno nad wąwozem i dwie drewniane budki wartownicze przy jego końcach. Kiedy tak patrzał, konstrukcja mostu wydawała mu się pajęcza i delikatna we mgle, która zawisła nad potokiem.

W budce dojrzał teraz stojącego wartownika, owiniętego w koc, który mu opadał na plecy; zobaczył stalowy hełm, gdy żołnierz, pochyliwszy się nad dziurkowaną blaszanką od benzyny, grzał sobie ręce przy płonących w niej węgielkach. Robert Jordan słyszał daleko w dole szum potoku między skałami i widział wątłą, cienką smugę dymu, dobywającą się z budki.

Spojrzał na zegarek i pomyślał: Ciekawe, czy Andrés przedostał się do Golza? Jeżeli mamy wysadzić ten most, chciałbym teraz oddychać bardzo powoli i znowu czuć, że czas zwolnił. Myślisz, że mu się udało, temu Andrésowi? A jeżeli tak, czy to odwołają? Czy jeszcze zdążą odwołać? *Qué va!* Nie martw się. Odwołają albo nie. Nie może być innej decyzji i już niedługo się dowiesz. Przypuśćmy, że natarcie się uda. Golz mówił, że może się udać. Że jest taka możliwość. Jeżeli nasze czołgi przyjdą tą drogą, a ludzie przebiją się od prawej poza La Granja i jeśli obejdą całą lewą stronę gór. Dlaczego nigdy nie myślisz, jak to jest, kiedy się zwycięża? Tak długo byłeś w defensywie, że już nie umiesz sobie tego wyobrazić. Jasne. Ale to było, zanim tamto przeszło szosę. Zanim przyleciały samoloty. Nie bądź taki naiwny. Pamiętaj o jednym: że póki ich tu trzymamy, faszyści mają związane ręce. Nie mogą zaatakować żadnego innego kraju, dopóki nie skończą z nami, a z nami nigdy nie zdołają skończyć. Jeżeli Francuzi w ogóle nam pomogą, jeżeli chociaż zostawią otwartą granicę, a my

dostaniemy z Ameryki samoloty, tamtym nie uda się nigdy z nami skończyć. Nigdy, jeżeli tylko coś dostaniemy. Ci ludzie będą się bili bez końca, jeżeli będą dobrze uzbrojeni.

Nie, nie powinieneś spodziewać się tutaj zwycięstwa, przynajmniej w najbliższych latach. To jest tylko natarcie wiążące. Nie trzeba sobie robić złudzeń. Ale co by było, gdybyśmy się dziś przebili? To jest nasz pierwszy duży atak. Nie, zachowaj poczucie proporcji. A jeżeli nam się uda? Nie wpadaj w podniecenie — powiedział do siebie. — Pamiętaj, co przeszło tą szosą. Zrobiłeś, co mogłeś. Jednak powinniśmy mieć przenośne radia krótkofalowe. Z czasem będziemy mieli. Ale jeszcze nie mamy. Teraz tylko uważaj i rób, co do ciebie należy.

Dzisiejszy dzień jest zaledwie jednym z wielu przyszłych dni. Ale to, co będzie się działo podczas tych wszystkich dni, które nadejdą, może zależeć od tego, co zrobisz dzisiaj. Tak było przez cały ten rok. Tak było już tyle razy. Cala ta wojna jest taka. Ogromnie się robisz pompatyczny od samego rana — powiedział do siebie. — Patrz, co tam się teraz dzieje.

Spostrzegł dwóch żołnierzy w pelerynach i hełmach, którzy wyszedłszy zza zakrętu szosy zmierzali ku mostowi, z karabinami zarzuconymi na ramię. Jeden zatrzymał się u przeciwległego krańca i zniknął w budce wartowniczej. Drugi szedł przez most powoli i ociężale. Przystanął na środku, splunął do wąwozu i wolnym krokiem doszedł do bliższego końca, gdzie luzowany wartownik coś do niego powiedział, po czym sam ruszył przez most. Szedł szybciej od tamtego (bo spieszy się na kawę — pomyślał Robert Jordan), ale i on także splunął do wąwozu.

Ciekawe, czy to jakiś przesąd? — pomyślał Robert Jordan. — Muszę i ja splunąć do tego wąwozu. Jeżeli wtedy będę mógł pluć. Nie, to chyba nie jest zbyt skuteczne lekarstwo. Nie może działać. Będę musiał dowieść, że nie działa, zanim tam pójdę.

Nowy wartownik wszedł do budki i usiadł. Karabin z nasadzonym bagnetem oparł o jej ściankę. Robert Jordan wyjął z kieszeni koszuli lornetkę polową i pokręcił soczewki, aż ukazała mu się ostro, wyraźnie pomalowana na szaro stal mostu. Wtedy przesunął szkła na budkę wartowniczą.

Żołnierz siedział oparty o ściankę. Hełm jego wisiał na kołku, a twarz było widać dokładnie. Robert Jordan poznał, że to ten sam, który przed dwoma dniami pełnił tu popołudniową wartę. Na głowie miał tę samą włóczkową czapkę. I był nie ogolony. Miał zapadniętą twarz i sterczące kości policzkowe. Jego krzaczaste brwi

zrastały się pośrodku. Był najwyraźniej senny, bo ziewnął, gdy Robert Jordan patrzał na niego. Po chwili wyjął kapciuch z tytoniem i paczkę bibułek, skręcił sobie papierosa. Spróbował zapalić go zapalniczką, ale w końcu schował ją do kieszeni, podszedł do blaszanki, schylił się, wydobył z niej węgielek, dmuchając podrzucił go na dłoni, zapalił papierosa i cisnął na powrót węgielek do blaszanki.

Gdy żołnierz oparty o ściankę budki zaciągał się papierosem, Robert Jordan przyjrzał się jego twarzy przez ośmiokrotną lornetkę Zeissa. Porem opuścił lornetkę, złożył ją i schował do kieszeni.

Nie będę więcej na niego patrzał — powiedział sobie.

Leżał na ziemi, obserwował szosę i starał się nie myśleć. Gdzieś niżej pisnęła na sośnie wiewiórka; Robert Jordan zobaczył ją, jak zbiegała po pniu zatrzymując się, aby obrócić główkę w stronę człowieka. Widział małe, błyszczące oczka i ogon, który drgał z podniecenia. Następnie zadarłszy nieproporcjonalnie wielką kitę, pognała długimi susami swych drobnych łapek po ziemi, ku drugiej sośnie. Z drzewa spojrzała raz jeszcze na Roberta Jordana, myknęła na drugą stronę pnia i znikła. Potem usłyszał, że popiskuje gdzieś wyżej i dojrzał ją rozpłaszczoną na gałęzi, lekko poruszającą ogonem.

Robert Jordan znowu popatrzał między drzewami na budkę wartownika. Chciałby mieć tę wiewiórkę przy sobie, w kieszeni. Chciałby mieć coś, czego mógłby dotknąć. Potarł łokciami o igliwie, ale to nie było to samo. Nikt nie wie, jak bardzo samotnym można być, kiedy się robi to, co ja w tej chwili. Ale ja wiem. Mam nadzieję, że króliczek wyjdzie z tego cało. Teraz daj z tym spokój. No dobrze, oczywiście. Ale przecież mogę mieć i mam tę nadzieję. Że uda mi się wysadzić most i że ona wyjdzie z tego cało. W porządku. Jasne. Tylko tyle. To wszystko, czego teraz chcę.

Przeniósł wzrok z szosy i budki wartownika na dalekie góry. Nie myśl o niczym — powiedział sobie. Leżał spokojnie i śledził nadchodzący dzień. Był piękny wiosenny poranek i teraz, w końcu maja, dzień robił się szybko. Raz jakiś motocyklista w skórzanej kurcie i skórzanej haubie, z pistoletem automatycznym w futerale przy lewej nodze przejechał przez most i oddalił się szosą. Potem nadjechała z drugiego brzegu sanitarka, minęła dołem Roberta Jordana i znikła. Ale to było wszystko. Czuł zapach sosen, słyszał szum potoku, a most rysował się czysto i pięknie w świetle poranka. Robert Jordan leżał za pniem sosny, pistolet maszynowy miał ułożony na lewym przedramieniu i nie patrzał więcej na budkę wartowniczą, aż wreszcie, długo

po tym, jak uznał, że to już nie przyjdzie, że nic nie może się stać w taki śliczny, majowy poranek, usłyszał nagłe, zwarte dudnienie bomb.

Kiedy usłyszał bomby, ich pierwszy głuchy łoskot, nim jeszcze echo odbiło się grzmotem od gór, Robert Jordan nabrał głęboko tchu i podniósł pistolet maszynowy. Ręka zdrętwiała mu od jego ciężaru, palce miał leniwe i niechętne.

Żołnierz w budce wstał usłyszawszy bomby. Robert Jordan widział, że sięgnął po karabin, wyszedł z budki i zaczął nasłuchiwać. Przystanął na szosie w promieniach słońca. Włóczkową czapkę miał nasadzoną na bakier, a słońce padło na jego nie ogoloną twarz, gdy podniósł głowę ku niebu patrząc w stronę, gdzie bombardowały samoloty.

Na szosie nie było już mgły i Robert Jordan wyraźnie widział patrzącego w niebo żołnierza. Słońce oświetlało go jasno między drzewami.

Robert Jordan uczuł, że coś zapiera mu dech, jak gdyby miał pierś ściśniętą drutem. Oparł się mocno na łokciach i czując pod palcami żłobienia przedniego uchwytu broni przesunął podłużną muszkę, osadzoną teraz w szczerbinie celownika, na środek piersi żołnierza i łagodnie nacisnął spust.

Poczuł szybkie, płynne, spazmatyczne kopnięcie broni w ramię, a tam, na szosie, żołnierz, jakby zaskoczony i dotknięty, osunął się na kolana i czołem uderzył o asfalt. Karabin upadł obok, kiść żołnierza była skręcona, a jeden palec tkwił w kabłąku spustowym. Karabin leżał na szosie bagnetem w przód. Robert Jordan oderwał wzrok od leżącego z przygiętą głową człowieka i popatrzał na most i na budkę po przeciwległej stronie. Nie widział drugiego wartownika, spojrzał więc w prawo, gdzie niżej na zboczu ukryty był Agustin. Wtedy usłyszał strzał Anselma odbijający się echem w wąwozie. A potem jeszcze jeden.

Po drugim strzale trzasnęły granaty za zakrętem poniżej mostu. Potem huknęły dalej na lewo przy szosie. Następnie rozległy się strzały karabinowe na drodze, a w dole, pośród łoskotu granatów, zaterkotał kawaleryjski pistolet maszynowy Pabla. Ujrzał Anselma zsuwającego się po stromym zboczu ku drugiemu krańcowi mostu, więc zarzucił broń na ramię, wyciągnął zza sosen oba ciężkie plecaki, dźwignął je i czując, iż napinają mu ręce tak, że omal nie wyrwą ścięgien z ramion, zbiegł potykając się ze stromego stoku na szosę.

Biegnąc usłyszał, że Agustin wola: — *Buena caza*, Inglés! *Buena caza!* — i pomyślał: Tak, szczęśliwych łowów, psiakrew, szczęśliwych łowów!, i w tej chwili

usłyszał po drugiej stronie mostu strzał Anselma dźwięczący o stalowe dźwigary. Minął leżącego wartownika i z rozkołysanymi plecakami w rękach wpadł na most. Stary przybiegł do niego z karabinem w ręce.

— *Sin novedad!* — krzyknął. — Nic się nie stało. *Tuve rematarlo*. Musiałem go dobić.

Robert Jordan, rozwiązując na klęczkach plecaki pośrodku mostu i wyciągając materiał wybuchowy, zauważył, że po policzkach Anselma spływają łzy między siwą szczeciną.

— *Yo maté uno tambien* — powiedział do Anselma. — Ja też jednego zabiłem — i ruchem głowy wskazał miejsce na szosie, gdzie za mostem leżał skręcony wartownik.

— Tak, tak, człowieku — odparł Anselmo. — Trzeba ich zabijać, więc zabijamy.

Robert Jordan opuszczał się po wiązaniach mostu. Dźwigary były zimne i wilgotne od rosy; spełznął ostrożnie, czując na plecach słońce, i stanąwszy na kratownicy usłyszał szum wody kotłującej się w dole i strzelaninę, zbyt gęstą strzelaninę, przy górnej placówce, dalej na szosie. Pocił się obficie, chociaż pod mostem było chłodno. Na jednej ręce miał zwój drutu, a u napięstka zwisały na troku kleszcze.

— Dawaj ładunek, po jednym, *viejo!* — zawołał do Anselma. Stary wychylił się za krawędź mostu i zaczął podawać mu podłużne kostki materiału wybuchowego, a Robert Jordan odbierał je, wsuwał, gdzie należało, dociskał silnie, umocowywał.

— Kliny, *viejo!* Dawaj kliny!

Czuł świeży, gontowy zapach niedawno wystruganych klinów, gdy je dobijał mocno, aby utrzymały ładunek między dźwigarami.

Kiedy tak wciskał ładunki, umocowywał je, klinował, okręcał silnie drutem myśląc jedynie o zniszczeniu, pracując szybko i sprawnie jak chirurg — usłyszał grzechot strzałów dalej na drodze. Potem huknął granat. I zaraz jeszcze jeden zagrzmiał poprzez szum wody. A później wszystko w tej stronie ucichło.

Cholera! — pomyślał. — Co im się tam stało?

Przy górnej placówce na szosie wciąż było słychać strzały. Za dużo tych strzałów, psiakrew. Przywiązywał jeden przy drugim dwa granaty na zamocowanych kostkach materiału wybuchowego, owijał je drutem wzdłuż rowków, aby trzymały się twardo i silnie, dociągał drut i skręcał go kleszczami. Pomacał całość, a potem, aby ją

jeszcze wzmocnić, wbił nad granatami klin, który przycisnął cały ładunek do stalowego przęsła.

— Teraz z drugiej strony, *viejo!* — krzyknął do Anselma i przelazł między podporami (niczym jakiś cholerny Tarzan w lesie z walcowanej stali — pomyślał) — a następnie, wysunąwszy się z cienia nad kotłującą się w dole wodą, podniósł głowę i ujrzał twarz Anselma, który podawał mu z góry ładunek.

Diabelnie poczciwa gęba — pomyślał. — Już nie płacze. Tym lepiej. Jedna strona załatwiona. Teraz jeszcze ta i będzie gotowe. To zwali ten most jak nic. No, dalej. Nie denerwuj się. Rób swoje. Gładko i prędko, jak ten poprzedni. Nie nerwowo. Spokojnie. Nie staraj się pracować szybciej, niż możesz. Teraz już nie przegrasz. Już nikt ci nie przeszkodzi wysadzić jednej strony. Robisz to jak trzeba. Chłodno tu. O, rany, chłodno jak w piwnicy i nie ma żadnych brudów. Pod mostem kamiennym zawsze jest pełno różnego świństwa. A ten jest jak z bajki. Cholerny most z bajki. To ten stary na górze jest w paskudnym miejscu. Nie spiesz się zanadto. Wolałbym, żeby już tam przestali strzelać.

— Daj parę klinów, *viejo*.

— Nie podoba mi się ta strzelanina. Pilar musiała tam wpaść. Pewnie kilku z placówki było na zewnątrz. Na tyłach albo za tartakiem. Ciągle strzelają. Widocznie jeszcze trzymają się w tartaku. Te przeklęte trociny! Te wielkie kupy trocin. Jeżeli są stare i ubite, można się doskonale zza nich bronić. Musi tam być jeszcze kilku. A u Pabla spokój. Ciekawe, co to było, że tak zaczęli walić drugim razem. Pewnie samochód albo motocyklista. Mam w Bogu nadzieję, że nie idą tu wozy pancerne ani czołgi. No, dalej! Wpychaj jak możesz najprędzej, klinuj mocno i ściągaj porządnie drutem. Trzęsiesz się jak stare babsko. Co ci jest, do diabła? Bo się zanadto spieszysz. Głowę daję, że ta cholerna baba na górze nie trzęsie się wcale. Ta Pilar. A może i ona też? Wygląda na to, że paskudnie wpadła. Jeszcze się będzie trzęsła, jeżeli będzie źle. Jak każdy, psiakrew.

Wychylił się na światło słoneczne i kiedy sięgał po ładunki, które podawał mu Anselmo, a głowa jego znalazła się ponad szumem pędzącej wody, strzelanina przy drodze wzmogła się raptownie i znów huknęły granaty. I jeszcze granaty.

Widać uderzyli na tartak.

Cale szczęście, że masz ten materiał w kostkach, a nie w laskach — pomyślał. — Bo co, psiakrew. Tak idzie zgrabniej. Chociaż poszłoby jeszcze szybciej, gdybym miał

ordynarny worek płócienny pełen tej galarety. Albo dwa. Nie. Jeden by wystarczył. I gdybyśmy mieli detonatory i zapalarkę. Ten sukinsyn wrzucił moją zapalarkę do potoku. To poczciwe pudełko, gdzie ono nie było! A on je wrzucił do potoku. Ten drań, Pablo. Ale im teraz dal tam porządnie po skórze.

— Jeszcze kilka, *viejo*.

Stary dobrze daje sobie radę. To nie żarty być tam, na wierzchu. Ciężko mu było zabić tego wartownika. Mnie też, ale nie myślałem o tym. Nie myślę i teraz. Musi się to robić. Tylko że Anselmo postrzelił swojego. Ja wiem, co to jest. Chyba łatwiej zabić człowieka bronią automatyczną. To znaczy łatwiej temu, kto zabija. Bo to jakoś inaczej. Po pierwszym dotknięciu robi to sama broń. Nie ty. Daj spokój. Zastanowisz się nad tym kiedy indziej. Ale masz głowę! Masz dobrą, myślącą głowę, stary. No, ciągnij, Jordan, ciągnij! Tak do ciebie wołali na meczu futbolowym, kiedy prowadziłeś piłkę. A wiesz, że rzeka Jordan nie jest wiele większa od tego potoku tam, w dole? Oczywiście u źródła. Wszystko jest takie u źródła. Nieźle tu, pod tym mostem. Jak w domu, tylko że do domu daleko. No, Jordan, weź się w kupę. To poważna sprawa. Nie rozumiesz? Poważna. Ale już coraz mniej. Bo jedna strona gotowa. *Para qué?* Teraz już w porządku, czy pójdzie tak, czy owak. „Gdzie pójdzie Maine, tam pójdzie cały naród"[107]. Gdzie pójdzie Jordan, tam pójdą cholerni Izraelici. To znaczy most. Gdzie pójdzie Jordan, tam pójdzie ten cholerny most, albo raczej na odwrót.

— Jeszcze kilka, staruszku! — powiedział. Anselmo kiwnął głową. — Prawie gotowe — dorzucił Robert Jordan. Stary kiwnął znowu.

Kiedy skończył przytwierdzać drutem granaty, nie słyszał już strzelaniny na szosie. Nagle ucichło wszystko prócz szumu potoku. Spojrzał w dół i zobaczył, że pod nim woda pieni się biało między głazami, a potem spływa w przezroczystą sadzawkę o kamienistym dnie. Jeden z klinów, który mu wypadł z ręki, wirował tam w prądzie. W tej chwili wynurzył się pstrąg w pogoni za owadem i zatoczył na powierzchni koło w pobliżu miejsca, gdzie wirował klin. Skręcając mocno kleszczami drut, który przytrzymywał oba granaty, Robert Jordan dostrzegł między metalowymi belkami mostu światło słoneczne na zazielenionym stoku góry. Jeszcze przed trzema dniami było tam całkiem szaro — pomyślał.

[107] „Gdzie pójdzie Maine..." — polityczny slogan amerykański pochodzący stąd, że w stanie Maine przeprowadza się wybory do władz stanowych o dwa miesiące wcześniej niż we wszystkich innych stanach i tamtejsze wyniki uważane są za wskaźnik tendencji wyborczych w całym kraju [przyp. tłum.].

Z chłodnego cienia pod mostem wyjrzał na jaskrawe słońce i krzyknął w twarz pochylonemu Anselmowi:

— Daj duży zwój drutu!

Stary podał mu go.

Na miłość boską, tylko teraz nic nie rusz. Tym się pociągnie. Warto by przewlec drut. Masz go tyle, że wystarczy — myślał dotykając zawleczek z pierścieniami, które miały zwolnić łyżki ręcznych granatów. Sprawdził, czy przy umocowanych poziomo granatach jest dość miejsca, by łyżki mogły odskoczyć, gdy się wyciągnie zawleczki (łączący je drut przechodził pod łyżkami), następnie przyczepił do jednego z pierścieni kawałek drutu, połączył go z głównym, biegnącym do pierścienia granatu zewnętrznego i odwinął trochę drutu ze zwoju, który przełożył pod stalową belką i podał Anselmowi.

— Trzymaj ostrożnie — powiedział.

Wdrapał się na most, odebrał zwój z rąk starego i odwijając drut począł się cofać, jak mógł najszybciej, ku miejscu, gdzie leżał wartownik. Szedł wychylony przez poręcz mostu i wypuszczał drut ze zwoju.

— Bierz plecaki! — krzyknął do Anselma idąc tyłem. Przechodząc schylił się, podniósł pistolet maszynowy i zarzucił go sobie na ramię.

Wtedy właśnie, oderwawszy wzrok od drutu, zobaczył daleko na drodze tych, co wycofywali się od górnej placówki.

Spostrzegł, że jest ich czterech, ale zaraz musiał skupić uwagę na drucie, ażeby nie zaczepił się o zewnętrzne części mostu. Eladia nie było między tamtymi.

Robert Jordan przeciągnął drut za most, owinął go dokoła ostatniej podpory, pobiegł kawałek szosą i zatrzymał się przy kamiennym słupku przydrożnym. Przeciął drut i podał go Anselmowi.

— Trzymaj, *viejo* — powiedział. — Teraz wracaj ze mną na most i wybieraj drut. Albo nie. Sam to zrobię.

Przy moście wyciągnął drut, który teraz biegł prosto i bez zahaczeń aż do pierścieni granatów, i ułożywszy go luzem wzdłuż mostu podał koniec Anselmowi.

— Idź z tym do tamtego wysokiego kamienia — rzekł. — Trzymaj swobodnie, ale pewnie. Nie ciągnij na siłę. Jeżeli pociągniesz mocno, mocno, most wyleci w powietrze.

— *Comprendes?*

— Tak.

— Trzymaj delikatnie, ale uważaj, żeby nie zwisł, bo się zaplącze. Niech będzie lekko napięty, ale nie ciągnij, póki nie przyjdzie czas. *Comprendes?*

— Tak.

— Jak będziesz ciągnął, ciągnij porządnie. Nie szarp.

Robert Jordan mówiąc to patrzał na wracającą resztkę bandy Pilar. Byli już blisko i zauważył, że Primitivo i Rafael prowadzą Fernanda. Musiał dostać postrzał w pachwinę, bo trzymał się za nią rękami, a mężczyzna i chłopak podpierali go z obu stron. Prowadzony tak przez nich powłóczył prawą nogą, która ocierała się bokiem buta o szosę. Pilar wspinała się na zbocze, między drzewa, niosąc trzy karabiny. Robert Jordan nie widział jej twarzy, ale szła z podniesioną głową najszybciej jak mogła.

— Jak tam? — zawołał Primitivo.

— Dobrze! Już prawie skończyliśmy! — odkrzyknął Robert Jordan.

Nie było potrzeby pytać, jak poszło tamtym. Kiedy się obejrzał, wszyscy trzej stali na skraju szosy, a Fernando potrząsał głową, gdy usiłowali podsadzić go na zbocze.

— Dajcie mi tu karabin — usłyszał Robert Jordan jego zdławiony głos.

— Nie, *hombre*. Doprowadzimy cię do koni.

— A co ja bym robił z koniem? — zapytał Fernando. — Tu mi będzie zupełnie dobrze.

Reszty Robert Jordan nie usłyszał, gdyż obrócił się do Anselma.

— Wysadzaj, jakby przyszły czołgi — mówił. — Ale tylko jeżeli wjadą na most. Wysadzaj, jak przyjdą auta pancerne. Jak wjadą na most. Wszystko inne zatrzyma Pablo.

— Nie będę wysadzał, póki tam siedzisz pod spodem.

— Nie oglądaj się na mnie. Wysadzaj, jak będzie trzeba. Zamocuję drugi drut i wracam. Wtedy wysadzimy razem.

Puścił się pędem ku środkowi mostu.

Anselmo patrzał, jak Robert Jordan wbiega na most ze zwojem drutu w ręce, z kleszczami zwisającymi u napięstka i z pistoletem maszynowym na plecach. Widział,

jak przełazi przez poręcz i znikł. Anselmo trzymał drut w prawej dłoni i przykucnąwszy za kamiennym słupkiem patrzał na szosę i most. Na połowie drogi między nim a mostem leżał wartownik, teraz bardziej rozpłaszczony na gładkiej nawierzchni szosy, gdy słońce nacisnęło mu grzbiet. Jego karabin z nasadzonym bagnetem leżał skierowany prosto w Anselma. Stary popatrzał dalej, wzdłuż powierzchni mostu poprzecinanej cieniami sztachet poręczy, ku miejscu, gdzie szosa biegła w lewo wzdłuż wąwozu i skręcała za skalną ścianę. Spojrzał na oświetloną słońcem drugą budkę wartowniczą, a potem, pamiętając, że w ręce trzyma drut, obrócił się do Fernanda, który rozmawiał z Primitivem i Cyganem.

— Zostawcie mnie tutaj — mówił Fernando. — Boli bardzo, a w środku mam silny krwotok Czuję to w sobie, jak się poruszę.

— Pozwól się wznieść na zbocze — powiedział Primitivo. — Załóż nam ręce na ramiona, a my cię weźmiemy za nogi.

— Nie warto — odparł Fernando. — Połóżcie mnie za tym kamieniem. Przydam się tutaj tak samo jak na górze.

— Ale jak odejdziemy... — zaczął Primitivo.

— Zostawcie mnie — powtórzył Fernando. — Nie ma mowy, żebym mógł z tym jechać. A tak będzie o jednego konia więcej. Mnie tu całkiem dobrze. Na pewno już niedługo przyjdą.

— Możemy cię wnieść na górę — powiedział Cygan. — Z łatwością.

Rzecz jasna, spieszyło mu się piekielnie do odejścia, podobnie jak Primitivowi. Ale przecież przeprowadzili go już taki kawał drogi.

— Nie — rzekł Fernando. — Mnie tu bardzo dobrze. A coz Eladiem?

Cygan przyłożył palce do głowy, aby pokazać, gdzie tamten dostał kulę.

— Tu — powiedział. — Zaraz po tobie. Jakeśmy uderzyli.

— Zostawcie mnie — powtórzył Fernando. Anselmo widział, że bardzo cierpi. Przyłożył obie ręce do pachwiny, głowę oparł o zbocze, nogi wyciągnął prosto przed siebie. Twarz miał szarą i spoconą.

— Zostawcie mnie z łaski swojej — powiedział. Oczy przymknęły mu się z bólu, kąciki warg zadrgały. — Mnie tutaj zupełnie dobrze.

— Masz tu karabin i naboje — rzekł Primitivo.

— To mój? — zapytał Fernando nie otwierając oczu.

— Nie. Twój ma Pilar — odparł Primitivo. — Ten jest mój.

— Wolałbym swój własny — powiedział Fernando. — Przyzwyczaiłem się do niego.

— Przyniosę ci go — skłamał Cygan. — Na razie bierz ten.

— Mam tu bardzo dobre stanowisko — rzekł Fernando. Ostrzał na szosę i most. Otworzył oczy, obrócił głowę, spojrzał na drugą stronę mostu i znowu przymknął powieki, kiedy odezwał się ból.

Cygan poklepał go po głowie i palcem dal Primitivowi znak do odejścia.

— Potem zejdziemy po ciebie — powiedział Primitivo i zaczął wspinać się na zbocze za Cyganem, który oddalał się szybko.

Fernando oparł się plecami o stok. Przed sobą miał jeden z pobielanych kamieni, wyznaczających krawędź szosy. Głowa Fernanda była w cieniu, ale słońce padało na opatrzoną i zabandażowaną ranę i osłaniające ją dłonie. Nogi i stopy także były w słońcu. Karabin leżał obok, a przy nim błyszczały w słońcu trzy magazynki z nabojami. Mucha łaziła po rękach Fernanda. ale to drobne łaskotanie nie przenikało wskroś bólu.

— Fernando! — zawołał Anselmo z miejsca, gdzie przykucnął trzymając drut. Zrobił na końcu pętlę i skręcił ją mocno, żeby mieć dobry uchwyt.

— Fernando! — zawołał znowu.

Fernando otworzył oczy i spojrzał na niego.

— Jak tam? — zapytał.

— Doskonale — odparł Anselmo. — Za chwilę wysadzamy.

— Tom rad. Jak będę ci potrzebny, to powiedz — rzekł Fernando i znowu przymknął oczy, gdy targnął nim ból.

Anselmo spojrzał teraz na most.

Wyczekiwał chwili, kiedy zobaczy przerzucany na wierzch zwój drutu, a za nim opaloną głowę i twarz Inglésa, gdy będzie się wciągał na most. Jednocześnie obserwował, czy po drugiej stronie nie pokazuje się coś zza zakrętu szosy. Nie czuł żadnego lęku; tego dnia nie bał się wcale. To idzie tak prędko i takie jest zwyczajne — myślał. — Ciężko mi było zastrzelić tego wartownika i mocno się tym przejąłem, ale już mi teraz przeszło. Jakże ten Inglés mógł mówić, że zastrzelić człowieka to to samo, co zastrzelić zwierzynę? Na polowaniu zawsze byłem rozochocony i nie miałem poczucia, że robię coś złego. Ale zastrzelić człowieka to tak, jakby uderzyć własnego

brata, kiedy się jest dorosłym. A jeszcze strzelać parę razy, żeby go dobić... Nie, nie myśl o tym. Zanadto się przejąłeś i przybiegłeś na most becząc jak baba.

Już się stało — mówił sobie — i może kiedyś postarasz się odpokutować za tego i za innych. Ale teraz masz to, o co prosiłeś wczoraj wieczorem, jakeś wracał przez wzgórza. Jesteś w bitwie i nie ma się nad czym zastanawiać. Jeżeli dzisiaj zginę, wszystko będzie w porządku.

A potem spojrzał na Fernanda opartego o zbocze, osłaniającego dłońmi pachwinę; wargi miał sine, powieki zaciśnięte, oddychał ciężko, powoli. Anselmo pomyślał: Jeżeli mam umrzeć, niech to będzie szybko. Chociaż nie; przecież mówiłem, że nie poproszę o nic więcej, jeżeli będzie mi dane to, czegom pragnął na dzisiaj. Więc nie poproszę. Rozumiesz? Nie proszę o nic. O nic w ogóle. Daj mi to, czego chciałem, a co do reszty, czyń wedle swojej woli.

Wsłuchał się w nadlatujące z daleka odgłosy walki na przełęczy i powiedział do siebie: To naprawdę wielki dzień. Powinienem uprzytomnić sobie i zrozumieć, co to za dzień.

Jednakże w sercu nie czuł wzbierającego podniecenia. Minęło całkowicie i został tylko spokój. I teraz, kiedy klęczał za kamiennym słupkiem mając w ręku pętlę drutu owiniętego na przegubie, a pod kolanami przydrożny żwir, nie był samotny i nie czuł się wcale osamotniony. Stanowił jedność z drutem trzymanym w ręce, z mostem i ładunkami, które tam założył Inglés. Stanowił jedność z Inglésem wciąż jeszcze pracującym pod mostem, jedność z całą walką i z Republiką.

Ale podniecenia nie było. Teraz był tylko spokój, słońce padało klęczącemu Anselmowi na kark i ramiona, a kiedy podniósł oczy, ujrzał wysokie, bezchmurne niebo i zbocze góry wznoszące się za potokiem i nie czuł się wprawdzie szczęśliwy, ale też nie był samotny ani przestraszony.

Wyżej na stoku wzgórza leżała za drzewem Pilar obserwując drogę schodzącą z przełęczy. Miała pod ręką trzy nabite karabiny i podała jeden Primitivowi, gdy przypadł obok niej.

— Połóż się za tym drzewem — powiedziała. — A ty, Cygan, o tam — wskazała mu inne drzewo, nieco niżej. — Skonał?

— Jeszcze nie — odrzekł Primitivo.

— To był pech — powiedziała Pilar. — Gdybyśmy mieli jeszcze ze dwóch, nie musiałoby się tak stać. Powinien był wczołgać się za te trociny. Dobrze mu tam jest?

Primitivo potrząsnął głową.

— A nie dolecą tu kawałki, jak Inglés wysadzi most? — zapytał zza drzewa Cygan.

— A bo ja wiem — odparła Pilar. — Ale Agustin z *maquiną* jest przecież bliżej niż ty. Inglés nie postawiłby go tam, gdyby to było za blisko.

— Bo pamiętam, że jakeśmy wysadzali pociąg, reflektor parowozu przeleciał mi nad głową, a kawałki stali fruwały jak te jaskółki.

— Masz poetyczne wspomnienia — powiedziała Pilar. — Jak jaskółki! *Joder!* Prędzej jak kotły do prania. Słuchaj, Cygan, dobrze się dzisiaj sprawiłeś. Teraz się nie daj strachowi.

— Przecież tylko spytałem, czy tu nie doleci, żeby się dobrze schować za drzewo — odparł Cygan.

— Leż, gdzie jesteś — nakazała Pilar. — Ilu utłukliśmy?

— *Pues* pięciu wypadło na nas. Tutaj dwóch. Nie widzisz drugiego po tamtej stronie? Patrz na most. Tam, gdzie budka. Widzisz? — pokazał jej. — A Pablo na dole miał ośmiu. Obserwowałem tamtą placówkę dla Inglésa.

Pilar coś mruknęła. A potem powiedziała gwałtownie, z wściekłością:

— Co z tym Inglésem? Co on tam się plugawi pod tym mostem? *Vaya fandanga!*[108] Buduje most, czy go wysadza?

Podniosła głowę i spojrzała na przykucniętego za kamiennym słupkiem Anselma.

— Hej, viejo! — krzyknęła. — Co się dzieje z tym twoim zaplugawionym Inglésem?

— Cierpliwości, kobieto! — odkrzyknął Anselmo trzymając drut lekko, ale pewnie. Kończy robotę.

— Ale co on u wielkiej kurwy robi przez tyle czasu?

— *Es muy concienzudo*[109] — zawołał Anselmo. — To naukowa robota.

— Ja paskudzę w mleko nauki! — wściekała się Pilar do Cygana. — Niech ten zafajdany sprośnik wysadza most i kończy nareszcie! Maria! — krzyknęła swym niskim głosem w kierunku szczytu wzgórza. — Ten twój Inglés... — tu wyrzuciła z siebie potok sprośności na temat domniemanych poczynań Inglésa pod mostem.

---

[108] Vaya fandanga (hiszp.) — Cóż on z tym tak marudzi?
[109] Es muy concienzudo (hiszp.) — jest bardzo dokładny.

— Uspokój się, kobieto! — zawołał z szosy Anselmo. — On robi ogromną robotę. Zaraz skończy.

— Niech to cholera weźmie! — szalała Pilar. — Tu liczy się szybkość!

Właśnie w tej chwili usłyszeli strzały dalej przy drodze, gdzie Pablo trzymał zdobytą placówkę. Pilar przestała kląć i nadstawiła ucha.

— *Ay* — powiedziała. — *Ay*. Tak. O, właśnie.

Robert Jordan usłyszał strzały w chwili, gdy przerzuciwszy ręką zwój drutu na most wciągał się za nim na górę. Kiedy dotknął kolanami żelaznej krawędzi, a ręce jego znalazły się na wierzchu, usłyszał w dole za zakrętem karabin maszynowy. Był to terkot odmienny od automatu Pabla. Jordan wstał, wychylił się przez poręcz, uwolnił zwój i zaczął odwijać drut cofając się bokiem po moście.

Słyszał strzały i idąc czul je w dołku, jak gdyby odbijały się echem o przeponę. Przybliżyły się teraz, więc spojrzał za siebie, na zakręt szosy. Ale wciąż jeszcze nie było tam widać ani samochodu, ani czołgu czy ludzi. Było tam ciągle pusto, kiedy dotarł na pół drogi do końca mostu. Było wciąż pusto, gdy znalazł się na trzech czwartych odwijając drut gładko i bez zahaczeń, i było pusto, kiedy obchodził budkę wartowniczą trzymając drut z dala od siebie, aby nie zaczepić nim o żelazną konstrukcję. Potem zszedł z mostu na szosę, a na zakręcie wciąż było pusto; zaczął się szybko cofać małym wypłukanym rowem po niższej stronie drogi, niby gracz w baseball, który odbiega tyłem, aby pochwycić długą piłkę, i trzymając napięty drut znalazł się prawie na wprost kamienia Anselma, a za mostem wciąż jeszcze nie było widać nikogo.

I wtedy usłyszał za sobą zbliżającą się ciężarówkę, zobaczył ją przez ramię, gdy wjeżdżała na długą pochyłość, więc okręcił drut na napięstku, krzyknął do Anselma: — Wysadzaj! — zaparł się piętami i odchylił mocno do tyłu przyciągając drut okręcony na ręce. Za plecami słyszał warkot ciężarówki, przed sobą miał szosę i zabitego wartownika, dalej długi most, za nim wciąż pusty odcinek drogi — i nagle rozległ się ogłuszający huk, środek mostu wystrzelił w powietrze niby łamiąca się fala, a Jordan poczuł uderzenie podmuchem eksplozji, gdy walił się na twarz w kamienisty rów przyciskając ręce do głowy. Leżał twarzą w żwirze, kiedy most zapadł się w miejscu, gdzie wyleciał w górę; dobrze znany, żółty zapach przypłynął razem ze żrącym dymem, a potem zaczął siec deszcz odłamków stali.

Kiedy stal przestała spadać, Robert Jordan był nadal żywy; podniósł głowę i spojrzał na most. Środkowa część zniknęła. Na moście i na szosie leżały poszarpane kawałki stali o błyszczących, świeżo oddartych krawędziach i kantach. Ciężarówka zatrzymała się w odległości około stu metrów. Kierowca i dwaj jadący z nim ludzie zbiegali do kanału przepustowego pod szosą.

Fernando wciąż leżał oparty o stok i jeszcze oddychał. Ręce miał wyciągnięte wzdłuż boków, dłonie spokojne.

Anselmo leżał twarzą do ziemi za białym słupkiem kamiennym. Lewą rękę miał podwiniętą pod głowę, a prawą wyciągniętą prosto przed siebie. Jej przegub oplatała jeszcze pętla drutu.

Robert Jordan wstał, przeszedł na drugą stronę szosy, ukląkł przy nim i upewnił się, że stary nie żyje. Nie odwracał go, aby zobaczyć, co zrobił odłamek stali. Anselmo nie żył i to wystarczyło.

Wydaje się bardzo mały po śmierci — pomyślał Robert Jordan. Był jakiś drobny, siwy i Jordan zastanowił się: Jakim sposobem mógł nosić takie ciężary, jeżeli naprawdę był taki nieduży? Potem spojrzał na jego łydki i uda zarysowane pod obcisłymi, szarymi spodniami pasterskimi, i na zdarte sznurkowe podeszwy butów, podniósł karabin Anselma i oba plecaki teraz już prawie puste, przeszedł na drugą stronę drogi i zabrał karabin leżący obok Fernanda. Kopnięciem strącił z szosy poszarpany kawałek stali. Potem wziął oba karabiny na ramię i trzymając je za końce luf ruszył pod górę, w kierunku drzew. Nie obracał głowy, nie obejrzał się nawet na szosę za mostem. W dole, za zakrętem, ciągle strzelali, ale teraz było mu to zupełnie obojętne.

Kaszlał od wyziewów trotylu i czuł, że cały jest drętwy.

Położył jeden z karabinów przy Pilar, która leżała za drzewem. Obróciła głowę i zobaczyła, że znowu ma trzy karabiny.

— Jesteście tu za wysoko — powiedział. — Na szosie stoi ciężarówka, której stąd nie widać. Myśleli, że to samoloty. Zejdźcie trochę niżej. Ja idę na dół z Agustinem, żeby osłonić Pabla.

— A co ze starym? — spytała patrząc mu w twarz.

— Nie żyje.

Zakaszlał znowu, odcharknął i splunął na ziemię.

— Twój most już wysadzony, Inglés — popatrzała na niego Pilar. — Nie zapominaj o tym.

— O niczym nie zapominam — odparł. — Masz tęgi głos — powiedział do Pilar. — Słyszałem, jakeś wrzeszczała. Krzyknij do Marii, że mi się nic nie stało.

— Straciliśmy dwóch przy tartaku — powiedziała Pilar starając się, żeby zrozumiał.

— Zauważyłem — odrzekł Robert Jordan. — Zrobiliście jakieś głupstwo?

— Odplugaw się, Inglés — powiedziała Pilar. — Fernando i Eladio to także byli mężczyźni.

— Dlaczego nie idziesz do koni? — zapytał Robert Jordan. — Mogę tamtych osłonić stąd lepiej niż ty.

— Przecież masz kryć Pabla.

— Cholera z nim. Niech się pokryje mierdą.

— Nie, Inglés. On jednak wrócił. I tęgo się bił na dole. Nie słyszałeś? Teraz też się bije. I to z czymś niedobrym. Słyszysz?

— Osłonię go. Ale sprośność na was wszystkich. Na ciebie i na Pabla.

— Inglés — powiedziała Pilar. — Uspokój się. Byłam przez cały czas z tobą tak, że nikt nie mógłby bardziej. Pablo pokrzywdził cię, ale wrócił.

— Gdybym miał zapalarkę, stary nie byłby zginął. Mógłbym wysadzić most stąd.

— Gdyby, gdyby, gdyby... — powiedziała Pilar.

Wciąż jeszcze przenikało go uczucie gniewu, pustki i nienawiści, które przyszło wraz z odprężeniem po wysadzeniu mostu, gdy leżąc skulony przy szosie podniósł głowę i zobaczył martwego Anselma. Była w nim także rozpacz i ból, które żołnierze przemieniają w nienawiść, aby móc dalej być żołnierzami. Teraz, kiedy już było po wszystkim, czuł się samotny, daleki i nieradosny i nienawidził każdego, kogo zobaczył.

— Gdyby nie ten śnieg... — zaczęła Pilar. I wtedy, bynajmniej nie nagle, jak mogłoby się zdarzyć, gdyby doznał fizycznego odprężenia (na przykład, gdyby Pilar go objęła), ale powoli, rozumowo, zaczął się z tym godzić i pozwolił odpływać nienawiści. Jasne, ten śnieg. Wszystko przez niego. Śnieg. Zrobił to samo tamtym. Kiedy na to spojrzeć, jako na coś, co zdarzyło się także innym, można zapomnieć o własnym ja, a to jest zawsze konieczne na wojnie. Na wojnie, gdzie nie może być własnego ja. Gdzie

swoje ja musi się tylko zagubić. I wtedy właśnie spośród tego zagubienia usłyszał głos Pilar:

— Sordo...

— Co? — spytał.

— Sordo...

— Tak — odrzekł Robert Jordan. Wykrzywił się do niej w uśmiechu zdrętwiałym, sztywnym, napinającym zbyt mocno ścięgna twarzy. — Zapomnij o tym. Nie miałem racji. Przepraszam cię, kobieto. Zróbmy to dobrze i wszyscy razem. A most już jest wysadzony, jak mówisz.

— Tak. Musisz myśleć o każdej rzeczy z osobna.

— Więc teraz idę do Agustina. Cygana postaw dużo niżej, żeby dobrze widział szosę. Te karabiny daj Primitivowi, a sama weź *maquinę*. Pokażę ci, co z nią robić.

— Zatrzymaj *maquinę* — odrzekła Pilar. — Lada chwila się stąd wyniesiemy. Pablo powinien zaraz tu być, a wtedy pójdziemy.

— Rafael — powiedział Robert Jordan. — Chodź do mnie. O, tu. Tak. Widzisz ich tam, jak wyłażą z kanału? Tam, nad ciężarówką? Teraz do niej podchodzą. Zwal mi jednego. Siądź.

Mierz spokojnie.

Cygan wycelował starannie i strzelił, a kiedy odciągał zamek wyrzucając łuskę, Robert Jordan powiedział:

— Przeniosłeś. Trafiłeś w skałę nad nim. Widzisz, jak się kurzy? Mierz o dwie stopy niżej. Uważaj. Teraz biegną. Dobra! *Sigue tirando*.

— Mam jednego — powiedział Cygan. Człowiek leżał na połowie drogi między kanałem i ciężarówką. Dwaj pozostali nie przystanęli, aby go podnieść. Zawrócili pędem do kanału i znikli.

— Nie strzelaj do niego — rzekł Robert Jordan. — Mierz w górną część przedniej opony. W ten sposób, jeżeli spudłujesz, trafisz w silnik. Dobrze. — Patrzał przez lornetkę. — Trochę niżej. Doskonale. Strzelasz jak szatan. *Mucho! Mucho!* A teraz w górę chłodnicy. Byle gdzie w chłodnicę. Jesteś mistrz. Uważaj. Nie pozwól, żeby cokolwiek przeszło za ten punkt, o tam. Widzisz?

— Patrzaj, jak stłukę przednią szybę — powiedział uradowany Cygan.

— Nie. Wóz ma już dosyć — odrzekł Robert Jordan. — Zatrzymaj się ze strzelaniem, aż coś nadejdzie drogą. Otwórz ogień, jak będzie na wysokości kanału.

Staraj się trafić kierowcę. I żebyście wtedy wszyscy strzelali — powiedział do Pilar, która zeszła z góry razem z Primitivem. — Macie tu świetne miejsce. Widzicie, jak ta stromizna osłania was z boku?

— Idź ty do swojej roboty razem z Agustinem — odparła Pilar. — Daj spokój z wykładami. Bywało się w polu w swoim czasie.

— Postaw Primitiva tam dalej — powiedział Robert Jordan. — O, tam. Widzisz człowieku? Z tej strony, gdzie jest stromo.

— Zostawże mnie — rzekła Pilar. — Idź sobie, Inglés. Razem z całą twoją mądrością. Tu nie ma nic trudnego.

W tej chwili usłyszeli samoloty.

Maria od dłuższego czasu była przy koniach, ale nie działały na nią uspokajająco. Ani ona na nie. Z tego miejsca w lesie nie mogła widzieć drogi ani mostu i gdy zaczęła się strzelanina, Maria objęła za szyję wielkiego kasztana z białą strzałką, którego nieraz pieściła i obdarowywała przysmakami, kiedy konie były w zagrodzie, w lesie pod obozem. Jej zdenerwowanie udzieliło się też wielkiemu ogierowi, który targał łbem rozdymając chrapy na odgłos strzałów i granatów. Maria nie mogła ustać w miejscu i wciąż chodziła tam i z powrotem, klepiąc i głaszcząc konie, co je tym bardziej denerwowało i rozdrażniało.

Starała się nie myśleć o tych strzałach jako o czymś strasznym, ale uprzytomnić sobie, że tam, na dole, jest przecież Pablo z nowymi ludźmi, że wyżej jest Pilar z resztą i że nie powinna się niepokoić ani wpadać w przerażenie, tylko mieć ufność w Roberta. Ale nie mogła się na to zdobyć i wszystkie te strzały nad mostem i pod nim, i daleki odgłos walki, który jak pomruk odległej burzy toczył się od przełęczy suchym, terkotliwym grzechotem wraz z nieregularnym dudnieniem granatów, był po prostu jakąś potwornością zapierającą jej dech w piersiach.

Później usłyszała potężny głos Pilar wykrzykujący do niej z dołu jakieś sprośności, których nie mogła zrozumieć, i pomyślała:

Och, Boże, nie, nie. Nie mów tak, kiedy on jest w niebezpieczeństwie. Nie lżyj nikogo i nie narażaj się bez potrzeby. Nie wyzywaj losu.

Potem zaczęła modlić się za Roberta szybko, mechanicznie, jak niegdyś w szkole, odmawiając modlitwy w największym pośpiechu i odliczając na palcach lewej ręki po dziesiątce obu powtarzanych pacierzy. Wtedy most wyleciał w powietrze i

rozległ się ogłuszający huk, a jeden z koni stanął dęba, targnąwszy łbem zerwał uździenicę i pognał między drzewa. Maria złapała go w końcu i przyprowadziła drżącego, rozdygotanego, z piersią pociemniałą od potu, z siodłem pod brzuchem, i kiedy wracała przez las, doleciał z dołu huk strzałów i wtedy pomyślała: Już dłużej nie wytrzymam. Nie mogę dłużej żyć nie wiedząc, co się tam dzieje. Nie mogę oddychać i w ustach mi zaschło. Boję się i jestem na nic, i denerwuję konie, a tego złapałam tylko przypadkiem, bo przekręcił sobie siodło, kiedy wpadł na drzewo i zaplątał się w strzemiona, a teraz poprawiam to siodło i, o Boże, nic nie wiem. Nie mogę tego znieść. Och, błagam, zachowaj go od złego, bo całe moje serce i ja cala jestem przy tym moście. Republika to jedno, a drugie to, że musimy zwyciężyć. Ale o słodka, Najświętsza Panno, spraw, żeby wrócił do mnie od tego mostu, a zrobię wszystko, co każesz. Bo mnie tu nie ma. Ja nie istnieję. Jestem tylko przy nim. Zachowaj mi go, a wtedy ja będę z Tobą i zrobię dla Ciebie wszystko i on mi tego nie wzbroni. I to nie będzie przeciwko Republice. Och, błagam Cię, przebacz mi, bo wszystko mi się plącze. Już nie mogę myśleć. Ale jeżeli go ochronisz, zrobię to, co słuszne. Zrobię to, co on mi każe i co każesz mi Ty. Zrobię to jedną i drugą sobą. Ale nie mogę znieść tej niepewności.

Kiedy już uwiązała konia, poprawiła siodło, wygładziła derkę i przyciągnęła mocno popręg, usłyszała potężny, niski głos dolatujący z lasu w dole:

— Maria! Maria! Twój Inglés zdrów! Słyszysz? Nic mu się nie stało. *Sin novedad!*

Maria uchwyciła się siodła obiema rękami, przycisnęła mocno do niego przystrzyżoną głowę i rozpłakała się. Znów usłyszała ten gruby głos i oderwawszy czoło od siodła zawołała dławiąc się:

— Tak! Dziękuję! — a potem, znowu zdławionym głosem: — Dziękuję! Dziękuję ci bardzo!

Kiedy usłyszeli samoloty, spojrzeli w górę i zobaczyli je lecące bardzo wysoko od strony Segovii, srebrne na wysokim niebie, zagłuszające wszystkie inne odgłosy swoim dudnieniem.

— Masz! — powiedziała Pilar. — Jeszcze tylko ich brakowało.

Robert Jordan patrząc na samoloty położył jej rękę na ramieniu.

— To nic, kobieto — powiedział. — One nie lecą do nas. Nie mają na nas czasu. Uspokój się.

— Nie znoszę ich.

— Ja też. No, teraz muszę iść do Agustina.

Zbiegł zakosem między sosnami; w powietrzu wciąż dźwięczało pulsujące dudnienie samolotów, a w dole, za zakrętem szosy po drugiej stronie rozwalonego mostu, słychać było urywany grzechot ciężkiego karabinu maszynowego.

Robert Jordan przypadł do Agustina, który leżał w kępie karłowatych sosenek przy erkaemie. Nadlatywały wciąż nowe samoloty.

— Co tam się dzieje na dole? — zapytał Agustin. — Co ten Pablo wyrabia? Nie wie, że mostu już nie ma?

— Pewnie nie może się ruszyć.

— To my się stąd ruszmy. Cholera z nim.

— Zaraz przyjdzie, jeżeli będzie mógł — odrzekł Robert Jordan. — Powinien się teraz pokazać.

— Już od pięciu minut go nie słyszę — powiedział Agustin. — O! Znowu! Słuchaj! To on.

Rozległa się krótka, terkotliwa seria kawaleryjskiego automatu, potem jeszcze jedna i jeszcze jedna.

— To ten drań — rzekł Robert Jordan.

Patrzał na samoloty, które ciągle nadlatywały, po wysokim, bezchmurnym, błękitnym niebie, i jednocześnie zerkał na podniesioną twarz Agustina. Potem spojrzał na rozwalony most i dalej, na pusty jeszcze odcinek szosy. Odkaszlnął, splunął i słuchał ciężkiego karabinu maszynowego, który znowu zawarczał w dole, za zakrętem. Wydawało się, że jest nadal w tym samym miejscu, co przedtem.

— Co to takiego? — zapytał Agustin. — Co to może być, u wielkiej sprośności?

— Zaczęło się, jeszcze zanim wysadziłem most — odpowiedział Robert Jordan.

Spojrzał na most i zobaczył wodę potoku w wyrwanym miejscu, gdzie środek zapadł się i zwisał niby wygięty stalowy fartuch. Słyszał, że pierwsze samoloty, które przeszły nad nimi, zrzucają bomby gdzieś powyżej przełęczy, a nowe ciągle nadlatywały. Huk ich motorów wypełniał całe wysokie niebo i kiedy Robert Jordan popatrzał w górę, dojrzał drobne, malutkie pościgowce, które krążyły i kołowały wysoko nad nimi.

— Chyba wczoraj rano w ogóle nie przeleciały nad liniami — odezwał się Primitivo. — Musiały skręcić na zachód i zawrócić. Przecież nasi nie robiliby natarcia, gdyby je wtedy zobaczyli.

— Większość jest nowych — odrzekł Robert Jordan.

Doznawał takiego wrażenia, jak gdyby coś zaczęło się normalnie, a potem wywołało olbrzymie, nieproporcjonalne, gigantyczne reperkusje. Było to tak, jakby rzucony w wodę kamień zrobił na niej zmarszczkę, która wracała przewalając się z hukiem niby fala przypływu. Albo jak gdyby ktoś krzyknął, a echo przyleciało tocząc się z łoskotem gromu, i ten grom był zabójczy. Albo jak gdybyś uderzył pojedynczego człowieka, a po jego upadku powstali jak okiem sięgnąć inni, zbrojni i okryci pancerzami. Rad był, że nie jest z Golzem pod przełęczą.

Kiedy tak leżał obok Agustina, patrzył na samoloty i słuchał strzelaniny obserwując szosę, na której, jak wiedział, coś się zaraz miało pokazać, tylko nie wiadomo co — czuł się wciąż jeszcze odrętwiały ze zdumienia, że nie zginął przy moście. Pogodził się z myślą o swojej śmierci tak całkowicie, że wszystko wydawało mu się teraz nierzeczywiste. Otrząśnij się z tego — powiedział do siebie. — Daj z tym spokój. Dzisiaj jest dużo, dużo, dużo do zrobienia. Ale tamto nie chciało odejść i czuł świadomie, że wszystko staje się podobne do snu.

Nałykałeś się za dużo tego dymu — pomyślał. Ale wiedział, że to nie to. Czuł namacalnie, jak bardzo wszystko jest nierzeczywiste pomimo całej swej realności; spojrzał na most i wartownika rozciągniętego na drodze, na leżącego Anselma i Fernanda opartego plecami o stok, a potem za siebie, gdzie na gładkiej, brunatnej szosie stała unieruchomiona ciężarówka — i ciągle było to nierealne.

Lepiej szybko pozbądź się własnej części samego siebie — pomyślał. — Dzieje się z tobą to samo, co podczas walki kogutów, kiedy nikt nie zauważył, że jeden jest ranny, i jeszcze nic nie widać, a on już sztywnieje.

Bzdury — odpowiedział sobie. — Jesteś trochę otumaniony i tyle. Przyszła reakcja po odpowiedzialności, nic więcej. Opanuj się.

W tej chwili Agustin chwycił go za ramię i kiedy spojrzał na drugą stronę wąwozu, zobaczył Pabla.

Pablo wypadł biegiem zza zakrętu. Widzieli, że przystanął pod pionową skałą, za którą skręcała szosa, obrócił się, oparł o głaz i zaczął strzelać w tył po drodze. Robert Jordan widział go, niskiego, masywnego, krępego, jak stał bez czapki oparty o

skalną ścianę i walił z krótkiego kawaleryjskiego automatu, a w słońcu migotała kaskada wylatujących mosiężnych łusek. Zauważyli, że Pablo przyklęknął i dał jeszcze jedną serię. Potem nie oglądając się pognał wprost ku mostowi, krępy, krzywonogi, szybki, z pochyloną głową.

Robert Jordan odepchnął Agustina, przycisnął do ramienia kolbę dużego erkaemu i wycelował w zakręt. Jego własny pistolet maszynowy leżał obok, przy lewej ręce. Nie był dość precyzyjny na tę odległość.

Kiedy Pablo biegł ku nim, Robert Jordan wciąż mierzył w zakręt szosy, ale nie było tam nikogo. Pablo dopadł do mostu, obejrzał się przez ramię, rzucił okiem na most, potem skręcił w lewo i zniknął w wąwozie. Robert Jordan nadal obserwował zakręt, ale nic się nie pokazało. Agustin podniósł się na jedno kolano. Widział Pabla zsuwającego się do wąwozu jak kozica. Odkąd go zobaczyli, z dołu nie dolatywał już odgłos strzałów.

— Widać coś wyżej? Tam, na skałach? — zapytał Robert Jordan.

— Nic.

Robert Jordan śledził zakręt szosy. Wiedział, że ściana poniżej jest zbyt urwista, by można się na nią wdrapać, ale dalej pochyłość była łagodniejsza i ktoś mógł obejść tamtędy.

O ile dotąd wszystko wydawało się nierzeczywiste, teraz stało się aż nazbyt realne. Było to tak, jak gdyby obiektyw lustrzanej kamery nastawiono nagle na ostrość. Zobaczył wynurzający się zza zakrętu na jasne światło słoneczne przysadzisty korpus, kanciasty pysk i niską nakrapianą zielono, szaro i brunatnie wieżyczkę, której sterczała lufa karabinu maszynowego. Zaczął strzelać i usłyszał, jak kule zadźwięczały o stal. Tankietka cofnęła się szybko za skalną ścianę. Robert Jordan zauważył, że wysuwa zza niej sam nos, a potem bok wieżyczki, która obróciła się tak, że karabin maszynowy wymierzony był na szosę.

— Zupełnie mysz wyłażąca z nory — powiedział Agustin. — Patrzaj, Inglés.

— Nie bardzo jest pewny siebie — odrzekł Robert Jordan.

— To ten wielki robak, z którym bił się Pablo — powiedział Agustin. — Daj mu jeszcze raz, Inglés.

— Nie. Nie mogę mu nic zrobić. Nie chcę, żeby wypatrzył, gdzie jesteśmy.

Tankietka otworzyła ogień na szosę. Pociski uderzały o nawierzchnię i odlatywały jękliwie w przestrzeń, a potem zaczęły dzwonić i bębnić po żelazie mostu. Był to ten sam karabin maszynowy, który słyszeli na dole.

— *Cabrón!* — powiedział Agustin. —To to są te słynne czołgi, Inglés?

— Ten jest malutki.

— *Cabrón!* Gdybym tak miał malutką butelkę z benzyną, podlazłbym i podpalił go. Co on teraz zrobi, Inglés?

— Za chwilę znowu wyjrzy.

— I to tego ludzie się boją — powiedział Agustin. — Patrzaj, Inglés! On drugi raz zabija wartowników.

— Jeżeli nie ma innego celu — rzekł Robert Jordan. — Nie miej mu tego za złe.

Jednakże myślał: Tak, wyśmiewaj się z niego. Ale wyobraź sobie, że jesteś na jego miejscu, we własnym kraju, i że cię zatrzymują ogniem na szosie. A potem most wylatuje w powietrze. Nie myślałbyś, że droga przed tobą jest zaminowana albo że to zasadzka? Na pewno. On robi to, co trzeba. Czeka, aż coś się jeszcze pokaże. Wiąże przeciwnika. Ten przeciwnik, to tylko my. Ale on o tym nie wie. Patrz na tego małego drania.

Tankietka wysunęła nos trochę dalej zza zakrętu.

W tej chwili Agustin zobaczył Pabla przełażącego przez krawędź wąwozu. Podciągał się na rękach i kolanach, obrośniętą twarz miał zlaną potem.

— Idzie sukinsyn — powiedział Agustin.

— Kto?

— Pablo.

Robert Jordan spojrzał, zobaczył Pabla i zaczął strzelać w tę część pomalowanej na kolor ochronny wieżyczki, gdzie, jak wiedział, powinna być szczelina nad karabinem maszynowym. Tankietka cofnęła się z chrzęstem i znikła, a Robert Jordan chwycił erkaem, zatrzasnął trójnóg na lufie i zarzucił jeszcze gorącą broń na ramię. Lufa była tak rozgrzana, że go parzyła, więc posunął ją do tyłu obracając kolbę na płask.

— Bierz worki z magazynkami i moją małą *maquinę!* — krzyknął. — I biegiem!

Pognał pod górę między sosnami. Agustin biegł tuż za nim, a na końcu Pablo.

— Pilar! — krzyknął Jordan w stronę wzgórza. — Chodź, kobieto. '

Wszyscy trzej wspinali się jak najszybciej na spadziste zbocze. Nie mogli już biec, bo było tu zbyt stromo, i Pablo, który nie miał żadnego obciążenia poza lekkim automatem kawaleryjskim, dopędził ich obu.

— Gdzie twoi ludzie? — zapytał go Agustin zaschłymi ustami.

— Wszyscy zginęli — odparł Pablo. Nie mógł pochwycić tchu.

Agustin obrócił głowę i spojrzał na niego.

— Mamy teraz dużo koni, Inglés — powiedział zdyszanym głosem Pablo.

— To dobrze — odparł Robert Jordan. A to drań, morderca!, pomyślał. — Na coście się tam natknęli?

— Na wszystko — odrzekł Pablo. Chwytał ustami powietrze. — Co z Pilar?

— Straciła Fernanda i tego brata...

— Eladia — dodał Agustin.

— A ty?

— Ja Anselma.

— To mamy mnóstwo koni — rzekł Pablo. — Nawet pod juki.

Agustin przygryzł wargi, spojrzał na Roberta Jordana i pokiwał głową. W dole, za drzewami, tankietka znowu strzelała po moście i szosie.

Robert Jordan gwałtownie obrócił głowę.

— Jak to było z tym czołgiem? — zapytał Pabla. Nie chciał na niego spojrzeć, ani czuć jego zapachu, ale chciał usłyszeć, co powie.

— Nie mogłem się wycofać, póki tam stał — odrzekł Pablo. — Byliśmy odcięci na dole, pod placówką. W końcu odjechał po coś i wtedy uciekłem.

— A do czegoś tak — strzelał na zakręcie? — zapytał wprost Agustin.

Pablo spojrzał na niego i zaczął się uśmiechać, ale rozmyślił się i nie powiedział nic.

— Wystrzelałeś ich wszystkich? — zapytał Agustin.

Robert Jordan myślał: Nie odzywaj się. Teraz to już nie twoja rzecz. Zrobili wszystko, czego mogłeś od nich oczekiwać, a nawet więcej. To jest sprawa międzyplemienna. Nie wydawaj sądów moralnych. Czego się spodziewasz po mordercy? Przecież pracujesz z mordercą. Więc siedź cicho. Już przedtem wiedziałeś, z kim masz do czynienia. To nic nowego. Ale jaki to wstrętny drań! — myślał. — Ty wstrętny, parszywy draniu!

Pierś pękała mu z bólu po szybkim wspinaniu się pod górę, a przed sobą, między drzewami, widział już konie.

— Gadaj! — mówił Agustin. — Dlaczego nie powiesz, żeś sam ich wszystkich wystrzelał?

— Stul gębę — odparł Pablo. — Dziś biłem się dużo i dobrze. Zapytaj Inglésa.

— A teraz nas stąd wyprowadź — odezwał się Robert Jordan.

— Przecież masz jakiś plan?

— Dobry mam plan — odrzekł Pablo. — Przy odrobinie szczęścia uda się nam doskonale.

Zaczynał już oddychać swobodniej.

— Ale nas nie myślisz wymordować, co? — zapytał Agustin.

— Bo jeżeli tak, to cię zatłukę od razu.

— Zamknij się — odparł Pablo. — Muszę pilnować interesów twoich i całej bandy. Teraz jest wojna. Nie można robić tego, co by się chciało.

— *Cabrón!* — zaklął Agustin. — Wszystko zagarniasz dla siebie.

— Powiedz mi, co tam było na dole — rzekł Robert Jordan do Pabla.

— Wszystko — powtórzył Pablo. Wciąż jeszcze dyszał, jak gdyby pierś mu pękała, ale mógł już mówić swobodniej, choć głowę i twarz miał zlane potem, a koszulę na ramionach i piersi przemoczoną na wylot. Spojrzał ostrożnie na Roberta Jordana, ażeby się przekonać, czy rzeczywiście nie ma złych zamiarów, po czym uśmiechnął się. — Wszystko — powiedział jeszcze raz. — Najpierw zdobyliśmy placówkę. Potem przyjechał jeden motocyklista. Po nim drugi. Potem sanitarka. Później ciężarówka. A po niej ten czołg. Na chwilę przed tym, jak wysadziłeś most.

— No i co?

— Czołg nie mógł nam nic zrobić, ale i my nie mogliśmy się ruszyć, bo trzymał drogę pod ogniem. Później odjechał, a ja przybiegłem tutaj.

— A twoi ludzie? — wtrącił Agustin, ciągle szukając zaczepki.

— Zamknij się. — Pablo spojrzał mu prosto w oczy, a na twarzy miał taki wyraz, jak człowiek, który przede wszystkim dobrze walczył, bez względu na to, co stało się później. — Oni nie byli z naszej bandy.

W słońcu przeświecającym między gałęziami sosen widzieli już uwiązane do drzew konie, które podrzucały łbami i wierzgały, żeby opędzić się od much, i Robert

Jordan zobaczył Marię, i w następnej chwili obejmował ją mocno, mocno, oparłszy sobie o bok erkaem, którego tłumik uciskał mu żebra. Maria mówiła:

— To ty, Roberto. Och, ty.

— Tak, króliczku. Mój kochany, kochany króliczku. Teraz już chodźmy.

— Jesteś tutaj naprawdę?

— Tak. Tak. Naprawdę. Ach, ty!

Nigdy nie myślał, że podczas walki można pamiętać o jakiejś kobiecie ani że którakolwiek cząstka naszej istoty może wtedy o niej pamiętać czy na nią reagować; ani że jeśli ta kobieta istnieje, może mieć drobne, krągłe piersi, które się czuje przez koszulę, ani że te piersi mogą coś wiedzieć o nich dwojgu podczas bitwy. Ale to była prawda i pomyślał: Dobrze. Tak jest dobrze. To trudne do wiary. Przycisnął ją do siebie mocno, mocno, ale nie spojrzał na nią, a potem klepnął ją tam, gdzie jeszcze nigdy jej nie poklepał, i powiedział:

— Wsiadaj. Wsiadaj. Na tego konia, *guapa*.

Już odwiązywali konie, Robert Jordan oddał erkaem Agustinowi, założył na plecy swój pistolet maszynowy, powyciągał z kieszeni granaty i włożył je do sakw, wreszcie wepchnął pusty plecak w drugi i przytroczył je razem z tyłu siodła. Nadbiegła Pilar, tak zasapana, że nie mogła przemówić, i tylko skinęła głową.

Pablo wepchnął do sakwy trzy rzemienie do pętania koni, wyprostował się i zapytał: — *Qué tal*, kobieto? — a ona tylko kiwnęła głową i wszyscy już dosiadali koni.

Robert Jordan siedział na wielkim siwku, którego pierwszy raz zobaczył poprzedniego rana na śniegu, i czuł między udami i w rękach jego siłę. Na nogach miał sznurkowe trepy, a strzemiona były trochę za krótkie; pistolet maszynowy miał na ramieniu, kieszenie pełne magazynków, i siedząc w siodle wpychał naboje do tego, który był wystrzelany, napięte wodze trzymał pod pachą i patrzał, jak Pilar wdrapuje się na przedziwne siedzenie zrobione z tobołków uwiązanych na siodle bułanego konia.

— Odemij i wyrzuć to wszystko na miłość boską — mówił Primitivo. — Spadniesz, a koń i tak tego nie udźwignie.

— Cicho bądź — odparła Pilar. — To nam się później przyda.

— Możesz tak jechać, kobieto? — zapytał Pablo siedząc w siodle *guardia civil* na wielkim kasztanie.

— Nie gorzej niż pierwszy lepszy mleczarz — odparła. — Jak jedziemy, stary?

— Prosto w dół. Przez szosę. Na zbocze po drugiej stronie i w las, tam gdzie się zwęża.

— Przez szosę? — zapytał Agustin, który kręcił się obok niego bijąc piętami miękkich, płóciennych trepów twardy, nieczuły brzuch jednego z koni, które Pablo przyprowadził w nocy.

— Tak, człowieku. To jedyna droga — odrzekł Pablo. Podał mu uwiąż drugiego konia. Primitivo i Cygan trzymali już pozostałe.

— Możesz jechać na końcu, jeżeli chcesz, Inglés — powiedział Pablo. — Przeskoczymy przez szosę tam dalej, żeby nas nie sięgnęła ich *maquina*. Ale musimy jechać po jednemu i ostro, a potem zbierzemy się w tym wąskim miejscu na górze.

— Dobrze — odparł Robert Jordan.

Ruszyli w dół przez las ku skrajowi szosy. Robert Jordan jechał tuż za Marią. Nie mógł się z nią zrównać, bo drzewa rosły za gęsto. Ścisnął pieszczotliwie siwka udami, a potem trzymał go mocno w ręku, kiedy szybko opuszczali się w dół pośród sosen, i mówił mu udami to, co powiedziałyby ostrogi, gdyby byli na równym gruncie.

— Maria — rzekł do niej. — Jedź druga, jak będą przeskakiwali przez szosę. Na pierwszego nie jest najgorzej, chociaż tak się wydaje. Najlepiej jechać jako drugi. Dopiero następnych wypatrują.

— A ty...

— Ja przeskoczę nagle. To nie będzie trudne. Źle jest wtedy, jak wszyscy jadą razem.

Przypatrywał się krągłej, zmierzwionej głowie Pabla, którą ten wtulał w ramiona jadąc z pistoletem automatycznym na plecach. Patrzał na Pilar, jej gołą głowę i rozłożyste barki; jechała mając kolana wyżej ud, a piętami ściskała tłumoki. Obejrzała się na niego i potrząsnęła głową.

— Wymiń Pilar, zanim przeskoczycie przez drogę — powiedział Robert Jordan do Marii.

Potem zobaczył w dole między rzednącymi drzewami smolistą czerń szosy, a za nią zielony stok przeciwległego wzgórza. Jesteśmy powyżej kanału — pomyślał — i pod tym wzniesieniem, z którego szosa opada długą pochyłością do mostu. Stąd do niego będzie około ośmiuset metrów. To jeszcze nie jest poza zasięgiem tamtego Fiata z tankietki, jeżeli już są przy moście.

— Maria — powiedział. — Wymiń Pilar, zanim dojedziemy do szosy, a potem galopuj ostro pod górę.

Obejrzała się na niego, ale nie powiedziała nic. On tylko zerknął na nią, by się upewnić, czy zrozumiała.

— *Comprendes?* — zapytał.

Kiwnęła głową,

— Podjedź naprzód — rzekł.

Potrząsnęła głową.

— Jedź!

— Nie — odparła obracając się i potrząsając głową. — Pojadę w takim porządku, jak mam jechać.

W tej chwili Pablo wbił obie ostrogi w boki wielkiego kasztana, skoczył w dół po ostatniej, pokrytej igliwiem pochyłości i przegalopował przez szosę ze stukotem i iskrzeniem podkutych kopyt. Za nim puściła się reszta i Robert Jordan widział, jak przeskakują szosę i walą cwałem na zielone zbocze, i jednocześnie rozległ się warkot karabinu maszynowego przy moście. A potem usłyszał nadlatujący świiist — trzask — huk! Huk ten był ostrym, nabrzmiewającym trzaskiem, a na zboczu wzgórza wytrysnęła mała fontanna ziemi z pióropuszem szarego dymu. I jeszcze raz świiist — trzask — huk! Nadleciało to powtórnie, świszcząc jak rakieta, i dalej na zboczu znowu wytrysnęła ziemia i dym.

Przed nim Cygan stał przy szosie pod osłoną ostatnich drzew. Patrzał na przeciwległe zbocze, a potem obejrzał się na Roberta Jordana.

— Jazda, Rafael! — powiedział Robert Jordan. — Galopem, człowieku!

Cygan trzymał za uwiąż konia jucznego, który ciągnął go łbem do tyłu.

— Puszczaj jucznego i galopuj! — rozkazał Robert Jordan.

Widział, że wyciągnięta do tylu ręka Cygana podnosi się coraz wyżej i wyżej, bez końca, a jego pięty biją tułów konia, i nagle uwiąż wyprężył się, opadł na ziemię, Cygan już gnał przez drogę, a Robert Jordan odpychając kolanem spłoszonego konia jucznego, który na niego wpadł, kiedy Cygan przelatywał po twardej, ciemnej szosie, usłyszał tętent kopyt, gdy tamten cwałował na zbocze.

Swiiiiiisz — ta — rach! Pocisk nadleciał płaskim torem i Robert Jordan zobaczył, że Cygan uskoczył w bok jak zmykający odyniec, gdy ziemia wytrysnęła przed nim małym, szaro-czarnym gejzerem. Patrzał, jak galopował coraz wolniej, z

wysiłkiem, po długim, zielonym stoku, pociski z działka wybuchały przed nim i za nim, aż wreszcie skrył się za fałdą wzgórza, gdzie byli pozostali.

Nie mogę .zabrać tej jucznej szkapy — myślał Robert Jordan. — Chociaż dobrze by było mieć drania od tej strony. Wolałbym mieć go między sobą, a tym czterdziestosiedmiomilimetrowym działkiem, z którego tu walą. Jak Boga kocham, spróbuję go wziąć.

Podjechał do jucznego, pochwycił uwiąż, a potem trzymając kłusującego za nim konia przejechał między drzewami pięćdziesiąt metrów w górę szosy. Stanął na skraju lasu i wyjrzał na szosę, poza unieruchomioną ciężarówkę, ku mostowi. Zobaczył przy nim ludzi, a dalej coś, co wyglądało jak zator pojazdów na drodze. Rozejrzał się, znalazł wreszcie to, czego mu było potrzeba, wyciągnął rękę i ułamał suchą gałąź sośniny. Puścił uwiąż, popchnął jucznego konia aż do stromego spadku, który zbiegał do drogi, i mocno zdzielił go gałęzią po zadzie.

— Wal, sukinsynu! — zawołał i cisnął za nim suchą gałęzią, gdy juczny koń biegł przez szosę i pod górę. Gałąź trafiła konia, który z kłusa przeszedł w galop.

Robert Jordan przejechał jeszcze trzydzieści metrów wzdłuż drogi, dalej stok był już za stromy. Działko strzelało znowu z rakietowym świstem i trzaskającym, wyrzucającym ziemię hukiem.

— Jazda, ty faszystowski draniu! — powiedział Robert Jordan do konia i skoczył szczupakiem w dół po pochyłości. Już był na otwartym, na szosie tak twardej pod kopytami, że czuł wstrząsy aż w ramionach, karku i zębach, a potem znalazł się na miękkim przeciwległym zboczu, kopyta konia chwytały ziemię, rwały ją, miażdżyły i wyrzucały w pędzie, i kiedy spojrzał po zboczu, zobaczył most pod nowym kątem, tak jak go dotąd nie widział. Był teraz widoczny z boku, bez skrótu, w środku miał wyrwę, za nim na szosie stała tankietka, a za tankietką duży czołg, którego działko błysnęło w tej chwili żółto jak słońce odbite w lustrze. Świst rozdzieranego powietrza przeleciał niemal tuż nad siwą wyciągniętą szyją konia, i kiedy Robert Jordan obrócił się, ziemia wystrzeliła fontanną na stoku. Juczny koń biegł przed nim, ale zbaczał za daleko w prawo i już zwalniał, a Robert Jordan, galopując z głową lekko zwróconą w stronę mostu, dojrzał rząd ciężarówek zatrzymanych za zakrętem, widocznych coraz lepiej w miarę, jak wznosił się wyżej, i zobaczył jaskrawożółty błysk, po którym zaraz rozległ się świst i huk. Strzał był za krótki, ale Robert Jordan dosłyszał odłamki odlatujące w przestrzeń z miejsca, gdzie wytrysnęła ziemia.

Widział już swoich, którzy wpatrywali się w niego ze skraju lasu, i zawołał: — *Arre, caballo!* Jazda, koniu! — i poczuł, że pierś wielkiego siwka wzdyma się na coraz bardziej stromym zboczu; widział przed sobą wyciągniętą siwą szyję i siwe uszy, pochylił się i poklepał tę siwą, mokrą szyję, obejrzał się na most, dostrzegł jaskrawy błysk ze stojącego na szosie ciężkiego, przysadzistego czołgu koloru błota i nie usłyszał świstu, tylko ostry, cierpko cuchnący brzęk jakby rozrywanego kotła, i nagle już leżał pod siwym koniem, siwy koń wierzgał, a on usiłował wydobyć się spod niego.

Mógł się poruszyć. Mógł się przesunąć w prawo. Ale kiedy to zrobił, lewa noga pozostała wyciągnięta płasko pod koniem. Było to tak, jakby miał w niej nowy staw, nie biodrowy, ale inny, na którym obracała się w bok jak na zawiasie. Wtedy zrozumiał, co to jest, a w tej chwili siwy koń dźwignął się na kolana i prawa noga Roberta Jordana, którą wyrzucił ze strzemienia tak jak był powinien, osunęła się po siodle i opadła na ziemię. Lewa noga leżała płasko, pomacał ręką biodro i pod napiętą skórą wyczuł ostrą kość.

Siwy koń stał prawie wprost nad nim i Robert Jordan widział, jak mu się rozdymają żebra. Tam, gdzie siedział, trawa była zielona i rosły polne kwiaty; spojrzał po stoku na szosę, most i wąwóz, zobaczył czołg i czekał na następny błysk. Przyszedł on niemal natychmiast i znowu nie było świstu, i wpośród huku, swądu materiału wybuchowego, rozpryskującej się stali i grud ziemi Robert Jordan zobaczył, że siwy koń siada spokojnie obok niego, jak gdyby w cyrku. A potem, patrząc na konia, dosłyszał odgłos, jaki ten z siebie wydawał.

W następnej chwili Primitivo i Agustin trzymali go już pod pachy i ciągnęli po zboczu, a nowy staw w nodze pozwalał jej obracać się na wszystkie strony po nierównościach gruntu.

Raz granat przeleciał ze świstem tuż nad nimi i wtedy upuścili Roberta Jordana i padli plackiem, ale tylko obsypała ich ziemia, a odłamki odleciały w przestrzeń, więc zaraz podnieśli go znowu. Wreszcie już był w długim leśnym parowie, gdzie stały konie, a Maria, Pilar i inni pochylali się nad nim.

Maria klęczała obok niego i mówiła:

— Roberto, co ci jest?

Odpowiedział pocąc się mocno:

— Lewa noga złamana, *guapa*.

— Zaraz ją przewiążemy — rzekła Pilar. — Możesz jechać na nim — wskazała jednego z objuczonych koni. — Odciąć te toboły.

Robert Jordan zauważył, że Pablo potrząsnął głową, więc dał mu znak wzrokiem.

— Odejdźcie — powiedział. A potem: — Słuchaj, Pablo. Chodź tu do mnie.

Ociekająca strugami potu, obrośnięta twarz pochyliła się nad nim i Robert Jordan poczuł wyraźnie zapach Pabla.

— Dajcie nam się rozmówić — rzekł do Pilar i Marii. — Muszę pomówić z Pablem.

— Bardzo boli? — zapytał Pablo. Pochylił się nisko nad Robertem Jordanem .

— Nie. Zdaje się że mam zmiażdżony nerw. Słuchaj. Jedźcie dalej. Ja jestem załatwiony, widzisz? Porozmawiam chwilę z dziewczyną. Kiedy powiem, żebyś ją zabrał, zabierz. Będzie chciała zostać. Pomówię z nią tylko chwilę.

— Jasne, bo nie ma czasu — rzekł Pablo.

— Jasne.

— Myślę, że byłoby wam lepiej w Republice — powiedział Robert Jordan.

— Nie. Ja jestem za pójściem do Gredos.

— Zastanów się.

— Pogadaj z nią, Inglés — rzekł Pablo. — Bo już mało czasu. Przykro mi, że to ci się stało, Inglés.

— Ale jeżeli już się stało... — powiedział Robert Jordan. — Nie mówmy o tym. Zastanów się. Masz głowę na karku. Ruszże nią trochę.

— Czemu nie? — odparł Pablo. — A teraz rozmów się szybko, Inglés, bo czasu mało.

Podszedł do najbliższego drzewa i wyjrzał na stok i dalej, na szosę za wąwozem. Z wyrazem szczerego żalu przyglądał się leżącemu na zboczu siwkowi, a tymczasem Pilar i Maria podeszły do Roberta Jordana, który siedział na ziemi, oparty o pień drzewa.

— Rozetnij mi spodnie, dobrze? — poprosił Pilar. Maria przykucnęła obok niego w milczeniu. Słońce padało na jej włosy, twarz miała wykrzywioną jak dziecko, które za chwilę się rozpłacze. Nie płakała jednak.

Pilar wyjęła nóż i rozcięła nogawkę spodni od lewej kieszeni w dół. Robert Jordan rozchylił materiał i obejrzał udo. Dziesięć cali poniżej stawu biodrowego był spiczasty, siny punkt, sterczący jak mały, czubaty namiocik, i kiedy dotknął do palcami, poczuł strzaskaną kość udową, która napinała od spodu skórę. Noga leżała pod dziwacznym kątem. Spojrzał na Pilar. Miała taki sam wyraz twarzy jak Maria.

— *Anda* — powiedział do niej. — Odejdź. Odeszła bez słowa, ze zwieszoną głową, nie oglądając się, a Robert Jordan zauważył, że ramiona jej drgają.

— *Guapa* — powiedział do Marii, biorąc ją za obie ręce. — Słuchaj. Nie pojedziemy do Madrytu...

Wtedy Maria rozpłakała się.

— Nie płacz, *guapa* — mówił. — Posłuchaj. Nie pojedziemy teraz do Madrytu, ale gdziekolwiek się znajdziesz, ja zawsze będę przy tobie. Rozumiesz?

Nie odpowiedziała nic, tylko objęła go i przytuliła mu głowę do policzka.

— Słuchaj mnie uważnie, króliczku — mówił. Wiedział, że trzeba się bardzo spieszyć i pocił się mocno, ale to musiało być powiedziane i zrozumiane. — Teraz odjedziesz. Ale ja pójdę z tobą. Póki jest jedno z nas, jesteśmy obydwoje. Rozumiesz?

— Nie, ja zostanę z tobą.

— Nie, króliczku. To, co mam teraz zrobić, muszę zrobić sam. Nie mógłbym zrobić tego dobrze, gdybyś była przy mnie. Jeżeli odejdziesz, ja pójdę za tobą. Nie rozumiesz, jak to jest? Każde z nas, to my oboje.

— Zostanę z tobą.

— Nie, króliczku. Posłuchaj. Tego ludzie nie mogą robić razem. Każdy musi przez to przejść sam jeden. Ale jeżeli odejdziesz, pójdę z tobą. W ten sposób pójdę i ja. Wiem, że teraz pójdziesz. Bo jesteś dobra i kochana. Pójdziesz teraz za nas oboje.

— Ale mnie będzie lżej, jeżeli z tobą zostanę — odrzekła. — Tak dla mnie lepiej.

— Tak. Dlatego proszę cię, idź. Zrób to dla mnie, bo to jedno możesz zrobić.

— Ty nie rozumiesz, Roberto. A co ze mną? Mnie gorzej. będzie odejść.

— Na pewno — powiedział. — Ciężej ci będzie. Ale teraz ja jestem także tobą.

Milczała.

Popatrzył na nią; pocił się mocno i powiedział z takim napięciem woli, jak jeszcze nigdy przez całe swoje życie.

— Teraz pójdziesz za nas oboje. Nie możesz być samolubna, króliczku. Musisz spełnić swój obowiązek.

Potrząsnęła głową.

— Teraz jesteś mną — mówił. — Na pewno to czujesz, króliczku. Posłuchaj. Ja naprawdę idę z tobą. Przysięgam ci.

Nie odpowiedziała.

— Teraz już to rozumiesz — mówił. — Teraz już widzę, że to dla ciebie jasne. Teraz odejdziesz. Tak. Już odchodzisz. Już powiedziałaś, że odejdziesz.

Milczała.

— Teraz dziękuję ci za to. Teraz już jedziesz ostro, szybko, daleko, i oboje jedziemy w tobie. Daj mi rękę. A teraz pochyl głowę. Nie, niżej. O tak. Ja kładę ci rękę tutaj. Dobrze. Jesteś dobra. Teraz już nie myśl więcej. Teraz robisz to, co powinnaś. Teraz mnie słuchasz. Nie mnie, a nas obojga. Mnie w tobie. Teraz odchodzisz za nas dwoje. Naprawdę. Oboje idziemy w tobie. To ci przyrzekam. Jesteś bardzo dobra i bardzo kochana, że idziesz.

Skinął głową na Pabla, który zerkał na niego spod drzewa;

Pablo zbliżył się, a on kiwnął palcem na Pilar.

— Pojedziemy do Madrytu innym razem, króliczku — powiedział Robert Jordan. — Naprawdę. A teraz wstań i idź, to pójdziemy oboje. Wstań. Słyszysz?

— Nie — odparła i objęła go mocno za szyję. Zaczął znów mówić, wciąż spokojnie, z rozwagą, ale i z wielką stanowczością.

— Wstań — powiedział. — Teraz i ty jesteś mną. Jesteś wszystkim, co ze mnie zostanie. Wstań.

Dźwignęła się powoli, spłakana, ze zwieszoną głową, ale zaraz przypadła do niego. Wreszcie, kiedy powtórzył: — Wstań, *guapa* — podniosła się znowu wolno, ze znużeniem.

Pilar stanęła obok i wzięła ją pod rękę.

— *Vámonos* — powiedziała. — Trzeba ci czegoś, Inglés? — Spojrzała na niego i potrząsnęła głową.

— Nie — odrzekł i dalej mówił do Marii: — Nie żegnamy się, *guapa*, bo się nie rozstajemy. Niech ci będzie dobrze w Gredos. Idź teraz. Idź już. Nie — powiedział ciągle spokojnie, rozważnie, gdy Pilar odprowadzała dziewczynę. — Nie oglądaj się.

Włóż nogę w strzemię. Tak. Pomóż jej — rzekł do Pilar. — Podsadź ją na siodło. Teraz wsiadaj.

Odwrócił zlaną potem twarz, spojrzał w dół po zboczu, a później znowu na dziewczynę, która siedziała już na koniu. Obok czekała Pilar, a Pablo za nimi.

— Teraz jedź — powiedział. — Jedź.

Chciała się obejrzeć.

— Nie oglądaj się — rzekł Robert Jordan. — Jedź.

Pablo uderzył konia rzemieniem po zadzie; przez chwilę Maria jakby próbowała zsunąć się z siodła, ale Pilar i Pablo jechali z obu stron tuż przy niej, Pilar trzymała ją i wszystkie trzy konie oddalały się parowem.

— Roberto! — krzyknęła Maria obracając się ku niemu. — Pozwól mi zostać! Pozwól mi zostać!

— Jestem z tobą! — zawołał Robert Jordan. — Jestem teraz z tobą. Jesteśmy razem. Jedź!

Potem zniknęli za zakrętem parowu, a on leżał, mokry od potu, ze wzrokiem wbitym w pustkę.

Agustin stał przy nim.

— Chcesz żebym cię zastrzelił, Inglés? — zapytał pochylając się nisko. — *Ouieres?* To przecież nic.

— *No hace falta*[110] — odrzekł Robert Jordan. — Jedź. Mnie tu dobrze.

— *Me cago en la leche que me han dado!* — zaklął Agustin. Płakał i nie widział wyraźnie Roberta Jordana. — *Salud*, Inglés.

— *Salud*, stary — odrzekł Robert Jordan. Patrzał na zbocze. — Opiekuj się ostrzyżoną główką, dobrze?

— Na pewno — powiedział Agustin. — Masz wszystko, czego ci trzeba?

— Zostało już mało naboi do tej *maquiny*, więc ją zatrzymam — odparł Robert Jordan. — Nigdzie nie dostaniesz do niej ładunków. Do drugiej i do tej Pabla, tak.

— Przeczyściłem lufę — powiedział Agustin. — Bo ci się zatkała ziemią przy upadku.

— Co się stało z tym jucznym koniem?

— Cygan go złapał.

[110] No hace falta (hiszp.) - nie trzeba.

Agustin już siedział w siodle, ale zwlekał z odjazdem. Pochylił się ku drzewu, pod którym leżał Robert Jordan.

— Jedź, starv — powiedział Robert Jordan. — Na wojnie często zdarzają się takie rzeczy.

— *Qué pula es la guerra* — rzekł Agustin. — Co to za kurestwo, ta wojna!

— Tak, człowieku, tak. Ale już jedź.

— *Salud*, Inglés — powiedział Agustin podnosząc zaciśniętą pięść.

— *Salud* — odrzekł Robert Jordan. — Jedź, człowieku.

Agustin zatoczył koniem i opuścił gwałtownie pięść, jak gdyby raz jeszcze przeklinając tym gestem, po czym ruszył parowem. Tamci już dawno zniknęli. W miejscu, gdzie parów skręcał w las, obejrzał się i potrząsnął pięścią. Robert Jordan pomachał do niego ręką, a potem i Agustin zniknął...

Robert Jordan spojrzał ponad zielonym stokiem wzgórza ku szosie i mostowi. Tak jest zupełnie dobrze — pomyślał. — Nie warto jeszcze ryzykować przekręcania się na brzuch, bo tamto jest pod samą skórą, a w ten sposób lepiej widzę.

Czuł się wewnętrznie pusty, wydrążony i wyczerpany po tym wszystkim i po ich odjeździe, a w ustach miał smak żółci. Teraz nareszcie nie było problemu. Cokolwiek się zdarzyło i cokolwiek się zdarzy, dla niego nie było już problemu.

Wszyscy odjechali i został sam, oparty plecami o drzewo. Popatrzał na zielone zbocze, na którym siwy koń leżał tam, gdzie go dostrzegł Agustin, i dalej, na szosę i lasy poza nią. Potem spojrzał na most i drugi brzeg wąwozu i chwilę obserwował ruch przy moście i na szosie. Widział teraz ciężarówki zgromadzone w dole, na drodze. Między drzewami przeświturywała ich szara barwa. Przeniósł znowu wzrok w to miejsce, gdzie szosa zbiegała ze wzgórza. Już niedługo przyjdą — pomyślał.

Pilar zaopiekuje się nią jak najlepiej. To pewne. Pablo musi mieć jakiś rozsądny plan, bo inaczej by nie próbował. Nie masz co się martwić o Pabla. A o Marii lepiej nie myśleć. Staraj się uwierzyć w to, coś jej powiedział. Tak będzie najlepiej. Zresztą któż mówi, że to nieprawda? Przecież nie ty. Nie mówisz tego, tak samo jak nie powiesz, że nie było rzeczy, które były. Zachowaj teraz tę wiarę. Nie rób się cyniczny. Czasu już mało, a Marię dopiero co wyprawiłeś w drogę. Każdy robi, co może. Dla siebie nie jesteś w stanie nic zrobić, ale za to dla kogoś innego. No cóż, przeżyliśmy całe nasze szczęście w cztery dni. Nawet nie cztery. Przecież kiedy tu przyszedłem, było

popołudnie, a dziś nie ma jeszcze południa. To wypada niecałe trzy dni i trzy noce. Rachuj dokładnie — powiedział do siebie. — Bardzo dokładnie.

Chyba już lepiej się połóż — pomyślał. — Ulokuj się jakoś tak, żeby się na coś przydać, zamiast tu siedzieć pod drzewem jak włóczęga. Masz wielkie szczęście. Dużo jest rzeczy gorszych od tego. Każdy człowiek musi kiedyś przez to przejść. Chyba się nie boisz, jeżeli już wiesz, że tak musi być? Nie — odpowiedział sobie szczerze. — Ale całe szczęście, że mi zmiażdżyło nerw. Nawet nie czuję, że tam coś jest poniżej złamania.

Dotknął dolnej części nogi i wydało mu się, że to nie jego ciało.

Spojrzał znowu na zbocze wzgórza i pomyślał: Ciężko mi odchodzić, nic więcej. Ciężko mi bardzo i mam nadzieję, że zrobiłem tu coś dobrego. Próbowałem w miarę tych zdolności, jakie miałem. Jakie mam, chcesz powiedzieć. Niech będzie: jakie mam.

Od roku walczyłem o wszystko to, w co wierzyłem. Jeżeli zwyciężymy tutaj, zwyciężymy wszędzie. Świat jest wspaniały i godny walki i bardzo mi ciężko z nim się rozstać. Miałeś wielkie szczęście, że tak dobrze przeżyłeś życie — powiedział do siebie. — Twoje życie było nie gorsze niż dziadka, chociaż krótsze. Te ostatnie dni sprawiły, że twoje życie było tak dobre, jak rzadko. Nie powinieneś narzekać, jeżeli ci się tak poszczęściło. Tylko chciałbym móc jakoś przekazać dalej to, czego się nauczyłem. Mój Boże, pod koniec uczyłem się szybko. Chciałbym pogadać z Karkowem. W Madrycie. O tam, zaraz za tymi wzgórzami i równiną. Kiedy się zejdzie spomiędzy tych szarych skał i sosen, wrzosów i janowców, widać go, jak wznosi się biały i .piękny za żółtym, wysokim płaskowzgórzem. To jego piękno jest równie prawdziwe jak tamte stare baby Pilar pijące krew pod rzeźnią. Prawdziwa nie jest tylko jakaś jedna rzecz. Prawdziwe jest wszystko. Tak jak piękne są samoloty, czy nasze, czy ich. Do diabła z takim pięknem — pomyślał.

Teraz tylko spokojnie — powiedział do siebie. — Przekręć się, póki masz czas. Słuchaj, jeszcze jedno. Pamiętasz? Pilar i ręka. Wierzysz w te brednie? Nie — odpowiedział sobie. — Nawet po tym wszystkim, co się stało? Nie, nie wierzę. Miło się zachowała w związku z tym dzisiaj rano, nim zaczęliśmy. Może się bała, że uwierzyłem. A ja nie wierzę. Ale ona tak. Oni coś widzą. Albo czują. Jak psy myśliwskie. A ponadzmysłowa percepcja? Sprośność z tym — pomyślał. — Nie chciała się ze mną żegnać, bo wiedziała, że wtedy Maria za nic nie odejdzie. Ta Pilar! No, obróć się, Jordan. Ale nie miał ochoty próbować.

Przypomniał sobie, że w tylnej kieszeni miał swoją małą flaszkę, i pomyślał: Pociągnę dobry łyk tego pogromcy olbrzymów, a potem spróbuję się przekręcić. Ale gdy pomacał kieszeń, nie znalazł w niej butelki. Wtedy poczuł się jeszcze bardziej samotny, bo wiedział już, że nie będzie nawet tego. Zdaje się, że na to liczyłem — powiedział do siebie.

Myślisz, że Pablo ją zabrał? Nie bądź niemądry. Musiałeś ją zgubić przy moście. No, dalej, Jordan — powiedział. — Przekręcamy się.

Chwycił obiema rękami lewą nogę i położywszy się pod drzewem, o które się przedtem opierał plecami, odciągnął ją mocno do dołu, ku stopie. Potem leżąc płasko na wznak i odciągając nogę, żeby złamany koniec kości nie przebił ciała na udzie, zaczął powoli okręcać się wkoło na krzyżu, dopóki nie znalazł się głową w dół stoku. Wtedy trzymając oburącz złamaną nogę, wyciągniętą w kierunku szczytu wzgórza, przycisnął mocno prawą podeszwą lewą stopę od strony wewnętrznej i przekręcił się, zlany potem, na twarz i piersi. Podniósł się na łokciach, lewą nogę odsunął do tyłu obiema rękami i mocnym, wytężonym pchnięciem prawej stopy, i już był gotów. Pomacał palcami lewe udo i stwierdził, że wszystko w porządku. Kość nie przebiła skóry, a złamany koniec tkwił teraz głęboko w mięśniu.

Musiało rzeczywiście zmiażdżyć duży nerw, kiedy ten przeklęty koń zwalił mi się na nogę — pomyślał. — Naprawdę wcale nie boli. Tylko przy niektórych zmianach pozycji. Wtedy, jak kość coś tam nakłuwa. Widzisz? — powiedział do siebie. — Widzisz, co to znaczy mieć szczęście? Wcale ci nie było trzeba pogromcy olbrzymów.

Sięgnął po pistolet maszynowy, wyjął z magazynka zacisk, pomacał w kieszeni, żeby sprawdzić, czy są tam pozostałe, otworzył zamek i zajrzał do lufy, wsunął zacisk na powrót w żłobki magazynka i kiedy ten zaskoczył, popatrzał na stok. Jeszcze z pół godziny — pomyślał. — Tylko spokojnie.

Potem spojrzał na zbocze wzgórza i na sosny i starał się nie myśleć.

Patrzał na strumień i przypominał sobie, jak to było pod mostem, w chłodzie i cieniu. Chciałbym, żeby już przyszli — pomyślał. — Nie chcę, żeby mi się zmąciło w głowie, zanim nadejdą.

Jak myślisz, komu jest łatwiej? Tym, co mają religię, czy takim, którzy to biorą po prostu? Dla tamtych to jest duża pociecha, ale my przecież wiemy, że nie ma czego się bać. Złe jest dopiero poczucie utraty. Umieranie jest straszne tylko wtedy, kiedy

trwa długo i jest tak bolesne, że upokarza człowieka. Na tym polega twoje szczęście, widzisz? Nie spotka cię nic podobnego.

Wspaniale, że odjechali. Teraz, kiedy już ich nie ma, nic mi to nie szkodzi. To jest trochę tak, jak mówiłem. Naprawdę. Pomyśl, jak inaczej wszystko by wyglądało, gdyby leżeli porozrzucani na zboczu, tam gdzie mój siwy koń. Albo gdybyśmy siedzieli tu wszyscy razem i czekali na to. Nie. Już ich nie ma. Odjechali. Żeby tylko natarcie się udało. Czego ty chcesz? Wszystkiego. Chcę wszystkiego, a przyjmę, co dostanę. Jeżeli to natarcie się nie uda, uda się jakieś inne. Nie zauważyłem, kiedy wracały samoloty. Boże, co za szczęście, że zdołałem namówić ją do odjazdu.

Chciałbym opowiedzieć o tym dziadkowi. Założę się, że nigdy nie musiał przechodzić przez front, odszukiwać swoich ludzi i robić takiej historii. Skąd wiesz? Może to robił pięćdziesiąt razy? Nie. Nie przesadzaj. Nikt nic zrobił pięćdziesiąt razy czegoś takiego. Ani pięć. Może nawet nikt nie zrobił ani razu dokładnie tego samego. To jasne.

Chciałbym, żeby już przyszli — powiedział. — Chciałbym, żeby przyszli zaraz, bo noga zaczyna boleć. Pewnie dlatego, że puchnie.

Doskonale nam szło, kiedy nas to trafiło — pomyślał. — Ale to tylko szczęśliwy przypadek, że się nie stało, kiedy byłem pod mostem. Jeżeli jakaś rzecz jest zła w samym założeniu, coś musi się stać. Byłeś wrobiony już wtedy, gdy Golz dał ci ten rozkaz. Wiedziałeś o tym i pewnie Pilar to właśnie wyczuła. Ale później będziemy mieli te rzeczy o wiele lepiej zorganizowane. Powinniśmy mieć przenośne nadajniki krótkofalowe. Tak, wiele jest rzeczy, które powinniśmy mieć. Ja na przykład powinienem mieć zapasową nogę.

Uśmiechnął się na tę myśl z trudem, bo noga bolała go teraz bardzo w miejscu, gdzie duży nerw został zmiażdżony przy upadku. Och, niech już przyjdą — pomyślał. — Nie chcę robić tego samego, co ojciec. Zrobię, jeżeli będzie trzeba, ale wolałbym nie musieć. Jestem temu przeciwny. Nie myśl o tym. Nie myśl w ogóle. Chciałbym, żeby te dranie już przyszły — powiedział. — Tak bardzo bym chciał.

Noga bolała go teraz strasznie. Ból zaczął się nagle razem z puchnięciem, kiedy się przedtem poruszył, i Robert Jordan pomyślał: Może by to zrobić od razu? Zdaje się, że nie bardzo dobrze znoszę ból. Słuchaj, jeżeli to teraz zrobię, nie zrozumiesz mnie źle, prawda? Do kogo ty mówisz? Do nikogo — odpowiedział sobie. — Może do dziadka. Nie. Do nikogo. Och, cholera jasna, chciałbym, żeby już przyszli.

Słuchaj, może będę musiał to zrobić, bo jeżeli stracę przytomność albo co, będę do niczego i kiedy mnie ocucą, zaczną zadawać masę pytań i robić mi różne rzeczy, a to nie jest dobre. Dużo lepiej nie dopuścić do tego. Więc czy nie słuszniej zrobić to od razu, żeby już było po wszystkim? Bo och, słuchaj, tak, słuchaj, niech oni już przyjdą.

Nie bardzo dobrze to znosisz Jordan — powiedział do siebie. — Nie, nie bardzo. Ale kto to dobrze znosi? Nie wiem i naprawdę nic mnie to w tej chwili nie obchodzi. Ty w każdym razie nie. Właśnie. Wcale. Och, wcale a wcale. Chyba teraz już można? Jak myślisz?

Nie, nie można. Bo jest jeszcze coś, co możesz zrobić. Dopóki wiesz, o co chodzi, musisz to zrobić. Dopóki jeszcze pamiętasz, co to jest, musisz czekać. No, niech już przyjdą. Niech przyjdą. Niech przyjdą!

Pomyśl sobie, że tamci już są daleko. Pomyśl, jak kłusują przez las. Pomyśl, jak przeprawiają się przez strumień. Pomyśl, jak jadą przez wrzosy. Pomyśl, jak wjeżdżają na wzgórze. Pomyśl, że dziś wieczorem będą bezpieczni. Pomyśl, jak będą jechali przez całą noc. Pomyśl, że się jutro ukryją. Myśl o nich. Do diabła, myśl o nich. Ale dalej już nie mogę iść myślą za nimi — powiedział.

Pomyśl o Montanie. Nie mogę. Pomyśl o Madrycie. Nie mogę. Pomyśl o łyku chłodnej wody. Dobrze. To będzie właśnie takie. Jak łyk chłodnej wody. Kłamiesz. To będzie po prostu nicość. Tylko tyle. Po prostu nicość. Więc to zrób. Więc to zrób. Zrób! Zrób teraz. Teraz już możesz. No, zrób teraz. Nie. Musisz czekać. Na co? Wiesz dobrze. No to czekaj.

Nie mogę dłużej czekać — powiedział. — Jeżeli będę dłużej czekał, zemdleję. Wiem, bo już trzy razy czułem, że się zaczynało, i tylko jakoś to powstrzymałem. Udało mi się. Ale nie wiem już nic więcej. Pewnie masz wewnętrzny krwotok z tego miejsca, które w środku przebiła kość udowa. Szczególnie przy tym przekręcaniu się na brzuch. Dlatego puchnie i to cię osłabia i zamracza. Byłoby zupełnie w porządku zrobić to teraz. Naprawdę, mówię ci, że byłoby w porządku.

Ale jeżeli zaczekasz i zatrzymasz ich choćby chwilę albo po prostu zastrzelisz oficera, możesz tym wszystko odmienić. Jedna dobrze zrobiona rzecz może...

Dobrze — powiedział. Leżał bez ruchu i starał się utrzymać w sobie to, co usuwało się spod niego, jak czasem usuwa się śnieg na górskim zboczu, i powiedział już zupełnie spokojnie: Więc niech wytrwam, dopóki nie przyjdą.

Szczęście nie opuszczało Roberta Jordana, bo właśnie w tej chwili zobaczył kawalerię wynurzającą się z lasu i przecinającą szosę. Patrzał, jak wjeżdżali na zbocze. Widział, że jeden z żołnierzy zatrzymał się przy siwym koniu i zawołał do oficera, który podjechał do niego. Patrzał na nich obu, gdy przyglądali się siwemu koniowi. Rozpoznali go oczywiście. I on, i jego jeździec zaginęli o świcie poprzedniego dnia.

Robert Jordan widział ich tam, na zboczu, już teraz zupełnie blisko, poniżej szosę i most, a pod nim długie szeregi pojazdów. Odzyskał pełną świadomość i długo przypatrywał się wszystkiemu. Potem spojrzał w niebo. Były na nim wielkie, białe obłoki. Dotknął dłonią igliwia w miejscu, gdzie leżał, a potem kory drzewa, za którym był ukryty.

Następnie oparł się najswobodniej jak mógł łokciami o igliwie, a lufę pistoletu maszynowego przytknął do pnia sosny.

Oficer, który w tej chwili ruszył kłusem śladami koni bandy, musiał przejechać o dwadzieścia metrów poniżej miejsca, gdzie leżał Robert Jordan. Na tę odległość nie mogło być żadnej trudności. Oficerem tym był porucznik Berrendo. Przybył z La Granja, kiedy ich tu przysłano po pierwszym meldunku o ataku na dolną placówkę. Jechali ostro, a potem musieli zawrócić, gdyż most był wysadzony, przeprawić się wyżej przez wąwóz i wreszcie objechać lasem. Konie ich były mokre i zdyszane i musieli je przynaglać do kłusa.

Porucznik Berrendo jechał pod górę wpatrując się w ślady, a jego szczupła twarz była poważna i chmurna. Swój automatyczny pistolet trzymał w poprzek siodła, oparty o zagięcie lewej ręki. Robert Jordan leżał za drzewem i usilnie, w skupieniu, starał się opanować, żeby mu ręce nie drżały. Czekał, aż oficer dojedzie do oświetlonego słońcem miejsca, gdzie na zielonym stoku łąki zaczynały się pierwsze drzewa sosnowego lasu. Czuł, jak serce mu bije o pokrytą igliwiem leśną ziemię.

